

ROBERT LUDLUM



PLAN IKAR

LUDLUM ROBERT

Plan Ikar

ROBERT LUDLUM

Tom I

Przełożył: Wiktor T. Górny

Wydawnictwo AiB

Warszawa 1992

Tytuł oryginału

"The Icars Agenda"

Copyright (c) by Robert Ludlum 1988

Redaktor

Janusz W. Piotrowski

Zdjęcie na okładce

Rafał Wojewódzki

Opracowanie graficzne serii

skład i łamanie

Studio Q

For the Polish Edition

Copyright (c)1992

by Wydawnictwo AiB

Adamski i Bieliński s.j.

Wydanie I

ISBN 83-85593-03-9

Wydawnictwo AiB Adamski i Bieliński s.j.

Warszawa 1992

ark wyd. 20, ark druk. 22

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca

w Krakowie, ul. Wadowicka 8

zam. 6528/92

* * *

Jamesowi Robertowi Ludlumowi

Witaj Przyjacielu

Niech Ci się w życiu wiedzie

* * *

Prolog

Sylwetka mężczyzny przemknęła do wnętrza ciemnego, pozbawionego okien pokoju. Zamknąwszy drzwi, postać szybkim krokiem przeszła po omacku po nieskazitelnie czystej, pokrytej czarnym winylem podłodze do mosiężnej lampki z lewej strony. Mężczyzna włączył światło; w wąskim, wyłożonym boazerią gabinecie zaroilo się od cieni. Pokój był mały i ciasnawy, ale nie pozbawiony ornamentów. Jednak objets d'art nie pochodziły ze starożytności ani też z przełomowych okresów sztuki nowożytnej, lecz stanowiły najnowocześniejszy sprzęt zaawansowanej technologii. "Prawa ściana lśniła odblaskami najszlachetniejszej stali, a cicho mrużące urządzenie wentylacyjne usuwające kurz zapewniało nieskazitelną

czystość. Właściciel i jedyny użytkownik tego pokoju podszedł do krzesła przed komputerem i usiadł. Nacisnął wyłącznik i gdy ekran ożył, wystukał na klawiaturze hasło. Jaskrawozielone literki natychmiast odpowiedziały: – DOKUMENT
MAKSYMALNIE ZABEZPIECZONY PODŁĄCZEŃ ZEWNĘTRZNYCH BRAK MOŻNA
PISAĆ Postać zgarbiła się nad klawiaturą i w gorączkowym napięciu zaczęła wprowadzać dane. Rozpoczynam ten dziennik teraz, bowiem następujące wydarzenia zmienią zapewne losy całego narodu. Pewien człowiek pojawił się pozornie znikąd jako poczciwy, nieświadomy swego powołania ani przeznaczenia Mesjasz. Los wyznaczył mu misję, której nie ogarnie rozumem i jeśli moje przewidywania są trafne, w dzienniku tym opiszę dzieje jego podróży... Jej początek mogę sobie tylko wyobrazić, lecz wiem, że zaczęła się w chaosie.

* * *

KSIĘGA I

Rozdział 1

Maskat, Oman. Bliski Wschód Wtorek, 10 sierpnia, 18:30

Wzburzone wody Zatoki Omańskiej zwiastowały sztorm pędzący przez Cieśninę Ormuz ku Morzu Arabskiemu. Porę zachodu słońca oznajmiały modły wznoszone w minaretach przenikliwym, nosowym dyszkantem przez brodatych muezinów. Niebo ciemniało pod czarnymi, burzowymi kłębami, nadciągającymi złowrogo jak rozjuszone potwory. Dwieście mil dalej, na drugim brzegu morza, w Pakistanie, błyskawice raz po raz zapalały wschodni horyzont nad górami Makran w Turbacie. Na północy, za granicą z Afganistanem, nadal trwała okrutna wojna. Na zachodzie wrzała jeszcze bardziej bezsensowna wojna, w której walczyły dzieci prowadzone na śmierć przez obłąkanego tyrana Iranu. Na południu zaś leżał Liban, gdzie zabijano się bez skrupułów i gdzie każde ugrupowanie w religijnym zaślepieniu nazywało przeciwników terrorystami, gdy w istocie wszystkie bez wyjątku uprawiały barbarzyński terrorizm. Bliski Wschód płonął, tam zaś, gdzie niegdyś udawało się zapobiec pożogom, zabiegi te okazywały się już nieskuteczne. Gdy wody Zatoki Omańskiej wściekle pomrukiwały tego wczesnego wieczora, a niebo obwieszczało wybuch szału, ulice Maskatu, stolicy sułtanatu Oman, nie odbiegały nastrojem od nadchodzącej burzy. Po modlitwach tłumy zebrały się na powrót z płonącymi pochodniami, wylęgając z bocznych uliczek i mrocznych zaułków. W histerycznym zapamiętaniu kolumna skierowała się ku celowi protestu – oświetlonym reflektorami bramom Ambasady Stanów Zjednoczonych. Zdobiony różową sztukaterią fronton patrolowały obdarte, długowłose dzieciaki, ściskające niezdarnie broń automatyczną. Naciśnięcie spustu oznaczało śmierć, lecz w swym szaleńczym fanatyzmie wyrostki nie dostrzegały tej ostateczności, nauczono ich bowiem, że nie istnieje coś takiego jak śmierć, bez względu na to, co sami widzieli na własne oczy. Nagroda za męczeństwo była dla nich wszystkim, a im boleśniejsza ofiara, tym bardziej błogosławiony męczennik – cierpienie wroga nie liczyło się wcale. Ślepotą! Obłąd! Mijał właśnie dwudziesty, drugi dzień tego szaleństwa, dwadzieścia jeden dni, odkąd cywilizowany świat kolejny raz stanął w obliczu ślepego szału. Burza fanatyzmu w Maskacie przyszła nie wiadomo skąd, lecz raptem ogarnęła całe miasto i nikt nie wiedział dlaczego. Nikt prócz garstki specjalistów obeznanych z ciemnymi arkanami podstępnych insurekcji, prócz kobiet i mężczyzn, którzy całymi dniami i nocami przeprowadzali badania, analizy, aż w końcu dokopywali się do korzeni zorganizowanej rewolty. Kto? Po co? Czego chcą i jak ich powstrzymamy? Fakty: Schwytano dwustu czterdziestu siedmiu Amerykanów i pod lufami automatów przetrzymywano jako zakładników. Jedenastu zastrzelono, a ich ciała wylatywały przez okna ambasady z brzękiem tłuczonego szkła, każdy zabity z innego okna. Ktoś powiedział tym dzieciom, jak podkreślać egzekucje elementem zaskoczenia. Przed żelaznymi bramami zahipnotyzowani krwią fanatycy z wrzaskiem zbierali wśród podekscytowanego tłumu zakłady. Które okno następne? Czy polecą trup mężczyzny, czy kobiety? Ile stawiasz? Nie zwlekaj! Na dachu ambasady, pod gołym niebem znajdował się luksusowy basen, okolony ażurowym, arabskim ogrodzeniem,

którego konstrukcja bynajmniej nie przewidywała ochrony przed kulami. Właśnie wokół tego basenu klęczeli rzędami zakładnicy, a grupki ciemieńców krążyły z pistoletami automatycznymi wycelowanymi w ich głowy. Dwustu trzydziestu sześciu przerażonych, wycieńczonych Amerykanów czekających na egzekucję. Szaleństwo! Decyzje: Mimo szlachetnych ofert Izraelczyków, nie wolno ich w to mieszać! To nie lotnisko Entebbe i przy całym szacunku dla izraelskiego kunsztu antyterrorystycznego, rozlew krwi w Libanie sprawiał, że każda próba interwencji Izraela została by przyjęta przez Arabów ze wstrętem: oto Stany Zjednoczone opłaciły terrorystów, by zwalczali terrorystów. Nie ma mowy. Oddziały szybkiego reagowania? Któż wspiąłby się na cztery piętra albo zeskokczył ze śmigłowców na dach i zdążył powstrzymać egzekucje, gdy kaci tylko czekali na sposobność, aby zginąć męczeńską śmiercią? Blokada morska i gotowy do inwazji Omanu batalion piechoty morskiej? Cóż by to dało oprócz demonstracji miażdżącej przewagi? Wszak sułtan i jego ministrowie byli ostatnimi ludźmi na ziemi, którym zależałoby na rzezi w ambasadzie. Pokojowo nastrojona Policja Królewska usiłowała stłumić histerię, ale gdzie jej do grasujących, dzikich watah agitatorów. Po latach spokoju w mieście nie umiała się odnaleźć w tym chaosie; z kolei przerzucenie Armii Królewskiej z granic jemeńskich mogło wywołać fatalne następstwa. Oddziały wojska patrolujące ten rezerwat międzynarodowego terroryzmu brutalnością nie ustępowały swoim wrogom. Nie dość, że wraz z ich powrotem do stolicy tereny graniczne nieodwołalnie obróciłyby się w perzynę, to ulicami Maskatu popłynęłaby krew, a rynsztoki zatkałyby się trupami zarówno niewinnych, jak i złoczyńców. Szach mat.

Rozwiązania: Ulec żądaniom oprawców? Wykluczone, o czym wiedzieli prowokatorzy, lecz nie ich marionetki – wyrostki, które święcie wierzyły w wykrzykiwane, dźwięczne slogany. Za żadną cenę rządy Europy i Bliskiego Wschodu nie pozwoliłyby sobie na uwolnienie przeszło 8000 terrorystów z takich ugrupowań jak Czerwone Brygady, OWP, BaaderMeinhof, IRA i całe kopy ich zwaśnionego, plugawego potomstwa. Tolerować bez końca rozgłos, wszędobylskie kamery i tomy artykułów przykuwających uwagę świata do tych żądnych reklamy fanatyków? Dlaczego nie? Nieustający rozgłos powstrzymywał niewątpliwie dalsze egzekucje zakładników, "czasowo zawieszono", aby "państwa wyzyskiwaczy" miały czas na podjęcie decyzji. Blokada informacyjna rozjuszyłaby jedynie zacierzewionych kandydatów na męczenników. Cisza stworzyłaby potrzebę szoku. Szok idzie na pierwsze strony gazet, a mord najskuteczniej wywołuje szok. Kto? Co? Jak? Kto...? Oto zasadnicze pytanie, na które odpowiedź przyniosłoby rozwiązanie – rozwiązanie konieczne w ciągu najbliższych pięciu dni. Egzekucje zawieszono na tydzień, a dwa dni już upłynęły na gorączkowych dyskusjach zebranych w Londynie szefów służb wywiadowczych sześciu krajów. Wszyscy przybyli samolotami ponaddzwiękowymi zaledwie kilka godzin po podjęciu decyzji ścisłego współdziałania, każdy z nich bowiem doskonale zdawał sobie sprawę, że jego ambasada może być następna. Pracowali bez przerwy czterdzieści osiem godzin. Wyniki: Oman pozostał zagadką. Kraj ten uważano do tej pory za ostoję stabilności na Bliskim Wschodzie; sułtanat z wykształconym, światłym przywództwem, z rządem na tyle reprezentatywnym, na ile

pozwalala święta muzulmańska rodzina. Władcy pochodzili z uprzywilejowanego rodu, który potrafił wszakże uszanować to, czym obdarzył ich Allah – nie tylko gwoli szczodrego dziedzictwa, lecz także z powodu poznania odpowiedzialności, w drugiej połowie dwudziestego wieku. Wnioski: Insurekcja została zaprogramowana z zewnątrz. Najwyżej dwudziestu z przeszło dwustu obszarpanych, rozwrzeszczanych gówniarzy zidentyfikowano jako obywatele omańskich. Toteż oficerowie służb tajnych wraz z informatorami w każdym z ekstremistycznych ugrupowań osi Morze Śródziemne – Bliski Wschód niezwłocznie przystąpili do pracy, odnawiając kontakty, nie szczędząc bakszyszu ani pogrózek.

–Kto za tym stoi, Aziz? Tylko garstka pochodzi z Omanu i większość z nich to prostaczki. Nie bądź głupi, Aziz. Pożyj jak sułtan. Cena nie gra roli. Nie pożałujesz!

–Masz sześć sekund, Mahmet! Za sześć sekund twoja prawa ręka będzie leżeć na podłodze i to bez nadgarstka! Potem polecą lewa, Odliczam, złodzieju. Gadaj! Sześć, pięć, cztery...Krew. Nic. Zero. Oblęd. I nagle przełom. Dokonał się za sprawą sędziwego muezina, kapłana, którego słowa i pamięć były tak chwiejne jak chwiałyby się jego mizerne ciało smagane pędzącym teraz od Cieśniny Ormuz wichrem. – Nie szukajcie tam, gdzie podpowiada wam logika. Szukajcie gdzie indziej.

–Gdzie?

–Tam, gdzie żalów nie zrodziła bieda ani zacofanie. Tam, gdzie Allah nie skąpił łask na tym Świecie, choć może nie na drugim. – Proszę jaśniej, najczcigodniejszy muezinie.

–Allah nie życzy sobie takiej jasności stań się wola Jego! Może On nie jest stronniczy – niechaj więc tak zostanie.

–Ależ na pewno macie powody, czcigodny muezinie, żeby mówić to, co mówicie!

–Allah dał mi powody, przeto stań się wola Jego.

–A jak to było?

–Pogłoski szemrane w zakamarkach meczetu. Szepty, którym Prorok kazał dojść mych starych uszu. Mam tak słaby słuch, że nie powinienem był nic usłyszeć, gdyby Allah nie zawyrokował inaczej. – Cóż więcej wiadome?

–Szepty mówią o tych, co skorzystają z rozlewu krwi.

–Kto?

–Nie słyhać żadnych nazwisk, żadnych znanych osobistości. – A może jakieś ugrupowanie, organizacja? Błagam! Sekta, kraj, naród? Szyici, Saudyjczycy... Irakijczycy, Iranczycy...Sowieci? Nie. Nie mówi się ani o wiernych, ani o niewiernych, słyhać tylko "oni".

–Oni?

–To słyseż w pogłoskach szeptanych w ciemnych zakamarkach meczetu i widać Allah chce, bym to właśnie usłyszał – niech się stanie Jego wola. Nic, tylko "oni".

–Czy czcigodny muezin mógłby zidentyfikować kogoś z tych, których słyssał?

–Jestem prawie ślepy, a w świątyni jest zawsze słabe światło, gdy ci nieliczni spośród wiernych przemówią. Nie potrafię zidentyfikować ani jednego. Wiem tylko, że muszę podzielić się tym, co słyseż, taka bowiem jest wola Allacha.

–Dlaczego, muezin murderris? Dlaczego taka jest wola Allacha? – Albowiem nie

wolno więcej przelewać krwi. Koran mówi, że gdy krew przelewają i usprawiedliwiają młode, rozpalone dusze, namiętności ich należy zbadać, młodość bowiem...

–Już dobrze! Wyślemy dwóch naszych ludzi z wami do meczetu. Wskażcie nam, gdy coś usłyszycie!

–Za miesiąc, ja szajch. Przede mną ostatnia pielgrzymka do Mekki, Jesteś zaledwie częścią mej podróży. Taka jest wola... – O Boże!

–To twego Boga wzywasz, ja szajch. Nie mojego. Nie naszego.

* * *

Rozdział 2

Waszyngton DC Środa, 11 sierpnia, 11:50

Na bruk stolicy lał się żar południowego słońca; letnie powietrze wciąż buchało nieznośnym gorącem. Przechodnie brnęli z mozolną determinacją – mężczyźni z rozpiętymi kołnierzykami i rozluźnionymi krawatami. Teczki i torby ciążyły jak balast, gdy ich właściciele stawali na skrzyżowaniach czekając z błędnym wzrokiem na zielone światło. Wprawdzie dziesiątki mężczyzn i kobiet – przeważnie w służbie państwowej, a przeto w służbie narodowi – miały zapewne pilne sprawy na głowie, pilności jednak nijak nie dało się na ulicy zauważyć. Otępiający całun opadł na miasto, tumaniąc tych, co odważyli się wyjść z chłodzonych wentylacją pokoi, biur i samochodów. Na rogu Dwudziestej Trzeciej ulicy i Virginia Avenue doszło do wypadku drogowego. Nie było rannych ani poważnych szkód, czemu zdawały się przeczyć temperamenty uczestników kolizji. Taksówka zderzyła się z samochodem rządowym wyjeżdżającym właśnie z podziemnego parkingu pod gmachem Departamentu Stanu. Kierowcyobaj święcie przekonani o własnej racji, zgrzani i spoceni ze strachu przed przełożonymi – stali przy swoich autach oskarżając się wzajemnie i wrzeszcząc w porażającym upale, czekając na wezwaną przez przechodzącego obok urzędnika policję. W jednej chwili zrobił się gigantyczny korek; ryczały klaksony, a z otwieranych z ociąganiem okien dochodziły wściekłe wrzaski. Zniecierpliwiony pasażer taksówki wygramolił się z tylnego siedzenia. Był to wysoki, szczupły mężczyzna czterdziestce. sprawiał wrażenie nie Oswojonego z otoczeniem, w którym dominują letnie garnitury, modne wzorzyste sukienki i teczkidyplomatkami. Miał na sobie pomięte spodnie khaki, wojskowe buty i rozchełstana bawełnianą bluzę safari zamiast koszuli. Wszystko to składało się na wizerunek człowieka spoza metropolii, być może zawodowego przewodnika, który zszedł z wyższych i dzikich partii gór. TWarz jednak kłóciła się z ubiorem – gładko ogolona, o regularnych, ostrych rysach i błękitnych, bystrych oczach, to zwężających się, to znów rozbieganych i oceniających sytuację przed podjęciem decyzji. Położył dłoń na ramieniu rozsierzonego kierowcy, ten obrócił się natychmiastdostał od pasażera dwa banknoty dwudziestodolarowe.

–Śpieszę się – rzekł pasażer.

–Hej, bądź pan człowiekiem! Pan widział! Ten skurczybyk wyjechał bez sygnału, jakby nigdy nic!

–Przykro mi, ale nie będę mógł panu pomóc. Nie widziałem ani nie słyszałem nic przed samą kolizją.

–Patrzcie go! Nic nie jadłem, nic nie piłem, do lasu nie chodziłem! Nie chce się nam angażować, co?

–Jestem zaangażowany – odparł spokojnie pasażer, wyciągając jeszcze jeden banknot i wkładając go kierowcy do kieszeni marynarki. – Ale nie tutaj. Dziwacznie ubrany mężczyzna przecisnął się przez tłum gapiów i pognął w kierunku Trzeciej ulicy – ku imponującym szklanym drzwiom Departamentu Stanu. Był w okolicy jedynym biegnącym człowiekiem. Wyznaczone centrum dowodzenia mieściło się w podziemnej części gmachu i opatrzone było kryptonimem OHIO CzteryZero, co tłumaczyło się na "Oman, najwyższe pogotowie". Za metalowymi drzwiami nieprzerwanie stukały rzędy komputerów, a raz po raz jedna z maszyn – po natychmiastowym sprawdzeniu z centralnym bankiem danych – emitowała krótki, wysoki sygnał zwiastujący nowe lub dotąd nie przekazane dane. Personel w napięciu studiował wydruki, starając się ocenić przydatność informacji. Nic. Zero. Obłąd! W tym dużym, tętniącym życiem pokoju znajdowały się inne metalowe drzwi, mniejsze niż wejściowe i bez dostępu bezpośrednio z korytarza. Mieścił się za nimi gabinet wyższego urzędnika odpowiedzialnego za kryzys w Maskacie; na odległość wyciągniętej ręki miał centralkę telefoniczną z połączeniami do wszystkich ośrodków władzy i wszelkich źródeł informacji w Waszyngtonie. W gabinecie tym rezydował obecnie mężczyzna w średnim wieku, zastępca dyrektora Wydziału Operacji Konsularnych, mało znanej komórki Departamentu Stanu, zajmującej się tajną działalnością. Nazywał się Frank Swann i w tej właśnie chwili w samo południe, choć słońce tu nie docierało jego głowa spoczywała na złożonych ramionach na biurku. Nie przespał ani jednej nocy przez bez mała tydzień, zadowolając się jedynie takimi właśnie drzemkami w gabinecie. Wyrwany ze snu ostrym brzęczykiem na konsoli, wyciągnął machinalnie prawą rękę, nacisnął podświetlony guzik i podniósł słuchawkę. – Tak?... o co chodzi? – Swann potrząsnął głową i odetchnął, tylko nieznacznie pocieszony, że dzwoni jego sekretarka z gabinetu znajdującego się pięć pięter wyżej. Chwilę słuchał, po czym odezwał się znużonym głosem. – Kto? Kongresman, kongresman? Tylko kongresmana mi jeszcze brakowało. Skąd do cholery wziął moje nazwisko?... Wszystko jedno, spław go. Powiedz mu, że mam konferencję... niech będzie, że z Panem Bogiem... albo uderz oczko wyżej i powiedz, że z sekretarką...

–Przygotowałam go na taką ewentualność. Dlatego dzwonię z twojego gabinetu. Powiedziałam mu, że mogę się z tobą połączyć tylko z tego telefonu. Swann zmrużył oczy. – Trochę za wiele jak na mojego pretoriana, Ivy Groźnej. Skąd te ustępstwa, Ivy?

–Powiedział coś dziwnego, Frank. Musiałam to zapisać, bo nie rozumiałam, co mówi.

–Dawaj.

–Powiedział, że przyszedł w sprawie, którą się zajmujesz... – Przecież nikt nie wie, czym... no, dobrze. Co jeszcze?

–Zapisałam to fonetycznie. Kazał mi przekazać ci coś takiego: Ma efham zajn. Rozumiesz coś z tego, Frank? Dyrektor Swann zdumiony znów potrząsnął głową,

starając się bardziej wyostrzyć umysł, aczkolwiek nie miał już wątpliwości, że natychmiast przyjmie czekającego pięć pięter wyżej gościa. Nie znany mu kongresman właśnie dał do zrozumienia po arabsku, że może się przydać. – Powiedz wartownikowi, żeby go tu przyprowadził – rzekł Swann. Po siedmiu minutach sierżant marines otworzył drzwi podziemnej części gmachu. Gość wszedł do środka, podziękowawszy wartownikowi, który natychmiast zamknął za nim drzwi.

Zaniepokojony Swann wstał zza biurka. "Kongresman" w znacznym stopniu odbiegał od jego wyobrażenia przeciętnego posła do Izby Reprezentantów – przynajmniej z Waszyngtonu. Miał na sobie buty z cholewami, spodnie khaki i letnią kurtkę myśliwską, obficie poznaczoną śladami bliskiego i częstego kontaktu z pryskającą zawartością patelni na traperskich ogniskach. Czy to aby nie jakiś kiepski dowcip?

–Kongresman...? zaczął z wyciągniętą na powitanie ręką zastępca dyrektora i zawiesił głos, nie znając nazwiska gościa.

–Evan Kendrick, panie Swann – odpowiedział przybysz, podchodząc do biurka i podając dłoń. – Jestem posłem pierwszej kadencji z dziewiątego okręgu stanu Kolorado.

–Ach tak, oczywiście, dziewiąty okręg Kolorado. Proszę wybaczyć, że od razu...

–Doskonale rozumiem, to raczej ja powinienem pana przeprosić za mój wygląd. Nie ma powodu, by wiedział pan, kim jestem.,. – Pozwolę sobie dodać w tym miejscu wtrącił stanowczo Swann – że nie ma również żadnego powodu, by pan wiedział, kim ja jestem, panie kongresmanie.

–Rozumiem, ale nie było to takie trudne. Nawet świeżo upieczeni reprezentanci mają swoje ścieżki – przynajmniej odziedziczona przeze mnie sekretarka wiedziała, gdzie szukać. Musiałem tylko dokonać rozsądnej selekcji, Potrzebowałem kogoś z Operacji Konsularnych, kto...

–To nie jest nazwa, którą wymienia się w każdym domu, panie Kendrick – przerwał drugi raz Swann, znowu z naciskiem.

–U mnie "W domu, owszem, choć nieczęsto. Jednym słowem nie chodziło mi o pierwszego z brzegu człowieka od Bliskiego Wschodu, ale o znawcę problemów arabskich w południowo-zachodniej Azji, kogoś, kto płynnie zna język i z tuzin dialektów. Szukałem właśnie takiego człowieka... Pan tam był, panie Swann.

–Widzę, że pan nie próżnował.

–Pan też nie – rzekł kongresman wskazując głową na drzwi i ogromne sąsiednie biuro z całym zestawem komputerów. – Zakładam, że zrozumiał pan moją wiadomość, bo w przeciwnym razie chyba nie dostąpiłbym zaszczytu tego spotkania.

–Tak – przyznał zastępca dyrektora.

–Powiedział pan, że mógłby nam pomóc.Czy to prawda?

–Nie wiem. Wiedziałem tylko, że musze wyjść z propozycją. – Propozycją? Na jakiej podstawie?

–Pozwoli pan, że usiądę?

–Proszę. Nie chcę być nieuprzejmy, jestem po prostu zmęczony. – Kendrick usiadł; Swann także, taksując podejrzliwie początkującego polityka. Do rzeczy, paniepośle. Czas jest cenny, każda minuta się liczy, a borykamy się z tym

"problemem", jak określił to pan w rozmowie, z moją sekretarką, już odkilku koszmarnych tygodni. Nie wiem wprawdzie, co pan ma do powiedzenia i czy jest to dla nas istotne, czy nie, lecz jeśli tak to chciałbym wiedzieć, dlaczego przybył pan dopiero teraz.

–Nie słyszałem nic o wydarzeniach w Omanie. Nie wiem, co się już stało, ani co się teraz dzieje.

–Doprawdy trudno mi w to uwierzyć. Czyżby reprezentant z dziewiątego okręgu stanu Kolorado spędzał przerwę między sesjami Izby w klasztorze benedyktynów?

–Niezupełnie.

–A może nasz nowy ambitny kongresman, który zna trochę arabski – ciągnął Swann jednym tchem, cicho i niesympatycznie – dyskontuje parę zakulisowych pogłosek na temat pewnej sekcji tej instytucji, postanawia wśliznąć się do wewnątrz i zdobyć dodatkowe punkty na drodze politycznej kariery? Nie pierwszy to przypadek. Kendrick siedział nieruchomo z kamienną twarzą, ale z pełnymi ekspresji oczami, czujnymi, a zarazem gniewnymi. – Obraża mnie pan – rzekł. W tych okolicznościach nietrudno wyjść z równowagi. Jedenastu naszych rodaków zostało zabitych, proszę szanownego pana, w tym trzy kobiety. W kolejce na egzekucję czeka dwustu trzydziestu sześciu innych! I gdy ja się pana pytam, czy może nam pan pomóc, pan mi na to, że nie wie, ale ma propozycję! Słyszę tu syk węża i mam się na baczności. Toruje sobie pan drogę językiem, którego najprawdopodobniej nauczył się pan zbijając forszę w jakiejś kompanii naftowej i wyobraża sobie, że to już upoważnia go do specjalnych względów... może jest pan "konsultantem", co brzmi atrakcyjnie. Świeży polityk zostaje z miejsca konsultantem Departamentu Stanu podczas narodowego kryzysu. Bez względu na finał pan wygrywa. Wielu obywateli dziewiątego okręgu Kolorado będzie się panu kłaniało w pas, prawda?

–Niewykluczone, gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział.

–Co? Jeszcze raz zastępca dyrektora przyjrzał się bacznie kongresmanowi, tym razem nie z irytacją, lecz z innego powodu. Czyżby go znał? Ma pan dość stresów, nie chciałbym więc potęgować ich swoją osobą. Ale jeśli to, co pan ma na myśli ma być barierą, usuńmy ją od razu. Gdyby orzekł pan, że mogę się wam na coś przydać, zgodzę się tylko pod warunkiem, że dostanę pisemną gwarancję anonimowości, bez tego ani rusz. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu byłem. Nie rozmawiałem ani z panem, ani z nikim innym. Zbity z tropu Swann odchylił się na krześle i położył rękę na brodzie. – A jednak znam pana – rzekł cicho.

–Nigdy się nie poznaliśmy.

–Niech pan wreszcie powie, co ma pan do powiedzenia. Od czegoś trzeba zacząć.

–Cofnę się o osiem godzin – zaczął Kendrick. – Otóż od prawie miesiąca spływam samotnie wzburzonymi wodami Kolorado do Arizony... oto benedyktyńskie odosobnienie, które wymyślił pan dla mnie na okres parlamentarnych wakacji. Przepląnąłem wodospad Lava i zatrzymałem się na dużym polu biwakowym. Obozowało tam oczywiście więcej ludzi i wtedy właśnie po raz pierwszy od prawie czterech tygodni słuchałem radia.

–Czterech tygodni? – powtórzył Swann. – Bez kontaktu ze światem przez ten cały

czas? Często pan to robi?

–Prawie co rok – odpowiedział Kendrick. – Stało się to już dla mnie rytuałem – dodał cicho. – Podróżuję samotnie; ale to nie ma nic do rzeczy. Wspaniały polityk – rzekł zastępca, chwytając bezwiednie ołówek. – Może pan zapomnieć sobie o bożym świecie, panie pośle, ale ma pan przecież swoich wyborców. Żaden ze mnie politykodparł Evan Kendrick, uśmiechając się półgębkiem. – A mój wybór to sprawa przypadku, proszę mi wierzyć. Tak czy owak usłyszałem wiadomości i zacząłem działać najszybciej jak tylko mogłem. Wynająłem samolot patrolujący rzekę i kazałem się podrzucić do Flagstaff, skąd próbowałem załatwić czarterowy odrzutowiec do Waszyngtonu. Było już późno w nocy, za późno na uzgodnienie planu lotu, poleciałem więc tylko do Phoenix i tam złapałem najwcześniejszy lot. Te telefony do dyspozycji podczas lotu to cudowny wynalazek. Przyznaję, że zmonopolizowałem jeden z nich, rozmawiając z moją bardzo doświadczoną sekretarką i wieloma innymi ludźmi. Przepraszam za swój wygląd; w samolocie dostałem maszynkę do golenia, ale nie chciałem już tracić czasu i jechać do domu, żeby się przebrać. Jestem tutaj, a pan jest człowiekiem, z którym chciałem się spotkać. Być może na nic się panu nie przydam i jestem pewien, że powie mi pan to bez ogródek. Ale, powtarzam, musiałem wystąpić z propozycją. Podczas gdy przybysz mówił, zastępca dyrektora napisał nazwisko "Kendrick" w notatniku. Ścisłej mówiąc, zapisał je i podkreślił kilka razy. Kendrick, Kendrick, Kendrick. Jaką propozycją? – spytał zniecierpliwionym tonem, taksując dziwnego intruza. Jaką, panie pośle?

–Proponuję wszystko, co wiem na temat regionu i różnych działających w nim ugrupowań. Oman, Emiraty, Bahrajn, Katar – Maskat, Dubaj, Abu Dhabi po Kuwejt z jednej strony i Rijad z drugiej. Mieszkałem w tych wszystkich miejscach. Pracowałem tam. Znam je bardzo dobrze,

–Mieszkał pan i pracował na całej mapie Bliskiego Wschodu? – Tak, W samym Maskacie spędziłem osiemnaście miesięcy. W ramach kontraktu zawartego z rodziną królewską.

–Sułtanem?

–Nieodżałowanej pamięci sułtanem; umarł dwa lub trzy lata temu, jeśli się nie mylę. A więc tak, w ramach kontraktu z sułtanem i jego ministrami Była to wymagająca i kompetentna grupa. Nie dawali się nabrać na byle co.

–A zatem pracował pan dla jakiejś firmy – stwierdził Swann jakby nie oczekiwał wcale odpowiedzi.

–Owszem.

–Czyjej?

–Mojej – odparł świeżo upieczony kongresman.

–Pańskiej?

–Tak jest Zastępca dyrektora spojrział na przybysza, po czym spuścił wzrok na zapisane wielokrotnie w notatniku nazwisko. – Mój Boże – szepnął. – Grupa Kendricka! Tu jest związek, którego się nie dopatrzyłem. Nie słyszałem pańskiego nazwiska od czterech czy pięciu lat... może sześciu.

–Trafił panza pierwszym razem. Dokładnie od czterech lat – Wiedziałem, że

gdzieś dzwoni. Mówiłem panu nawet...

–Zgadza się, ale nigdy się nie poznaliśmy.

–Budowaliście wszystko od wodociągów po mosty tory wyścigowe, osiedla mieszkaniowe, kluby myśliwskie, lotniska – wszystko, – Budowaliśmy to, na co dostaliśmy zamówienie.

–Pamiętam. Dziesięć albo dwanaście lat temu to właśnie wy byliście kwiatem młodzieży amerykańskiej w Emiratach... wcale nie przesadzam z tą młodzieżą... tuziny dwudziesto i trzydziestolatków młodych gniewnych.

–Nie wszyscy z nas byli aż tak młodzi...

–Nie – przerwał mu Swann, chmurząc się w duchu. – Miał pan w rękawie asa – starego Żyda, genialnego architekta. Izraelczyka, na miłość boską, który potrafił projektować w stylu islamskim i łamał się chlebem z każdym bogatym Arabem w okolicy.

–Nazywał się Emmanuel Weingrass... nazywa się Manny Weingrass... pochodzi z Garden Street w nowojorskim Bronxie, Wyjechał do Izraela, aby uniknąć prawnych utarczek ze swoją drugą czy trzecią żoną. Ma teraz prawie osiemdziesiąt lat i mieszka w Paryżu, całkiem nieźle, sądząc z rozmów telefonicznych.

–Właśnie – rzekł zastępca dyrektora. – Pańską firmę wykupił chyba Bechtel. Za trzydzieści czy czterdzieści milionów.

–Nie Bechtel, tylko TransInternational, i nie za trzydzieści ani czterdzieści, tylko dwadzieścia pięć. Ubiliśmy interes i wycofałem się. Wszystko było w porządku. Swann obserwował twarz Kendricka, zwłaszcza jasnobłękitne zagadkowe oczy. – Nie bardzo – powiedział cicho, nawet współczująco, już bez śladów wrogości. Teraz sobie przypominam. Na jednej z waszych budów pod Rijadem zdarzył się wypadek – zapadł się strop, gdy wybuchł wadliwy rurociąg gazowy – zginęło ponad siedemdziesiąt osób, w tym pańscy wspólnicy, wszyscy pracownicy i kilkoro dzieci.

–Ich dzieci – dodał spokojnie Evan. – Wszyscy pracownicy, ich żony i dzieci. Fetowaliśmy zakończenie trzeciej fazy. Wszyscy tam byliśmy. Załoga, moi wspólnicy, wszystkie żony z dziećmi. Cała kopuła runęła, gdy byli w środku, ja z Manny'm byliśmy na zewnątrz... przebieraliśmy się w jakieś idiotyczne kostiumy klaunów. – Ale późniejsze dochodzenie całkowicie oczyściło Grupę Kendricka. Firma podwykonawcza zainstalowała felerne przewody z fałszywym atestem.

–W zasadzie tak.

–Wtedy właśnie spakowaliście manatki, tak?

–To nie ma nic do rzeczy rzekł krótko kongresman. – Tracimy czas. Skoro już pan wie, kim jestem, a przynajmniej kim byłem, czy mogę się na coś przydać?

–Pozwoli pan, że zadam jeszcze jedno pytanie? Nie sądzę abyśmy tracili czas. Skrupulatny wywiad to nieodzowna czynność na tym terenie, zanim podejmie się decyzje. Poważnie traktuję to, co wcześniej powiedziałem. Sporo ludzi z Kapitolu próbuje przejechać się na naszym wózku, realizując swoje ambicje polityczne. – Proszę pytać.

–Dlaczego jest pan kongresmanem, panie Kendrick? Z pańskimi pieniędzmi i zawodową reputacją nie jest to panu potrzebne do szczęścia. Wprost nie mogę sobie

wyobrazić, co pan z tego ma, a z pewnością porównanie wypada na korzyść działalności w sektorze prywatnym. " Czyżby każdym, kto ubiega się o urząd kierowały wyłącznie korzyści osobiste?

–Nie, skądże znowu. – Swann przerwał i potrząsnął głową. Przepraszam, odpowiedziałem bez namysłu. To banalna odpowiedź na banalne, tendencyjne pytanie... Tak, panie pośle, sądzę, że większość ambitnych mężczyzn – i kobiet także – którzy ubiegają się o te zaszczytne urzędy robi to dla rozgłosu i, jeśli wygra, dla wpływów. W obu przypadkach to świetna reklama. Jeszcze raz przepraszam, przemawia przede mną cynizm. Ale siedzę w tym mieście kawał czasu i nie widzę powodu, by zmieniać swoją opinię. Ale pana nie mogę rozgryźć. Niby wiem, skąd pan jest, lecz pierwszy raz słyszę o dziewiątym okręgu Kolorado. Głowę daję, że nie obejmuje Denver. – Trudno go nawet znaleźć na mapie – powiedział Kendrick. Leży u podnóża południowozachodnich Gór Skalistych, z dala od zgiełku. Dlatego tam właśnie budowałem dom, na uboczu od głównych dróg.

–Ale po co? Po cóż panu polityka? Czyżby cudowne dziecko Emiratów Arabskich wykroiło sobie dystrykt na własną bazę, polityczną odskocznnię? Nic podobnego nawet nie przyszło mi do głowy. To stwierdzenie, a nie odpowiedź na moje pytanie, panie pośle. Evan Kendrick przez chwilę milczał, krzyżując wzrok ze Swannem, po czym wzruszył ramionami. Swann dostrzegł u niego objawy zakłopotania. – No dobrze – rzekł stanowczo. – Nazwijmy to aberracją, która się już nie powtórzy. Panoszył się tam próżny, bezczelny kongresman, który wypychał sobie portfel w obojętnym na podobne wybryki okręgu. Miałem dużo czasu i gębę nie od parady. Miałem też dość pieniędzy, żeby go wykończyć. Nie jestem wcale dumny z tego, co zrobiłem ani jak to zrobiłem, ale facet jest skończony, a ja się wycofam za dwa lata albo jeszcze wcześniej. Do tego czasu zdążę znaleźć kogoś bardziej kompetentnego na swoje miejsce.'

–Dwa lata? – spytał Swann. – W listopadzie upłynie rok od pańskiego wyboru, prawda?

–Tak.

–A obowiązki kongresmana podjął pan w styczniu?

–Więc?

–Z przykrością muszę więc wyprowadzić pana z błędu, ale pańska kadencja trwa dwa lata. Ma pan zatem jeszcze cały rok albo trzy lata, nie dwa czy mniej.

–W dziewiątym okręgu nie ma liczącej się opozycji, ale dla pewności, że mandat nie wróci do starej politycznej maszyny, zgodziłem się kandydować po raz drugi, a potem ustąpić.

–Ciekawy układ. Jeśli o mnie chodzi, zamierzam dotrzymać słowa. Chcę się wycofać.

–Jasne, ale chyba nie bierze pan pod uwagę możliwego skutku ubocznego?

–Nie.

–Przypuśćmy, że przed upływem tych dwudziestu kilku miesięcy dojdzie pan do wniosku, że dobrze tu panu. Co wtedy?

–To niemożliwe i tak się nie stanie, panie Swann. Wróćmy do Maskatu. Niezłe

zamieszanie, ale nie wiem, czy zostałem już dostatecznie "prześwietlony", żeby wypowiadać takie sądy?

– Jest pan przeświecony, i o to ja przeświecam. Zastępca dyrektora potrząsnął siwą głową. – Koszmarne zamieszanie, panie pośle, i w naszym przekonaniu sterowane z zewnątrz.

– Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości – zgodził się Kendrick.

– Ma pan jakieś pomysły?

– Kilka – odrzekł przybysz. Chodzi tam przede wszystkim o całkowitą destabilizację, zamknięcie kraju, niewpuszczanie obcych. – Zamach stanu? – spytał Swann. – Pucz w stylu Chomeiniego?... Ten numer nie przejdzie; zupełnie inna sytuacja. Nie ma tam zapiekłych resentymentów, nie ma SAVAK – Swann umilkł i po chwili dodał sentencjonalnie: – Nie ma ani szacha z armią złodziei, ani Ajatollaha z armią fanatyków, To nie to samo.

– Wcale tego nie sugerowałem. Oman to tylko początek. Ktokolwiek za tym stoi, nie chce przechwycić władzy w tym kraju; chce on – albo oni – zapobiec temu, żeby inni zgarnęli pieniądze. – Co? Jakie pieniądze?

– Miliardy. Zakrojone na wiele lat projekty na deskach kreślarskich w całej Zatoce Perskiej, Arabii Saudyjskiej i całej Południowej Azji, jedynych stabilnych regionach tej części świata. To, co się tam teraz dzieje ma podobny skutek do unieruchomienia naszego transportu i przedsięwzięć budowlanych albo zamknięcia portów w Nowym Jorku i Nowym Orleanie, Los Angeles i San Francisco. Niczego nie osiąga się drogą legalnych strajków ani sporów zbiorowych – tylko terrorem i groźbą dalszego terroru ze strony opętanych fanatyków. I wszystko staje. Ludzie z pracowni projektowych, eksperci z terenowych zespołów badawczych i personel kompleksów maszynowych – wszyscy tylko marzą, żeby uciec jak najprędzej. – I gdy już się wyniosą – dodał pośpiesznie Swann – zza pleców terrorystów wychodzą ich animatorzy i terror się kończy. Jakby nic się nie stało. Boże, toż to brzmi jak desant mafii! "

– W stylu arabskim – rzekł Kendrick. – By użyć pańskich słów, nie pierwszy to raz.

– Miał już z tym pan do czynienia?

– Tak. Naszej firmie grożono wielokrotnie, ale powtórzę znów za panem, mieliśmy naszą tajną broń: Emmanuela Weingrassa.

– Weingrass? A cóż u diabła on mógł zdziałać?

– Kłamać; z niesamowitym wprost przekonaniem] Raz był generałem armii izraelskiej w stanie spoczynku, zdolnym spowodować nalot bombowy na każde ugrupowanie arabskie, które weszłoby nam w drogę lub nas zastąpiło, innym znów razem stawał się wysokiej rangi agentem Mosadu, gotowym nasłać szwadrony śmierci i zlikwidować nawet tych, co nas ostrzegali. Jak wielu podstarzałych geniuszy, Manny przejawiał skłonność do dziwactw i lubował się w teatralnych gestach. Świetnie się przy tym bawił, czego niestety nie można powiedzieć o jego żonach. Jednym słowem, nikt nie chciał zadzierać ze zwariowanym Izraelczykiem. Taktyka była nazbyt znajoma.

– Sugeruje pan abyśmy go zwerbowali? spytał zastępca dyrektora.

– Nie. Wiek już nie ten, a poza tym woli na stare lata przebywać w Paryżu z

najpiękniejszymi kobietami, na jakie go stać, a już na pewno popijać najdroższy koniak, jaki może znaleźć. Nie pomógłby... Ale jest coś, co możecie zrobić.

–Co mianowicie?

–Niech pan posłucha. – Kendrick pochylił się do przodu. – Myślałem o tym przez ostatnie osiem godzin i z każdą godziną jestem coraz bardziej przekonany, że jest to właściwy trop. Problem polega na tym, że jest tak mało faktów, w istocie prawie żadnych, ale mamy pewien schemat i to zgodny z tym, co słyszeliśmy pięć lat temu.

– Z czym? Jaki schemat?

–Zaczęło się od pogłosek, potem przyszły groźby, całkiem poważne. Nikomu nie było do śmiechu.

–Niech pan mówi. Słucham.

–Oddalając te groźby swoimi sposobami, zazwyczaj za pomocą zakazanej przez islam whisky, Weingrass usłyszał coś, co brzmiało na tyle rozsądnie, że nie zasługiwało na zbycie jako pijacki bełkot. Powiedziano mu, że po cichu powstaje konsorcjum czy przemysłowy kartel, jak pan woli, który dyskretnie przechwytuje kontrolę nad tuzinami różnych przedsiębiorstw i powiększa majątek w personelu, technologii i sprzęcie. Cel był wówczas oczywisty, a jeśli informacje te są prawdziwe, jeszcze bardziej oczywisty stał się teraz. Zamierzają podporządkować sobie rozwój przemysłu na Bliskim Wschodzie. Z tego, co zasłyszał Weingrass, podziemne zrzeszenie miało swą bazę w Bahrajnie i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie szokująca wieść, z której Manny boki zrywał, że w tajnym zarządzie konsorcjum zasiada człowiek, posługujący się imieniem "Mahdi", jak ten muzułmański fanatyk, który sto lat wcześniej wyrzucił Anglików z Chartumu.

–Mahdi? Z Chartumu?

–Właśnie tak. Symbol jest:nader wymowny. Z tym jednak wyjątkiem, że ten nowy Mahdi ma głęboko w nosie islam, a jeszcze głębiej jego wrzaskliwych fanatyków. Wykorzystuje ich" by zniszczyć konkurencję i zatrzymać ją poza granicami regionu. Chce, żeby kontrakty i zyski pozostały w rękach arabskich, a dokładniej – w jego rękach. – Chwileczkę – przerwał z namysłem Swann, podnosząc słuchawkę i naciskając guzik na konsoli. – To się wiąże z wczorajszym raportem MI-6 z Maskatu – wyjaśnił pośpiesznie, patrząc na Kendricka. – Nie poszliśmy tym tropem, bo urywa się on wraz z raportem, żadnych śladów, ale sam tekst robi piorunujące wrażenie... Proszę mnie połączyć z Geraldem Brycent... Halo, Jeny? Wczoraj w nocy, a właściwie dziś około drugiej nad ranem, dostaliśmy zerozero od Angoli w sprawie OHIO. Chciałbym, żebyś to znalazł i odczytał mi wolniutko, bo będę zapisywał każde słowo. – Dyrektor przykrył ręką słuchawkę i rozmawiał z gościem, którego zainteresowanie gwałtownie wzrosło. – Jeśli to, co pan mówi ma jakiś sens, być może natrafiliśmy na pierwszy konkretny ślad w tej sprawie.

–Dlatego tu jestem, panie Swann, prawdopodobnie cuchnąc wędzoną rybą. Zastępca dyrektora skinął odruchowo głową, czekając z niecierpliwością, aż człowiek nazwiskiem Bryce wróci do telefonu. Prysznic by panu nie zaszkodził, panie pośle... Tak, Gerry, czytaj!... "Nie szukajcie tam, gdzie podpowiada wam logika. Szukajcie gdzie indziej." Tak, zapisałem. Pamiętam to. Chyba następne zdanie... "Tam, gdzie

żałów nie zrodziła bieda ani zacofanie." O to chodzi! I jeszcze coś koło tego... "Tam, gdzie Allah nie skąpił łask na tym świecie, choć może nie na drugim..."... Tak. A teraz przejdź trochę niżej, zapamiętałem tylko, że było coś o szeptach... O! Właśnie. Jeszcze raz... "Szepty mówią o tych, co skorzystają z rozlewu krwi." Dobra, Jeny, to mi wystarczy. Reszta była nieistotna, o ile sobie przypominam. Żadnych nazwisk, organizacji, bełkot... Tak myślałem... Jeszcze nie wiem. Jak tylko coś znajdziemy, pierwszy się o tym dowiesz. Tymczasem posmaruj maszyny i zrób mi wydruk z listą wszystkich firm budowlanych w Bahrajnie. I jeśli są dane o tym, co nazywamy "przedsiębiorstwami ogólnoprzemysłowymi, chciałbym również dostać ich listę... Na kiedy? Na wczoraj, do licha! – Swann odwiesił słuchawkę, spojrzał najpierw na zapisany tekst, potem na Kendricka.,

–Słyszał pan te słowa, panie Kendrick. Czy mam powtórzyć? – Nie ma potrzeby. Nie są one czasem kalamfaregh?

–Nic z tych rzeczy. Żadnych bredni. Wszystko się zgadza i nie wiadomo tylko, co z tym fantem teraz robić.

–Zwerbować mnie, panie Swann – rzekł kongresman. – Niech mnie pan wyśle do Maskatu najszybciej jak się tylko da.

–Dlaczego? – spytał dyrektor, obserwując przybysza, – co takiego może dokonać czego nie potrafią nasi doświadczeni ludzie w terenie? Nie tylko mówią płynnie po arabsku, większość z nich to Arabowie.

–Którzy pracują dla Operacji Konsularnych – dokończył Kendrick.

–No to co?

–Są naznaczeni. Byli naznaczeni już pięć lat temu i pozostali do dzisiejszego dnia. Wystarczy jeden nierozważny ruch z ich Strony, a obciąży was tuzin egzekucji.

–To dość niepokojące stwierdzenie – rzekł powoli Swann, zwięzionymi oczami wpatrując się w twarz gościa. – Naznaczeni? Mógłby pan wyjaśnić?

–Wspomniałem kilka minut temu, że nazwa waszego OPKON była tam przez pewien krótki okres popularnym słowem. Oskarżył mnie pan pochopnie o dyskutowanie zakulisowych pogłosek z Kongresu, ale nic z tych rzeczy. Mówiłem prawdę.

–Popularnym słowem?

–Powieм więcej, jeśli pan pozwoli. Była obiegowym dowcipem. Pewien były inżynier armii i Manny Weingrass wycieli wam nawet niezły numer.

–Numer...?

–Na pewno macie to w kartotekach. Zgłosili się do nas ludzie Husseina z zamówieniem planów nowego lotniska, gdy zakończyliśmy budowę podobnego obiektu w Kafarze w Arabii Saudyjskiej. Nazajutrz odwiedziło nas dwóch waszych pracowników zainteresowanych szczegółami technicznymi projektu, podkreślając z naciskiem, że jako Amerykanie mamy obowiązek przekazywać takie informacje, ponieważ Hussein często naradzał się z Sowietami, co oczywiście nie miało żadnego znaczenia. Lotnisko jest lotniskiem i każdy idiota rozpracuje konfigurację pasów, przelatując nad terenem budowy,

–A co to za numer?

–Manny i ten inżynier powiedzieli im, że dwa główne pasy startowe mają dziesięć kilometrów długości, co niewątpliwie wskazuje na bardzo szczególne jednostki powietrzne. Faceci wybiegli z biura jakby pogonił ich nagły atak sraczkii.

–No i? – Swann pochylił się do przodu.

–Następnego dnia zadzwonili ludzie Husseina i kazali nam zapomnieć o całym przedsięwzięciu. Wszak byli u nas goście z Operacji Konsularnych. To im się nie podobało. Zastępca dyrektora z powrotem odchylił się do tyłu ze znużonym uśmiechem. Czasem wszystkie wysiłki wydają się głupie. Tym razem nie są takie głupie – pocieszył go Kendrick. – Nie, jasne, że nie. – Swann raptownie wyprostował się. – A więc pan uważa, że w tej całej przeklętej aferze chodzi tylko o forszę. Parszywą forszę!

–Jeśli się tego nie powstrzyma, sprawy przybiorą gorszy obrót – rzekł Kendrick. – Dużo gorszy.

–Jaki, do diabła?

–Bo jest to sprawdzony schemat ekspansji gospodarczej. Kiedy już opanują rząd w Omanie, zastosują podobną taktykę gdzieindziej. W kolejce stoją Emiraty, Bahrajn, Katar, a nawet Saudyjczycy. Ten, kto kontroluje fanatyków, dostaje kontrakty, a przy tak rozległych operacjach podległych jednemu podmiotowi choćby posługiwał się wieloma nazwami – powstaje niebezpieczna siła polityczna, która połknie coraz więcej smakowitych kąsków w tym regionie, na co z pewnością nie możemy sobie pozwolić.

–Wielki Boże, przemyślał pan wszystko w szczegółach.

–Nic innego nie robiłem przez ostatnie osiem godzin.

–Powiedzmy, że wyślę tam pana, co mógłby pan zrobić?

–Nie będę wiedział, dopóki tam nie pojedę, ale mam parę pomysłów. Znam garstkę wpływowych osób, wysoko postawionych Omańczyków, którzy wiedzą, co się dzieje i sami nigdy nie dadzą się porwać temu szaleństwu. Z różnych powodów – nie wyłączając tej samej nieufności, jaką my żywiliśmy wobec waszych niezguł OPKON – nie będą zapewne skłonni do rozmów z obcymi, lecz mnie nie powinni się krępować. Mają do mnie zaufanie. Spędziłem całe dni i weekendy z ich rodzinami. Znam ich żony z odkrytymi twarzami i dzieci...

–Żony z odkrytymi twarzami i dzieci – przerwał powtarzając Swann. – Najwyższy szorbet w słowniku arabskim. Kwintesencja przyjaźni.

–Doborowy zestaw składników – zgodził się kongresman z Kolorado. – Będą współpracowali ze mną, wam poszłoby chyba gorzej. Mam znajomości wśród portowych dostawców i urzędników biur załadunkowych, a nawet ludzi unikających wszelkiej oficjalności, bo żyją z tego, czego oficjalnie nie można dostać. Chcę pójść tropem pieniędzy i instrukcji, które z tymi pieniędzmi przychodzą, by w końcu wylądować w ambasadzie. Ktoś gdzieś wysyła jedno i drugie.

–Dostawców? – spytał Swann pełnym niedowierzania głosem i uniósł brwi. Ma pan na myśli żywność i lekarstwa, takie rzeczy? – To tylko...

–Czy pan zwariował? – wykrzyknął zastępca dyrektora. – Ci zakładnicy to przecież nasi ludzie! Otworzyliśmy magazyny, mają tam wszystko, czego chcą,

wszystko czego można im dostarczyć! – Amunicję, broń i części zamienne do uzbrojenia też?

–Jasne, że nie!

–Z tego, co zdążyłem przeczytać z gazet, które wpadły mi w ręce w Flagstaff i Phoenix wynika, że co noc w el Maghreb trwają cztero czy pięciogodzinne fajerwerki – tysiące wystrzelonych naboju, całe sekcje ambasady podziurawione ogniem z karabinów i pistoletów maszynowych.

–Na tym między innymi polega ich przeklęty terror! – wybuchł Swann. – Czy wyobraża sobie pan, co przeżywają nasi ludzie w środku? Siedzi pan. w rzędku pod ścianą, reflektory świecą panu w twarz wszystko dokoła sypie się pod gradem kul i myśli pan tylko o jednym: "Boże, mogą mnie zabić w każdej sekundzie"! Jeśli kiedykolwiek] uda nam się wyciągnąć stamtąd tych biedaków, całe lata przesiedzą na kanapie u psychiatrów dręczeni koszmarami! Kendrick spokojnie przeczekał wybuch gospodarza. – Ci narwańcy nie mają tam wszakże arsenału, panie Swann. Nie sądzę, aby ich zwierzchnicy na to pozwolili. A więc polegają na dostawach. Tą samą drogą dostają powielacze, bo przecież nie potrafią obsługiwać: waszych kopiarek i edytorów tekstu, żeby sporządzić codzienne biuletyny pokazywane przed kamerami telewizji. Niech pan zrozumie. Może jeden na dwudziestu z tych szaleńców ma odrobinę intelektu, znacznie trudniej jednak doszukać się u nich przemyślanej ideologii. Są manipulowanymi wyrzutkami społecznymi, którym raz nadarzyła się okazja, by wyjść ze swoją histerią na światło dzienne. Może to nasza wina, nie wiem, wiem jednak tak jak i pan, że są zaprogramowani. A za ich plecami stoi człowiek, który chce podporządkować sobie cały Bliski Wschód.

–TenMahdi?

–Imię nie ma znaczenia.

–Sądzi pan, że uda się panu go odnaleźć?

–Będę potrzebował pomocy. Transportu z lotniska, arabskiego stroju; sporządzą listę. Zastępca dyrektora znów odchylił się do tyłu i drapał się po brodzie. – Dlaczego, panie pośle? Dlaczego panu na tym zależy? Dlaczego multimilioner Evan Kendrick chce ryzykować swoje bardzo dostatnie życie? Przecież tam już nic dla pana nie zostało. Dlaczego?

–Odpowiem panu najprościej i najuczciwiej: dlatego, że mógłbym pomóc. Jak pan sam zaznaczył, zarobiłem tam sporo pieniędzy. Może nadeszła właśnie pora, bym dał co nieco z siebie w zamian. – Gdyby chodziło tylko o pieniądze lub "co nieco" z siebie, nie łamałbym sobie głowy – rzekł Swann. – Ale jeśli pozwolę panu jechać, wdepnie pan napole minowe bez saperskiego przygotowania. Czy zdaje sobie pan z tego sprawę, panie pośle? Powinien pan się zastanowić.

–Nie zamierzam szturmować ambasady – odparł Evan Kendrick. – Nie musi pan. Wystarczy, że, zada pan niewłaściwej osobie niewłaściwe pytanie, a skutek będzie ten sam.

–Mógłbym też jechać taksówką dziś w południe i na skrzyżowaniu Dwudziestej Trzeciej z Virginia Avenue mieć wypadek.

–Domyślam się, że właśnie tak było.

–Szkopuł w tym, że nie ja prowadziłem auto. Jechałem jako pasażer. Jestem ostrożny, panie Swann, a w Maskacie umiem znaleźć bezkolizyjną trasę, co jest znacznie łatwiejsze niż w Waszyngtonie. – Służył pan w wojsku?

–Nie.

–Chyba był pan w wieku poborowym podczas wojny wietnamskiej. Jak pan to wyjaśni?

–Dostałem odroczenie, bo kontynuowałem naukę. Udało mi się. – Ma pan doświadczenie z bronią?

–Nader ograniczone.

–Co oznacza, że wie pan, gdzie jest spust i którą stroną celować. – Powiedziałem ograniczone, a nie debilne. Przez pierwsze lata pracy w Emiratach chodziliśmy na budowach uzbrojeni. Zdarzało się, że później też.

–A zrobił pan kiedyś z tego użytek? – naciskał zastępca dyrektora. – Owszem – odparł Kendrick spokojnym tonem, nie zbity z tropu. Żeby się dowiedzieć, gdzie jest spust i którą stroną celować. – Bardzo zabawne, ale chodziło mi o to, czy był pan choć raz zmuszony strzelić do człowieka?

–Czy to konieczne?

–Tak. Muszę podjąć decyzję.

–A więc dobrze: tak, strzelałem do człowieka.

–Kiedy to się stało? Sugeruje pan mylnie, że tylko raz – sprostował kongresman. Wśród moich partnerów i naszej amerykańskiej ekipy był geolog, zaopatrzeniowiec, i kilku odrzutków z korpusu wojsk inżynieryjnych w charakterze brygadystów. Często organizowaliśmy wyprawy na potencjalne place budowy, żeby przeprowadzić testy gleby i łupków oraz ogrodzić składy maszyn. Jeździliśmy samochodem z naczepą mieszkalną i kilkakrotnie zaatakowali nas bandyci, wędrujące gangi nomadów czyhających na łup z dala od uczęszczanych szlaków. Od lat są utrapieniem podróżnych, toteż władze ostrzegają każdego, kto zamierza zapuścić się w głąbinterioru, by miał się na baczności. Prawie tak jak we wszystkich większych miastach u nas. Wtedy zmuszony byłem używać broni.

–Do odstraszenia czy zabijania, panie Kendrick?

–Najczęściej do odstraszenia intruzów. Ale bywało i tak, że musieliśmy zabijać, bo nas chcieli zabić. Każdy taki incydent zgłaszaliśmy władzom. Rozumiem – rzekł zastępca dyrektora Wydziału Operacji Konsularnych. – A jak u pana z kondycją? Gość pokiwał głową z rezygnacją. – Zdarza mi się zapalić cygaro albo papierosa po posiłku, panie doktorze; alkoholu nie nadużywam. Nie uprawiam też podnoszenia ciężarów ani biegów maratońskich. Natomiast pływam kajakiem po wodach górskich piątego stopnia trudności i chodzę z plecakiem po górach, kiedy tylko mogę. A poza tym sądzę, że ten wywiad to pieprzenie w bambus.

–Niech pan sądzi, co pan chce, panie Kendrick, ale czas nagli. Proste, bezpośrednio pytania mogą pomóc nam ocenić człowieka równie dokładnie jak uczone raporty psychiatryczne z naszych klinik w Wirginii.

–Słabych macie psychiatrów.

–Od pana się wszystkiego dowiem – rzekł Swann z wrogim uśmiechem.

–A może ja się wreszcie czegoś dowiem od pana – ripostował przybysz. – Pańska gra w dwadzieścia pytań już mi się znudziła. Jadę czy nie jadę, a jeśli nie, to dlaczego? Swann podniósł wzrok. – Jedzie pan, panie kongresmanie. Nie dlatego bynajmniej, że to dla mnie najlepszy wybór, lecz dlatego, że nie mam żadnego wyboru. Spróbuję wszystkiego, łącznie z aroganckim skurczybykiem, który prawdopodobnie ukrywa się pod tą prostolinijną maską.

–Prawdopodobnie ma pan rację – powiedział Kendrick. – Czy mógłbym dostać od pana wszelkie zebrane dotąd informacje? – Dostanie je pan przed samym odlotem z bazy Sił Powietrznych Andrews. Ale nie mogą one opuścić tego samolotu, panie pośle, i nie wolno panu sporządzać żadnych notatek. Będzie pan pod obserwacją.

–Jasne.

–Na pewno? Damy panu wszelką głęboko zakonspirowaną pomoc, na jaką pozwalają ograniczenia regulaminowe, lecz pozostaje pan nadal prywatną osobą działającą na własną rękę, choć nie zapominam o pańskiej pozycji politycznej. Krótko mówiąc, jeśli wpadnie pan w ręce wrogich elementów, nie znamy pana. Nie będziemy w stanie udzielić panu wówczas żadnej pomocy. Nie narazimy na śmierć dwustu trzydziestu sześciu zakładników. Czy to też jest jasne?

–Owszem, wszystko zgadza się bowiem co do joty z tym, co wyraźnie zazaczyłem na początku naszej rozmowy. Żądam pisemnej gwarancji anonimowości. Nigdy mnie tu nie było. Nigdy pana nie widziałem ani z panem nie rozmawiałem. Proszę wysłać wiadomość do sekretarza stanu, w której napisze pan, że telefonował do pana mój stronnik polityczny z Kolorado, który podał panu moje nazwisko i poradził, że z moją wiedzą mogę okazać się przydatny. Pan odrzucił tę sugestię, sądząc, iż kolejny polityk chce się przejechać na wózku Departamentu Stanu; przyjdzie to panu łatwo. – Kendrick wyciągnął z kieszeni bluzy notatnik i sięgnął po ołówek Swanna. – Tu ma pan adres mojego adwokata w Waszyngtonie. Niech pan doręczy mu kopię przez posłańca zanim wsiądę do samolotu w Andrews. Gdy tylko mnie zawiadomi, że dostał papier do ręki, wejdę na pokład.

–Nasz wspólny cel jest tak jasny i czysty, że powinienem sobie tylko pogratulować – rzekł Swann. – Czemu więc tego nie robię? Czemu wciąż mi się wydaje, że czegoś mi pan nie mówi?

–Bo jest pan podejrzliwy z natury i z racji wykonywanej profesji. Inaczej nie siedziałby pan na tym stołku.

–Ta anonimowość, której się pan tak uporczywie domaga... – Pan też, jak zdążyłem zauważyć – wtrącił Kendrick.

–Nie kryłem powodów. Stawką jest życie dwustu trzydziestu sześciu ludzi. Nie mamy zamiaru nikogo sprowokować do pociągnięcia za spust. Pan natomiast, jeśli pana nie zabiją, ma wiele do zyskania. Czemuż więc panu tak zależy na anonimowości?

–Z podobnych przyczyn, co panu – odparł gość. – Z wieloma mieszkańcami całego regionu łączą mnie przyjacielskie stosunki. Stale je podtrzymuję; korespondujemy, oni często mnie odwiedzają – nasze związki nie są tajemnicą. Gdyby moje nazwisko wyszło na jaw, znajdą się fanatycy gotowi do jaremat thazr.

–Kara za przyjaźń – przetłumaczył Swann.

–Klimat temu sprzyja – dorzucił Kendrick.

–Może to i dobry powód – rzekł zastępca dyrektora niezbyt przekonany. – Kiedy chce pan wyjechać?

–Jak najprędzej. Tu nie ma już nic do załatwienia. Złapię taksówkę i pojedę do domu się przebrać...

–Żadnych taksówek, panie pośle. Od tej chwili aż do lądowania w Maskacie traktujemy pana jako rządowego łącznika pod ochroną; poleci pan wojskowym transportem lotniczym. Póki co, jest pan pod nadzorem. – Swann podniósł słuchawkę. – Pójdzie pan pod eskortą na podjazd, skąd nie oznaczony samochód odwiezie pana do domu, a potem do bazy Andrews. Przez następnych dwanaście godzin będzie pan własnością rządu i będzie pan robił to, co panu każemy.

Evan Kendrick siedział na tylnym siedzeniu nie oznaczonego samochodu Departamentu Stanu i patrzył przez okno na bujną zieleń nad brzegami Potamaku. Niebawem szofer zjedzie na lewo w długi, zadrzewiony korytarz przecinający wirginijskie lasy, pięć minut od jego domu. Odosobnionego domu, pomyślał, bardzo samotnego domu, mimo mieszkającej w nim pary starych przyjaciół oraz dyskretnej, acz nie przesadnie licznej procesji Czarujących kobiet, z którymi dzielił łożę i z którymi też się przyjaźnił.± Cztery lata i nic stałego. Stałość oddalona była dla niego o pół świata i polegała na konieczności ciągłego przenoszenia się z jednego placu budowy na drugi, znajdowania najlepszych kwater dla wszystkich i zapewniania najlepszych nauczycieli dzieciom wspólników – dzieciom, o których niekiedy myślał jak o własnych. Ale sam nigdy nie miał czasu na małżeństwo i dzieci; pomysły były jego żonami, projekty potomstwem. Może właśnie dlatego sprawdzał się jako szef; nie rozpraszały go obowiązki domowe. Kobiety, z którymi sypiał, też w większości nie szukały stałego oparcia. Tak jak i on zadowalały się chwilową dawką rozkoszy; wygodą przelotnych romansów, lecz słowemwytrychem był przymiotnik "chwilowy". A przecież w tych cudownych latach udzielało mu się podniecenie i śmiech, przeżywał godziny niepokoju i chwile uniesienia, gdy skończony projekt przechodził najśmielsze oczekiwania. Budowali imperium – owszem, niewielkie – lecz z czasem miało urosnąć i wedle zapewnień Weingrassa dzieci pracowników Grupy Kendricka miały kształcić się w najlepszych szkołach Szwajcarii, odległych tylko o kilka godzin lotu. "Staną się międzynarodowym klubem menschów! – grzmiał Manny. – Z takim wspaniałym wykształceniem i znajomością języków. Hodujemy tu szczerp najlepszych polityków od czasów Disraelego i Goldy!"

–Wujciu Manny, możemy iść na ryby? – domagał się niezmiennie rzecznik podekscytowanej młodzieży.

–No pewnie, David – jakież to wspaniałe imię. Rzeka jest tylko kilka kilometrów dalej. Wszyscy złowimy wieloryby, daję wam słowo!

–Manny, daj spokój – protestowała wówczas któraś z matek. Mają zadania domowe.

–Czyli, jak sama nazwa wskazuje, odrobnią je w domu. A wieloryby są w rzece! Tak właśnie wyglądała stabilizacja Evana Kendricka. Aż nagle wszystko legło w gruzach,

tysiące rozbitych lusterek w słońcu, z których każdy krwawy odłamek odbijał fragment obrazu cudownej rzeczywistości i nie spełnionych nadziei. Wszystkie zwierciadła naraz poczerniały, przestały odbijać cokolwiek. Śmierć.

–Nie rób tego! – krzyczał Emmanuel Weingrass. – Rozpaczam tak samo jak ty. Ale czy ty nie rozumiesz, że o to im właśnie chodzi, dokładnie tego oczekują? Nie daj im nie daj jemu – tej satysfakcji! Walcz z nimi, walcz z nim! Będę walczył razem z tobą. Pokaż, na co cię stać, chłopcze!

–Dla kogo, Manny? Przeciwno komu?

–Wiesz równie dobrze jak ja! Jesteśmy pierwsi; za nami pójdą inni. Inne "wypadki", zabici najbliżsi, przerwane projekty. Pozwolisz na to?

–Nic mnie to już nie obchodzi.

–Więc pozwolisz mu wygrać?

–Komu?

–Mahdiemu!

–Pijacki bełkot, nic więcej.

–To jego robota! On ich zabił! Wiem o tym!

–Nic tu już dla mnie nie ma, stary przyjacielu, i nie potrafię gonić cieni. Koniec zabawy. Daj sobie z tym spokój, Manny, przy mnie zarobisz kupę forsy.

–Nie chcę twoich tchórzowskich pieniędzy!

–Nie weźmiesz ode mnie forsy?

–Jasne, że wezmę. Ale już cię nie Kocham. Potem cztery lata rozterek, daremności i nudy, wyczekiwania ciepłych powiewów miłości albo zimnych wiatrów nienawiści, które roznieciłyby tłące się w nim węgielki. Powtarzał sobie w kółko, że gdy wreszcie buchnie płomień, nieważne z jakiego powodu, wówczas nadejdzie odpowiednia pora i będzie gotów. Stało się tak właśnie teraz i nikt go już nie zdoła powstrzymać.

Nienawiść. Mahdi. Zabiłeś moich najbliższych przyjaciół, tak jakbyś własnymi rękami zainstalował ten gazociąg. Musiałem zidentyfikować tak wiele ciał; połamanych, zniekształconych, broczących krwią ciał ludzi, którzy tak wiele dla mnie znaczyli.

Nienawiść pozostaje, głęboka, zimna i nie odejdzie ani nie pozwoli mi żyć, dopóki ty żyjesz. Muszę wrócić i poskładać na nowo wszystkie odłamki, być znowu sobą idokończyć to, cośmy wszyscy razem budowali. Manny miał rację. Uciekłem, usprawiedliwiając się bólem, zapominając o naszych wspólnych marzeniach. Wrócę i dokończę dzieła teraz. Dopadnę cię, Mahdi, kimkolwiek i gdziekolwiek jesteś. I nikt nie dowie się, że tam byłem.

–Proszę pana, jesteśmy na miejscu.

–Proszę?

–To pański dom – oznajmił szofer. – Chyba uciał pan sobie drzemkę, ale musimy trzymać się harmonogramu.

–Nie spałem, kapralu, ale ma pan świętą rację. – Kendrick chwycił za klamkę i otworzył drzwi. – Nie zajmie mi to więcej niż dwadzieścia minut... Może pan wejdzie? Gospościa robi panu tymczasem coś do jedzenia albo filiżankę kawy.

–Za nic nie wyjdę z tego auta, proszę pana.

–Dlaczego? Pan pracuje z OHIO. Dostałbym najpewniej kulę w łeb. Evan Kendrick

odwrócił się ze zdumieniem w połowie drogi do drzwi i spojrzął za siebie. Na końcu ulicy, pustej, gęsto zadrzewionej alei bez ani jednego domu stało zaparkowane przy chodniku samotne auto. W środku na przedniej kanapie siedziały nieruchomo dwie postacie. Przez następnych dwanaście godzin będzie pan własnością rządu i będzie pan robił to, co panu każemy. Sylwetka mężczyzny przemknęła do wnętrza ciemnego pokoju bez okien. Zamknąwszy drzwi, postać podeszła w ciemności do stolika z małą, mosiężną lampką. Mężczyzna włączył ją i przeszedł od razu do sprzętu znajdującego się pod prawą ścianą. Usiadł przed komputerem, naciśnięciem wyłącznika ożywił monitor i wystukał hasło. **DOKUMENT MAKSYMALNIE ZABEZPIECZONY PODŁĄCZEŃ ZEWNĘTRZNYCH BRAK MOŻNA PISAĆ** Kontynuował dziennik drżącymi z emocji palcami. Wszystko zostało uruchomione. Człowiek jest w drodze, podróż się rozpoczęła. Nie potrafię oczywiście przewidzieć przeszkód, jakie napotka, a tym bardziej powodzenia czy klęski. Wiem tylko dzięki moim nader skomplikowanym "przyrządom", że ma nadzwyczajne predyspozycje. Kiedyś będziemy w stanie z większą precyzją uwzględnić czynnik ludzki, ale dzień ten jest wciąż przed nami. Niemniej jednak, jeśli przetrwa, uderzy piorun; moje prognozy wskazują na to wyraźnie na podstawie setki różnych, pomyślnie zakodowanych wariantów. Wąski krąg wtajemniczonych osobistości został ostrzeżony za pomocą superbezpiecznej komunikacji• modemowej. Dziecinna igraszka dla moich przyrządów.

* * *

Rozdział 3

Lot z Andrews do bazy Sił Powietrznych USA na Sycylii miał trwać przeszło siedem godzin. Lądowanie zaplanowano na piątą rano czasu rzymskiego, czyli ósmą w oddalonym o cztery do pięciu godzin Omanie, zależnie od siły śródziemnomorskich wiatrów i dostępności bezpiecznych korytarzy. Start wojskowego odrzutowca, zmodyfikowanej Deltę F106 z kabiną wyposażoną między innymi w dwa przylegające do siebie tylne siedzenia ze stolikami, które służyły zarówno jako miniaturowe biurka jak i blaty na jedzenie i picie odbył się gładko. Na suficie umieszczono lampki z regulowanym kątem, pozwalające pogrążonym w lekturze pasażerom kierować ostrą wiązkę światła na wybrane fragmenty tekstów czy fotografii lub map. Siedzący na lewym miejscu mężczyzna wydzielał Kendrickowi pojedyncze strony kartoteki OHIO CzteryZero, podając kolejny dokument dopiero po otrzymaniu z powrotem poprzedniego. W ciągu dwóch godzin i dwunastu minut Evan przejrzał całość. Zabierał się do powtórnej lektury, gdy młody człowiek po lewej stronie, przystojny, ciemnooki członek grupy operacyjnej OHIO CzteryZero, który przedstawił się po prostu jako doradca Departamentu Stanu, powstrzymał go uniesioną w górę ręką.

–Czy nie moglibyśmy zrobić sobie przerwy i czegoś przekąsić, proszę pana? – spytał.

–Przerwy? Ależ tak. – Kendrick wyciągnął się na fotelu, – Szczerze mówiąc, nie znalazłem w tych papierach zbyt wielu przydatnych rzeczy.

–Nie spodziewałem się wcale, że pan znajdzie – odrzekł prostolinijny młodzieniec.

Evan spojrzął na towarzysza podróży i pierwszy raz bacznie mu się przyjrzał. – Przepraszam, nie chciałbym bynajmniej pana urazić, proszę mi wierzyć, ale jak na tak zakonspirowaną operację Departamentu Stanu wydaje mi się pan dość młody.

Wygląda pan na dwadzieścia kilka lat

–Coś koło tego – odparł doradca. – Ale jestem dobry w tym, co robię.

–To znaczy?

–Przykro mi, ale nie zaspokoję pańskiej ciekawości – powiedział współpasażer. –

Zjemy coś? Lot potrwa długo.

–Może zaczniemy od drinka?

–Mamy specjalne zaopatrzenie dla cywilów. – Ciemnowłosa i ciemnooki młodzian uśmiechnął się i przywołał stewarda Sił Powietrznych, kaprała siedzącego z tyłu twarzą do ogona; steward wstał i podszedł do nich. – Lampkę białego wina i kanadyjską whisky z lodem proszę.

–Kanadyjską...

–To pański ulubiony trunek, prawda?

–Nie próżnował pan.

–Nigdy nie próżnujemy. – Doradca skinął na stewarda, który natychmiast oddalił się do ciasnej kuchenki. – Niestety menu mamy ustalone i standardowe – ciągnął młody człowiek z OHIO – zgodne z cięciami w budżecie Pentagonu... a także siłą przebicia lobbystów z przemysłu mięsnego i warzywnego. Filet mignon ze szparagami hollandskimi i gotowanymi ziemniakami. Mocne cięcia.

–Mocni lobbyści – dorzucił z uśmiechem towarzysz Evana. – Na deser pieczona Alaska.

–Co?

–Niech pan nie zapomina o mleczarzach. – Steward podał drinki, po czym wrócił do telefonu w tylnej części kadłuba, gdzie zaświeciło się białe światło. Doradca uniósł kieliszek. Pańskie zdrowie. – Pańskie również. Ma pan jakieś imię?

–Wybór należy do pana.

–Krótko i zwięźle. Zgodzi się pan na Joe?

–Jestem Joe. Miło mi pana poznać.

–Jako że znasz moje dane, masz nade mną przewagę. Możesz posługiwać się moim imieniem i nazwiskiem.

–Nie podczas tego lotu.

–Kim wobec tego jestem?

–W oficjalnych raportach figuruje pan jako kryptoanalityk Axelrod przetrzucany do ambasady w saudyjskim mieście Dżudda. Nazwisko nie ma większego znaczenia prócz wpisu W dzienniku pokładowym pilota. W razie potrzeby nasi ludzie będą używali zwrotu "proszę pana". Nazwiska są zbędnym balastem w takich podróżach. – Doktorze Axelrod? – wtrącił się kapral, wprowadzając doradcę Departamentu Stanu w blade osłupienie.

–Doktorze? – zareagował nieco zaskoczony Evan, patrząc na "Joe'go".

–Jest pan naturalnie doktorem – odburknął doradca.

–Bardzo mi miło – szepnął Kendrick i spojrzął na stewarda. Słucham?

–Pilot chciałby z panem porozmawiać. Czy byłby pan łaskaw przejść ze mną do przedziału załogi, proszę pana?

–Oczywiście – zgodził się Evan i oddawszy swój drink "Joe'mu", odsunął stoliczek. – W jednym przynajmniej miałeś rację, juniorze – mruknął do faceta z Departamentu Stanu. – Rzeczywiście powiedział "proszę pana".

–I wcale mi się to nie podoba – włączył się "Joe" cicho, ale zawzięcie. – Wszelkie kontakty z panem mają odbywać się za moim pośrednictwem.

–Chcesz zrobić tu scenę?

–Sram na to. Zwykła zawiść. Pilot chce z bliska zobaczyć swój specjalny ładunek.

–Co zobaczyć?

–Mniejsza z tym, doktorze Axelrod. Niech pan tylko pamięta, że wszystkie decyzje muszą uzyskać moją zgodę.

–Twardy z ciebie chłopak.

–Najtwardszy, panie kongres... doktorze Axelrod. Poza tym nie jestem Juniorem", przynajmniej nie w sprawach, które pana dotyczą. – Czy mam przekazać pańskie odczucia pilotowi?

–Może mu pan powiedzieć, że obetnę mu oba skrzydła i oba jaja, jeżeli jeszcze raz zrobi mi taki numer.

–Wszedłem na pokład ostatni, więc nie miałem okazji go poznać, ale jak sądzę, jest generałembrigadierem.

–Dla mnie jest generałembrigadierem.

–Wielki Boże – rzekł Kendrick z chichotem. – Rywalizacja między służbami na wysokości dwunastu tysięcy metrów. Niezbyt mi się to podoba.

–Proszę pana? – niepokoił się steward Sił Powietrznych.

–Już idę, kapralu. Ciasny przedział załogi Delt F106 jarzył się mnóstwem maleńkich zielonych i czerwonych lampek, zegarów i cyfr. Pilot i drugi pilot siedzieli przypięci pasami z przodu, a nawigator po prawej stronie z miękką słuchawką zaciśniętą przy uchu i oczami utkwionymi w przeciętym siatką współrzędnych monitorze komputera, Evan musiał się zgarbić, by zrobić kilka kroków w tym ciasnym pomieszczeniu. – Tak, panie generale? – obwieścił swoją obecność. – Chciał pan widzieć się ze mną?

–Nawet nie śmiem na pana spojrzeć, doktorze – odpowiedział pilot, nie odwracając uwagi od konsoli. – Chcę tylko przeczytać panu wiadomość od niejakiego S. Zna pan kogoś takiego?

–Sądzę, że tak – odpowiedział Kendrick, zakładając, że wiadomość od Swanna nadeszła drogą radiową z Departamentu Stanu. Co to jest?

–Przede wszystkim utrapienie dla tego ptaszka! – krzyknął generałbrigadier. – W życiu tam nie lądowałem! Nie znam lotniska, a słyszałem, że ci zasrani makaroniarze lepiej robią sos do spaghetti niż pomagają przy lądowaniu!

–Przecież to nasza własna baza lotnicza – zaprotestował Evan. – Gówno, a nie baza! – zaperzył się pilot, a drugi pilot potrząsnął głową przecząco. – Zmieniamy kurs na Sycylię! Nie na Sycylię tylko Sycylię! Będę musiał rozpieprzyć silniki, żeby utrzymać się na tym pasie, jeśli w ogóle go znajdziemy, na miłość boską! – Co to za

wiadomość, generale? – spytał spokojnie Kendrick. – Zwykle jest jakiś powód nagłej zmiany planów.

–To niech mi pan wyjaśni powód... albo lepiej nie. Jestem wkurzony i dość mam zmartwień na głowie. Przeklęte bałwany! – Czy dostanę wiadomość?

–Proszę bardzo. – Rozsierdzony pilot przeczytał z perforowanej kartki papieru: "Zmiana konieczna. Dżudda wykluczona. Wszystkie SW w dozwolonych miejscach pod okiem..."

–Co to znaczy? – przerwał szybko Evan. – SW pod okiem.

–Dokładnie to, co jest napisane.

–Ludzkim językiem, bardzo proszę.

–Przepraszam, zapomniałem. Kimkolwiek pan jest, nie jest pan tym, kto figuruje w moim dzienniku. Znaczy to, że wszystkie samoloty wojskowe na Sycylii i w Dżuddzie są pod obserwacją, jak również każde lotnisko, na którym lądujemy. Te zawszone Arabcy coś wywęszyły i porozstawiały swoich, szurniętych brudasów na czatach, żeby donosili o wszystkich i wszystkim, co wpadnie im w oko.

–Nie wszyscy Arabcy są zawszeni, brudni i szurnięci panie generale.

–W mojej książce są.

–W takim razie nie nadaje się do druku.

–Niby co?

–Pańska książka; Proszę o resztę wiadomości. Pilot wykonał wulgarny gest prawą ręką, w której trzymał perforowaną kartkę. Niech pan sobie sam przeczyta, skoro tak pan kocha Arabów. Alę kartka nie może wydostać się poza kokpit. Kendrick wziął papier, zbliżył go do światła z lampki nawigatora i przeczytał wiadomość: "Zmiana konieczna. Dżudda wykluczona. Wszystkie SW w dostępnych miejscach pod okiem. Przerzut na cywilny oddział na południowej wyspie. Via Cypr, Rijad, do celu. Wszystko na miejscu załatwione. Przybliżony czas lądowania circa Drugi Filar, najlepiej el Maghreb. Przepraszam, Ewan S." Wyciągnął rękę z wiadomością ponad ramię generałabrygadiera i puścił kartkę. Domyślam się, że "południowa wyspa" to Sardynia.

–Zgadł pan.

–W takim razie zanosi się na to, że spędzę Jeszcze około dziesięciu godzin w samolocie albo samolotach, przez Cypr, Arabię Saudyjską i wreszcie do Maskatu.

–Powiem panu jedno, miłośniku Arabów – ciągnął pilot. – Cieszę się, że to pan będzie fruwał tymi zabaweczkami, a nie ja. Jedna dobra rada: niech pan zajmie miejsce obok wyjścia awaryjnego i jeśli dorwie pan gdzieś spadochron, warto wydać pieniądze. Niech pan też nie żałuje na maskę gazową. Gadają, że te maszyny śmierdzą. – Postaram się zapamiętać pańskie uprzejme rady.

–A teraz niech mi pan coś powie – rzekł generał. – Co to za diabeł ten arabski "Drugie Filar" czy jak mu tam?

–Czy chodzi pan do kościoła? – spytał Evan.

–A co pan myśli, pewnie, że chodzę. Jak jestem w domu, to całą rodzinę pędzę, nikt się nie wywinie, jak pragnę Boga. Przynajmniej raz w miesiącu, to moja zasada.

–Arabcy też chodzą, i to nie raz w miesiącu. Pięć razy dziennie. Wierzą tak

żarliwie jak pan, co najmniej tak żarliwie, nie sądzi pan? Drugi Filar w el Maghrebie odnosi się do islamskich modłów o zachodzie słońca. Cholerna pora, prawda? Harują jak woły przez cały dzień, przeważnie za marny grosz, aż wreszcie nadchodzi zmierzch. A tu żadnych koktajli, tylko wznoszenie modłów do ich Boga. Może to wszystko, co mają. Tak jak stare pieśni gospel na plantacjach. Pilot obrócił się powoli. Jego twarz w cieniach pokładu załogowego zatrwożyła Kendricka.

Generałbrygadier był Murzynem. – Poniżej mnie pan – rzekł pilot stanowczo.

–Przepraszam. Naprawdę nie zdawałem sobie sprawy. Z drugiej jednak strony, to pan sam powiedział. Pan nazwał mnie miłośnikiem Arabów.

Zachód słońca. Maskat, Oman.

Przestarzały turbodoładowiec uderzył o pas startowy z taką siłą, że niektórzy z pasażerów krzyknęli z przerażenia posłuszni swoim pustynnym instynktom wyczulonym na gwałtowne przejście w niebyt. Gdy tylko zorientowali się że są na miejscu cali i zdrowi oraz że czeka na nich praca, rozbrzmiały ich śpiewne zaklęcia. Błogosławiona niech będzie dobroć Allacha! Obiecano im riale za roboty, których nie podjęliby się Omańczycy. Jak będzie, tak będzie, w każdym razie na pewno będzie o niebo lepiej niż tam, skąd przybyli. Odziani w garnitury biznesmeni z chusteczkami przy nosach chwycili swoje teczki i rzucili się z przedniej części samolotu do wyjścia, nie mogąc się już doczekać luku omańskiego powietrza. Kendrick stał ostatni w kolejce na przejściu pomiędzy siedzeniami, zachodząc w głowę, co też Swann miał na myśli, pisząc w depeszy, że wszystko jest "załatwione".

–Proszę iść ze mną! – krzyknął tradycyjnie ubrany Arab z tłumu zebranego po drugiej stronie punktu odprawy paszportowej. – Dla nas jest inne wyjście, doktorze Axelrod.

–W moim paszporcie nie ma żadnego Axelroda.

–Właśnie. Dlatego pójdzie pan ze mną.

–A odprawa paszportowa?

–Niech pan trzyma dokumenty w kieszeni. Nikt ich nie chce oglądać. Ja na pewno nie!

–Jak więc...

–Dość, ja szajch. Proszę dać mi bagaż i trzymać się trzy metry za mną. Idziemy! Evan oddał swoją miękką walizkę zaniepokojonemu łącznikowi i ruszył za nim. Przeszli na prawo, minęli kraniec brązowobiałego terminalu i skręcili natychmiast w lewo ku wysokiemu, metalowemu ogrodzeniu, za którym spaliny z dziesiątek taksówek, autobusów i ciężarówek zabarwiały rozpalone powietrze. Za ogrodzeniem lotniska tłumy przeciskały się z rozwianymi szatami tam i z powrotem pomiędzy zwartymi kolumnami pojazdów, upominając piskliwie kierowców i zabiegając o uwagę. Wzdłuż płotu, na odcinku około trzydziestu metrów kłębili się inni Arabowie, przyciskając twarze do stalowej siatki, by podejrzeć obcy świat gładkich asfaltowych pasów startowych i zgrabnych samolotów, które nie będąc częścią ich życia, rodziły w ich umysłach niepojęte wprost fantazje. Kendrick ujrzał przed sobą blaszany hangar, magazyn towarowy lotniska, który tak dobrze znał, przypominając sobie godziny, gdy z Manny Weingrassem przesiadywali w środku w oczekiwaniu na

zaległe dostawy sprzętu obiecanego w najbliższym albo następnym transporcie. Nierzadko byli wściekli na celników, którzy jakże często nie rozumieli formularzy niezbędnych do zwolnienia sprzętu – jeśli już szczęśliwym trafem taki sprzęt przyleciał. Przez otwartą bramę przed drzwiami magazynu wjeżdżała kolumna kontenerów wypełnionych po brzegi skrzyniami rozładowanymi z różnych samolotów. Strażnicy z psami bojowymi na smyczach stali po obu stronach taśmy przenoszącej do środka ładunki, na które czekali zniecierpliwieni hurtownicy i detaliści oraz wiecznie zniechęceni majstrzy ekip budowlanych. Wzrok strażników bezustannie śledził całą tę nerwową krzątanicę, a w ich rękach tkwiły gotowe do strzału pistolety maszynowe. Czuwali nie tylko po to, by zachować choćby pozory ładu wśród wszechogarniającego chaosu i wesprzeć celników na wypadek ostrych dyskusji, ale przede wszystkim by szukać broni i narkotyków przemycanych do sultanatu. Każdy pojemnik i wypchaną skrzynię, zanim powędrowała na taśmę, obwąchiwały warczące i skowyczące psy. Łącznik zatrzymał się; Evan uczynił to samo. Arab odwrócił się i skinął w kierunku małej bocznej bramki, nad którą widniał napis po arabsku. Stop. Nieupoważnionym Wstęp Wzbroniony, Przejście Bez Zezwolenia Grozi Śmiercią. Było to wyjście dla strażników i personelu rządowego. Na bramie znajdowała się metalowa płyta, do jakiej zwykle mocuje się zamek. Kendrick zreflektował się, że to rzeczywiście jest zamek, ale elektronicznie otwierany z nie znanego miejsca w magazynie. Łącznik skinął głową jeszcze dwa razy, dając Evanowi znak, że ma iść w kierunku bramy, której przejście "grozi śmiercią". Kendrick wykrzywił twarz w pytającym grymasie. Żołądek podszedł do gardła. Wszak w Maskacie wprowadzono stan wyjątkowy i w każdej chwili mogły paść strzały. Arab zauważył wahanie w jego oczach i skinął głową po raz czwarty, powoli i zachęcająco, po czym odwrócił się, spojrzawszy na prawo wzdłuż kolejki kontenerów czekających na odprawę i wykonał niemal niezauważalny gest prawą ręką. Nagle przy jednym z kontenerów wybuchła kłótnia. Gromkim przekleństwom wtórowały głuche odgłosy ciosów.

–Kontrabanda!

–Kłamca!

–Twoja matka jest kozą, brudną kozą!

–Twój ojciec łądaczy się z dziewczynami, a ty jesteś owocem tych zabaw! Do

tarzających się w ferworze walki i wzniesających tumany kurzu mężczyźni wkrótce dołączył tłum sekundantów obu stron. Na napiętych smyczach rozszczękały się wściekle psy, ciągnąc swych opiekunów w kierunku pola bitwy. Na miejscu pozostał tylko jeden strażnik z psem; łącznik Evana dał znak. Podbiegli razem do opuszczonego wyjścia dla personelu.

–Macie szczęście – rzekł samotny strażnik, wystukując bronią umówione hasło o metalową płytę na bramie, gdy tymczasem jego bojowy pies złowrogo obwąchiwał spodnie Kendricka. Rozległ się brzęczyk i brama otworzyła się natychmiast. Kendrick przebiegł wraz z łącznikiem na drugą stronę i przemknął pod metalową ścianą magazynu. Na parkingu za magazynem stała zdezelowana ciężarówka z oponami napompowanymi chyba tylko do połowy. Warkotowi silnika towarzyszyły raz po raz

wystrzały z wysłużonej rury wydechowej. – Besural – krzyczał arabski łącznik, popędzając Evana. – To pański transport. – Mam nadzieję – wybełkotał Kendrick pełnym zwątpienia głosem.

– Witaj w Maskacie, nieznany gościu.

– Przecież pan wie, kim jestem – rzekł wzburzony Evan. Rozpoznał mnie pan w tłumie! Iluż innych mogłoby tego dokonać? – Niewielu, panie. Ale naprawdę nie wiem, kim pan jest, przysięgam na Allacha.

– W takim razie muszę panu uwierzyć, tak? – spytał Kendrick, przypatrując się mu uważnie.

– Nie wypowiadałbym imienia Allacha, gdyby było inaczej. Błagam. Besural

– Dziękuję – powiedział Kendrick, chwytając walizkę i pędząc do kabiny ciężarówki. Raptem kierowca wychylił się przez okno i na migi kazał mu wskoczyć od tyłu na pokrytą brezentową plandeką platformę rozklekotanego wozu. Samochód ruszył, w momencie gdy para rąk wciągnęła go do środka. Rozciągnięty na deskach platformy Kendrick spojrzął na pochylającego się nad nim Araba. Mężczyzna uśmiechnął się i wskazał na długi płaszcz abaja oraz sięgającą kostek koszulę zwaną thob na wieszaku z przodu przykrytej naczepy; obok na gwoździu wisiało nakrycie głowy ghatra i para balonowych spodni, codzienny strój Araba, a jednocześnie ostatni punkt na liście rzeczy, których zażądał od Franka Swanna z Departamentu Stanu. Pozostał jeszcze tylko jeden niezbędny rekwizyt. Arab uniósł do góry tubkę wypełnioną żelem do przyciemniania skóry. Wtarcie obfitej dawki nadawało twarzy i rękom białego mieszkańca Zachodu karnację bliskowschodniego Semity, bezustannie hartowaną żarem płonącego, niemal równikowego słońca. Zabarwiony pigment zaczynał blaknąć dopiero po okresie dziesięciu dni. Dziesięć dni. Toż to całe życie – dla niego i potwora, co nazywał się Mahdim. Przy ogrodzeniu od strony lotniska, kilka centymetrów od metalowej siatki stała kobieta. Miała na sobie nieco rozszerzające się ku dołowi białe spodnie i obcisłą bluzkę z zielonego jedwabiu, zmarszczoną na ramieniu od skórzanego paska torebki. Jej twarz okalały długie, ciemne włosy, a modne, duże okulary słoneczne skrywały ostre, interesujące rysy. Na głowie miała biały kapelusz z szerokim rondem opasany zieloną, jedwabną wstążką. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie Jeszcze jednej zamożnej turystki z Rzymu, Paryża, Londynu czy Nowego Jorku. Uważny obserwator dostrzegłby jednak subtelne odstępstwo od stereotypu. Wyróżniała się kolorem skóry, Jej oliwkowy odcień wskazywał na północną Afrykę. Różnicę potwierdzało to, co trzymała w rękach, a co przed paroma sekundami przyciskała do ogrodzenia: miniaturowy aparat fotograficzny ledwie pięciocentymetrowej długości z maleńkim, wypukłym teleobiektywem pryzmatycznym do robienia zdjęć z dużej odległości jednym słowem sprzęt charakterystyczny dla personelu wywiadowczego. Brudna, zdezelowana ciężarówka zniknęła za zakrętem parkingu; aparat nie był już potrzebny. Chwyciła torebkę przy biodrze i niepostrzeżenie wsunęła do niej narzędzie pracy.

– Khalehla! – krzyknął otyły, łysy jegomość z wybałuszonymi oczami, biegnąc w jej stronę. Wymówił jej arabskie imię po angielsku: "Kaleila". Taszczył z wysiłkiem dwie walizki, a pot zmoczywszy mu do suchej nitki koszulę, przesiąkał już przez czarny

garnitur w wąskie prążki skrojony na Savile Rów. – Na miłość boską, dlaczego się oddaliłaś?

–Nudziło mi się w tej koszmarnej kolejce, koteczku – kobieta odpowiedziała z akcentem, w którym tajemniczo mieszały się elementy brytyjskie i włoskie, a może greckie. – Pomyślałam sobie, że zdążę się przejść.

–Boże drogi, Khalehla, tak nie można, zrozum. To miasto to przecież teraz istne piekło na ziemi! – Anglik stanął wreszcie przed nią z zaczerwienioną, obwisłą twarzą ociekającą potem. – Już podchodziłem do tego imbecyla z odprawy paszportowej, oglądałem cię, a ciebie nie ma! I kiedy miałem cię, żeby cię znaleźć, trzech kretynów z pistoletami – pistoletami – zatrzymało mnie, zaprowadziło do pokoju i przeszukało nasz bagaż!

–Mam nadzieję, że byłeś czysty, Tony.

–Te bałwany skonfiskowały moją whisky!

–Drobne ofiary człowieka sukcesu. Nie martw się, koteczku, zrekompensuję ci tę stratę. Brytyjski biznesmen przebiegł wzrokiem po twarzy i figurze Khalehli. – No, co się stało, to się nie odstanie, prawda? Wrócimy teraz i załatwimy formalności. – Mrugnął, najpierw jednym okiem, potem drugim. – Załatwiłem dla nas wspaniałą apartament. Będzie ci się podobał, rybko.

–Apartament? Z tobą, koteczku?

–Ależ tak.

–Och, naprawdę nie mogę tego zrobić.

–Co? Powiedziałaś...

–Powiedziałaś? – przerwała Khalehla, marszcząc brwi nad okularami.

–Albo przynajmniej dałaś mi do zrozumienia, całkiem niedwuznacznie, dodałbym, że jeśli pomogę ci dostać się na ten samolot, to zabawimy się nieźle w Maskacie.

–I podtrzymuję tę sugestię. Drinki w Zatoce, być może regaty, kolacja w El Quamain – to wszystko, owszem. Ale w twoim pokoju? – Ale, ale... nie wszystko trzeba od razu nazywać po imieniu. – Och, mój drogi Tony. Jakże mi przykro, że wprowadziłam cię w błąd. Moja stara nauczycielka angielskiego z Uniwersytetu Kairskiego poradziła mi, żebym się z tobą skontaktowała. To jedna z najlepszych przyjaciółek twojej żony. Nie, jakże bym mogła zrobić jej coś takiego!

–Cholera!nie wytrzymał nadziany biznesmen Tony.

–Miraja! – zawołał Kendrick, przekrzykując ogłuszający łoskot rozklekotanej ciężarówki, która, podskakiwała na bocznej drodze do Maskatu.

–Nie zamawiał pan lusterka, ja szajch wrzasnął w odpowiedzi siedzący z tyłu platformy Arab z mocnym lecz zrozumiałym akcentem.

–Zerwijcie więc jedno z bocznych lusterek na drzwiach. Powiedz kierowcy.

–Nie usłyszy mnie, ja szajch. To stary wóz, jak wiele innych, i dlatego nie zostanie zauważony. Nie da się porozumieć z kierowcą. – Niech to diabli! zaklął Evan, trzymając w ręku tubkę z żelam. – Ty więc będziesz moimi oczami, ja satibi – powiedział, nazywając mężczyznę przyjacielem. – Zbliź się i patrz. Powiesz mi, kiedy będzie dobrze. Odchył plandekę. Arab zwinął tylną część brezentu, wpuszczając światło słoneczne do mrocznej ciężarówki. Ostrożnie podchodził do przodu,

trzymając się rzemieni, aż znalazł się ledwie stopę od Kendricka. – Czy to iddawa, panie? – spytał o tubkę.

–Ajwa – rzekł Evan, spostrzegłszy, że ma właściwy specyfik. Rozpoczął od smarowania rąk; obaj mężczyźni obserwowali w napięciu, aż minęły przepisowe niecałe trzy minuty.

–Arma! – krzyknął Arab, wyciągając prawą rękę; kolor skóry był niemal identyczny jak na ręce Evana.

–Kwajis – przyznał Kendrick i spróbował wymierzyć ilość żelu zużytego do zabarwienia rąk, by dobrać proporcjonalną dawkę na twarz. Zabrał się do dzieła, z niepokojem obserwując oczy Araba. – Ma'ul! – wykrzyknął jego najnowszy towarzysz z uśmiechem znamionującym sukces przedsięwzięcia. – Delwati onzur! Udało się. Odświeżone partie ciała miały teraz barwę ogorzałego od słońca Araba. – Pomóż mi jeszcze wdziać thob i oboje – poprosił Evan i zaczął rozbierać się w trzęsącej niemiłosiernie ciężarówce. – Oczywiście – rzekł Arab już bez śladu akcentu w wymowie. Ale na tym kończy się nasza znajomość. Proszę mi wybaczyć, że udawałem przed panem najfa, lecz tu nie można nikomu ufać, nie wyłączając amerykańskiego Departamentu Stanu. Podejmuje pan ogromne ryzyko, znacznie większe niż ja jako ojciec moich dzieci byłbym gotów podjąć, ale to pańska sprawa, nie moja. Podrzucimy pana do centrum Maskatu i od tej pory będzie już pan zdany na własne siły.

–Dziękuję za podwiezienie mnie na miejsce – powiedział Evan. – Dziękuję za pański przyjazd, ja szajch. Tylko niech pan nie próbuje iść śladem tych, co panu pomogli. Prawdę mówiąc, zabilibyśmy pana, zanim wróg zdołałby zaplanować pańską egzekucję. Nie robimy hałasu i dlatego żyjemy.

–Kim właściwie jesteście?

–Wiernymi, ja szajch. To powinno panu wystarczyć.

–Alf szukr powiedział Evan" dziękując recepcjoniście i wręczając mu napiwek za obiecaną dyskrecję. Wpisał do rejestru gości fałszywe arabskie nazwisko i otrzymał klucz do swojego apartamentu. Zrezygnował z usług hotelowego boya. Wjechał windą na inne piętro i poczekał na końcu korytarza, by przekonać się, czy nie jest śledzony. Upewniwszy się, że jest sam, zszedł po schodach do właściwego piętra i wszedł do swojego apartamentu. Czas. Czas jest cenny, liczy się każda minuta – Frank Swann, Departament Stanu. Wieczorne modły el Maghrebu dobiegły końca; zapadł zmierzch i z oddali dochodziły już odgłosy szaleństwa pod ambasadą. Evan cisnął walizkę w kąt dziennego pokoju, wydobył spod abei portfel i wyjął złożoną kartkę papieru, na której zapisał nazwiska i numery telefonów – numery sprzed prawie pięciu lat – do ludzi, z którymi pragnął się skontaktować. Podeszedł do biurka z telefonem, usiadł i rozłożył kartkę. Trzydzieści pięć minut później, po wylewnych, choć dziwnie sztucznych powitaniach z trzema przyjaciółmi z dawnych lat, doprowadził wreszcie do spotkania. Wybrał siedem nazwisk, z których każde należało do najbardziej wpływowych ludzi, poznanych w czasach jego pobytu w Maskacie. Dwóch zmarło; jeden wyjechał z kraju; czwarty powiedział mu bez ogródek, że klimat nie sprzyja spotkaniom Omańczyka z Amerykaninem. Trzech,

którzy wyrazili, bardziej lub mniej powściągliwie, zgodę na spotkanie, miało pojawić się osobno w ciągu najbliższej godziny. Każdy z nich pójdzie prosto do jego apartamentu, nie zatrzymując się przy recepcji. Minęło trzydzieści osiem minut, w czasie których Kendrick zdążył wypakować nieliczną wziętą w podróż garderobę oraz zamówić do pokoju wybrane gatunki whisky. Obowiązująca w tradycji muzułmańskiej zasada abstynencji tylko zyskiwała na sile, gdy się ją łamało; przy każdym nazwisku Evan zaznaczył ulubiony trunek gościa. Tej lekcji nauczył się od buntowniczego Emmanuela Weingrassa. To świetny smar do negocjacji, synu. Jeśli pamiętasz imię żony klienta, jest zadowolony. Jeśli pamiętasz jego ulubiony gatunek whisky, to już coś więcej. To znaczy, że go szanujesz! Ciche pukanie do drzwi zabrzmiało jak uderzenie pioruna. Kendrick kilka razy odetchnął głęboko, przeszedł przez pokój i wpuścił pierwszego gościa.

–To ty, Evan? Mój Boże, czyżbyś się nawrócił?

–Wejdz, Mustafa Cieszę się, że cię znowu widzę.

–Ale czy ja widzę ciebie? rzekł mężczyzna o imieniu Mustafa, ubrany w ciemnobrązowy garnitur biznesmena. – A twoja skóra! Jesteś tak ciemny jak ja, jeśli nie ciemniejszy.

–Zaraz się wszystkiego dowiesz. – Kendrick zamknął drzwi i gestem ręki poprosił przyjaciela sprzed lat, by się rozgościł. – Mam twój gatunek szkockiej. Napijesz się?

–Ach, ten Manny Weingrass nigdy nie jest daleko, prawda? – powiedział Mustafa, siadając na długiej, pokrytej brokatem kanapie. – Stary złodziej.

–Daj spokój, Musty – zaprotestował ze śmiechem Evan po drodze do barku.

Przecież nigdy cię nie oskubał.

–Jasne, że nie. Ani on, ani inni twoi partnerzy nie oskubali: żadnego z nas... Jak ci się wiodło bez nich, przyjacielu? Wielu z nas wciąż o tym mówi, nawet po tylu latach.

–Raz lepiej, raz gorzej – rzekł uczciwie Kendrick, rozlewając drinki, – Ale człowiek godzi się z losem. Jakoś sobie radzę. – Podał Mustafie szkocką i usiadł na jednym z foteli naprzeciwko kanapy. – Za lepsze czasy, Musty. – Podniósł szklanę.

–Niestety, stary przyjacielu, czasy są nie najlepsze, najgorsze ze wszystkich czasów, jak pisał Anglik Dickens.

–Poczekajmy, aż przyjdą inni.

–Nie przyjdą. – Mustafa łyknął szkockiej.

–Co?

–Rozmawialiśmy na ten temat. Ja, jestem, jak to się mówi na wielu oficjalnych konferencjach, rzecznikiem pewnych interesów. Poza tym jako jedyny minister w gabinecie sułtana zostałem niejako upoważniony do wyrażenia wspólnego stanowiska rządu.

–W jakiej sprawie? Wybiegasz daleko do przodu.

–To ty wybiegłeś kawał drogi przed nami, Evan, przyjeżdżając tu jakby nigdy nic i dzwoniąc do nas. Gdyby do jednego; może dwóch, w najgorszym razie trzech. Ale siedmiu? Nie, to bardzo nierozważny krok, stary przyjacielu, i niebezpieczny dla wszystkich.

–Dlaczego?

–Czy choć przez minutę zastanawiałeś się – ciągnął Arab, nie zważając na Kendricka – czy nawet tylko trzech znanych osobników z wyższych sfer – nie mówiąc już o siedmiu – mogłoby zejść się w hotelu w kilkuminutowych odstępach! spotkać się z nieznanym przybyszem, nie zwracając na siebie uwagi kierownictwa? Bzdura. Evan przyglądał się Mustafie przez chwilę, nim się odezwał, napotykając na twarde wzrok Araba. – O co chodzi, Musty? Co chcesz mi powiedzieć? Przecież nie jesteśmy w ambasadzie, a ta wstrętna awantura nie ma nic wspólnego z przedsiębiorcami ani rządem Omanu.

–Oczywiście, że nie – przyznał stanowczo Arab, – Chciałbym ci jednak wytłumaczyć, że coś się jednak zmieniło w tym kraju i sami nie zawsze rozumiemy te zmiany.

–To też jasne – przerwał Kendrick. – Wszak nie jesteście terrorystami.

–Owszem, nie jesteśmy, ale może chciałbyś usłyszeć, co mówią ludzie – odpowiedzialni ludzie?

–Mów.

–"To przejdzie – twierdzą. – Nie warto się wtrącać"; to tylko ich bardziej rozdrażni".

–Nie wtrącać się? – powtórzył Kendrick z niedowierzaniem, – I – "Niech to rozwiążą politycy".

–Szkopuł w tym, że politycy nie mogą tego rozwiązać!

–To jeszcze nic, Evan. "Ich gniew ma pewne uzasadnienie" twierdzą. "Zabijać nie należy, rzecz jasna, ale w kontekście pewnych wydarzeń..." itp. itd... Na własne uszy słyszałem takie wypowiedzi. – W kontekście pewnych wydarzeń? Jakich Wydarzeń?

–Historiibieżącej, stary przyjacielu. "Reagują w ten sposób na bardzo stronnicy politykę Stanów Zjednoczonych." To obiegowa opinia, Evan. Ludzie mówią: "Izrael dostaje Wszystko, co chce, a oni nic Wypędza się ich z ojczystych ziem i domów i zmusza do życia w zatłoczonych, brudnych obozach dla uchodźców, gdy na Zachodnim Brzegu Żydzi na nich plują". Często słyszę takie zdania. – Brednie! – wykrzyknął Kendrick. – Pomijając już fakt, że jest druga, równie bolesna strona tego bigoteryjnego medalu, to nie ma nic wspólnego z tymi dwustu trzydziestoma sześcioma zakładnikami albo jedenastoma, których już zabito! To nie oni robią politykę, stronnicy czy nie stronnicy. Są niewinnymi ludźmi, brutalnie traktowanymi, przerażonymi i doprowadzonymi do skrajnego wyczerpania przez nieposkromione bestie! Jak, do diabła, odpowiedzialni ludzie mogą opowiadać takie rzeczy? Tam nie zasiada gabinet prezydenta ani jastrzębie z Knesetu. To tylko urzędnicy państwowi, turyści i rodziny pracowników firm budowlanych. Powtarzam, to bzdury! Mężczyzna imieniem Mustafa siedział sztywno na kanapie, nie spuszczać wzroku z Evana. – Wiem o tym i ty wiesz – powiedział spokojnie. I oni o tym wiedzą, przyjacielu.

–Więc dlaczego?

–Powie prawdę – ciągnął Arab" tym samym opanowanym głosem. – Dwa incydenty, które legły u podstaw takiego wspólnego, okropnego stanowiska, by użyć

tęgo zwrotu w innym sensie niż przed chwilą... Ludzie mówią takie rzeczy dlatego, że nie mamy ochoty robić tarczy z naszych ciał.

–Tarczy? Waszych... ciał?

–Dwóch mężczyzn, jednego nazwijmy Mahmudem, drugiego Abdulem – nie są to ich prawdziwe imiona, rzecz jasna, bo lepiej, żebyś ich nie znał. Córka Mahmuda zgwałcona, z rozciętą twarzą. Syn Abdula z poderżniętym gardłem W uliczce pod biurem ojca przy nabrzeżu. "Bandyci, gwałciciele, mordercy!" – twierdzą władze. Ale my wiemy swoje. To właśnie Abdul i Mahmud próbowali stworzyć opozycję. "Chwyćmy za broń!" – wołali., "Sami odbijemy ambasadę!" – nalegali "Nie pozwólmy, by Maskat stał się drugim Teheranem!"... Ale to nie oni ucierpieli, tylko ich najbliżsi, ich najcenniejsze skarby... To są ostrzeżenia, Evan. Wybacz, ale gdybyś miał żonę i dzieci, czy wystawiłbyś ich na taką próbę? Chyba nie. Najcenniejsze klejnoty nie są z kamienia, lecz z krwi i kości. Nasze rodziny. Prawdziwy bohater pokona strach i poświęci życie za to, w co wierzy, ale cofnie się, gdy ceną będzie życie najbliższych. Czy nie mam racji, przyjacielu? – O Boże – szepnął Evan. – Nie pomożecie mi... nie wolno wam. – Jest jednak ktoś, kto spotka się z tobą i wysłucha, co masz do powiedzenia. Lecz spotkanie musi odbyć się z największą ostrożnością, daleko na pustyni, pod górami Dżabal Szam.

–Kto to jest?

–Sułtan. Kendrick zamilkł. Spojrzał na swoją szklankę. Po długiej chwili podniósł wzrok na Mustafę. – Nie powinienem nawiązywać żadnych oficjalnych kontaktów – powiedział – a sułtan to raczej oficjalna osobistość. Nie reprezentuję swojego rządu, niech to będzie jasne. – To znaczy, że nie chcesz się z nim spotkać?

–Przeciwnie, bardzo bym tego pragnął. Chcę jednak, by moja pozycja była całkowicie jasna. Nie mam nic wspólnego ze służbami wywiadowczymi, Departamentem Stanu ani Białym Domem – broń Boże z Białym Domem.

–Sądzę, że co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości; twój ubiór i kolor skóry najlepiej o tym świadczą. Sułtan również nie chce mieć z tobą żadnych powiązań, tak jak Waszyngton.

–Nie jestem na bieżąco – rzekł Evan popijając. – Stary sułtan umarł rok czy dwa po moim wyjeździe, prawda? Niestety, nie śledziłem dokładnie tutejszych spraw – sądzę, że to naturalna awersja. – Doskonale cię rozumiem. Naszym sułtanem jest teraz jego syn, bliższy wiekiem tobie niż mnie, a nawet młodszy od ciebie. Po szkole w Anglii skończył studia w twoim kraju. Dartmouth i Harvard, ściśle mówiąc.

–Ma na imię Ahmat – wtrącił Kendrick, odświeżając wspomnienia. Spotkałem się z nim parę razy. – Evan zmarszczył brwi. – Ekonomia i stosunki międzynarodowe – dodał.

–Co?

–Chciał ukończyć te fakultety, zrobić magisterium i doktorat. – Jest wykształcony i inteligentny, ale młody. Bardzo młody jak na wyzwania, którym musi sprostać.

–Kiedy mógłbym się z nim zobaczyć?

–Dziś w nocy. Zanim inni dowiedzą się o twojej obecności tutaj. Mustafa spojrzął na zegarek. – Za trzydzieści minut wyjdź z hotelu i przejdź piechotą cztery przecznice

na północ. Na rogu będzie czekał wojskowy Jeep. Zawiezie cię na piaski Dżabal Szam. Szczupły Arab w poplamionej aboji skrył się w mrokach zacienionego wejścia do sklepu naprzeciwko hotelu. Stał bez słowa u boku kobiety imieniem Khalehla, ubranej tym razem w skrojony na miarę czarny kostium, charakterystyczny dla kobiet na stanowiskach, nie rzucający się w oczy w przyćmionym świetle. Niezdarnie przytwierdzała obiektyw do maleńkiego aparatu fotograficznego. Nagle odezwały się dwa ostre, wysokie dźwięki.

–Pośpiesz się – rzekł Arab. – Już idzie! Dotarł do holu. – Robię, co mogę – odparła kobieta i złorzecząc pod nosem dalej mocowała się z obiektywem. – Nie żądam wiele od szefowie mogliby przynajmniej dać porządny, działający sprzęt... No Wreszcie. – Idzie! Khalehla podniosła aparat z teleobiektywem na podczerwień do nocnych zdjęć. Błyskawicznie zrobiła trzy zdjęcia odzianemu po arabsku Evanowi Kendrickowi. – Ciekawa jestem, jak długo pozwoli mu żyć – powiedziała, – Muszę zadzwonić.

**DOKUMENT MAKSYMALNIE ZABEZPIECZONY PODŁĄCZEŃ ZEWNĘTRZNYCH
BRAK MOŻNA PISAĆ** Tu następował dalszy ciąg dziennika. Doniesienia z Maskatu są zaskakujące. Osobnik całkowicie przedzierzgnął się w Omańczyka. Ubrał się w arabski strój i przyciemnił skórę. Porusza się po mieście jak tubylec, kontaktując się prawdopodobnie ze starymi przyjaciółmi i znajomymi. Doniesienia są jednak skąpe, ponieważ cień osobnika przekazuje wszystkie informacje przez Langley, a jeszcze nie udało mi się rozgryźć wejściowych kodów CIA z regionu Zatoki Perskiej. Kto wie, co skrywa Langley? Nakazałem swoim przyrządom pracować intensywniej. Departament Stanu to oczywiście drobiazg. Jakże by inaczej?

* * *

Rozdział 4

Ogromna, jałowa pustynia zdawała się bezkresna w mroku nocy. Jedyne przebijające się raz po raz promienie księżyca ukazywały w oddali zarysy szczytów Dżabal Szam – niedosiężną, złowrogą granicę wznoszącą się na ciemnym horyzoncie. Gdzie spojrzeć, płaska powierzchnia wyglądała na mieszaninę ziemi i piachu, a na bezwietrznej równinie brakowało tych falistych, krótkotrwałych, usypanych wiatrem pagórków, które przywodzi na myśl wielka Sahara. Twarda, kręta droga była ledwie przejezdna; brązowy samochód wojskowy szarpał i ślizgał się na piaszczystych zakrętach po drodze do królewskiego miejsca spotkania. Zgodnie z poleceniem Kendrick siedział obok uzbrojonego kierowcy w mundurze; z tyłu siedział drugi, także uzbrojony oficer. Asekuracja rozpoczęła się od momentu, gdy wyruszyli w podróż; jeden nierozważny ruch Kendricka i po nim. Poza uprzejmym powitaniem, żaden z żołnierzy nie odzywał się.

–Jesteśmy na pustyni – rzekł Kendrick po arabsku. – Dlaczego więc tyle tu zakrętów?

–Droga ma wiele odgałęzień. Jazda prosto przez piaski zostawiłaby zbyt wyraźny ślad, Królewskie środki ostrożności – pomyślał Evan bez komentarza. Skręcili w "odgałęzienie" po dwudziestu pięciu minutach jazdy na zachód. Kilka kilometrów dalej po prawej stronie tliło się obozowe ognisko. Gdy podjechali bliżej, Kendrick spostrzegł pluton umundurowanych strażników rozstawionych kręgiem wokół ognia, zwróconych twarzami na zewnątrz. W oddali majaczyły sylwetki dwóch wojskowych ciężarówek. Jeep zatrzymał się; oficer wyskoczył i otworzył drzwi Amerykaninowi.

–Proszę iść przede mną – powiedział.

–Oczywiście zgodził się Evan, próbując wypatrzeć młodego sułtana w świetle ogniska. Nie widział jednak ani jego, ani nikogo bez munduru. Evan usiłował przypomnieć sobie twarz mężniejącego chłopca, którego poznał przeszło cztery lata wcześniej, studenta, który przyjechał do domu w Omanie na ferie zimowe albo wiosenne, już nie pamiętał. Przypominał sobie tylko, że syn sułtana był ujmującym, młodym człowiekiem, wielbiącym na równi naukę i amerykańskie sporty. Lecz niczego więcej Evan nie mógł sobie przypomnieć; nie potrafił wywołać z pamięci twarzy, tylko imię, Ahmat, potwierdzone przez Mustafę. Trzech żołnierzy ustąpiło im z drogi; przeszli przez ochronny krąg.

–Pan pozwoli? – rzekł wyrósłszy raptem przed nim podoficer. – Na co mam pozwolić?

–Zazwyczaj w takich okolicznościach rewidujemy naszych gości. – Proszę bardzo. Żołnierz szybko i sprawnie obmacał wszystkie fałdy abaji, podniósłszy prawy rękaw ponad miejsce, do którego sięgał wtarty żel przyciemniający skórę, Na widok białego ciała oficer przytrzymał materiał i przyjrzał się Kendrickowi. – Ma pan przy sobie papiery, ja szajch?

–Żadnych. Żadnego dowodu tożsamości.

–Rozumiem. – Żołnierz opuścił mu rękaw. – Nie ma pan także broni.

–Oczywiście, że nie.

–Ma pan prawo tak twierdzić, a naszym obowiązkiem jest sprawdzić. – Oficer

odpiął z pasa cienki, czarny aparacik, nie większy od paczki papierosów. Przycisnął czerwony guzik. – Proszę tu poczekać. – Nigdzie się nie wybieram – rzekł Evan, spoglądając na strażników z gotowymi do strzału karabinami.

–Ja też tak sądzę, ja szajch – stwierdził żołnierz i oddalił się ku ognisku. Kendrick popatrzył na oficera, który towarzyszył mu na tylnym siedzeniu w drodze z Maskatu. – Boją się najmniejszego ryzyka – powiedział bez namysłu.

–Taka wola wszechmogącego Allacha, panie – odrzekł żołnierz. – Sułtan jest naszym światłem, naszym słońcem. Pan to Aurobbi, biały człowiek. Czy nie strzegłby pan swego pomostu do niebios? – Gdyby mi zagwarantował, że zostanę przyjęty, to z pewnością tak.

–To dobry człowiek, ja szajch. Młody, owszem, ale wielkiej mądrości. Przekonaliśmy się.

–Czy przybędzie tu?

–Już przybył, panie. Niski warkot dużego samochodu przerwał akcentowaną trzaskiem ogniska ciszę. Samochód z przyciemnionymi szybami ostro zakręcił przed kręgiem strażników i gwałtownie zahamował. Zanim zdążył wyjść kierowca, otworzyły się tylne drzwi i wyskoczył sułtan. Miał na sobie szaty królewskie, ale nie zamknawszy jeszcze drzwi samochodu, wrzucił natychmiast do środka swoją abaję, pozostawiając jednak ghotrę na głowie. Sułtan – szczupły, muskularny mężczyzna średniego wzrostu – przeszedł przez krąg swojej Gwardii Królewskiej. Poza ghotrą był ubrany w zachodnim stylu. Miał na sobie brązowe gabardynowe spodnie i podkoszulek z nadrukowaną postacią w trójgraniastym kapeluszu wyłaniającym się z piłki do amerykańskiego futbolu. Napis pod spodem głosił: New England Patriots. – Kawał czasu, Evanie Kendrick, ja szajch – rzekł młody mężczyzna z dystyngowanym akcentem i z uśmiechem wyciągnął rękę na powitanie. – Podoba mi się pański strój, ale chyba nie pochodzi z magazynów Braci Brooks.

–Twój też nie, chyba że bracia Brooks zaczęli handlować kolorowymi podkoszulkami. – Uścisnęli sobie dłonie. Kendrick poczuł siłę sułtana. – Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać, Ahmat... Przepraszam, powinienem powiedzieć Wasza Królewska Wysokość. Zapomniałem się.

–Znał pan mnie jako Ahmata, a ja zwracałem się do pana per szajch. Czy nadal mam używać tej formy?

–Byłoby to raczej nieestosowne.

–Słusznie. Dobrze się rozumiemy.

–Zmieniłeś się od czasu, kiedy cię poznałem – powiedział Evan. – Musiałem szybko rosnąć, wcale nie z własnego wyboru; ze studenta zmienić się w nauczyciela, niestety bez właściwych kwalifikacji.

–Słyszałem, że cieszysz się szacunkiem.

–To sprawa piastowanego urzędu, nie człowieka. Muszę nauczyć się sprawowania władzy. Odejdźmy stąd i porozmawiajmy spokojnie. – Sułtan Ahmat wziął Kendricka za ramię i chciał przejść przez krąg swoich gwardzistów, lecz na drodze stanął mu oficer, który wcześniej rewidował Evana.

–Wasza Wysokość! – wykrzyknął żołnierz. – Bezpieczeństwo Waszej Wysokości

to nasze życie! Proszę pozostać wewnątrz kordonu. – I pozostać celem w świetle ogniska?

–Otaczamy Waszą Wysokość i moi ludzie będą bezustannie krążyć wokół Waszej Wysokości, Jesteśmy przecież na płaskim terenie. – Lepiej wycelujcie broń w ciemności za nami, sahbi – rzekł Ahmat, nazywając żołnierza przyjacielem. – Odejdziemy tylko kilka metrów dalej.

–Z bólem w naszych sercach, Wasza Wysokość.

–Przejdzie wam. – Ahmat przeprowadził Kendricka przez kordon. – Moi rodacy lubują się w takich banalnych melodramatach. – Nie takich znów banalnych, skoro chcą utworzyć ruchomy krąg i osłaniać nas własną pierś przed kulami przeznaczonymi dla ciebie.

–To nic nadzwyczajnego, Evan, a prawdę mówiąc, nie znam wszystkich ludzi w tych oddziałach. Pewne rzeczy, które możemy sobie powiedzieć nadają się tylko dla naszych uszu.

–Nie sądziłem, że... – Kendrick spojrział na młodego sułtana Omanu, nim odeszli w mrok. – Czyżby twoi żołnierze...?

–W tych zwariowanych czasach wszystkiego się można spodziewać. Patrzysz w oczy zawodowemu żołnierzowi, ale nie widzisz skrytych za nimi urazów i pokus. Wystarczy, tutaj możemy rozmawiać. – Obaj mężczyźni przystanęli.

–Obłęd – rzekł lakonicznie Evan w przyćmionym świetle ogniska i prześwitujących raz po raz promieniach księżycy. – Porozmawiajmy o tym.

–Po to tu przybyłeś, jak się domyślam.

–Po to tu przybyłem – odrzekł Kendrick.

–Co mam według ciebie robić? – wybuchnął Ahmat zduszonym do szeptu krzykiem. – Każdy mój ruch może spowodować śmierć kolejnego zakładnika, jeszcze jedno podziurawione kulami ciało wyleci przez okno! Młody sułtan potrząsnął głową. Wiem, że tobie i mojemu ojcu dobrze się razem pracowało, a ze mną dyskutowałeś o kilku wspólnych projektach przy obiedzie, ale nie sądzę, byś o tym pamiętał.

–Owszem, pamiętam – przerwał Kendrick. – Przyjechałeś do domu z Harvardu, byłeś wtedy chyba na drugim roku studiów doktoranckich. Siedziałeś zawsze po lewej stronie ojca, przynależnej dziedzicowi.

–Dziękuję bardzo, Evan. Miałem propozycję wspaniałej pracy u E. F. Huttona.

–Masz wspaniałą pracę tutaj.

–Wiem, wiem – powiedział Ahmat, podnosząc znów głos. I dlatego właśnie muszę być pewien, że wykonuję ją właściwie. W każdej chwili mogę przerzucić armię z jemeńskiej granicy i szturmem wziąć ambasadę... i przy okazji zagwarantować śmierć dwustu trzydziestu sześciu Amerykanom. Już widzę nagłówki w waszej prasie: arabski sułtan zabija... itd. Knesset w Jerozolimie święci tryumf! Nic z tych rzeczy, bracie. Nie jestem narwanym kowbojem, który ryzykuje życie niewinnych ludzi, a w całym tym zamieszaniu zostaje mimochodem obsmarowany w waszej prasie jako antysemita. Mój Boże! Waszyngton i Izrael chyba zapominają, że wszyscy jesteśmy Semitami, że nie wszyscy Arabowie są Palestyńczykami i nie wszyscy Palestyńczycy są terrorystami! Nie mam wcale zamiaru dostarczać tym aroganckim

mędrcom w Izraelu jeszcze jednego pretekstu do wysłania amerykańskich samolotów F14 i zabijania następnych Arabów, równie niewinnych jak wasi zakładnicy! Rozumiesz mnie, Evan szajch? Rozumiem – rzekł Kendrick. – A teraz, czy możesz się uspokoić i wysłuchać mnie? Podekscytowany młody sułtan westchnął głośno i skinął głową. – Oczywiście, że cię wysłucham, co nie oznacza, że z czymkolwiek się zgodzę. Jasne. – Evan odczekał chwilę w skupieniu, pragnąc być dobrze zrozumiany, mimo dziwnej i niejasnej informacji, którą miał zamiar podzielić się z sułtanem. – Słyszałeś o Mahdim?

– Chartum, lata osiemdziesiąte dziewiętnastego wieku. Nie. Bahrajn, lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku. – Co? Kendrick powtórzył historię, którą opowiedział Frankowi Swannowi w Departamencie Stanu. Historię o nieznanym, opętanym finansjście, który przybrał imię Mahdiego i którego celem było wygnanie białych z Bliskiego Wschodu oraz zatrzymanie ogromnego potencjału ekspansji przemysłowej w arabskich rękach – a dokładniej w jego rękach. Jak ten sam człowiek, który głosił wśród fanatycznego półświatka ewangelię islamskiej czystości, utworzył sieć, tajny kartel dziesiątek, a może setek zakamuflowanych przedsiębiorstw i korporacji zrzeszonych pod parasolem jego własnej podziemnej organizacji. Evan następnie opowiedział, jak jego dawny izraelski architekt Emmanuel Weingrass wyśledził zarysy tego niesamowitego spisku gospodarczego, najpierw na podstawie pogroźek skierowanych do Grupy Kendricka – pogroźek, na które odpowiadał własnymi ostrzeżeniami bezpardonowego odwetu – a im więcej się dowiadywał, tym mocniej wierzył, że konspiracja ta jest prawdziwa i zatacza coraz szersze kręgi, toteż należy ją zdyskredytować. – Patrząc wstecz, wstydzę się tego, co zrobiłem – ciągnął Evan w bladym świetle obozowego ogniska i pustynnego księżycy. – Ale usprawiedliwiłem sam siebie tym, co się stało. Nie mogłem dłużej pozostawać w tej części świata, więc porzuciłem firmę i zrezygnowałem z walki, o którą dopominał się Manny. Powiedziałem mu, że puszcza wodze fantazji, że dał się nabrać nieodpowiedzialnym i częstokroć pijanym tumanom. Pamiętam dokładnie, co mi wtedy odpowiedział. "Czy z mojej najbujniejszej wyobraźni – pytał – albo ich pijackich rojeń mógł wykluć się Mahdi? Wybuch to sprawka tych morderców – on maczał w tym palce!" Manny miał wtedy rację i teraz widać to jak na dłoni. Wojsko szturmuje ambasadę, nieobliczalni szaleńcy zabijają niewinnych zakładników, a wszystko ostatecznie sprowadza się do ostrzeżenia: "Nie masz tu czego szukać, chłopcze z Zachodu. Przyjedź, a twoje zmasakrowane ciało wyleci przez okno". Nie rozumiesz, Ahmat? Mahdi istnieje i pozbywa się obcych konkurentów sterowanym, czystym terrorem.

– Widzę, że jesteś przekonany – odrzekł sceptycznie sułtan. – Nie ja jeden tu w Maskacie. Ludzie nie do końca rozumieją. Nie widzą zamysłu ani wyjaśnienia, ale są tak wystraszeni, że nie chcieli się ze mną spotkać. Ze mną, starym, wieloletnim przyjacielem, człowiekiem, z którym pracowali i któremu ufali.

– Terror rodzi powszechny niepokój. Czegóż się spodziewasz? I jeszcze jedna sprawa. Jesteś Amerykaninem przebranym za Araba. Już samo to musi ich peszyć.

– Nie wiedzieli, co mam na sobie ani jak wyglądam. Słyszeli tylko mój głos przez

telefon.

–Głos Amerykanina. Jeszcze gorzej.

–Chłopca z Zachodu?

–Tu jest więcej ludzi z Zachodu. Ale Stany Zjednoczone ze zrozumiałych powodów nakazały swoim obywatelom opuścić Oman i wstrzymały przyloty wszelkich samolotów cywilnych. Twoi przyjaciele zadają sobie pytanie, jak się tu dostałeś? I po co? Gdy po ulicach krążą bandy szaleńców, być może oni też, z równie zrozumiałych powodów, nie chcą się mieszać do kryzysu w ambasadzie. – Owszem. Ponieważ zginęły już dzieci – dzieci tych, co chcieli się mieszać. Ahmat stał sztywno w miejscu, w jego ciemnych oczach malowało się zdumienie i złość. – Owszem, doszły mnie wieści o zbrodniach i policja robi, co może, ale o tym nie słyszałem, nie o zabójstwach dzieci.

–A jednak to prawda. Komuś zgwałcono córkę, ktoś inny znalazł syna z poderżniętym gardłem.

–Niech cię diabli porwą, jeśli kłamiesz! Jestem może bezradny w sprawie ambasady, ale nie poza nią! Kto tak ucierpiał? Podaj mi nazwiska!

–Mnie ich też nie podano, przynajmniej prawdziwych. Z ostrożności.

–To Mustafa był taki ostrożny. Z nikim innym się nie widziałeś. – Tak.

–Mnie powie, możesz być pewien!

–Więc już rozumiesz? – spytał Kendrick błagalnym niemal tonem. – Widzisz, że to spisek. To nie są żarty, Ahmat. Rzeczywiście powstaje tajna siatka. Ten Mahdi i jego ludzie manipulują terrorystami, aby wykurzyć z kraju wszelką obecną i potencjalną konkurencję. Chcą przejąć całkowitą kontrolę; chcą, żeby wszystkie pieniądze spływały do nich. Młody sułtan ociągał się z odpowiedzią, aż wreszcie potrząsnął głową. – Przykro mi, Evan, nie mogę w to uwierzyć, albowiem nie śmieliby nawet spróbować takich matactw.

–Dlaczego nie?

–Bo komputery wykryłyby labirynt przelewów do centrali siatki, dlatego. A jak złapali Cornfelda i Vesco? Gdzieś musi być połączenie, zbieżność.

–Nie nadążam za tobą.

–Bo zostajesz z tyłu mając słabą znajomość analizy komputerowej – odparł Ahmat. – Niech nawet będzie sto tysięcy rozgałęzień na dwadzieścia tysięcy odrębnych przedsięwzięć; jeśli dawniej doszukanie się ukrytych powiązań pomiędzy, dajmy na to, pięciuset korporacjami, w tym istniejącymi tylko z nazwy, trwałoby całe miesiące, a nawet lata, to dzisiejsze komputery załatwią sprawę w ciągu dwóch godzin.

–Bardzo pouczające – rzekł Kendrick – ale o jednym zapomniałeś.

–O czym?

–Do odkrycia tych połączeń dojdzie już po fakcie, gdy już wszystkie "rozgałęzienia" zostaną wykorzystane. Do tego czasu siatka osiągnie swój cel i lis będzie już miał całą masę kur. Jeśli pozwolisz mi na parę metafor, nie za wielu ludzi będzie miało ochotę zastawiać sidła albo szcuć psy w takich okolicznościach. Kto by sobie głowę zawracał? Pociągi jeżdżą punktualnie i nikt ich nie wysadza w

powietrze. U władzy jest, rzecz jasna, nowy rząd, który ustanowił swoje własne prawa, a jeżeli tobie i twoim ministrom niezbyt przypadną do gustu, znajdą się inni na wasze miejsca. I kto się tym będzie przejmował? Słońce wschodzi jak zawsze każdego ranka i ludzie po staremu idą do swoich zajęć.

–W twoich ustach brzmi to nawet całkiem ponętnie.

–Ba! Początki są zwykle ponętne. Mussolini rzeczywiście doprowadził do tego, że zete cholerne pociągi jeździły punktualnie, a Trzecia Rzesza niewątpliwie ożywiła przemysł.

–Rozumiem w czym rzecz, lecz ty chyba sugerujesz, że tu zanosi się na odwrotny proces. Monopol przemysłowy wszedłby w próżnię i obalił mój rząd, ponieważ opowiada się za stabilnością i rozwojem gospodarczym.

–Dwa punktydla sułtana – przyświadczył Evan. – Dostaje następny klejnot do swego haremu.

–Powtórz to mojej żonie. Jest prezbiterianką z New Bedford, Massachusetts.

–I uszło ci to na sucho?

–Mój ojciec umarł, a ona ma ogromne poczucie humoru.

–Niestety, znów nie nadażam.

–Innym razem. Przypuśćmy, że masz rację, że to próbny rejs, który ma pokazać, czy ich taktyka przetrzyma sztormową pogodę. Waszyngton chce, żebyśmy kontynuowali rozmowy a tymczasem wy opracowujecie plan, który oczywiście zakłada taką czy inną penetrację zwieńczoną atakiem DELTA FORCE, Ale spójrzmy prawdzie w oczy: Ameryka ze swoimi aliantami liczy na przełom dyplomatyczny, ponieważ każda strategia polegająca na użyciu siły może przynieść katastrofalne skutki. Amerykanie kontaktowali się już ze wszystkimi stukniętymi przywódcami na Bliskim Wschodzie i póki nie muszą proponować Arafata na burmistrza Nowego Jorku, gotowi są do rokowań z samym diablem. Co ty proponujesz?

–To, samo, co te twoje komputery mogłyby zrobić w dwa lata, kiedy już będzie za późno. Dojść do źródeł zaopatrzenia ambasady. Nie, w żywność ani lekarstwa, ale w amunicję i broń i wraz z tymi towarami instrukcje, które ktoś przekazuje do środka. Krótko mówiąc, trzeba dotrzeć do tego manipulatora, co obwołał się Mahdim i zdemaskować go. Ubrany w amerykański podkoszulek sułtan spojrział na Evana w migotliwej poświacie księżyca. Wiesz chyba, że spora część prasy zachodniej nie wyklucza możliwości, że to ja za tym wszystkim stoję; że nie w smak mi rozszerzające się wpływy zachodnie w tym kraju. Bo inaczej – mówią – "Dlaczego on nic nie robi?"

–Wiem, ale tak jak Departament Stanu uważam, że to nonsens. Nikt przy zdrowych zmysłach nie daje wiary tym spekulacjom. – Wasz Departament Stanu – rzekł w zamyśleniu Ahmat, nie spuszczać z oczu Kendricka. – Przyszli raz do mnie w 1979 roku podczas kryzysu w Teheranie. Byłem wtedy studentem i nie wiem, czego ci faceci się spodziewali, ale z pewnością nie mnie. Chyba jakiegoś Beduina w długiej, powłóczystej abaji, siedzącego w kucki i palącego fajkę wodną nabitą haszyszem. Może gdybym się przebrał w taki kostium, potraktowaliby mnie poważnie.

–Znów się zgubiłem.

–Ach, przepraszam. Chodzi o to, że gdy tylko się zorientowali, iż ani mój ojciec, ani rodzina nie mogą im pomóc, że nie mamy żadnych powiązań z ugrupowaniami fundamentalistycznymi, nie kryli rozczarowania. Jeden z nich błagał mnie niemalże na klęczkach, twierdząc, że wyglądam na rozsądnego Araba – co oznaczało, że mówię płynnie po angielsku, choć z akcentem skażonym wczesną edukacją w brytyjskich szkołach – i pytając, co ja bym zrobił, gdybym decydował o polityce Waszyngtonu. Ciekawi byli, co bym im poradził, gdyby mnie ktoś prosił o radę... Cholera, miałem wtedy rację!

–Co im powiedziałaś?

–Dokładnie pamiętam. Powiedziałem... "Trzeba było zrobić to wcześniej. Teraz może być za późno, ale może jeszcze się wam uda." Poradziłem im, żeby przygotowali najsprawniejsze siły szturmowe i wysłali je wcale nie do Teheranu, ale do Qum,(zabitej dechami bazy Chomeiniego na północy. Na pierwszy ogień niechby posłali byłych agentów SAYAK; ci już wiedzieliby, jak sobie poradzić, gdyby tylko dostali odpowiednią ilość broni i zapłatę. Powiedziałem im; "Złapcie tych niepiśmiennych mułłów, co go otaczają, wywieźcie ich stamtąd żywych i pokażcie całemu światu w telewizji". Sam Ajatollah byłby głównym atutem przetargowym, a kudłaci fanatycy z jego świty posłużyliby tylko do ośmieszenia całego towarzystwa. Można było wówczas dobić targu. Evan przyjrzał się gniewnemu młodzieńcowi. – Całkiem możliwe, że coś by z tego wyszło – rzekł cicho – chyba że Chomeini postawiłby się i rozpoczął głodówkę jako męczennik za sprawę.

–Nie zdobyłby się na to daje głowę. Zgodziłby się na jakiś układ; doszłoby do kompromisu, zaproponowanego wprowadzie przez innych, rzecz jasna, ale z jego inicjatywy. Wcale nie miałyby zamiaru tak rączo iść do tego nieba, które zachwalał innym ani też ginąć śmiercią męczennika, jaką oferował posyłanym na pola minowe dzieciom.

–Skąd ta pewność? spytał Kendrick, sam niezbyt przekonany. – Poznałem osobiście tego półgłówka w Paryżu... co nie znaczy wcale, że usprawiedliwiam Pahlawiego z jego SAYAK i pazerną rodzinką, broń Boże... ale Chomeini był zgrzybiałym bigotem, który chciał wierzyć we własną nieśmiertelność i zrobiłby wszystko, żeby inni też uwierzyli. Słyszałem na własne uszy, jak wmawiał grupie schlebających mu kretynów, że ma nie dwóch czy trzech, ale dwudziestu, może trzydziestu, a nawet czterdziestu synów, "Rozsiałem swe nasienie i nadal je będę rozsiewał – chełpił się. – Wolą Allacha jest, bym swe nasienie rozrzucił daleko i szeroko". Bełkot! Czy wyobrażasz sobie rozmnożenie na tym i tak już dość chorym świecie małych ajatollahów? Powiedziałem twoim rodakom, że jak już go przychwycą, powinni nakręcić go na wideo z odsłoniętą gardą, gdy prawi kazania swoim niepoczytalnym kapłanom – z jednej strony lustro, z drugiej szyba, wiesz, o co chodzi – i jego święta persona pękłaby jak balon wśród globalnego wybuchu śmiechu.

–Widzę, że chcesz wrzucić Chomeiniego i tego Mahdiego do jednego worka.

–Nie wiem,może, jeśli twój Mahdi w ogóle istnieje, w co wątpię. Ale jeżeli masz

rację i on naprawdę istnieje, to działa jakby z przeciwnego bieguna, bardzo praktycznego, niereligijnego bieguna. A jednak ten, komu dziś przychodzi do głowy pomysł, że musi wskrzesić ducha Mahdiego, ma niebezpiecznego Boga... Wciąż nie jestem przekonany, Evan, ale twoje argumenty nie są błahe i ze swojej strony zrobię, co mogę, żeby ci pomóc, pomóc nam wszystkim, lecz z dystansu i przy zachowaniu absolutnej dyskrecji. Podam ci numer telefonu, pod który możesz dzwonić; jest całkowicie tajny, wręcz nie istnieje, i znają go tylko jeszcze dwie osoby. Będziesz mógł ze mną rozmawiać, ale wyłącznie ze mną. Widzisz, szajch Kendrick, nie wolno mi cię znać.

–Jestem niezwykle popularny. Waszyngton też nie chce mnie znać. – Jasna sprawa. Nikt nie chce mieć na rękach krwi amerykańskich zakładników.

–Będą mi potrzebne papiery i prawdopodobnie wykazy lotniczych i morskich dostawców, ze wskazanych przeze mnie kierunków. – Wszystko słownie, nic na piśmie – z wyjątkiem dokumentów. Dostaniesz nazwisko i adres; odbierzesz od tej osoby papiery. – Dziękuję. Ciekawe, że Departament Stanu postawił ten sam warunek. Żadnej informacji od nich nie wolno mi zapisać.

–Z tych samych powodów...

–Bądź spokojny. Wszystko to zgadza się z moimi intencjami. Widzisz, Ahmat, ja też nie chcę cię znać.

–Czyżby?

–Taką mam umowę z Departamentem Stanu. Nie ma mnie w ich rejestrach i nie chcę figurować w twoich. Młody sułtan uniósł brwi w zamyśleniu, patrząc Evanowi prosto w oczy. – Zgoda, choć nie będę udawał, że cię rozumiem. Marnujesz życie, to jedno, ale czy uda ci się coś osiągnąć, to inna sprawa. Dlaczego? Słyszałem, że jesteś teraz politykiem. Kongresmanem. – Rezygnuję z polityki i wracam tutaj, Ahmat Sklejam rozbite kawałki i wracam do pracy, w której się najlepiej sprawdziłem, ale nie chcę brać ze sobą bagażu stanowiącego łatwy cel. Ani narażać innych osób.

–Dobrze, masz moją zgodę i wdzięczność w obu wypadkach. Mój ojciec uważał, że ty i twoi ludzie byliście najlepsi. Pamiętam, jak raz powiedział mi: "Te durne wielbłądy nigdy nie naciągają kosztów". Rzecz jasna, mówił to życzliwie.

–I oczywiście dostawaliśmy zazwyczaj nowe zamówienie, więc nie byliśmy aż tacy durni, prawda? Postanowiliśmy stosować rozsądne marże i z powodzeniem ograniczaliśmy koszty... Ahmat, zostały nam tylko cztery dni, zanim dojdzie do kolejnych egzekucji. Musiałem się upewnić, czy w razie potrzeby mogę liczyć na twoją pomoc. Teraz już wiem. Przyjmuję twoje warunki, a ty akceptujesz moje. A teraz, błagam, nie mogę stracić ani godziny. Pod jakim numerem mam się, z tobą kontaktować?

–Nie wolno ci go zapisać.

–Jasne. Sułtan podał Kendrickowi numer. Zamiast zwykłego kierunkowego 745 do Maskatu, należało wybrać 555, następnie trzy zera i czwartą piątkę. – Zapamiętasz?

–Nie jest trudny – odpowiedział Kendrick, – Czy rozmowy przechodzą przez pałacową centralę?

–Nie. Jest to bezpośrednia linia do dwóch telefonów zamkniętych na klucz w

stalowych szufladach; jeden znajduje się w moim gabinecie, drugi w sypialni. Nie dzwonią, tylko sygnalizują połączenie małymi, czerwonymi lampkami. W gabinecie lampka wbudowana jest w prawą tylną nogę biurka, a w sypialni umieszczona jest w stoliku nocnym. Oba telefony po dziesiątym sygnale stają się automatycznymi sekretarkami.

–Dopiero po dziesiątym sygnale?

–Żebym zdążył pozbyć się ludzi i mógł rozmawiać bez świadków. Gdy przebywam poza pałacem, mam przy sobie sygnalizator dźwiękowy, który daje mi znać, kiedy ktoś dzwoni na ten numer. W odpowiednim czasie mogę na odległość odsłuchać nagraną wiadomość przez zakłócany aparat, rzecz jasna.

–Wspomniałeś, że tylko dwie osoby oprócz Mnie znają ten numer. Czy mam wiedzieć, kto to jest, czy też nie powinienem się wtrącać?

–Nie mam czego ukrywać – odrzekł Ahmat, taksując ciemnobrązowymi oczami Amerykanina. – Pierwszą osobą jest minister bezpieczeństwa, drugą zaś moja żona.

–Dziękuję za zaufanie. Młody sułtan nie spuszczał oczu z Kendricka. – Spotkało cię w naszych stronach straszne nieszczęście, Evan. Zginęło tylu ludzi, tylu bliskich przyjaciół, potworna i bezsensowna tragedia, tym okropniejsza, że spowodowana chciwością ludzką. Muszę cię o coś spytać. Czy obecny szal w Maskacie do tego stopnia ożywił bolesne wspomnienia z przeszłości, że chwytasz się nawet najbardziej niesamowitych teorii, by walczyć z upiorami?

–Żadnych upiorów, Ahmat Mam nadzieję, że ci to udowodnię. – Może.,, jeśli przeżyjesz.

–Powtórzę ci to, co powiedziałem Departamentowi Stanu. Nie mam najmniejszego zamiaru szturmować w pojedynkę ambasady. – Gdybyś się porwał na coś takiego, okazałbyś się takim szaleńcem, że oszczędzono by cię. Szaleńcy lgną do swoich.

–Tym razem ty puszczasz wodze fantazji.

–Niewątpliwie – zgodził się sułtan Omanu, wciąż przyglądając się bacznie kongresmanowi z Kolorado. – Czy pomyślałeś, co się może stać – nie gdybyś został zdemaskowany i złapany przez terrorystów; nie pożyłbyś dość długo, by się zastanawiaćle gdyby ci sami ludzie, z którymi chciałeś się spotkać stanęli przed tobą i zażądali wyjaśnień, co cię tu właściwie sprowadza? Co byś im powiedział? – Zasadniczo prawdę, nie miałbym wiele do ukrycia. Działam na własną rękę, jako osoba prywatna bez żadnych powiązań z moim rządem, co da się sprawdzić. Zarobiłem tu sporo pieniędzy i chcę wrócić do pracy. Jeśli mogę w czymkolwiek pomóc robię to we własnym, dobrze pojętym interesie.

–A więc sprowadzasz wszystko do korzyści własnej. Masz zamiar tu wrócić i jeżeli skończy się ta szaleńcza masakra; tylko na tym zyskasz. Jeżeli zaś nie da się jej powstrzymać nie masz do czego wracać.

–Nic dodać, nic ująć.

–Bądź ostrożny, Evan. Mało kto ci uwierzy, a jeśli wśród twoich przyjaciół panuje taki strach, o jakim wcześniej wspominałeś, to kto wie, czy to wróg pierwszy będzie próbował cię zabić.

–Już zostałem ostrzeżony – powiedział Kendrick.

–Jak to?

–Facet w ciężarówce, sahbi, który mi pomógł.

Kendrick leżał na łóżku z szeroko otwartymi oczyma, bijąc się z myślami, przebiegając od jednej możliwości do drugiej, jednego mgliście pamiętanego nazwiska do drugiego, twarzy, innej twarzy, biura, ulicy... portu, nabrzeża. Wciąż wracał do nabrzeża, doków – od Maskatu na południe po AlQurajjat i Ra's alHadd. Dlaczego? Raptem olśniło go i już wiedział, dlaczego. Ileż to razy wraz z Manny'm Weingrassem załatwiali transport sprzętu, opłacając wolną powierzchnię ładunkową na frachtowcach z Bahrajnu i Emiratów na północy? Tyle że nie dało się tego zliczyć. Ten stumilowy pas wybrzeża na południe od Maskatu i siostrzanego portu Matrah stanowił otwarte terytorium, szczególnie poniżej Ra's alHadd. Ale stąd aż do Cieśniny Masira drogi były gorzej niż prymitywne, a podróżni zmierzający w głąb lądu narażali się na ataki hammija, grasujących konno złodziei, których łupem padali zazwyczaj inni złodzieje, transportujący kontrabandę. Mimo to, biorąc pod uwagę liczebność i głębię kontaktów połączonych sił wywiadowczych przynajmniej sześciu krajów zachodnich skupionych w Maskacie, należałoby dokładnie zbadać południowy odcinek wybrzeża Omanu. Nie znaczy to, że Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi, Włosi, Niemcy i reszta nacji usiłujących wspólnie zbadać i rozwiązać problem zakładników w Maskacie zapomnieli o tych rejonach omańskiego wybrzeża, lecz w rzeczywistości w Zatoce stacjonowało mało amerykańskich kutrów patrolowych, tych rączych, wszędobylskich rakiet na wodzie. Te, które były na miejscu, nie zaniedbywały swoich obowiązków, jednak brakowało im tej zaciekłości, która udziela się ludziom w gorączce poszukiwań, gdy wiedzą, że morduje się ich rodaków. Chyba nie rwali się nawet zbytnio do starć z terrorystami, obawiając się odpowiedzialności za dodatkowe egzekucje. Południowe wybrzeże Omanu zasługiwało na uwagę. Z rozmyślań wyrwał go nagły, ostry dźwięk, jakby gorące, suche powietrze hotelowego pokoju przecięła okrętowa syrena. Dzwonił telefon; Evan podniósł słuchawkę. – Tak? Uciekaj z hotelu – odezwał się cichy, zduszony głos. – Ahmat? – Evan spuścił nogi na podłogę.

–Tak! Rozmawiam przez bezpośredni telefon. Jeżeli jesteś na podsłuchu, i tak usłyszysz z mojej strony tylko bełkot.

–Przed chwilą powiedziałem twoje imię.

–Ahmatów są tu tysiące.

–Co się stało?

–Mustafa. Z powodu tych dzieci, o których mi mówiłeś, zadzwoniłem do niego i kazałem mu natychmiast przyjść do pałacu. Niestety, w zapamiętaniu powiedziałem mu, co mnie gnębi. Musiał do kogoś zadzwonić, powiedzieć coś komuś innemu.:

–No i co z tego?

–Został zastrzelony w samochodzie w drodze na spotkanie ze mną.

–O Boże!

–Jeśli się mylę, jedynym innym powodem zabójstwa było jego spotkanie z tobą.

–Chryste...

–Wyjdź natychmiast z hotelu i nie zostawiaj żadnych śladów. Grozi ci śmiertelne

niebezpieczeństwo. Zobaczysz dwóch policjantów; pójdą za tobą, będą cię ochraniać i gdzieś na ulicy jeden z nich poda ci nazwisko człowieka, który dostarczy ci papiery.

–Już wychodzę – rzekł Kendrick zrywając się na równe nogi i skupiając uwagę na usunięciu takich rzeczy jak paszport, pas z pieniędzmi, bilety lotnicze i ubranie, które prowadziłyby do Amerykanina w samolocie z Rijadu. Evan szajch – głos Ahmata był niski, stanowczy. – Jestem już przekonany. Twój Mahdi istnieje. Istnieją jego ludzie. Szukaj ich. Szukaj jego.

*** * ***

Rozdział 5

–Hasib! Usłyszał za sobą ostrzeżenie. "Uwaga!". Nim zdążył się obejrzeć, został przyciśnięty do ściany budynku na zatłoczonej, wąskiej ulicy przez jednego z podążających za nim policjantów. z twarzą przy murze, osłonięty ghotrą, obrócił nieco głowę i ujrzał dwóch brodatych, niechlujnych wyrostków w paramilitarnych mundurach polowych, którzy kroczyli przez bazarową aleję, wymachując ciężkimi, czarnymi karabinami, kopiąc stragany przekupniów i wycierając ciężkie bucioryna rozłożonych przed przykucniętymi sprzedawcami tkanych dywanikach.

–Proszę uważać! – szepnął policjant szorstkim, gniewnym, a przy tym jakby ceremonialnym tonem. – Oni nas nie widzą!

–Nie rozumiem. Buńczuczni, młodzi terroryści podeszli bliżej.

–Proszę się nie ruszać! – rozkazał Arab, przyciskając Kendricka z powrotem do muru i osłaniając Amerykanina swoim ciałem. – Dlaczego... – Uzbrojeni bandyci przeszli, torując sobie bez skrpułów drogę lufami karabinów.

–Proszę stać spokojnie! Upili się albo zakazanym alkoholem, albo krwią swoich ofiar. Ale dzięki Allahowi, że są poza ambasadą. – Dlaczego?

–W mundurach nie wolno nam pojawiać się w pobliżu ambasady, ale jeżeli oni wyjdą stamtąd, to już inna sprawa. Mamy rozwiązane ręce.

–I co wtedy? Przed nimi jeden z terrorystów uderzył kolbą stawiającego się Omańczyka w głowę; drugi wygrażał tłumowi karabinem.

–Albo czeka ich wyrok surowego Allacha, na którego plują – odrzekł szeptem policjant z gniewem w oczach – albo dołączą do innych rozwydrzonych, brudnych świń! Niech pan tu zostanie, ja szajch! Tu, na tym małym bazarze. Zaraz wrócę, mam przekazać panu nazwisko.

–Innych, jakich innych brudnych świń? – słowa Evana trafiły w próżnię; oficer sułtańskiej policji odskoczył od muru i dołączył do swego kolegi, który przepływał przez posępne, wzburzone i zastraszone morze abai. Kendrick owinął ghotrę wokół twarzy i pobiegł za nimi. To, co teraz nastąpiło było tak oszałamiające i błyskawiczne dla niewprawnego oka jak cięcie skalpelem chorego organu. Drugi policjant obejrzał się na swegotowarzysza. Wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia, w kilku susach dopadli obu bezczelnych terrorystów. Przed nimi po prawej stronie biegł główny pasaż targowy; jakby niesłyszalny sygnał alarmowy przeszył wąski bazar, ciżba sprzedawców i przechodniów rozpiezchła się na wszystkie strony. W mgnieniu oka hala wyludniła się i zmieniła w pusty, mroczny tunel. Noże policjantów wbiły się jednocześnie w prawe ramiona dwóch zuchwałych zabójców. Głośny i wciąż

narastający pomruk przemieszczającego się tłumu zagłuszył krzyki bandytów, którym wypadła z rąk broń, oczy wyszły na wierzch z niedowierzania, z kłutych ran trysnęła krew; w jednej chwili arogancja ustąpiła miejsca wściekłej słabości; woleliby zapewne śmierć niż hańbę. Wierni Ahmatowi policjanci zagnali terrorystów do mrocznego pasażu, a niewidzialne ręce rzuciły za nimi potężną, śmiercionośną broń. Kendrick przedarł się przez kłębowisko ciał i wbiegł do opuszczonego tunelu. Pięć metrów od wejścia młodzi zabójcy leżeli z dzikim wzrokiem na kamiennym trotuarze, a nad ich gardłami wisiały noże policjantów.

–La! – krzyknął opiekun Evana. – Nie! Proszę stąd odejść! – Przeszedł na angielski w obawie, że Kendrick nie zrozumie. – Niech pan ukryje twarz i nie odzywa się!

–Muszę się o coś spytać! – zawołał Kendrick, odwracając się, lecz bagatelizując drugą komendę. Ci dwaj chyba i tak nie rozumieją po angielsku...

–Chyba rozumieją, ja szajch – wtrącił się drugi policjant. – Cokolwiek chce pan powiedzieć, niech pan poczeka! Jako rzecznikowi musi pan być mi posłuszny, czy to jasne?

–Jasne. – Evan oświadczył szybkim skinieniem i zawrócił do arkady u wejścia na bazar.

–Zaraz do pana przyjdę, ja szajch – rzekł opiekun Kendricka, nie spuszczać z oka swojego więźnia. "Wyprowadzimy te świny z drugiej strony i zaraz wracam...", Słowa policjanta przerwał gwałtowny, rozdzierający krzyk protestu. Evan odruchowo odwrócił głowę i zaraz tego pożałował, obawiając się, że tego widoku nie wymaże z pamięci do końca życia. Leżący po lewej stronie terrorysta chwycił długi nóż policjanta i szarpnął nim w dół, podcinając sobie gardło. Kendricka ścisnęło w żołądku; chciało mu się wymiotować.

–Dureń! – ryknął drugi policjant, nie tyle z wściekłością, co z przerażeniem. – Gówniarz! Świnia! Dlaczego to sobie zrobiłeś? Dlaczego mi to zrobiłeś? – Lament nanic się nie zdał, terrorysta już nie żył; po młodej, brodatej twarzy spływała krew. Kendrickowi przyszło na myśl, że właśnie ujrzał jakby mikrokosmos gwałty bólu i daremności, miniaturę świata Bliskiego Wschodu.

–Wszystko się zmieniło – powiedział pierwszy policjant trzymając nóż nad otwartymi ze zdumienia ustami więźnia i trącając w ramię swego kolegę. Ten potrząsnął głową, jakby chciał stracić z oczu i pamięci młode, zalane krwią zwłoki, po czym dał znak, że zrozumiał. Pierwszy policjant podszedł do Kendricka. – Robi się późno. Wieść o tym incydencie nie może roznieść się na inne ulice, musimy więc szybko załatwić sprawę. Człowiek, którego pan szuka, i który pana oczekuje znany jest jako ElBaz. Znajdzie go pan na bazarze za starą południową fortecą w porcie. Jest tam sklepik z pomarańczową baklawą. Proszę się pytać w środku.

–Południowa forteca... w porcie?

–Są dwie kamienne fortece wzniesione przed wiekami przez Portugalczyków. Mirani i Dżalili...

–Tak, pamiętam – przerwał Evan, dukając nieskładnie, usiłując pozbierać myśli, odwróciwszy wzrok od śmiertelnej rany okaleczonego ciała w ciemnym tunelu. – Dwa

forty zbudowane po to, aby bronić portu przed atakami piratów. Teraz to już ruiny... sklepik z pomarańczową baklawą.

–Nie ma czasu! Szybko! Niech pan biegnie do drugiego wyjścia. Nie może pan zostać tu ani chwili dłużej. Szybko!

–Najpierw proszę odpowiedzieć mi na pytanie – odparł Kendrick zdenerwowanemu policjantowi, nie ruszając się z miejsca. – Bo zostanę tutaj, a pan odpowie za to przed sułtanem.

–Jakie znów pytanie? Proszę już iść!

–Powiedział pan, że ci dwaj mogą dołączyć do "innych, rozwydrzonych... świń", to pańskie słowa. Jakich innych świń? Gdzie? – Nie ma czasu!

–Czekam na odpowiedź! Policjant wciągnął głęboko powietrze przez nos, trzęsąc się ze zniecierpliwienia. – No dobrze. Takie incydenty zdarzały się już wcześniej. Zatrzymaliśmy licznych więźniów, których się przesłuchuje. Nie wolno nam rozmawiać...

–Ilu?

–Trzydziestu, czterdziestu, może pięćdziesięciu dotychczas. Znikają z ambasady, a inni zajmują ich miejsca!

–Gdzie? Oficer spojrzał na Evana i potrząsnął głową. – Nie, ja szajch, tego panu nie powiem. Niech pan idzie!

–Rozumiem. Dziękuję. – Kongresman z Kolorado uniósł abożę i obiegił pasażem do wyjścia, odwracając głowę, gdy mijał zwłoki terrorysty, którego krew wypełniała teraz szczeliny pomiędzy kamieniami trotuaru. Wybiegł na ulicę, spojrzał w niebo i obrął kierunek. Do morza, do ruin prastarej fortecy na południowym brzegu portu. Miał odnaleźć człowieka zwanego ElBaz i załatwić sobie miejscowe papiery, ale jego myśli zajęte były bynajmniej nie tą sprawą, lecz informacją, którą usłyszał przed chwilą: trzydziestu, czterdziestu, może pięćdziesięciu dotychczas. Od trzydziestu do pięćdziesięciu terrorystów przetrzymywano w odosobnionym miejscu w mieście lub poza jego granicami, gdzie byli przesłuchiwanymi przy użyciu bardziej lub mniej brutalnych metod przez połączone jednostki wywiadu, Ale jeśli prawdziwa była jego teoria, że te agresywne dzieciaki to opętane szumowiny islamu, sterowane przez barona finansowej mafii z Bahrajnu, wszelkie techniki śledcze od faraonów poprzez świętą inkwizycję do obozów w Hoa Binh nie warte były funta kłaków. Chyba że jednemu z więźniów przekaze się imię, które poruszy w nim najczulsze struny fanatycznego uwielbienia i skłoni go do wyjawienia tego, czego normalnie nie zdradziłby nawet za cenę życia. W tym celu należało wybrać nie byle jakiego fanatyka, rzecz jasna, ale przecież taka możliwość istniała. Evan sam powiedział Swannowi, że bodaj jeden na dwudziestu terrorystów jest na tyle inteligentny, że nada się do tego – jeden na dwudziestu, w sumie dziesięciu czy dwudziestu zabójców w całym kontyngencie. w ambasadzie jeśli miał rację. Czy jeden z nich mógł znajdować się pomiędzy kilkudziesięcioma Więźniami w tym odosobnionym, tajemnym areszcie? Szansę były znikome, ale kilka godzin wśród nich, co najwyżej jedna noc, rozwiałoby wątpliwości. Warto było poświęcić na to czas, jeśli tylko zdąży. Aby zacząć pogoń, potrzebował kilku słów: nazwisko, miejsce punkt na

wybrzeżu, hasło, które zaprowadziłoby go do Bahrajnu. Coś! Musiał dostać się do tegoaresztu jeszcze tej nocy. Wznowienie egzekucji miało nastąpić za trzy dni od jutra o dziesiątej rano. Najpierw papiery od ElBaza. Ruiny starej portugalskiej fortecy wznosiły się groźnie ku zasnutemu niebu. Ostre kontury dawały świadectwo siły i zuchwałości morskich awanturników sprzed stuleci. Evan przeszedł szybkim krokiem przez dzielnicę Harat Waldżat na targ zwany Sabat Ajnub, co w wolnym tłumaczeniu znaczyło koszyk winogron, rynek o bardziej złożonej strukturze niż zwykły bazar, ze schludnymi sklepikami okalającymi plac i oszalałymi architekturą, w której mieszały się arabskie, perskie, hinduskie i najnowocześniejsze zachodnie wpływy. Ślady tych różnorodnych naleciałości kiedyś się rozmyją – pomyślał Kendrick; powróci omańska obecność, po raz kolejny potwierdzając nietrwałość wszelkich uzurpatorów – militarnych, politycznych czy terrorystycznych. Teraz interesowali go ci ostatni. Mahdi. Wszedł na wielki plac. Na jego środku tryskała rzymska fontanna nad ciemną, okrągłą sadzawką z posązką, który w zamyśle włoskiego rzeźbiarza miał wyobrażać postać kroczonego donikąd pustynnego szejka w rozwianych szatach. Ale Evana interesowali przede wszystkim żywi ludzie. Większość stanowili mężczyźni – arabscy kupcy, zachwalający towar bogatym, turystom głuchym na chaos w ambasadzie, wyróżniającym się zachodnim ubiorem i mnogością złotych bransoletek oraz łańcuszków. Omańczycy zaś zachowywali się jak ożywione roboty koncentrując się usilnie na rzeczach błahych i przymykając uszy na bezustanną kanonadę w ambasadzie amerykańskiej niecały kilometr dalej; mrużyli oczy, wykrzywiali twarz, unosili brwi ze zdziwienia i niedowierzania. To, co działo się w ich spokojnym Maskacie, nie mieściło im się w głowie; nie przyznawali się do tego obłądu, nie mieli z tym nic wspólnego, starali się więc w miarę możliwości zachować dystans. Ujrzał poszukiwany szyld. Baklawa bahrtoan. "Pomarańczowa baklawa" – specjalność cukierenki. Mały, brązowy sklepik w tureckim stylu z wymalowanym nad szklaną witryną rzędem minaretów wciśnięty był pomiędzy wielki, jasno oświetlony sklep z biżuterią i równie szykowny butik z galanterią skórzaną, w którego oknie wystawowym widniał szeroki, czarnożłoty napis "Paris" przed starannie ułożonymi stosami walizek i innych akcesoriów. Kendrick przeszedł plac na skos"obok fontanny i stanął przed drzwiami cukierni. –

–Twoi ludzie mieli rację – powiedziała ciemnowłosa kobieta w eleganckim czarnym kostiumie, wychodząc z mroków Harat Waldżat, z miniaturowym aparatem w ręku. Podniosła go do oka i nacisnęła migawkę; aparat z automatycznym naciąganiem wykonał kilka szybkich zdjęć Kendricka wchodzącego do cukierni na Sabat Ajnub. Czy został zauważony na bazarze? – zwróciła się do niskiego, stojącego za nią Araba w średnim wieku, chowając aparat do torby. – Opowiadano szeptem o mężczyźnie, który wbiegł do hali za policją – odrzekł informator, nie odrywając oczu od cukierni. – Ale słyhać było również przeciwne zdania, przekonywające, jak sądzę. – Na ile przekonywające? Przecież go widziano.

–Ale w całym zamieszaniu nie widziano go, jak wybiegał, ściskając portfel, który prawdopodobnie zwinęły mu te świnie. Taką informację przekazał gapiom nasz człowiek. Inni potwierdzili ją oczywiście z równym przekonaniem, albowiem

rozhisteryzowany tłum zawsze rzuca się na każdą nową informację nie znaną obcym. Jest wtedy lepiej poinformowany, a co za tym idzie, ważniejszy. – Bardzo dobrze sobie radzisz – powiedziała kobieta ze stłumionym śmiechem. Twoi ludzie też.

–Musimy, ja anisa Khalehla – odrzekł Arab, tytułując ją omańską formą wyrażającą najwyższy respekt. – Mamy wszak świadomość alternatyw, o których lepiej nawet nie myśleć.

–Dlaczego właśnie ta cukierenka? – spytała Khalehla. – Masz jakiś pomysł?

–Nie mam pojęcia. Nie znoszę baklawy. Nie kapie z niej miód, tylko się leje.

Przysmak Żydów.

–Mój też.

–W takim razie i oni, i pani zapomnieliście co zrobili wam Turcy. – Nie sądzę, by nasz cel wszedł do cukierni na baklawę albo przygotowywał historyczny traktat na temat Turków jako ciemnoczłowieków plemion Egiptu i Izraela.

–I to mówi córka Kleopatry? – uśmiechnął się Informator. – Ta córka Kleopatry nie ma zielonego pojęcia, o czym mówisz. Próbuję tylko czegoś się dowiedzieć.

–Więc niech pani zacznie od wojskowego samochodu, który po modłach el Maghrebu zabrał obiekt pani zainteresowań kilka ulic od jego hotelu. To fakt o niebagatelnym znaczeniu.

–Musi mieć przyjaciół w armii.

–W Maskacie stacjonuje wyłącznie garnizon sułtana.

–A więc?

–Oficerowie dwa razy w miesiącu podlegają rotacji między miastem a posterunkami w Dzuddzie i Marmulu oraz mniej więcej tuzinem garnizonów wzdłuż granicy z Jemenem Południowym.

–Do czego zmierzasz?

–Do dwóch rzeczy naraz, Khalehlo. Po pierwsze, wydaje mi się niewiarygodne, aby nasz przyjaciel przez czysty przypadek po czterech czy pięciu latach tak wygodnie natrafił na kolegę w raczej niewielkim, rotacyjnym korpusie oficerskim, stacjonującym w Maskacie akurat w ciągu tych dwóch tygodni i to w korpusie, którego skład przecież zmienił się przez telata... (

–Zaiste dziwny to przypadek, ale możliwy: A"po drugie?

–Drugie w zasadzie wyklucza pierwsze. W tych dniach żaden pojazd garnizonu w Maskacie nie zabrałby cudzoziemca w taki sposób i w takim przebraniu bez wiedzy najwyższego dowództwa. – Sułtana?

–A kogóż by innego?

–Nie ośmieliłby się! Jest w potrzasku. Jeden niewłaściwy ruch, a będzie odpowiadał za każdą kolejną egzekucję. Gdyby do tego doszło, Amerykanie zrównaliby Maskat z ziemią;. Dobrze o tym wie! – Być może wie również, że odpowiada zarówno za to, co robi, jak i za to, czego nie robi. W tej sytuacji lepiej wiedzieć, co robią inni, choćby po to, by wesprzeć ich radą... lub też nie dopuścić do zbędnego działania za pomocą jeszcze jednej egzekucji. Khalehla wbiła w informatora wzrok w przyćmionym świetle na obrzeżach placu. – Jeśli ten wóz wojskowy wzięł tego człowieka na spotkanie z sułtanem, to przecież przywiózł go z powrotem. –

Owszem – przyznał jej towarzysz stanowczym tonem, jakby zrozumiał konsekwencje tego faktu.

–Co oznacza, że jego propozycja nie została natychmiast odrzucona.

–Wszystko na to wskazuje, ja anisa Khalehla.

–A zatem musimy dowiedzieć się, co to za propozycja.

–Byłoby dla nas wszystkich nader niebezpieczne, gdybyśmy się nie dowiedzieli – zgodził się Arab. – Chodzi nam nie tylko o los dwustu trzydziestu sześciu Amerykanów, ale również o los całego narodu – mojego narodu, winienem dodać – i zrobię wszystko, żeby pozostał nasz. Czy pani rozumie, droga Khalehlo?

–Tak ja sahib el Aumer.

–Lepsza martwa liczba niż katastrofalny przełom.

–Doskonale rozumiem.

–Czy aby na pewno? Byliście w znacznie korzystniejszym położeniu w basenie Morza Śródziemnego niż my tu w naszej zapomnianej Zatoce. Teraz kolej na nas. Nikt nas nie zdoła powstrzymać. – Bardzo mi na tym zależy. Nam na tym zależy.

–Rób więc, co musisz, ja sahbi Khalehla.

–Oczywiście. – Szykownie ubrana kobieta sięgnęła do torby i wyciągnęła krótki pistolet automatyczny. Trzymając broń w lewej ręce, znów pogrzebała w torbie i wyjęła magazynek z nabojami; wprawnym ruchem wepchnęła go do podstawy kolby i zatrzasnęła komorę. Broń była gotowa do strzału. – Idź już, adim sahbi – powiedziała, poprawiając na ramieniu pasek torby, w której tkwiła zaciśnięta na automacie dłoń. – Rozumiemy się, a ty musisz teraz być w innym miejscu, tam gdzie inni mogą cię zobaczyć, nie tutaj.

–Salam alejkum, Khalehla. Niech Allah cię prowadzi.

–To jego wyślę do Allacha, może go wysłucha... Szybko! Wychodzi z cukierni! Pójdę za nim i zrobię to, co należy zrobić. Za dziesięć do piętnastu minut musisz znaleźć się wśród ludzi, z dala ode mnie. – Tylko bądź ostrożna,, ty nas chronisz, jesteś naszym skarbem, droga Khalehlo.

–To raczej niech on uważa. Przeszkadza nam.

–Pójdę do meczetu Zwadi i porozmawiam ze starszymi mułłami i muezinami. Świętym oczom się wierzy. To niedaleko, najwyżej pięć minut.

–Alejkum essalam – rzekła na pożegnanie kobieta, ruszając w lewo przez plac. Nie spuszczała z oczu Amerykanina w arabskim stroju, który minął fontannę i szedł szybkim krokiem ku ciemnym, wąskim uliczkom na wschód, za targ Sabat Ajnub. Co ten przekłety dureń wyprawia? – pytała siebie w myślach. Zdjęła kapelusz, zgmiotła go lewą ręką i wepchnęła do torby obok pistoletu, który ścisnęła gorączkowo w prawej dłoni. Idzie do misz kwajis iszszan – skonstatowała, mieszając w myślach dwa języki, po arabsku określając to, co na Zachodzie zwie się podejrzaną dzielnicą miasta, od której stronią obcy. Mieli rację. Jest amatorem, a ja nie mogę przecież wejść tam w tym stroju! Ale muszę. Boże święty, przez niego zginiemy oboje! Evan Kendrick szybkim krokiem przemierzał nierówne warstwy kamieni, którymi wybrukowana była wąska uliczka. Mijał niskie, odrapane, ciasno zbite domy i półdomy – kruche konstrukcje z płótnem albo zwierzęcymi skórami zamiast szyb w

oknach; te, które się jeszcze jako tako trzymały, zabezpieczone były drewnianymi okiennicami w oplakany stan. Zewsząd wystawały gołe druty, straszły zdemolowane i okradzione skrzynki transformatorowe. Ostre zapachy arabskiej kuchni mieszały się tu z mocniejszymi, charakterystycznymi woniami haszyszu i palonych liści koki, które przemycano do nie patrolowanych zakamarków Zatoki, a stamtąd dalej do siedlisk ludzkiego wykołajenia. Mieszkańcy tego skrawka getta poruszali się wolno, ostrożnie i podejrzliwie po mrocznych pieczarach swojego świata, za pan brat z całym jego upodleniem, przywykli do jego wewnętrznych niebezpieczeństw, pogodzeni ze swym zbiorowym piętnem odszczepieńców – ich dobre samopoczucie potwierdzały dochodzące raz po raz zza zamkniętych okiennic nagłe wybuchy śmiechu. W misz kwajis iszszan nie dominował żaden styl ubioru. Abaje i ghatry koegzystowały z dziurawymi džinsami, zakazanymi minispódniczkami oraz mundurami marynarzy i żołnierzy różnych nacji – wyłącznie brudnymi uniformami rekrutów, aczkolwiek chodziły słuchy, że ten czy ów oficer pożyczał mundur od podwładnego, by zapuścić się do tej dzielnicy i zakosztować jej zakazanych uciech. Ku utrapieniu Evana w bramach zbierali się mieszkańcy domów, zasłaniając mu i tak ledwie widoczne numery na murach. Irytowały go również krzyżujące się tu i ówdzie z główną drogą zaułki, które powodowały luki w ciągłej numeracji poszczególnych odcinków ulicy. ElBaz. Numer 77 Szari el Balah – ulica Daktylowa. Gdzie to jest? Wreszcie. Zatrzymał się przed głęboko osadzoną bramą z grubymi, żelaznymi prętami zagradzającymi zamknięte, wbudowane w górną część drzwi okienko znajdujące się na wysokości oczu. Jednakże drzwi blokował mężczyzna siedzący w kucki po prawej stronie mrocznego wejścia.

–Esmahli? – przeprosił Araba Kendrick i ruszył ku drzwiom. – Laj? – zgarbiona postać odparła pytaniem po co?

–Jestem umówiony – odpowiedział po arapsku Evan. – Ktoś na mnie czeka.

–Kto cię tu przysła? – spytał mężczyzna, nie ruszając się z miejsca. – Nie twoja rzecz.

–Siedzę tu nie po to, żeby mi tak odpowiadano; Arab podniósł się nieco, zastawiając plecami drzwi; spod rozchylonych zwojów abai wyzierała kolba wetkniętego za pas pistoletu. – Pytam jeszcze raz. Kto cię przysła? Evan zastanowił się, czy policjant sułtana nie zapomniał podać mu jakiegoś imienia czy hasła, bez którego nie zostanie wpuszczony do środka. Zostało tak mało czasu! Nie potrzebował tej przeszkody; spróbował odpowiedzieć wymijająco, – Wstąpiłem do cukierni na Sabat Ajnub – rzucił pośpiesznie. – Rozmawiałem...

–Cukierni? – przerwał mu Arab z uniesionymi pod ghotrą brwiami. – Na Sabat Ajnub są przynajmniej trzy cukiernie.

–Z baldawą, do cholery! – wykrztusił Kendrick z coraz większym zniecierpliwieniem, ani na chwilę nie odwracając oczu od kolby pistoletu. – Z obrzydliwą pomarańczową...

–Dość – rzekł strażnik i zerwawszy się na równe nogi, poprawił niechlujny strój. – Usłyszałem wreszcie prostą odpowiedź na proste pytanie. Cukiernik pana przysła, trzeba było od razu mówić. – Jasne. Racja! Czy mogę wejść?

–Najpierw musimy wiedzieć, do kogo pan idzie. Do kogo pan idzie, proszę pana?

–Na miłość boską, do kogoś, kto tu mieszka... pracuje. – Czy to człowiek bez imienia i nazwiska?

–A czy panu wolno je znać? – Głośny szept Evana przebił się przez hałasy ulicy.

–Słuszne pytanie – rzekł Arab, kiwając głową z zadumą. – Skoro jednak wiem o cukierniku z Sabat Ajnub...

–Rany boskie! – nie wytrzymał Kendrick. – Już dobrze. Nazywa się ElBaz! Czy teraz pan mnie wpuści? Bardzo się śpieszę, – Z wielką przyjemnością powiadomię właściciela, szanowny panie. Sam pana wpuści, jeśli i jemu sprawi to równą przyjemność. Musi pan wszak zrozumieć konieczność... Tyle zdążył powiedzieć filozofujący strażnik, nim raptownie odwrócił głowę ku chodnikowi przed domem. W ciemnej ulicy wybuchła nagle niepokojąca wrzawa. Słysząc było krzyk mężczyzny; dołączyły doń inne wrzaski, odbijające się echem od kamiennych murów. – Elhahumaj!

–Udam! Po chwili nad rozwścieczony chór wybił się kobiecy głos. – Siburni fihali! – histerycznie domagała się, żeby zostawić ją w spokoju, po czym czystą angielszczyzną wyzwała napastników od najgorszych. Evan i strażnik uskoczyli za załom muru na odgłos dwóch strzałów, po których kakofonia ludzkich głosów wzmogła się do istnego szaleństwa; w mrocznych czeluściach złowieszczo zadzwoniły odbijające się rykoszetem kule. Arab rzucił się na twardą, kamienną podłogę korytarza przed wejściem. Kendrick przykucnął; musiał wiedzieć. Ulicą przebiegły trzy postacie w obojach w towarzystwie młodego mężczyzny i kobiety w potarganych europejskich strojach. Mężczyzna w rozdartych spodniach khaki trzymał się za krwawiące ramię. Evan wstał i ostrożnie wychylił się zza muru. Ujrzał zdumiewający widok. Na środku ciemnej, ponurej ulicy stała kobieta z gołą głową; w lewej ręce trzymała nóż z krótkim ostrzem, a w prawej ścisnęła automat. Kendrick powoli wyszedł na nierówny chodnik. Oczy ich spotkały się. Kobieta uniosła pistolet; Evan zastygł w bezruchu, desperacko próbując podjąć decyzję, co robić i kiedy. Wiedział, że jeśli wykona nagły ruch, kobieta strzeli. Ku jego całkowitemu zaskoczeniu zaczęła cofać się do gęstszego mroku, nie opuszczając wycelowanej w niego broni. Raptem, na odgłos zbliżających się kroków i nasilających krzyków, na które nakładały się rytmiczne, ostre dźwięki gwizdka, odwróciła się i pobiegła ciemną, wąską ulicą. Po kilku sekundach rozplynęła się w mroku. Śledziła go! Czyżby chciała go zabić? Dlaczego? Kim była?

–Proszę wejść! – popędzał go przerażony strażnik. Evan odwrócił głowę; Arab rozpaczliwymi gestami przywoływał go do ciężkich, odpychających drzwi umieszczonych we wnęcie muru. – Szybciej! Został pan przyjęty. Niech się pan pośpieszy! Nikt nie może tu pana zobaczyć! Drzwi otworzyły się i Evan wbiegł szybko do środka, natychmiast odciągnęła go na lewo silna ręka bardzo niskiego mężczyzny, który krzyknął do strażnika przy wejściu: – Uciekaj stąd! Szybko! Drobną Arab zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na dwie żelazne zasuwki. Kendrick wysilał wzrok w przyćmionym świetle. Znajdowali się w jakimś holu, przestronnym, zaniedbanym korytarzu z licznymi drzwiami po obu stronach. Podłogę z surowych desek

pokrywało sporo perskich dywanów, które, jak sądził, sprzedaliby się za przyzwoite ceny na każdej zachodniej aukcji. Na ścianach wisiało jeszcze więcej dywanów, większych, z których każdy bez wątpienia przyniósłby właścicielowi małą fortunę. Człowiek zwany ElBaz lokował swe zyski w tych misternie tkanych klejnotach. Koneserzy natychmiast zorientowaliby się, że mają do czynienia z ważną osobą. Pozostali, w tym większość policjantów i innych stróżów porządku, sądziliby zapewne, że ten skryty człowieczek przykrywa podłogi i ściany mieszkania turystyczną tandetą, bo nie chce mu się naprawiać zniszczonych części mieszkania. Artysta ElBaz wiedział, jak sprzedawać swoje umiejętności.

–Jestem ElBaz – powiedział niski, lekko przygarbiony Arab, wyciągając do Evana potężną, żyłastą dłoń. – Pan zaś niech pozostanie tym, za kogo się pan podaje. Cieszę się, że mogę pana poznać, wolałbym jednak nie znać imienia, jakie nadali panu czcigodni rodzice. Proszę tędy, drugie drzwi na prawo. Zajmiemy się naszą pierwszą, choć niezwykle ważną sprawą. Reszta została już załatwiona.

–Reszta? Co zostało załatwione? – spytał Evan.

–Wszelkie formalności – odparł ElBaz. – Przygotowałem dokumenty zgodnie z informacjami, jakie mi dostarczono,

–Co to za informacje?

–Nazwisko, zawód i skąd pan przybywa. To mi wystarczyło. Kto panu dał te dane?

–Nie mam pojęcia odparł sędziwy Arab, biorąc Kendricka za ramię i prowadząc w głąb korytarza. – Dostałem instrukcje przez telefon, nie wiem od kogo ani skąd. Kobieta wiedziała, co mówi, a ja miałem być jej posłuszny.

–Kobieta?

–Płeć nie jest tu ważna, ja szajch. Ważne to, co powiedziała. Proszę do środka. – ElBaz otworzył drzwi do niewielkiej pracowni fotograficznej; jej wyposażenie wyglądało na przestarzałe, Evan obrzucił sprzęt szybkim spojrzeniem, które nie uszło uwagi ElBaza. – Aparat po lewej podrabia państwowe dowody tożsamości na ziarnistym papierze – wyjaśnił. – Obiektów wychwytuje oczywiście dokładnie efekty obróbki na państwowej aparaturze. Proszę. Niech pan siądzie na taborecie przed ekranem. Załatwimy to raz dwa. Nie będzie bolało. ElBaz pracował szybko, a ponieważ zrobił zdjęcia polaroidem, bez trudu wybrał odbitkę. Spaliwszy pozostałe, stary Arab założył cienkie rękawice chirurgiczne, wziął do ręki wybraną fotografię i wskazał na szerokie przepierzenie za szarym naprężonym płótnem służącym za ekran. Podszedł doń i odsunął ciężką kotarę, za którą ukazała się goła, odrapana ściana. Pozory były mylące. ElBaz zbliżył prawą stopę do miejsca koło listwy na podniszczonej podłodze, zaś prawą ręką sięgnął w górę; równocześnie nacisnął ręką i nogą. Wyszczerbiona szczelina w ścianie rozstała się z wolna, a lewa strona muru zniknęła częściowo za kotarą, pozostawiając przejście szerokości około dwóch stóp. Niewysoki fałszerz dokumentów wszedł do środka, kiwając na Kendricka, by podążył za nim. Oczom Evana ukazało się laboratorium równie nowoczesne jak jego własne biuro w Waszyngtonie, a jakość sprzętu jeszcze je przewyższała. Stały tu dwa duże komputery, każdy z osobną drukarką, i cztery telefony w różnych kolorach

wyposażone w modemy i ustawione na utrzymywany w nienagannej czystości długim, białym stole, naprzeciw czterech krzeseł dla maszynistek.

–Niech pan tylko spojrzysz – powiedział ElBaz, wskazując na komputer po lewej, którego ciemny ekran rozświetlały jaskrawozielone literki. – Jest pan uprzywilejowany, szajch. Kazano mi podać panu wszelkie niezbędne informacje oraz źródła, z których pochodzą, nie może pan jednak otrzymać żadnych dokumentów oprócz dowodu tożsamości. Niech pan usiądzie i poczyta o sobie.

–O sobie? – spytał Kendrick.

–Jest pan Saudyjczykiem z Rijadu, inżynierem budownictwa o nazwisku Amal Bahrudi. Miał pan europejskiego przodka, chyba dziadka; wszystko widać na ekranie. "

–Europejskiego...?

–Towyaśnia pańskie nieco nietypowe rysy, gdyby ktoś miał zastrzeżenia.

–Chwileczkę. – Evan pochylił się nad komputerem, przypatrując się dokładnie danym na monitorze. – Czy tenczłowiek istnieje naprawdę?

–Istniał, Zmarł zeszłej nocy w Berlinie Wschodnim – to zielony telefon.

–Zmarł? Zeszłej nocy? – Wywiad wschodnioniemiecki, kontrolowany przez Sowietów, rzecz jasna, będzie utrzymywał jego śmierć w tajemnicy całymi dniami, a może i miesiącami, dopóki ich biurokraci nie poukładają sobie wszystkiego tak, by zadowolić KGB. Tymczasem nasza kontrola paszportowa – niebieski telefon – odnotowała skrętnie przyjazd pana Bahrudiego z wizą ważną trzydzieści dni.

–A więc jeśli ktoś zrobiłby wywiad – dodał Kendrick – to Bahrudi jest teraz tutaj, a nie leży sztywny w Berlinie Wschodnim. – Otóż to.

–A jeżeli zostanę zdemaskowany?

–Tym proszę się nie przejmować. Zabiliby pana od ręki.

–Jednak Rosjanie mogą nam pomieszać szyki. Szybko się zorientują, że nie jestem Bahrudim.

–Skąd? Jak? – Stary Arab wzruszył ramionami. – Nie należy przepuszczać żadnej sposobności, by wprowadzić w błąd KGB, ja szajch. Evan zamyślił się, marszcząc brwi. – Chyba nie wiem, o co panu chodzi. Jak pan to wszystko zdobył? Mój Boże, nieżyjący Saudyjczyk z Berlina Wschodniego, z legendą, całym dossier, a do tego jakiś dziadek Europejczyk. Niewiarygodne,

–Wiara czyni cuda, mój młody przyjacielu, którego nie znam i nigdy nie spotkałem. Tacy jak ja muszą oczywiście mieć wielu sprzymierzeńców, ale tym także może pan nie zawracać sobie głowy. Niechpan po prostu przestudiuje najistotniejsze fakty – imiona czcigodnych rodziców, szkoły, uniwersytety; dwa, jeśli się nie mylę, w tym jeden w Stanach, to typowe dla Saudyjczyków. W zupełności to panu wystarczy. A jeśli nie, to i tak wszystko jedno, Nie zdąży pan nawet o tym pomyśleć.

Kendrick wyszedł z podziemnego miasta w mieście, stykającego się z terenem szpitala Waldżat w północnowschodniej części Maskatu. Znajdował się niecałe sto pięćdziesiąt jardów od bramy ambasady amerykańskiej. Notoryczni gapie zapełniali teraz szeroką ulicę już tylko do połowy. Latarki i nagle odgłosy strzałów z pistoletów maszynowych dochodzące z terenu ambasady stwarzały iluzję, że tłum jest znacznie

większy i agresywniejszy niż w rzeczywistości. Świadców rozgrywającego się za bramą koszmaru interesowała jedynie rozrywka; szeregi gapiów przeredzały się w miarę jak jednego po drugim morzył sen. Dalej, niecałe ćwierć mili za Harat Waldzat stał pałac Alam – nadmorska rezydencja młodego sułtana, Evan spojrzął na zegarek; miał tak mało czasu, a Ahmat musiał działać szybko. Rozejrzył się za telefonem, pamiętając jak przez mgłę, że kilka budek znajduje się obok wejścia do szpitala – raz jeszcze mógł podziękować Manny'emu Weingrassowi. Stary, rozpustny architekt dwukrotnie twierdził, że wypił zatrute brandy, innym razem pewna Omanka zapuściła się trochę za daleko i tak dotkliwie ugryzła go w rękę, że trzeba było założyć siedem szwów. Białe plastikowe daszki trzech publicznych telefonów odbijały dochodzące z dala światło ulicznych lamp. Kendrick chwycił za wewnętrzną kieszonkę abai, do której schował fałszywe dokumenty, i zaczął biec, natychmiast jednak zwolnił. Instykt podpowiadał mu, że nie powinien rzucać się w oczy... ani wzbudzać obaw. Dotarł do pierwszej budki, wrzucił monetę o większej niż wymagana wartości i wykręcił dziwny numer, który na trwałe wrył mu się w pamięć. 5550005. Gdy usłyszał ósmy z coraz dłuższych sygnałów, na kark wystąpiły mu krople potu. Jeszcze dwa i zamiast człowieka odpowie mu automat! Błagam.

–Ajwah? – odezwał się męski głos. Tak?

–Mów po angielsku.

–Tak szybko? – spytał zdumiony Ahmat. – Co się stało?

–Po kolei... Śledziła mnie jakaś kobieta. Było dość ciemno, ale zauważyłem, że jest średniego wzrostu, z długimi włosami i miała na sobie chyba drogie, zachodnie ubranie. Mówiła płynnie po arabsku i po angielsku. Coś ci to mówi?

–Jeśli szła za tobą aż w okolice domu ElBaza, to absolutnie nic. Czemu pytasz?

–Mam wrażenie, że chciała mnie zabić.

–Co?

–Jakaś kobieta podała też ElBazowi informacje na mój temat – przez telefon, rzecz jasna.

–Wiem o tym.

–Czy to nie ta sama osoba?

–Jak to?

–Może ktoś chciał wśliznąć się do środka i ukraść fałszywe papiery.

–Mam nadzieję, że nie – odparł stanowczo Ahmat. – Kobieta, która rozmawiała z ElBazem to moja żona. Nikomu innemu nie zdradziłbym, że tu jesteś.

–Dziękuję, ale ktoś mimo to wie.

–Rozmawiałeś z czterema ludźmi, Evan. Jeden z nich, nasz wspólny przyjaciel Mustafa, został zamordowany. Zgadza się: ktoś jeszcze wie, że tu jesteś. Pozostali trzej są w związku z tym pod obserwacją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Może powinieneś się gdzieś ukryć choć na jeden dzień. Mogę to załatwić, może tymczasem się czegoś dowiemy. Muszę też z tobą porozmawiać. Chodzi o tego Amala Bahrudiego. Ukryj się na jeden dzień. Tak chyba będzie najlepiej.

–Nie – odparł Kendrick niepewnie. – Owszem, znajdę się z dala od ludzi, ale nie w ukryciu.

–Nie rozumiem.

–Chcę, aby mnie aresztowano, schwytano jako terrorystę i wtrącono do aresztu, który tu gdzieś macie. Muszę się tam dostać jeszcze dziś w nocy!

* * *

Rozdział 6

Mężczyzna w rozwianych szatach pędził środkiem szerokiej alei znanej jako Wadi Al Kabir. Wyskoczył z ciemności z masywnej Bramy Mathaib znajdującej się kilkaset metrów od nabrzeża na zachód od prastarej fortecy portugalskiej zwanej Mirani. Szaty miał przesiąknięte smarem i wyciekami portowymi, zawój zsunięty na tył głowy, włosy mokre. Dla gapiów – a mimo późnej pory jeszcze wielu kręciło się na ulicy – biegnący desperat był kolejnym nędznikiem przybyłym drogą morską, cudzoziemcem, który wyskoczył ze statku, żeby przedostać się nielegalnie do tego niegdyś spokojnego sułtanatu, był uciekinierem... albo terrorystą. Przenikliwie dźwięki nastrojonej na dwa tony syreny nasiliły się, kiedy wóz patrolowy z piskiem opon brał zakręt wjeżdżając z Wadi Al Uwar w Al Kabir. Rozpoczęto pościg; współpracujący z policją informator ujawnił miejsce przerzutu, toteż władze zdążyły się przygotować. W tym okresie zachowywały nieustanną gotowość, gotowość pełną wyczekiwania i nerwów. Oślepiający snop światła przeciął słabo oświetloną ulicę, padał z przenośnej lampy ustawionej na wozie patrolowym. Nielegalny imigrant przerażony tą iluminacją pobiegł w lewo na wprost sklepów, których ciemne witryny były skryte za żelaznymi żaluzjami – o takim zabezpieczeniu nie myślano jeszcze trzy tygodnie temu. Mężczyzna okręcił się na pięcie i przebiegł chwiejnym krokiem na prawą stronę Al Kabir. Nagle stanął, zatrzymany przez grupkę późnych przechodniów, którzy szli razem, stali razem, a ich spojrzenia, chociaż nie pozbawione strachu, mówiły, że wszyscy mają już dosyć. Pragnęli odzyskać swoje miasto. Niski mężczyzna w garniturze, ale w arabskim zawoju na głowie, wystąpił do przodu – oczywiście ostrożnie, lecz z rozmysłem. Przyłączyli się do niego dwaj postawniejsi mężczyźni w galabijach, być może z większą ostrożnością, ale z nie mniejszym rozmysłem; za nimi, z pewnym wahaniem, dołączyli inni. Na południowym odcinku Al Kabir zebrał się tłum. Mężczyźni w tradycyjnych szatach i zakwefione kobiety uformowali na wszelki wypadek szereg, przecinającą ulicę barierę z ludzi, czerpiącą odwagę z rozdrażnienia i wściekłości. To wszystko musi się skończyć!

–Odsunąć się! Rozstąpić! Może mieć granaty! – Funkcjonariusz policji wyskoczył z wozu patrolowego i pędził przed siebie z pistoletem automatycznym wymierzonym w ofiarę.

–Rozejść się! – ryknął drugi policjant, który biegł lewą stroną ulicy. – Kryć się przed ogniem! Ostrożni przechodnie i pełen wahań tłum rozpierzchli się na wszystkie strony, żeby znaleźć się w bezpiecznej odległości albo poszukać schronienia w bramach. Jakby w odpowiedzi na to wezwanie, uciekinier zaczął się mocować z przemoczonymi szatami, rozsunął je i groźnym gestem zanurzył dłoń w fałdach materiału. Gwałtowna seria strzałów oddanych staccato wstrząsnęła ulicą Al Kabir; uciekinier krzyknął, wzywając mocy groźnego Allacha i mściwego Al Fataha, złapał się za ramię, wygiął szyję i padł na ziemię. Wydawało się, że nie żyje, chociaż w tym

słabym świetle nikt nie potrafił określić, jakiego rodzaju rany odniósł. Krzyknął ponownie, tym razem zaklinając furie całego islamu, żeby zstąpiły na hordy rozsianych po świecie nieczystych niewiernych. Rzuciło się na niego dwóch funkcjonariuszy policji, a jednocześnie tuż obok zahamował z piskiem opon wóz patrolowy; trzeci policjant wyskoczył przez otwarte tylne drzwi wykrzykując rozkazy.

–Rozbroić go! Przeszukać! – Dwaj podwładni uprzedzili już oba, te polecenia. – To może być on! – zawołał jeszcze głośniejszy oficer dowodzący akcją i przykucnął, żeby przyjrzeć się dokładniej uciekinierowi. – O! Tu! – nie przestawał krzyczeć. – Przymocowana do uda. Paczuszka. Dajcie mi ją! Gapie powoli wyłaniał się z półmroku; ciekawość przyciągnęła ich z powrotem do miejsca gwałtownych wydarzeń na środku Al Kabir.

–Chyba ma pan rację! – wrzasnął policjant stojący z lewej strony więźnia. – O, tu ma znamię! To może być ślad po bliźnie na szyi. – Bahrudi! – ryknął z tryumfem najstarszy rangą oficer policji przeglądając dokumenty wyciągnięte z ceratowej paczuszki. – AmalBahrudi! Zaufany! Ostatnio widziano go w Berlinie Wschodnim, a teraz, na Allacha, mamy go!

–Ludzie! – krzyknął policjant klęczący po prawej stronie uciekiniera, zwracając się do zahipnotyzowanego tłumu. – Rozejdźcie się! Idźcie stąd wszyscy! Ten łotr może mieć obstawę. To słynny Bahrudi, terrorysta z Europy Wschodniej! Wezwaliśmy przez radio posiłki z garnizonu sułtana. Idźcie stąd, jeśli nie chcecie zginąć! Świadkowie czmychnęli, rozproszony tłum rzucił się w popłochu do ucieczki. Przedtem zbrali się na odwagę, teraz jednak wystraszyła ich perspektywa strzelaniny. Ostatnio ich życie nasycone było niepewnością, podkreślaną przez wszechobecną śmierć; tłum miał pewność tylko co do jednego – schwytano znanego międzynarodowego terrorystę, Amala Bahrudiego.

–W naszym małym mieście wieść szybko się rozejdzie – powiedział płynną angielszczyzną sierżant policji, pomagając wstać "więźniowi". – Oczywiście dopomożemy w tym, jeżeli okaże się to konieczne.

–Mam jedno lub dwa pytania... no, może trzy! – Evan rozwiązał i zdjął z głowy zawój, a potem spojrzał na oficera policji. – Co, u licha, miały znaczyć te wszystkie bzdury o "zaufanym", "islamskim przywódcy" czegoś tam w Europie Wschodniej?

–Najwyraźniej to prawda.

–Nic z tego nie rozumiem.

–Może w samochodzie. Czas nagli. Musimy stąd odjechać.

–Żądam odpowiedzi! – Dwaj pozostali funkcjonariusze podeszli do kongresmana z Kolorado, schwycili go za ręce i podprowadzili do tylnych drzwi wozu patrolowego. – Odegrałem tę małą scenkę tak, jak mi kazano – ciągnął Evan wsiadając do zielonego wozu policyjnego – ale ktoś zapomniał wspomnieć, że człowiek, którego nazwisko przybrałem jest mordercą podkładającym bomby w całej Europie! – Mogłem panu przekazać tylko to, co polecono mi przekazać, zresztą, prawdę mówiąc, sam nic więcej nie wiem – odpowiedział sierżant, sadowiąc opięte w mundur ciało obok Kendricka. – Wszystko panu wyjaśnię w laboratorium komendy głównej. " – Wiem coś niecoś o tym laboratorium. Tylko nic nie wiem o Bahrudim.

–On istnieje.

–Tyle wiem, ale nic poza tym.

–Gazu! – rzucił oficer policji do kierowcy. – Wy dwaj zostaniecie tutaj. Zielony samochód przechylił się do tyłu, zawrócił i pognął z powrotem w kierunku Wadi Al Uwar.

–No dobrze, rozumiem – on naprawdę istnieje – nalegał zasapany Kendrick. – Ale powtarzam, nikt mi nie wspomniał o tym, że jest terrorystą!

–Wszystko w laboratorium komendy. Sierżant policji zapalił brązowego arabskiego papierosa, zaciągnął się głęboko i z ulgą wypuścił nosem dym. Jego rola w tym dziwnym zadaniu dobiegała końca.

–Komputer ElBaza nie ujawnił nam mnóstwa rzeczy – powiedział omański lekarz dokonując oględzin nagiego ramienia Evana. Byli sami w laboratoryjnej sali badań. Kendrick siedział na podłużnym, obitym ceratą stole, nogi oparł na taborecie, obok leżał pas z pieniędzmi. Jako osobisty lekarz Ahmata... pan wybaczy... wielkiego sułtana, którym jestem, odkąd skończył osiem lat, będę teraz pańskim jedynym pośrednikiem na wypadek, gdyby z jakichkolwiek powodów nie mógł się pan z nim sam skontaktować. Czy to jasne? – A jak mam się kontaktować z panem? Pod numerem szpitala albo domowym, które panu podam, jak skończymy. Musi pan teraz zdjąć spodnie i bieliznę, a potem zastosować barwnik, ja szajch. Rewizje osobiste odbywają się" w tej celi co dzień, często nawet co kilka godzin. Całe pana ciało musi mieć jednolitą barwę. No i nie ma mowy o brezentowym pasie z pieniędzmi. – Przechowa mi go pan?

–Oczywiście.

–Wróćmy jeszcze do tego Bahrudiego – poprosił Kendrick rozprowadzając przyciemniający skórę żel na udach i dolnych częściach ciała, podczas gdy lekarz smarował mu ręce, klatkę piersiową i plecy. – Czemu ElBaz nic mi nie powiedział?

–Na polecenie Ahmata. Sułtan sądził, że może pan mieć obiekcje, wołał więc sam wszystko panu wyjaśnić.

–Rozmawiałem z nim niecałą godzinę temu. Nie powiedział nic poza tym, że chce pogadać o Bahrudim.

–Pan bardzo się śpieszył, a i on musiał się uwijać, żeby zorganizować to rzekome schwytanie pana. Dlatego mnie zostawił wyjaśnienia. Proszę podnieść wyżej rękę.

–Jak brzmią te wyjaśnienia? – spytał Evan, któremu mijała już złość. – Po prostu, gdyby wpadł pan w ręce terrorystów, byłby pan kryty, przynajmniej przez pewien czas, wystarczający przy odrobinie szczęścia na udzielenie panu pomocy... o ile byłaby ona w ogóle możliwa.

–Co to znaczy "kryty"?

–Wzięliby pana za jednego ze swoich. Przynajmniej dopóki nie poznaliby prawdy.

–Bahrudi nie żyje...

–Jego ciało jest w rękach KGB – dodał natychmiast lekarz, wpadając w słowo Kendrickowi. – Komitet cierpi na chroniczny brak decyzji i boi się skandalu.

–ElBaz wspomniał coś o tym.

–Jeżeli ktokolwiek w Maskacie coś wie na ten temat, to tylko ElBaz.

–Skoro Bahrudi jest tu, w Omanie, akceptowany, a mnie wezmą za niego, będę w uprzywilejowanej sytuacji. Jeżeli Sowietci nie puszczą pary i nie powiedzą tego, co wiedzą.

–Zanim ją puszczą, najpierw wszystko starannie zbadają. Nie mają pewności; będą się bali podstępu, to znaczy kompromitacji, zaczekają więc na rozwój wydarzeń. Teraz druga ręka. Proszę ją trzymać wyprostowaną w górze.

–Mam pytanie – powiedział stanowczo Evan. – Skoro Amal Bahrudi przeszedł podobno przez ręce władz imigracyjnych, dlaczego go nie zidentyfikowano? Macie tu teraz piekielnie sprawną służbę bezpieczeństwa.

–Ilu jest w pańskim kraju, ja szajch, ludzi nazwiskiem John Smith?

–I co z tego?

–Bahrudi to dosyć typowe nazwisko arabskie, częstsze w Kairze niż w Rijadzie, ale i tu nie należy do rzadkości. Amal to odpowiednik waszego "Joe", "Billa" czy, oczywiście, "Johna".

–Niemniej ElBaz wprowadził je do komputerów służb imigracyjnych. Podniósłby się alarm...

–I zaraz uciszył – przerwał Omańczyk. – Władze zadowolilyby się obserwacją i brutalnym, aczkolwiek stosowanym na porządku dziennym, przesłuchaniem.

–Dlatego, że nie mam na szyi blizny? – spytał szybko Evan. – Pewien policjant z ulicy Al Kabir dopatrył się blizny na mojej szyi... to jest szyi Bahrudiego.

–Nie dotarła do mnie taka informacja, ale to możliwe. Pan nie ma takiej blizny. Istnieją jednak ważniejsze poszlaki.

–Jakie na przykład?

–Terrorysta nie ogłasza swojego przybycia do obcego kraju, tym bardziej terrorysta, który jest w tarapatkach. Posługuje się fałszywymi dokumentami. To nimi zajmują się władze, nie zaś niefortunnym przypadkiem, który sprawił, że John W. Booth, farmaceuta z Filadelfii, nosi nazwisko zabójcy prezydenta w teatrze Forda.

–Jest pan, zdaje się, świetnie zorientowany w sprawach amerykańskich?

–To studia w Akademii Medycznej Johna Hopkinsa, panie Bahrudi. Odbyte dzięki hojności ojca obecnego sułtana, który pomógł beduińskiemu dziecku marzącemu o czymś więcej niż koczownicze życie plemienne,

–Jak do tego doszło?

–To inna historia. Może już pan opuścić rękę. Evan spojrział na lekarza.

–Jakrozumiem, bardzo pan lubi sułtana. Omański lekarz odwzajemnił spojrzenie Kendricka.

–Byłbym gotów zabić dla tej rodziny, ja szajch – powiedział cicho. – Nie uciekałbym się, oczywiście, do przemocy. Mogłaby to być trucizna, błędna diagnoza lub nierozważne cięcie skalpelem... coś, czym spłaciłbym dług... ale nie zawahałbym się.

–Nie wątpię. Mogę więc zakładać, że jest pan po mojej stronie. – Oczywiście. Dowód na to, który panu przedstawię, wcześniej mi zresztą nie znany, ma charakter cyfrowy. Pięć, pięć, pięć, zero, zero, zero, pięć.

–To mi wystarczy. Jak się pan nazywa?

–Faisal. Doktor Amal Faisal.

–Rozumiem... "John Smith". – Kendrick zsunął się ze stołu i podszedł nagi do małej umywalki po drugiej stronie sali. Umył ręce kilka razy specjalnym mydłem, żeby usunąć zbędne plamy z palców i przejrzał się cały w lustrze nad umywalką. Biała skóra przybierała odcień brązowy; za chwilę ściemnieje na tyle, że będzie mógł się pokazać w celi terrorystów. Zerknął na odbicie lekarza w lustrze. – Jak tam jest? – spytał.

–To nie miejsce dla pana.

–Nie o to pytam. Chcę wiedzieć, jak tam jest. Czy istnieją jakieś obrzędy inicjacyjne, rytuały, którym poddaje się nowych więźniów? Chyba wszystko jest na podsłuchu, nie jesteście przecież durniami... – Jest na podsłuchu i należy przyjąć, że oni o tym wiedzą. Tłoczą się pod drzwiami, gdzie założono główne pluskwy, i robią mnóstwo hałasu. Sufit jest za wysoko, żeby gwarantował słyszalność przekazu, a pozostałe mikrofony znajdują się w rezerwuarach ubikacji – reforma cywilizacyjna wprowadzona przez Ahmata kilka lat temu wyeliminowała otwory w podłodze. Te mikrofony okazały się bezużyteczne, bo chyba skazani je odkryli, ale oczywiście nie mamy pewności. Choć jednak słyszymy niewiele, nie jest to nic przyjemnego. Więźniowie, tak jak wszyscy ekstremiści, nieustannie prześcigają się w gorliwości, a ponieważ wciąż przybywają nowi, wielu nie zna się nawzajem. W rezultacie pytania są ostre i zjadliwe, a metody przesłuchań często brutalne. To fanatycy, ale nie głupcy w ogólnie przyjętym sensie, ja szajch. Ich nadrzędną zasadą jest czujność, bo nieustannie wisi nad nimi groźba infiltracji.

–W takim razie stanie się ona i moją nadrzędną zasadą. – Kendrick wrócił do stołu, na którym starannie ułożono dla niego strój więzienny. – Moja czujność – kontynuował – będzie równie fanatyczna jak czujność innych. – Odwrócił się do Omańczyka. – Muszę mieć nazwiska przywódców w ambasadzie. Podczas odprawy nie wolno mi było robić notatek, ale zapamiętałem dwa nazwiska, bo powtarzały się kilka razy. Jedno to Abu Nassir, drugie Abbas Zaher. Czy zna pan inne?

–Nassira nie widziano już od ponad tygodnia. Sądzi się, że wyjechał. A Zaher nie uchodzi za przywódcę, tylko za figuranta. Ostatnio na pierwszy plan wysunęła się kobieta, Zaya Yateem. Zna biegle angielski, czyta komunikaty telewizyjne.

–Jak ona wygląda?

–Czy to wiadomo? Nosi kwef.

–Ktoś jeszcze?

–Młody mężczyzna, który prawie jej nie odstępował. To chyba jej najbliższy współpracownik, nosi przy sobie rosyjski pistolet, ale nie wiem jaki.

–Jak się nazywa?

–Mówią na niego po prostu Azra.

–Błękit? Kolor Błękitny?

–Tak. A skoro mowa o kolorach, jest jeszcze drugi – mężczyzna o przedwcześnie posiwiałych pasmach włosów, u nas to dość niezwykle. Nazywa się Ahbyahd.

–BiałypowiedziałEvan.

–Tak. Został rozpoznany jako jeden z porywaczy samolotu linii TWA w Bejrucie.

Ale tylko przez fotografów. Nie ujawniono żadnego nazwiska.

–Nassir, kobieta zwana Yateem, Błękitny i Biały. To powinno wystarczyć.

–Do czego? spytał lekarz.

–Do tego, co zamierzam.

–Powinien pan to dobrze przemyśleć – powiedział cicho lekarz, patrząc jak Evan podciąga luźne spodnie więzienne. – Ahmata dręczą skrupuły, bo dzięki pańskiemu poświęceniu mamy szansę wiele się dowiedzieć, ale musi pan być świadomy, że może się to wiązać z prawdziwą ofiarą. Sułtan chce, żeby pan o tym wiedział. – Ja też nie jestem głupcem. – Kendrick włożył szarą więzienną bluzę i sandały z twardej skóry powszechne w arabskich więzieniach. Jeśli poczuję się zagrożony, będę wołał o pomoc.

–Tylko pan spróbuje, a rzucą się na pana jak oszalałe zwierzęta. Nie przeżyłby pan dziesięciu sekund, nikt nie zdążyłby na czas. – Dobrze, szyfr. – Evan zapiął szorstką bluzę rozglądając się po policyjnym laboratorium; jego oczy spoczęły na kilku kliszach rentgenowskich rozwieszonych na sznurku. – Kiedy pańscy ludzie obsługujący podsłuch usłyszą, jak mówię, że filmy zostały przeschmuglowane z ambasady, proszę wkroczyć i mnie stamtąd wyciągnąć. Zrozumiał pan?

–Filmy przeschmuglowano z ambasady.

–Właśnie. Nie powiem tego ani nie wykrzyczę, dopóki nie uznam, że mnie osaczają... No. a teraz niech wieść przedostanie się do środka. Proszę powiedzieć strażnikom, żeby poszadzili z więźniów. Amal Bahrudi, przywódca islamskich terrorystów w Europie Wschodniej, został schwytany tu, w Omanie. Strategia pańskiego młodego, bystrego sułtana służąca mojej tymczasowej ochronie może odnieść zdumiewający sukces. To mój paszport do ich parszywego świata.

–Strategia została opracowana w innym celu.

–Ale jest cholernie wygodna. Prawie jakby Ahmat wpadł na ten pomysł przede mną. A zresztą może i wpadł?

–Ależ to śmieszne! – zaprotestował lekarz, z dłońmi uniesionymi w stronę Evana. – Proszę mnie posłuchać. Możemy sobie teoretyzować i snuć domysły, ile dusza zapragnie, ale nie potrafimy niczego zagwarantować. Ta cela jest strzeżona przez żołnierzy, a nie umiemy zajrzeć w duszę każdego człowieka. Przypuśćmy, że są wśród nich sympatycy. Wystarczy spojrzeć na ulicę. Oszalałe zwierzęta, które czekają na kolejną egzekucję, robią zakłady! Ameryka nie jest tu kochana przez każdego obywatela ubranego w abę czy poborowego w mundurze. Zbyt wiele krąży opowieści, zbyt dużo się mówi o antyarabskim nastawieniu w pańskim kraju.

–Ahmat powiedział mi to samo o swoim garnizonie, tu, w Maskacie. Tylko on to nazywał "zagłębieniem głęboko w oczy".

–Oczy strzegą tajemnic duszy, ja szajch, i sułtan miał rację. Żyjemy tu w ciągłym strachu przed słabością i zdradą. Ci żołnierze są młodzi, podatni na wpływy, szybko formułują sądy na temat faktycznych lub urojonych zniewag. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że KGB decyduje się przesłać wiadomość w celu dalszej destabilizacji sytuacji. "Amal Bahrudi nie żyje, człowiek, który się za niego podaje jest oszustem!" Nie starczyłoby czasu na szyfry, ani wołanie o pomoc. Nie można też lekceważyć

tego, jak by pan zginął.,

–Ahmat powinien być o tym pomyśleć.

–Co za niesprawiedliwość! – wykrzyknął Faisal. – Przypisuje mu pan rzeczy, które nawet nie przeszły mu przez myśl! Podawanie się za Bahrudiego miało być tylko i wyłącznie taktyką dywersyjną w skrajnej sytuacji. Strategia polegała na tym, żeby zwykli obywatele mogli potwierdzić publicznie, że byli świadkami schwytania terrorysty, a nawet podać jego nazwisko, co miało wprowadzić zamęt. Zamęt, dezorientacja, niezdecydowanie. Choćby po to, żeby opóźnić pańską egzekucję o kilka godzin i mieć czas na wyciągnięcie pana z tarapatów. Taki był zamiar Ahmata, a nie infiltracja. Evan założył ręce, oparł się o stół i patrzył badawczo na Omańczyka.

–W takim razie nie rozumiem – mówię poważnie, doktorze. Nie chcę niczego demonizować, ale w pańskim wyjaśnieniu kryje się błąd.

–Mianowicie?

–Skoro nadanie mi nazwiska terrorysty, owianego tajemnicą, nieżyjącego, miało sprawić, że będę kryty, jak pan to ujął... – Miało panu zapewnić tymczasową ochronę, jak pan to słusznie określił – przerwał Faisal.

–A więc przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że nie byłoby mnie w pobliżu, żeby zagrać w tym maleńkim melodramacie, dziś wieczorem, na Al Kabir?

–Nikt tego od pana nie oczekiwał – odparł spokojnie lekarz. – Po prostu wyprzedził pan plan. Miało się to odbyć nie o północy, ale we wczesnych godzinach rannych, tuż przed porą modlitwy, koło meczetu Khor. Wiadomość o schwytaniu Bahrudiego rozeszłaby się po bazarach tak jak wieść o dostawie taniej kontrabandy na nabrzeżu. Kto inny odegrałby pańską rolę oszusta. Na tym, i tylko na tym, polegał plan.

–W takim razie, jak powiedzieliby prawnicy, istnieje dogodna zbieżność celów, tak zaaranżowana w czasie, żeby zadowolić wszystkie strony i nie dopuścić do konfliktu. Takie sformułowania słyszę w Waszyngtonie na co dzień. Bardzo błyskotliwe.

–Jestem lekarzem, ja szajch, a nie prawnikiem.

–Ależ oczywiście – zgodził się Evan z leciutkim uśmiechem na twarzy. – Tylko myślę o naszym młodym przyjacielu w pałacu. Chciał "podyskutować" o Amalu Bahrudim. Zastanawiam się, dokąd zaprowadziłaby nas ta dyskusja.

–On też nie jest prawnikiem.

–Musi być wszystkim po trochu, żeby tu rządzić – odpowiedział ostro Kendrick. – Musi myśleć. Zwłaszcza teraz... Tracimy czas, panie doktorze. Proszę mnie trochę pokieraszować. Nie oczy ani usta, ale policzki i brodę. Potem niech mnie pan zatnie w ramię i zabandażuje, tylko proszę nie wycierać krwi.

–Nie bardzo rozumiem...

–Na miłość boską, przecież sam tego nie zrobię! Ciężkie stalowe drzwi odskoczyły do tyłu szarpnięte przez dwóch żołnierzy, którzy natychmiast przyłożyli broń do zewnętrznej żelaznej płyty, jak gdyby spodziewali się ataku. Trzeci strażnik cisnął rannego, wciąż jeszcze krwawiącego więźnia do ogromnej betonowej sali, która służyła jako zbiorowa cela; odrutowane niskowatowe żarówki umocowane przy suficie dawały przyćmione światło. Wokół nowo przybyłego natychmiast skupiła się

grupa więźniów; kilku chwyciło za ramiona zakrwawionego, posiniaczonego mężczyznę, który usiłował podnieść się niezdarnie z kolan. Inni stłoczyli się wokół masywnych metalowych drzwi rozmawiając głośno ze sobą – rzeczywistości niemal wrzeszcząc – prawdopodobnie, żeby zagłuszyć rozmowy w celi.

–halee balak] – ryknął nowo przybyły, unosząc prawą rękę, żeby się wyswobodzić, a potem zaciśniętą pięścią zaczął okładać po twarzy młodego więźnia, który w grymasie odsłonił spróchniałe zęby. – Na Allacha, rozwałę łeb każdemu imbecylowi, który mnie dotknie! – krzyczał dalej Kendrick po arabsku; wstał i wyprostował się, górując o dziesięć centymetrów nad najwyższym mężczyznę w celi. – Nas jest wielu, a ty jeden! – syknął poturbowany chłopak, zaciskając nos, żeby powstrzymać krwawienie.

–Może i wielu, ale jesteście zwykłymi kozłojebcami! Ale z was idioci! Odwalcie się ode mnie! Muszę coś przemyśleć! Po tym wybuchu Evan rąbnął lewą ręką w tych, którzy ją przytrzymywali, po czym gwałtownie się cofnął i wpakował łokieć w szyję najbliższego więźnia. Następnie zaciśniętą w pięść prawą ręką zrobił zamach i wałnął kłykciami w oczy nie podejrzewającego niczego mężczyznę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio kogoś uderzył, kiedy zaatakował fizycznie drugiego człowieka. Jeżeli przebłysk wspomnień go nie mylił, musiało to być nie później niż w podstawówce. Jakiś Piotruś schował pojemnik na drugie śniadanie jego najlepszego przyjaciela – blaszane pudełko z postaciami Walta Disneya – a ponieważ przyjaciel był niepokazny, a Piotruś od niego wyższy, Kendrick rzucił się na łobuza. Niestety, w przyływie gniewu pobił Piotrusia tak mocno, że dyrektor wezwał ojca i obaj panowie powiedzieli mu, że bardzo źle postąpił. Młody człowiek jego postury nie wdaje się w bójki. To nieuczciwe... Ale, panie dyrektorze! Tato!... Żadnych "ale". Musiał się pogodzić z dwudziestoma punktami karnymi. Tyle że już po wszystkim ojciec powiedział: "Synu, jeżeli coś takiego zdarzy się ponownie, postąp tak samo". I zdarzyło się ponownie! Ktoś go złapał od tyłu za szyję! Technika ratowania życia. Czemu przyszło mu to do głowy? Uściśnij nerw pod łokciem! Rozluźnisz w ten sposób uchwyt tonącego człowieka! Czerwony Krzyż – Świadectwo Wyższego Kursu Ratowania Życia. Wakacyjna praca nad jeziorem. W panice wsunął dłoń pod odsłoniętą rękę tamtego, chwycił miękkie ciało pod łokciem i ścisnął z całych sił. Terrorysta wrzasnął; miał dosyć. Kendrick przygarbił się, przerzucił mężczyznę przez ramię i cisnął nim o betonową posadzkę. – Może któryś ma ochotę na więcej, co? – wycedził ostro nowy więzień, przykucnął, odwrócił się, ale i tak imponował wzrostem. – Durnie z was! Gdyby nie wy, idioci, nigdy by mnie nie złapali. Nienawidzę was wszystkich! A teraz dajcie mi spokój! Już wam powiedziałem, muszę coś przemyśleć!

–Kim jesteś, żeby nas obrażać i nam rozkazywać? – zaskrzeczał młokos o dzikim wzroku, któremu zajęcza wargą utrudniała wymowę. Cała ta scena była jak żywcem wyjęta z Kafki – na wpół oszalały tłum więźniów skłonny do nieustannych aktów gwałtu, wyczekujący jednak nerwowo brutalnej kary ze strony strażników. Szepty przerodziły się w ostre rozkazy, tłumione zniewagi w krzykliwe wyzwania, a mówiący spoglądali wciąż na drzwi, upewniając się, że cudza paplanina zagłusza ich słowa, nie pozwala im dotrzeć do podsłuchujących uszu wroga.

–Jestem, kim jestem! To powinno wystarczyć takim kozłojebcom jak wy.

–Strażnicy podali nam twoje nazwisko! wyjąkał inny więzień, koło trzydziestki, ze zmierzwioną brodą i długimi, brudnymi włosami; przyłożył ręce do ust, jak gdyby chciał przytłumić dźwięk słów. – Amal Bahrudi!" – ryknął. – "Zaufany z Berlina Wschodniego, którego udało nam się schwytać!" No i co z tego? Kim ty jesteś dla nas? Nie podoba mi się nawet twój wygląd. Wyglądasz tak dziwnie! Któż to taki Amal Bahrudi? Czemu miałoby to nas obchodzić? Kendrick spojrział na drzwi i na podnieconą grupkę więźniów rozprawiających z ożywieniem. Postąpił krok naprzód, znów cedząc ostro słowa.

–Bo przysłali mnie tu ludzie, którzy stoją wyżej niż ktokolwiek tutaj czy w ambasadzie. O wiele, wiele wyżej. Powtarzam wam po raz ostatni, dajcie mi coś przemyśleć! Muszę przekazać wiadomość na zewnątrz...

–Tylko spróbuj, a wszyscy staniemy przed plutonem egzekucyjnym! – wykrzyknął przez zęby inny więzień; był niski i wyjątkowo schludny, pominąwszy dziwne plamy moczu na więziennych spodniach.

–Przejmujesz się? – odrzekł Evan z pogardą w głosie i wzrokiem wbitym w terrorystę. To był odpowiedni moment, żeby umocnić swoją pozycję. Powiedz mi, piękny chłoptasiu, boisz się umrzeć? – Tylko dlatego, że nie mógłbym już służyć naszej sprawie! – rzucił na swoją obronę chłopiec-mężczyzna, strzelając na boki oczami, jak gdyby szukał potwierdzenia. Kilku mężczyzn z tłumu przyznało mu rację; stojący dalej, którzy go usłyszeli też zaczęli gorliwie, odruchowo kiwać głowami, bo udzielił im się strach tego chłopaka. Kendrick zastanawiał się, jak daleko sięga ten ich patologiczny fanatyzm.

–Nie tak głośno, ty durniu! powiedział lodowato Evan. Twoje męczeństwo starczy za całą służbę. – Odwrócił się i podszedł między rozstępującymi się z wahaniem mężczyznami do kamiennej ściany ogromnej celi, gdzie znajdowało się otwarte prostokątne okno opatrzone żelaznymi kratami wtopionymi w beton.

–Nie tak prędko, odmieńcu. – Z drugiego końca tłumu doleciał chrapliwy głos, ledwie słyszalny w tym hałasie. Do przodu wyszedł krępy, brodaty mężczyzna. Stojący przed nim rozstąpili się, jak to czasem czynią mężczyźni w obecności bezpośredniego zwierzchnika powiedzmy sierżanta lub brygadzysty, nie zaś pułkownika lub wicedyrektora. Czy jest w tej celi ktoś o większym autorytecie? – zastanawiał się Evan. – Ktoś inny, kto czuwa bacznie nad wszystkim, kto wydaje rozkazy?

–O co chodzi? – spytał cicho, ale szorstko Kendrick.

–Nie podoba mi się twój wygląd! Nie podoba mi się twoja twarz. Mnie to wystarczy.

–Wystarczy do czego? – spytał pogardliwie Evan, zbywając mężczyznę ruchem głowy, po czym oparł się o ścianę i zacisnął dłonie na żelaznej kratce małego okna celi. Następnie skierował wzrok na rzęsiście oświetlony reflektorami teren więzienia.

–Odwróć się! – rozkazał surowym tonem stojący tuż za nim mężczyzna przypominający sierżanta lub brygadzystę.

–Odwróć się, kiedy mi się zechce – odparł Kendrick, zastanawiając się, czy go

usłyszano.

–No, już! – zakomenderował tamten nie głośniejszy niż Evan, lecz po tym cichym preludium jego silna ręka nagle spadła na prawe ramię Kendricka, zagłębiając się w ciało wokół krwawiącej rany. – Nie dotykaj mnie, to rozkaz! – krzyknął Evan, nie ustępując ze swego, zacisnął tylko dłonie na żelaznej kracie, żeby nie zdradzić bólu, i skierował całą swoją czujność na reakcję mężczyzny... Wreszcie nadeszła. Palce, które ścisnęły mu ramię nagle się rozluźniły; ręka na rozkaz Evana opadła, by powrócić z wahaniem chwilę później. Wiedział już dostatecznie dużo – podoficer szafował rozkazami, jednakże przyjmował je i wykonywał skwapliwie, kiedy wypowiedano je autorytatywnym tonem. Wystarczy. Nie był w celi szefem. Stał wysoko w hierarchii, ale nie dość wysoko. Czy istniał zatem ktoś inny? Trzeba to dopiero sprawdzić. Kendrick stał sztywno, po czym bez jednego gestu ani ostrzeżenia obrócił się szybko w prawo i bezceremonialnie strącił rękę, przez co krępy mężczyzna stracił równowagę.

–Dobra – wycharczał, a jego ostry szept był nie tyle stwierdzeniem, ile oskarżeniem. – Co ci się we mnie nie podoba? Przekażę twoją ocenę innym. Z pewnością ich to zainteresuje, chętnie się dowiedzą, kto tu, w Maskacie, wydaje oceny – Evan znów przerwał, po czym nagle podjął kwestie, mówiąc coraz głośniejszym tonem osobistej napaści. – Wielu uważa, że te oceny są zaprawione oślim mlekiem. O co ci chodzi, ty kretynie? Co ci się we mnie nie podoba? – Nie dokonuję żadnych ocen! – zawołał muskularny terrorysta podobnym tonem jak chłopiec-mężczyzna bojący się plutonu egzekucyjnego. Jego wybuch skończył się równie szybko, jak się zaczął, a przezorny sierżantbrygadzysta, nagle zdjęty strachem, że jego słowa wzbijają się ponad gwar, wrócił do swej dawnej podejrzliwości. – Nie przebierasz w słowach – wyszeptał chrapliwie, patrząc z ukosa – ale na nas nie robią one wrażenia. Skąd możemy wiedzieć, kim jesteś i skąd się wzięłeś? Nie wyglądasz nawet na jednego z nas. Jesteś inny.

–Obracam się w innych kręgach niż wy, w kręgach, do których nie macie dostępu. A ja mam.

–Ma jasne oczy! – Zduszony krzyk wyrwał się patrzącemu badawczo starszemu, brodatemu więźniowi z długimi, brudnymi włosami. – To szpieg! Przyszedł nas szpiegować! Inni obstąpili go ciasno, przyglądając się uważnie bardziej nagle groźnemu nieznanemu. Kendrick powoli obrócił głowę ku oskarżycielowi.

–I ty miałbyś takie oczy, gdyby twój dziadek był Europejczykiem. Gdybym chciał je zmienić dla waszego głupiego kaprysu, starczyłoby kilka kropli płynu na tydzień. Ale wy, oczywiście, nie macie pojęcia o takich sposobach.

–Na wszystko masz odpowiedź, co? – powiedział sierżantbrygadzysta. – Kłamcom nie brak słów, bo nic nie kosztują.

–Najwyżej życie – odrzekł Evan, przenosząc wzrok i wpatrując się w pojedyncze twarze. – Którego nie mam zamiaru stracić. – Czyli boisz się umrzeć? – rzucił wyzwanie schludny młodzik w poplamionych spodniach.

–Sam przedtem odpowiedziałeś za mnie. Nie boję się śmierci... bo nikt z nas nie powinien... ale boję się nie wykonać zadania, które mi powierzono. Bardzo się tego

boję ze względu na naszą najświętszą sprawę.

–Znowu słowa! – wydusił krępy rzekomy szef, zaniepokojony tym, że tylu więźniów przysłuchuje się dziwnie wyglądającemu EuroArabowi o giętkim języku. – Czego właściwie masz dokonać tu, w Maskacie? Skoro jesteśmy tacy głupi, czemu nam nie powiesz, czemu nas nie oświecisz?

–Będę mówił tylko z tymi, których polecono mi odnaleźć. Z nikim więcej.

–Powinieneś chyba pogadać ze mną – powiedział mężczyzna (teraz sprawiał wrażenie bardziej sierżanta niż brygadzisty) postępując złowieszczo krok w stronę nieugiętego amerykańskiego kongresmana. – My cię nie znamy, a ty możesz nas znać. To ci daje przewagę, która mi się nie podoba.

–A mnie się nie podoba twoja głupota – odparował Kendrick i zaczął nagle gestykulować obiema rękoma, jedną wskazując na swoje prawe ucho, drugą na falujący, rozgadany tłum pod drzwiami. – Nie rozumiesz? – syknął, a jego szept zabrzmiał tuż przy twarzy mężczyzny jak krzyk. – Mogą was usłyszeć! Musisz przyznać, że jesteście głupi.

–O, tak, jesteśmy, proszę pana. – Sierżant, z całą pewnością sierżant, odwrócił głowę, wpatrując się w niewidoczną postać, gdzieś w ogromnej betonowej celi. Evan starał się śledzić spojrzenie mężczyzny; dzięki swojemu wzrostowi dojrzał szereg otwartych ubikacji w końcu korytarza; kilka z nich było zajętych, a oczy siedzących obserwowały poruszenie. Inni więźniowie, zaciekawieni, wielu w jakimś zapamiętaniu, biegali między gwarną grupą przy ciężkich drzwiach a tłumkiem wokół nowego więźnia. Ale, mój panie, mój wielki panie – sztych dalej atletyczny terrorysta – mamy swoje sposoby, żeby przewyciężyć tę głupotę. Powinieneś to docenić u takich maluczkich jak my.

–Doceniam coś tylko wtedy, kiedy zgadza mi się rachunek. – Najwyższy czas wyrównać rachunki! Nagle muskularny fanatyk podniósł szybko lewą rękę. Był to sygnał, na który zaczęły się podnosić głosy, podejmując islamskie zawołanie. Dołączyło do nich kilkanaście innych, a potem kolejne, aż całą celę wypełniło wibrujące echo przeszło pięćdziesięciu zapaleńców, którzy wykrzykiwali pochwałę mętnych poczynań prowadzących wprost w ramiona Allacha. I wtedy się zaczęło. Ofiara miała się dopełnić... Zgraja runęła na niego całym ciężarem; pięści miażdżyły mu twarz i brzuch. Nie mógł krzyżeć – szponiaste palce zatkały mu usta. Czuł rozdzierający ból. I wtem usta miał wolne, policzki wracały na swoje miejsce.

–Mów! – ryknął sierżantterrorysta wprost do ucha Kendrickowi, a opętańczo narastające islamskie zawołanie nie pozwoliło wychwycić tych słów podsłuchom. – Kim jesteś? Skąd, u diabła, przybywasz?

–Jestem, kim jestem! – zawołał Kendrick z grymasem, zdecydowany nie ustępować do końca w przekonaniu, że zna psychikę Arabów, czekał więc chwili, w której szacunek dla śmierci wroga przyniesie przed ostatecznym ciosem kilka minut ciszy, a tyle mu wystarczy. Wyznawcy islamu otaczali śmierć pewną czcią, zarówno przyjaciela, jak i przeciwnika. Och, jakże potrzebował tych sekund! Musi zawiadomić strażników! O, Boże, to już koniec! Zaciśnięta pięść wbiła mu się w jądra – kiedy, och kiedy to się skończy, kiedy nadejdzie tych kilka cennych chwil? Nagle nad nim

zamajaczyła sylwetka, nachyliła się, przyjrzała się uważnie. Inna pięść uderzyła go w lewą nerkę"; wewnętrzny skowyt nie dobył mu się z ust. Nie mógł sobie na to pozwolić.

–Przestańcie! – Głos należał do niewyraźnej postaci. – Ściągnijcie mu koszulę. Chcę obejrzeć jego szyję. Podobno jest tam znamię, którego nie można zmyć. Evan czuł, jak zdzierają mu z piersi tkaninę; zaparło mu dech, bo wiedział, że teraz dojdzie do najgorszego. Nie miał na szyi blizny. – To Amal Bahrudi – stwierdził pochylony nad nim mężczyzna. Na wpół przytomny Kendrick osłupiał słysząc te słowa.

–Czego szukasz? – spytał z wściekłością zdezorientowany sierżantbrygadzista.

–Tego, czego tu nie ma – odpowiedział jak echo głos. – W całej Europie Amal Bahrudi jest znany jako człowiek z blizną na szyi. Władzom przekazano fotografię, jego rzekomą podobiznę – twarz była tam zamazana, ale na nagiej szyi wyraźnie rysowała się blizna po nożu. To jego najlepszy kamuflaż, genialna osłona.

–Jestem w kropce! – zawołał siedzący w kucki krępy mężczyzna, a jego słowa niemal zatonęły w kakofonii zawodzenia. – Jaka osłona? Jaka blizna?

–Blizna, której nigdy nie było, znamię, które w ogóle nie istniało. Wszyscy nabrali się na kłamstwo. To Bahrudi, błękitnooki człowiek, który przyjmuje ból w milczeniu, zaufany, który porusza się nie zauważony po zachodnich stolicach dzięki genom europejskiego dziadka. Prawdopodobnie do Omanu dotarła wiadomość, że tu jedzie, ale zwolnią go rano i jeszcze za wszystko bardzo przepraszają. Sami widzicie, na szyi nie ma blizny. Pomimo mgiełki w oczach i straszliwego bólu Evan uznał, że teraz należy zareagować. Z wysiłkiem przywoływał uśmiech na palące wargi, skupił jasne, błękitne oczy na niewyraźnej postaci nad sobą. – Jeden, co trzeźwo myśli – wycharczał w udręce. – Podnieś mnie i zabierz stąd tych ludzi, zanim wyślę ich do wszystkich diabłów.. Amal Bahrudi przemówił? – spytał mężczyzna za mgłą i wyciągnął rękę. – Podnieście go.

–Nie! – ryknął sierżantterrorysta, rzucając się naprzód i przygważdżając ręce Kendricka. To, co mówisz nie trzyma się kupy! Jest tym, za kogo się podaje z powodu blizny, której nie ma? Pytam się, jaki w tym sens?

–Jeżeli kłamie, to i tak się dowiem – odrzekł pochylony nad nim człowiek, który powoli zaczął nabierać ostrości w oczach Kendricka. Wymizerowana twarz należała do mężczyzny tuż po dwudziestce, odznaczała się wystającymi kośćmi policzkowymi i żywymi, ciemnymi, inteligentnymi oczyma po obu stronach ostrego, prostego nosa. Sylwetkę miał szczupłą, wręcz chudą, ale w sposobie kucania i trzymania głowy była jakaś giętkość i siła. Miał naprężone mięśnie szyi. – Podnieście go – powtórzył młodszy terrorysta spokojnym tonem, który mimo to wyrażał rozkaz. – I powiedzcie ludziom, żeby stopniowo przerywali zawodzenie... rozumiecie, stopniowo... ale niech nie przerywają rozmów. Wszystko musi wyglądać normalnie, nawet te ciągłe klótnie, których nie trzeba przecieź prowokować. Rozzłoszczony podwładny pchnął Evana jeszcze raz na podłogę, a tak mu przy tym boleśnie otworzył ranę na ramieniu, że aż świeża krew trysnęła na beton. Następnie ów gburowaty mężczyzna podniósł się i skierował w stronę tłumu, żeby wypełnić rozkazy. – Dzięki – rzucił bez tchu Evan, cały rozdygotany, gramoląc się na kolana i

krzywiąc z bólu, który czuł dosłownie wszędzie, świadomy siniaków na twarzy i ciele, a także palących skaleczeń w miejscach, gdzie go pokancerowano. Jeszcze chwila, a połączyłbym się z Allachem.

–Nadal masz taką szansę, dlatego nie chce mi się nawet tamować ci krwawienia. – Młody Palestyńczyk pchnął Kendricka pod ścianę, do pozycji siedzącej, z nogami wyciągniętymi na podłodze. – Tak naprawdę nie wiem, czy jesteś Amalem Bahrudim. Kierowałem się intuicją. Z zasłyszanych opisów wynika, że możesz nim być, mówisz też jak wykształcony Arab, co również pasuje do obrazka. Poza tym wytrzymałeś ciężką karę, gdy jeden gest uległości z twojej strony oznaczałby, że jesteś gotów wyjawić żadaną informację. Zachowywałeś się wręcz prowokująco, chociaż zdawałeś sobie sprawę, że w każdej chwili mogą cię udusić... Nie tak postępuje wtyczka, ktoś, kto ceni sobie życie na tym świecie. Tak postępują nasi ludzie, którzy nie chcą narazić sprawy, bo jak sampowiedziałeś, to święta sprawa. I tak jest w istocie. To najświętsza rzecz. Na miły Bóg! – pomyślał Kendrick, przybierając chłodną minę fanatycznego partyzanta. Jakże się mylisz! Gdybym pomyślał, gdybym tylko był w stanie myśleć... Nie ma sprawy!

–To was wreszcie przekona? Z góry mówię, że nie zdradzę tego, czego mi zdradzać nie wolno. – Evan urwał, przełknął ślinę i zasłonił sobie usta. – Nawet jeśli znów zechcecie wymierzyć mi karę i mnie udusić

–Oba te stwierdzenia wcale mnie nie zaskakują – odparł zapalony szczupły terrorysta, schylając się, żeby przykucnąć przed Evanem. – Możesz mi jednak wyjawić cel swojego przyjazdu. Po co przysłano cię do Maskatu? Kogo miałeś odnaleźć? Twoje życie, Amalu Bahrudi, zależy od tych odpowiedzi, a decyzja należy tylko do mnie. Miał rację. Wbrew wszelkim danym miał rację! Ucieczka. Musi uciec z tym młodym mężczyzną gotowym zabić dla świętej sprawy.

* * *

Rozdział 7

Kendrick wpatrywał się w Palestyńczyka tak, jak gdyby oczy naprawdę strzegły tajemnic duszy, chociaż jego oczy były zbyt spuchnięte, żeby zdradzić cokolwiek poza dojmującym bólem fizycznym... – Pozostałe pluskwy znajdują się w rezerwuarach ubikacji – dr Amal Faisal, pośrednik sułtana.

–Przysłano mnie tutaj, abym wam przekazał, że wśród waszych ludzi w ambasadzie są zdrajcy.

–Zdrajcy? – Terrorysta nadal siedział nieruchomo w kucki naprzeciw Evana; jedyną jego reakcją było lekkie zmarszczenie brwi. – To niemożliwe – powiedział po chwili bacznej obserwacji twarzy "Amala Bahrudiego".

–Niestety, nie – zaprzeczył Kendrick – Widziałem dowody. – Jakie dowody? Evan nagle skrzywił się z bólu, złapał za zranione ramię, a jego dłoń natychmiast pokryła się krwią. Jeżeli nie powstrzymacie tego krwawienia, sam to zrobię! Zaczął wstawać opierając się o kamienną ścianę.

–Nie ruszaj się! – zakomenderował młody morderca.

–Niby dlaczego? Skąd mogę wiedzieć, czy nie należysz do zdrajców, którzy zbijają pieniądze na naszej działalności.

–Pieniądze...? Jakie pieniądze?

–Nie dowiesz się, dopóki nie stwierdzę, czy masz prawo o tym wiedzieć. – Evan ponownie oparł się o ścianę, z rękoma na podłodze, usiłując się podnieść. – Mówisz jak mężczyzna, ale jesteś dzieciakiem.

–Dojrzałem szybko – powiedział terrorysta, znowu spychając w dół swego dziwnego więźnia. – Tak jak większość z nas tutaj. – No to wreszcie dojrzej. Jeśli wykrwawię się na śmierć, ani wam, ani mnie nic to nie da. – Kendrick zdarł z ramienia koszulę przesiąkniętą krwią. – Jest brudna – powiedział wskazując ranę. – Cała zapaskudzona i rozjątrzona za sprawą tych zwierzaków, twoich kolegów. – Ani to zwierzaki, ani koledzy. To moi bracia.

–Pisz sobie wiersze w wolnym czasie, mój jest zbyt cenny. Macie tu wodę, czystą wodę?

–W ubikacji – odparł Palestyńczyk. – Po prawej jest zlew. – Pomóż mi się podnieść.

–Nie. Jakie dowody? Kogo miałeś odnaleźć?

–Ty durniu! – wybuchnął Evan. – No, dobrze. Gdzie jest Nassir? Wszyscy pytają: gdzie jest Nassir?

–Nie żyje – odparł młodzieniec z niewzruszoną twarzą.

–Co?

–Napadł go strażnik z ambasady, odebrał mu broń i zastrzelił. Strażnik natychmiast został zabity.

–Nikt nic nie mówił...

–A co tu można było sensownego powiedzieć? – odparował terrorysta. – Zrobić męczennika z jednego amerykańskiego strażnika? Afiszować się z porażką naszego człowieka? Nie obnosimy się ze słabością.

–Nassir? – spytał Kendrick, dostrzegając nutę smutku w głosie młodego mordercy. – Nassir był słaby?

–Był teoretykiem, nie nadawał się do swoich zadań.

–Teoretykiem? – Evan uniósł brwi. – Nasz uczeń miałby być analitykiem?

–Dobry uczeń potrafi określić, kiedy bierna dyskusja musi ustąpić czynnemu działaniu, kiedy siła zastępuje słowa. Nassir za dużo gadał, za dużo usprawiedliwiał.

–A ty jesteś inny?

–Tu nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. Jakie masz dowody zdrady?

–Kobieta nazwiskiem Yateem – odrzekł Kendrick, odpowiadając nie na to, lecz na poprzednie pytanie. – Zaya Yateem. Powiedziano mi, że jest...

–Yateem jest zdrajczynią? – zawołał terrorysta z wściekłością w oczach.

–Tego nie powiedziałem...

–A co powiedziałaś?

–Była godna zaufania...

–To zbyt mało powiedziane, Amalu Bahrudi! – Młody mężczyzna złapał Evana za strzępy koszuli. – Jest oddana naszej sprawie, to niezmordowana działaczka, która wypruwa sobie żyły w ambasadzie!

–Zna też angielski – stwierdził Kendrick wyczuwając jeszcze inną nutę w głosie

terrorysty.

–Tak jak ja! – odparował rozzłoszczony, samozwańczy uczeń, uwalniając swojego więźnia w obrębie ich wspólnego więzienia. – I ja też – powiedział cicho Evan zerkając na liczne grupki więźniów, z których wielu na nich patrzyło. – Możemy przejść na angielski? – spytał, oglądając ponownie krwawiącą ranę. Mówisz, że chcesz dowodów; a ja, oczywiście, nie mogę ci ich dostarczyć, chociaż mogę ci powiedzieć, co widziałem na własne oczy w Berlinie. Sam stwierdzisz, czy mówię prawdę, skoro taki jesteś dobry w stawianiu ocen. Ale nie chcę, żeby któryś z tych zwierzaków, twoich braci, zrozumiał, co powiem.

–Jesteś bezczelny w sytuacji, która wyklucza bezczelność. – Jestem, kim jestem.

–Już to mówiłeś. – Terrorysta skinął głową. – Angielski – zgodził się, porzucając arabski. – Zacząłeś mówić o Yateem. Dokończ. – Zrozumiałeś, że uważam ją za zdrażczynię.

–Kto śmie...

–Miałem na myśli coś przeciwnego – ciągnął Kendrick, krzywiąc się z bólu i ściskając mocniej ramię. Jest godna zaufania, a nawet wychwalana pod niebiosa. Świetnie wypełnia swoje zadania. Oprócz Nassira to ją miałem odnaleźć. – Evan aż syknął z bólu, poddając się temu oczywistemu odruchowi, i wykrztusił dalsze słowa. Gdyby ją zabito, miałem odszukać mężczyznę imieniem Azra, a gdyby i on zginął, innego z siwymi pasmami włosów, zwanego Ahbyahdem. – Ja jestem Azra! – zawołał ciemnooki student. To mnie nazywają Błękitnym! Strzał w dziesiątkę, pomyślał Kendrick, patrząc hardo na młodego terrorystę i badając go wzrokiem.

–Ale siedzisz tu, w tej celi, a nie w ambasadzie...

–To decyzja rady dowództwa – przerwał mu Azra. – Kierowanej przez Yateem.

–Nie rozumiem.

–Dotarła do nas wiadomość, że naszych ludzi wtrąconych do więzienia przetrzymuje się w izolacji, torturuje, przekupuje, zmusza, w taki czy inny sposób do ujawniania informacji. Decyzją rady najsilniejszy spośród nas powinien dać się złapać, żeby objąć przywództwo, zorganizować opór!

–I wybrano ciebie? Ona wybrała ciebie?

–Zaya wiedziała, kogo poleca. Jest moją siostrą, a ja jej bratem, łączą nas więzy krwi. Jest równie pewna mojego oddania sprawie, co ja jej. Walczymy razem na śmierć i życie, bo śmierć to nasza tradycja. Zwycięstwo! Evan odchylił szyję, a głowa opadła mu na twardą betonową ścianę; zbolale oczy krążyły po suficie upstrzonym nagimi, odrutowanymi żarówkami.

–A więc w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu spotykam tego, którego szukam. Może, mimo wszystko, Allah nas nie opuścił. – Do diabła z Allahem! – zawołał Azra ku zdumieniu Kendricka. – Zwolnię cię rano. Nie masz blizny na szyi. Będiesz wolny. – Nie bądź tego taki pewien – powiedział Evan, znów krzywiąc się z bólu i łapiąc za ramię. – Żeby nie owijać w bawełnę, idąc tropem mojej fotografii, dotarli do komórki dżihad w Rzymie i teraz kwestionują istnienie blizny. Przetrzęsają Rijad i Manamę w poszukiwaniu moich dawnych akt lekarskich i dentystycznych. Jeżeli coś przeoczono, jeżeli cokolwiek znajdą, stanę przed izraelskim katem... Ale to

nie twoje zmartwienie, a szczerze mówiąc, na razie i nie moje. – Przynajmniej twoja odwaga dorównuje bezczelności.

–Już ci mówiłem – warknął Kendrick – pisz sobie wiersze w wolnym czasie. Jeśli jesteś Azrą, bratem Yateem, potrzebujesz informacji. Musisz się dowiedzieć, co zobaczyłem w Berlinie.

–Dowody zdrady?

–Jeżeli nie zdrady, to bezgranicznej głupoty, jeżeli nie głupoty, to niewybaczalnej chciwości, która dorównuje zdradzie. – Evan ponownie zaczął się podnosić, wspierając się plecami o ścianę, odpychając rękoma od podłogi. Tym razem terrorysta go nie powstrzymał. – Do cholery, pomóż mi! – zawołał. – Nie mogę się skupić. Muszę najpierw zmyć krew, przetrzeć oczy.

–Co, dobrze – powiedział z ociąganiem mężczyzna zwany Azrą, a wyraz jego twarzy zdradzał silną ciekawość. – Oprzyj się na mnie – dodał bez entuzjazmu.

–hciałem tylko, żebyś pomógł mi się podnieść – powiedział Kendrick wyrwijając gwałtownie rękę, kiedy już stał na nogach. – Dzięki, pójdę sam. Nie potrzebuję pomocy od naiwnych dzieciaków.

–Możesz potrzebować więcej pomocy, niż będę ci mógł udzielić. – Zapomniałem – przerwał Evan, który szedł, ślaniając się na nogach, ku rzędowi czterech ubikacji i zlewowi. – Uczeń to sędzia i ława przysięgłych w jednej osobie, jak również prawa ręka Allacha, którego posyła w diabły.

–Zrozum jedno, nabożnisiu – powiedział twardo Azra, idąc obok bezczelnego, szyderczego nieznanego. – Moja wojna nie toczy się ani za Allachem, ani przeciwko Allachowi, Abrahamowi czy Chrystusowi. To walka o to, żeby przetrwać i żyć jak człowiek wbrew tym, którzy chcą mnie zniszczyć za pomocą kul lub praw. Przemawiam w imieniu wielu, kiedy mówię: Cieszcie się swoją wiarą, praktykujcie ją, ale niech nie będzie ona dla mnie obciążeniem. Mam dość przeciwności do pokonania, próbując utrzymać się przy życiu choćby po to, żeby walczyć o jeden dzień dłużej. Kiedy zbliżyli się do zlewu, Kendrick spojrzał na rozjuszonego młodego mordercę.

–Zastanawiam się, czy powinienem z tobą rozmawiać – stwierdził mrużąc spuchnięte oczy. – A może nie jesteś tym Azrą, do którego mnie wysłano?

–Uwierz w to – odrzekł terrorysta. – W tej działalności dochodzi do kompromisów między ludźmi wielu orientacji, o rozmaitych dążeniach, którzy korzystają nawzajem ze swoich usług z bardzo egoistycznych pobudek. Wspólnymi siłami więcej osiągniemy dla naszych poszczególnych celów niż osobno.

–Rozumiemy się – powiedział Kendrick bezbarwnym tonem. Podeszli do zardzewiałego, metalowego zlewu. Evan odkręcił do końca kran z zimną wodą, lecz zaraz zdał sobie sprawę z hałasu, przykręcił więc kurek, po czym zanurzył ręce i twarz w strumieniu wody. Spryskał się cały do pasa, oblewając głowę i pierś, a potem bardzo dokładnie przemył krwawiącą ranę na ramieniu. Przedłużał mycie, bo czekał odpowiedniej chwili, a wyczuwał rosnącą niecierpliwość Azry, który przestępował z nogi na nogę. Pozostałe podsłuchy znajdują się w rezerwuarach ubikacji. Ta chwila nadeszła. – Dosyć! – wybuchnął sfrustrowany terrorysta, chwycił

Kendricka za zdrową rękę i odciągnął od zlewu. – Mów, co wiesz, co widziałeś w Berlinie! I to już! Jakie znasz dowody zdrady... głupoty... czy chciwości? Na czym polegają?

–Musi w to być zamieszanych wiele osób – zaczął Evan kaszłąc coraz głośniejsze i coraz gwałtowniej, a cały się trząsał na ciele. – Kiedy ludzie wyjeżdżają stąd, zabierają je... – Naraz Kendrick zgiął się, chwycił za gardło i zatoczył w kierunku pierwszej ubikacji na lewo od brudnego zlewu. – Mdli mnie! – zawołał, łapiąc obiema rękami krawędź muszli.

–Co zabierają?

–Filmy! – wykrztusił Evan, kierując głos ku rączce toalety. Szmuglują filmy z ambasady! Na sprzedaż!

–Filmy? Zdjęcia?

–Dwie rolki. Przechwyciłem je, odkupiłem obie! Nazwiska, metody... Już nic więcej nie dało się usłyszeć w tej ogromnej, betonowej celi terrorystów. Rozległ się jazgotliwy brzęk dzwonek; ogłuszające dźwięki na alarm odbijały się od ścian, kiedy grupa umundurowanych strażników wpadła do środka z pistoletami gotowymi do strzału, nerwowo omiatając wzrokiem celę. W ciągu kilku sekund wypatrzyli obiekt swoich poszukiwań; sześciu żołnierzy skoczyło w kierunku ubikacji.

–Nigdy! – wrzasnął więzień znany jako Amal Bahrudi. – Zabijcie mnie, jeśli chcecie, ale nic wam nie powiem, bo jesteście niczym! Podbiegło dwóch pierwszych strażników. Kendrick pchnął ich, rzucając się całym ciałem na osłupiałych żołnierzy, którzy sądzili, że ratują człowiekawkę przed rychłą śmiercią. Zamachnął się i spuścił pięści na zdumione twarze. Na szczęście trzeci żołnierz wbił kolbę pistoletu w czaszkę Amala Bahrudiego. Wokół panowała ciemność, ale wiedział, że leży na stole do badań w więziennym laboratorium. Czuł zimne kompresy na oczach, okłady z lodu przyłożone do różnych części ciała; sięgnął i zdjął grube, wilgotne kompresy. Nad nim wyłoniły się twarze – zdeorientowane, gniewne. Nie miał dla nich czasu!

–Faisal! wyjąkał po arabsku. – Gdzie jest Faisal, Lekarz? – Jestem tu, koło pana lewej nogi – odpowiedział po angielsku omański lekarz. – Przemywam dość dziwną ranę. Ktoś musiał pana ugryźć.

–Pamiętam jego zęby – odparł już też po angielsku Evan. – przypominały zęby ryby, tyle że żółte.

–W tej części świata nie przestrzega się odpowiedniej diety. – Proszę wszystkich wyprosić, panie doktorze – przerwał Kendrick. I to zaraz. Musimy porozmawiać.

–Po tym, jak pan tam narozrabiał wątplię, czy odejdą, zresztą nie wiem, czy im pozwolę. Czy pan oszalał? Wbiegli, żeby ocalić panu życie, a pan się na nich rzucił, rozwalając jednemu nos, drugiemu łamiąc mostek w ustach.

–Musiałem być przekonywający, proszę im to przekazać, albo nie, jeszcze nie teraz. Niech ich pan wyprosi. Niech im pan powie, co pan chce, ale musimy porozmawiać. Potem musi się pan skontaktować w moim imieniu z Ahmatem... Jak długo tu jestem?

–Prawie godzinę.

–Boże! A która jest teraz?

–Czwarta piętnaście rano.

–Prędeż! Na miłość boską, prędeż! Faisal odprawił żołnierzy uspakajając ich i tłumacząc, że nie może wszystkiego wyjaśnić. Ostatni strażnik przystanął na odchodnym, wyjął z kabury pistolet automatyczny i podał go lekarzowi. – Może powinienem trzymać pana na muszce podczas rozmowy? – spytał Omańczyk po wyjściu żołnierza.

–Przed wschodem słońca – powiedział Kendrick, zrzucił okłady z lodu, i usiadł nie bez bólu przerzucając nogi nad stołem – chcę, żeby więcej osób trzymało mnie na muszce. Byle niezbyt skutecznie. – Co pan wygaduje? To chyba jakiś żart.

–Ucieczka. Ahmat musi zaaranżować moją ucieczkę.

–Co? Pan oszalał!

–Nigdy nie byłem bardziej przytomny ani bardziej poważny. Niech pan wybierze dwóch albo trzech najlepszych ludzi, to znaczy takich, którym pan w pełni ufa, i zorganizuje przerzut.

–Przerzut? Evan skinął głową i przymknął oczy. Opuchlizna była nadal widoczna, chociaż zimne kompresy nieco pomogły. Usiłował znaleźć odpowiednie słowa, żeby przekonać zdumionego lekarza. – Może ujmę to w ten sposób. Ktoś zdecydował się przenieść stąd kilku więźniów gdzie indziej.

–Kto by tak ryzykował? Po co?

–Nikt! Przygotuje to pan i wykona bez żadnych wyjaśnień. Czy ma pan zdjęcia więźniów?

–Jasne. To normalna procedura przy aresztowaniu, bo nazwiska są bez znaczenia. Zawsze podają fałszywe.

–Proszę mi wszystkie przynieść. Wtedy panu powiem, kogo wybrać.

–Ale do czego?

–Do przerzutu. Kilku z nich przewieziecie w inne miejsce. – Dokąd? Naprawdę, to wszystko nie trzyma się kupy.

–Pan nie słucha. Gdzieś po drodze, w bocznej uliczce albo na ciemnej drodze za miastem obezwładnimy strażników i uciekniemy. – Obezwładnimy? To znaczy kto?

–Należę do tej grupki, ucieknę razem z nimi. Wracam do celi. – Czyste szaleństwo! – wykrzyknął Faisal.

–Czysty rozsądek – odparował Evan. – W celi jest ktoś, kto może mnie zaprowadzić tam, dokąd chcę dotrzeć. Naprowadzić nas na właściwy trop! Proszę zdobyć policyjne fotografie i skontaktować się z Ahmatem przez trzy piątki. Niech mu pan przekaże moje słowa, on już zrozumie... Zrozumie, niech mnie licho! Ten młodociany przestępca z dobrego amerykańskiego uniwersytetu myślał o tym od początku! – Chyba pan również, amerykański ja szajchl

–Może i tak. Może chcę zrzucić na kogoś winę. To wszystko nie jest w moim stylu.

–Ale coś w środku pana popycha, przekształca dawnego człowieka. To się zdarza. Kendrick spojrzał w łagodnie piwne oczy omańskiego lekarza. – Zdarza się – potwierdził. Nagle w jego głowie pojawił się zarys ciemnej sylwetki; postać męczyzny wyłoniła się z szalejącego ognia ziemskiego piekła. Opary dymu spowiły

zjawę, kiedy wokół sypnęły się zwały gruzu, tłumiąc krzyki ofiar. Mahdi. Morderca kobiet i dzieci, jego serdecznych przyjaciół, współbojowników w jednej sprawie – członków jedynej rodziny, jakiej Evan pragnął. Wszyscy zginęli, przepadli, a sprawa uleciała z dymem zniszczenia, znikła we wznoszących się kłębach, aż nie pozostało nic oprócz zimna i ciemności. Mahdi! – Zdarza się – powtórzył łagodnie Kendrick, pocierając w zamyśleniu czoło. Proszę mi przynieść zdjęcia i zawiadomić Ahmata. Chcę wrócić do celi za dwadzieścia minut, a dziesięć minut później ją opuścić. Na miłość boską, niech pan już idzie!

Ahmat, sułtan Omanu, jeszcze w sportowych spodniach i koszulce "Patriotów" z Nowej Anglii, siedział w fotelu z wysokim oparciem, a czerwona lampka jego prywatnego, specjalnego telefonu świeciła na prawej nodze biurka. Słuchał uważnie ze słuchawką przy uchu.

–więc stało się, Faisal – powiedział spokojnie. – Dzięki niech będą Allahowi, stało się.

–Powiedział mi, że się tego spodziewałeś – stwierdził lekarz z nutką pytania w głosie.

–To za mocno powiedziane, przyjacielu. "Nadzieja" byłaby odpowiedniejszym słowem.

–Usuwałem ci migdałki, wielki sułtanie, i przez tyle lat zajmowałem się pomniejszych dolegliwościami, łącznie z pewną poważną obawą, która okazała się nieuzasadniona. Ahmat roześmiał się, bardziej do samego siebie niż do słuchawki. – Szalony tydzień w Los Angeles, Amalu. Kto wie, co mogłem złapać?

–Zawarliśmy umowę. Nie szepnąłem o tym słowa twojemu ojcu. – Czyli sądzisz, że ja teraz coś przed tobą ukrywam?

–Przemknęła mi przez głowę taka myśl.

–Doskonale, przyjacielu... – Nagle młody sułtan odwrócił gwałtownie głowę, bo otworzyły się drzwi jego królewskiego apartamentu. Weszły dwie kobiety; pierwsza – blondynka – była w widocznej ciąży, pochodziła z New Bedford, w stanie Massachusetts. Miała na sobie szlafrok. To jego żona. Za nią weszła ubrana elegancko ciemnowłosa kobieta o oliwkowej cerze. Była znana w pałacu jako Khalehla. – Pominąwszy zdrowy rozsądek, mój doktorze – ciągnął do słuchawki Ahmat – mam dostęp do pewnych źródeł. Nasz wspólny znajomy potrzebował pomocy, a kto mógł mu udzielić lepszej pomocy niż władca Omanu?

Spowodowaliśmy przeciek informacji do tych zwierzaków w ambasadzie.

Przetrzymano więźniów, poddając ich brutalnym przesłuchaniom. Trzeba było tam kogoś wysłać, żeby utrzymał porządek, dyscyplinę... i Kendrick go odnalazł... Daj naszemu Amerykaninowi wszystko, czego zażąda, ale opóźnij jego plan o piętnaście, dwadzieścia minut do czasu przybycia dwóch moich funkcjonariuszy policji.

–Z Al Kabir? Twoich kuzynów?

–Powiedzmy, że dwóch doborowych policjantów, przyjacielu. Zapadło krótkie milczenie, rozmówca szukał słów.

–Czyli pogłoski się potwierdzają, Ahmacie?

–Nie wiem, o co ci chodzi. Pogłoski to plotki. Ani jedno, ani drugie mnie nie

interesują.

–Powiadają, że twoja mądrość jest niewspółmierna do wieku. – To dziecinada – przerwał sułtan.

–On sam powiedział, że musisz być mądry... "żeby tu rządzić". Trudno to przyjąć komuś, kto cię leczył na świnkę.

–Nie łam sobie nad tym głowy, doktorze. Informuj mnie tylko na bieżąco. – Ahmat sięgnął do szuflady, gdzie znajdował się prywatny aparat telefoniczny i wcisnął kilka guziczków. Po kilku sekundach zaczął mówić. – Przepraszam, krewniaku, wiem, że śpisz, ale znów cię muszę niepokoić. Idź zaraz do więzienia. Amal Bahrudi planuje ucieczkę. Z "fuksami". – I odłożył słuchawkę.

–Co się stało? – spytała podchodząc szybko żona młodego sułtana.

–Proszę cię – powiedział Ahmat, patrząc na brzuch idącej rozkołysanym krokiem małżonki. – Zostało ci już tylko sześć tygodni, Bobbie. Poruszaj się wolniej.

–Ależ on jest nieznośny – poskarżyła się Roberta Aldridge Yamenni odwróciwszy głowę do stojącej obok Khalehli. – Ten mój fajtłapa przybiegł do mety chyba jako dwutysięczny w bostońskim maratonie, a mnie poucza, jak nosić dziecko. Czy to nie przesada? – Ale to królewski miot, Bobbie – odparła z uśmiechem Khalehla.

–Królewski, też mi coś! W pieluchach wszyscy są sobie równi. Spytaj mojej matki, miała nas czworo w ciągu sześciu lat. Kochanie, co się właściwie stało?

–Nasz amerykański kongresman nawiązał kontakty w celi. Fingujemy ucieczkę.

–Udało się! – zawołała Khalehla, podchodząc do biurka.

–To był twój pomysł – stwierdził Ahmat.

–A dajże spokój. Mój wkład tu się nie liczy.

–Wszystko się liczy – powiedział stanowczo młody sułtan. – Mimo pozorów, mimo ryzyka, potrzebna jest nam wszelka pomoc, wszelka rada... Przepraszam, Khalehlo. Nawet się nie przywitałem. Przykro mi, że ściągnąłem was tu, o tej porze, podobnie jak moich kuzynów, zwykłych policjantów, ale wiedziałem, że chciałybyście przy tym być.

–To oczywiste.

–Jak wam się to udało? Jak wymknęłyście się z hotelu o czwartej nad ranem?

–Dzięki Bobbie. Ale zapewniam cię, Ahmacie, że reputacja żadnej z nas nie ucierpiała.

–Tak? – Sułtan spojrzał na swoją żonę.

–Wielki Boże – podjęła Bobbie, składając ręce, pokłoniła się i mówiła z bostońskim akcentem. – Ta uroczą dama to kurtyzana z Kairu. Nieźle to brzmi, co? W tych okolicznościach... – Tu królewska żona wskazała obiema rękami na swój rozdęty brzuch i ciągnęła. Przywileje klasowe mają swoje dobre strony. Jako absolwentka wydziału historii w Radcliffe, co potwierdzi moja była koleżanka z akademika, wspomnę, że Henryk VIII nazywał to "jazdą w siodle". Stosował ją wówczas, gdy Annę Boleyn była zbyt niedysponowana, żeby dogodzić swemu monarsze.

–Na miłość boską, Roberto, to nie jest scena z filmu "Król i ja", a ja nie jestem gwiazdorem miary Yula Brynnera.

–Teraz już jesteś, kochany! – Żona Ahmata spojrziała ze śmiechem na Khalehle. – Oczywiście, jeżeli go dotkniesz, wydrapię ci oczy.

–Nie ma obawy, moja droga – odparła Khalehla udając powagę. – Nie po tym, co mi powiedziałaś.

–Już dobrze, moje panie – przerwał im Ahmat. Jego krótkie spojrzenie wyrażało wdzięczność wobec obu kobiet.

–Od czasu do czasu musimy się pośmiać – powiedziała jego żona. – Inaczej oszalałybyśmy.

–Zwariowałybyście ani chybi – potwierdził łagodnie Ahmat, kierując wzrok na kobietę z Kairu. Jak tam twój angielski biznesmen? – Szaleje jak pijany zając – odpowiedziała Khalehla. – Ostatnio widziano go na miękkich nogach w hotelowym Barze Amerykańskim. Nadal mnie wyzywał.

–To nie najgorzej, biorąc pod uwagę twój kamuflaż.

–Na pewno. Wybieram tego, kto oferuje najwyższą stawkę.

–A co z naszymi doborowymi patriotami, starszymi księżętami, bawiącymi się w handlarzy, którzy marzą tylko o tym, żebym sfrustrowany uciekł na Zachód? Nadal wierzą, że jesteś po ich stronie? – O, tak. Mój "przyjaciel" z bazaru, Sabat Aynub, oświadczył mi, że są przekonani, iż spotkałeś się z Kendrickiem. Jego rozumowanie było tak nieodparte, że musiałam mu przyznać, iż jesteś skończonym durniem. I po prostu szukasz guza. Wybacz.

–Jakie znowu rozumowanie?

–Wiedzą, że Amerykanin wsiadł do garnizonowego samochodu o kilka przecznic od hotelu. Nie mogłam się spierać, bo byłam na miejscu.

–A więc czatowali na ten samochód. Garnizonowe wozy krążą po całym Maskacie.

–Jeszcze raz wybacz, ale to było złe posunięcie, Ahmacie. Powinam cię o tym powiadomić, tyle że nie mogłam się z tobą skontaktować. Widzisz, rozszyfrowano nas. Dowiedzieli się, że Kendrick był tutaj...

–Mustafa – przerwał gniewnie młody sułtan. – Żal mi człowieka, ale nie tego, że śmierć zamknęła mu te jego rozgadane usta. – Może to on, a może nie – powiedziała Khalehla. – Być może winę ponosi Waszyngton. Uważam, że zbyt wielu ludzi było zamieszanych w przyjazd Kendricka. O ile mi wiadomo, operację przeprowadził Departament Stanu, inni są w tym lepsi.

–Nie wiemy, kto jest wrogiem ani gdzie go szukać! – Ahmat zacisnął pięść, podnosząc ją do ust. – To może być ktokolwiek, gdziekolwiek, tuż pod naszym nosem. Do licha, co teraz robić?

–Róbcie to, co wam kazał – odrzekła kobieta z Kairu. – Powinien się dobrze zdekować. Złapał kontakt, czekaj więc, aż się z tobą skontaktuje.

–Tylko tyle mogę zrobić? Czekać?

–Nie, jest jeszcze coś – dodała Khalehla. – Podaj mi trasę ucieczki i podstaw szybki wóz. Przyniosłam ze sobą przebranie kurtyzany, jest w walizeczce w przedpokoju, a kiedy się będę przebierać, uzgodnisz szczegóły z kuzynami i z tym lekarzem, którego nazywasz starym przyjacielem.

–Zaraz, zaraz! – sprzeciwił się Ahmat. – Wiem, że ty i Bobbie znacie się od dawna,

ale to jeszcze nie powód do stawiania żądań, abym narażał twoje życie! Nic z tego, Jose.

–Moje życie nie ma tu nic do rzeczy – powiedziała lodowato Khalehla, spoglądając piwnymi oczyma na Ahmata. – Ani twoje. Mówimy o prawdziwym terroryzmie i o przetrwaniu Bliskiego Wschodu. Dzisiejsza noc może nic nie przynieść, ale muszę spróbować, a ty musisz mi na to pozwolić. Czy nie do tego nas przygotowano?

–Musisz jej też podać numer, pod którym cię zastanie – powiedziała spokojnie Roberta Yamenni. Pod którym zastanie nas oboje. – Idź się przebrać – powiedział młody sułtan Omanu z zamkniętymi oczami, kręcąc głową.

–Dzięki, Ahmacie. Pośpieszę się, ale najpierw muszę porozmawiać ze swoimi ludźmi. Wystarczy kilka słów, nie potrwa to długo.

Pijany łysy mężczyzna w wymiętym prążkowanym garniturze firmy z Savile Row został wyprowadzony z windy przez dwóch rodaków. Wymiary i ciężar ich zalanego ładunku były takie, że każdy wyteżał się, aby podtrzymać powierzona sobie część ciała. – Wstyd i hańba! – podsumował bezlitośnie pijaka mężczyzna po lewej, spoglądając na kluczyki hotelowe zwisające spomiędzy palców swojej prawej ręki, która jeszcze bardziej bezlitośnie podtrzymywała tamtego pod pachą.

–Daj spokój, Dickie – zareplikował jego towarzysz – każdemu z nas zdarzało się wypić o kilka kolejek za dużo.

–Nie w tym przeklętym kraju, który staje w płomieniach podsycanych przez tych czarnych barbarzyńców. Mógł wywołać jakąś krwawą bijatykę i powiesiliby nas na latarniach! Gdzie ten jego cholerny pokój?

–W końcu korytarza. Ciężka bestia, co?

–Sama słonina i czysta whisky.

–Bo ja wiem. Sprawiał wrażenie miłego gościa, który dał się podłapać gadatliwej kurwie. Na jego miejscu każdy by się zalał. Zrozumiałeś, gdzie pracuje?

–W jakiejś firmie tekstylnej w Manchesterze. Twillingame, Burlingame czy coś takiego.

–Nigdy o takiej nie słyszałem powiedział mężczyzna po prawej, unosząc ze zdziwieniem brwi. – No, daj mi klucz, to te drzwi. – Po prostu rzucimy go na łóżko, nie będziemy się z nim więcej cackać.

–Myślisz, że tamten facet nie zamknie baru? Bo kiedy my tu spełniamy chrześcijański obowiązek, tamten idiota gotów nam zamknąć drzwi przed nosem.

–Jego niedoczekanie! – uniósł się mężczyzna imieniem Dickie i trzy postaci weszły chwiejnym krokiem do zaciemnionego pokoju, gdzie światło z korytarza pozwoliło dojrzeć zarys łóżka. – Dałem temu draniowi dwadzieścia funtów, żeby nie zamykał, nawet gdybyśmy mieli być jedynymi gośćmi. Jeżeli sądzisz, że choć na sekundę zmrużę oczy, nim znajdę się jutro w samolocie, to chyba do reszty zbikowałeś. Nie pozwolę, żeby jakiś pieprzony smoluch z kompleksem mesjanistycznym rozplątał mi gardło. Hej, siup, do góry go! – Dobranoc, tłusty książę rzucił na odchodnym jego współtowarzysz. I niech całe stada czarnych nietoperzy uniosą cię w dal. Tęgi mężczyzna w prążkowanym garniturze uniósł głowę z łóżka i zwrócił twarz ku drzwiom. Kroki w korytarzu ucichły; nieeleganckim ruchem

przetoczył swoje cielsko i wstał. W mdłym świetle przygaszonych latarni pod oknem zdjął marynarkę i spodnie, powiesił je starannie w otwartej szafie, wygładzając fałdy. Rozluźnił krawat z insygniami pułku, po czym zsunął go z szyi. Następnie rozpiął poplamioną koszulę zalatującą whisky, zdjął i wrzucił do kosza na śmieci. Wszedł do łazienki, odkręcił oba kurki i przetał gąbką tors; zadowolony, wziął flakon wody kolońskiej i spryskał nią obficie skórę. Wycierając się, wrócił do sypialni, podszedł do walizki leżącej na stojaku w kącie. Otworzył ją, wybrał czarne spodnie i czarną jedwabną koszulę, włożył. Zapiął ją, wetknął pod pasek opinający tłusty brzuch, podszedł do okna i wyjął z kieszeni spodni książeczkowe zapalniczki. Zapalił jedną, poczekał, aż płomień się uspokoi i wykonał trzy półkoliste ruchy przed wielką szybą. Odczekał dziesięć sekund, po czym zbliżył się do biurka stojącego pod lewą ścianą i zapalił lampę. Podszedł do drzwi, otworzył automatyczny zamek, następnie wrócił do łóżka, gdzie starannie wyjął spod kapy dwie poduszki, ubił je, żeby móc podłożyć sobie pod plecy i usadowił całą swą tuszę w wygodnej pozycji. Spojrzał na zegarek i czekał. Ktoś zaskrobał trzy razy do drzwi, pocierając półkolistym ruchem drewno.

–Wejść powiedział mężczyzna w czarnej jedwabnej koszuli, leżący na łóżku. Ciemnoskóry Arab wszedł z wahaniem, najwyraźniej czuł lęk przed tym otoczeniem i znajdującą się w nim osobą. Miał czyste, może wręcz nowe szaty i nieskazitelny zawój; przybywał z misją specjalną. Przemówił cichym, pełnym szacunku głosem.

–Uczył pan święty znak półksiężyca, a więc jestem.

–Wielkie dzięki – rzekł Anglik. Wejdz, proszę, i zamknij drzwi. – Tak jest, efendi. Mężczyzna zrobił, co mu polecono, nadal zachowując dystans. – Przyniosłeś mi to, czego potrzebuję?

–Tak jest, panie. Sprzęt i informacje.

–Najpierw poproszę o sprzęt.

–Już się robi. Arab sięgnął pod szaty i wyjął duży pistolet, który zawdzięczał swoje rozmiary perforowanemu cylindrowi przymocowanemu do lufy; był to tłumik. Drugą ręką posłaniec wyciągnął szare pudełeczko; zawierało dwadzieścia siedem naboń. Podszedł posłusznie do łóżka, podał mężczyźnie broń. – Pistolet jest naładowany. Ma w środku dziewięć naboń. W sumie jest ich trzydzieści sześć. – Dziękuję – powiedział otyły Anglik przyjmując broń. Arab wycofał się z uniżeniem. – A teraz poproszę o informację.

–Tak jest. Ale najpierw muszę panu powiedzieć, że niedawno przewieziono kobietę z pobliskiego hotelu do pałacu.

–Co? Zdumiony angielski biznesmen podskoczył na łóżku, grube nogi zakołysały się i tąpnęły o podłogę. Jesteś pewien? – Tak jest, panie. Zabrała ją królewska limuzyna.

–Kiedy?

–Mniej więcej dziesięć, dwanaście minut temu. Naturalnie od razu mnie zawiadomiono. Teraz już jest na miejscu.

–A co z tymi staruchami, kupcami? – Głos grubasa był niski i napięty, jakby kosztowało go to wiele wysiłku, żeby nad sobą panować. – Skontaktowała się, prawda?

–Tak, panie – odrzekł Arab drżącym głosem, jak gdyby się bał, że jeśli zaprzeczy, dostanie cięgi. – Umówiła się w Dakhil na kawę z importerem, niejakim Hajazzim, a po dłuższym czasie spotkali się ponownie na bazarze Sabat. Robiła zdjęcia, śledziła kogoś... – Kogo?

–Nie wiem, panie. Na bazarze panował wielki ścisk, gdzieś mi umknęła. Straciłem ją z oczu.

–Do pałacu? – szepnął chrapliwie biznesmen, podnosząc się powoli. – Niesłychane!

–Ale to prawda, panie! Moje informacje są prawdziwe, inaczej nie śmiałybym ich przekazać tak czcigodnej osobie jak pan... Przysięgam, efendi, będę całym sercem błogosławił Allacha we wszystkich modlitwach za to, że spotkałem prawdziwego zwolennika Mahdiego! Anglik rzucił szybko okiem na posłańca.

–A więc powiedziano ci o tym? – spytał cicho.

–Pobłogosławiono mnie tym darem wiedzy, uhonorowano pośród innych braci.

–Kto jeszcze wie?

–Jak mi życie miłe"nikt więcej, panie! Tajemnicę pańskiej obecności w Maskacie zabiorę ze sobą do grobu!

–Świetny pomysł – rzekł w półmroku grubas unosząc pistolet. Dwa strzały zabrzmiały jak szybkie, przytłumione kaszlnięcia, ale ich siła była niewspółmierna wobec dźwięku. Arab padł na ścianę po drugiej stronie pokoju, a jego nieskazitelne szaty nagle nasiąkły krwią. W hotelowym Barze Amerykańskim panował mrok, tylko świetlówki jarzyły się nad kontuarem mdłym blaskiem. Barman w fartuchu przycupnął w kąciku swego królestwa, od czasu do czasu zerkając leniwie na dwie postaci siedzące w łoży przy frontowym oknie; na wpół opuszczone żaluzje częściowo przysłaniały widok na zewnątrz. Anglicy to głupcy – myślał barman. Nie to, że powinni wyzbyć się strachu – kto był od niego wolny w tych czasach wściekłych psów? Ani żaden cudzoziemiec, ani żaden Omańczyk przy zdrowych zmysłach. Ale ci dwaj byłiby bezpieczniejsi od ataku wściekłych psów za zamkniętymi drzwiami hotelowych pokoi, nie zauważeni, niewidoczni... Czy aby na pewno? – zaczął się zastanawiać barman. On sam powiedział dyrekcji, że ci dwaj uparli się, żeby tu zostać, a dyrekcja, nie wiedząc, co też ci cudzoziemcy mają przy sobie ani kto jeszcze o tym wie i ich szuka, postawili trzech uzbrojonych strażników w holu obok jedyne go wejścia do Baru Amerykańskiego. Tak czy inaczej, zakonkludował barman ziewając, czy są mądrzy, czy głupi, nieroztropni czy rozsądni, Anglicy są wyjątkowo hojni, i tylko to się liczy. To jedno, no i widok własnego pistoletu ukrytego w ręczniku pod barem. Jak na ironię, był to śmiercionośny izraelski pistolet – półautomatyczny kupiony od usłużnego Żyda na nabrzeżu. Ha! Teraz ci Żydzi naprawdę wykazali spryt. Odkąd rozpętało się to szaleństwo, uzbroili połowę Maskatu.

–Dickie, patrz! – szepnął bardziej tolerancyjny z dwóch Anglików, rozsuwając prawą ręką dwie listewki w zakrywającej okno opuszczonej żaluzji.

–Co takiego, Jack? – Dickie podniósł gwałtownie głowę, mrugając oczyma, bo właśnie się zdrzemnął.

–Czy to nie ten nasz zalany rodak?

–Kto? Gdzie? O, Boże, masz rację! Na zewnątrz, na pustej, słabo oświetlonej ulicy gruby mężczyzna – wyprostowany, podniecony – chodził w tę i z powrotem po chodniku i rozglądał się nerwowo wokół siebie. Nagle zapalił kilka zapalek jedną po drugiej. Podnosił i opuszczał płomień, rzucając gniewnie każdą zapalną na chodnik przed zapaleniem następnej. Po półtorej minuty na jezdni zjawił się jadący szybko ciemny samochód; gwałtownie zahamował i wygasił światła. Dickie i jego kolega obserwowali zdumieni przez szparę między listewkami żaluzji, jak grubas z zadziwiającą zwinnością i stanowczością obchodzi maskę wozu. Kiedy podszedł do tylnych drzwi, ze środka wyskoczył Arab w zawoju, ale ubrany w ciemny zachodni garnitur. Tęgi Brytyjczyk natychmiast zaczął szybko mówić, co chwila dźgając palcem wskazującym twarz stojącego przed nim mężczyzny. Wreszcie obrócił wielki tors, odwrócił głowę z podwójnym podbródkiem i wskazał na wyższe piętra hotelu; Arab okręcił się na pięcie i pognął chodnikiem. Następnie, wcale się z tym nie kryjąc, grubas wyjął zza pasa wielki pistolet, rozwarł szerzej drzwi samochodu i szybko, ze złością wsiadł do środka.

–Boże mój, widziałeś? – zawołał Dickie.

–Tak. Przebrał się.

–Co ty powiesz?

–No przecież. Światło jest marne, ale nie dla wprawnego oka. Zniknęła biała koszula i prążkowany garnitur. Ma na sobie ciemną koszulę, a spodnie i marynarkę czarne, z grubej wełny, niezbyt odpowiednie w tym klimacie.

–O czym ty gadasz? – spytał zdumiony Dickie. – Miałem na myśli spluwę!

–No, tak, stary. Ty robisz w branży metali żelaznych, a ja w tekstylnej,

–Wiesz co, wprawiasz mnie w osłupienie! Obaj widzimy

studwudziestokilogramowego faceta, który przed kwadransem był tak zalany, że musieliśmy go dźwigać na górę, jak nagle biega sobie trzeźwiusieńki po ulicy, wydaje rozkazy jakiemuś gościowi i wymachuje bronią, a potem wskakuje do wezwanego najwyraźniej przez siebie wozu jeżdżącego z zawrotną prędkością... a ty widzisz tylko jego ciuchy.

–To tylko jedna strona medalu, stary. Dostrzegłem oczywiście broń, rączego Araba i ten wóz prowadzony niewątpliwie przez szaleńca... i prawem kontrastu ubranie wydało mi się dziwaczne, teraz rozumiesz?

–Ani w ząb!

–Być może "dziwaczne" to niewłaściwe słowo.

–No to poszukaj właściwego, Jack.

–Dobra, spróbuję... Ten tłuścioch miał w czubie albo nie miał, ale odstawiony był jak z żurnala. Garnitur z delikatnej wełny czesankowej, koszula firmy Angelo, krawat z najlepszego czystego jedwabiu i buty "benedyktynki, mokasyny szyte na zamówienie we Włoszech. Jest wystrojony na zabój, pomyślałem sobie, i to stosownie do klimatu.

–No to co?spytał z irytacją Dickie.

–To, że teraz, na ulicy, jest w zwyczajnych spodniach i w marynarce, które źle

leżą, są za "ciężkie na ten przeklęty Upał, nie biją w oczy elegancją, a już na pewno nie pasują do poranku towarzyskiego ani do śniadania w Ascot. A skoro już o tym mowa, znam w Manchesterze wszystkie firmy tekstylne. I nie ma tam żadnej, która nazywałaby się Twillingame, Burlingame czy jakoś podobnie. – Co ty powiesz?

–Przecież ci mówię.

–To się nazywa "spalony", co?

–Tak, dlatego uważam, że nie powinniśmy lecieć dziś rano samolotem.

–Na Boga, dlaczego?

–Powinniśmy pójść do naszej ambasady i zaalarmować kogoś. – Co?

–Dickie, a jeżeli ten facet naprawdę chce wyglądać "zabójczo"?

DOKUMENT MAKSYMALNIE ZABEZPIECZONY PODŁĄCZEŃ ZEWNĘTRZNYCH

BRAK MOŻNA PISAĆ A oto dalszy ciąg dziennika. Ostatni raport jest niepokojący, a ponieważ moje przyrządy nie rozszyfrowały wstępnych kodów Langley, nie wiem nawet, czy dane zostały zablokowane. Osobnik nawiązał kontakt. Detektyw mówi o ryzykownej decyzji, która była "nieunikniona" – nieunikniona! ale nad wyraz bezpieczna. Co robi i jak to robi? Jakie ma metody i kontakty? Musze znać szczegóły. Jeżeli przeżyje, będę potrzebował wszelkich szczegółów, bo właśnie szczegóły zapewniają wiarygodność niezwykłym operacjom, a ta operacja uczyni z tego osobnika sumienie narodu: Czy zdoła przeżyć, czy stanie się jeszcze jedną zagubioną cyferką w nie ujawnionej serii wydarzeń? Moje przyrządy tego nie wiedzą, mogą tylko potwierdzić jego możliwości, co nic nam nie da, jeżeli ten osobnik zginie. Wówczas cała moja praca pójdzie na marne.

* * *

Rozdział 8

Czterej więźniowie-terrorysty siedzieli w kajdankach, dwaj po prawej stronie pędzącej karetki policyjnej, dwaj pozostali naprzeciw tamtych po lewej. Zgodnie z wcześniejszym ustaleniem Kendrick siedział obok młodego fanatyka o dzikim wzroku, który seplenił z powodu zajęcej wargi, i to w dodatku skrzekliwie; Azra siedział naprzeciwko, obok gburowatego, starszego mordercy, który zaczął i zaatakował Evana ten ostatni nazywał go w myślach sierżantembrygadziwą. Przy klekoczących stalowych drzwiach karetki stał strażnik, trzymał się lewą ręką poprzeczki na dachu i próbował utrzymać pionową pozycję. W prawej miał, podtrzymywany przez naprężony skórzany pas, zwisający z ramienia pistolet maszynowy MAC-10. Jedna puszczone na oślep seria zmieniła by czterech oddychających więźniów w zmasakrowane, nie oddychające trupy przygwożdżone do ścian pędzącej karetki. Ale strażnik – również zgodnie z ustaleniem – miał poza tym przypięty do pasa pęk kluczy od kajdanków więźniów. Przedtem rozegrał się wyścig z czasem, jakże drogocennym. Minuty przerodziły się w godziny, a z upływem godzin nastął kolejny dzień.

–Jest pan szalony i wie pan o tym, prawda?

–Panie doktorze, nie mamy wyboru! Ten człowiek to Azra, zwany Błękitnym,

–Bzdura i jeszcze raz bzdura! Azra ma brodę i długie włosy. Mieliśmy okazję oglądać go w telewizji.

–Zgolił brodę i ściął włosy.

–Pytam pana, czy jest pan Amalem Bahrudim?

–Obecnie tak.

–Nie, nie jest pan! Tak jak on nie jest Azrą! Ten człowiek został tu przywieziony pięć godzin temu z bazaru w Wajlat. To pijany kretyn, błazen udający chojraka, i tyle. Inny bydlak, jego koleżka, rozplątał sobie gardło policyjnym nożem!

–Byłem tam, Faisalu. To Azra, brat Zayi Yateem.

–Dlatego, że tak mówi?

–Nie. Dlatego, że z nim rozmawiałem, że go wysłuchałem. Prowadzi świętą wojnę nie za Allacha czy przeciwko Allahowi, Abrahamowi lub Chrystusowi. Jej celem jest ocalenie życia, przetrwanie na tej ziemi.

–Obłąd! Wszystko to jeden wielki obłąd!

–Co powiedział Ahmat?

–Żeby zrobić, co pan każe, ale poczekać do przybycia jego dwóch doborowych policjantów. Całkowicie ufa tym dwóm ludziom... to pewnie pańskie instrukcje.

–Tych dwóch wesołków? Dwóch mundurowych, którzy towarzyszyli mi z bazaru na Al Kabir?

–Są od zadań specjalnych. Jeden będzie prowadził wóz policyjny, drugi chronił pana.

–Dobrze pomyślane. Czyli realizuję scenariusz Ahmata, prawda?

–Jest pan, niesprawiedliwy, panie Kendrick.

–A on tylko do pewnego stopnia niegodziwy... Oto dwóch więźniów, którzy mają się znaleźć w tym przeczuciu, w jednym transporcie ze mną i z Azrą.

–Po co? Kim oni są?

–Jeden to wariat zdolny miotać przekleństwa na swój pluton egzekucyjny, a(drugi... drugi to cień Azry. RobiWszystko, co mu każe Błękitny. Wystarczy usunąć tych dwóch, a forteca padnie.

–Mówi pan zagadkowo.

–Innych można złamać, panie doktorze. W sumienie nie wierzą, ale dadzą się złamać. Proponuję, żeby pan brał po trzech albo czterech, zamykał w mniejszych klitkach i kazał oddawać strzały z drugiej strony celi. Z pewnością znajdzie się kilku fanatyków, którym nie marzy się własna egzekucja.

–Proszę pamiętać, że zrzuca pan swoją skórę, panie Kendrick. Wkracza pan w nie znany sobie świat,,

–No to go poznam, panie doktorze. Po to tu jestem. Sygnał! Strażnik przy drzwiach karetki złapał równowagę, opuścił na chwilę lewą rękę, potrząsnął nią, żeby przywrócić krążenie i natychmiast podniósł do góry, by znów chwycić się poprzeczki. Powtórzy to samo za niecałą minutę, i wówczas Evan będzie mógł ruszyć do akcji, Choreografię opracowano naprędce w więziennym laboratorium; atak miał być szybki i prosty. Reakcja strażnika stanowiła klucz do sukcesu. Po dwudziestu dwóch sekundach lewa ręka strażnika opadła ponownie na dół w geście zmęczenia. Kendrick zerwał się z ławki, jego ciało niczym lity pocisk wbiło się w strażnika, który uderzył głową w drzwi z taką siłą, że histeria rozbłysła w jego oczach natychmiast ustąpiła miejsca apatii, gdy ten osunął się na podłogę.Prędeży! – zakomenderował Evan, odwracając się do Azry. – Pomóż mi! Zabierz mu klucze! Palestyńczyk skoczył naprzód, za nim sierżantbrygadzista. Wspólnymi siłami, pomimo skutych kajdankami rąk, odsunęli pistolet MAC-10 i wyrwali strażnikowi klucze zza pasa.

–Zabiję go! – wrzasnął zagorzalec z zajęczą wargą, złapał broń i słaniając się w kołyszącej karetkie, wymierzył w głowę strażnika. – Powstrzymajcie go!rozkazał Azra.

–Dureń! – ryknął sierżantbrygadzista, wrywając broń młodemu fanatycy. – Kierowca usłyszy strzały!

–To nasz święty wróg!

–To nasze święte wybawienie stąd, ty nieszczęsny idioto! – rzucił Azra, otwierając kajdanki Kendrickowi i podając mu klucz, żeby otworzył z kolei jemu. Kiedy już kongresman z Kolorado uwolnił go, skierował się ku wyciągniętym przegubom sierżantabrygadzisty. – Mam na imię Yosef powiedział starszy mężczyzna. To hebrajskie imię, bo moja matka była Żydówką, ale nie pochodzimy z Izraela. Odważny z ciebie człowiek, Amalu Bahrudi.

–Nie lubię stawać przed plutonem egzekucyjnym na pustyni – odrzekł Kendrick, rzucając kajdanki na podłogę, po czym odwrócił się do młodego terrorysty, który omal nie zabił nieprzytomnego strażnika. – Nie wiem, czy cię uwolnić, czy nie?

–Niby dlaczego? – zawołał chłopak. – Dlatego, że jestem gotów zabić w naszej świętej wojnie, zginąć za sprawę?

–Nie, młody człowieku, dlatego, że nas mógłbyś zabić, a nasze życie jest cenniejsze od twojego.

–Amal! – krzyknął Azra, łapiąc Evana za rękę, żeby nie stracić równowagi, ale też

żeby zwrócić uwagę Kendricka. – Zgadzam się, że to kretyn, ale usprawiedliwiają go pewne okoliczności. Osadnicy na Zachodnim Brzegu wysadzili mu w powietrze dom rodzinny i sklep tekstylny ojca. Ojciec zginął od wybuchu, a Izraelska Komisja Nadzorcza sprzedała za bezcen obie posiadłości osadnikom. – Błękitny zniżył głos, mówiąc Kendrickowi wprost do ucha. – To przypadek psychiatryczny, ale poza nami nie miał się do kogo zwrócić. Yosef i ja zapanujemy nad nim. Uwolnij go.

–Odpowiadasz głową, poeto – burknął Evan, otwierając żelazne bransoletki na przegubach młodego terrorysty.

–Czemu mówisz o egzekucji na pustyni? – spytał Yosef.

–Ponieważ droga pod nami jest już niemal piaszczysta. Nie czujesz? – wyjaśnił Kendrick, który wiedział zawczasu, jaką drogą pojedą. – Po prostu znikniemy, spali nas słońce albo pochłonie piasek. – Dlaczego my? – dopytywał się starszy terrorysta.

–Wiem dobrze, dlaczego ja, gorzej, dlaczego my. Nie mają pojęcia, co ze mną zrobić, najlepiej więc mnie zabić. Jeżeli stanowią zagrożenie albo wywieram zły wpływ, pozbędą się i jednego, i drugiego. – Evan przerwał, po czym pokiwał głową. Jak się tak zastanowić – dodał – pewnie dlatego padło na Yosefa i chłopca, że byli najbardziej hałaśliwymi więźniami. Rozpoznano ich więc po głosach, obaj mają charakterystyczne.

–A ja? spytał Azra, spoglądając na Kendricka.

–Sądziłbym, że znajdziesz odpowiedź bez mojej pomocy odparł Kendrick patrząc na Palestyńczyka z niejaką pogardą. – Usiłowałem od ciebie odskoczyć, kiedy zdybali mnie przy ubikacjach, ale okazałeś się zbyt powolny.

–Chcesz powiedzieć, że widziano nas razem?

–Uczeń dostaje zaledwie dostateczny. Nie tylko razem, ale i z dala od innych. Zachciało ci się konferencji, ważniaku.

–Samochód zwalnia! – krzyknął Yosef, gdy karetka lekko przyhamowała, wchodząc w opadający zakręt.

–Wyskakujemy – powiedział Evan. I to zaraz. Jeśli zjedzie w dolinę, będą tam żołnierze. Szybko! Musimy skakać!

–Drzwi! – zawołał Azra. – Pewno są zablokowane od zewnątrz. – Nie wiemskłamał Kendrick, realizując scenariusz sporządzony naprędce w więziennym laboratorium. Ustalono, że poluzuje się nity w dwóch zasuwach. – Nigdy mnie tu nie aresztowano, ale to nieważne. Są zrobione z gównianej blachy, lichej stop ze spojeniami. Jeśli rzucimy się we cztery, na pewno ją rozwalimy. W środku jest najslabsza. – Evan szarpnął za ramię chłopca z zajęczą wargą i przyciągnął z lewej strony do siebie. – Dobra, dzikusie. Wal w drzwi, jakbyś chciał roztrzaskać Ścianę Płaczu. No, chłopaki! Ej, raz! – Zaczekaj! – Azra zatoczył się z drugiego końca karetki. – Broń! – zawołał i schwycił pistolet maszynowy MAC-10, przerzucił sobie pas przez ramię, a lufę skierował w dół. – Dobra – powiedział, dołączając do pozostałych.

–Jazda! krzyknął Kendrick. Cztery więźniów rzuciło się na środkową część drzwi, gdy karetka podskakiwała na kamieniach biorąc zakręt w dół. Metalowa płyta ustąpiła, wyrzuszając się na spojeniach, a przez szerokie szczeliny wsączył się

blask księżyca.

–Jeszcze raz! – ryknął Yosef z ogniem w oczach.

–Pamiętajcie! – zakomenderował mężczyzna, którego uznano wreszcie za Amala Bahrudiego. – Kiedy się przebijemy, spadając na ziemię, podkulcie kolana. Nie potrzeba nam rannych. Ponownie naporli na częściowo rozwalone drzwi. Puściły dolne nity; metal poszybował w księżycowej poświacie, cztery postaci wyskoczyły na krętą szosę wiodącą do pustynnej doliny. W karetce strażnik przetoczył się do przodu, kiedy wóz podskoczył przy zjeździe w dół, a pot ze strachu przed śmiercią zalewał mu twarz. Podniósł się niezdarnie na kolana i zaczął stukać w ścianę kabiny. Odpowiedział mu jeden głuchy odgłos. Ich zadanie na tę noc było wypełnione połowicznie. Uciekinierzy również się przetoczyli, tyle że w kierunku przeciwnym do linii spadku, a każdy walczył jak mógł, żeby odzyskać równowagę. Pierwsi podnieśli się Azra i Yosef, kręcąc szyjami i potrząsając głowami, instynktownie sprawdzali, czy skończyło się tylko na siniakach. Po nich wstał Kendrick. Paliło go ramię, w nogach czuł przeszywający ból, miał też podrapane ręce, ale ostatecznie z wdzięcznością wspominał twardą szkołę, jaką dały mu włóczęgi z plecakiem po górach i spływy spienioną wodą; był obolały, lecz nie ranny. Palestyńczykowi z zajęczą wargą powiodło się najgorzej; jęczał teraz na kamienistej ziemi pokrytej tuż przy szosie pustynną trawą i skręcał się z wściekłości, usiłując bezskutecznie wstać. Podbiegł do niego Yosef, a kiedy Evan i Azra oglądali położoną niżej dolinę, gburowaty starszy mężczyzna postawił diagnozę.

–Ten dzieciak złamał nogę – poinformował swoich dwóch zwierzchników.

–No to mnie od razu zabijcie! – zawołał młodzik. – Pójdę do Allacha, a wy pójdziecie dalej walczyć!

–Zamknij się – rzucił Azra, który trzymał w ręku MAC-10, i podszedł z Kendrickiem do rannego chłopca. – Tak się ciągle rwiesz do śmierci, że aż nudno słuchać, a ten twój piskliwy głos prędzej sprowadzi śmierć na nas. Podrzyj jego koszulę na pasy, Yosefie. Zwiąż mu ręce i nogi, a potem ułóż go na szosie. Ten samochód przyjedzie tu zaraz z powrotem, kiedy tylko dotrze do obozu w dole, a ci idioci zorientują się, co się stało. Znajdą go.

–Chcecie mnie oddać w ręce wrogów? – wykrzyknął nastolatek. – Siedź cicho – odrzekł gniewnie Azra, wieszając pistolet maszynowy na ramieniu. – Chcemy cię oddać do szpitala, gdzie się tobą zaopiekują. Dzieci nikt tu nie rozstrzeliwuje, najwyżej giną od bomb albo pocisków. Aż nazbyt często się to zdarza, ale tam ci to nie grozi. – Nic nie zdradzę!

–Bo nic nie wiesz – powiedział mężczyzna zwany Błękitnym. – Zwiąż go, Yosefie. Ułóż wygodnie nogi. – Azra pochylił się nad młodzieńcem. – Są lepsze sposoby walki niż niepotrzebna śmierć. Niech wróg cię wyleczy, żebyś mógł znów stanąć do walki. I wracaj do nas, uparty bojowniku o wolność. Jesteś nam potrzebny... Pośpiesz się, Yosefie! Kiedy starszy terrorysta wypełniał rozkazy, Azra i Kendrick wrócili do drogi wykutej w skale. Hen w dole zaczynały się białe piaski, które ciągnęły się bez końca w blasku księżyca, rozległa alabastrowa podłoga zwieńczona ciemną kopułą nieba. W oddali, na białej płaszczyźnie migotała żółta plamka. Było to pustynne ognisko,

miejsce spotkania będące integralną częścią "ucieczki". Znajdowało się zbyt daleko, żeby można było dojrzeć wyraźnie postaci, ale niewątpliwie należały one do omańskich żołnierzy lub policjantów. Nie był to jednak pluton egzekucyjny, jak podejrzewali towarzysze Amala Bahrudiego.

–Znasz teren o wiele lepiej niż ja – powiedział po angielsku Evan. – Jak daleko, twoim zdaniem, mieści się ten obóz?

–Nie więcej niż dziesięć, najwyżej dwanaście kilometrów stąd. Dalej szosa biegnie już prosto. Niedługo tam dotrą.

–W takim razie chodźmy. Kendrick odwrócił się, patrząc jak stary Yosef niesie rannego nastolatka w stronę drogi. Ruszył ku nim. Azra jednak nie postąpił kroku.

–Dokąd, Amalu Bahrudi? – zawołał. – Dokąd pójdziemy? Evan odrzucił głowę do tyłu.

–Dokąd? – powtórzył pogardliwie. – Przede wszystkim, jak najdalej stąd. Zaraz się rozjaśni, jeżeli więc znam się na rzeczy, a raczej się znam, tuzin helikopterów zacznie tu krążyć nisko szukając nas. W mieście możemy się jakoś zgubić, ale nie tutaj.

–No to co robimy? Dokąd idziemy? Kendrick nie widział wyraźnie w przyćmionym świetle księżyca, ale poczuł na sobie przenikliwe, pytające spojrzenie. Poddawano go próbie.

–Przekażemy wiadomość do ambasady. Do twojej siostry, Yateem, albo do Ahbyahda. Zablokujemy przekazywanie fotografii i zabijemy winnych.

–Niby jak? Jak przekazemy wiadomość do ambasady? Czy twoi przełożeni doradzili ci coś, Amalu Bahrudi? Evan był przygotowany na to pytanie; musiało paść.

–Szczерze mówiąc, nie byli pewni, gdzie się znajduje punkt przerzutowy, ale zakładali, że jeśli macie trochę oleju w głowie, sytuacja zmieni się z dnia na dzień. Miałem przekazać przy bramie karteczkę do rady dowództwa, z prośbą, żeby przepuszczono mnie przez punkt przerzutowy, gdziekolwiek będzie się akurat znajdował.

–Takie karteczki mogą stanowić pułapkę. Dlaczego mieliby ci uwierzyć? Kendrick pomilczał chwilę, a kiedy odpowiedział, głos miał niski, spokojny, dobitny.

–Ponieważ moją karteczkę podpisał Mahdi. Azra zrobił szerokie oczy. Kiwnął powoli głową i podniósł rękę. – We własnej osobie? spytał.

–Kopertę opatrzoneo woskową pieczęcią, której nie wolno było złamać. Trudno mi było przełknąć tę zniewagę, ale nawet ja muszę słuchać rozkazów tych, którzy pokrywają koszty podróży, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

–Którzy dają nam pieniądze na naszą działalność...

–Jeżeli istniał jakiś szyfr potwierdzający autentyczność, był przeznaczony dla rady lub kogoś spośród niej, a nie dla mnie. – Daj mi tę karteczkę – zażądał Azra.

–Dureń! – aż wykrzyknął poirytowany kongresman z dziewiątego okręgu stanu Kolorado. – Kiedy policja miała mnie dopaść, podarłem ją w drobny mak i rozrzuciłem po Al Kabir! A ty postąpiłbyś inaczej? Palestyńczyk pozostał bez ruchu.

–Nie, jasne, że nie – odpowiedział. – Zresztą, nie jest nam potrzebna. Wprowadzę nas do ambasady. Punkt przerzutowy działa dobrze w obie strony.

–Tak dobrze, że szmugluje się filmy pod nosem odpowiednio urobionych

strażników. Przekaż to swojej siostrze. Zmieńcie tych ludzi co do jednego i zaczniście natychmiast szukać aparatu. Kiedy się znajdzie, zabijcie jego właściciela i ewentualnych współników. Zabijcie ich wszystkich.

–Na podstawie samych domniemań? – zaprotestował Azra. – Narażamy życie niewinnych ofiar, wartościowych bojowników.

–Nie bawmy się w obłudę – roześmiał się Amal Bahrudi. – Nie mamy takich wahań wobec wroga. Nie zabijamy "wartościowych bojowników", ale całkiem niewinnych ludzi po to, żeby usłyszał nas świat, głuchy i ślepy na naszą walkę, nasze ocalenie.

–Na twojego wszechmocnego Allacha, teraz ty jesteś głuchy i ślepy – warknął Azra. – Wierzysz zachodniej prasie, to nie ulega kwestii! Spośród jedenastu ofiar, cztery były już wcześniej martwe, w tym dwie kobiety: jedna sama zadała sobie śmierć, bo panicznie bała się być zgwałcona, i to przez Araba; druga, znacznie silniejsza, przypominająca strażnika, tego, co zaatakował Nassira, rzuciła się na jakiegoś młodego idiotę, który całkiem się zgubił i wystrzelił. Dwaj mężczyźni to niedołęzni starcy, którzy zmarli na serce. Ponosimy winę za śmierć tych niewinnych, ale nie podniesiono przeciwko nim broni. Zaya wszystko to wyjaśniła, tylko nikt nam nie uwierzył. I nigdy nie uwierzy!

–To już bez znaczenia, ale co się stało z pozostałymi? Było ich jeszcze bodajże siedmioro.

–Zostali, i to słusznie, skazani przez naszą radę. Agenci wywiadu tworzący przeciwko nam siatki wokół Zatoki i Morza Śródziemnego, uczestnicy haniebnych Operacji Konsularnych... w tym nawet dwóch Arabów... którzy zaprzędali swe dusze, żeby nas wydać na śmierć, opłacani przez syjonistów i ich amerykańskie marionetki. Zasłużyli na śmierć, bo wysłaliby na śmierć nas wszystkich, ale wcześniej chcieli pozbawić nas honoru, przedstawić jako wcielenie zła, chociaż w nas nie ma zła, tylko chęć życia na własnych ziemiach...

–Dosyć, poeto – przerwał mu Kendrick, zerkając przez ramię na Yosefa i nieletniego terrorystę, który tak pragnął się przenieść na łono Allacha. – Nie ma teraz czasu na twoje kazania. Musimy się stąd wydostać.

–Do ambasady – zgodził się Azra. – Przez punkt przerzutowy. Kendrick wrócił do Palestyńczyka, podszedł do niego powoli. – Tak, do ambasady – powiedział. – Ale nie przez punkt przerzutowy, tylko pod bramę. Tam przekażesz siostrze wiadomość, wszystko Jej wyjaśnisz. Kiedy wypełnimy te rozkazy, moje zadanie tu się skończy, a i ty przez dzień lub dwa będziesz wolny.

–O czym ty mówisz? – spytał zdumiony Błękitny.

–Mam polecenie zabrać jednego z was jak najszybciej do Bahrajnu. Tylko na krótko, ale to pilne.

–Do Bahrajnu?

–Do Mahdiego. Ma dla was nowe rozkazy, których nie powierzy nikomu innemu jak tylko członkowi rady.

–Lotnisko jest strzeżone – stwierdził twardo Azra. Jest patrolowane przez strażników i psy bojowe. Nikt się nie przedostanie bez przesłuchania. Nie mamy rady. Tak samo wygląda sytuacja na nabrzeżu. Zatrzymują i przeszukują każdy statek, a w

przypadku odmowy wysadzają w powietrze.

–Nie przeszkodziło to waszym ludziom przedostawać się przez punkt przerzutowy. Sam widziałem rezultaty w Berlinie.

–Ale powiedziałeś, że to "pilne", a przerzut trwa dobę albo i dwie.

–Czemu tak długo?

–Jeździmy na południe tylko nocą, w mundurach jemeńskiej straży granicznej. Jeśli nas zatrzymają, mówimy, że patrolujemy wybrzeże. Potem czekamy na szybkie łodzie dalekomorskie, przysyłane oczywiście przez Bahrajn.

–No, oczywiście. – Miałem więc rację, pomyślał Evan. Południowe wybrzeże aż do Ra's al Hadd i cieśniny Masirah to otwarte terytorium, surowe pustkowienie o skalistych brzegach i niegościnnych terenach, raj dla złodziei i przemytników, zwłaszcza dla terrorystów. A jakaż może być lepsza ochrona niż mundury straży granicznej, której żołnierzy wybierano ze względu na lojalność i brutalność? Była ona nie mniejsza, a może nawet większa od brutalności desperatów z całego świata przygarniętych przez Jemen. – To świetnie – ciągnął Amal Bahrudi tonem zawodowca. Jak, na Allacha, zdobyliście te mundury? O ile wiem, są zupełnie inne, jaśniejsze, różnią się epoletami, buty dostosowane do pustyni i wody...,

–Kazałem je uszyć – przerwał Azra zapatrzony w ciągnącą się poniżej dolinę. – Oczywiście, w Bahrajnie. Wszystkie są zaksięgowane i przechowywane pod kluczem... Masz rację, musimy iść. Karetka będzie w obozie za niecałe dwie minuty. Pogadamy po drodze. Naprzód! Yosef położył związanego, rannego, młodego terrorystę na szosie, uspokoił go i dał mu ciche, lecz stanowcze polecenia. Podeszli Azra i Kendrick.

–Najszybciej będziemy się posuwać szosą – powiedział Evan. – Trzymajmy się jej, dopóki nie zobaczymy reflektorów w dolinie. Prędkiej.

–Po kilku słowach otuchy rzuconych leżącemu koledze trzej uciekinierzy ruszyli biegiem po wznoszącej się krętej pochyłości ku położonej kilkaset metrów wyżej płaszczyźnie. Teren stanowił połączenie wyschłych, karłowatych krzewów pokrywających wypaloną ziemię i niskich, sękatych drzew wspomaganych przez nocną wilgoć od morza, a potem karlejących w bezwietrznej, palącej spiekocie dnia. Tak daleko jak sięgali wzrokiem w bladej poświacie księżyca, droga biegła prosto. Ciężko sapiąc, z kłatką piersiową jak beka, przemówił Yosef:

–Trzy lub cztery kilometry na północ jest więcej wyższych drzew, łatwiej się ukryć.

–Znasz tę drogę? – spytał Kendrick, niemile zdziwiony, sądził bowiem, że on jeden wie, gdzie się znajdują.

–Może nie tę konkretną drogę, ale jest ich tylko kilka – odpowiedział buńczuczny starszy terrorysta – i niczym się nie różnią. Między piaskami a Zatoką okolica się zmienia. Przybywa zieleni, wyrastają małe pagórki. I nagle, zanim człowiek się obejrzy, już jest w Maskacie.

–Yosef należał do oddziału zwiadowczego dowodzonego przez Ahbyahda – wyjaśnił Azra. – Przybyli tu pięć dni wcześniej, zanim opanowaliśmy ambasadę.

–Rozumiem. Wiem też, że kiedy się rozjaśni, nie ukrylibyśmy się nawet w lesie, a

Oman to nie Schwarzwald. Wojsko, policja i helikoptery będą przeczesywać każdy centymetr terenu. Możemy się ukryć tylko w Maskacie. – Evan skierował kolejne słowa do mężczyzny zwanego Błękitnym. – Z pewnością masz w mieście kontakty? – I to sporo.

–A konkretnie?

–Od dziesięciu do dwudziestu, w tym kilka wysoko postawionych osób.

Oczywiście, kursują w tę i z powrotem.

–Zwołaj ich wszystkich w Maskacie i skontaktuj mnie z nimi. Wybiorę jednego.

–Wybierzesz jednego...

–Potrzebny mi tylko jeden, ale musi to być odpowiedni człowiek. Zawiezie ode mnie wiadomość, a ja w trzy godziny odstawię cię do Bahrajnu.

–Do Mahdiego?

–Tak.

–Przecież mówiłeś, sugerowałeś, że go nie znasz.

–Bo nie znam.

–Ale wiesz, jak się z nim skontaktować?

–Nie – odparł Kendrick odczuwając nagle głuchy ból w piersi. – Kolejna zniewaga z twojej strony, ale tym razem bardziej zrozumiała. Działam nie tutaj, lecz w Europie. Zakładam, że wiesz, jak go odnaleźć w Bahrajnie.

–Może coś było na tej karteczce, którą zniszczyłeś na Al Kabir, jakiś szyfr...

–Zawsze istnieją metody, które stosuje się w nagłych wypadkach! wtrącił szorstko Evan, próbując opanować lęk.

–Tak, istnieją – powiedział z namysłem Azra. – Ale nie dotyczą kontaktów z Mahdim. Jak z pewnością wiesz; jego imię przekazuje się szeptem jedynie nielicznym.

–Nie wiem. Już ci mówiłem, że nie działam w tej części świata. Na pewno dlatego mnie wybrano...

–Na pewno – potwierdził Błękitny. Jesteś z dala od swojej bazy, nieoczekiwany wysłannik.

–Nie wierzę! – wybuchnął Kendrick. – Przecież codziennie otrzymujecie polecenia, prawda?

–Tak. – Azra spojrzał przelotnie na Yosefa. – Ale podobnie jak ty jestem wysłannikiem.

–Co?

–Należę do rady, jestem młody i silny, żadna ze mnie baba. Ale nie jestem przywódcą, nie pozwala na to mój wiek. Nassir, moja siostra Zaya i Ahbyahd zostali mianowani przywódcami rady. Do śmierci Nassira dzielili we troje odpowiedzialność za wszelkie operacje. Kiedy nadeszły zapieczętowane rozkazy, dostarczyłem je, nie łamiąc pieczęci. Tylko Zaya i Ahbyahd wiedzą, jak się skontaktować z Mahdim, i to nie osobiście, ale poprzez cały szereg pośredników. – Czy możesz nawiązać kontakt radiowy z siostrą... na pewnej częstotliwości albo przez sterylny telefon? Mogłaby ci przekazać informacje.

–Niemożliwe. Wróg posiada zbyt dobry sprzęt do nasłuchu. Nie mówimy nic takiego przez radio ani przez telefon, czego nie powiedzielibyśmy publicznie.

Zakładamy, że to na jedno wychodzi. – A twoi ludzie w Maskacie? – ciągnął szybko, zdecydowanie Evan czując kropelki potu na czole. – Czy któryś z nich mógłby się dostać do środka i je przekazać?

–Informacje, choćby powierzchowne, na temat Mahdiego? spytał Azra. – Kazałoby rozstrzelać każdego, kto by ich szukał. – Musimy je zdobyć! Mam cię dostarczyć do niego, do Bahrajnu, najpóźniej dziś w nocy, a nie będę ryzykował kontaktu ze źródłami naszych funduszy operacyjnych w Europie tylko dlatego, że spada na mnie wina za niezawinioną porażkę.

–Jest tylko jedno wyjście – powiedział Azra. – Wspomniałem już o nim. Musimy jechać do ambasady, dostać się do ambasady. – Nie ma czasu na takie komplikacje – nalegał rozpaczliwie Kendrick przerażony tym, że go zdemaskują. – Znam Bahrajn. Wybiorę miejsce i wezwiemy jednego z twoich ludzi, żeby przekazał twojej siostrze wiadomość. Ona lub Ahbyahd znajdą sposób, żeby skontaktować się z którymś pośrednikiem Mahdiego. Nie wspomnimy, oczywiście, o żadnym z nas obu, każemy im przekazać, że zaistniała krytyczna sytuacja. Tak, krytyczna sytuacja, na pewno to rozumieją! Określę miejsce spotkania. Ulica, meczet, zakątek na przystani lub na obrzeżach lotniska. Ktoś się zjawi. Ktoś musi się zjawić! Szczupły, muskularny młody terrorysta znów umilkł, przyglądając się badawczo twarzy mężczyzny, którego uważał za swojego odpowiednika w dalekiej Europie.

–Pytam cię, Bahrudi – odezwał się chyba po dziesięciu sekundach. – Czy mógłbyś sobie pozwolić na taką nonszalancję, taki brak dyscypliny wobec swoich mocodawców w Berlinie? Czy Moskwa, banki bułgarskie w Sofii lub ukryci w cieniu donatorzy z Zagrzebia tolerowaliby takie swobodne kontakty?

–Zrozumieliby krytyczną sytuację.

–Gdybyś dopuścił do takiej krytycznej sytuacji, rozplataliby ci gardło rzeźnickim nożem i znaleźli na twoje miejsce kogoś innego! – Pilnuj swoich źródeł finansowania, a ja będę pilnował swoich, panie Błękitny!

–A więc dopilnuję swoich. Tu i teraz. Jedziemy do ambasady!

Wiatry znad Zatoki Omańskiej przemknęły nad lichą trawą i sękatymi, karłowatymi drzewami, ale nie wytłumiły natarczywego dźwięku nastrojonej na dwa tony syreny dobiegającej z pustynnej doliny. To był sygnał. Kryć się. Kendrick go oczekiwał.

–Biegiem! – ryknął Yosef, chwytając Azrę za ramię i popychając swego zwierzchnika. – Biegiem, bracia, ile sił w nogach!

–Do ambasady! – krzyknął mężczyzna zwany Błękitnym. – Zanim się rozjaśni! Dla Evana Kendricka, kongresmana z dziewiątego okręgu stanu Kolorado, rozpoczął się koszmar, który miał pamiętać do końca życia.

*** * ***

Rozdział 9

Khalehla aż jęknęła, kiedy nagle coś przykuło jej uwagę w lusterku wstecznym – plamka światła, czarna smuga pośród jeszcze głębszej czerni, coś. I zaraz go zobaczyła. Daleko, na wzgórzu nad Maskatem jechał za nią samochód! Miał wyłączone reflektory, był tylko ciemnym, ruchomym, odległym cieniem. Pokonywał zakręt na opustoszałej szosie prowadzącej do krętego zjazdu w dolinę – do skraju

piasków Dżabal Szam, gdzie miała się dokonać "ucieczka". Istniała tylko jedna droga wjazdu i wyjazdu z pustynnej doliny, a strategia Khalehli polegała na tym, żeby zjechać z szosy, zniknąć z pola widzenia i tropić pieszo Evana Kendricka oraz współlucykinierów, kiedy wyskoczą z karetki. Ta strategia okazała się teraz bezcelowa. O, Boże, nie mogę dać się złapać! Zamordują wszystkich zakładników w ambasadzie! Co ja zrobiłam? Musi mu czmychnąć. Musi go zgubić! Khalehla zakręciła kierownicą; szybki samochód zarzucił na miękkiej, piaszczystej ziemi, przeskakując koleiny prymitywnej szosy i zmieniając kierunek. Docisnęła nogą pedał gazu, wduszając go w podłogę, i w mgnieniu oka, na długich światłach, minęła pędzący na wprost niej samochód. Postać siedząca obok zdumionego kierowcy usiłowała dać nura, ukryć twarz i całą resztę, ale się nie dało. Khalehla nie mogła uwierzyć własnym oczom! A jednak musiała. W chwili nagłego olśnienia wszystko wydało jej się tak oczywiste, tak wyraźne – aż nazbyt wyraźne. Tony! Anthony MacDonald, który wiecznie jęczał, stękał, szukał odpowiednich słów. Był czarną owcą spółki, ale miał zabezpieczoną pozycję, ponieważ firma należała do jego teścia; niemniej wysłano go do Kairu, gdzie mógł wyrządzić najmniej szkody. Przedstawiciel "bez teki", który mógł jedynie wydawać przyjęcia, kiedy to nieustannie się upijał, podobnie jak jego równie nieudolna i nudna żona. Zupełnie jak gdyby mieli wytatuowane na czołach zalecenie spółki: Zakaz wjazdu do Zjednoczonego Królestwa, pomijając szczególne okoliczności, takie jak ważne pogrzeby rodzinne. Obowiązkowe powrotne bilety lotnicze. Cóż za genialny pomysł! Nadmiernie otyły, nadmiernie folgujący sobie, przygłupi modniś w szykownych ciuchach, które nijak nie ukrywały jego nadwagi. Przywdział doskonalszą maskę niż osławiony Szkarłatny Kurzyślep, bo Khalehla nie miała teraz wątpliwości, że była to maska. Przywdziawszy sama maskę, zmusiła mistrza do zdjęcia swojej. Próbowiła cofnąć się myślami w przeszłość, odtworzyć, jak ją zdołał nabrać, ale wszystko się zamazywało, bo wówczas się nad tym nie zastanawiała. Nie miała najmniejszych powodów, aby wątpić, że Tony MacDonald, alkoholik i ogólnie zero, nie potrafiłby się zdobyć na samotną podróż do Omanu bez kogoś zorientowanego u boku. Skarżył się nieraz, cały niemal rozdygotany, że jego firma prowadzi interesy w Maskacie, musi ich więc pilnować bez względu na straszne rzeczy, jakie się tam dzieją. Pocieszała go zawsze wtedy mówiąc, że to problem między Stanami Zjednoczonymi a Izraelem, nie dotyczący Wielkiej Brytanii, nic mu zatem nie grozi. A on zupełnie jakby się spodziewał, że ją tam wyślą, kiedy więc nadszedł rozkaz, przypomniała sobie jego obawy i zadzwoniła, uznając, że będzie doskonałym towarzyszem podróży do Omanu. A jakże, chodząca doskonałość! Boże, ale on musi mieć siatkę! – pomyślała. Zaledwie godzinę temu sprawiał wrażenie sparaliżowanego przez alkohol i robił z siebie durnia w hotelowym barze, a teraz, o piątej rano, śledził ją jadąc za nią wielkim samochodem z wygaszonymi światłami. Nasuwał się nieodparcie jeden wniosek – Tony poddał ją całodobowej inwigilacji i dopadł wówczas, gdy wyjeżdżała z bramy pałacu, co oznaczało, że jego informatorzy odkryli jej powiązania z sułtanem Omanu. Ale dla kogo ten nadzwyczaj inteligentny MacDonald odgrywał tę maskaradę, dla kogo przywdział maskę, która umożliwiła mu dostęp do sprawnej omańskiej siatki

informatorów i kierowców świetnych wozów, czuwających dzień i noc w tym obłąkanym kraju, gdzie każdego cudzoziemca brano pod mikroskop? Po której jest stronie, a jeśli po złej, to od ilu lat ten wszędobylski Tony MacDonald prowadzi swoją zabójczą grę? Kto za nim stoi? Czy przyjazd tego dwulicowego Anglika do Omanu ma coś wspólnego z Evanem Kendrickiem? Ahmat mówił ostrożnie, ogólnie, o tajnym zadaniu amerykańskiego kongresmana w Maskacie, ale nie rozwijał tematu, ostrzegł jedynie, że nie należy lekceważyć żadnej, nawet najbardziej nieprawdopodobnej teorii. Zdradził tylko, że były inżynierkonstruktor z południowowschodniej Azji uważa, iż krwawe zajęcie ambasady można przypisać pewnemu człowiekowi i spiskowi przemysłowców, których początki działalności zauważono przed czterema laty w Arabii Saudyjskiej – zauważono, aczkolwiek nie udowodniono. Jej ludzie nie powiedzieli aż tyle. Jednakże inteligentny Amerykanin, człowiek sukcesu, nie ryzykowałby maskowania się i wchodzenia między terrorystów, gdyby nie miał szczególnych powodów. Dla Ahmata, sułtana Omanu i kibica drużyny piłkarskiej Patriotów z Nowej Anglii był to dostateczny argument. Waszyngton zorganizował mu podróż, ale nie przyznawał się do niego, wcale mu nie pomagał. – Ale my możemy, ja mogę mu pomóc! – zawołał Ahmat. A teraz Anthony MacDonald okazał się niepokojącą niewiadomą w terrorystycznym równaniu. Intuicja zawodowa podpowiadała jej, że należy się oddalić, uciec, ale Khalehla nie mogła się na to zdobyć. Coś się stało; ktoś naruszył delikatną równowagę przeszłego i przyszłego terroru. Nie wezwie małego odrzutowca, żeby zabrał ją z nieznanego, skalistego lądowiska do Kairu. Jeszcze nie. Jeszcze nie teraz! Trzeba się jeszcze tyle dowiedzieć, a czasu tak mało! Nie może przerwać pracy!

–Nie stawaj[- ryknął gruby MacDonald łapiąc za uchwyt nad siedzeniem i podrywając swoje ciężkie cielsko. – Zjawiała się tu o tej porze z jakiegoś powodu, nie dla przyjemności.

–Mogła pana widzieć, efendi.

–Mało prawdopodobne, a jeśli nawet, jestem tylko klientem oszukany przez kurwę. Nie zatrzymuj się i włącz światła. Ktoś może na nich czekać, a my musimy się dowiedzieć kto.

–Ktokolwiek to jest, może okazać się nieprzyjemny, panie. – Będę wówczas udawał pijanego niewiernego, którego na polecenie firmy masz chronić przed jego niepoczytalnym zachowaniem. Tak jak dotąd, chłopie.

–Jak pan sobie życzy, efendi. Kierowca włączył światła.

–Co przed nami? – spytał MacDonald.

–Nic, panie. Tylko stara szosa prowadząca do Dżabal Szam. – Co tu u diabła?

–Tu się zaczyna pustynia. Kończy się odległymi górami na granicy saudyjskiej.

–Są tu inne drogi?

–Wiele kilometrów stąd na wschód, ale mniej przejezdne, panie, bardzo trudne.

–Co masz dokładnie na myśli mówiąc, że przed nami nie ma nic? – Dokładnie to, co powiedziałem. Tylko szosa do Dżabal Szam. – A ta droga, którą jedziemy – nalegał Anglik. – Dokąd prowadzi? – Donikąd, panie. Skręca w lewo i prowadzi do...

–Do tego Dżabaljakmutam – dokończył, przerywając, MacDonald. – Rozumiem. A

więc nie chodzi o dwie drogi, tylko o jedną, która skręca w lewo na tę cholerną pustynię.

–Tak jest.

–Spotkanie – rzucił szeptem do siebie człowiek Mahdiego. – Rozmyśliłem się, przyjacielu – dorzucił szybko. – Zgaś te przekłete światła. Wystarczy ci światło księżycy, prawda?

–O, tak! – odrzekł kierowca z lekkim tryumfem, wyłączając światła. – Znam świetnie tę drogę. Znam doskonale każdą drogę w Maskacie i w Matrah. Nawet te nieprzejezdne na wschodzie i na południu. Ale muszę powiedzieć, efendi, że nie rozumiem.

–To bardzo proste, chłopcze. Jeżeli nasza pracowita kurewka nie dotarła do miejsca czy osoby, której szukała, ktoś inny się tu zjawi. Podejrzewam, że przed świtem, czyli już niedługo.

–Niebo rozjaśnia się szybko, panie.

–Istotnie. MacDonald położył pistolet nad tablicą rozdzielczą, sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małą lornetkę o wypukłych, grubych soczewkach. Podniósł ją do oczu i badał teren przed sobą.

–Jest zbyt ciemno, żeby cokolwiek dostrzec, efendi – rzekł kierowca.

–Nie dla tego cacuszka – wyjaśnił Anglik, kiedy w blasku księżycy zbliżali się do kolejnego zakrętu. – Możesz zaciemnić całe niebo, a ja i tak policzę wszystkie te małe drzewka o kilometr stąd. Wzięli ostry zakręt, kierowca manewrował wielkim wozem, co chwila przyhamowując. Szosa była teraz prosta i równa; ginęła w ciemnościach.

–Jeszcze dwa kilometry i będzie zjazd do Dżabal Szam, panie. Będę jechał bardzo wolno, bo tam jest dużo zakrętów, dużo skał... – Chryste Panie! – wykrzyknął MacDonald patrząc przed siebie przez lornetkę na podczerwień. – Zjeżdżaj z drogi. Szybko! – Co takiego?

–Rób, co mówię! Zgaś silnik.

–Tak?

–Wyłącz! Zjedź, jak możesz najdalej w trawę! Kierowca skręcił gwałtownie w prawo, lawirując po twardej, pociętej koleinami ziemi, trzymał kurczowo kierownicę i bez przerwy nią kręcił, żeby wyminąć rozsiane tu i ówdzie przysadziste drzewa ledwie dostrzegalne w blasku nocy. Pokonawszy dwadzieścia metrów trawy samochód zatrzymał się z nagłym szarpnięciem; nie zauważone, karłowate drzewko rosnące tuż przy ziemi zaplątało się w podwozie.

–I co teraz?

–Cicho bądź! – rzucił szeptem gruby Anglik, schował lornetkę do kieszeni i sięgnął nad tablicę rozdzielczą po broń. Wolną ręką chwycił klamkę drzwi, po czym raptownie się wstrzymał. – Czy po otwarciu drzwi zapala się światło? – zapytał.

–Tak, panie – odpowiedział kierowca, wskazując na sufit wozu. – Górna lampka. MacDonald roztrzaskał lufą pistoletu szkło lampki na suficie. – Wsiadam – powiedział, znów szeptem. – Zostań tu, nie ruszaj się i trzymaj się z daleka od tego cholernego klaksonu. Jeżeli coś tu usłyszę, zginiesz, zrozumiano?

–O, tak. Ale na wszelki wypadek może mi pan powie, dlaczego? – Przed nami na

szosie są jacyś ludzie, trzech albo czterech, trudno powiedzieć, bo to tylko kropeczki, ale biegną w tę stronę. Anglik otworzył cicho drzwi i szybko się wygramolił. Trzymając się jak najbliżej ziemi podbiegł po pustynnej trawie na odległość sześciu metrów od szosy. W ciemnym garniturze i czarnej jedwabnej koszuli przycupnął obok pniaka karłowatego drzewa, położył pistolet z prawej strony wykręconego pnia i wyjął z kieszeni lornetkę na podczerwień. Skierował ją na szosę, naprzeciw zbliżających się postaci. Nagle ukazały się. Błękitny! To był Azra. Bez brody, ale to z całą pewnością on! Młody członek rady, brat Zayi Yateem, jedyny człowiek z głową na karku w całej radzie. A ten mężczyzna po lewej... MacDonald nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, ale wpatrywał się niegdyś w jego fotografie, jakby miały mu one zapewnić wieczyste szczęście – bo i tak było – i poznał go teraz bezbłędnie. Żydowskie nazwisko, starszy gość, terrorysta prawie od dwudziestu lat... Yosef? Tak, Yosef! Szkolony w armii libijskiej po ucieczce ze Wzgórz Golan... Natomiast mężczyzna po prawej stronie Azry stanowił zagadkę; sądząc z wyglądu, Anglik powinien go znać. Kierując podczerwone soczewki na podskakującą, pędzącą twarz, MacDonald nie wiedział, co sądzić. Biegnący mężczyzna był niemal w wieku Yosefa, nieliczni zaś ludzie w ambasadzie, którzy przekroczyli trzydziestkę znajdowali się tam na ogół z powodów znanych tylko Bahrajnowi; pozostali byli kretynami lub zapaleńcami – fundamentalistycznymi fanatykami, którymi dawało się łatwo manipulować. Dopiero wtedy MacDonald spostrzegł to, co powinien był zauważyć od początku – trzech mężczyźni mieli na sobie więzienne drelichy. Zbiegli więźniowie. Wszystko to nie miało sensu! Czy to na spotkanie z nimi pędziła ta kurwa, Khalehla? Jeżeli tak, wszystko było podwójnie niezrozumiałe. Ta parszywa suka pracowała dla wroga w Kairze. Bahrajn potwierdził tę informację; była niepodważalna! Dlatego tak długo tę dziwkę urabiał, opowiadał jej tyle razy o interesach swojej firmy w Omanie, o tym, jak się tam boi jechać w obecnej sytuacji i jak byłby wdzięczny za towarzystwo jakiejś zorientowanej osoby. Połknęła haczyk, przyjęła jego propozycję; nalegała nawet, żeby opuścić Kair określonego dnia, co oznaczało lot określonym samolotem, odbywającym rejs tylko raz dziennie. Zatelefonował do Bahrajnu, gdzie mu powiedziano, żeby się zgodził. I miał ją na oku! Co też uczynił. Z nikim się nie spotkała, nie nawiązała nawet kontaktu wzrokowego. Ale znikła mu z oczu w chaosie nader zaostrej z powodów bezpieczeństwa odprawy celnej. Cholera! Jasna cholera! Wymknęła się, wymknęła do lotniczych magazynów towarowych, a kiedy ją odnalazł, była sama, drażliwa, jak to ona. Czy nawiązała z kimś kontakt, przekazała instrukcje wrogowi? A jeśli tak, czy miało to coś wspólnego ze zbiegłymi więźniami pędzącymi teraz szosą? Niewątpliwie musi tu istnieć jakieś powiązanie. Chociaż całkowicie nie do przyjęcia! Kiedy trzy postaci go minęły, spocony Anthony MacDonald podniósł się z ziemi. Z wahaniem – z ogromnym wahaniem – bo kilka najbliższych godzin mogło przesądzić o grubych milionach, zdobył się na sformułowanie wniosku; nieoczekiwana zagadka, jaką podsunęła mu Khalehla musiała znaleźć rozwiązanie, a odpowiedzi, których tak rozpaczliwie szukał, kryły się w ambasadzie. Bez tych odpowiedzi mogły przepaść miliony, a poza tym jeśli ta kurwa odgrywa kluczową rolę w jakiejś ohydnej operacji, i on jej nie

powstrzyma, całkiem możliwe, iż Bahrajn zażąda jego egzekucji. Mahdi nie cierpiał porażek. Musi się dostać do ambasady, wdepnąć w sam środek piekła.

Samolot Lockheed C-130 Hercules z izraelskimi znakami leciał na wysokości 9000 metrów nad pustynią saudyjską na wschód od Ał Noaylah. Trasa lotu była pokrętna – z Hebronu na południe nad Negewem do zatoki Akaba i Morza Czerwonego, a potem znów na południe równoległe do wybrzeży Egiptu, Sudanu i Arabii Saudyjskiej. Nad Hamadanah kurs zmieniał się z północnego na północnozachodni, przecinał sieć radarów między lotniskami w Mekce i Qal Bishah, następnie od Al Khurmah biegł na wschód nad pustynię Rub alChali w południowej Arabii. Samolot zatankował w powietrzu z sudańskiego samolotucysterny na zachód od Dżiddy nad Morzem Czerwonym; robi to ponownie w drodze powrotnej, tyle że już bez pięciu pasażerów. Siedzieli w ładowni, pięciu żołnierzy w prostych, cywilnych ubraniach. Wszyscy byli ochotnikami z mało znanej elitarniej brygady Mosadu, jednostki uderzeniowej specjalizującej się w desancie, akcjach ratowniczych, sabotażu i zamachach. Żaden z nich nie miał więcej niż trzydzieści dwa lata, wszyscy mówili płynnie po hebrajsku, w jidysz, po arabsku i angielsku. Jeden w drugiego same osiłki, opaleni na brąz po ćwiczeniach na pustyni, nawykli do dyscypliny, która wymagała podejmowania w ułamku sekundy decyzji; wszyscy mieli wysoki iloraz inteligencji oraz silną motywację, bo ich drogę znaczyło pasmo cierpień – albo własnych, albo członków najbliższej rodziny. Chociaż potrafili się śmiać, jeszcze lepiej umieli nienawidzić. Siedzieli pochyleni do przodu na ławce od strony drzwi, miętosząc bezwiednie linki spadochronów, które założono im niedawno na plecy. Rozmawiali cicho między sobą, to znaczy czterech rozmawiało, a jeden milczał. Milczący mężczyzna był ich dowódcą; siedział wychylony w przód i patrzył obojętnie na ściankę przed sobą. Miał pewnie koło trzydziestki, a jego włosom i brwiom bezlitosne słońce nadało barwę białozółtą. Miał też wielkie ciemnobrązowe oczy, wystające kości policzkowe po obu stronach ostrego semickiego nosa, wąskie, mocno zarysowane usta. Nie był w tej piątce ani najstarszy, ani najmłodszy, ale był ich dowódcą; miał to wypisane na twarzy i w oczach. Zadanie na terytorium Omanu wyznaczyły im najwyższe władze izraelskiego Ministerstwa Obrony. Mieli minimalne szansę na sukces, a znacznie większe na porażkę lub śmierć, ale musieli podjąć próbę, albowiem pośród dwustu trzydziestu sześciu zakładników przetrzymywanych w Ambasadzie Amerykańskiej w Maskacie znajdował się tajny szef operacyjny Mosadu, niezrównanych służb wywiadowczych Izraela. W przypadku zdemaskowania przewieziono by go samolotem do jednej z wielu "klinik medycznych" zaprzyjaźnionych lub wrogich rządów, gdzie podane dożylnie środki zadziałałyby znacznie skuteczniej od tortur. Można by w ten sposób poznać tysiące tajemnic, zagrozić wręcz państwu izraelskiemu i osłabić wpływy Mosadu na Bliskim Wschodzie. Cel akcji: Jeśli to możliwe, wydostać go. Jeśli niemożliwe, zlikwidować. Dowódca tego oddziału wyłonionego z Brygady Mosadu nazywał się Yaakov. Agent Mosadu przetrzymywany jako zakładnik w Maskacie był jego ojcem.

–Adonim – padło po hebrajsku z głośnika samolotu. Spokojny, pełen szacunku głos zwrócił się do pasażerów per "Panowie". – Zaczynamy schodzić w dół – ciągnął

po hebrajsku. – Osiągniemy cel za sześć minut trzydzieści cztery sekundy, jeżeli unikniemy nieoczekiwanych wiatrów czołowych nad górami, które wydłużyłyby czas do sześciu minut czterdziestu ośmiu sekund lub pięćdziesięciu pięciu sekund, ale kto by to liczył? – Czterej mężczyźni roześmiali się; Yaakov zamrugał oczami, nie przestając wpatrywać się w ściankę przed sobą. Pilot mówił dalej. – Zrobimy jedno okrążenie nad celem na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów, jeśli więc panowie muszą się przygotować psychicznie lub fizycznie, przyszykować te zwariowane prześcieradła, które mają panowie na grzbietach, teraz jest na to czas. Osobiście, nie mam zamiaru opuszczać kabiny ani odbywać spacerku na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, ale w końcu nie jestem w ciemną bity. – Yaakov uśmiechnął się; pozostali roześmiali się głośniejszym niż przedtem. – Właz zostanie otwarty na wysokości dwóch tysięcy ośmiuset metrów przez naszego brata, Jonathana Levy'ego, który jak wszyscy prawdziwi odźwierni z Tel Awiwu spodziewa się od każdego z panów sutego napiwku. Nie przyjmuje się rewersów. Migające czerwone światło będzie oznaczać, że muszą panowie opuścić ten luksusowy podniebny hotel. Jednakże chłopcy z parkingu na dole, zważywszy okoliczności, nie mają zamiaru podstawić wam samochodów. Oni także nie są w ciemną bity i zostali uznani za zdrowych na umyśle w przeciwieństwie do niektórych anonimowych turystów odbywających ten powietrzny rejs. Śmiech odbił się teraz echem od ścian samolotu: Yaakov zachichotał. Pilot odezwał się jeszcze raz, teraz już innym, cieplejszym tonem. – Niech nasz ukochany Izrael istnieje na wieki dzięki odwadze swych synów i córek. I niech Bóg wszechmogący was prowadzi, drodzy chłopcy. Jazda! Jeden po drugim spadochrony otwierały się na nocnym niebie nad pustynią, i jeden po drugim pięciu komandosów z Brygady Mosadu lądowało w odległości stu pięćdziesięciu metrów od jaśniejącego pośród piasków bursztynowego światła. Każdy miał przy sobie miniaturową radiostację, która w nagłych wypadkach pozwalała na łączność z pozostałymi. W miejscu lądowania każdy z nich wykopał dziurę, w której schował spadochron, grzebiąc obok jedwabiu i brezentu łopatkę saperską. Potem wszyscy zebrali się wokół światła, które następnie zgaszono. Zastąpiła je latarka trzymana przez człowieka przybyłego z Maskatu, starszego agenta wywiadu izraelskiego. – Niech wam się przyjrzę – powiedział, kierując kolejno snop światła na każdego żołnierza. – Nieźle. Wyglądacie jak portowi bandyci.

–Takie chyba były pańskie rozkazy – powiedział Yaakov.

–Nie zawsze sieje wykonuje – odparł agent. Jest pan pewnie... – Nie mamy nazwisk – przerwał mu ostro Yaakov.

–Przyjmuję naganę – rzekł mężczyzna z Mosadu. – Prawdę powiedziawszy, znam tylko pańskie nazwisko, co jest zrozumiałe. – Proszę je wymazać z pamięci.

–Jak mam was nazywać?

–Jesteśmy kolorami, tylko kolorami. Od prawej do lewej stoją Pomarańczowy, Szary, Czarny i Czerwony.

–Miło mi panów poznać – powiedział agent kierując światło kolejno na każdego mężczyznę od prawej do lewej. – A ty? – spytał oświetlając Yaakova.

–Ja jestem Błękitny.

–No, tak. Kolor flagi.

–Nie – odrzekł syn zakładnika z Maskatu. – Błękit to kolor najgorętszego ognia, i to powinno panu wystarczyć.

–To również odcień najzimniejszego lodu, młody człowieku, ale mniejsza. Mój samochód stoi o kilkaset metrów stąd na północ. Niestety, będziecie się musieli trochę przejść po tym radosnym szybowaniu w przestworzach.

–Ja się na to piszę – powiedział Szary, występując do przodu. – Nie znoszę tych okropnych skoków. Można coś sobie zrobić, no wie pan... Samochód był japońską wersją Land Rovera pozbawioną dodatkowych wygód, dostatecznie obtłuczony i podrapany, żeby nie rzucać się w oczy w arabskim kraju, gdzie ograniczenie prędkości było abstrakcją, a kolizje częste. Ponad godzinna jazda przez Maskat została jednak nagle przerwana. Kilka kilometrów za miastem na szosie migąło bursztynowe światelko.

–ieprzewidziana sytuacja – oznajmił agent Mosadu Yaakovowi siedzącemu obok niego na przednim siedzeniu. – To mi się nie podoba. Na terenie Maskatu miało nie być żadnych przystanków. Sułtan ma wszędzie patrole. Wyciągnij broń, chłopcze. Nie wiadomo, czy ktoś nas nie wydał.

–Kto miałby wydać? – spytał gniewnie Yaakov, wrywając broń z kabury. – Jesteśmy w pełni zabezpieczeni. Nikt o nas nie wie. Nawet moja żona sądzi, że jestem na manewrach w Negewie!

–Ukryte kanały informacji muszą być otwarte, Błękitny. Czasem nasi wrogowie zaczynają zbytnio węszyć... Ostrzeż swoich ludzi. Przygotujcie się do otwarcia ognia. Yaakov wydał rozkazy; wyciągnięto broń, wszyscy czuwali przy oknach. Przygotowania bojowe okazały się jednak zbędne.

–o BenAmi! – zawołał człowiek z Mosadu, zatrzymując furgonetkę, aż zadudniły i zapiszczały opony na szczelinach złej nawierzchni. – Otworzyć drzwi! Niski, szczupły mężczyzna w dżinsach, luźnej, białej, bawełnianej koszuli i ghotra na głowie wskoczył do środka, wciskając Yaakova w siedzenie. – Ruszaj – rozkazał. – Powoli. Nie ma tu patroli, mogą więc nas zatrzymać dopiero za dziesięć minut. Masz latarkę? – Kierowca z Mosadu sięgnął i wyjął lampkę. Nowy pasażer włączył ją, przyglądając się ludziom z tyłu i siedzącemu obok mężczyźnie. Świetnie! – zawołał. – Wyglądacie jak męty z nabrzeża. Jeżeli nas zatrzymają, macie bełkotać niewyraźnie po arabsku i krzyczeć o swoich cudzołóstwach, rozumiano?

–Amen – odpowiedziały mu trzy głosy. Czwarty, Pomarańczowy, wniósł sprzeciw.

–Talmud żąda prawdy – wyrecytował. – Dajcie mi cyncastą hurysę, to się zastosuję.

–Zamknij się! – krzyknął Yaakov, którego wcale to nie bawiło. – Co pana tu sprowadza? – zapytał agent Mosadu.

–Obłąd – odparł nowo przybyły. – Jeden z naszych ludzi w Waszyngtonie połączył się ze mną w godzinę po waszym wylocie z Hebronu. Poinformował mnie o pewnym Amerykaninie. To sam kongresman. Jest tu, działa, i to zakamuflowany, da pan wiarę? – Jeżeli to prawda – odrzekł kierowca, ściskając kierownicę moje podejrzenia na temat niekompetencji amerykańskich służb wywiadowczych w pełni się

potwierdzają. Jeżeli go złapią, Ameryka stanie się pariasem cywilizowanego świata. Takiego ryzyka nie wolno podejmować.

–Ale podjęli. Facet jest tutaj.

–Gdzie?

–Nie wiemy.

–Co to ma z nami wspólnego? – zaproponował Yaakov. – Jeden Amerykanin. Jeden głupiec. Jakiego ma pełnomocnictwa?

–Niestety, bardzo poważne – odpowiedział BenAmi. – Mamy mu udzielić wszelkiego poparcia.

–Co? – zachnął się młody dowódca z Brygady Mosadu. – Dlaczego? – Bo pominąwszy mojego współpracownika, Waszyngton uświadamia sobie w pełni ryzyko, potencjalnie tragiczne konsekwencje, i dlatego się od niego odciął. Pozostawiono go samemu sobie. Gdyby go schwytano, nie można by się odwoływać do jego rządu, bo ten nie może i nie chce się do niego przyznać. Facet działa jako osoba prywatna.

–W takim razie muszę ponowić pytanie – nalegał Yaakov. – Skoro Amerykanie nie chcą mieć z nim nic wspólnego, dlaczego my musimy? – Bo nigdy nie pozwoliliby mu tu przyjechać, gdyby ktoś bardzo wysoko postawiony nie uznał, że ten człowiek wypełni jakieś wyjątkowe zadanie.

–Ale dlaczego my? Mamy własne zadania. Pytam się, dlaczego? – Być może dlatego, że my możemy, a oni nie.

–Toż to klęska polityczna! – powiedział z naciskiem kierowca. – Waszyngton coś rozkręca, a potem się wycofuje, dbając o swój tyłek, i zrzuca to na nas. Takie decyzje polityczne podjęli zapewne arabiści z Departamentu Stanu. Przegramy... to znaczy on przegra, ale my go w końcu popieramy... a za wszelkie szkody zwali się winę na Żydów! Ci mordercy Chrystusa znowu nas wrobili!

–Jedną chwileczkę – wtrącił BenAmi. – Waszyngton nie "zrzucił" tego na nas, bo nikt w Waszyngtonie nie ma pojęcia, że my o tym wiemy. A jeśli nie spartaczymy roboty, nikt się nie dowie. Udzielimy tylko, w razie konieczności, dyskretnej pomocy.

–Pan mi nie chce odpowiedzieć! wykrzyknął Yaakov. – Dlaczego? – Odpowiedziałem, ale pan nie słuchał, młody człowieku. Ma pan co innego w głowie. Powiedziałem, że robimy to, co robimy być może dlatego, że mamy taką możliwość. Być może, ale nie ma tu żadnych gwarancji. W tym strasznym miejscu przebywa dwieście trzydzieści sześć osób i jak doskonale wiemy, przeżywa katusze. Wśród nich jest pański ojciec, jeden z najcenniejszych ludzi dla Izraela. Jeżeli ten człowiek, ten kongresman, ma choćby cień propozycji, jak rozwiązać sytuację, musimy zrobić, co się tylko da, choćby po to, żeby potwierdzić jego przypuszczenia lub im zaprzeczyć. Najpierw jednak musimy go odnaleźć.

–Kim on jest? – spytał pogardliwie kierowca Mosadu. – Ma jakieś nazwisko, czy Amerykanie ukryli i to?

–Nazywa się Kendrick. Duży zniszczony samochód zatoczył się, przerywając wypowiedź BenAmiego. Pracownik Mosadu zareagował tak gwałtownie na to nazwisko, że omal nie zjechał z szosy. – Evan Kendrick? – spytał, odzyskując

panowanie nad kierownicą, z oczyma szerokimi ze zdziwienia.

–Tak.

–Grupa Kendricka!

–Co? – spytał Yaakov, spoglądając na twarz kierowcy.

–Przedsiębiorstwo, które tu prowadził.

–Jego akta przylecą dziś w nocy z Waszyngtonu – powiedział BenAmi. –

Będziemy je mieli do rana.

–Nie są wam potrzebne! – zawołał agent Mosadu. – Mamy na jego temat teczkę grubą jak tablice Mojżesza. Mamy też Emmanuela Weingrassa, którego często wolelibyśmy nie mieć.

–Nie nadążam za panem.

–Nie teraz, BenAmi. Trzeba by na to kilku godzin i morza wina... niech diabli porwą Weingrassa. A więc się wygadałem!

–Może pan mówić jaśniej?

–Krócej tak, przyjacielu, ale niekoniecznie jaśniej. Jeżeli Kendrick tu wrócił, na pewno coś knuje, a ma do wyrównania rachunki sprzed czterech lat. Za wybuch, w którym poniosło śmierć przeszło siedemdziesięcioro mężczyzn, kobiet i dzieci. Stanowili jego rodzinę. Trzeba go znać, żeby to zrozumieć.

–A pan go znał? – spytał BenAmi, wychylając się do przodu. – Zna go pan?

–Niezbyt blisko, ale na tyle dobrze, żeby to rozumieć. Najlepiej znał go Emmanuel Weingrass, który był mu ojcem, kompanem od kieliszka, spowiednikiem, doradcą, duchem opiekuńczym, najbliższym przyjacielem.

–Człowiek, którego pan najwyraźniej nie aprobuje – wtrącił Yaakov nie odrywając wzroku od twarzy kierowcy.

–Całkowicie nie aprobuję – potwierdził agent izraelskiego wywiadu. – Ale nie można mu odmówić pewnych zalet. Wolałbym, żeby ich nie miał, ale ma.

–Przydatnych dla Mosadu? – spytał BenAmi. Agent za kierownicą poczuł jak gdyby nagły przyływ zażenowania. Odpowiadając, zniżył głos.

–Posłużyliśmy się nim wParyżu – powiedział, przełykając ślinę. – Obraca się w dziwnych kręgach, ma kontakty z ludźmi z marginesu. W istocie, a mówię to z przykrością, okazał się skuteczny. Dzięki niemu namierzyliśmy terrorystów, którzy podłożyli bombę w koszernej restauracji na rue du Bac. Sami rozwiązaliśmy ten problem, ale jakiś przeklęty dureń pozwolił mu działać za wszelką cenę. Co za głupota! No i trzeba mu przyznać – dodał kierowca niechętnie, ściskając mocno kierownicę – że przekazał nam do Tel Awiwu informację, która udaremniła pięć podobnych incydentów.

–Ocalił wiele istnień – powiedział Yaakov. – Żydowskich istnień. I mimo to pan go nie aprobuje?

–Pan go nie zna! Nikt nie zwraca specjalnej uwagi na siedemdziesięciodziewięcioletniego bon vivant, na boulevardem, który chodzi dumny jak paw po Avenue Montaigne z jedną albo i z dwoma paryskimi "modelkami" ubranymi przez niego w St.Honore za pieniądze otrzymane od Grupy Kendricka.

–Czy to umniejsza jego zalety? – spytał BenAmi.

–Obciąża nas kosztami za kolacje w La Tour d'Argent! Po trzy, cztery tysiące szekli! Jak możemy odmówić? Dostarcza informacji, był też świadkiem wyjątkowego aktu przemocy, kiedy wzięliśmy sprawy w swoje ręce. Przypomina nam o tym od czasu do czasu, kiedy spóźniamy się z wypłatą.

–Powiedziałbym, że ma do tego prawo – stwierdził BenAmi kiwając głową. – Jest agentem Mosadu w obcym kraju i musi się dobrze maskować.

–Już jesteśmy w potrzasku, przyduszeni, jaja mamy w kleszczach – mruknął pod nosem kierowca – a najgorsze dopiero przed nami. – Nie rozumiem – powiedział Yaakov.

–Jeśli ktokolwiek może odnaleźć Evana Kendricka w Omanie, to Emmanuel Weingrass. Kiedy dotrzemy do naszej kwatery w Maskacie, zadzwonię do Paryża. Niech to cholera!

–Je regrette – powiedziała telefonistka w hotelu Pont Royal w Paryżu. – Monsieur Weingrass wyjechał na kilka dni. Zostawił jednak numer telefonu w Monte Carlo...

–Je suis desolee – odparła panienska z centrali w UHermitage w Monte Carlo. – Monsieur Weingrassa nie ma w apartamencie. Dzisiaj wieczorem miał jeść kolację w Hotel de Paris, naprzeciw kasyna.

–Czy mogę prosić o numer?

–Ależ oczywiście – odparła ta wylewna kobieta. Monsieur Weingrass to przeuroczy człowiek. Dziś wieczorem przyniósł nam wszystkim kwiaty; tonie w nich całe biuro! Co za wspaniały człowiek. A oto numer...

–Desole – stwierdził z obłudnym wdziękiem telefonista w Hotel de Paris. – Restauracja jest zamknięta, ale wielce szacowny Monsieur Weingrass poinformował nas, że będzie przy stole jedenastym w kasynie co najmniej przez najbliższe dwie godziny. W przypadku ewentualnych telefonów radził pytać w kasynie o Armanda. Podaję numer...

–Je suis tres desole – zagruchał Armand, podejrzany człowiek od wszystkiego w Casino de Paris w Monte Carlo. – Czarujący Monsieur Weingrass i jego piękna dama nie mieli dziś wieczór szczęścia przy naszej ruletce, postanowił więc pójść do salonu gry Loewa nad wodą. To rzecz jasna podrzędny lokal, ale ma dobrych krupierów, Francuzów, ma się rozumieć, nie Włochów. Proszę spytać o Luigiego, prostaka z Krety, który odszuka Monsieur Weingrassa. Proszę go serdecznie ode mnie pozdrowić i przekazać mu, że oczekuję go tu jutro, kiedy odmieni się fortuna. A oto numer...

–Naturalmentel – zawołał tryumfalnie nieznany Luigi. – Najdroższy memu sercu przyjaciel! Signor Weingrass. Mój żydowski brat, który mówi dialektem Como i Lago di Garda jak swój, a nie jak ci z "buta" czy choćby Napoletano, zwykli barbarzyńcy. Jest tutaj, przed moimi oczyma!

–Czy może go pan poprosić do telefonu?

–Jest bardzo zajęty, Signore. Jego dama wygrywa wielkie pieniądze. Nie wolno przeszkadzać, to przynosi pecha.

–Powiedz temu draniowi, żeby podszedł zaraz do telefonu, albo ugotujemy mu te jego żydowskie jaja w arabskim kozim mleku! – Checosat

–Rób, co mówię! Powiedz, że dzwoni Mosad!

–Pazzol – mruknął Luigi do siebie odkładając słuchawkę na stolik. – Instabile. – dodał, podchodząc ostrożnie do hałaśliwego stołu, gdzie grano w kości. Emmanuel Weingrass, ze starannie wypomadowanymi wąsami pod orlim nosem, który świadczył o arystokratycznym pochodzeniu, i zadbanymi siwymi włosami falującymi na pięknie wymodelowanej głowie, stał spokojnie wśród wirujących ciał roznamiętnionych graczy. W kanarkowej marynarce i muszce w czerwoną kratę rozglądał się wokół stołu, bardziej zainteresowany hazardzistami niż samą grą, od czasu do czasu czując na sobie spojrzenie wolnego chwilowo gracza lub kogoś z tłumku gapiów. Rozumiał innych, bo znał dogłębnie siebie; jednych aprobował, drugich a tych było znacznie więcej – nie. Spoglądali na jego twarz, twarz starego człowieka, która nie straciła dziecięcych rysów, twarz młodą bez względu na wiek, podkreśloną szykownym, aczkolwiek dość ekstrawaganckim strojem. Ci, którzy go znali, dostrzegali więcej. Widzieli, że ma zielone oczy, które nie traciły żywotności nawet w chwilach dekoncentracji, oczy poszukiwacza, zarówno w sferach geografii, jak intelektu, nigdy nie spoczywającego na laurach, zawsze niespokojnego, wciąż błądzącego po obszarach, które pragnął poznać lub stworzyć. Na pierwszy rzut oka widziało się, że to ekscentryk; ale nie sposób było ocenić rozmiarów tej ekscentryczności. Był artystą i człowiekiem interesu, ssakiem i istną wieżą Babel. Był sobą, i na szczęście dla siebie zaakceptował swój architektoniczny geniusz jako część nieskończonej bezsensownej gry życia, która wkrótce miała się dla niego raz na zawsze skończyć. Oby się to stało we śnie. Ale dopóki żył, wiele jeszcze chciał przeżyć, doświadczyć; zbliżając się do osiemdziesiątki, musiał być realistą, chociaż budziło to jego niepokój i przerażenie. Patrzył na siedzącą obok przy stole dziewczynę o wyzywającej zmysłowości, jakże pełną życia, jakże pustą w środku. Weźmie ją do łóżka, może popieści jej piersi – a potem zaśnie. Mea culpa. Co za sens.

–Signore? – szepnął Weingrassowi do ucha Włoch w smokingu – Ktoś do pana dzwoni, ktoś, dla kogo za nic w świecie nie miałbym poważania.

–To dziwna uwaga, Luigi.

–Obraził pana, drogi przyjacielu i szanowny gościu. Jeśli pan chce, odprawię go i zwymyślam, zasługuje na to.

–Nie każdy kocha mnie tak jak ty, Luigi. Co powiedział?

–Nie ośmieliłbym się tego powtórzyć nawet najbardziej prostackiemu francuskiemu krupierowi!

–Jesteś bardzo lojalny, przyjacielu. Podał nazwisko?

–Tak, Signore Mosad. Powiadam panu, jest niepoczytalny, pazzol – Jak większość z nich – odparł Weingrass podchodząc szybko do telefonu.

* * *

Rozdział 10

Stopniowo zaczęło się niebezpiecznie rozwidniać. Azra spojrział na poranne niebo, przeklinając siebie – i tego prostaka, Yosefa – za obranie złego kierunku koło wieży Kabritta i zmarnowanie cennych minut. Trzej uciekinierzy oderwali nogawki

więziennych spodni w połowie łydki i całe rękawy. Bez dobrodziejstwa światła mogliby uchodzić za robotników sprowadzonych z Libanu lub z dzielnicy nędzarzy Abu Dhabi, którzy wydają swoje riale na jedyne dostępne rozrywki – dziwki i whisky, bo tych nie brakowało na nabrzeżu el Shari el Mish, tym otoczonym łądem mieściewyspie. Stali w betonowej niszy stanowiącej wejście dla pracowników do szpitala Waljat niecałe dwieście metrów od Ambasady Amerykańskiej. Wąska uliczka po prawej przecinała szeroką arterię. Za rogiem znajdował się rząd sklepów, nie do odróżnienia za żelaznymi żaluzjami. Na czas trwania tego oblężenia zawieszono wszystkie interesy. Dalej, w bramie ambasady snuły się oddziały obszarpanych ospałych młodych ludzi uginających się pod ciężarem dźwiganej broni, wypełniających rozkazy dla dobra dżihad, swojej świętej wojny. Ospalność jednak miała zniknąć z pierwszymi promieniami słońca, a maniakalna energia zapanować wraz ze zjawieniem się pierwszej fali gapiów, zwłaszcza ekip radiowych i telewizyjnych, które tę falę przyciągnęły. Za godzinę na scenie publicznej miały się pojawić gniewne dzieciaki. Azra uważnie obserwował wielki plac przed bramą. Po przeciwnej stronie stały tuż obok siebie trzy białe piętrowe budynki biurowe. W zasłoniętych oknach ciemno, nigdzie śladu światła, co było zresztą nieistotne. Jeśli w środku są jacyś obserwatorzy, znajdują się za daleko od bramy, żeby dosłyszeć to, co powiedziałyby cicho przez kraty, a w tak słabym świetle na pewno by go nie rozpoznano jeżeli rzeczywiście wiadomość o ich ucieczce dotarła na posterunek. A jeśli nawet, wróg nie przypuści pochopnie ataku na podstawie tak mglistych przesłanek; konsekwencje byłyby zbyt groźne. W gruncie rzeczy plac był opustoszały, pominąwszy rząd żebraków w łachmanach, którzy siedzieli w kucki przed wykonanymi z piaskowca ścianami ambasady, kilku z nich we własnych odchodach, a przed nimi stały żebracze miseczki. Najbardziej odrażający z tych nędzarzy nie byli potencjalnymi agentami sułtana ani obcych rządów, ale inni mogli nimi być. Skierował wzrok na tych drugich, szukając oznak nagłych, gwałtownych ruchów, które zdradziłyby człowieka nie przyzwyczajonego do nieruchomej przykucniętej pozycji żebraka. Tylko ktoś, kogo mięśnie przywykły do wiecznej żebraczej pozycji w kucki mógł siedzieć nieruchomo przez długi czas. Żaden nawet nie drgnął, żaden nie poruszył nogą; za mało wprowadzie na dowód, ale więcej Azra nie mógł żądać. Strzelił palcami na Yosefa, wyjął spod koszuli pistolet MAC-10 i podał go staremu terroryście.

– Idę tam – powiedział po arabsku. – Oślaniaj mnie. Jeżeli któryś z żebraków zrobi podejrzany ruch, chcę, żebyś tam był.

– Ruszaj. Podkradnę się za tobą w cieniu szpitala, prześliznę się po prawej stronie od bramy do bramy. Nie chybiam, więc jeden podejrzany ruch i już po żebraku!

– Nie nastawiaj się z góry, Yosefie. Nie popełnij błędu strzelając bez potrzeby. Muszę dotrzeć do któregoś z tych kretynów w środku. Wkroczę tam, jak gdybym miał fatalny ranek po wczorajszej nocy. – Młody Palestyńczyk odwrócił się do Kendricka, który przykucnął w rzadkim listowiu pod murem szpitala. – A ty, Bahrudi – rzucił szeptem po angielsku. – Kiedy Yosef dotrze do pierwszego budynku, idź za nim powoli, ale na miłość boską, nie zdradź się! Przystawaj od czasu do czasu, żeby

się podrapać, często pluj, no i pamiętaj, że twój obecny wygląd nie licuje z postawną sylwetką.

–Znam się na tym! – skłamał bez ogródek Evan przejęty tym, czego się dowiedział o terrorystach. – Myślisz, że nie posługiwałem się tą taktyką setki razy częściej niż wy?

–Sam nie wiem, co myśleć – odparł z prostotą Azra. Wiem tylko, że nie podobało mi się, jak mijales meczet Zawawi. Zaczęli się gromadzić mułowie i muezzini. Być może jesteś lepszy w wytwornych stolicach Europy.

–Zapewniam cię, że się nadaję – odpowiedział lodowato Kendrick, świadom, że musi podtrzymywać arabski kult siły połączonej z chłodną rezerwą. W swojej grze musiał jednak spuścić z tonu, bo młody terrorysta uśmiechnął się. Był to szczery uśmiech, pierwszy, jaki zobaczył u człowieka mieniającego się Błękitnym.

–Sam się o tym przekonałem – powiedział Azra, kiwając głową. Jestem cały i zdrów tutaj, zamiast być trupem na pustyni. Dzięki ci za to, Amalu Bahrudi. A teraz nie spuszczaaj ze mnie wzroku, idź tam, gdzie ci wskażę. Błękitny poderwał się, przemierzył leniwym krokiem niewielki trawnik szpitalny i wyszedł na szeroką arterię prowadzącą do samego placu. Po kilku sekundach Yosef wyprysnął pod kątem prostym na prawo od swego zwierzchnika, przeciął wąską uliczkę dwadzieścia metrów przed rogiem, trzymając się ściany budynku w najgłębszym cieniu słabego światła. Kiedy samotna, odosobniona sylwetka Azry powłóczącego nogami ku bramom ambasady ukazała się wyraźnie w polu widzenia, Yosef skoczył za róg; ostatnim przedmiotem, jaki zauważył Evan był morderczy pistolet maszynowy MAC-10, trzymany nisko w lewej ręce przez buńczuczego sierżantabrygadzistę. Kendrick wiedział, że teraz należy ruszyć, i w głębi duszy zapragnął nagle znaleźć się z powrotem w Kolorado, na południowy zachód od Telluride, u podnóża gór. Ale wtedy nadpłynęły znowu obrazy, wypełniając jego wewnętrzny ekran – grzmot. Seria ogłuszających wybuchów. Dym. Nagle zaczęły się walić mury pośród krzyków przerażonych dzieci, które miały za chwilę zginąć. Dzieci! I kobietymłode matki – wrzeszczące w odruchu paniki i buntu, gdy tony gruzu spadały lawinowo z wysokości trzydziestu metrów nad ziemią. I bezradni mężczyźni – przyjaciele, mężowie, ojcowie wyrażający rykiem swój sprzeciw wobec tego piekła walącego im się na głowy, które miało ich zaraz pogrzebać... Mahdi! Evan zerwał się na równe nogi, zaczerpnął głęboki oddech i ruszył w kierunku placu. Z opuszczonymi ramionami dotarł do chodnika po północnej stronie naprzeciw zabarykadowanych sklepów; przystawał często, żeby podrapać się albo splunąć.

–Ta kobieta miała rację – szepnął ciemnoskóry Arab w zachodnim ubraniu, zerkając przez szczelinę przy obluzowanej listwie w zabitym deskami lokalu, który jeszcze dwadzieścia dwa dni temu był atrakcyjną kawiarnią, gdzie podawano kawę kardamonową, ciastka i owoce. Ten straszny łotr minął mnie tak blisko, że mogłem go dotknąć! Mówię ci, wstrzymałem oddech!

–Sza! – ostrzegł stojący obok mężczyzna w pełnym stroju arabskim. – Idzie tu. Amerykanin. Zdradza go wzrost.

–Inni też zdradzą. Nie przeżyje.

–Co to za jeden? – spytał mężczyzna w szatach ledwie słyszalnym szeptem.

–Tego nie musimy wiedzieć. Liczy się tylko to, że naraża dla nas życie. Mamy słuchać kobiety, takie są rozkazy. – Na zewnątrz, przygarbiona postać sunąca ulicą minęła sklep, przystając, żeby się podrapać w kroku i splunąć do rynsztoka. Dalej, na skos placu, inna postać, niewyraźna w tym słabym świetle, podeszła do bram ambasady. – To ta kobieta – ciągnął Arab w zachodnim ubraniu, nadal podpatrując przez obluzowane deski – kazała nam ich szukać na nabrzeżu, sprawdzać małe łodzie, przeczesywać drogi na północ i na południe, nawet tutaj, gdzie najmniej ich oczekiwano. Skontaktujcie się z nią i powiedzcie, że zdarzyła się właśnie rzecz nieoczekiwana. Potem zawiadomcie innych w Kablah i Bustafi Wadis, żeby już ich nie wypatrywali.

–Tak jest – powiedział mężczyzna w arabskich szatach kierując się na tyły opustoszałej ciemnej kawiarni z mnóstwem krzeseł ustawionych dziwacznie na stołach, jak gdyby właściciele spodziewali się nieziemskich klientów, którzy gardzą podłogą. Zaraz jednak Arab zatrzymał się, wrócił szybko do kolegi. – A co robimy potem? – Kobieta ci powie. Śpiesz się. Ten łotr przy bramie chce przywołać kogoś z ambasady. Czyli próbują się dostać do środka! Azra objął żelazne kraty i spojrzał w niebo; pasemka światła na wschodzie jaśniały z minuty na minutę. Wkrótce ciemna szarość placu ustąpi miejsca ostremu, oślepiającemu słońcu Maskatu; lada chwila, jak co rano, nastąpi eksplozja światła, które raptownie zaleje wszystko. Prędeej! Spójrzcie na mnie, wy idioci, wy kundle! Wróg czyha wszędzie, patrzy, śledzi, czeka odpowiedniej chwili, żeby uderzyć, a ja jestem teraz bardzo cennym łupem. Jeden z nas musi dotrzeć do Bahrajnu, do Mahdiego! Na miłość cholernego Allacha, niech tu ktoś podejdzie! Nie mogę mówić głośnie. Ktoś podszedł! Młodzieniec w brudnym mundurze polowym odłączył się z wahaniem od pięcioosobowego oddziału, czuwającego w mrocznym, lecz jaśniejącym świetle, przyciągnięty widokiem dziwnie wyglądającego osobnika, który stał z lewej strony ogromnej, opatrzonej łańcuchem podwójnej bramy. Zbliżając się przyspieszył kroku, a kpiący wyraz twarzy ustąpił miejsca zdumieniu.

–Azra? – zawołał. – To ty?

–Cicho bądź! – szepnął Błękitny, wsuwając obie dłonie przez kraty. Nastolatek był jednym z dziesiątków rekrutów, których uczył podstaw posługiwania się bronią automatyczną. O ile Azra dobrze pamiętał, chłopak nie należał do prymusów.

–Powiedziano nam, że wyjechałeś z tajną misją, dostałeś tak święte zadanie, że dzięki niech będą wszechmocnemu Allahowi za twoją siłę!

–Złapali mnie...

–Allahowi niech będą dzięki! – Za co?

–Za to, że zabiłeś niewiernych! Gdybyś tego nie zrobił, byłbyś już teraz w błogosławionych ramionach Allacha.

–Uciekłem.

–Nie zabijając niewiernych? – zapytał młodzieniec ze smutkiem w głosie.

–To są wszystko żywe trupy – uciął rozwścieczony Błękitny. – A teraz posłuchaj...

–Chwała niech będzie Allahowi!

–Niechże Allach cię uciszy... ucisz się i posłuchaj! Muszę się prędko dostać do środka. Idź do Yateem lub do Ahbyahda, pędź, jakby zależało od tego twoje życie...

–Moje życie to tylko marność!

–Ale moje, do cholery, nie! Niech ktoś tu przyjdzie z rozkazami. Leć! Czekanie przyprawiało Błękitnego o walenie w piersi i w skroniach; obserwował niebo, wyglądał światła na wschodzie, które miało zaraz rozświetlić tę nieskończoną małą część ziemi. Wiedział, że kiedy to się stanie, będzie skończony, martwy, co położy kres jego walce z tymi sukinsynami, którzy ukradli mu życie, wymazali jego dzieciństwo krwią, zgładzili rodziców jego i Zayi w ogniu karabinowym usankcjonowanym przez izraelskich morderców. Pamiętał to aż nazbyt wyraźnie, aż nazbyt boleśnie. Jego ojciec, łagodny, inteligentny człowiek, studiował medycynę w Tel Awiwie aż do trzeciego roku, kiedy to władze uznały, że lepiej się nadaje na aptekarza, musiał więc ustąpić miejsca w Akademii Medycznej jakiemuś żydowskiemu imigrantowi. Działo się tak na porządku dziennym. Izraelczykom przyświecało hasło usuwania Arabów z prestiżowych profesji. Z upływem lat ojciec stał się wszakże jedynym "doktorem" w ich wiosce na Zachodnim Brzegu; rządowi lekarze, którzy przyjeżdżali z Beer Szewy byli nieukami zmuszonymi do zarabiania nędznych szekli w małych miasteczkach i obozach. Jeden z takich lekarzy złożył skargę, i poskutkowało to jak błaganie złożone przy Ścianie Płaczu. Aptekę zamknięto.

–Musimy jakoś przeżyć to swoje skromne życie. Kiedy wreszcie dadzą nam żyć? – pomstował ojciec i mąż. Nadeszła odpowiedź dla córki imieniem Zaya i syna, który miał się stać Azrą Terrorystą. Izraelska Komisja do Spraw Arabskich na Zachodnim Brzegu wydała kolejne oświadczenie. Ich ojciec jest wicherzycielem. Rodzinę usunięto ze wsi. Udali się na północ, w kierunku Libanu, szukając miejsca, gdzie by ich przyjęto, a podczas tego exodusu zatrzymali się w obozie dla uchodźców zwanym Shatila. Brat i siostra widzieli zza niskiego kamiennego muru ogrodu, jak mordują ich matkę i ojca oraz wielu innych. Ciała powaliła oddana staccato seria kul, przygważdżając ich do ziemi; z oczu i ust tryskała krew. A nad nimi, na wzgórzach, nagły grzmot izraelskiej artylerii brzmiał w uszach dzieci jak dźwięk diabelskiego tryumfu. Ktoś musiał zaaprobować tę operację. W ten sposób narodziła się Zaya Yateem, przemieniając się z łagodnego dziecka w chłodnego niczym lód stratega, i jej brat, znany światu jako Azra, najnowszy następca tronu terrorystów. Wspomnienia odpłynęły na widok mężczyzny wbiegającego przez bramę do ambasady.

–Błękitny! – zawołał Ahbyahd ostrym, zdumionym szeptem, gnając przez podwórko, a narastające światło pozwalało dojrzeć wyraźnie pasma siwizny w jego włosach. – Na Allacha, Co się stało? Twoja siostra nie posiada się z radości, ale nie może teraz wyjść. Jest kobietą, pora jest nieodpowiednia, a poza tym nie chce się pokazywać z tobą. Oczy są wszędzie. Co się z tobą działo?

–Powiem ci, kiedy znajdziemy się w środku. Teraz nie ma czasu. Prędeż!

–Znajdziemy się?

–Ja, Yosef i mężczyzna nazwiskiem Bahrudi, przybywa od Mahdiego. Szybko! Już się rozwidnia. Którędy mamy przejść?

–Boże wszechmogący... Mahdi!

–Proszę cię, Ahbyahdzie!

–Przy wschodnim murze, jakieś czterdzieści metrów od południowego rogu jest stary kanał...

–Znam go! Pracowaliśmy przy nim. Jest teraz oczyszczony? – Trzeba się nisko schylić i posuwać bardzo powoli, ale tak, jest oczyszczony. Wlot znajduje się...

–Pod trzema wielkimi głazami w wodzie – powiedział Azra kiwając szybko głową. – Poślij tam kogoś. To prawdziwy wyścig ze świtem! Terrorysta zwany Błękitnym wycofał się ukradkiem spod opatrzonej łańcuchem bramy i powoli, dyskretnie porzucając uprzednie wcielenie, szybko okrążył południowy kraniec muru. Stał, przywarł plecami do kamienia, przecesał wzrokiem szereg zabarykadowanych sklepów. Yosef wysunął się nieco z zabitego deskami wejścia w niszy; przez cały czas obserwował Azrę i pragnął, żeby młody dowódca o tym wiedział. Stary mężczyzna syknął i w ciągu kilku sekund "Amal Bahrudi" wyłonił się z wąskiego zaułka między budynkami; trzymając się cienia, podbiegł szybko chodnikiem i dołączył do stojącego przy wejściu Yosefa. Azra machnął

ręką w lewo, wskazując marną, brukowaną drogę przed sobą, która biegła równolegle do muru ambasady za rzędem sklepów na placu; po drugiej stronie znajdował się pusty teren pokryty gruzem i trawą pustynną. W oddali, w kierunku ognistego horyzontu, ciągnęło się skaliste wybrzeże Zatoki Omańskiej. Uciekinierzy w podartych drelichach więziennych i sandałach z twardej skóry przecięli pędem tę drogę, minęli mury ambasady i wpadli w nagły, przerażający blask wybuchającego słońca. Z Azrą na czele dotarli do małego przyładka nad uderzającymi o brzeg falami. Z imponującą zwinnością nowy następca tronu morderców tego świata przeskakiwał z kamienia na kamień, przystając od czasu do czasu, żeby obróciwszy się wskazać gestem łaty zielonych wodorostów, w których człowiek mógł stracić życie, gdyby ześliznął się i spadł na kolczaste skały poniżej. W niecałą minutę dotarli do dziwnie ukształtowanego zagłębienia u podnóża niewysokiego urwiska, gdzie owe wielkie kamienie stykały się z wodą. Otaczały je trzy olbrzymie głazy tworzące dziwny trójkąt, u którego podstawy znajdował się metrowej szerokości otwór przypominający wlot do jaskini, nieustannie szturmowany przez napierającą falę przyboju.

–No i jest! – zawołał Azra z radością i ulgą w głosie. – Wiedziałem, że go znajdę!

–Co takiego? – ryknął Kendrick, usiłując przekrzyknąć szum fal. – Stary kanał – odkrzyknął Błękitny. – Zbudowany setki lat temu, szaleł miejski nieustannie zmywany wodą morską dostarczaną przez niewolników.

–Wydrążono go w skale?

–Nie, Amalu. Wygładzono teren i ułożono odpowiednio kamienie, a przyroda dokonała reszty. Przeciwnieństwo akweduktu, jeśli wolisz. Wspinaczka wymaga pokonania stromizny, ale ponieważ ktoś go wybudował, są tu występy na nogi!., nogi niewolników, czyli takie jak nasze, palestyńskie.

–Jak się tam dostaniemy?

–Przejdziemy przez wodę. Skoro prorok Jezus mógł kroczyć po wodzie, my

możemy przynajmniej przez nią przejść. Chodźmy. Do ambasady!

Spocony jak mysz Anthony MacDonald wszedł po schodach nabrzeża od strony starego magazynu. Skrzyp stopni pod jego ciężarem złał się z trzaskiem drewna i lin dochodzącym z przystani, gdzie kadłuby statków ocierały się o nabrzeże. Pierwsze żółte promienie słońca migotały na portowych wodach, załamywały się na natrętnych skiffach i starych trawlerach, które wypływały na codzienny połów i miały czujne patrole marynarki dające od czasu do czasu sygnał "stop", żeby dokonać dokładniejszej inspekcji danej jednostki. Żeby tu dotrzeć, Tony kazał kierowcy podjechać bez świateł opustoszałą szosą w kierunku Maskatu, aż znaleźli się na bocznej ulicy w As Saada, która przecinała miasto i prowadziła do nabrzeża. Dopiero kiedy pojawiły się latarnie miejskie, MacDonald polecił kierowcy włączyć światła. Nie miał pojęcia, dokąd biegają trzej uciekinierzy ani gdzie zamierzają się ukryć w biały dzień przed rzeszą szukających ich policjantów, ale zakładał, że będą szukali schronienia u któregoś z najmniej podejrzanych agentów Mahdiego w mieście. Miał zamiar ich unikać; musiał się jeszcze wiele dowiedzieć, wyjaśnić wiele sprzeczności przed przypadkowym spotkaniem z młodym, ambitnym Azrą. Było jednak jedno miejsce, dokąd mógł się udać, jeden człowiek, z którym mógł się zobaczyć bez obawy o to, że sam zostanie zauważony. Płatny morderca, który dla pieniędzy wypełniał ślepo rozkazy, śmieć ludzki, który spotykał się z potencjalnymi klientami wyłącznie w obskurnych pasażach nabrzeża el Shari el Mish. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, gdzie mieszka. Tony wdrapał się z wysiłkiem na ostatnią kondygnację schodów i stanął przed niskimi, grubymi drzwiami, za którymi miał nadzieję znaleźć poszukiwanego mężczyznę. Kiedy doszedł do ostatniego stopnia, otworzył usta, wytrzeszczył oczy, zamarł. Bo nagle, bez ostrzeżenia, rozwarły się drzwi na naoliwionych zawiasach i na niewielki podest wypadł półnagi morderca z nożem w lewej ręce, którego długie, ostre jak brzytwa ostrze błyszczało we wczesnym słońcu, w prawej zaś trzymał mały pistolet kalibru 22. Przyłożył ostrze do gardła MacDonald, a lufę pistoletu do jego lewej skroni; nie mogąc oddychać, zażywny Anglik chwycił się rękoma obu poręczy, żeby nie spaść ze schodów.

–To ty! – warknął wychudzony mężczyzna z zapadniętymi policzkami, po czym opuścił pistolet, ale noża nie cofnął. – Nie wolno ci tu przychodzić. Za nic nie wolno ci tu przychodzić! Zesztywniały na całym swym opasłym ciele MacDonald przełknął powietrze i odezwał się ochryplym głosem, czując ostrze psychopaty na szyi.

–Gdyby nie wyjątkowa sytuacja, nigdy bym tu nie przyszedł, jasne?

–Jasne, jest to, że oszukano mnie! – odrzekł mężczyzna, kręcąc w palcach nóż. – Zabiłem syna tamtego importera, tak jak mógłbym zabić teraz ciebie. Pociąłem twarz tamtej dziewczynie, zostawiłem ją na ulicy ze spódnicą zarzuconą na głowę, a mimo to mnie oszukano. – Nikt nie miał takiego zamiaru.

–Ktoś to zrobił!

–Wynagrodzę ci to. Musimy pogadać. Jak już powiedziałem, to wyjątkowa sytuacja.

–Mów tutaj. Nie wejdiesz do środka. Nikt do mnie nie wchodzi! – Świetnie. Tylko bądź tak dobry i pozwól mi normalnie stanąć, zamiast kazać mi wisieć z narażaniem

życia na tej bądź co bądź leciwej poręczy.

–Mów. Tony stanął prosto na trzecim stopniu od góry, wyjął chustkę i otarł spocone czoło, nie odrywając wzroku od noża.

–Muszę koniecznie dotrzeć do przywódców w ambasadzie. Oczywiście oni nie mogą wyjść, więc ja muszę się dostać do nich. – To zbyt niebezpieczne, zwłaszcza dla człowieka, który cię wprowadzi, bo sam zostanie na zewnątrz. – Chudy jak szczapa morderca odsunął ostrze od gardła MacDonalda tylko po to, by ruchem przegubu zmienić jego położenie; błyszczący szpic spoczywał teraz u nasady szyi Anglika. – Możesz pogadać z nimi przez telefon, wielu to robi.

–To, co mam powiedzieć... o co ich muszę poprosić... nie nadaje się na telefon. Moje słowa muszą dotrzeć tylko i wyłącznie do przywódców, a ich tylko do mnie.

–Mogę ci sprzedać numer, który nie figuruje w żadnym wykazie. – Gdzieś jednak figuruje, a skoro ty go masz, mają go też inni. Nie mogę ryzykować. Muszę się dostać do środka.

–Robisz trudności warknął psychopata; lewa powieka mu drgała, a obie źrenice miał rozszerzone. – Dlaczego robisz trudności? – Bo jestem bardzo bogaty, a ty nie. Potrzebna ci forsa na twoje ekstrawagancje... twoje nałogi.

–Obrażasz mnie! – syknął gniewnie płatny morderca, pół wariat, świadomy, że trzy piętra niżej rybacy i robotnicy portowi zacierają do swoich codziennych zajęć.

–Jestem tylko realistą. Muszę wejść do środka. Ile? Morderca zakaszał, aż jego cuchnący oddech uderzył MacDonalda w nos. Cofnął ostrze, skierował kaprawę oczy na swojego przeszłego i przyszłego dobroczyńcę.

–To cię będzie słono kosztowało. Więcej niż płaciłeś kiedykolwiek.

–Jestem przygotowany na rozsądną, lecz nie wygórowaną podwyżkę. Powtarzam, rozsądną. Zawsze będziemy mieli dla ciebie jakąś pracę...

–Dziś rano o dziesiątej odbędzie się w ambasadzie konferencja prasowa – przerwał mu odurzony nieco narkotykami mężczyzna. Jak zwykle dziennikarze i ludzie z telewizji zostaną wybrani w ostatniej chwili, a ich nazwiska wywoła ktoś przy bramie. Bądź tam i podaj mi numer telefonu, żebym za dwie godziny przekazał ci nazwisko. Tony podał mu numer do hotelu.

–Ile, przyjacielu? – spytał na koniec. Morderca odsunął nóż i wymienił sumę w omańskich rialach; stanowiła równowartość trzech tysięcy angielskich funtów lub około pięciu tysięcy dolarów amerykańskich.

–Wiążą się z tym wydatki – wyjaśnił. – Trzeba płacić łapówki albo się ginie.

–Toż to absurd! zawołał MacDonald.

–W takim razie nie było sprawy.

–Przyjmuję twoje warunki – rzekł Anglik.

Khalehla przemierzała pokój hotelowy i chociaż niedawno rzuciła palenie po raz szósty w ciągu trzydziestu dwu lat życia, teraz paliła jednego za drugim, wciąż spoglądając na telefon. W żadnym przypadku nie mogła działać z terenu pałacu. Ten kontakt stał się zbyt ryzykowny. Niech szlag trafi tego skurwysyna! Anthony MacDonald – zero, pijak... czyjś agent specjalny – miał sprawną siatkę w Maskacie, chociaż i ona, Khalehla, nieźle sobie radziła dzięki dawnej koleżance z akademika w

Radcliffe, obecnie żonie słutana – właśnie dzięki Khalehli, która przed laty w Cambridge, w stanie Massachusetts poznała zaprzyjaźnionego Araba, ze swoją najlepszą przyjaciółką. Mój Boże! Świat obracał się coraz pręcej, w coraz mniejszych i bardziej znanych kręgach! Jej matka, „rodowita Kalifornijka, poznała jej ojca – stypendystę z Port Saidu podczas studiów w Berkeley. Ona była egiptolożką, on pracował nad doktoratem z cywilizacji zachodniej; oboje marzyli o karierze akademickiej. Zakochali się w sobie i pobrali. Blondynka z Kalifornii i oliwkowoskóry Egipcjanin. Z czasem, po narodzinach Khalehli, oszołomieni, wyznający zasadę czystości rasowej dziadkowie z obu stron odkryli, że czystość rasy nie jest w dziecku najważniejsza. W nagłym przypływie miłości runęły bariery. Czworo starszych ludzi, dwie pary skłonne do wzajemnej odrazy, pokonało różnice wynikające z kultury, koloru skóry i wyznania, odnajdując radość w dziecku i innych związanych z nim przyjemnościach. Bankier i jego żona z San Diego oraz bogaty eksporter z Port Saidu i jego jedyna żona Arabka stali się nierozłączni. – Co ja wyprawiam? – zawołała do siebie Khalehla. To nie był czas na myślenie o przeszłości, liczyła się tylko teraźniejszość! I wtedy zdała sobie sprawę, dlaczego jej myśli zaczęły błędzić – z dwóch powodów. Po pierwsze, trudności zbyt się spiętrzyły; potrzebowała kilku minut dla siebie, żeby pomyśleć o sobie i o tych, których kocha, choćby po to, żeby zrozumieć panoszącą się wszędzie nienawiść. Drugi powód był ważniejszy. Twarde słowa wypowiedziane dawno temu przy obiedzie czaiły się gdzieś w tle, zwłaszcza słowa, które odbijały się cichym echem od ścian jej głowy; zrobiły wrażenie na wybierającej się do Ameryki osiemnastoletniej dziewczynie. – Monarchowie przeszłości nie mieli zbyt wielu zasług – rzekł jej ojciec tego wieczoru w Kairze, kiedy zebrała się cała rodzina, łącznie z dziadkami z obu stron. – Ale rozumieli coś, czego nasi obecni przywódcy nie pojmują... i nie zdołają pojąć, dopóki nie spróbują oprzeć władzy na związkach dziedzicznych, co dziś "wydaje się niestosowne, choć niektórzy czynią takie próby.

–Co też ty mówisz, młody człowieku? zaoponował kalifornijski bankier. – Wcale do końca nie zrezygnowałem z myśli o monarchii, nie pozbawionej oczywiście odpowiednich prawicowych zasad. – Na przestrzeni dziejów kojarzyli małżeństwa, żeby zawierać sojusze, skupiać różne nacje wokół swoich centralnych rodów. Kiedy obcuje się z kimś w tych okolicznościach, jada, tańczy, poluje, a nawet żartuje, trudno zachować typowe uprzedzenia. Wszyscy przy stole spoglądali po sobie; pojawiły się uśmiechy i delikatne potakiwania.

–Jednakże w tych sferach, mój synu – zauważył eksporter z Port Saidu – nie wszystko układało się tak szczęśliwie jak tu. Nie jestem uczonym, ale były przecież wojny, właśnie rodzinne, niezrealizowane ambicje.

–To prawda, szanowny ojcze, o ile jednak gorzej wyglądałaby sytuacja bez takich koligacji rodzinnych? Niestety, o wiele, wiele gorzej.

–Nie chcę być traktowana jako narzędzie geopolityki! – stwierdziła ze śmiechem matka Khalehli.

–W gruncie rzeczy, kochanie, wszystko między nami załatwili nasi przebiegli rodzice. Wyobrażasz sobie, ile zyskali na naszym związku?

–Jedyna korzyść, jaką widzę to pewna uroczą młodą damę, czyli moja wnuczka – oświadczył bankier.

–Wyjeżdża do Ameryki przyjacielu – powiedział eksporter. Twoje zyski mogą zmaleć.

–Jak ci się to podoba, kochanie? To chyba prawdziwa przygoda. – Przecież nie jadę tam po raz pierwszy, babciu. Odwiedzaliśmy, często ciebie i dziadka, poznałam niejedno miasto.

–Ale teraz, kochanie, będzie inaczej. – Khalehla nie pamiętała, kto wyrzekł te słowa, ale zapoczątkowały one najdziwniejszy rozdział w jej życiu. – Będiesz tam mieszkać – dodał ten ktoś. – Nie mogę się doczekać. Wszyscy są tacy serdeczni, czuję się tam chciana i lubiana. I znowu wszyscy przy stole spojrzeli po sobie. Tym razem bankier przerwał ciszę.

–Nie zawsze będziesz się tak czuć – powiedział spokojnie. Przyjdą chwile, kiedy nie będziesz chciana ani lubiana i spiesz cię to, a nawet zrani.

–Trudno w to uwierzyć, dziadku – powiedziała energicznie młoda dziewczyna, którą Khalehla zaledwie mgliście sobie teraz przypominała. Kalifornijczyk spojrział przelotnie na swojego zięcia, z bólem w oczach.

–Kiedy patrzę w przeszłość, też trudno mi uwierzyć. Ale nie zapominaj, młoda damo, że jeśli zjawią się problemy lub będzie ci trudno, podnieś słuchawkę, a przylecę następnym samolotem. – Och, dziadku, nie mogłabym tego zrobić. I nie zrobiła, choć były chwile, że była tego bliska. Powstrzymała ją tylko duma i siła woli. Skuartzeh Aruiyah!... "Czarna Arabka!" to jej pierwsze zetknięcie z nienawiścią w kontaktach osobistych. Nie była to ślepa, irracjonalna nienawiść tłumów szalejących na ulicach, które wymachują tablicami i prymitywnymi plakatami, przeklinając niewidzialnego wroga za odległymi granicami, lecz nienawiść młodych ludzi takich jak ona, którzy żyli w pluralistycznej, naukowej społeczności, mieli wspólne sale wykładowe i stołówki, gdzie wartość jednostki szacowano wysoko od początków studiów, poprzez ciągły proces oceniania, aż do dyplomu. Każdy wносił swój wkład w całość, ale jako on lub ona, a nie jako zinstytucjonalizowany robot, może poza sportem, chociaż nawet tam liczyły się indywidualne wysiłki, zwłaszcza w przypadku porażki. Przez długi jednak czas nie czuła się jednostką; zagubiła siebie. Jej "ja" zostało wymazane, przeniesione w abstrakcyjną, zdradziecką, rasową, kolektywną sferę, której na imię Arabowie. Wstrętny Arab, przebiegły Arab, krwiożerczy Arab – Arab, Arab, Arab – aż miała już tego po dziurki w nosie! Siedziała samotnie w pokoju, odrzucając propozycję współmieszkanek, żeby wpaść do uniwersyteckiego baru; po dwóch razach miała dość. Pierwszy powinien być wystarczający. Udała się do toalety i stwierdziła, że wstęp zastawiło dwóch studentów; byli to Żydzi, ale przecież też Amerykanie.

–Sądziłem, że wy, Arabowie, nie pijecie! – zawołał pijany chłopak po lewej.

–To sprawa osobistego wyboru! – odrzekła.

–Podobno wy, Armyah, szczacie na podłogi namiotów! – zawył drugi ze złośliwym uśmiechem.

–Źle cię poinformowano. Jesteśmy dosyć wymagający. Czy mogę wejść do

środka...

–Nie tu, Arabko. Nie wiemy, co zostawisz na desce klozetowej, a jest z nami kilka yehudiyah. Kapujesz, Arabko? Krytyczny moment nastąpił jednak pod koniec drugiego semestru. Na zajęciach prowadzonych przez wybitnego żydowskiego profesora miała na tyle dobre wyniki, że ten renomowany nauczyciel uznał ją za prymuskę. Nagrodą, uroczyście wręczaną rokrocznie w jego grupie, była książka tegoż profesora z autografem. Podeszł do niej wielu kolegów z grupy, Żydów i nieŻydów, z gratulacjami, ale kiedy opuściła budynek, trzech inni w maskach z pończoch na twarzach zatrzymali ją na wysadzonej drzewami ścieżce do akademika.

–Co zrobiłaś? – spytał jeden. – Zagroziłaś, że wysadzisz mu dom w powietrze?

–A może chciałaś mu zadźgać dzieci ostrym arabskim sztyletem? – Nie, do licha!

Wezwałaby Arafata!

–Już my ci damy nauczkę, Skuartzeh Arviyah!

–Skoro tak wam zależy na książce, to ją weźcie!

–Nie, Arabko, to tobie się dostanie. Po czym ją zgwałcili. – To za Monachium! –

To za dzieci z kibucu na wzgórzach Golan! – To za mojego kuzyna na plażach Ashdod, gdzieście go, dranie, zamordowali! – Napastnicy nie mieli żadnej przyjemności seksualnej, poza tym, że wyładowali swoją wściekłość i ukarali Arabkę. Czołgając się i potykając, dotarła do akademika i wówczas w jej życie wkroczyła bardzo ważna osoba. Niejaka Roberta Aldridge, nieoceniona Bobbie Aldridge, obrazoburcza córka Aldridgów z Nowej Anglii.

–Bydlaki! – wrzeszczała w stronę drzew, w Cambridge, Massachusetts.

–Nie wolno ci pisać słowa! – błagała młoda Egipcjanka. – Nie nie rozumiesz!

–Już ty się o to nie martw, kochana. W Bostonie mamy takie powiedzonko, które oznacza to samo od Southie po Beacon Hill. "Kto sieje, ten zbiera!" I te skurwysyny dostaną za swoje!

–Nie! Będą się mścić, nic nie rozumieją! Nie czuję nienawiści do Żydów.

Wmawiają mi, że czuję, bo dla nich jestem tylko wstrętną Arabką, ale to nieprawda! Moja rodzina nie jest taka. My nie czujemy nienawiści.

–Daj spokój, dziecko. To ty mówisz o Żydach, nie ja. Ja powiedziałam "skurwysyny", co jest określeniem uniwersalnym.

–To już koniec. Jestem skończona. Wyjeżdżam.

–Diabła tam! Pójdiesz do mojego lekarza, który oby okazał się dobry, a potem wprowadzisz się do mnie. Chryste, prawie od dwóch lat nie miałam sprawy, o którą warto by walczyć! Chwała niech będzie Bogu, Allachowi i wszystkim innym bóstwom. Mam przyjaciółkę. I pośród bólu oraz nienawiści tamtych dni narodziła się idea, która zaowocowała szczególnym zaangażowaniem. Osiemnastoletnia dziewczyna postanowiła, co zrobi z resztą swojego życia. – Zadzwoił telefon, przeszłość zamknęła się, skończyła, liczyła się tylko terażniejszość! Khalehla podbiegła do stojącego przy łóżku telefonu, zerwała słuchawkę z widełek.

–Tak?

–On tu jest.

–Gdzie?

–W ambasadzie.

–O, Boże! Co się dzieje? Co on robi?

–Jest z dwoma innymi...

–Jest ich trzech, a nie czterech?

–Widzieliśmy tylko trzech. Jeden sterczy przy bramie z żebrakami. Rozmawiał z terrorystami w środku.

–A Amerykanin? Gdzie on jest?

–Z trzecim mężczyzną. Dwaj pozostają w cieniu, pokazuje się tylko pierwszy. To on podejmuje decyzje, nie Amerykanin.

–Co to znaczy, ?

–Chyba prowadzi negocjacje, żeby mogli wejść do środka.

–Nie! – wykrzyknęła Khalehla. – Nie ma mowy, on nie może, nie wolno mu!

Powstrzymaj ich, powstrzymaj go!

–Takie rozkazy przyjmujemy tylko z pałacu, proszę pani.

–Ja wam rozkazuję! Powiedziałam już! Cela więzienna to coś innego, ale nie ambasada, w żadnym przypadku, byle nie tutaj! Idź i zabierz ich stamtąd, powstrzymaj ich, w najgorszym wypadku zabij ich wszystkich! Zabij jego!

–Szybko! – krzyknął spowity w szaty Arab pędząc do kolegi przed zabitą deskami restauracją, odbezpieczając pistolet maszynowy. Mamy rozkaz schwytać ich i powstrzymać, powstrzymać Amerykanina. W najgorszym wypadku zabić.

–Zabić jego? – spytał zdumiony urzędnik pałacowy.

–Takie są rozkazy! Zabić jego!

–Rozkazy nadeszły zbyt późno. Ich już tu nie ma.

**DOKUMENT MAKSYMALNIE ZABEZPIECZONY PODŁĄCZEŃ ZEWNĘTRZNYCH
BRAK MOŻNA PISAĆ** Postać w ciemnym sterylnym pokoju dotknęła liter klawiatury z gniewną precyzją. Rozszyfrowałem wstępne kody Langleya – to czyste szaleństwo! Nie CIA, bo mamy kompletne informacje. To ten osobnik jest obłąkany. Dostał się do ambasady! Nie ma szans na przeżycie. Wykryją go – w toalecie, przy posiłku ze sztuczkami czy bez, przyłapią go na jakimś powiedzonku. Zbyt długo go tu nie było! Zbadałem wiele możliwości, a moje przyrządy nie dają mu większych nadziei. Być może ja i moje przyrządy pośpieszyliśmy się z oceną. Może nasz narodowy mesjasz okaże się zwykłym głupcem, ale przecież wszystkich mesjaszów uważano za głupców i idiotów, dopóki nie dowiedli, że jest inaczej. W tym moja nadzieja, moja modlitwa.

* * *

Rozdział 11

Trzej zbiegli więźniowie czołgali się w ciemnościach przez stary, porośnięty mchem tunel kanalizacyjny, którego zakratowany wylot znajdował się w górze, w kamiennej posadzce wschodniego dziedzińca ambasady. Przedarli się przezeń, z podrapanymi, zakrwawionymi rękami i stopami wydostali się na powierzchnię, prosto w oślepiające światło słoneczne. Evan Kendrick pragnął jednak z całego serca, by scena, która ukazała im się przed oczami pozostała raczej ukryta w ciemnościach. Sześćdziesięciu, czy nawet więcej zakładników zostało wyprowadzonych spod dachu na dziedziniec na skąpy poranny posiłek i toaletę. Latryna składała się z

drewnianych desek z okrągłymi dziurami umocowanych nad skrzynkami na sadzonki. Mężczyźni odseparowani byli od kobiet wielką przezroczystą płachtą zerwaną z któregoś z okien ambasady. Upokorzenie osiągało szczyty, gdy straż, zarówno kobiety jak i mężczyźni, przechadzali się przed zakładnikami obu płci, naśmiewając się i dowcipkując głośno na temat trudności z funkcjonowaniem układów pokarmowych, jakich doświadczali ich jeńcy. Funkcję papieru toaletowego, trzymającego w ubliżający sposób poza zasięgiem drżących rąk, zanim wreszcie go im podawano, pełniły komputerowe wydruki z ambasady. Po drugiej stronie, w pełni widoczny dla przestraszonych, upokorzonych ludzi przy deskach stał ogonek zakładników prowadzący do trzech długich, wąskich stołów zastawionych rzędami metalowych talerzy z czerstwym chlebem i małymi kawałkami sera wątpliwej jakości. Pomiedzy nimi ustawiono dzbany z szarobiałym płynem, prawdopodobnie rozcieńczonym mlekiem kozim, którym grupa uzbrojonych terrorystów za stołami napełniała skąpo drewniane miski więźniów. Od czasu do czasu któremuś z więźniów odmawiano talerza bądź chochli mleka; błagania na nic się nie zdawały; kończyło się zazwyczaj wymierzeniem policzka lub ciosem pięści albo, jeśli krzyki były zbyt głośne, uderzeniem chochlą w twarz. Oczy Kendricka nadal przystosowywały się do ostrego światła, gdy nagle młody więzień, chłopak w wieku nie więcej niż czternastu, piętnastu lat, zbuntował się i krzyknął przez łyzy, ciekące ciurkiem po wykrzywionej twarzy.

–Ty podły draniu! Moja matka jest chora! Cały czas wymiotuje po tym świństwie! Dajcie jej coś porządnego do zjedzenia, wy sukinsyny. Słowa chłopca ucięło uderzenie lufą w twarz, które rozorało mu lewy policzek. Cios, zamiast uspokoić nastolatka, tylko go rozjuszył. Rzucił się przez stół, chwytając mężczyznę z karabinem za koszulę, rwąc mu ją na piersi, śląc wokół metalowe talerze i strącając dzbany na ziemię. W przeciągu sekund terroryści dopadli chłopca, odciągając go od brodatego mężczyzny, którego przyparł do ziemi, i poczęli okładać kolbami karabinów i kopać wijącego się na kamiennym dziedzińcu nastolatka. Kilku innych zakładników, u których postępek chłopca wzbudził tyleż złość, co odwagę, pospieszyło naprzód, wydając z siebie wątle, ochryple okrzyki i młócąc żałośnie rękami swych aroganckich i o wiele silniejszych wrogów. To, co nastąpiło później, było brutalnym stłumieniem miniaturowego buntu. Gdy tylko zakładnicy znaleźli się na ziemi, zbito ich do nieprzytomności i poczęto kopać niczym mięso, przerzucane i przetwarzane w rzeźni. – Zwierzęta! – krzyczał stary człowiek, przytrzymując ręką spodnie i oddalając się niepewnym krokiem od desek; jego stanowczość i poczucie godności pozostały jednak nietknięte. – Arabskie zwierzęta! Arabska dzicz! Czy nikt z was nie ma za grosz przyzwoitości człowieka cywilizowanego? Czy tłuczenie na śmierć słabych, bezbronnych ludzi czyni z was bohaterów Islamu? Jeżeli tak, to weźcie mnie i zapewnijcie sobie jeszcze więcej medali, ale w imię Boga, zaprzestańcie tego, co robicie!

–Czyjego Boga? – wrzasnął terrorysta stojący nad ciałem nieprzytomnego chłopca. Jezusa chrześcijan, którego wyznawcy zbroją naszych wrogów, żeby mogli masakrować nasze dzieci za pomocą bomb i armat? Czy wędrującego Mesjasza,

którego lud kradnie nasze ziemie i zabija naszych ojców i matki? Zdecyduj się, o którego Boga ci chodzi!

–Dosyć! – rozkazał Azra, idąc szybkim krokiem naprzód. Kendrick podążył za nim, nie panując już dłużej nad sobą, świadom, że jedynie sekundy dzieliły go od tego, by zerwać pistolet MAC-10 z ramienia Błękitnego i wypalić do terrorystów. Azra ciągnął beznamiętnym tonem, stojąc nad zakrwawionym chłopcem. – Dostali nauczkę; niech nie będzie ona zbyt wielka, bo ci, którym chcecie ją dać, przestaną cokolwiek odczuwać...Zabierzcie tych ludzi do izby chorych, do lekarza zakładników... i znajdźcie matkę chłopca. Weźcie ją tam również i dajcie jej jeść.

–Dlaczego, Azra? – sprzeciwił się Palestyńczyk. – Nad moją matką nikt nie miał litości! Została...

–Nad moją również – przerwał ostro Błękitny. I spójrz na nas w tej chwili. Zabierz to dziecko na dół i pozwól mu zostać z matką. Każ komuś pomówić z nimi o nadgorliwości i udaj troskę.Kendrick przyglądał się z odrazą, jak zabierano bezwładne, zakrwawione ciała.

–Postąpiłeś właściwie – rzekł do Azry po angielsku, z zimnym wyrachowaniem w głosie, jakby mówił o kwestiach technicznych. – Nie zawsze ma się na to ochotę, a jednak należy wiedzieć, kiedy przestać.Nowy książę terrorystów spojrzał na Kendricka mętłym wzrokiem. – Powiedziałem, co myślę. Wystarczy na nas popatrzeć. Śmierć naszych bliskich odmienia nas. Jednego dnia jesteśmy dziećmi, następnego dorastamy – wszystko jedno ile mamy lat, i jesteśmy ekspertami od śmierci, bo wspomnienia nigdy nas nie opuszczają. – Rozumiem.

–Nieprawda, Amalu Bahrudi. Twoja wojna to wojna ideologiczna. Dla ciebie śmierć jest aktem politycznym. Nie wątpię, że jesteś żarliwym wyznawcą swojej wiary – jednak tym, w co wierzysz jest polityka. Moja wojna jest inna. Jedyna ideologia, jaką posiadam to ideologia przetrwania, tak więc mogę zadawać śmierć za śmierć – i dzięki temu istnieć.

–Po co? – spytał Kendrick, nagle zainteresowany.

–Może zabrzmiało to dziwnie, ale po to, aby żyć w pokoju, na co nie pozwolono moim rodzicom. Po to, byśmy wszyscy mogli żyć na własnej ziemi, którą nam wydarto i oddano w ręce wrogów i za którą zapłaciły bogate kraje, chcące wyzbyć się własnego poczucia winy za zbrodnie na tamtym narodzie, które nie myśmy popełnili. Teraz to my jesteśmy ofiarami; czyż walka nie jest dla nas absolutną koniecznością?

–Jeśli sądzisz, że to nie polityka, to proponuję, żebyś się dobrze zastanowił. Jesteś poetą, Azra. I nigdy się nie zmienisz. – Jestem poetą, który prócz myśli ma jeszcze nóż i pistolet, Bahrudi.Na dziedzińcu ponownie zapanowało poruszenie, tym razem miało ono pokojowy charakter. Dwie postacie wypadły z drzwi, jedną z nich była zakwefiona kobieta, drugą mężczyzna z siwymi pasmami we włosach. "Zaya Yateem i Abjad, ten, którego zwą Białym" – pomyślał Evan, stając sztywno z boku. Przywitanie siostry i brata było dziwne; uścisnęli sobie dłonie w formalnym geście, po czym padli sobie w objęcia. Uniwersalne pojęcie starszej, mądrzejszej siostry będącej wzorem dla młodszego brata, który tak często sprawia w jej oczach wrażenie nieporadnego i impulsywnego, łączy rasy i ideologie. Młodsze dziecko niewątpliwie

stanie się silniejsze, wspierając domostwo swym muskularnym ramieniem, jednak starsza siostra zawsze pozostanie dlań wzorem. Powitanie z Abjadem, które nastąpiło po chwili, nie było aż tak formalne. Mężczyzna zarzucił ręce na szyję najmłodszemu, najsilniejszemu członkowi Rady Operacyjnej i ucałował go w oba policzki.

–Masz nam dużo do opowiedzenia – zakrzyknął terrorysta zwany Białym.

–Mam – zgodził się Azra, obracając się w stronę Evana Kendricka – dzięki temu człowiekowi. To Amal Bahrudi z Berlina Wschodniego, wysłany tu do nas, do Maskatu przez Mahdiego. Natarczywe spojrzenie Zayi spoczęło na twarzy Evana.

–Amal Bahrudi – powtórzyła. – Nazwisko oczywiście nie jest mi obce. Powiązania Mahdiego sięgają na dużą odległość. Znalazł się pan z dala od swej własnej pracy.

–Nie jest mi to na rękę – rzekł Kendrick w dialekcie z Rijadu. – Inni jednak znajdują się pod obserwacją, każdy ich ruch jest kontrolowany. Stwierdzono, że powinien tu przyjechać ktoś, kogo się nie spodziewają, a wschodni Berlin jest dogodnym punktem na rozpoczęcie podróży. Ludzie dadzą głowę, że nadal tam jestem. Kiedy Mahdi dał znak, ja nań odpowiedziałem. Właściwie to ja pierwszy skontaktowałem się z jego ludźmi w związku z tym, o czym powie pani brat. Możliwe, że mamy rozbieżne cele, ale wszyscy czerpiemy korzyści ze wzajemnej współpracy, zwłaszcza wówczas, kiedy ktoś płaci nasze rachunki.

–A więc to pan – odparł Abjad marszcząc brwi. – Bahrudi z Berlina Wschodniego, ten który porusza się wszędzie, na każdym terenie. Odkryli pana?

–Przyznaję, mam reputację kogoś, kto daje sobie wszędzie radę – odparł Evan, pozwalając sobie na cień uśmiechu. – Nie posłuży jej jednak to, co przydarzyło mi się tutaj.

–A więc padł pan ofiarą zdrady? – spytała Zaya Yateem.

–Tak. Wiem, czyja to sprawa i znajdę go. Jego ciało będzie pływać w porcie...

–Bahrudi nas uwolnił – przerwał Azra. – Ja myślałem, on zaś czynił. Zasługuje na swą reputację.

–Wejdźmy do środka, mój najdroższy bracie. Tam porozmawiamy.

–Moja najdroższa siostra powiedział Błękitny. – Mamy tu zdrajców, Amal przyszedł nas o tym powiadomić – o tym, i o czymś jeszcze. Robią zdjęcia i przemycają je na zewnątrz. Sprzedają je! Jeśli przeżyjemy, będą nas ścigać całymi latami. To zapis tego, co robimy. Zapis, który zobaczy cały świat! Siostra przyjrzała się teraz z uwagą bratu, a w jej ciemnych oczach nad czarczafem pojawiło się pytanie. – Zdjęcia? Robione ukrytymi aparatami fotograficznymi wyposażonymi w specjalny mechanizm? I dotąd ich nie wykryto? Czyżby między naszymi braćmi i siostrami znaleźli się tak doskonali studenci fotografii, mimo że większość z nich ledwie umie czytać? – On widział te zdjęcia! W Berlinie Wschodnim!

–Porozmawiamy w środku.

Dwaj Anglicy siedzieli naprzeciw ogromnego biurka w ambasadzie Wielkiej Brytanii, za biurkiem zaś znużony attache, wciąż jeszcze w szlafroku, czynił wszelkie wysiłki, by nie zasnąć.

–Tak – powiedział ziewając. – Możemy się ich spodziewać w każdej chwili. Proszę

mi wybaczyć, ale mam nadzieję, że to, o czym panowie mówią nie jest bezpodstawne. MI-6 jest tu cały czas w napięciu, nie są więc zachwyceni, kiedy dwójka rodaków kradnie im kilka cennych godzin snu.

–Mój przyjaciel, Jack, służył w grenadierach! – wykrzyknął Dickie, zabezpieczając się na wszelki wypadek. Jeśli on sądzi, że jest coś, o czym powinniście wiedzieć, to moim zdaniem nie można tego puścić mimo uszu. W końcu po co tu jesteśmy?

–Po to, żeby zarabiać pieniądze dla waszych firm? zasugerował attache.

–Zgoda. Oczywiście, ale to tylko część prawdy – odparł Dickie. – Przede wszystkim jesteśmy Anglikami i niech pan o tym nie zapomina. Nie będziemy się spokojnie przyglądać, jak to, co zostało po Imperium idzie w niepamięć. Mam rację, Jack?

–To się już stało – odrzekł attache powstrzymując kolejne ziewnięcie.

–Widzi pan – przerwał mu Jack. – Mój przyjaciel, Dickie, zajmuje się metalurgią żelaza, ale ja siedzę w tekstyliach i powiadam panu, że sposób, w jaki ten łobuz był ubrany – w porównaniu z tym, co miał na sobie przedtem – oznacza, że on coś knuje. Materiał nie tylko określa człowieka, ale musi też służyć temu, co ten człowiek robi – Tak jest od czasu, kiedy po raz pierwszy utkano len, w dodatku było to prawdopodobnie gdzieś w tej części świata...

–MI-6 posiada już te informacje – wtrącił attache ze znużoną miną człowieka zmęczonego słuchaniem tego samego po raz enty. – Będą tu niebawem. Byli. W pięć sekund po uwadze attache, dwóch mężczyzn w koszulach rozchełstanych na piersiach, zarośniętych i nie sprawiających zbyt sympatycznego wrażenia, weszło do biura. Drugi z nich niósł wielką szarą kopertę. Pierwszy z przybyszów przemówił, zwracając się do Dickiego i Jacka:

–Czy to z panów powodu tu jesteśmy?

–Richard Harding po mojej lewej stronie – odparł attache. – I John Preston po prawej. Czy mogę już iść?

–Przykro mi, stary – odparł drugi mężczyzna podchodząc do biurka i otwierając kopertę. Jesteśmy tu dlatego, że nas wezwwał. A to cię upoważnia, by tu zostać.

–Jesteście niezwykle mili – odparł przedstawiciel ambasady nieuprzejmym tonem. Jednakże wcale was nie wzywałem, poinformowałem was jedynie, że dwóch obywateli brytyjskich nalega, żebym wam przekazał pewne informacje. To zaś upoważnia mnie do paru godzin snu, ponieważ nie jestem wam potrzebny do prowadzenia śledztwa.

–Właściwie to Jack nalegał – włączył się Dickie Harding – ale ja zawsze byłem zdania, że w momentach kryzysowych nie wolno niczego zaniedbać, żadnego drobiazgu, ani przecucia, a Jack Preston – tóry, niech pan sobie wyobrazi, jest byłym grenadierem – miał już w życiu kilkakrotnie niezwykle cenne przecucia.

–A niech to, Dickie, przecucia nie mają z tym nic wspólnego, chodzi o to, co on miał na sobie. Człowiek upiekłby się żywcem pod takim materiałem w zimie i w górach, a jeśli połysk na jego koszuli oznaczał jedwab albo poliester, to udusi się pod nią jak nic. Bawełna. Czysta, przewiewna bawełna to jedyny materiał na ten klimat. Natomiast krój jego ubrania, no cóż, mówiłem już panom... – Pan wybaczy! –

Drugi mężczyzna wyciągnął z koperty stertę zdjęć i wznosząc przelotnie oczy ku górze, rzucił je między Prestona i Hardinga, ucinając dyskusję. – Czy zechcieliby panowie przyjrzeć się tym fotografiom i sprawdzić, czy jest na nich ktoś, kogo rozpoznajecie? Po upływie jedenastu sekund zadanie zostało wykonane. – To on! – zakrzyknął Jack.

– Chyba tak – zgodził się Dickie.

– A wam obu odbiło – odezwał się pierwszy mężczyzna z MI-6. – Ten człowiek nazywa się MacDonald i jest notorycznie zalanym gogusiem z Kairu. Ojciec jego żony jest właścicielem przedsiębiorstwa, w którym pracuje – firmy produkującej części zamienne – a wysłano go tu na placówkę, ponieważ to kompletny osioł. Do tego to wcale nie on tym wszystkim trzęsie, tylko jego zastępca w Kairze. Tyle jeśli chodzi o przeczucia o tej późnej porze. Czy mogę zapytać, gdzie panowie spędzili noc?

– Posłuchaj, Jack, mówiłem ci, że może jesteś trochę przeczulony i że to wszystko jeszcze o niczym nie świadczy...

– Chwileczkę, panowie – przerwał drugi mężczyzna z MI-6, biorąc do ręki powiększone zdjęcie paszportowe i przyglądając mu się z uwagą. – Jakiś rok temu jeden z naszych wojskowych, którzy tu stacjonowali, zwrócił się do nas z prośbą o zwołanie zebrania dotyczącego pewnego problemu z ÓW, który jego zdaniem właśnie się tworzył.

– Co takiego? – nie zrozumiał attache.

– "Ocena wyposażenia"; oznacza to szpiegostwo. Nie chciał, rzecz jasna, mówić zbyt wiele przez telefon, ale napomknął, że będziemy zdumieni tym, na kogo padło podejrzenie. "Opasy angielski opój z Kairu" czy coś w tym rodzaju. Czy to możliwe, że chodziło o tego człowieka?

– A jednak – dorwał się ponownie do głosu Dickie. – To ja zmusiłem Jacka, żeby nie pozostawiać tego swojemu losowi!

– Co ty opowiadasz, stary. Wcale nie byłeś do tego aż tak entuzjastycznie nastawiony. Wiesz, wciąż jeszcze moglibyśmy zdążyć na ten samolot, na który tak bardzo nie chciałeś się spóźnić.

– Co zdarzyło się podczas zebrania? – spytał attache, pochylając się do przodu, ze wzrokiem utkwionym w drugim mężczyźnie z MI-6. – Nigdy nie doszło do skutku. Nasz wojskowy został zabity na nabrzeżu, poderżnięto mu gardło w pobliżu starego magazynu. Nazwali to kradzieżą, gdyż w jego kieszeniach nic nie zostało. – Naprawdę sądzę, że powinniśmy złapać ten samolot, Jack. –

Mahdi? – zakrzyknęła Zaya Yateem zza biurka w pomieszczeniu, które jeszcze przed trzema tygodniami służyło za gabinet ambasadorowi. – Ma pan zabrać do niego, do Bahrajnu, jednego z nas? Dziś w nocy?

– Tak jak mówiłem pani bratu. – Kendrick siedział na krześle obok Abjada, mając przed sobą kobietę. – Instrukcje były prawdopodobnie w liście, który miałem wam dostarczyć...

– Tak, tak. – Zaya mówiła szybko i ze zniecierpliwieniem. – Brat wyjaśnił mi wszystko, kiedy byliśmy przez chwilę na osobności. Ale myli się pan, Bahrudi. Nie mam bezpośredniego kontaktu z Mahdim – Nikt nie wie, kim on jest.

–Wobec tego porozumie się pani z kimś, kto ma z nim kontakt. – Oczywiście, ale to może potrwać dzień albo nawet dwa. Prowadzące do niego ścieżki są kręte. Wykonuje się pięć telefonów, a dziesięć razy pięć jest retransmitowanych do nie spisanych numerów w Bahrajnie, zaś tylko jeden z nich może dotrzeć do Mahdiego. – Co się zatem dzieje w sytuacji krytycznej?

–Takie sytuacje są niedozwolone – przerwał Azra, który stał oparty o ścianę przy wysokim zalanym słońcem oknie. Mówiłem ci. – Mój młody przyjacielu, przecież to nedorzeczne. Nie jesteśmy w stanie robić efektywnie tego, co robimy, nie biorąc pod uwagę spraw, których nie da się przewidzieć.

–Ma pan słuszność. – Zaya Yateem kiwnęła głową, a następnie pokręciła nią przecząco. – A jednak mój brat wie, co mówi. Spodziewają się po nas, że nawet w sytuacji krytycznej będziemy wykonywać swoje zadania całymi tygodniami, jeśli zajdzie taka potrzeba. W przeciwnym razie nie zlecono by nam owych zadań – nam jako przywódcom.

–Niech i tak będzie – odparł kongresman z dziewiątego okręgu wyborczego w stanie Kolorado, czując na karku strużki potu, pomimo podmuchów porannego wiatru, wpadających przez otwarte okna. – Możecie zatem wyjaśnić Mahdiemu, dlaczego, nie będziemy dziś w nocy w Bahrajnie. Ja już swoje zrobiłem, włączając w to chyba uratowanie życia pani bratu., Jeśli o to chodzi, to ma rację, Zaya – potwierdził Azra, odchodząc od ściany. – Byłbym teraz trupem, leżącym na pustyni. – Jestem panu za to bardzo wdzięczna, Bahrudi, ale nie mogę dokonać niemożliwego.

–Myślę, że lepiej by było, gdyby pani spróbowała. – Kendrick zerknął na siedzącego obok Abjada, po czym skierował spojrzenie z powrotem na siostrę Azry. – Waszego Mahdiego kosztowało sporo wysiłku i pieniędzy, by przerzucić mnie tutaj, co jak sądzę oznacza, że to on znalazł się w sytuacji krytycznej.

–Wiadomość o tym, że został pan złapany wszystko wyjaśni rzekł Abjad.

–Czy naprawdę sądzicie, że siły bezpieczeństwa Omanu rozgłoszą naokoło, że mnie złapano, po to tylko, by przyznać się do mojej ucieczki?

–Oczywiście, że nie – odparła Zaya Yateem.

–Mahdi pociąga za sznurki waszych finansów – dodał Kendrick. – Mógłby też wpłynąć na moje, co nie byłoby mi na rękę.

–Nasze dostawy są nikłe – wtrącił Abjad. – Potrzebne nam są szybkie łodzie z Emiratów. W przeciwnym razie wszystko, co dotąd osiągnęliśmy pójdzie na marne. Zamiast oblegać, sami znajdziemy się w stanie oblężenia.

–Być może jest pewien sposób – powiedziała Zaya, podnosząc się nagle z krzesła z dłońmi opartymi o blat biurka. Jej ciemne oczy nad czarczafem wpatrywały się w zamyśleniu w przestrzeń. – Na dzisiejszy ranek zaplanowaliśmy konferencję prasową; będą ją oglądać wszędzie. Mahdi zapewne również jej nie pominie. W pewnym momencie mojej przemowy powiem, że wysyłamy pilną wiadomość do naszych przyjaciół. Wiadomość, która wymaga natychmiastowej odpowiedzi.

–I co to pomoże? – spytał Azra. – Wszelkie rozmowy, jak nam wiadomo, są kontrolowane. Żaden z ludzi Mahdiego nie zaryzykuje skontaktowania się z nami.

–To nie jest wcale konieczne – przerwał Kendrick, pochylając się na krześle. –

Rozumiem, co chce powiedzieć twoja siostra. Odzew nie musi mieć charakteru słownego; nie musimy z nikim rozmawiać. Nie prosimy o instrukcje, my je dajemy. To dokładnie to, o czym mówiliśmy przed paroma godzinami, Azra. Ja znam Bahrajn. Wybiorę miejsce, gdzie będziemy czekać, a wy każcie któremuś z naszych kontaktów w Maskacie przekazać tę informację dalej, mówiąc mu, że jest to właśnie owa pilna wiadomość, o której mówiła twoja siostra na konferencji prasowej. – Kendrick zwrócił się do Yateem. – To miała pani na myśli, prawda?

–Nie sprecyzowałam tego, o co mi chodziło – przyznała Zaya – ale to byłoby możliwe. Moim zamysłem było jedynie przyspieszenie nawiązania kontaktu z Mahdim. Ale pański pomysł jest jak najbardziej do przyjęcia.

–Oto i rozwiązanie! – wykrzyknął Abjad. – Bahrudi nam je poddał!

–W tym momencie nic jeszcze nie jest rozwiązane – odparła zakwefiona kobieta, siadając ponownie na krześle. – Istnieje jeszcze problem przerwania mojego brata i pana Bahrudiego do Bahrajnu. W jaki sposób można by to zrobić?

–O to już się zatroszczono odparł Evan z szybszym biciem serca, zaskoczony swym własnym opanowaniem i obojętnym brzmieniem głosu. Zbliżył się! Zbliżył się do Mahdiego! – Znam pewien telefon, którego wam nie zdradzę – którego nie mogę wam zdradzić – ale wystarczy słowo z mojej strony i będziemy mieli do dyspozycji samolot.

–Ot tak, po prostu? – wykrzyknął Abjad.

–Wasz dobroczyńca ma tu w Omanie możliwości, o których wam się nie śniło.

–Wszelkie telefony, zarówno te do jak i z ambasady są na podsłuchu – zastrzegł Azra.

–Mogą usłyszeć to, co ja powiem, ale nie to, co powie osoba, do której dzwonię. Zapewniano mnie o tym.

–Dekoder? – spytała Yateem.

–To część naszego oprzyrządowania w Europie. Zwykła nasadka na mikrofon w kształcie stożka. Wszędzie z wyjątkiem bezpośredniego połączenia następuje kompletne zniekształcenie przekazu. – Niech pan dzwoni – powiedziała Zaya, wstając i przechodząc szybkim krokiem na drugą stronę biurka. Kendrick również obszedł biurko, po czym usiadł na jej krześle. Zasłaniając tarczę aparatu, wybrał numer.

–Tak? – Głos Ahmata odezwał się zanim nastąpił drugi sygnał. – Samolot – powiedział Kendrick. – Dwóch pasażerów. Gdzie i kiedy?

–Mój Boże! – nie wytrzymał młody sułtan. – Niech się zastanowię... Na lotnisku, rzecz jasna. Droga zakręca jakieś pół kilometra przed strefą przeładunkową. Ktoś po was przyjedzie samochodem wojskowym. Powiedz, że został skradziony, żebyście mogli się przedostać przez kordon straży.

–Kiedy?

–Trochę to potrwa. Siły bezpieczeństwa są wszędzie w stanie najwyższego pogotowia, trzeba więc będzie poczynić pewne kroki. Możesz mi podać miejsce przeznaczenia?

–Dwudziesta druga litera dzielona przez dwa.

–V... dzielona – pochylone l – Iran?

–Nie. Po numerach.

–Dwudziesta druga., dwa. B?

–Tak.

–Bahrajn!

–Tak.

–Dobrze, że wiem. Zadzwoń gdzie trzeba. Na kiedy jest ci potrzebny samolot?, –

Wtedy, kiedy obchody będą u szczytu. Musimy się wydostać w zamieszaniu.

–To będzie koło południa.

–Jak uważasz. Przy okazji, chodzi o doktora – ma coś, co może mi się przydać dla zdrowia.

–Jasne, pas na pieniądze. Przekażemy ci go.

–Doskonale.

–Zakręt przed strefą przeładunkową. Bądźcie tam.

–Będziemy. – Evan odwiesił słuchawkę. – Mamy być na lotnisku o dwunastej w południe.

–Na lotnisku? – wykrzyknął Azra. – Zwiną nas stamtąd!

–Na drodze przed lotniskiem. Mają skrać samochód wojskowy, to oni nas"stamtąd zabiorą.

–Załatwię z jednym z naszych ludzi w mieście, żeby was tam podwiózł – rzekła Zaya Yateem. – Będzie to ten sam człowiek, któremu podacie wasze zamiary w Bahrajnie, miejsce spotkania. Macie co najmniej pięć godzin do wyjazdu.

–Będą nam potrzebne ubrania, prysznic i chwila odpoczynku. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem.

–Ja chciałbym się rozejrzeć po waszym terenie operacyjnym – poprosił Kendrick, wstając z krzesła. – Może się dowiem czegoś nowego.

–Jak pan sobie życzy, Amalu Bahrudi – odparła Zaya Yateem, podchodząc do Evana. Uratował pan życie mojemu drogiemu bratu i nie mogę znaleźć odpowiednich słów, żeby wyrazić panu moją wdzięczność.

–Proszę mnie tylko przetrzucić na lotnisko przed południem – odparł Kendrick chłodno. – Szczerze mówiąc, chciałbym jak najszybciej wracać do Niemiec.

–Przed południem – zgodziła się terrorystka.

–Weingrass będzie tu najpóźniej w południe! – krzyknął oficer Mosadu do BenAmiego i pięcioosobowej jednostki z Brygady Mosadu. Znajdowali się w piwnicy domu w Dzabal Sa'ali, kilka minut drogi od rzędów angielskich grobów, gdzie przed wiekami pochowano dziesiątki korsarzy. Pozbawiona wygod kamienna piwnica została zamieniona w bazę operacyjną izraelskiego wywiadu.

–Jak się tu dostanie? – spytał BenAmi, który zdjął z głowy ghotrę i teraz, w dżinsach i luźnej podkoszulce, wyglądał o wiele bardziej naturalnie. – Jego paszport wystawiono w Jerozolimie, nie jest to więc zbyt mile widziany tu dokument.

–Nie należy wątpić w Emmanuela Weingrassa. Z pewnością dysponuje większą ilością paszportów niż znalazłbyś bajgele na Placu Zabołyńskiego w Tel Awiwie. Mówi, żebyśmy nie robili nic, dopóki, nie przyjedzie. "Absolutnie nic", tak się właśnie wyraził. – Nie mówi pan już o nim z taką niechęcią, jak poprzednio – zauważył

Yaakov, pseudonim Błękitny, syn zakładnika i przywódca oddziału Mosadu.

–To dlatego, że nie będę musiał podpisywać mu rachunków, ponieważ takowych nie będzie! Wystarczyło, że wspomniałem nazwisko Kendricka i od razu powiedział, że do nas jedzie.

–To wcale nie oznacza, że nie przedstawi wam swojego kosztorysu – zachichotał BenAmi.

–Nic z tego, wyrażałem się jasno. Spytałem go, ile nas wyniesie jego pomoc i odparł mi jednoznacznie "Wsadźcie sobie, sam się tym zajmę!" To amerykańskie powiedzenie, które nas zwalnia z wszelkich płatności.

–Tracimy tylko czas! – wykrzyknął Yaakov. – Powinniśmy badać grunt w ambasadzie. Przestudiowaliśmy plany; jest z pół tuzina sposobów przedostania się do środka i wyciągnięcia stamtąd mojego ojca. – Głowy poruszyły się gwałtownie i szeroko otwarte oczy zatrzymały się na młodym przywódcy zwanym Błękitnym.

–To dla nas zrozumiałe – powiedział oficer Mosadu.

–Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć.

–Pan jeden ma prawo to mówić – powiedział BenAmi.

–Nie powinienem był. Raz jeszcze przepraszam. Ale dlaczego mamy czekać na tego Weingrassa?

–Ponieważ on wie, co zrobić z tym fantem, przyjacielu, a bez niego możemy sobie nie dać rady.

–Rozumiem! Wy, ludzie z Mosadu jesteście jak chorągiewki. Teraz chcecie pomagać Amerykaninowi, a nie tym, którymi mieliśmy się zająć od samego początku! Tak jest, do diabła, nie mojemu ojcu! – Wynik będzie ten sam, Yaakov...

–Nie jestem żaden Yaakov! – wściekł się młody przywódca. Dla was nie jestem nikim innym, jak tylko Błękitnym – synem człowieka, który przyglądał się, jak jego własnego ojca oddzielają od matki w Oświęcimiu i jak jego rodzice tulą się do siebie zanim zaprowadzono ich do gazu. Chcę go stamtąd wydostać, chcę, żeby mój ojciec był bezpieczny i potrafię tego dokonać! Ile jeszcze cierpień może znieść ten człowiek? Przerażające dzieciństwo, podczas którego widział, jak wieszka się dzieci w jego wieku za to, że kradną z głodu odpadki, był gwałcony przez sodomitów z Wehrmachtu, ukrywał się, przymierał głodem gdzieś w polskich lasach dopóki nie nadeszli alianci. Potem spadło na niego dobrodziejstwo posiadania trzech synów, po to tylko, by dwóch z nich zostało zabitych: moi bracia zginęli zamordowani w Sydonie przez tych parszywych arabskich rzeźników! A teraz ja mam się martwić jakimś amerykańskim kowbojem, jakimś politykiem od siedmiu boleści, który chce zostać bohaterem, żeby móc potem grać w filmach i żeby jego podobizna widniała na pudełkach z owsianką!

–O ile mi wiadomo – stwierdził spokojnie BenAmi – to wszystko nieprawda. Ten Amerykanin nadstawia karku bez żadnej pomocy ze strony swoich pobratymców, bez nadziei na to, że jego wysiłki spotkają się kiedykolwiek z uznaniem, nawet jeśli przeżyje. Tak jak mówi nasz przyjaciel, robi to wszystko, kierowany powodami, które wcale tak bardzo się nie różnią od twoich. Chce pomścić straszliwą krzywdę, którą mu wyrządzono, którą wyrządzono jego rodzinie. – Do diabła z nim! To była rodzina,

nie naród! Idziemy do ambasady!

–Nigdzie nie pójdziecie – rzekł oficer, kładąc wolno pistolet na stole. – Jesteście teraz pod rozkazami Mosadu i będziecie nam posłuszni.

–Świnie! – wrzeszczał Yaakov. – Skończone świnie, wszyscy co do jednego!

–Tak jest – powiedział BenAmi. – Wszyscy co do jednego. 10:48 rano, czasu omańskiego. Kontrolowana konferencja prasowa dobiegła końca. Reporterzy i ekipy telewizyjne pakowali notatniki i wyposażenie techniczne, gotując się do wyjścia z ambasady pod eskortą setki młodych mężczyzn i kobiet w czarczafach, uzbrojonych po zęby, z bronią gotową do strzału. Mieli przeprowadzić obecnych przez korytarze ambasady, aż do bramy głównej. W sali konferencyjnej, przez kordon straży przedarł się jednak pewien tęgi człowiek, mówiąc coś do nich obłudnym głosem, po czym zbliżył się do stołu, przy którym siedziała Zaya Yateem. Karabiny natychmiast znalazły się przy jego głowie, on zaś szeptem zwrócił się do Zai: – Przychodzę od Mahdiego, który spłaca wasze długi co do szylinga. – Pan też? Sytuacja w Bahrajnie rzeczywiście musi być poważna. – Nie bardzo rozumiem...

–Został przeszukany? – spytała Zaya strażników, którzy skinęli głowami. – Puście go.

–Dziękuję pani jaka sytuacja w Bahrajnie?

–Tego, rzecz jasna, nie wiemy. Jeden z naszych ludzi wybiera się tam dziś w nocy, by uzyskać tę informację i potem z nią do nas wrócićMacDonald spojrział prosto w oczy nad czarczafem i poczuł, jak w jego ogromnej piersi wzbiera ból. Co tu się działo? Czemu Bahrajn go pomijał? Jakie powzięto decyzje, do których nie został dopuszczony? Dlaczego? Co zrobiła ta parszywa arabska kurwa? – Proszę pani – ciągnął powoli Anglik, ważąc słowa. – Sytuacja krytyczna w Bahrajnie to sprawa zupełnie nowa, podczas gdy ja przychodzę z inną, równie poważną kwestią. Nasz dobroczyńca chciałby wyjaśnień – natychmiastowych wyjaśnień – dotyczących obecności kobiety imieniem Khalehla w Maskacie.

–Khalehla? Nie ma wśród nas kobiety imieniem Khalehla, ale przecież imiona są nieistotne, czyż nie?

–Tutaj nie, nie w środku, ale na zewnątrz. Kontaktowała się z pani ludźmi – a ściślej, z pani własnym bratem.

–Z moim bratem?

–Dokładnie. Trzech zbiegłych więźniów spieszyło drogą do Dżabal Szam właśnie na spotkanie z nią, na spotkanie z wrogiem! – O czym pan mówi?

–Ja nie mówię, proszę pani, ja żądam. My żądamy wyjaśnień. Mahdi domaga się ich bezwarunkowo.

–Nie mam pojęcia o co panu chodzi! To prawda, że zbiegło trzech więźniów, jednym z nich jest mój brat, pozostali dwaj to Josef i inny emisariusz naszego dobroczyńcy, człowiek nazwiskiem Bahrudi ze wschodniego Berlina.

–Ze Wschodniego... nie nadążam za tokiem pani myśli.

–Jeśli pan rzeczywiście jest od Mahdiego, to dziwi mnie, że nic pan o nim nie wie. – Yateem urwała, a przeszywające spojrzenie jej wielkich oczu przebiegło twarz MacDonalda. – No tak, ale przecież pan może być wysłannikiem każdego,

skądkolwiek.

–W Maskacie jestem jedynym, który przemawia w imieniu Mahdiego! Proszę zadzwonić do Bahrajnu i samej o to spytać.

–Świetnie pan wie, że takie telefony są niedozwolone. – Zaya strzeliła palcami, przywołując straże, które spiesznie zbliżyły się do stołu. – Zabierzcie tego człowieka i zaprowadźcie go do sali obrad. Potem zbudźcie mojego brata i Josefa i odszukajcie Amala Bahrudiego. Zwołuję następną konferencję. Natychmiast! Odzienie, jakie Evan wybrał dla siebie było zgodne ze stylem, według którego ubierali się terroryści: zmięte spodnie koloru khaki, przybrudzona kurtka polowa w amerykańskim stylu i ciemna koszula rozchełstana do pasa. Jedynie wiek i oczy odróżniały go od większości fanatycznej łobuzerii, która zdobyła ambasadę. Jednakże ściemniała skóra nawet wiek czyniła nieokreślonym, oczy zaś przysłaniał daszek płóciennej czapki. Dopełnienie wizerunku, jaki pragnął osiągnąć stanowił wsunięty w pochwę nóż, przymocowany do kurtki oraz wyraźnie wypchana rewolwerem prawa kieszeń. "Zaufany" zdobył zaufanie terrorystów; uratował życie Azrze, ich księciu i poruszał się swobodnie po przechwyconej ambasadzie, od jednej sceny, od której robiło się człowiekowi niedobrze, do drugiej, od jednej przestraszonej, wycieńczonej i wyzbytej nadziei grupki do, innej. Nadzieja. To jedno mógł im ofiarować, wiedząc zresztą, że w ostatecznym rozrachunku była ona prawdopodobnie złudna, musiał im ją jednak dać, dać im coś, czego mogliby się chwycić, o czym mogliby przynajmniej rozmyślać podczas najczarniejszych, najbardziej przerażających godzin nocnych.

–Jestem Amerykaninem! – szeptał do zaskoczonych zakładników, kiedy tylko znajdował co najmniej trójkę siedzącą razem, zerkając bez przerwy na kręcących się wokół gówniarzy, przekonanych, że zarzuca więźniów stekiem wyzwisk w nagłym, słyszalnym napadzie złości. – Pamiętamy o was! Robimy wszystko, co w naszej mocy! Nie przejmujcie się, że będę na was krzyczał! Nie mogę inaczej. – Bogu dzięki! – odpowiadano niezmiennie, po czym następowały łzy i opis otaczających potworności, który za każdym razem zawierał wzmiankę o publicznej egzekucji siedmiu skazanych zakładników. – Zabiją nas wszystkich! Nie zważają na nic! Na tych parszywych zwierzętach śmierć nie robi wrażenia – ani nasza, ani ich własna. – Dokładajcie wszelkich starań, żeby zachować spokój! Starajcie się nie okazywać strachu, to niezwykle ważne. Nie sprzeciwiajcie się im, ale i nie płaszczcie się przed nimi. Kiedy widzą, że się boicie, jest to dla nich jak narkotyk. Pamiętajcie o tym. W pewnym momencie Kendrick stanął na równe nogi i wrzasnął na grupkę pięciu Amerykanów. Jego niespokojne oczy dostrzegły człowieka z ochrony osobistej Yateem; mężczyzna zbliżał się do niego szybkim krokiem.

–Ty! Bahrudi!

–Tak.

–Zaya musi się z tobą natychmiast zobaczyć. Chodź do sali obrad! Evan podążył za strażnikiem przez dach, a następnie w dół po schodach, aż znaleźli się trzy piętra niżej w długim korytarzu. Zdjął czapkę, całą już mokrą od potu i dał się zaprowadzić pod otwarte drzwi wielkiego biura ambasady. Wszedł do środka i cztery sekundy później jego świat zadrżał w posadach na dźwięk ostatnich słów, jakich mógł się w

tej chwili spodziewać:

–Dobry Boże! Ty przecież jesteś Evan Kendrick!

*** * ***

Rozdział 12

–Min ir radzill da? – Evan spytał Zayę, kim jest ów tęgi mężczyzna. Czuł zamęt w głowie i całym wysiłkiem woli zmuszał się do swobodnych ruchów.

–Twierdzi, że jest od Mahdiego – odparł Azra, stojący pomiędzy Josefem i Abjadem.

–O co mu chodziło?

–Słyszałeś. Mówi, że jesteś kimś, kto nazywa się Kendrick. – Kto to taki? – spytał Evan po angielsku Anthony'ego MacDonalda, próbując za wszelką cenę zachować spokój i przyzwyczać się tyleż do widoku człowieka, którego nie widział już od niemal pięciu lat, co do samej jego obecności w tym pomieszczeniu. MacDonald! Głupkowaty pijaczyna z kolonii brytyjskiej w Kairze!

–Ja nazywam się Amal Bahrudi, a pan?

–Dobrze wiesz, kim jestem, do diabła! – krzyknął Anglik, wskazując nań palcem, po czym spojrzął na członków czteroosobowej arabskiej rady, a zwłaszcza na Zayę Yateem. – Ten człowiek to nie żaden Amaljak mu tam i wcale nie jest od Mahdiego! To Amerykanin nazwiskiem Kendrick.

–Studiowałem na dwóch amerykańskich uniwersytetach – odrzekł Evan z uśmiechem – ale nikt nigdy nie nazwał mnie Kendrickiem. Różnie mnie nazywano, ale Kendrick – nigdy.

–Kłamiesz!

–Wręcz przeciwnie. To ja będę musiał nazwać pana kłamcą, jeśli pan twierdzi, że pracuje dla Mahdiego. Pokazano mi zdjęcia wszystkich Europejczyków, będących u niego – by tak rzec – na tajnej, służbie i jestem absolutnie pewien, że pana wśród nich nie było. Zapamiętałbym na pewno, ponieważ pańska twarz i figura są dość specyficzne.

–Kłamca! Oszust! Pracujesz razem z tą dziwką Khalehłą, z naszym wrogiem! Dziś w nocy, przed świtem, jechała się z tobą spotkać! – O czym pan mówi? – Kendrick zerknął na Azrę i Josefa. – Nigdy nie słyszałem o żadnej Khalehli, ani jako o naszym wrogu, ani jako o dziwce, a przed świtem ja i moi przyjaciele uciekaliśmy, by ratować się przed śmiercią. Nie mieliśmy czasu na żadne flirty, zapewniam pana.

–Mówię wam, ten człowiek kłamie. Byłem tam i ją widziałem! Wszystkich was widziałem!

–Widział nas pan? – spytał Evan, unosząc brwi. – W jaki sposób? – Zjechałem z drogi...

–Widział nas pan i nam nie pomógł? – przerwał gniewnie Kendrick. I twierdzi pan, że jest od Mahdiego?

–On ma rację, Angliku – rzekła Zaya. – Dlaczego im pan nie pomógł?

–Musiałem się dowiedzieć pewnych rzeczy, oto dlaczego im nie pomogłem! A teraz wiem już wszystko. Khalehla... on!

–Pan ma niezwykle bujną wyobraźnię, nic poza tym, panie... niestety, nie wiem jak się pan nazywa. Możemy sobie z nią jednak łatwo poradzić. Wybieramy się właśnie do Bahrajnu, na spotkanie z Mahdim. Zabierzemy pana ze sobą. Wielki człowiek będzie zapewne zachwycony, widząc pana ponownie, skoro tak sobie pana ceni. –

Zgadzam się – rzekł twardo Azra.

–Do Bahrajnu? – wykrzyknął MacDonald. Jak u diabła chcecie się tam dostać?

–Czyżby to oznaczało, że pan nie wie? – powiedział Kendrick.

Emmanuel Weingrass wysiadł z samochodu naprzeciw cmentarza w Dżabal Sa'ali. Jego wąła klatka piersiowa falowała z bólu wywołanego niedawnym napadem kaszlu. Obrócił się w stronę kierowcy, który przytrzymał mu drzwi i oznajmił po angielsku egzaltowanym głosem pełnym czci: – Pomodłę się za moich angielskich przodków, tak niewielu ludzi to robi. Wróć za godzinę.

–Godzinę? – spytał mężczyzna, wystawiając jeden palec. – Iss'a? powtórzył po arabsku, posługując się słowem, oznaczającym godzinę.

–Tak, mój islamski przyjacielu. To niezwykle ważna pielgrzymka, na którą wybieram się co roku. Czy potrafisz to zrozumieć? – Tak, tak, el sallah. Allach Akbar! – przytaknął z zapalem kierowca, mówiąc, że rozumie modlitwy i że Bóg jest wielki. W rękę trzymał pieniądze, więcej, niż się spodziewał, wiedział również, że może dostać drugie tyle, jeśli wróci za godzinę.

–Teraz mnie zostaw – powiedział Weingrass. – Chcę zostać sam – Sibnifihahli.

–Tak, tak! – mężczyzna zatrzasnął drzwiczki, pobiegł z powrotem na miejsce kierowcy i odjechał. Manny pozwolił sobie na krótki spazm; dudniący kaszel stanowił jedynie przedłużenie poprzedniego ataku. Następnie rozejrzał się wokół, by ustalić swoje położenie i podążył przez cmentarz w stronę domu z kamienia, stojącego w polu, w odległości kilkuset metrów. Dziesięć minut później prowadzono go do piwnicy, gdzie wywiad izraelski założył swoją bazę operacyjną.

–Weingrass – wykrzyknął oficer Mosadu. – Miło cię znowu widzieć!

–Nieprawda. Nigdy ci nie sprawia przyjemności, kiedy musisz mnie oglądać, albo rozmawiać ze mną przez telefon. Nie masz pojęcia o swojej pracy, jesteś zwykłym księgowym – i w dodatku kiepskim.

–Daj spokój, Manny, nie zaczynajmy...

–Proponuję, żebyśmy zaczęli natychmiast – przerwał Weingrass, spoglądając na BenAmiego i czterech członków jednostki Mosadu. – Czy któryś z was, nedorajdy, ma może whisky? Wiem, że ten zohlah nie ma – dodał, dając do zrozumienia, że człowiek Mosadu nie odznacza się szerokim gestem.

–Nie mamy nawet wina – odparł BenAmi. – Nie znalazło się w naszych racjach żywieniowych.

–Które pewnie były jego dziełem. Dobra, panie księgowy, powiedz mi wszystko, co wiecie. Gdzie jest mój syn, Evan Kendrick? – Tutaj, ale to wszystko, co wiemy.

–To typowe. Zawsze byłeś trzy dni do tyłu, za szabasem.

–Manny...

–Uspokój się. Dostaniesz zawału, a nie chciałbym, żeby Izrael stracił swojego najgorszego księgowego. Kto potrafi mi powiedzieć coś więcej?

–Ja mogę mogę panu powiedzieć coś więcej!...krzyknął Yaakov, pseudonim Błękitny. – Powinniśmy w tej chwili – już od paru godzin – sprawdzać ambasadę. Mamy tu robotę, która nie ma nic wspólnego z pańskim Amerykaninem!

–A więc prócz księgowego macie tu także narwańca – stwierdził Weingrass. – Czy

na tym koniec?

–Pobyt Kendricka w tym kraju nie jest usankcjonowany prawnie – rzekł BenAmi. – Przewieziono go tu w konspiracji, ale teraz jest zdany tylko na własne siły. Jeśliby go złapali, nikt się do niego nie przyzna.

–Skąd masz te informacje?

–Od jednego z naszych ludzi w Waszyngtonie. Nie wiem, kto to, ani z jakiego wydziału czy agencji.

–Przydałaby ci się książka telefoniczna. Czy ten telefon jest bezpieczny? – spytał Weingrass, siadając przy stole.

–Nie ma co do tego żadnych gwarancji – odrzekł oficer Mosadu. – odłączano go w pośpiechu.

–Pewnie skąpiąc na szekelach, jak tylko się da.

–Manny!

–Och, bądźże cicho. – Weingrass wyjął z kieszeni notatnik, przewertował parę kartek i zatrzymał wzrok na jakimś nazwisku i numerze telefonu. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Po kilku sekundach zaczął mówić.

–Dziękuję ci za uprzejmość, drogi przyjacielu z pałacu. Moje nazwisko brzmi Weingrass, co nic ci, rzecz jasna, nie powie, powie za to wiele wielkiemu sułtanowi, Ahmatowi. Nie chciałbym oczywiście przeszkadzać jego znakomitej osobie, lecz jeśli przekazałbyś mu, że dzwoniłem, to być może, odpowiedziałby na mój telefon, robiąc mi tym samym wielką przysługę. Pozwolisz, że podam ci mój numer telefonu? – Manny podyktował numer, zerkając na cyfry na aparacie. – Dziękuję ci, drogi przyjacielu i jeśli wolno mi dodać z całym szacunkiem, chodzi o niezwykle nagłą sprawę, tak więc sułtan z pewnością będzie ci wdzięczny za sumienność. Dziękuję raz jeszcze. Były słynny architekt odwiesił słuchawkę i oparł się na krześle, oddychając głęboko, by uspokoić wzbierające mu w piersi ochryple szmery.

–Teraz poczekamy – rzekł, spoglądając na oficera Mosadu. – I miejmy nadzieję, że sułtan ma więcej oleju w głowie i więcej pieniędzy niż wy... Mój Boże, on wrócił! Cztery lata minęły, odkąd z nim rozmawiałem i mój syn wrócił!

–Dlaczego? – spytał Yaakov.

–Mahdi – odparł Weingrass ściszone, gniewnym głosem, wbijając wzrok w podłogę.

–Kto taki?

–Jeszcze się dowiesz, narwańcu!

–On nie jest wcale twoim synem, Manny.

–Jest jedynym synem, jakiego kiedykolwiek chciałem mieć... Zadzwoił telefon; Weingrass chwycił słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

–Tak?

–Emmanuel?

–Kiedyś, gdy sprawdzaliśmy na co nas stać w Los Angeles, byłeś o wiele mniej formalny.

–Chwała Allachowi, nigdy tego nie zapomnę. Po powrocie tutaj kazałem się przebadać.

–Powiedz no, zasrańcu, przepuścili cię wtedy na trzecim roku z tą twoją pracą roczną z ekonomii?

–Dostałem za nią zaledwie czwórkę, Manny. Powiniennem cię być posłuchać. Twoim zdaniem należało ją znacznie bardziej skomplikować – twierdziłeś, że oni lubią, jak coś jest skomplikowane. – Czy możesz mówić? – spytał Weingrass, poważniejąc nagle. – Ja tak, ale możliwe, że ty nie. Z tego końca wszystko jest statyczne. Rozumiesz?

–Tak. Nasz wspólny znajomy. Gdzie on jest?

–W drodze do Bahrajnu z dwoma innymi ludźmi z ambasady

–miał być tylko jeden, ale to uległo zmianie w ostatniej chwili. Nie wiem czemu.

–Pewnie chodzi o jakieś powiązania z kimś innym. Czy to już wszyscy? Ahmat milczał przez chwilę.

–Nie, Manny rzekł z cicha. Jest jeszcze ktoś, komu nie wchodzi w drogę, ani w żaden sposób nie dostrzegaj nawet jego obecności. To kobieta imieniem Khalehla. Mówię ci o tym, ponieważ ci ufam i powinieneś wiedzieć, że ona istnieje, nikt inny nie może się jednak tego domyślić. Jej obecność tutaj musi zostać utrzymana w takiej samej tajemnicy, jak obecność naszego przyjaciela; jeśli by się wy dało, że tu jest, byłoby to katastrofalne w skutkach.

–Zdrowo się nagadałeś, chłopcze. W jaki sposób rozpoznam ów problem?

–Mam nadzieję, że nie zajdzie taka potrzeba. Jest ukryta w kabine pilota, która pozostanie zamknięta na klucz, aż do chwili, gdy wylądują w Bahrajnie.

–Czy to wszystko, co chcesz mi powiedzieć?

–O niej tak.

–Muszę się stąd ruszyć. Co możesz dla mnie zrobić?

–Mogę ci wysłać inny samolot. Jak tylko będzie to możliwe, nasz przyjaciel zadzwoni i powie nam, co się dzieje. Skontaktuj się ze mną, jak tam dotrzesz; oto sposób, by to zrobić. – Ahmat podał Weingrassowi numer swojego prywatnego, szyfrowanego telefonu. – Zdaje się, że to nowa centralka – powiedział Manny.

–To nie centralka – powiedział młody sułtan. – Czy będziesz pod tym numerem?

–Tak.

–Zadzwoń do ciebie i powiem, co zostało ustalone. Jeśli będzie wkrótce jakiś lot rejsowy, to byłoby znacznie łatwiej wysłać cię właśnie nim.

–Przykro mi, ale to niemożliwe.

–Dlaczego?

–Wszystko musi się odbyć w tajemnicy. Mam tu ze sobą siedem pawi.

–Siedem...?

–Tak i jeśli sądzisz, że mogą mieć miejsce jakieś kłopoty powiedzmy katastrofy – to spróbuj się posłużyć tymi wysoce inteligentnymi ptaszkami, o białoniebieskim upierzeniu. Ahmatowi, sułtanowi Omanu, zapało dech w piersiach.

–Mosad? – szepnął.

–Mniej więcej.

–Ja pieprzę! – wykrzyknął Ahmat.

Mały sześćosobowy odrzutowiec typu Rockwell leciał na północny zachód na

wysokości dwunastu tysięcy metrów nad Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Zatoką Perską, odbywając swój tysiącdwustukilometrowy kurs do szejkanatu Bahrajnu. Denerwująco cichy, pewny siebie Anthony MacDonald siedział sam w pierwszym rzędzie podwójnych siedzeń; Azra i Kendrick siedzieli razem w ostatnim. Drzwi do kabiny pilota były zamknięte i według tego, co mówił człowiek, który wyjechał im na spotkanie "skradzionym" wojskowym samochodem, a następnie przeprowadził przez strefę przeładunkową w najodleglejszy koniec lotniska w Maskacie i do samolotu, drzwi te pozostaną zamknięte aż do chwili, kiedy pasażerowie opuszczą samolot. Nikt ich ma nie widzieć; na międzynarodowym lotnisku w Muharrak w Bahrajnie wyjdzie po nich ktoś, kto przeprowadzi ich przez kontrolę paszportową. Evan i Azra kilkakrotnie przestudowali plan, a jako że terrorysta nigdy dotąd nie był w Bahrajnie, robił teraz notatki – zwłaszcza na temat miejsc i ortografii ich nazw. Kendrick uznał za konieczne, by rozdzielić się z Azra przynajmniej na godzinę. Powodem był Anthony MacDonald, człowiek, który zupełnie nie wyglądał na agenta Mahdiego. Anglik mógł zaprowadzić doń krótszą drogą, a jeśli tak było w istocie, to Evan pozostawi księcia terrorystów swojemu losowi.

–Pamiętaj, że razem uciekliśmy z Dżabal Szam, a jeśli wziąć pod uwagę Interpol, nie mówiąc już o łączonych jednostkach wywiadowczych z Europy i Ameryki, to listy gończe zostaną rozesłane za nami wszędzie, i to ze zdjęciami. Nie możemy ryzykować, że zobaczą nas razem za dnia. Po zachodzie słońca ryzyko jest mniejsze, ale nawet wówczas musimy przedsięwziąć środki ostrożności.

–Jakie środki ostrożności?

–Przede wszystkim musimy sobie kupić inne ubrania, te kojarzą się z opryszkami z nizin społecznych, co nie przeszkadza w Maskacie, ale tutaj jest nie do przyjęcia. Weź taksówkę do Manamy, to miasto za groblą na tej dużej wyspie i wynajmij pokój w hotelu Aradus na Wadi alAd. Jest tam w holu sklep z męskimi ubraniami; kup sobie garnitur w zachodnim stylu i idź się ostrzyć do fryzjera. Zapisz to wszystko!

–Zapisuję. – Azra przyspieszył robienie notatek.

–Zamelduj się jako Yateem – to wprowadzie dość popularne nazwisko w Bahrajnie, ale po co ryzykować?

–Nazwisko mojej matki, Iszad?

–Ich komputery są przepełnione. Użyj nazwiska Faruk, wszyscy tak robią. T. Faruk. Ja do ciebie dotrę za godzinę lub dwie. – Co będziesz robił?

–Cóżby innego? – odparł Kendrick, gotując się do powiedzenia prawdy. – Zostanę z angielskim kłamcą, który twierdzi, że pracuje dla Mahdiego. Jeśli jakimś cudem tak jest w istocie, i po prostu jego łączność z Mahdim została zerwana, dzisiejsze spotkanie zostanie zorganizowane z łatwością. Prawdę mówiąc jednak, nie wierzę mu za grosz i jeśli jest on takim kłamcą, jak sądzę, to muszę się dowiedzieć, dla kogo pracuje. Azra Spojrzał na mężczyznę, którego znał jako Amala Bahrudiego i powiedział cicho:

–Żyjesz w bardziej skomplikowanym świecie niż ja. My znamy swoich wrogów; celujemy do nich i staramy się ich zabić, bo inaczej oni zabiliby nas. Wydaje mi się jednak, że wy nie jesteście tego tak pewni, że zamiast rzucać się w wir bitwy i

strzelać na oślep musicie najpierw się zastanowić, kto jest wrogiem.

–Przecież sam też musiałeś przedostać się do więzienia i rozważyć możliwość istnienia zdrajców; środki ostrożności wcale się tu tak bardzo nie różnią.

–Infiltracja nie jest trudna, gdy tysiące ludzi ubierają się tak, jak my i mówią tak, jak my. To kwestia postawy; przyjmujemy postawę wroga. A jeśli chodzi o zdrajców, to w Maskacie popełniliśmy błąd, ty nas tego nauczyłeś.

–Ja?

–Zdjęcia, Bahrudi.

–Oczywiście. Przepraszam. Mój umysł zajęty jest czymś innym. – To prawda, ale nie powinien zrobić czegoś takiego po raz drugi. – Młody terrorysta przygląda mu się dziwnie. Musi rozwiązać wszelkie wątpliwości. Prędko! – A skoro już jesteśmy przy zdjęciach, twoja siostra będzie zmuszona dostarczyć dowody na to, że rozpracowała cały ten zdradziecki interes. Proponuję, by były to inne zdjęcia. Ciała przed rozbitym aparatem fotograficznym z nagranyymi na taśmie oświadczeniami, które będzie można puścić w obieg – z nagranyymi wyznaniem, rzecz jasna.

–Zaya wie, co robić; jest najsilniejsza z nas wszystkich, najbardziej oddana sprawie. Nie spocznie dopóki nie przewróci do góry nogami każdego pokoju, nie przeszuka każdego brata i siostry. Z metodyczną dokładnością.

–To słowa, poeto! – upomniał go ostro Evan. – Możliwe, że mnie nie zrozumiałeś. To, co się stało w Maskacie – do czego beztrosko dopuszczono – może mieć wpływ na nasze operacje wszędzie. Jeśli to się wyda, a winnym ujdzie to płazem, to pojawią się tłumy agentów, którzy będą chcieli nas infiltrować, będą się wślizgiwać w nasze szeregi, żeby nas wystawić na widok publiczny za pomocą aparatów fotograficznych i nagrań!

–Już dobrze, dobrze – kiwnął głową Azra, nie chcąc wysłuchiwać dalszej krytyki. – Moja siostra zatroszczy się o wszystko. Nie była chyba przekonana, póki nie zrozumiała, co dla nas zrobiłeś w "Dżabal Szam" póki nie zobaczyła, co jesteś w stanie zrobić przez telefon. Zapewniam cię, że już wkrótce podejmiemy konieczne kroki. – To dobrze! Teraz odpocznij, gniewny poeto. Mamy przed sobą długie popołudnie i noc. Kendrick oparł się wygodnie na fotelu, jak gdyby szykował się do drzemki, nie spuszczał jednak półprzymkniętych oczu z tyłu dużej, łysiej głowy Anthony'ego MacDonalda w pierwszym rzędzie. Tyle było spraw do przemyślenia, należało zastanowić się nad tyloma rzeczami, których nie miał dotychczas czasu przeanalizować, nie miał nawet czasu na próbę takiej analizy. Przede wszystkim jednak Mahdi istniał naprawdę, Mahdi, o którego mu chodziło! I nie był to ów człowiek, który głodem wziął Chartum i generała Gordona pod koniec dziewiętnastego wieku, ale ktoś, kto żył i manipulował terroryzmem sto lat później w Bahrajnie! Istniał także skomplikowany łańcuch powiązań, który prowadził do owego monstrum; był on ukryty, zakamuflowany, uformowany ze zjawstwem, ale istniał! Odnalazł terrorystyczną komórkę, być może maleńką więc, która była jednak częścią organizmu żywiciela. Siedzący koło niego zabójca mógł prowadzić do sieci głównej, tak jak każdy kabel elektryczny w budynku prowadzi w końcu do głównego źródła energii. Wykonuje się pięć telefonów, a dziesięć razy pięć jest przekazywanych do

niespisanych numerów w Bahrajnie, zaś tylko jeden może dotrzeć do Mahdiego: Zaya Yateem wiedziała, co mówi. Pięćdziesiąt połączeń, pięćdziesiąt numerów telefonicznych jedno spośród pięćdziesięciu nieznanych mężczyzn i kobiet, którzy wiedzą, gdzie i kim jest Mahdi! Stworzył sytuację krytyczną tak, jak zawsze kazał mu to robić Manny Weingrass., w chwilach, kiedy załatwiał się potencjalnych klientów, którzy nie mogli się ze sobą skontaktować. Powiedz pierwszemu bubkowi, że musisz mieć odpowiedź do środy, bo w przeciwnym wypadku przenosisz się do Rijadu. Powiedz drugiemu pajacowi, że nie możemy czekać dłużej niż do czwartku, bo w Abu Żabi jest cała masa roboty i wystarczy tylko kiwnąć palcem, a dostaniemy kontrakt. Tym razem chodziło o co innego, ale technika pozostała podobna. Terrorystyczni przywódcy byli przekonani, że ich dobroczyńca, Mahdi, znalazł się w sytuacji krytycznej, skoro zorganizował wszystko dla "Amala Bahrudiego" ze wschodniego Berlina w taki sposób, by ten przywiózł jednego z nich do Bahrajnu. Z drugiej z kolei strony, siły Mahdiego zostały poinformowane przez międzynarodową telewizję, że "pilna wiadomość" została przesłana "do przyjaciół" i że wymaga ona "natychmiastowej odpowiedzi" – sytuacja krytyczna. Manny, czy dobrze to zrobiłem? Muszę go znaleźć, zwalczyć go – zabić za to, co zrobił nam wszystkim. Emmanuel Weingrass – Evan popadł w zadumę, powieki zaczęły mu się zamykać pod ciężarem snu. Nie mógł się jednak powstrzymać; poczuł w gardle stłumiony śmiech. Przypomniał sobie ich pierwszą podróż do Bahrajnu.

–Na miłość boską, nie zapominaj, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy zarządzają archipelagiem, a nie stałym lądem, graniczącym z innym stałym lądem, i wyłącznie dla własnej wygody obie strony nazywają go krajem. To szejkanat składający się z ponad trzydziestu cholernych wysepek w Zatoce Perskiej. To nie jest coś, czego powierzchnię mógłbyś zmierzyć w akrach, a poza tym i tak wcale tego od ciebie nie chcą – na tym polega ich siła.

–Do czego zmierzasz, Manny?

–Spróbuj zrozumieć o czym mówię, mój ty niewykształcony mechaniku. Trzeba się odwołać do tego poczucia siły. To niepodległe państwo, zespół wystających z morza wysepek, które chronią porty przed sztormami Zatoki i są dogodnie usytuowane pomiędzy półwyspem Kataru i wybrzeżem prowincji AlHasa Arabii Saudyjskiej, mającej niezwykle doniosłe znaczenie ze względu na swoje wpływy. – Jaki ma to u diabła związek z jakimś parszywym wyspiarskim polem golfowym? Czy ty grasz w golfa, Manny? Ja nigdy sobie na to nie mogłem pozwolić.

–Uganiecie się za małą białą piłeczką po stu akrach trawy, podczas gdy piekielnie łamie cię w kościach, a serce chce wyskoczyć z piersi z frustracji, nigdy nie było dla mnie cywilizowaną rozrywką. Mimo to wiem, co wsadzimy w to parszywe pole golfowe.

–Co? – Pamiątki z przeszłości. Ponieważ są one stale przypomnieniem dnia dzisiejszego.

–Czy mógłbyś zejść na ziemię?

–Poczytaj sobie historyczne kroniki Asyrii, Persji, Greków i Rzymian. Rzuć okiem na wczesne szkice portugalskich kartografów i na dzienniki Vasco da Gamy.

Wcześniej czy później wszyscy ci ludzie walczyli o wpływ na archipelagu portugues położyli na nim łapę na całe sto lat – czemu?

–Pewien jestem, że mi powiesz.

–Z powodu jego położenia geograficznego w Zatoce, jego strategicznej wagi.

Przez wieki całe archipelag budził powszechną zazdrość jako centrum handlowe, a także finansowe zaplecze handlu... O wiele wówczas młodszy Evan Kendrick wyprostował się w tym momencie, rozumiejąc już, do czego zmierza ekscentryczny architekt.

–Teraz dzieje się to samo – przerwał – i to z zawrotną szybkością. Napływają tu pieniądze z całego świata.

–Napływają jednak do niepodległego państwa, które w dzisiejszych czasach nie obawia się już podbojów – uzupełnił Weingrass. – Bahrajn pełni usługi tak dla państw sprzymierzonych, jak i dla wrogich. A więc nasz wspaniały klub na tym parszywym polu golfowym będzie odbiciem historii państwa. Zrobimy to za pomocą malowideł ściennych. Biznesmen spojrzy na wizerunki nad barem, zobaczy to wszystko namalowane i pomyśli "Jezu, ten kraj to nie byle co! Zabijali się o niego! A ile musieli wydać pieniędzy!" W tym momencie jest jeszcze bardziej zdecydowany, by rozpocząć tu swoją działalność. Każdy wie, że na polach golfowych robi się interesy, mój ty młody analfabeto. Jak myślisz, po co chcą to tutaj budować? Po wybudowaniu owego cokolwiek groteskowego klubu na polu golfowym drugorzędnej jakości, Grupa Kendricka podpisała kontrakty na budowę trzech banków i dwóch budynków rządowych. A jeden z najwyższej postawionych ministrów osobiście wybaczył Manny'emu Weingrassowi zakłócanie spokoju w kawiarni przy ulicy AlZubara. Pomruk odrzutowca wwiercał się w mózg Evana. Jego oczy były zamknięte.

–Protestuję przeciwko tej dodatkowej operacji i chcę, żeby była o tym wzmianka w raporcie – oznajmił Yaakov, pseudonim Błękitny, z Brygady Mosadu w chwili, gdy siedmiu mężczyzn wchodziło na pokład odrzutowca na najdalej na wschód położonym krańcu lotniska w Maskacie. Emmanuel Weingrass natychmiast przyłączył się do pilota i począł zapinać pasy na sąsiednim siedzeniu, nękany zduszonym, głębokim kaszlem. Oficer Mosadu pozostał w Omanie; miał tam coś do zrobienia; jego pistolet dostał się drobnemu BenAmiemu, który nie włożył go do kabury póki pięcioosobowa jednostka nie zajęła miejsc w samolocie.

–Zostanie to odnotowane w raporcie, przyjacielu – odparł BenAmi, gdy samolot pędził po pasie startowym. – Proszę, niech pan spróbuje zrozumieć, że istnieją sprawy, o których nie możemy wiedzieć dla naszego własnego dobra. My jesteśmy aktywistami, żołnierzami – ci zaś, którzy podejmują decyzje stanowią najwyższe dowództwo. Oni robią swoją robotę, a my swoją, tyle że w naszym wypadku polega ona na wykonywaniu rozkazów.

–W takim razie ja też muszę zaprotestować, żeby było do pary – rzekł członek jednostki o pseudonimie Szary. – "Wykonywanie rozkazów" to wyrażenie, które niezbyt gładko przechodzi mi przez gardło. – Chciałbym panu przypomnieć, panie BenAmi – dodał Pomarańczowy – że przez ostatnie trzy tygodnie przygotowywaliśmy się do pewnego konkretnego zadania – zadania, które naszym zdaniem jesteśmy w

stanie wykonać, pomimo wielkich wątpliwości, jakie wzbudza ono w kraju. Jesteśmy gotowi; mamy wszelkie niezbędne informacje, a tu nagle zadanie zostaje odwołane bez żadnych wyjaśnień, my zaś jedziemy do Bahrajnu w pogoni za człowiekiem, którego nie znamy, człowiekiem realizującym plan, którego nie widzieliśmy na oczy.

–Jeśli w ogóle jest jakiś plan – dorzucił Czarny. – A nie chodzi o zwykły dług, jaki Mosad ma do spłacenia pewnemu przykremu starszemu panu, pragnącemu odnaleźć jakiegoś Amerykanina, "syna" innowiercę, który nie jest wcale jego synem. Weingrass obrócił się do tyłu; samolot wznosił się gwałtownie z przytłumionym częściowo przez ów szybki manewr szumem silników.

–Posłuchajcie no, półgłówki! krzyknął. Jeśli ten Amerykanin udał się do Bahrajnu w towarzystwie jakiegoś obłąkanego arabskiego terrorysty, to znaczy, że miał w tym jakiś cel. Pewnie wam to nie przyszło do tych waszych umiejętnionych mózgownic, wy zasrani intelektualiści, ale Maskatu nie zaplanowały te głupkowate szajbusy, które bawią się bronią. Mózg – wybaczcze, jeśli używam niezrozumiałych słów – znajduje się w Bahrajnie, a to właśnie o niego mu chodzi!

–Pańskie wyjaśnienia, jeśli nie mijają się z prawdą powiedział Biały – nie zawierają żadnego planu, panie Weingrass. Chyba że będziemy rzucać kostką, żeby coś w tym względzie postanowić? – Nasze szansę mogą być jeszcze mniejsze niż wyrzucenie szóstki, mądralo, ale nie, nie będziemy niczym rzucać. Jak już się ulokujemy, będę dzwonił do Maskatu co piętnaście minut dopóty, dopóki nie uzyskamy potrzebnych nam informacji. Wtedy będziemy mieli plan. – Niby skąd? – spytał gniewnie Błękitny z podejrzliwością w głosie.

–Sporządzimy go, narwańcu.

Masywny Anglik stanął jak wryty, widząc terrorystę imieniem Azra odchodzącego wraz z bahrajńskim urzędnikiem. Spokojny mężczyzna w mundurze wyszedł na spotkanie odrzutowca typu Rockwell za ostatnim hangarem konserwacyjnym na lotnisku w Muharrak.

–Czekajcie! krzyknął za nimi MacDonald, obrzucając stojącego obok Kendricka dzikim spojrzeniem. – Stójcie! Nie możecie mnie zostawić z tym człowiekiem. Powiedziałem wam przecież, że nie jest tym, za kogo się podaje! Nie jest jednym z nas!

–Owszem, nie jest przytaknął Palestyńczyk, przystając i spoglądając za siebie przez ramię. – Przyjechał z Berlina Wschodniego i uratował mi życie. Jeśli mówisz prawdę, to uratuje i twoje. – Nie możesz...

–Muszę – nie pozwolił mu skończyć Azra, obracając się na powrót do urzędnika i kiwając głową. Bahrajńczyk, powstrzymawszy się od jakiegokolwiek reakcji, tyleż słownej, co w wyrazie twarzy, zwrócił się do Kendricka.

–Jak pan widzi, mój współpracownik wychodzi właśnie z hangaru. Przeprowadzi pana przez inne wyjście. Witajcie w naszym kraju. – Azra! – wrzasnął MacDonald rozdzierającym głosem, który utonął w huku silników odrzutowych.

–Spokojnie, Tony – rzekł Evan, gdy zbliżył się do nich drugi bahrajński urzędnik. – Przekraczamy granicę nielegalnie i mogą nas przez ciebie zastrzelić.

–A jednak! Wiedziałem, że to ty! Ty jesteś Kendrick!

–Oczywiście, że tak, ale jeśli by którykolwiek z naszych ludzi w Bahrajnie dowiedział się, że użyłeś mojego nazwiska, twoja urocza, głupkowata Cecilia – zdaje się, że ma na imię Cecilia, prawda – została by wdową zanim by zdążyła poprosić o kolejnego drinka. – Chryste, wierzyć mi się nie chce. Sprzedałeś przecież firmę i wróciłeś do Ameryki! Doszły mnie słuchy, że zająłeś się polityką! – Przy pomocy Mahdiego mogę zostać nawet prezydentem.

–O, Boże!. – Uśmiechnij się, Tony. Ten człowiek nie jest zachwycony tym, co robi i nie chciałbym, żeby nas uważał za niewdzięczników. Uśmiechnij się, ty tłusty skurwysynu!

Khalehla, ubrana w brązowe spodnie, kurtkę lotniczą i oficerską czapkę z daszkiem, stała przy ogonie Harriera, obserwując to, co działo się trzydzieści metrów dalej. Młodego palestyńskiego zabójcę, zwanego Błękitnym sprowadzono już z płyty lotniska; amerykański kongresman i nieprawdopodobny spryciarz MacDonald, oddalali się wraz z innym mężczyzną w mundurze, który powiódł ich przez labirynt przejść towarowych, omijających kontrolę paszportową. Ten Kendrick, ten pozorny konformista owładnięty jakimś straszliwym motywem działania, był lepszy niż sądziła. Przeżył potworności ambasady, co jeszcze dziewięć godzin temu było dla niej nie do pomyślenia i co napawało ją panicznym strachem, a teraz oddzielił terrorystę od terrorystycznego agenta. Do czego on zmierzał? Co robił?

–Pospiesz się! – zawołała do pilota, który rozmawiał z mechanikiem przy prawym skrzydle. – Chodźmy już. – Pilot skinął głową, unosząc na moment ramiona w rozpaczliwym geście, po czym oboje ruszyli w stronę wyjścia zarezerwowanego dla personelu latającego. Ahmat, młody sułtan Omanu, pociągnął za wszystkie sznurki, jakie znalazły się w zasięgu jego ręki. Trzej pasażerowie odrzutowca mieli zostać doprowadzeni do alei dojazdowej lotniska, znajdującej się na niższym poziomie i w sporej odległości za ogonkiem taksówek przed wejściem do głównej odprawy celnej, gdzie na chodniku sterczały prowizoryczne znaki postoju, zaś za kierownicą każdego z aut zasiadał członek tajnej policji Bahrajnu. Tajniakom nie przekazano żadnych informacji, a jedynie rozkaz: zgłaszać cel podróży każdego pasażera. Khalehla i pilot wymienili krótkie słowa pożegnania i rozeszli się w dwie różne strony, on do Centrum Kontroli Lotów po instrukcje dotyczące powrotu do Maskatu, ona zaś do oznaczonego miejsca, jakim była aleja podjazdowa, gdzie odnajdzie Amerykanina i pójdzie jego tropem. Śledzenie Kendricka i MacDonalda będzie wymagało od niej najwyższych umiejętności, jeśli ma pozostać nie zauważona. Tony'emu wystarczy ułamek sekundy by ją spostrzec, zaś Amerykanin, którego czujność postawiona została niewątpliwie w stan pogotowia także mógł nie potrzebować wiele, by przypomnieć sobie ciemną, brudną uliczkę w el Szari el Misz i kobietę z bronią w ręku. Człowiek żyjący na skraju nie będzie bynajmniej skory uwierzyć, że broń wycelowana była nie w niego, a w czwórkę ludzi z owej ulicyśmietniska, którzy próbowali ją obrabować, a możliwe, że nie tylko. Pod wpływem silnego stresu pragnienie osiągnięcia celu i niezdrowa podejrzliwość mieszały się ze sobą w najdalszych zakamarkach umysłu. Amerykanin był uzbrojony i jeden eksplodujący w jego mózgu obraz mógł wyzwolić gwałtowną reakcję. Khalehla nie obawiała się o

swoje życie; osiem lat treningu, włącznie z czterema latami na groźnych terenach Bliskiego Wschodu, nauczyło ją przewidywania – wiedziała jak zabić, zanim sama zostanie zabita. Smutkiem napawało ją nie tylko to, że ten przyzwoity człowiek mógłby zginąć z powodu wykonywanego zadania, ale także wielkie prawdopodobieństwo sytuacji, w której ona mogłaby zostać jego katem. To prawdopodobieństwo rosło z każdą minutą. Dotarła na miejsce, ubiegając pasażerów z omańskiego odrzutowca. Ruch uliczny na poziomie Przyłotów był straszliwy: samochody o przyciemnionych szybach; taksówki; zwykle, niczym się nie wyróżniające pojazdy; wszelkie półciężarówki. Hałas i spaliny były wszechobecne, zaś kakofonia dźwięków pod niskim betonowym stropem wręcz ogłuszająca. Khalehla znalazła zacienione schronienie pomiędzy dwiema skrzyniami i czekała. Pierwszy wyłonił się terrorysta imieniem Azra, w towarzystwie umundurowanego urzędnika. Urzędnik przywołał gestem taksówkę, która podjechała do niedbale ubranego młodego terrorysty, stojącego na krawężniku. Młodzieniec wszedł do środka i czytając z kartki, podawał kierowcy instrukcje. Parę minut później dziwny Amerykanin i nieprawdopodobny spryciarz, Anthony MacDonald weszli na chodnik. "Coś jest nie tak!" – pomyślała naraz Khalehla bez zastanowienia, opierając się jedynie na pobieżnych obserwacjach. Tony zachowywał się zupełnie tak, jak dawniej w Kairze! Z każdego ruchu jego wielkiego cielska przebijało podniecenie, jakaś nie prowadząca do nikąd energia, której celem jest zwrócenie na siebie uwagi, oczy wychodziły mu z orbit, a wiecznie zmieniający się wyraz twarzy przywodził na myśl żadnego szacunku pijaka – wszystko to zaś stanowiło przeciwwagę dla idealnej samokontroli koniecznej w wypadku głęboko zakonspirowanego agenta, przeprowadzającego operacje przy pomocy siatki informatorów, w sytuacji zagrożenia. To wszystko nie trzymało się kupy!! wtedy stało się! W chwili, gdy rozpędzona taksówka podjeżdżała do krawężnika, MacDonald uderzył Amerykanina swym olbrzymim torsem, wypychając go na jezdnię, prosto pod koła samochodu. Kendrick odbił się od maski, wyleciał w powietrze i spadł w sam środek pędzących podobnym do tunelu podjazdem aut. Dał się słyszeć pisk hamulców, potem dźwięk gwizdków, a kongresman z dziewiątego okręgu wyborczego Kolorado leżał owinięty wokół rozbitej na kawałki przedniej szyby małego japońskiego samochodu. "Boże Święty, przecież on nie żyje!" – pomyślała Khalehla, wbiegając na chodnik. W tej samej chwili mężczyzna poruszył się – poruszył obiema rękami w próbie podniesienia się z maski, której nie podołał i upadł. Khalehla pobiegła pędem w stronę samochodu, przeciskając się przez kordon policji i bahrajńskich tajniaków, którzy zbiegli się zewsząd na widok wypadku; jeden z policjantów, którego nie mogła usunąć z drogi otrzymał groźny, a zarazem celny cios, który uszkodził mu śledzionę. Khalehla rzuciła się na spazmatycznie poruszającego się Kendricka, zakrywając go własnym ciałem. W tej samej chwili wyciągnęła z lotniczej kurtki pistolet i zwróciła się do najbliższego stojącego mężczyzny w mundurze, celując mu prosto w głowę:

–Nazywam się Khalehla i to ci musi wystarczyć. Ten człowiek jest moją własnością i pójdzie ze mną. Wydadz dyspozycje i pomóż nam się stąd wydostać. W przeciwnym razie zginiesz.

Postać wpadła do sterylnego pokoju, przejawiając najwyższe podniecenie. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi z trzaskiem i o mały włos przewróciłby się w ciemności, zdążając po omacku do swej aparatury. Drżącymi rękami przywołał urządzenie do życia. **DOKUMENT MAKSYMALNIE ZABEZPIECZONY PODŁĄCZEŃ ZEWNĘTRZNYCH BRAK MOŻNA PISAĆ** Coś się wydarzyło! Przełom albo załamanie, łowca albo zwierzyna. Ostatni raport wspomina o Bahrajnie, jednak bez wdawania się w szczegóły; mowa jest tylko o tym, że podróżnik znajdował się w stanie najwyższego napięcia, żądając natychmiastowego przelotu do owego miejsca. Należy zatem przyjąć, że albo uciekł z ambasady, albo wywabiono go stamtąd, używając podstępu, albo też nigdy się tam w ogóle nie znalazł. Ale dlaczego akurat Bahrajn? Wszystko jest zbyt niejasne Wygląda tak, jak gdyby podróżnik rzucał cień na zaistniałe wydarzenia z sobie tylko wiadomych przyczyn – a nie można tego bynajmniej wykluczyć, zważywszy wszystko, co wydarzyło się podczas ostatnich kilku lat tudzież prawa Kongresu do wzywania ludzi na świadków pod groźbą kary, czy wreszcie działalność rozmaitych oskarżycieli specjalnych. Co się wydarzyło? Co się dzieje w tej chwili? Moje przyrządy głośno domagają się informacji, ale ja nie mam dla nich nic! Wprowadzenie nazwy bez podania ściśle określonych informacji kończy się wypluciem encyklopedycznych danych historycznych wgranych dawno temu. – i uwspółcześionych

–za pomocą fotoskanu. Chwilami wydaje mi się, że staję się ofiarą własnych talentów, przenikam bowiem wzrokiem czynniki i równania, pod nimi zaś znajduję wizje. A jednak to właśnie ten człowiek! Mówią mi to moje przyrządy, a ja im wierzę.

* * *

Rozdział 13

Evan spróbował uwolnić się od elastycznego bandaża, opinającego mu lewy bark i w tym samym momencie zdał sobie sprawę z przenikliwego pieczenia w górnej części klatki piersiowej, któremu towarzyszył ostry zapach alkoholu do nacierania. Otworzył oczy i ogarnęło go zdumienie. Leżał w łóżku, a poduszki, które miał pod plecami, utrzymywały go w pozycji siedzącej. Znajdował się w damskiej sypialni. Toaletka wraz z niskim, obramowanym złotem krzesłem stała przy ścianie po lewej stronie. Pachnidła i perfumy wypełniały w wielkiej obfitości zdobne filigranowe flakony, ustawione przed wielkim trójdzielnym lustrem z obrzeżem wysadzonym maleńkimi żaróweczkami. Wysokie okna okalały z dwóch stron stół, zaś spływające z nich brzoskwiniowe zasłony, zrobione z półprzezroczystego materiału dosłownie krzyczały – podobnie zresztą jak i cała reszta umeblowania w stylu rokoko – o słonym honorarium projektanta wewnątrz. Obitý satyną szezlong stał naprzeciw okna, obok niego zaś znajdował się stolik pod telefon połączony ze stojakiem na gazety. Jego blat wykonany był z różowego marmuru. Ściana na wprost łóżka, odległa od niego o jakieś pięć metrów, składała się z długiego rzędu lustrzanych szaf. Po prawej stronie Evana, za nocnym stolikiem ustawione było biurko koloru kości słoniowej z kolejnym obramowanym złotem krzesłem – dalej zaś znajdowała się najdłuższa komoda, jaką widział w życiu; była polakierowana na brzoskwiniowe peche, jak powiedziałyby z naciskiem Manny Weingrass – i ciągnęła się przez całą długość

ściany. Podłogę przykrywał miękki, puszysty, biały dywan, którego gruba warstwa zdolna była wymasować bosc stopy każdemu, kto odważyłby się po nim przejść. Do pełni szczęścia brakowało jedynie lustro nad łóżkiem. Rzeźbione drzwi były zamknięte, jakkolwiek spoza nich dochodziły czyjeś głosy: męski i kobiecy. Obrócił przegub, chcąc spojrzeć na zegarek; ten jednak zniknął. Gdzie był? Jak się tu znalazł? Chryste! Podjazd na lotnisku... Wepchnięto go pod samochód – pod dwa rozpędzone samochody wokół niego zaś zebrał się tłum, aż wreszcie, kulejącego, zabrano go stamtąd. Azra! Azra czekał na niego w Hotelu Aradus!... I MacDonald! Uciekł! O, mój Boże, wszystko wzięło w łeb! Na pograniczu paniki, niezupełnie świadom przenikającego przez okna światła późnopopołudniowego słońca, odrzucił prześcieradło i wygramolił się z łóżka, niepewnie stając na nogach, chwiejąc się i zaciskając zęby z każdym krokiem, poruszał się jednak o własnych siłach, a tylko to się liczyło. Był przy tym nagi, a wtem otworzyły się drzwi. – Cieszę się, że miałeś siłę się podnieść – powiedziała kobieta o oliwkowej cerze, zamykając za sobą drzwi, podczas gdy Kendrick, słaniając się na nogach, wędrował z powrotem do łóżka, pod prześcieradło koloru peche. – Potwierdza to diagnozę lekarza. Właśnie wyszedł. Stwierdził, że jesteś paskudnie poobijany, ale rentgen nie wykazał żadnych złamań.

–Rentgen? Gdzie my jesteśmy i kim, u diabła, jesteś ty, droga pani?

–A więc nie przypominasz mnie sobie?

–Jeśli to – wykrzyknął ze złością Evan, zataczając ręką krąg po pokoju – jest twoje skromne piedaterre w Bahrajnie, to zapewniam cię, że nigdy w życiu nie widziałem tego miejsca. Czegoś takiego łatwo się nie zapomina.

–To nie moja własność – powiedziała Khalehla, kręcąc głową z ledwie dostrzegalnym uśmiechem i stając obok łóżka. – Należy do członka rodziny królewskiej, kuzyna emira, starszego mężczyzny z młodą żoną – najmłodszą: oboje bawią teraz w Londynie. On jest dość schorowany, co wyjaśnia sporą ilość aparatury medycznej w piwnicach. Pozycja społeczna i pieniądze oferują przywileje wszędzie na świecie, ale nade wszystko tutaj w Bahrajnie. Twój przyjaciel, sułtan Omanu, sprawił, że się tu znalazłeś.

–Ktoś musiał jednak wcześniej sprawić, że dowiedział się, co się stało – tylko dlatego mógł mnie tu ulokować!

–Zrobiłam to, rzecz jasna, ja...

–A jednak cię znam – przerwał Kendrick, marszcząc brwi. – Tylko nie mogę sobie przypomnieć skąd.

–Byłam w zupełnie innym stroju i widzieliśmy się w równie nieprzyjemnych okolicznościach. W Maskacie, w ciemnym, brudnym zaułku, który spełnia funkcję ulicy...

–Miasto zgnilizny! – wykrzyknął Evan, otwierając szeroko oczy i unosząc sztywno głowę. – Miasto szumowin. ElBaz. Jesteś kobietą z pistoletem; próbowałaś mnie zabić.

–Nie. To nieprawda. Broniałam się tylko przed czworgiem łajdaków: trzema mężczyznami i dziewczyną. Kendrick przymknął na chwilę oczy. – Pamiętam. Dzieciak w obciętych spodniach khaki, trzymający się za rękę.

–To nie był żaden dzieciak – sprostowała Khalehla. – To był narkoman na takim samym głodzie jak jego dziewczyna. Oboje zabiliby mnie bez zastanowienia, żeby tylko zapłacić swym arabskim dostawcom za potrzebny towar. Ja cię tylko śledziłam, nic poza tym. Moja praca polega na zbieraniu informacji.

–Dla kogo?

–Dla ludzi, dla których pracuję.

–Jak się o mnie dowiedziałaś?

–Na to pytanie ci nie odpowiem.

–Dla kogo pracujesz?

–W szerokim znaczeniu dla organizacji, która pragnie znaleźć jakieś wyjście dla niekończących się potworności na Bliskim Wschodzie.

–Żydówka?

–Nie – odparła ze spokojem Khalehla. – Mam arabski rodowód. – To niczego nie wyjaśnia, za to napędza mi niezłego stracha. – Czemu? Czy dla Amerykanina wydaje się to aż tak nieprawdopodobne, żeby Arabowie pragnęli godziwych rozwiązań?

–Przychodzę wprost z ambasady w Maskacie. To, co tam widziałem nie było zachwycające – i to dzięki Arabom.

–My tego także nie pochwalamy. Pozwolisz jednak, że zacytuję pewnego amerykańskiego kongresmana, który powiedział kiedyś na forum Izby Reprezentantów, że "terroryści się nie rodzą, tylko są tworzeni".Evan, zaskoczony, spojrzał ostro na kobietę.

–To jedyna moja uwaga odnotowana w protokołach posiedzeń Kongresu. Jedyna.

–Zrobiłeś ją po przepojonym wyjątkową nienawiścią wystąpieniu kongresmana z Kalifornii, który, praktycznie rzecz biorąc, domagał się wytrzebiecia wszystkich Palestyńczyków, zamieszkujących tereny zwane przezeń Eretz Izrael.

–Dla tego faceta Eretz i Biarritz to jedno i to samo! To biały anglosaski protestant: karierowicz, któremu się wydawało, że traci poparcie Żydów w Los Angeles. Sam mi to powiedział dzień wcześniej. Wziął mnie za sprzymierzeńca, sądząc, że mu przyklasnę niech go diabli, mrugał do mnie!

–Czy nadal wierzysz w to, co powiedziałaś?

–Tak – odparł z ociąganiem Kendrick, jak gdyby poddając w wątpliwość własną odpowiedź. – Nikt, kto na własne oczy widział nędzę panującą w obozach uchodźców nie jest w stanie sądzić, że mogłyby one wydać z siebie cokolwiek normalnego. Ale to, co zobaczyłem w Maskacie zaszło za daleko. Wrzaski i dzikie zawodzenia to jeszcze pestka. Był tam jakiś chłód, metodyczna brutalność, żywiąca się samą sobą. Te zwierzęta dobrze się bawiły.

–Większość tych młodych zwierząt nigdy nie miała domu. Ich najwcześniejsze wspomnienia sięgają czasów, kiedy błakali się pośród obozowej nędzy, próbując najeść się raz do syta, albo znaleźć ubrania dla swych młodszych braci i sióstr. Jedynie żałosna garstka posiada jakiegokolwiek umiejętności, czy wręcz wykształcenie podstawowe. Te rzeczy nie były dla nich dostępne. Byli wyrzutkami we własnym kraju.

–Powiedz to dzieciom Auschwitz i Dachau! – odrzekł Evan z cichą, lodowatą pasją

w głosie. – Ci ludzie żyją. Są częścią rasy ludzkiej.

–Szach i mat, panie Kendrick. Nie znajduję na to żadnej odpowiedzi. Jedynie wstyd.

–Nie potrzebny mi twój wstyd. Chcę się tylko stąd wydostać. – Nie jesteś w stanie kontynuować tego, co robiłeś dotąd. Spójrz na siebie. Jesteś wyczerpany, a przy tym doznałeś poważnych obrażeń. Przytrzymując prześcieradło w talii, Kendrick wsparł się na brzegu łóżka. Odezwał się z wolna.

–Miałem rewolwer, nóż i zegarek wraz z kilkoma innymi cennymi przedmiotami. Chciałbym to wszystko dostać z powrotem.

–Sądzę, że powinniśmy przedyskutować sytuację...

–Nie ma nad czym dyskutować – uciął kongresman. – Bez dwóch zdań.

–A gdybym ci tak powiedziała, że odnaleźliśmy Tony'ego MacDonalda?

–Tony'ego?

–Moja baza znajduje się w Kairze. Chciałabym móc powiedzieć, że mieliśmy go na oku już od wielu miesięcy, albo nawet lat, nie byłoby to jednak prawdą. Po raz pierwszy zaświtało mi coś na jego temat dziś w nocy, a właściwie tuż przed brzaskiem. Jechał za mną samochodem bez świateł...

–Drogą nad Dżabal Szam? – przerwał Evan.

–Tak.

–W takim razie ty jesteś Cawley, czy jakoś tak. Cawley – wróg, między innymi.

–Nazywam się Khalehla, Amerykanie wymawiają dwie pierwsze sylaby mojego imienia tak jak francuski port Calais; i w istocie jestem jego wrogiem, choć nie mam nic wspólnego z pozostałymi zarzutami, które mogę sobie wyobrazić.

–Śledziłaś mnie.

–Tak.

–A więc wiedziałaś o "ucieczce"?

–Raz jeszcze, tak.

–Ahmat?"

–Ufa mi. Znamy się od lat.

–A więc musi ufać również ludziom, dla których pracujesz? – Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Mówiłam już: to mnie ufa.

–To pokrętna odpowiedź – dwie pokrętne odpowiedzi.

–To sytuacja jest pokrętna.

–Gdzie jest Tony?

–Zaszył się w pokoju w Hotelu Tylos na ulicy Rządowej pod nazwiskiem IStrickland.

–Jak go znalazłaś?

–Dzięki przedsiębiorstwu taksówkowemu. Po drodze zatrzymał się przy sklepie sportowym podejrzanym o sprzedaż nielegalnej broni. Jest uzbrojony... Powiedzmy, że kierowca okazał gotowość do współpracy.

–"Powiedzmy"?

–To wystarczy. Jeśli MacDonald ruszy się stamtąd, natychmiast zostaniesz poinformowany. Jak dotąd zadzwonił jedenaście razy. – Do kogo?

–Numery zastrzeżone. Za około godzinę, kiedy skończy dzwonić, ktoś pójdzie do Centralnego Urzędu Telekomunikacyjnego i spíše nazwiska. Otrzymasz je natychmiast, jak tylko nasz człowiek dostanie je w swoje ręce i będzie miał dostęp do telefonu: urzędowego bądź publicznego.

–Dzięki. Potrzebne mi te numery. Khalehla wyciągnęła małe krzeselko w stylu rokoko sprzed toaletki i ustawiła je naprzeciw Kendricka. – Powiedz mi, kongresmanie, co robisz. Pozwól sobie pomóc.

–niby czemu? Nie chcesz mi oddać ani mojej broni, ani noża, ani zegarka – ani choćby pewnej części garderoby, którą już pewnie zdążyłaś sprzedać. Nie chcesz mi nawet powiedzieć dla kogo pracujesz.

–Jeśli chodzi o broń, nóż, zegarek, portfel, pas na pieniądze z około pięćdziesięcioma tysiącami amerykańskich dolarów, złotą zapalniczkę i zgniecioną paczkę amerykańskich papierosów kupionych w Stanach – co, nawiasem mówiąc, było bardzo nieostrożne – to możesz je sobie zabrać, pod warunkiem, że mnie przekonasz, że to, co robisz nie doprowadzi do mordu dwustu trzydziestu sześciu Amerykanów w Maskacie. Nam, Arabom, nie wolno brać nawet pod uwagę takiej ewentualności; i tak nas nienawidzą za okropieństwa, którym nie jesteśmy w stanie przeciwdziałać. Jeśli zaś chodzi o to, dla kogo pracuję, to dlaczego miałoby to mieć dla ciebie znaczenie większe niż ma dla twojego przyjaciela, Ahmata? Ty ufasz jemu, on ufa mnie. A więc i ty możesz mi zaufać. A równa się B równa się C. Z tego wynika, że A równa się C. A przy okazji, twoje ubranie zostało zdezynfekowane, wyprane i wyprasowane. Znajduje się teraz w pierwszej szafie po lewej. Evan, przycupnięty niezdarnie na skraju łóżka, wpatrywał się w energiczną młodą kobietę, z lekka rozchyliwszy usta.

–Niezły wywód, droga pani. Będę musiał przemyśleć tę alfabetyczną logikę.

–Nie znam twoich planów, ale nie masz chyba zbyt wiele czasu. – Między jedenastą trzydzieści a dwunastą w nocy – odparł Kendrick, nie mając zamiaru ujawniać czegokolwiek poza przedziałem czasowym. – W samolocie był ze mną młody mężczyzna. Jest terrorystą z ambasady w Maskacie.

–Zameldował się w Hotelu Aradus na Wadi alAd jako "T.Faruk".

–Jakim...?

–Inny chętny do współpracy kierowca – odparła Khalehla, pozwalając sobie na szerszy uśmiech. – Załóżmy – dodała.

–Ten dla kogo pracujesz, ma niezłe wtyki w wielu miejscach. – Wyobraź sobie, że ci, dla których pracuję, nie mają z tym nic wspólnego. Nie posunęliby się aż tak daleko.

–Za to ty nie miałaś specjalnych obiekcji.

–Musiałam to zrobić. Z powodów osobistych; w tym wypadku nie ma żadnych ograniczeń.

–Niezwykła z ciebie kobieta, Cawley.

–Khalehla – w wymowie angielskiej – Kalejla. A może byś zadzwonił do swojego przyjaciela w Aradus? Kupił w hotelu ubrania i ostrzygł włosy u fryzjera. Rozumiem, że były to twoje instrukcje. Ale zadzwoń do niego – uspokój go.

–Jesteś trochę zbyt chętna do współpracy – całkiem jak ci kierowcy.

–To dlatego, że nie jestem twoim wrogiem i pragnę współpracować. Zadzwoń do Ahmata, jeśli chcesz. Powie ci to samo. A skoro już o nim mowa, to podobnie jak ty, ja też mam numer, składający się z trzech piątek. Evan odniósł wrażenie, że jakiś niewidoczny woal uniósł się z twarzy Arabki, ze ślicznej, frapującej twarzy o wielkich, piwnych oczach, w których kryła się troska i ciekawość, a w które się właśnie wpatrywał. Mimo to jednak przeklął w duchu, wściekły na siebie za amatorszczyznę, za to, że nie potrafi rozróżnić prawdy od fałszu! Między jedenastą trzydzieści a północą. Była to godzina zero, trzydzieści minut, w czasie których złapie kontakt, kontakt z Mahdim. Czy może zaufać tej niezwykle sprawnie działającej kobiecie, która mówi mu pewne rzeczy, nie chce jednak zdradzić nic więcej? A przy tym, czy poradzi sobie sam? Ta kobieta zna numer z trzema piątkami... jak go zdobyła? Wtem pokój zaczął zataczać kręgi, wpadające doń światło zmieniło się w pomarańczową mgiełkę. Gdzie są okna? – Nie, Kendrick! – krzyknęła Khalehla. – Nie teraz! Nie wolno ci teraz zemdleć! Zadzwoń do Aradus, pomogę ci! Twój przyjaciel musi wiedzieć, że wszystko jest w porządku! To terrorysta, który znalazł się w Bahrajnie! Nie ma dokąd pójść – musisz do niego zadzwonić! Evan poczuł na twarzy silne uderzenia dłoni, bolesne, piekące ciosy, przywracające dopływ krwi do głowy, która spoczęła nagle na prawej ręce Khalehli, podczas gdy ta lewą dłonią sięgnęła po stojącą na nocnym stoliku szklankę.

–Wypij to! – rozkazała, przysuwając mu szklankę do ust. Wykonał polecenie. Płyn wybuchnął mu w gardle.

–Jezu! – wrzasnął.

–Studwudziestoprocentowa mieszanka wódki i brandypowiedziała z uśmiechem Khalehla, nie wypuszczając go z objęć. – Dał mi ją pewien Brytyjczyk z MI-6 imieniem Melvin. Powiedział tak: "Daj komuś do wypicia trzy kieliszeczki, a kupi od ręki wszystko, co tylko będziesz chciała mu sprzedać." Czy kupisz coś ode mnie, kongresmanie? Może na przykład telefon do Aradus?

–Nic nie kupuję. Nie mam pieniędzy. Zabrałaś mi je co do centa. – Proszę cię, zadzwoń tam – nie dawała za wygraną Khalehla, uwalniając więźnia ze swych objęć i siadając na stojącym przy toalecie krześle ze złotym obrzeżem. – Moim zdaniem to niezwykle istotne. Kendrick potrząsnął głową, próbując skoncentrować wzrok na aparacie.

–Nie znam numeru.

–Mam go tutaj. – Khalehla sięgnęła do kieszeni swej kurtki lotniczej wyciągnęła zeń kawałek papieru. Pięćdziesięćpięćdziesięćjeden.

–Dziękuję, pani sekretarko. – Evan wyciągnął rękę po telefon. Pochylił się, czując w tej samej chwili przenikliwy ból w tysiącu rozmaitych miejsc, po czym podniósł słuchawkę i położył ją sobie na kolanach. Ogarnęła go fala wycieńczenia; poruszanie się było problemem, ledwie wybrał numer. – Azra? – powiedział, słysząc głos terrorysty. – Czy przestudiowałaś mapę Manamy? Doskonale. Zabiorę cię z hotelu o dziesiątej. – Kendrick przerwał, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę Khalehli. – Gdybym się przypadkiem spóźnił, czekaj na mnie na ulicy po północnej stronie

Meczetu Dżami, w miejscu, gdzie dochodzi doń ulica AlKalifa. Znajdę cię. Jasne? Dobrze. – Kendrick, odłożył drżącą ręką słuchawkę na widełki. – Musisz" wykonać jeszcze jeden telefon, kongresmanie.

–Daj mi chwilę odsapnąć. – Kendrick wsparł się na poduszkach. Boże, ależ był zmęczony!

–Powinieneś wykonać go natychmiast. Musisz powiedzieć Ahmatowi gdzie jesteś, co zrobiłeś i co się dzieje. Czekaj na te informacje. Zasłużył sobie na to, by usłyszeć je od ciebie, a nie ode mnie. – Dobrze już, dobrze. – Evan sięgnął z ogromnym wysiłkiem po leżący nadal na łóżku telefon. – Zapomniałem, że z Bahrajnu jest bezpośrednio połączenie. Jaki jest kierunkowy do Maskatu? – Dziewięćset sześćdziesiąt osiem – odparła Khalehla. – Wykręć najpierw zerozerojeden.

–Właściwie to powinienem zamówić rozmowę na jego koszt stwierdził Kendrick, ledwie widząc i wybierając z wysiłkiem numer. – Kiedy ostatnio spałeś? – spytała Khalehla.

–Dwa, trzy dni temu.

–Kiedy miałaś coś w ustach?

–Nie pamiętam... A ty? Też byłaś troszkę zabiegana, Madame NieCałkiemButterfly.

–Też sobie nie mogę przypomnieć... Ach tak, już wiem kiedy jadłam. Po wyjściu z zaułków el Szari el Misz wstąpiłam do tej okropnej cukierni na placu i kupiłam trochę pomarańczowej baklawy. Bardziej po to, żeby się dowiedzieć kto jest w środku, niż z jakichkolwiek innych powodów...Evan podniósł dłoń; tajny prywatny telefon sułtana dzwonił.

–Ajwahl

–Ahmat, tu Kendrick.

–Całe szczęście!

–Szlag mnie trafia.

–Co? O co ci chodzi?

–Czemu nic mi o niej nie powiedziałaś?

–O niej? O kim?Evan wręczył słuchawkę zaskoczony Khalehli. – To ja, Ahmat – odparła z zakłopotaniem. Po ośmiu sekundach, w czasie których w pokoju rozlegał się głos zdumionego i zagniewanego sułtana, Khalehla ciągnęła dalej: Miałam do wyboru: albo go stamtąd zabrać, albo pozwolić, by prasa dowiedziała się, że pewien amerykański kongresman, uzbrojony po zęby i z kwotą pięćdziesięciu tysięcy dolarów, przyleciał do Bahrajnu nie przechodząc przez kontrolę paszportową. Jak dużo czasu zabrałoby im stwierdzenie, że przyleciał samolotem wysłanym przez sułtana Omanu? I jak prędko pojawiłyby się podejrzenia co do jego misji w Maskacie?... Posłużyłam się twoim nazwiskiem wobec brata emira, którego znam już od lat, on zaś dał nam schronienie... Dziękuję. Ahmat. Daję ci go. Kendrick odebrał słuchawkę.

–Zabiła mi niezłego ćwieka, przyjacielu, ale zdaje się, że mam się tu lepiej, niż tam, gdzie mogłem się znaleźć. W każdym razie daruj sobie na przyszłość takie niespodzianki, zgoda?... Czemu nic nie mówisz?... Nieważne, podaję ci plan działania

i pamiętaj, nie mieszaj się do niczego, póki sam o to nie poproszę! Nasz chłopiec z ambasady jest w Hotelu Aradus; co do MacDonalda, to zdaje się, że wszystko już wiesz... – Khalehla skinęła głową i Evan mówił prędko dalej – rozumiem, że tak. Jest pod obserwacją w Tylos; dostaniemy spis telefonów, pod które dzwonił, jak już skończy. A tak przy okazji, obaj są uzbrojeni. – Kendrick, wycieńczony, przedstawił miejsca spotkań, w sposób, w jaki zostały przekazane agentom Mahdiego. – Wystarczy nam jeden, Ahmat, jeden jedyny człowiek, który może nas do niego zaprowadzić. Sam osobiście będę go przyciskał tak długo, aż z niego wyduszę co trzeba. Inaczej nigdy nie zdobędziemy potrzebnych informacji. Kendrick odłożył słuchawkę i upadł na poduszki.

–Musisz coś zjeść – powiedziała Khalehla.

–Wyślij kogoś po chińszczyznę na wynos – powiedział Evan. – W końcu to ty masz te pięćdziesiąt tysięcy, nie ja.

–Powiem w kuchni, żeby ci coś przygotowali.

–Mnie? – Kendrick obserwował spod na wpół przymkniętych powiek kobietę o oliwkowej cerze, siedzącą na nedorzecznie przystrojonym złotem krześle w stylu rokoko. Białka jej ciemnobrązowych, podkrążonych na sino ze zmęczenia oczu były przekrwione, a rysy frapującej twarzy o wiele za ostre jak na jej wiek. – A co z tobą?

–Ja się nie liczę. Ty tak.

–Zaraz spadniesz z tego swojego lilipuciego tronu, Królowo Matko.

–Dam sobie radę, dzięki za troskę – odparła Khalehla, prostując plecy i mrugając przekornie oczami.

–Ponieważ nie chcesz mi oddać zegarka: która jest godzina? – Dziesięć po czwartej.

–Wszystko jest w najlepszym porządku – stwierdził Evan, spuszcżając na podłogę osłonięte prześcieradłem nogi – i nie wątpię, że to jaskrawię przystrojone domostwo będzie w stanie zorganizować pobudkę. "Wypoczynek jest bronią", gdzieś to wyczytałem. Bitwy kończyły się wygraną lub klęską częściej z powodu snu a raczejjego braku, niż z powodu uzbrojenia... Jeśli zechcesz się skromnie odwrócić, to wezmę ręcznik z łazienki, która jest pewnie największą łazienką w Bahrajnie i znajdę sobie jakieś inne łóżko.

–Nie możemy wyjść z tego pokoju, chyba że po to, by w ogóle sobie stąd pójść.

–Dlaczego?

–Taka jest umowa. Emir nie przepada za młodą żoną kuzyna, więc zbeszczeszczenie tego domu przez twoją osobę ma się ograniczyć do jej apartamentów. Na zewnątrz stoją strażę, których zadaniem jest dopilnować wypełnienia rozkazu.

–To nie do wiary!

–To nie ja wymyśliłam te ograniczenia. Ja po prostu znalazłam dla ciebie lokum. Kendrick, walcząc ze snem, położył się na powrót do łóżka i przesunął na sam jego skraj, wyznaczając granicę za pomocą prześcieradła.

–W porządku, Miss Kairu. Jeśli nie chcesz bez przerwy spadać z tej śmiesznej kozetki, albo wylądować z buzią na podłodze, to skorzystaj z tego legowiska i zrób

sobie sjęstę. Ale wcześniej, dwie rzeczy: nie chrap i obudź mnie przed wpół do dziewiątej. Po upływie dwudziestu morderczych minut Khalehla, nie mogąc już dłużej walczyć z zamykającymi się powiekami, a przy tym spadłszy dwukrotnie z szezlonga, wśliznęła się do łóżka. Stało się coś niewiarygodnego – niewiarygodnego, ponieważ żadne z nich niczego się nie spodziewało, nie dążyło do tego, ani w najskrytszych myślach nie rozważało takiej możliwości. Dwoje przestraszonych, wycieńczonych ludzi poczuło swoją obecność i, bardziej przez sen niż na jawie, zbliżyło się do siebie, z początku ledwie się dotykając, by po chwili z wolna, z wahaniem wyciągnąć do siebie ręce, a wreszcie wziąć się nawzajem w ramiona, tuląc i szukając nabrzmiałymi, rozchylonymi wargami wilgotnego kontaktu, którego desperacko pożąдали, obiecywał bowiem odskoczną od nękających ich obaw. Kochali się w szaleńczym wybuchu namiętności – nie jak obcy, naśladujący zwierzęta, ale jak mężczyzna i kobieta, którzy porozumieli się wiedząc, że w oszalałym świecie konieczna jest choćby odrobina ciepła, czegoś, co dodaje otuchy.

–Chyba powinienem powiedzieć przepraszam – rzekł Evan z głową na poduszkach. Jego pierś falowała tak gwałtownie, jakby brakowało mu powietrza.

–Nie, proszę – odparła z cicha Khalehla. Ja nie żałuję. Czasami... czasami każde z nas potrzebuje, by mu przypomniano, że jest częścią ludzkiej rasy. Czyż to nie twoje słowa?

–Chyba w nieco innym kontekście.

–Niezupełnie. Jakby się tak głębiej zastanowić... Śpij już, Evanie Kendricku. Nigdy więcej nie powtórzę twojego imienia. – Co chcesz przez to powiedzieć?

–Śpij. Trzy godziny później, niemalże z dokładnością co do minuty, Khalehla wstała z łóżka, podniosła ubranie z białego dywanu i, zerkając na nieprzytomnego Amerykanina, cicho się ubrała. Skreśliła parę słów na arkuszu papieru z królewskiej papeterii, po czym umieściła go na nocnym stoliku obok telefonu. Następnie podeszła do toaletki, otworzyła szufladę i wyjęła zeń rzeczy Kendricka, w tym rewolwer, nóż, zegarek i pas na pieniądze. Położyła to wszystko na podłodze koło łóżka, pomijając jedynie do połowy opróżnioną paczkę amerykańskich papierosów, którą zgmiotła i schowała do kieszeni. Podeszła do drzwi i po cichutku wymknęła się na zewnątrz.

–Esmah! – zwróciła się szeptem do umundurowanego bahrajńskiego strażnika, każąc mu tym jednym słowem uważać na to, co mu zleci. – Ma zostać obudzony punktualnie o ósmej trzydzieści. Osobiście skontaktuję się z królewską rezydencją, żeby sprawdzić, czy moje polecenia zostały wykonane. Rozumiesz?

–Ajwah, ajwah! – przytaknął strażnik, prężąc się służbiście i kiwając posłusznie głową.

–Możliwe, że będzie do niego telefon, ktoś zapyta o "gościa". Wiadomość ma zostać odebrana, informację należy zapisać, kartkę włożyć do koperty i wsunąć pod drzwiami do pokoju. Uzgodnię wszystko z władzami. Będą to po prostu nazwiska i numery telefonów ludzi, którzy robią interesy z jego firmą. Zrozumiałeś?

–Ajwah, ajwah!

–Dobrze. – Khalehla łagodnie acz niedwuznacznie włożyła do kieszeni strażnika

dinary bahrajńskie o wartości pięćdziesięciu amerykańskich dolarów. Będzie jej wdzięczny bez reszty do końca życia, a przynajmniej przez pięć najbliższych godzin. Ruszyła po krętych ozdobnych schodach w dół do olbrzymiego foyer i rzeźbionych drzwi frontowych, które otworzył przed nią kolejny strażnik, bijący zarazem służalczy pokłon. Wyszła na ruchliwy chodnik, gdzie abaje Tciemne garnitury biznesmenów migwały mknąc spiesznie w obu kierunkach, po czym rozejrzała się za telefonem. Dostrzegła jeden na rogu ulicy i ruszyła prędko w jego stronę. – Ten telefon na pewno zostanie przyjęty – zapewniła Khalehla osobę w centrali, podawszy jej numery, które zgodnie z instrukcją miała wykorzystać w razie, gdyby sytuacja stała się wyjątkowo krytyczna.

–Tak? – Głos odległy o osiem tysięcy kilometrów brzmiał ostro i gwałtownie.

–Nazywam się Khalehla. O ile się nie mylę, jest pan tym, z kim miałam się skontaktować.

–Zgadza się. Centrala podała nazwę Bahrajn. Czy pani to potwierdza?

–Tak. On tu jest. Byłam z nim przez kilka godzin.

–Co jest w planach?

–Między jedenastą trzydzieści a północą zaplanowano spotkanie w pobliżu Meczetu Dżami i ulicy AlKalifa. Powinnam tam być, proszę pana. On nie ma wyposażenia; nie da sobie rady.

–Mowy nie ma, droga pani!

–On jest jak dziecko tam, gdzie w grę wchodzi ci ludzie! Ja mogę pomóc!

–Może pani także wmieszać do tego wszystkiego nas, co jest absolutnie wykluczone i wie pani o tym równie dobrze jak ja! Proszę się stamtąd natychmiast wycofać!

–Przypuszczałam, że pan to powie... Czy mogłabym jednak wyjaśnić na czym, moim zdaniem, polega ewentualność ujemnego rozwiązania równania w tej konkretnej operacji?

–Nie będę słuchał żadnych nawiedzonych pierdoł! Wyjeżdżaj stamtąd i koniec! Khalehla zamrugała oczami, a w Waszyngtonie Frank Swann rzucił słuchawkę.

–Aradus i Tylos, znam je oba – powiedział Emmanuel Weingrass do telefonu w małym, bezpiecznym biurze na lotnisku w Muharrak. – T.Faruk i Strickland – dobry Boże," nie do wiary! Ten głupawy ochlaptus z Kairu?... Oj, przepraszam cię, zasrańcu, zapomniałem. Chciałem powiedzieć ten francuski piesek z Algieru, to właśnie miałem na myśli. Mów dalej. – Weingrass notował informacje z Maskatu, podawane przez młodego mężczyznę, dla którego zaczynał nabierać ogromnego szacunku. Znał ludzi dwa razy starszych od Ahmata i obarczonych trzy razy większym bagażem doświadczeń, którzy załamaliby się pod naporem stresu, jaki przeżywał sułtan Omanu. Nie wyłączyłby zresztą z tego grona przedstawicieli prasy zachodniej, ta zaś zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego odwagi: odwagi, pozwalającej na podejmowanie ryzyka, które mogło przynieść klęskę i śmierć. – Dobra, mam wszystko... Hej, zasrańcu, niezły jesteś, wiesz? Wyrósł z ciebie prawdziwy mensch. Oczywiście nauczyłeś się tego ode mnie.

–Od ciebie, Manny, nauczyłem się pewnej bardzo istotnej prawdy. Stawiania czoła

przeciwnościom, bez szukania wymówek. Wszystko jedno czy dotyczy to zabawy czy spraw bolesnych. Tak właśnie powiedziałaś. Mówiłaś, że człowiek może żyć z porażką, ale nigdy z wymówkami, które pozbawiły go prawa, by ją ponieść. Dużo czasu upłynęło zanim to zrozumiałem.

–Jesteś bardzo miły, młody człowieku. Przekaż tę prawdę dzieciakowi, którego ponoć oczekujesz: czytałem o tym. Nazwij to dodatkiem Weingrassa do Dziesięciu Przykazań.

–Tylko, Manny...

–Tak?

–Proszę cię, nie zakładaj którejs z tych żółtych albo czerwonych muszek w groszki w Bahrajnie. Stajesz się przez nie, jak by tu powiedzieć, widoczny. Wiesz chyba co mam na myśli?

–Teraz ty jesteś moim krawcem... Będę z tobą w kontakcie, mensch. Życz nam dobrych łowów.

–Tego wam właśnie życzę, przyjacielu. Nade wszystko życzyłbym sobie jednak, aby być tam razem z tobą.

–Wiem o tym. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym o tym nie wiedział gdyby nie wiedział o tym nasz przyjaciel. – Weingrass odwrócił się do sześciu mężczyzn, których miał za plecami. Wszyscy przysiedli na stołach i krzesłach, kilku trzymało w dłoniach niewielką, podręczną broń, inni sprawdzali baterie w swych mieszczących się w dłoni, radiach, wszyscy zaś wpatrywali się i wsłuchiwali w napięciu w starca. – Rozdzielimy się – powiedział. – BenAmi i Szary pójdą ze mną do Tylos. Błękitny, ty zabierzesz resztę do Hotelu Aradus... – Manny urwał, nękany gwałtownym napadem kaszlu; twarz mu poczerwieniała, a kruchym ciałem wstrząsały gwałtowne spazmy. BenAmi i członkowie jednostki Mosadu wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Nikt nie ruszył się z miejsca, wiedząc instynktownie, że Weingrass i tak odrzuciłby wszelką pomoc. Jedno było dla nich jasne. Mieli przed sobą umierającego człowieka.

–Wody? – spytał BenAmi.

–Nie – odparł szorstko Manny, gdy atak kaszlu stracił nieco na sile. – Parszywe zapalenie oskrzeli, cholerna francuska pogoda... No dobrze, gdzieśmy to byli?

–Miałem zabrać resztę do Hotelu Aradus – odparł Yaakov, pseudonim Błękitny.

–Sprawcie sobie jakieś przyzwoite ubrania, żeby was nie wyrzucili z sali recepcyjnej. Tu na lotnisku są sklepy, wystarczą wam czyste kurtki.

–To nasze ubrania robocze – zaprotestował Czarny.

–Wyrzućcie je do kosza – odparł Weingrass.

–Co mamy robić w Aradus? – Błękitny zeskoczył ze stołu, na którym siedział. Manny spojrzał do notatek, a następnie podniósł wzrok na młodego przywódcę.

–W pokoju dwieście jeden jest człowiek imieniem Azra.

–To po arabsku "błękitny" – wtrącił komandos o pseudonimie Czerwony, zerkając na Yaakova.

–Jest członkiem rady terrorystycznej w Maskacie – włączył się Pomarańczowy. – Podobno stał na czele oddziału, który napadł na kibbutz Tewerja nie opodal Galilei, zabijając trzydzieści dwie osoby, w tym dziewięcioro dzieci.

–Podkładał bomby w trzech osadach na Zachodnim Brzegu – dodał Szary – i wysadził aptekę, wypisując na murze farbą w aerozolu imię "Azra". Po wybuchu ścianę złożono z powrotem z kawałków jak łamigłówkę i imię było widać czarno na białym. Azra. Widziałem go w telewizji.

–Wieprz – wycedził przez zęby Yaakov, poprawiając pod kurtką szelki, do których przymocowana była broń. – Co mamy robić, jak przyjdziemy do Aradus? Dać mu herbatkę i ciasteczka czy może tylko medal za humanitaryzm?

–Trzymajcie się poza zasięgiem jego wzroku! – odparł oschle Weingrass. – Ale nie pozwólcie jemu wymknąć się poza zasięg waszego. Dwóch z was zajmie pokoje blisko niego; obserwujcie drzwi. Nie chodźcie po wodę do łazienki, nie chodźcie do toalety, nie wolno wam spuścić z nich oczu. Dwóch pozostałych zajmie pozycje na ulicy, jeden od frontu, drugi przy wejściu dla pracowników. Utrzymujcie kontakt radiowy. Opracujcie sobie jakieś proste hasła – pojedyncze słowa – po arabsku. Jeśli się stamtąd ruszy, pójdziecie wraz z nim, ale nie pozwólcie, żeby choć na chwilę nabrał jakichkolwiek podejrzeń co do waszej obecności. Pamiętajcie, jest równie dobry jak wy; on też musiał przeżyć.

–Czy mamy go po cichutku odeskortować na jakieś prywatne przyjęcie? – zakpił Błękitny. – Ten plan nie posiada podstawowego schematu!

–Schematu dostarczy nam Kendrick – odparł Manny, po raz pierwszy rezygnując z odparowania ciosu. Jeśli istotnie jakiś posiada – dodał cicho z troską w głosie.

–Co takiego? BenAmi podniósł się z krzesła, powodowany jednak nie tyle gniewem, co zdumieniem.

–Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to odbierze Araba o dziesiątej. Spodziewa się, że wlokąc ze sobą terrorystę z Maskatu zdoła nawiązać kontakt z agentem Mahdiego, z kimś, kto może ich do niego zaprowadzić, jeśli nie bezpośrednio, to przez kogoś innego. – Na czym opiera te przypuszczenia? – dopytywał się BenAmi z Mosadu z niedowierzaniem w głosie.

–Właściwie to wcale nie takie głupie. Ludzie Mahdiego uważają, że zaistniała sytuacja krytyczna, nie wiedzą jednak, w czym rzecz. – Amator! – wrzasnął Czerwony z jednostki Mosadu. – Podstawiają kogoś na podpuchę i to z obstawą. Co my tu w ogóle robimy, u diabła? – Jesteście tu po to, żeby ich wszystkich usunąć! – Jeżeli mam mówić wam za czym się rozglądać, to lepiej wracajcie do domu i zaczniście szkolenie na nowo z harcerzami w Tel Awiwie. To wy macie śledzić; wy macie chronić; wy macie likwidować kogo trzeba. To wy macie przetrzeć szlak dla amatora, który naraża własne życie dla dobra sprawy. Ten Mahdi to klucz do całej zagadki i jeśli nie zrozumieliście tego do tej pory, to już nie moja wina. Wystarczy, żeby powiedział jedno słowo, najlepiej z pistoletem przy skroni, i w Omanie wszystko skończone.

–Ten plan ma swoje dobre strony – stwierdził BenAmi.

–Ale nie ma sensu! – wykrzyknął Yaakov. – Wyobraźmy sobie, że ten Kendrick dociera do waszego Mahdiego. I co wtedy robi, co mówi? – Błękitny wysilił się na skrajną karykaturę amerykańskiego sposobu bycia: – "Te, koleś, mam dla ciebie interes, że mucha nie siada, co ty na to? Zabierz no te swoje pukawki, a ja ci za to

dam moje nowe skórzane kowbojskie buty". Przecież to idiotyzm! Dostanie kulkę w łeb, jak tylko go zapytają: "Co to za sytuacja krytyczna?". – To też miałyby swoje dobre strony – powtórzył BenAmi.

–Tym razem mam tu prawników! – ryknął Manny. – Wydaje wam się, że mój syn jest głupcem? Że zbudował imperium budowlane na miszegoss? Za każdym razem, jak tylko wpada mu w ręce coś konkretnego – nazwisko, miejsce, przedsiębiorstwo – kontaktuje się z Maskatem i nasz wspólny przyjaciel, sułtan, dzwoni do Amerykanów, Brytyjczyków, Francuzów i komu tam jeszcze ufa, spośród tych, którzy zainstalowali się w Omanie, i to oni ruszają do roboty. Ich ludzie, tutaj w Bahrajnie, zataczają coraz ciaśniejsze kręgi.

–To właśnie jedna z tych dobrych stron – powtórzył raz jeszcze BenAmi, kiwając głową.

–Do pewnego stopnia – zgodził się Czarny.

–A co pan będzie robił? – spytał nieco zgaszonym, acz nadal buńczuczным tonem Yaakov.

–Będę zastawiał sidła na lisa, który pożarł całą masę kurcząt w kurniku, o którego istnieniu nikt nawet nie wiedział – odparł Weingrass.

Kendrick otworzył szeroko oczy. Jakiś dźwięk, skrobanie – coś niepokojącego, co zakłóciło ciszę sypialni, nie mając przy tym nic wspólnego z ulicznym gwarem za wysokimi oknami. Było to bliższe, bardziej osobiste, jakby intymne. A jednak nie była to owa kobieta, Khalehla; ta zniknęła. Zerknął na moment na wgniecione poduszki obok siebie i pomimo wysiłków umysłu, starającego się ułożyć wszystkie dane w jakąś całość, nagle ogarnął go smutek. Przez owych kilka krótkich godzin, które spędził z tą kobietą, zależało mu na niej, wyczuwał między nimi ciepło, jedynie do pewnego stopnia stanowiące część ich szaleńczego miłosnego aktu, nie byłby się on bowiem wydarzył bez owego ciepłego uczucia bliskości. Która to godzina? Obrócił przegub i – nie znalazł zegarka. Psiakrew, suka dalej go miała przy sobie! Przetoczył się na skraj łóżka i spuścił nogi na podłogę, nie bacząc na okrywające go prześcieradło. Podeszwy stóp spoczęły na jakichś twardych przedmiotach; spojrzał pod nogi na biały niczym futro polarne niedźwiedzia dywan i ponownie zamrugął oczami. Wszystko, co znajdowało się w jego kieszeniach leżało teraz na podłodze – wszystko z wyjątkiem paczki papierosów, na które miał w tej chwili wielką ochotę. W tym samym momencie jego wzrok spoczął na zdobnej w złotą lamówkę kartce papieru na stoliku przy łóżku; wziął ją do ręki. "Sądzę, że byliśmy dla siebie dobrzy w chwili, kiedy obojgu nam dobroć była potrzebna. Niczego nie żałuję, z wyjątkiem jednego. Nie zobaczymy się więcej. Żegnaj." Żadnego nazwiska, żadnego adresu, po prostu Ciao, amico. Dwa mijające się w Zatoce Perskiej statki czy dwoje spiętych, skrzywdzonych ludzi późnym popołudniem w Bahrajnie – bez różnicy. Jednak nie było to już popołudnie: Kendrick zorientował się, że z trudem czyta wiadomość od Khalehli; przez okna sączyły się już tylko ostatnie pomarańczowe smugi zachodzącego słońca. Sięgnął po zegarek; była siódma pięćdziesiąt pięć: spał prawie cztery godziny. Umierał z głodu, zaś lata spędzone na pustyni, w górach i na górskich sływach nauczyły go, by nie wybierać się w ciężką podróż z pustym

zołądkiem. "Strażnik" – powiedziała. "Na zewnątrz" – wyjaśniła. Evan jednym szarpnięciem zerwał prześcieradło z łóżka, owinął je sobie wokół bioder i ruszył do drzwi. Zatrzymał się; na podłodze leżała koperta. To właśnie ten dźwięk usłyszał, koperty wsuwanej pod drzwiami, przepychanej na siłę i ślizgającej się w przód i w tył z powodu grubego dywanu. Podniósł ją, rozerwał i przeczytał. Lista – szesnastu nazwisk, adresów i numerów telefonicznych. MacDonald! Wykaz telefonów, jakie wykonał w Bahrajnie. Kolejny krok w stronę Mahdiego! Evan otworzył drzwi; wymiana pozdrowień z umundurowanym strażnikiem okazała się zbyteczna, strażnik bowiem natychmiast zwrócił się do niego po arabsku:

–Już pan nie śpi. Mieliśmy panu nie przeszkadzać aż do ósmej trzydzieści.

–Będę niezwykle zobowiązany, jeśli mi teraz przeszkodzicie, przynosząc coś do jedzenia. Kobieta mówiła, że mogę coś dostać z waszej kuchni.

–Owszem, wszystko, czego tylko pan sobie życzy, proszę pana. – Co tylko się znajdzie. Mięso, ryż, chleb... i mleko, mam ochotę na mleko. Byle szybko.

–Już biegnę, proszę pana! – Strażnik odwrócił się na pięcie i pospieszył korytarzem w stronę schodów. Evan zamknął drzwi i przez chwilę stał, próbując przyzwyczaić oczy do panującej już w pokoju ciemności. Włączył lampkę na skraju nieskończonej długiej komody, a następnie ruszył po puszystym dywanie do innych drzwi, prowadzących do jednej z najzasobniejszych łazienek w Bahrajnie. Wziąwszy prysznic i ogoliwszy się, wyszedł po dziesięciu minutach, ubrany w krótki aksamitny szlafrok. Podeszedł do szafy, gdzie, jak mówiła Khalehla, znajdowało się jego ubranie – "wykadzone, wyprane i wyprasowane". Otworzył lustrzane drzwiczki i niemalże nie rozpoznał dziwnego stroju, który dostał w ambasadzie w Maskacie; wyglądał on teraz jak szacowny mundur paramilitarny. Ułożył wykrochmalone ubrania na szezlongu, nie zdejmując niczego z wieszaków, po czym podeszedł z powrotem do łóżka i usiadł, przyglądając się rzeczom na podłodze. Kusiło go, by sprawdzić, czy z pasa na pieniądze nie zniknął żaden z grubych banknotów, zdecydował jednak, że tego nie robi. Jeśli Khalehla była złodziejką, nie chciał o tym wiedzieć, a przynajmniej nie w tej chwili. Zadzwoił telefon, jego ostry dźwięk bardziej przypominał przedłużone metaliczne brzęczenie niż dzwonek. Przez chwilę patrzył na aparat, zastanawiając się... kto to? Listę MacDonalda już miał, a był to jedyny telefon jakiego, według słów Khalehli, mógł się spodziewać. Khalehla? Czyżby zmieniła zdanie? W nagłym nieoczekiwanym porywie uczucia sięgnął po słuchawkę i przysunął ją gwałtownie do ucha. Osiem sekund później żałował tego z całego serca.

–Amrikani – wycedził monotony męski głos, z którego przebijała nienawiść. – Spróbuj opuścić królewską rezydencję przed nastaniem dnia, a możesz się pożegnać z życiem. Jutro grzecznie wrócisz tam, skąd przybyłeś, gdzie twoje miejsce.

* * *

Rozdział 14

Emmanuel Weingrass podniósł do ust radio Szarego i powiedział: – Ruszaj i pamiętaj, żeby nie wyłączać mikrofonu. Muszę wszystko słyszeć!

–Wybacz, Weingrass – odparł BenAmi ukryty w cieniu po drugiej stronie ulicy Rządowej. – Czułbym się cokolwiek bezpieczniejszy, gdyby nasz kolega Szary także

wszystko słyszał. My dwaj nie jesteśmy równie biegli w tego typu działaniach, co ci młodzi ludzie. – Oni nie mają ani krzty rozumu w tej ich zespołowej mózgowicy. My mamy aż dwa.

–To nie szkoła Emmanuel, to się nazywa akcja w terenie. Tu bywa bardzo nieprzyjemnie.

–Mam do ciebie pełne zaufanie, mój mały Benny, pod warunkiem, że jesteś mi w stanie zagwarantować, że te dziecięce radyjka słycać przez stal.

–Równie czysto jak każdą elektroniczną pluskwę, jaką kiedykolwiek skonstruowano. Mają przy tym dodatkową funkcję: nadają się do transmisji bezpośredniej. Trzeba tylko przycisnąć odpowiednie guziki.

–Nie "trzeba" – zaprzeczył Weingrass. – To ty musisz to zrobić. No, ruszaj, my pójdziemy za tobą, jak usłyszymy co mówi ten MacDonaldStrickland.

–Zrób mi przysługę i wyślij najpierw Szarego. – Wychynawszy z cienia koło zadaszenia nad wejściem do Hotelu Tylos, BenAmi zmieszał się z tłumem wchodzących i wychodzących. Byli to głównie mężczyźni, w większości ubrani po europejsku, jedynie gdzieniegdzie mignęła kobieta, wszystkie bez wyjątku ubrane podług mody zachodniej. Taksówki wyrzucały z siebie pasażerów, podczas gdy inni wsiadali do środka, wsuwając napiwek umęczonemu odźwiernemu, którego jedynym zadaniem było otwieranie i zamykanie drzwi, tudzież od czasu do czasu przywołanie przenikliwym dźwiękiem gwizdka skromnego gońca hotelowego, ubranego w thob, do poniesienia bagażu. BenAmi rzucił się w ów ludzki wir i wszedł do hotelu. Po chwili, poprzez odgłosy hotelowego gwaru dało się słyszeć, jak wybiera numer. Manny, mrużąc oczy z podenerwowania, trzymał radio między sobą, a o wiele od siebie wyższym, muskularnym Szarym. Pierwsze słowa z pokoju 202 były niewyraźne, następnie odezwał się agent Mosadu.

–Szajch Strickland?

–Kto mówi? – Nic nie zakłócało teraz ostrożnego szeptu Anglika; BenAmi dostroił radio.

–Jestem na dole... Anah henah litti džahrah...

–Cholerny czarny dureń! – krzyknął MacDonald. – Nie rozumiem tego waszego bełkotu! Czemu dzwonicz z recepcji?

–Sprawdzałem pana, panie Strickland – wtrącił szybko BenAmi. – Człowiek w stresie często się z czymś zdradza. Mógł mnie pan zapytać, dokąd mnie wiecie moja podróż w interesach, chcąc może przejść do kolejnego hasła. Wtedy bym wiedział, że nie jest pan tym człowiekiem...

–Dobrze, już dobrze, rozumiem! Bogu dzięki, że już tu jesteś! Długo to trwało. Spodziewałem się ciebie pół godziny temu. Miałeś mi coś powiedzieć. Mów!

–Nie przez telefon – odparł twardo agent Mosadu. – Nigdy nie przez telefon, chyba pan o tym wie.

–Jeśli sądzisz, że tak po prostu wpuszczę cię do siebie do pokoju...

–Nie zrobiłbym tego, gdybym był na pana miejscu – wszedł mu w słowo BenAmi. – Wiemy, że jest pan uzbrojony.

–Wiecie?

–Mamy informacje na temat wszelkiej pokątnie sprzedawanej broni.

–Tak... tak, oczywiście.

–Niech pan otworzy drzwi założone na łańcuch. Jeśli powiem coś niewłaściwego proszę mnie zabić.

–Tak... niech będzie. Jestem pewien, że nie zajdzie taka konieczność. Jednak pamiętaj, kimkolwiek jesteś, jedna sylaba nie tak i jesteś martwy!

–Poćwiczę angielski, szajch Strickland. Maleńkie, zielone światełko zamigotało nagle na niewielkim radiu w dłoni Weingrassa. – A to co za diabeł? – zdziwił się Manny.

–Transmisja bezpośrednia – odparł Szary. – Proszę mi je dać. – Komandos z Brygady Mosadu wziął przyrząd i nacisnął guzik. Słucham.

–Jest sam! – oznajmił głos BenAmiego. – Musimy działać szybko i wziąć go teraz.

–W ogóle nie będziemy działać, ty kretynie z Mosadu! – wściekł się Manny, wrywając radio. – Nawet mutanty z Operacji Konsularnych Departamentu Stanu słyszą, co się do nich mówi, ale nie święty Mosad! Ci słyszą wyłącznie własne głosy i może jeszcze głos Abrahama, jeśli akurat jakieś jego hasło wydobywa się z pudełka z owsianką! – Manny, oszczędź mi tego – z wolna, zbolalym głosem powiedział przez radio BenAmi.

–Gdzie się podziały twoje uszy, co, ganza macher"! Ten przygłup w każdej chwili spodziewa się kogoś od Mahdiego – kogoś, kto nie zadzwoni z recepcji, tylko pójdzie bezpośrednio do jego pokoju. Ten człowiek ma wypowiedzieć jakieś słowa, na dźwięk których MacDonald otworzy drzwi i to właśnie wtedy my włączymy się do zabawy i weźmiemy ich obu! A ty co miałeś zamiar zrobić? Wyłamać drzwi dzięki uprzejmości tego neandertalczyka, którego mam koło siebie? – No, tak...

–Mnie też proszę tego oszczędzić – burknął z cicha Szary. – Nic dziwnego, że wy, idioci, zawaliliście sprawę w Waszyngtonie. Myśleliście po prostu, że hasło to kryjówka agentów Mosadu, a nie telewizyjny show!

–Manny!

–Zabieraj tę swoją tajną dupę i szoruj na drugie piętro! Będziemy tam za dwie minuty, no jak, Złota Rączko?

–Panie Weingrass – rzekł Szary. Mięśnie jego szczupłej, muskularnej szczęki pracowały wściekle, gdy wyłączał radio. – Jest pan chyba najbardziej irytująco przykrym facetem, jakiego w życiu spotkałem.

–Oj, takie słowa! W Bronxie by ci się za to dostało – o ile dziesięciu, czy dwunastu moich irlandzkich i włoskich kumpli dałoby ci radę. No, chodź już! – Manny ruszył przez ulicę Rządową, a idący za nim Szary potrząsał nieustannie głową, nie w proteście, ale po to, by pozbyć się myśli, jakie mu się w niej kotłowały. Korytarz hotelowy był długi, a dywan wytarty. Nastąpiła pora kolacji, hotel świecił więc pustkami. Weingrass stał przy końcu; spróbował zapalić Gauloise'a, ale go zgasił, wypalając dziurę w dywanie: papieros wywołał w jego piersiach straszliwe dudnienie. BenAmi zajął pozycję przy najdalszej windzie – nieodłączny element hotelowych korytarzy, poirytowany gość, nie mogący się doczekać na urządzenie, które nie nadjeżdża. Szary znajdował się najbliżej pokoju 202, oparty niedbale o ścianę przy

drzwiach odległych o pięć metrów od pokoju "pana Stricklanda". Był zawodowcem; przybrał pozę młodego człowieka, czekającego z niecierpliwością na kobietę, z którą, być może, nie wolno mu się widywać – mogło się nawet wydawać, że prowadzi rozmowę przez zamknięte drzwi. Stało się, co się miało stać i na Weingrassie zrobiło to wrażenie. Umundurowany odźwierny z zadaszzonego wejścia do Hotelu Tylos wyszedł nagle z windy, trzymając w ręku obszywaną złotem czapkę. Podeszedł do pokoju numer 202. Zatrzymał się, zapukał, odczekał aż zamknięte na łańcuch drzwi zostaną uchylone i przemówił. Zdjęto łańcuch. Wtem Szary oderwał się od ściany i z agresywną szybkością tudzież determinacją lekkoatlety na igrzyskach, ruszył w stronę dwóch postaci w drzwiach i zdolawszy cudem wyciągnąć z zanadru pistolet, wpadł bokiem na dwóch wrogów, zderzając się z nimi z impetem i raz jeszcze cudem, przyciskając ich za pomocą rąk i stóp nawzajem do siebie, pchnął obu niby nierozłączną całość, rzucając ich na podłogę. Pistolet komandosa wydał z siebie dwa stłumione strzały; automat trzymany przez Anthony'ego MacDonalda został odstrzelony, a wraz z nim dwa palce mężczyzny. Weingrass i BenAmi spotkali się w drzwiach i wpadli do środka, zatraskując je za sobą.

–Boże, co oni mi zrobili! – zawył Anglik z podłogi, chwytając się za broczącą krwią prawą rękę. Jezu Chryste! Przecież ja nie mam... – Niech pan przyniesie ręcznik z łazienki – spokojnie rozkazał BenAmiemu Szary. Agent Mosadu wykonał polecenie młodszego mężczyzny.

–Ja jestem tylko posłańcem! – skamlał odźwierny, wijąc się z przerażenia koło łóżka. – Miałem tylko dostarczyć wiadomość! – Akurat, posłaniec jak cholera – rzekł Emmanuel Weingrass, stając nad mężczyzną. – Jesteś wprost idealny, sukinsynu. Widzisz kto wchodzi i wychodzi – robisz za ich pieprzone oczy. O, już ja sobie z tobą porozmawiam.

–Nie mam dłoni! – piszczał otyły MacDonald, a krew strużkami spływała mu po ręce.

–Trzymaj! powiedział BenAmi, klękając i owijając ręcznik Anglikowi wokół odstrzelonych palców.

–Proszę tego nie robić – rozkazał Szary, chwytając ręcznik i odrzucając go na bok.

–Sam mi go pan kazał przynieść – zaoponował BenAmi, zbity z tropu.

–Zmieniłem zdanie – rzekł Szary głosem, który nagle przybrał lodowaty ton, i przytrzymał rękę MacDonalda w dole, tak, że krew trysnęła strugą z dwóch kikutów. – Krew – ciągnął komandos Mosadu zwracając się spokojnie do Anglika – a zwłaszcza krew z prawej ręki – z aorty, która wypychana jest z serca – będzie spływała wyłącznie na tę podłogę. Nie będzie miała innej możliwości. Dociera do ciebie, co mówię, chanzir! Rozumiesz, wieprzu? Albo nam powiesz to, co musimy wiedzieć, albo odpłynie z ciebie życie. Gdzie jest Mahdi? Kto to taki?

–Nie wiem! – krzyknął Anthony MacDonald kaszląc. Po policzkach płynęły mu ciurkiem łzy. – Tak jak wszyscy dzwonię pod kilka numerów – a potem ktoś oddzwania! To wszystko, co wiem! Komandos podniósł gwałtownie głowę. Nauczono go słyszeć dźwięki i wyczuwać wibracje, których nie słyszeli i nie wyczuwali inni. –

Na ziemię! – szepnął ostro do BenAmiego i Weingrassa. – Przesuńcie się pod ścianę! Za krzesła, za cokolwiek! Hotelowe drzwi rozwarły się z łomotem. Trzech Arabów w nieskazitelnie białych obojach, z twarzami przysłoniętymi materiałem, wpadło w otwartą przestrzeń pokoju strzelając z pistoletów maszynowych z tłumikiem do oczywistego celu, jakim byli MacDonald i odźwierny z Tylos. Wrzeszczące rozciągnięte na ziemi ciała uderzały głucho o ziemię pod gradem kul niby młoty pneumatyczne, dopóki wszelki dźwięk nie zamarł na zawsze na ich zakrwawionych ustach. Nagle zabójcy uświadomili sobie obecność w pokoju innych jeszcze osób; machnęli bronią, tnąc powietrze w poszukiwaniu nowego celu, jednakże na próżno, nie mogli się bowiem równać z niezwykle sprawnym w zadawaniu śmierci Szarym z Brygady Mosadu. Komandos podbiegł z lewej strony do otwartych drzwi, przycisnąwszy plecy do ściany, z wyszarpniętym zza paska pistoletem Uzi. Jedną przeciąglą salwą załatwił trzech oprawców na miejscu. Śmiertelnych odruchów nie było. Każda czaszka rozprysnęła się na kawałki.

–Wynosimy się stąd! – krzyknął Szary, pochylając się nad Weingrassem i pomagając starcowi wstać. – Na klatkę schodową przy windach!

–Gdyby nas zatrzymano, jesteście trójką ludzi, którzy wpadli w panikę na odgłos strzałów. Kiedy byli już na ulicy Rządowej i odpoczywali w zaułku, prowadzącym na bulwar Szejka Hamada, Szary zaklął nagle pod nosem, bardziej do siebie niż do swych towarzyszy. – Cholera, szlag by to trafił! Że też musiałem ich zabić! – Nie miał pan wyboru – stwierdził agent Mosadu, – Wystarczyło, żeby raz nacisnęli na spust i wszyscy bylibyśmy martwi, a jeden z nas na pewno.

–Ale gdybyśmy tak wzięli żywcem choć jednego, tylu rzeczy mogliśmy się dowiedzieć – odparł człowiek z jednostki Mosadu. – I tak się czegoś dowiedzieliśmy, Złota Rączko – rzekł Weingrass. – Czy mógłby pan wreszcie przestać!

–Właściwie to pieścizotliwe przezwisko, młody człowieku... – Czego się dowiedzieliśmy, Manny?

–MacDonald za dużo mówił. W panice Anglik powiedział ludziom przez telefon rzeczy, których nie powinien był powiedzieć, musiał więc zginąć za długi język.

–Co ma z tym wspólnego odźwierny? – nie mógł zrozumieć Szary. – Bardzo wiele. Otworzył drzwi pokoju MacDonalda przed plutonem egzekucyjnym Mahdiego. Twój pistolet narobił sporo hałasu, oni nie... A teraz, ponieważ wiemy o długim języku MacDonalda i o jego egzekucji, możemy założyć zaistnienie dwóch niezwykle istotnych faktów – to coś jak współczynniki naprężeń podczas projektowania zwisającego balkonu na budynku: jeden ciężar wychylony poza środek ciężkości na innym również nachylonym pod kątem. – Manny, do diabła, co ty wygadujesz?

–Mój chłopak, Kendrick, zrobił lepszą robotę niż mu się pewnie zdaje. Mahdi się boi. Nie ma właściwie pojęcia, co się dzieje, a teraz, kiedy zabił gadułę, nikt mu już tego nie powie. Popełnił błąd, czy to nie powód do radości? Mahdi popełnił błąd.

–Jeśli pańskie projekty architektoniczne są równie zawile, jak pan sam, panie Weingrass – rzekł Szary – to mam nadzieję, że żaden z pańskich pomysłów nie zostanie wprowadzony w życie w Izraelu. – Och, ten chłopak nie zapomina języka w gębie! Jesteś pewien, że nie chodziłeś do technikum w Bronxie? Nieważne.

Rzućmy okiem na to, co się dzieje w Meczezie Dżami... Powiedz no, Złota Rączko, czyś ty kiedykolwiek w życiu popełnił błąd?

–Wydaje mi się, że było to w chwili, kiedy przyjechałem do Bahrajnu...Odpowiedź nie dotarła do Emmanuela Weingrassa. Starzec stał oparty o ścianę w ciemnym zaułku, zgięty w.pół przez nagły atak kaszlu.

Kendrick, zdumiony, wpatrywał się w trzymaną w rękę słuchawkę, by po chwili rzucić ją ze złością na widełki – ze złością, frustracją i obawą. Spróbuj opuścić królewską rezydencję przed nastaniem dnia, a możesz się pożegnać z życiem... Wracaj grzecznie tam, skąd przybyłeś, gdzie twoje miejsce. Jeśli potrzebował ostatecznego potwierdzenia tego, że coraz bardziej osacza Mahdiego, to je miał, wraz z wszystkim, co ono niosło. Praktycznie rzecz biorąc był więźniem; wystarczyło, żeby przekroczył próg eleganckiej miejskiej rezydencji i faceci, którzy czekali na niego na zewnątrz zastrzeliliby go na miejscu. Nawet jego "wykadzonego, wypranego i wyprasowanego" ubrania nie wzięto by za nic innego, niż to, czym było w istocie: wyczyszczony strój terrorysty. Rozkazu natomiast, każącego mu wracać tam, skąd przybył, nie należało brać poważnie. Zdawał sobie sprawę z niechęci, jaką wzbudziłby pomysł zabicia amerykańskiego kongresmana, nawet w sytuacji, kiedy jego obecność w Bahrajnie można by z łatwością powiązać z potwornościami w Maskacie, gdzie kiedyś pracował. Zbombardowany Oman, starty z powierzchni ziemi zgodnie z wolą sporej liczby Amerykanów godziłby w interesy Mahdiego – aczkolwiek nie mógł on również nijak pozwolić owemu kongresmanowi na powrót do Waszyngtonu. Mimo braku jakichkolwiek dowodów rzeczowych wiedział on zbyt wiele, inni zaś, bardziej doświadczeni w sztukach magicznych mogli owe wiadomości wykorzystać; rozwiązanie Mahdiego było aż nadto oczywiste. Ciekawski, wsadzający nos w nie swoje sprawy Amerykanin będzie kolejną ofiarą tych strasznych czasów – oczywiście razem z innymi. Masakra na lotnisku; wysadzony w powietrze samolot; bomba w kawiarni tyle możliwości, pod warunkiem, że wśród zabitych będzie ów człowiek, który dowiedział się zbyt wielu rzeczy. Koniec wyglądał tak, jak go sobie wyobraził na początku. On i Mahdi. On albo Mahdi. Przegrał, a jego przegrana była tak oczywista, jak gdyby znalazł się w ścianach budynku pod tysiącem ton betonu i stali walących mu się na głowę. Zapukano ostro do drzwi. – Odchu! – powiedział po arabsku, zapraszając pukającego do środka i instynktownie podnosząc broń z białego dywanu. Wszedł strażnik, umiejętnie utrzymując wielką tacę na lewej dłoni. Evan wcisnął pistolet pod poduszkę i wstał z łóżka, strażnik zaś niósł jedzenie w stronę białego biurka. – Wszystko gotowe, proszę pana! – zakrzyknął z niemałym triumfem. – Sam osobiście wybierałem każdą rzecz, kierując się jej smakowitością. Moja żona mówi, że powinienem być zostać kucharzem, a nie żołnierzem...Kendrick nie słyszał reszty peanu żołnierza na własną cześć. W zamian nagle zafascynował go widok mężczyzny. Miał on około 185 centymetrów wzrostu, był barczysty i szczycił się godną pozazdroszczenia smukłą talią. Poza ową irytującą talią miał on wymiary Evana albo też bardzo zbliżone. Kendrick zerknął na czyste, wykrochmalone ubranie na szeslongu, a następnie ponownie na kolorowy, czerwoniebieski mundur sfrustrowanego kucharzażołnierza. Długo się nie zastanawiając sięgnął po ukrytą

broń, podczas gdy żołnierz, mrużąc niby włoski cuciniere supremo, stawiał parujące talerze na biurku. Jedyna myśl, jaka krążyła teraz Kendrickowi po głowie obracała się wokół tego, że celem dla kul będzie wyczyszczony strój terrorysty, nie zaś mundur bahrajńskiej Straży Królewskiej, a już na pewno nie na kimś, kto będzie wychodził z królewskiej rezydencji. Właściwie było to jedyne rozwiązanie. Jeśli nie zrobi nic, rano będzie martwy – ktoś gdzieś go dopadnie. Musiał coś zrobić. Obszedł wielkie łożo dookoła, stanął za strażnikiem i z całej siły uderzył go kolbą w kiwającą się, pomrukującą głowę. Strażnik upadł na ziemię, straciwszy przytomność, Evan zaś, raz jeszcze długo się nie namyślając, usiadł przy biurku i zaczął jeść szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Dwanaście minut później, żołnierz leżał na łożku, związany i zakneblowany, Evan przeglądał się w lustrze. Pognieciony czerwoniębski mundur mogłyby zapewne poprawić doświadczony palce krawca, mimo to jednak w cieniu wieczornych ulic był on do zaakceptowania. Przerzucił cały rząd szaf w poszukiwaniu reklamówki i wepchnął do niej swoje ubranie z Maskatu. Spojrzał na telefon. Wiedział, że z niego nie skorzysta, nie może z niego skorzystać. Jeśli nie zginie na ulicy przed domem, zadzwoni do Azry z innego. Azra, bez marynarki, za to z zamocowanym na ramieniu futerałem na broń, przemierzał gniewnie pokój w Hotelu Aradus, pochłonięty myślą o zdradzie. Gdzie był Amal Bahrudi – człowiek o niebieskich oczach, który sam siebie zwał Bahrudim? Czy był on rzeczywiście kimś innym, kimś, kogo głupi, opasły Anglik nazywał "Kendrickiem"? Czy wszystko to było pułapką, która miała na celu złapanie w sidła członka rady organizacyjnej w Maskacie, pułapką, dzięki której miano schwytać terrorystę znanego powszechnie jako Błękitny?... Terrorystę? Jakież to typowe dla syjonistycznych zabójców z Irgun Zvai Leumi i Haganah! Jakże łatwo im przyszło wymazanie z pamięci masakry "Dżepthah" i Deir Jasin, nie mówiąc już o ich nieoficjalnych plutonach egzekucyjnych w Sabrze i Szatili! Kradną ojczyste ziemie, sprzedają coś, co do nich nie należy i zabijają dziecko za to, że niesie palestyńską flagę – nazywając to "wypadkiem spowodowanym nadgorliwością" – i przy tym wszystkim to my jesteśmy terrorystami!... Jeśli Hotel Aradus jest pułapką, nie może pozostać zamknięty w pokoju; jeśli nią jednak nie jest musi czekać w miejscu, gdzie można się z nim skontaktować. Mahdi był dla nich wszystkim, dawał im bowiem środki na podtrzymanie nadziei, na szerzenie prawd o ich prawach. Kiedy wreszcie świat ich zrozumie? Kiedy Mahdiemu podobni światowi krezusi przestaną odgrywać taką rolę? Zadzwonił telefon i Azra podbiegł do niego. – Tak? – Spóźniłem się, ale jestem w drodze. Znaleźli mnie; o mało mnie nie zabili na lotnisku, ale uciekłem. Możliwe, że i ciebie też już wyśledzili do tej pory.

–Co takiego?

–Przecieki w systemie. Wyjdź stamtąd, ale nie idź przez recepcję. Są tam schody zaprojektowane jako wyjście przeciwpożarowe. Jest ono chyba gdzieś od południowej strony holu. Północnej albo południowej, jedno z dwojga. Zejdź tamtędy i przejdź przez kuchnię restauracji do wyjścia dla pracowników. Wyjdiesz prosto na Wadi alAd. Przejdź na drugą stronę ulicy; zabiorę cię stamtąd. – Jesteś tym, kim jesteś, Amalu Bahrudi? Mogę ci zaufać?

–Zdaje się, że obaj nie mamy wyboru.

–To nie jest odpowiedź.

–Nie jestem twoim wrogiem – skłamał Evan Kendrick. – Nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi, ale nie jestem twoim wrogiem. Nie stać mnie na to. A ty tracisz tylko czas, poeto, który po części jest i mój. Będę tam za pięć minut. Pospiesz się!

–Idę.

–Uważaj na siebie. Azra odłożył słuchawkę i poszedł po broń, wyczyszczoną kilkakrotnie i ułożoną w schludnym rzędku na komodzie. Wziął małego automatycznego Heckler Koch P9S, przykląkł, podnosząc w górę lewą nogawkę spodni i zatknął broń za krzyżujące się na łydce pod kolanem paski. Podniósł się, zabrał z komody większy, mocniejszy pistolet Mauser Parabellum i wsunął go w futerał na ramieniu, po czym to samo zrobił z leżącym w pochwie nożem myśliwskim, który spoczął obok pistoletu. Podszedł do krzesła, przez które przerzucona była marynarka od świeżo zakupionego garnituru, włożył ją, wreszcie skierował się w stronę drzwi i gwałtownym ruchem wy dostał na korytarz. Nie zauważyłby niczego dziwnego, gdyby nie pełna koncentracja na okolicach klatki schodowej i chęć zaoszczędzenia czasu – mierzonego teraz w minutach, w ułamkach minut. Ruszył w prawo, w stronę południowego końca holu. Jego wzrok podświadomie odnotował zamykane drzwi, które nie były otwarte, lecz za ledwie lekko uchylone. Bez znaczenia; niedbały gość hotelowy, kobieta z Zachodu, niosąca zbyt wiele pudełek z zakupami. Nie mogąc dostrzec znaku z napisem exit, oznaczającego klatkę schodową, odwrócił się prędko w tył, chcąc sprawdzić drugi, północny wylot korytarza. Inne drzwi, tym razem uchylone na szerokość nie większą niż dwa cale, zamknęły się spiesznie po cichu. Pierwsza obserwacja nie była już bez znaczenia, gdyż druga ją potwierdziła. Znaleźli go! Jego pokój był pod obserwacją. Czyją? Kim byli ci oni? Azra szedł dalej, teraz już w stronę północnego końca korytarza, jednak w chwili, gdy minął drugie drzwi, uskoczył pod ścianę, sięgnął pod marynarkę po nóż myśliwski o długim ostrzu i czekał. Drzwi otworzyły się w przeciągu sekund; zrobił obrót i znalazł się przy framudze, twarzą w twarz z człowiekiem, o którym wiedział, że jest jego wrogiem: mocno opalonym, muskularnym mężczyzną mniej więcej w tym samym wieku co on – izraelski komandos! Zaskoczony Żyd zamiast broni trzymał w ręku radio; był nie uzbrojony! Azra pchnął nożem na wprost, celując w gardło mężczyzny. Jednym błyskawicznym ruchem komandos uniknął ciosu; terrorysta ciął teraz łukiem prosto w jego nadgarstek; radio upadło na zasłaną dywanem podłogę, a Azra kopnął w drzwi, zatrzaskując je; dał się słyszeć dźwięk zaskakującego automatycznego zamka. Chwyając się za przegub, Izraelczyk wyrzucił do przodu prawą stopę, trafiając precyzyjnie w lewą rzepekę Palestyńczyka. Azra zatoczył się. Kolejny stalowy palec u nogi ugodził go z boku w szyję, a następnie wbił się w żebra. Kął był jednak dogodny; Hebrajczyk balansował na jednej nodze! Terrorysta rzucił się gwałtownie do przodu z nożem stanowiącym przedłużenie ręki i jednym pchnięciem wbił go w brzuch komandosa. Trysnęła krew, zalewając twarz Azry, a Izraelczyk o pseudonimie Pomarańczowy z Brygady Mosadu upadł na podłogę. Palestyńczyk podniósł się z wysiłkiem; przenikliwy ból przeszywał mu żebra i kolano, zaś ścięgnięta w szyi były

niemal sparaliżowane. Wtem bez żadnego ostrzeżenia drzwi do pokoju otwały się z impetem na oścież, wyłamując hotelowy zamek. Drugi komandos, młodszy od poprzedniego, sięgał po broń umieszczoną w kaburze na prawym biodrze. Na potężnych nagich ramionach drgały w napięciu mięśnie, zaś rozwścieczone oczy przebiegały zaskakującą scenę. Azra zrobił gwałtowny wypad w przód, rzucając Izraelczyka na drzwi, które zamknęły się z trzaskiem. Pistolet komandosa o pseudonimie Błękitny zakręcił się spiralnie po podłodze, uwalniając prawą rękę mężczyzny, tak by mógł nią zatrzymać w pół drogi cios Palestyńczyka, który zamierzył się nań nożem z ociekającym krwią ostrzem. Żyd wbił terrorystę kolano w żebra, wykręcając mu równocześnie rękę w prawo i zmuszając, by pochylił się aż do podłogi. Palestyńczyk nie wypuszczał jednak noża! Mężczyźni odskoczyli od siebie, przygięci do ziemi, nie spuszczać z siebie wzroku, w którym czaiła się pogarda i nienawiść.

–Chcesz zabijać Żydów, to spróbuj zabić mnie, wieprzu! – wrzasnął Yaakov.

–Czemu nie? – odparł Azra, tnąc nożem powietrze, by odsunąć od siebie Izraelczyka. – Ty zabijasz Arabów! Zabiliście mi matkę i ojca, to tak jakbyś ty sam nacisnął na spust!

–A ty zabiłeś moich dwóch braci na patrolach w Sydonie!

–Bardzo możliwe! Mam nadzieję, że tak! Byłem tam!

–Ty jesteś Azra! Dwaj młodzi mężczyźni niby oszalałe zwierzęta rzucili się na siebie, jak gdyby sami byli ucieleśnieniem gwałtu, zaś odebranie życia – zniechęcenie życia jedyną racją ich bytu. Ze zranionych ciał trysnęła krew, a spośród rozrywanych tkanek i pękających kości dochodziły gardłowe okrzyki zemsty i nienawiści. Wreszcie nastąpił koniec, równie gwałtowny jak początek bójki; zwyciężyła czysta, brutalna siła. W gardle terrorysty utkwiał nóż, obrócony jeszcze i wbity aż po rękogłębokość przez komandosa z Brygady Mosadu. Yaakov, wyczerpany i utapany we krwi, oderwał się od ciała wroga. Spojrzał na swego zamordowanego druha o pseudonimie Pomarańczowy i zamknął oczy. – Szalom – szepnął. – Obyś odnalazł spokój, którego wszyscy szukamy, przyjacielu. Otworzył oczy, stwierdził jednak, że nie ma czasu na oplakiwanie towarzysza. Należało uprzątnąć jego ciało, podobnie jak ciało wroga. Musiał skontaktować się z resztą; dowiedzieć się co dalej. Zabójca Azra nie żył! Teraz mogli już lecieć z powrotem do Maskatu, musieli tam lecieć. Do ojca! Obolały Błękitny pokuśtykał do łóżka i odrzucił kapę, odsłaniając pistolet maszynowy Uzi należący do martwego towarzysza. Podniósł go, niezgrabnie przełożył rzemień przez ramię i podszedł do drzwi, by rzucić okiem na korytarz. Do ojca! Przyczajony w cienistych zakamarkach Wadi alAd, Kendrick wiedział, że nie może już dłużej czekać, ani też ryzykować wykonania telefonu. Z kolei nie mógł tak tkwić pośród liści naprzeciw Aradus i nie robić niczego! Czas uciekał, a człowiek Mahdiego spodziewał się na spotkaniu marionetki Azry, nowo ukoronowanego księcia terrorystów. Doszedł do wniosku, że wszystko to jest bardzo proste. Odkryto go: dzięki wydarzeniom na lotnisku, albo przez przeciek w Maskacie – za sprawą sparaliżowanych paniką mężczyzn z przeszłości, z którymi rozmawiał, mężczyzn, którzy z wyjątkiem Mustafy, odmawiali spotkania z nim i mogli go zdradzić dla

własnego bezpieczeństwa – w końcu to z tego właśnie powodu któryś z nich zabił Musty'ego. Nie możemy się w to mieszać! To obłąd. Nasze rodziny nie żyją! Nasze dzieci są gwałcone, oszpecone... martwe! Strategia Mahdiego była oczywista. Odizolować Amerykanina i czekać, aż terrorysta przyjdzie sam na miejsce spotkania. Zabrać młodego zabójcę, likwidując tym samym pułapkę, bez Amerykanina pułapka bowiem nie istniała, pozostawał jedynie sam niepotrzebny nikomu Palestyńczyk. Zabić go, ale wcześniej dowiedzieć się, co zaszło w Maskacie. Gdzie był Azra? Od czasu, kiedy rozmawiali upłynęło trzydzieści siedem minut. Arab, zwany Błękitnym spóźniał się trzydzieści dwie minuty! Evan spojrzął na zegarek po raz jedenasty i przeklął w myśli z wściekłością, zaś owe nie wypowiedziane słowa były zarówno prośbą o pomoc, jak wybuchem gniewu, reakcją na kłębiące się chmury frustracji. Musiał zrobić jakiś ruch, cokolwiek! Dowiedzieć się, gdzie jest Azra, bez terrorysty bowiem zastawiona na Mahdiego pułapka brała w łeb. Człowiek Mahdiego nie pokaże się komuś, kogo nie zna, kogo nie rozpoznaje. Był już tak blisko! A w rzeczywistości tak bardzo daleko! Kendrick wrzucił reklamówkę z wykrochmalonym ubraniem z Maskatu w największy gąszcz krzewów, rosnących wzdłuż chodnika na Wadi alAd. Przeszedł na drugą stronę alei, kierując się w stronę wejścia dla pracowników – postawny, wyprostowany żołnierz Straży Królewskiej wyniośle wykonujący swe służbowe obowiązki. Gdy przemierzał szybkim krokiem wybrukowaną alejkę, zmierzając do wejścia dla służby, kilku wychodzących służących skłoniło mu się uniżenie z wyraźną nadzieją, że ich nie zatrzyma i nie zacznie szukać drobnych skarbów, jakie ukradli z hotelu, takich jak mydło, papier toaletowy czy kaski żywności zebrane z talerzy gości z Zachodu, wykończonych po podróży samolotem bądź pijanych i zbyt nieprzytomnych, by jeść. Standard; Evan był tu kiedyś; to właśnie dlatego wybrał Hotel Aradus. Raz jeszcze Emmanuel Weingrass. Uciekali kiedyś" z tego hotelu wraz z Mannym, po którym wszystkiego się można spodziewać, przez kuchnię, ponieważ przyrodni brat emira zasłyszał gdzieś, że Weingrass obiecał przyrodniej siostrze owego królewskiego brata obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, jeśli pójdzie z nim do łóżka – był to zaś przywilej, którym Manny w żaden sposób nie był w stanie jej obdarzyć. Kendrick przeszedł przez kuchnię, dotarł do schodów od strony południowej i wszedł ostrożnie na drugie piętro. Wyciągnął rewolwer zza swego szkarłatnego uniformu i otworzył drzwi. Korytarz był pusty, jako że w istocie była to wieczorna pora, o której przebywający w Bahrajnie bogaci goście przesiadywali w kafejkach i ukrytych kasynach. Trzymając się blisko lewej ściany, podszedł do pokoju 201, zważając na każdy krok. Nadstawił ucha; cisza. Zapukał z cicha.

–Odchulu – odezwał się po arabsku cichy głos, zapraszając do środka nie jedną, lecz więcej osób. Dziwne – coś się nie zgadzało. Evan z niepokojem wyciągnął rękę w stronę gałki u drzwi. Dlaczego użyto liczby mnogiej, dlaczego zwrócono się do więcej niż jednej osoby? Przekręcił gałkę, przylgnął z powrotem do ściany i otworzył drzwi kopnięciem prawej stopy. Cisza, jak gdyby pokój był pustą jaskinią, a dziwny głos pozbawionym ludzkiego oblicza nagraniem. Ściskając mocno nie znaną i nie chcianą, ale konieczną broń, Kendrick prześliznął się koło framugi i wszedł do środka... Boże!

To co zobaczył zmroziło mu krew w żyłach! Azra leżał oparty niedbale o ścianę z nożem w gardle i szeroko wytrzeszczonymi w śmiertelnym spazmie oczami. Po jego piersi nadal spływały strużki krwi. – Twój przyjaciel, wieprz, nie żyje! – oznajmił cichy głos za jego plecami. Evan obrócił się jak błyskawica do tyłu, by stanąć twarzą w twarz z młodym człowiekiem równie zbrukany krwią, co Azra. Ranny zabójca stał wsparty o ścianę, z trudem utrzymując się na nogach, w rękę trzymał zaś pistolet maszynowy Uzi.

–Kim jesteś? – wyszeptał Kendrick. – Coś ty, u diabła, zrobił? – dodał, teraz już krzyżąc. Mężczyzna pokuśtykał spiesznie do drzwi i zamknął je, z bronią wciąż wcelowaną w Evana.

–Zabiłem mężczyznę, który bez najmniejszych skrupułów wybiłby do nogi moich ludzi, gdyby tylko zdołał ich odnaleźć – który zabiłby mnie.

–Chryste, przecież ty jesteś Żydem!

–A ty jesteś tym Amerykaninem.

–Czemuś to zrobił? Co ty tu w ogóle robisz?

–Nie przyszedłem tu z własnej woli.

–To nie żadna odpowiedź!

–Mam rozkaz, żeby nie udzielać odpowiedzi.

–Musiałeś go zabić? – krzyknął Kendrick, obracając się do tyłu i krzywiąc ze zgrozy na widok martwego, okaleczonego Palestyńczyka. – Używając jego słów "Czemu nie?" Oni zarzynają nasze dzieci na szkolnych boiskach, wysadzają w powietrze samoloty i autobusy pełne naszych obywateli, zabijają naszych lekkoatletów w Monachium, strzelają starcom w głowę tylko dlatego, że są Żydami. Podkradają się na plażach pod naszą młodzież, naszych braci i siostry i mordują ich – dlaczego? Dlatego, że jesteśmy Żydami i wreszcie dane nam jest żyć na maciupieńkim skrawku jałowej, dzikiej ziemi, którą sami poskromiliśmy. My! Nie kto inny.

–On nie miał nawet okazji...

–Daruj sobie, Amerykaninie! Wiem, co się święci i napawa mnie to obrzydzeniem. W końcu wszystko sprowadza się do tego, co zawsze. W głębi duszy, szeptem, świat nadal chce obarczyć winą Żyda. Po tym wszystkim, co nam uczyniono, to w dalszym ciągu my siejemy niezgodę. To posłuchaj teraz, ty wpychający nos w nie swoje sprawy amatorze: nie potrzebujemy waszych uwag, waszego poczucia winy ani waszego współczucia. Chcemy tylko tego, co nasze! Po to wyszliśmy z obozów, pieców i komór gazowych, żeby upomnieć się o swoje. – Niech cię diabli! – ryknął Evan wielkim głosem, wskazując gniewnym gestem zakrwawione zwłoki terrorysty. Mówisz zupełnie tak samo jak on! Jak on! Kiedy wy wreszcie skończycie z tym wszystkim?

–Jakie to ma dla ciebie znaczenie? Wracaj do swojej bezpiecznej rezydencji i ekskluzywnego klubu za miastem. Zostaw nas w spokoju, Amerykaninie. Wracaj tam, gdzie twoje miejsce. Czy sprawiły to te same słowa, które zaledwie przed godziną słyszał przez telefon, czy nagła wizja kawałów betonu walących się jak lawina na siedemdziesiąt osiem krzyżących, bezradnych kochanych osób, czy też nagła

świadomość tego, że zniechęcony Mahdi zaczyna mu się wymykać z rąk – nigdy się tego nie dowie. W tym momencie wiedział tylko jedno: że rzuca się na zdumionego, rannego Izraelczyka, a po policzkach płyną mu łzy wściekłości.

–Ty podły draniu! – wrzeszczał, wytrącając młodemu człowiekowi Uzi z ręki, odrzucając pistolet na drugi koniec pokoju i przyciskając osłabionego komandosa do ściany. Jakie ty masz prawo, żeby mi mówić, co mam robić, albo dokąd pójść? Przyglądamy się, jak zabijacie się wzajemnie i wysadzacie w powietrze siebie wraz z wszystkim wokół w imię ślepych haseł! Poświęcamy życie ludzkie i pieniądze, wysilamy całą swoją inteligencję i wyzbywamy się całej energii, próbując wpoić wam odrobinę rozsądku, ale nie, żaden z was nie ustąpi choćby o cal! Może rzeczywiście powinniśmy zostawić was w spokoju i pozwolić wzajemnie się masakrować, pozwolić fanatykom wyrzynać jeden drugiego, tak żeby w końcu został przy życiu wyłącznie ktoś, kto ma choć trochę oleju w głowie! – Wtem Kendrick odskoczył od Żyda i pobiegł na drugi koniec pokoju, by podnieść Uzi. Wróciwszy na miejsce, wycelował złowieszczo broń w komandosa. – Kim jesteś i skąd się tu wzięłeś?

–Mam pseudonim Błękitny. Oto cała moja odpowiedź i innej nie dostaniesz...

–Pseudonim jaki?

–Błękitny.

–O, Boże... – wyszeptał Evan, spoglądając na martwego Azrę. Odwrócił się na powrót do Izraelczyka i bez słowa wręczył zdumionemu komandosowi pistolet. – Proszę bardzo – powiedział cicho. – Wystrzelaj w cholerę cały świat. Gówno mnie to obchodzi. – To rzekłszy, Kendrick skierował się ku drzwiom i wyszedł z pokoju. Yaakov spoglądał na zamknięte drzwi, za którymi zniknął Amerykanin, a następnie na leżącego bezładnie na podłodze, opartego o ścianę trupa. Lewą ręką skierował broń w dół, prawą zaś wyciągnął zza paska miniaturowe radio o dużym zasięgu. Nacisnął guzik.

–Itkłem – odezwał się głos Czarnego spoza hotelu.

–Skontaktowałeś się z innymi?

–Zrobił to C. Są tu – albo raczej widzę ich, jak idą po Wadi alAd. Nasz starszy kolega jest z C; S jest z najstarszym, ale z nim coś chyba niedobrze. S go podtrzymuje. A co u ciebie?

–Na razie nie nadaję się do rozmów, może później.

–A jak tam Pomarańczowy?

–Nie żyje...

–Co takiego?

–Nie ma czasu. Wieprz także. Podmiot zmierza do wyjścia; ma na sobie czerwone niebieski mundur. Idź za nim. Jest na skraju wytrzymałości. Połączcie się ze mną w moim pokoju, będę tam. Evan poruszał się jak w transie. Przeszedł na drugą stronę Wadi alAd i ruszył w kierunku krzaków, w które wrzucił plastikową torbę. Nie było w zasadzie istotne, czy nadal się tam znajduje; tyle że byłoby mu wygodniej, a przy tym na pewno poruszałyby się znacznie szybciej i nie rzucał tak w oczy w ubraniu z Maskatu. Tak czy inaczej skoro posunął się tak daleko, nie mógł się teraz wycofać. Wystarczy jeden człowiek; te słowa Kendrick powtarzał sobie w myśli

bezustannie. Gdyby tak udało mu się znaleźć na miejscu spotkania jego – Mahdiego! Musiał go odnaleźć! Reklamówka była tam, gdzie ją zostawił, zaś cień rzucany przez krzewy świetnie nadawał się do jego celów. Przykucnąwszy w najgęstszych krzakach, powoli przebrał się w stare ubranie. Wyszedł na chodnik i ruszył w kierunku zachodnim, w stronę ulicy Szejka Isy i Meczetu Dzami.

– Itkłem – powiedział Yaakov przez radio, leżąc na łóżku we własnym, nieskazitelnym pokoju pośród rozrzuconych na kapie mokrych, letnich ręczników, podczas gdy inne opinały mu ciasno rany. – Tu S – powiedział Szary. – Bardzo z tobą źle?

– Głównie rany cięte. Straciłem trochę krwi. Wygrzebię się z tego. – Zgadzasz się zatem, że bym to ja przejął do tego czasu dowództwo?

– Takie były ustalenia.

– Chciałem to usłyszeć od ciebie.

– No to usłyszałeś.

– Muszę usłyszeć coś jeszcze. Teraz kiedy wieprz został wyeliminowany, czy chcesz, żebyśmy zaprzestali akcji i wracali do Maskatu? Mogę to przeprowadzić na siłę, jeśli twoja odpowiedź brzmi "tak". Yaakov wbił wzrok w sufit. Bił się z myślami; jadowite słowa Amerykanina wciąż jeszcze paliły mu uszy.

– Nie – rzekł z namysłem. – Ten człowiek posunął się za daleko. Zbyt wiele ryzykuje. Zostańcie z nim.

– Co do W. Nie chciałbym go ze sobą zabierać. Może zostawiłbym go z tobą...

– Nigdy się na to nie zgodzi. Tam jest przecież jego "syn", nie pamiętasz?

– Fakt, nie ma o czym mówić. Mogę tylko dodać, że jest niemożliwy.

– Co ty nie powiesz...?

– Owszem, powiem coś jeszcze – przerwał Szary. – Podmiot zrzucił mundur i właśnie przeszedł koło nas po drugiej stronie ulicy. W. go zauważył. Porusza się jak nieżywy.

– Pewnie jest tak w istocie.

– Bez odbioru. Kendrick zmienił zdanie i trasę do Meczetu Dzami. Instykt podszeptał mu, by pozostawać w tłumie w drodze na miejsce. Kiedy skieruje się na północ, podążając szeroką aleją Bab alBahrajn i dotrze do wielkiego placu o tej samej nazwie, skręci w prawo w ulicę AlKalifa. Myśli kotłowały mu się w głowie, były jednak w rozsypce, nie powiązane ze sobą, niejasne. Wiedział, że wchodzi do labiryntu, wiedział jednak również, że w całej tej plątaniu jakiś człowiek, lub ludzie będą mieć oczy szeroko otwarte w oczekiwaniu na Azrę. Była to co prawda jedyna przewaga, jaką nad nimi posiadał, ale za to przewaga znacząca. Wiedział kogo i czego szukali, on zaś był im nieznany. Będzie krążył wokół miejsca spotkania niby bezskrzydły sokół dopóty, dopóki nie zobaczy kogoś, kto będzie świadom tego, że jeśli nie przyprowadzi do Mahdiego następcy tronu terrorystów, jego życie zawiśnie na włosku. Ów człowiek sam się zdradzi, być może nawet będzie zatrzymywać ludzi, by spojrzeć im w twarz z rosnącą z minuty na minutę niecierpliwością. Evan odnajdzie go i odseparuje zabierze go ze sobą i złamie... A może to tylko złudzenie, zaślepienie wywołane obsesją? Nie miało to już żadnego znaczenia, wszystko było już teraz bez

znaczenia; liczył się tylko krok za krokiem na twardym chodniku, niosącym go krętą drogą pośród nocnego tłumy zalewającego Bahrajn. Tłum. Przeczuł to. Mężczyźni otaczali go ciasnym kręgiem. Czyjaś ręka wzięła go za ramię! Odwrócił się błyskawicznie i szarpnął, by uwolnić rękę od uchwytu. I naraz poczuł ostre ukłucie igły, wbijającej mu się w ciało gdzieś w okolicach kręgosłupa. Potem nastąpiła ciemność. Kompletna ciemność.

Telefon wyrwał Yaakova ze snu; mężczyzna wziął go do ręki. Tak?

–Mają Amerykanina! – oznajmił Szary. – A co ważniejsze, oni istnieją!

–Gdzie to się stało? Jak?

–To nieistotne; i tak nie znam ulic. Ważne jest jedynie to, że wiemy, dokąd go zabrali!

–Co takiego? Jakim cudem? Tylko mi nie mów, że i to też nie jest istotne!

–Wszystko dzięki Weingrassowi. Cholera, to zasługa Weingrassa. Wiedział, że na piechotę już daleko nie zajdzie i dał jakiemuś arabskiemu pijusowi dziesięć tysięcy dolarów za rozsypującą się taksówkę! Ten alhamni będzie chodził zalany przez całe pół roku! Wcisnęliśmy się do środka i pojechaliśmy za podmiotem. Wszystko odbyło się na naszych oczach. Cholera, to wyłącznie dzięki Weingrassowi! – Trzymaj na wodzy swoje ojcobójcze zapędy – powiedział Yaakov, nie mogąc się powstrzymać od uśmiechu, który szybko zniknął. – Gdzie trzymają podmiot – cholera – gdzie jest Kendrick? – W budynku o nazwie Sahalhuddin na ulicy Tuj j ar...

–Kto jest właścicielem?

–Daj nam trochę czasu, Błękitny. Daj go trochę Weingrassowi. Upomina się właśnie o wszelkie długi, jakie ma u niego ktokolwiek w Bahrajnie. Wolałbym nie myśleć o tym, co powiedziałyby Komisja Moralności w Jerozolimie, gdyby nas z nim skojarzono.

–Odpowiedz mi na pytanie!

–Budynek zajmuje podobno sześć firm. To tylko kwestia dojścia do tego, co to za firmy...

–Niech ktoś tu po mnie przyjdzie – rozkazał Yaakov.

–A więc odnalazłeś Mahdiego, kongresmanie – powiedział ciemnoskóry Arab w nieskazitelnie białej abai i białej, jedwabnej ghotrze, zdobnej na czubku w szafiry. Znajdowali się w wielkim pokoju z łukowato sklepionym sufitem pokrytym ceramiczną mozaiką; okna były wysokie i wąskie, mebli niewiele, wszystkie przy tym zrobione z ciemnego drewna z połyskiem: ogromnych rozmiarów hebanowe biurko wyglądało bardziej jak ołtarz czy tron niż powierzchnia służąca do pracy. Pokój miał coś z meczetu, przypominał komnaty jakiegoś wysokiego kapłana dziwnego acz potężnego obrządku w odciętej od reszty świata krainie. – Czy jesteś zadowolony? – ciągnął Mahdi zza biurka. – A może raczej czujesz się zawiedziony tym, że jestem takim samym człowiekiem jak ty – no, nie, nie takim samym: ani ty, ani ktokolwiek inny. nie może się ze mną równać – wciąż jednak jestem człowiekiem.

–Jesteś zabójcą, ty sukinsynu! – Evan zerwał się z masywnego krzesła o prostym oparciu, lecz dwóch stojących po bokach strażników natychmiast posadziło go z powrotem namiejscu. – Zamordowałeś siedemdziesięcioro ośmiu niewinnych ludzi

– mężczyzn, kobiet i dzieci. Krzyczeli, kiedy budynek zapadał się na nich! Jesteś plugawym draniem!

–To był początek wojny, Kendrick. Wszystkie wojny pociągają za sobą ofiary, które nie ograniczają się wcale do samych walczących. Wychodzę z założenia, że wygrałem tamtą, ogromnie ważną bitwę – zniknąłeś na cztery lata, a w ciągu tego czasu poczyniłem niezwykle postępy, których przy tobie mógłbym nie osiągnąć. Przy tobie, albo przy tym obrzydliwym Żydzie, Weingrassie, i jego nadętej gębie. – Manny...? On ciągle mówił o tobie, przestrzegał nas!

–Ucinam takie gadanie jednym ciosem straszliwego miecza! Można to interpretować jako kulę w łeb... Kiedy jednak usłyszałem o tobie, wiedziałem, że wróciłeś z powodu tej pierwszej bitwy sprzed pięciu lat. Dopiero dziewięć godzin temu przestałeś mnie, jak to się mówi, wodzić za nos, Amalu Bahrudi.

–Ach tak?

–Sowieci nie skarżą się na brak ludzi, którzy wolą być na dodatkowej liście płac. Bahrudi, EuroArab, zginął kilka dni temu w Berlinie Wschodnim... Pojawia się nazwisko Kendricka; martwy Arab o niebieskich oczach i wyraźnych zachodnich rysach jest nagle w Maskacie – równanie niesłychanie działało na wyobraźnię, było niemalże niewiarygodne, ale zgadzało się. Ktoś musiał ci pomóc, nie jesteś aż tak doświadczony w tych sprawach. Evan wpatrywał się w twarz o wysuniętych kościach policzkowych i płonących oczach, które natarczywie się w niego wpatrywały.

–Twoje oczy – powiedział Kendrick, ruchem głowy otrząsając się ze szczątkowych efektów działania podanego mu na ulicy narkotyku. – Ta płaska twarz niby maska. Ja cię już gdzieś widziałem. – Ależ oczywiście, Evan. Zastanów się. – Mahdi powoli zdjął ghotrę, odsłaniając głowę, pokrytą ciasno skręconymi kędziorami czarnych włosów, przetykanych gdzieniegdzie siwizną. Wysokie, gładkie czoło uwydatniały teraz ciemne, łukowate brwi; była to twarz człowieka, który łatwo popada w obsesję i wpada w szal przy każdej sposobności. – Czy widzisz mnie w irakijskim namiocie? A może na podium w pewnym składzie broni na środkowym zachodzie Stanów? – hryste! – szepnął Kendrick, mając teraz wyraźnie przed oczami pewne obrazy. – Przeszedłeś do nas w Basrze przed siedmiu czy ośmiu laty i powiedziałeś, że zrobisz z nas bogatych ludzi, jeśli odmówimy wykonania robót. Twierdziłeś, że istnieją plany złamania Iranu i szacha i że nie chciałbyś w Iraku żadnych nowoczesnych lotnisk.

–Tak się też stało. To prawdziwie islamska społeczność.

–Brednie! Pewnie zdążyłeś już doprowadzić ich pola naftowe do ruiny. A w dodatku tyle masz wspólnego z Islamem, co mój dziadek Szkot. Pochodzisz z Chicago – to właśnie tam był ten skład broni na środkowym zachodzie – i wyrzucono cię stamtąd, bo nawet twój własny murzyński okręg – który wydoiłeś co do centa – nie mógł już znieść twojego wrzasku, pieprzony faszysto! Zabrałeś ich miliony i przyjechałeś tutaj, żeby szerzyć tę swoją zasraną ideologię i zarobić kolejne. Mój Boże, Weingrass wiedział coś ty za jeden i kazał ci się zabierać! O ile pamiętam, nazwał cię gnojkiem – skończonym gnojkiem – i powiedział, że jeśli natychmiast się nie wyniesiesz z tego namiotu w Basrze, to naprawdę się zdenerwuje i sypnie ci w twarz wapnem, tak żebyś mógł potem powiedzieć, że strzela tylko do białych

nazistów!

–Weingrass jest – albo był – Żydem – powiedział ze spokojem Mahdi. – Oczerniał mnie, bo wiedział, że wielkość, jakiej się sam spodziewał, wymyka mu się z rąk, ja zaś zaczynam rozkwitać. Żydzi nie mogą ścierpieć, że ktoś spoza ich nacji mógłby osiągnąć sukces. To dlatego są agitatorami świata...

–Komu ty, u diabła, mydlisz oczy? Nazwał cię parszywym Szwarceh i nie miało to nic wspólnego z białym, czarnym, czy z jakimkolwiek innym kolorem! Gnijesz od środka przepelniony nienawiścią, AlFalfa, czy jak ty się tam nazywałeś, i twój kolor skóry nie ma z tym nic wspólnego... A po Rijadzie – po tej bardzo ważnej bitwie – ilu ludzi jeszcze zabiłeś, ilu wymordowałeś?

–Tylko tylu, ilu wymagała nasza święta wojna, której celem jest utrzymanie czystości rasy, kultury i wiary w tej części świata. – Wargi Mahdiego z Chicago w stanie Illinois, ułożyły się powoli w zimny uśmiech.

–Ty cholerny, pieprzony hipokryto! – wrzasnął Kendrick. Nie mogąc się powstrzymać, ponownie zerwał się z krzesła z dłońmi wyciągniętymi niczym dwa szpony przez biurko w stronę szat zabójcymanipulatora. Inne dłonie pochwyciły go zanim zdołał dotknąć Mahdiego; rzucono go na ziemię, kopiąc jednocześnie w żołądek i kręgosłup. Kaszląc próbował się podnieść; kiedy znalazł się na kolanach, strażnik z lewej chwycił go za włosy, odrzucając mu głowę w tył, podczas gdy człowiek po prawej przyłożył mu z boku nóż do gardła.

–Twoje gesty są równie żalosalne jak twoje słowa – powiedział Mahdi, wstając zza biurka. Jesteśmy na dobrej drodze do zbudowania tu królestwa i sparaliżowany Zachód nie jest w stanie nic na to poradzić. Wysyłamy jednych przeciw drugim, za pomocą sił, których nie potrafimy kontrolować. Dzielimy i rządymy bez jednego strzału. A ty, Evanie Kendrick, bardzo nam się przysłużyłeś. Mamy twoje zdjęcia, zrobione na lotnisku, w chwili kiedy przyleciałeś z Omanu; mamy zdjęcia twojej broni, twoich fałszywych papierów i twojego pasa na pieniądze, z którego wystają setki tysięcy dolarów. Mamy udokumentowane dowody na to, że ty, amerykański kongresman, podszywając się pod nazwisko Amala Bahrudiego, przedostałeś się do ambasady amerykańskiej w Maskacie, gdzie zabiłeś łagodnego, elokwentnego przywódcę, nazwiskiem Nassir, a później także młodego bojownika o wolność zwanego Azrą – a wszystko to podczas cennego zawieszenia broni, na które przystali wszyscy. Czy byłeś agentem waszego brutalnego rządu? Jakże mogło być inaczej? Fala oburzenia zaleje tak zwane państwa demokracji – niezdarny, żądny krwi gigant znowu zachował się w typowy dla siebie sposób, nie bacząc na życie swoich własnych obywateli.

–Ty... – Evan skoczył do góry, chwytając za przegub, który ścisnął nóż i wrywając głowę z uchwytu trzymającej go za włosy dłoni. Otrzymał cios w kark, a uderzenia pięści powaliły go z powrotem na podłogę.

–Egzekucje zostaną podjęte wcześniej niż zamierzano – ciągnął Mahdi. – Rozpoczną się jutro rano – sprowokowane twoim podstępny działaniem, co zostanie podane do wiadomości publicznej. Nierozważni, zasługujący na potępienie Amerykanie wywołają chaos i rozlew krwi, który potrwa aż do czasu odnalezienia

rozwiązania, naszego rozwiązania – mojego rozwiązania. To jednak nie będzie dotyczyło już ciebie, kongresmanie. Znikniesz z powierzchni ziemi, bez wątplenia zresztą przy udziale twojego, okropnie zakłopotanego rządu, który nie daruje przecież tak ewidentnej porażki, pomimo ogłaszania gorączkowych oświadczeń zaprzeczających zarzutom. Nie będzie żadnego corpus delicti, przepadniesz bez wieści. Jutro, wraz z Pierwszymi promieniami słońca, zostaniesz wywieziony samolotem nad morze z przymocowaną do twego nagiego ciała, odartą ze skóry zakrwawioną świnia i wrzucony w pełne rekinów wody przybrzeżne Kataru.

* * *

Rozdział 15

–Tu nic nie ma! – krzyknął Weingrass, grzebiąc na stojąco w papierach, które leżały na stole w jadalni bahrajńskiego urzędnika, znanego mu z czasów, kiedy Grupa Kendricka budowała wyspiarski klub golfowy na archipelagu, – Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, Hassan, po tych wszystkich mniej lub bardziej pokąźnych sumkach, przechodzących kiedyś przez twoje ręce, ty mi dajesz coś takiego?

–Nadchodzą kolejne dokumenty, Emmanuel – odparł nerwowo Arab. Był podenerwowany, gdyż słowa Weingrassa słyszał BenAmi tudzież czwórka komandosów, siedzących w odległym o dwadzieścia stóp, urządzonym na modłę zachodnią salonie w domu na przedmieściach. Wezwano doktora, by pozakładał Yaakovowi szwy i opatrzył rany, komandos nie zgodził się jednak, by położyć go do łóżka; w zamian zasiadł w fotelu. Człowiek imieniem Hassan łypnął na niego spod oka i chcąc, by stary architekt przestał rozpamiętywać jego przeszłość, zauważył: Ten chłopak nie wygląda najlepiej, Manny. – Bez przerwy bierze się z kimś za łby, nie można sobie z nim dać rady. Ktoś mu chciał gwizdnąć wrotki. Co zatem nadchodzi i kiedy? Tutaj mam przedsiębiorstwa i produkty, bądź usługi, jakie oferują. Ja muszę widzieć nazwiska, ludzi!

–Właśnie te informacje są w drodze. Nie jest łatwo przekonać ministra przemysłu, żeby wyszedł z domu o drugiej w nocy i poszedł do siebie do biura po to, by popełnić przestępstwo.

–Przestrzeganie prawa i przemysł to w Bahrajnie dwa wykluczające się słowa.

–To są tajne dokumenty!

–W Bahrajnie nie ma innych.

–To nieprawda, Manny!

–Och, zamknij się wreszcie i daj mi whisky.

–Jesteś niepoprawny, stary przyjacielu.

–Też mi nowina – dobiegł z salonu głos Szarego. Wrócił właśnie od telefonu, z którego korzystał co piętnaście minut za pozwoleniem gospodarza.

–Czy mogę was czymś poczęstować, panowie? – spytał Hassan, przechodząc pod łukowatym sklepieniem, dzielącym jadalnię od salonu.

–Kawa z kardamonem wystarczy w zupełności – odparł starszy od reszty BenAmi. Jest przy tym znakomita.

–Są do dyspozycji trunki, jeśli mielibyście ochotę na coś mocniejszego –

zorientowaliście się już zresztą dzięki panu Weingrassowi. To religijny dom, ale nie wymuszamy ograniczeń naszej wiary na innych.

–Czy mógłby pan gdzieś mi to zapisać? – zaśmiał się Czarny. – Dam to żonie, mówiąc, że jest pan mułłą. Ja muszę chodzić na drugi koniec miasta, żeby zjeść jajka na bekonie.

–Dzięki, ale. żadnych trunków, panie Hassan – dodał Szary, klepiąc Czarnego po kolanie. – Przy odrobinie szczęścia będziemy jeszcze mieli dzisiejszej nocy robotę.

–A przy kolejnej odrobinie nie odrąbią mi rąk – powiedział cicho Arab, kierując się do kuchni. Zatrzymał się w pół drogi na dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych.

Nadjechał kurier ze sfer rządowych. Czterdzieści osiem minut później, stojąc nad porozrzucanymi na stole komputerowymi wydrukami, Weingrass studiował dwie konkretne strony, spoglądając to na jedną, to na drugą. – Niech mi pan coś powie o tej spółce "Zariba".

–Nazwa pochodzi z języka sudańskiego – wyjaśnił urzędnik w abai, który nie zgodził się, by go komukolwiek przedstawiano. – Ogólnie rzecz biorąc można to przetłumaczyć jako osłonięte obozowisko, otoczone skałami lub gęstym lasem.

–Sudan...?

–To taki kraj w Afryce...

–Wiem, co to jest. Chartum.

–To stolica...

–Jezu, a ja myślałem, że stolicą jest Buffalo! – przerwał szorstko Weingrass. – Jak to możliwe, że jest tu wymienionych tak wiele przedsiębiorstw zależnych?

–To przedsiębiorstwo holdingowe; działają na szeroką skalę. Jeśli przedsiębiorstwu potrzebne są licencje rządowe dla różnorakiego eksportu i importu, łatwiej mu je zdobyć wówczas, gdy jest ono zjednoczeniem tworzącym potężną firmę.

–O, kurwa.

–Co proszę?

–To takie powiedzonko z Bronxu. Używają tego zamiast "Wielkie nieba". Kto nim zarządza?

–Mają radę nadzorczą...

–Zawsze jest jakaś rada nadzorcza. Pytałem kto nim zarządza. – Prawdę mówiąc to nie bardzo wiadomo. Dyrektor naczelny to młody facet – byłem z nim kiedyś na kawie – ale nie jest chyba zbyt agresywny, wie pan co mam na myśli.

–A więc jest ktoś jeszcze.

–Nie mam pojęcia...

–Gdzie jest lista dyrektorów?

–Leży przed panem. Jest pod tą kartką z prawej. Weingrass podniósł kartkę i wyjął tę, która leżała pod spodem. Po raz pierwszy od dwóch godzin usiadł na krześle, przebiegając kilkakrotnie wzrokiem listę nazwisk. – Zariba... Chartum – powtarzał po cichu, raz po raz zaciskając ciasno powieki, a jego poorana bruzdami twarz pokrywała się zmarszczkami grymasów, jak gdyby rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie coś, co uleciało mu z pamięci. Wreszcie wziął do ręki ołówek i

zakreślił nazwisko; następnie pchnął kartkę na drugi koniec stołu do stojącego nadal sztywno bahrajńskiego urzędnika.

–To Murzyn – powiedział wysoko postawiony kurier.

–Kto tu jest Murzynem, a kto Białym?

–Zazwyczaj rozróżnia się po rysach twarzy. Rzecz jasna, wieki afroarabskich kontaktów zaciemniają trochę ten problem.

–A zatem jest to problem?

–Dla niektórych tak, ale nie jest ich wielu.

–Skąd przyjechał?

–Jeśli to imigrant, kraj, z którego pochodzi, jest tam wyszczególniony.

–Tu jest napisane "nie do ujawnienia".

–To zazwyczaj oznacza, że dana osoba uciekła z dyktatorskiego reżimu, najczęściej faszystowskiego lub komunistycznego. Chronimy takich ludzi, jeśli służą naszemu społeczeństwu. On, najwyraźniej, służy.

–Sahib alFarrahkalifpowiedział Weingrass, wymawiając każdą część nazwiska z przesadą. Jakiej jest narodowości?

–Nie mam pojęcia. To zapewne po części Afrykańczyk, a co jeszcze pewniejsze, po części również Arab. Wszystko się zgadza. – Guzik z pentelką, panie dzieju! – wykrzyknął Manny, wywołując zdumienie w obu pokojach. – To czystej krwi Amerykanin alias oszust! Jeśli to człowiek, o którym myślę, to jest czarnym sukinsynem z Chicago, który został stamtąd wyrzucony przez własnych współziomków! Wpieprzyli się trochę, bo złożył ich pieniądze – jakieś dwadzieścia milionów dolarów – w bankach po tej stronie Atlantyku. Przed osiemnastu, dwudziestu laty był piekielnym, wojującym fanatykiem nazwiskiem AlFarrah – zasrane ego nie pozwoliło mu zerwać z tą częścią własnej przeszłości, z czasami chóru kościelnego. Wiedzieliśmy, że jest w radzie nadzorczej jakiejś grubej korporacji, ale nie wiedzieliśmy której. A poza tym spoglądaliśmy w niewłaściwym kierunku. Chartum? Do diabła! Południowe Chicago! Oto i wasz Mahdi!

–Jest pan tego pewien? – spytał Hassan, stając w łukowatym przejściu. Takie oskarżenie wywoła sporo zamieszania!

–Jestem pewien – odparł cicho Weingrass. – Powinienem był zastrzelić skurwiela jak psa w tym namiocie w Basrze.

–Co proszę? Bahrajński urzędnik był wyraźnie wstrząśnięty. – Nieważne...

–Nikt nie wyszedł z budynku Sahalhuddin! – oznajmił Szary, podchodząc do łukowatego przejścia.

–Jesteś pewien?

–Przekupiłem pewnego taksówkarza, który bardzo skwapliwie przyjął dość znaczną sumkę. Obiecałem mu też o wiele więcej, jeśli wykona moje zalecenia. Dzwonię do niego co parę minut pod numer ulicznego telefonu. Oba ich samochody ciągle tam są.

–Czy możesz mu zaufać? – spytał Yaakov z fotela.

–Mam jego nazwisko i numer licencji.

–To jeszcze o niczym nie świadczy! – zaproponował Manny.

–Powiedziałem mu, że jeśli skłamię, znajdę go i zabiję.

–Wycofuję oskarżenie, Złota Rączko.

–Czy mógłby pan...

–Cicho bądź. Którą część Sahalhuddinu zajmuje przedsiębiorstwo Zariba?

–Górne dwa piętra, o ile się nie mylę. Niższe są wynajmowane przez

przedsiębiorstwa zależne. Zariba jest właścicielem budynku. – To wygodne – stwierdził Weingrass. – Czy może nam pan dać bieżące plany konstrukcji budynku, włącznie z systemem przeciwpożarowym i alarmowym? Nieźle sobie radzę z czytaniem tego typu schematów.

–O tej porze? – krzyknął urzędnik. Jest już po trzeciej rano! Nie wiem jak...

–Co pan powie na milion dolarów – amerykańskich – podjął z cicha Manny. –

Prześle je z Paryża. Daję słowo.

–Co?

–Może je pan podzielić jak się panu podoba. Tam jest mój syn. Proszę je dostarczyć.

W maleńkim pokoju panowała ciemność. Jedyne światło stanowiły białe promienie księżycy, wpadające przez okno, wybite wysoko w ścianie – zbyt wysoko, by go dosięgnąć, w pomieszczeniu nie było bowiem żadnych mebli, za wyjątkiem nisko podwieszanej pryczy z podartym płótnem. Strażnik zostawił mu butelkę sibertu abjad, otępiającej miejscowej whisky, sugerując, że temu, co go czeka lepiej stawić czoła po pijanemu. Pokusa była silna; bał się, przerażenie go paraliżowało, pocił się ze strachu do tego stopnia, że koszula cała przesiąkła potem, a z włosów aż się łało. Przed odkorkowaniem butelki i wypiciem jej zawartości powstrzymywały go jedynie resztki gniewu – a także świadomość ostatniej rzeczy, jaką zrobi w życiu. Będzie walczył z całą gwałtownością, na jaką go stać, być może licząc podświadomie na kulę, która wszystko szybko zakończy. Chryste, jak mógł kiedykolwiek sądzić, że sobie z tym poradzi? Co go opętało, żeby utrzymywać, że ma odpowiednie kwalifikacje do zadania, które bardziej doświadczeni od niego uważali za samobójstwo? Oczywiście w pytaniu zawierała się odpowiedź: był opętany. Nienawiść paliła go od środka; gdyby nie podjął tej próby, spaliłaby go zapewne do szczytu. A przy tym nie była to wcale zupełna porażka; stracił co prawda życie, ale owa strata uwieńczona była pewnym sukcesem. Udowodnił istnienie Mahdiego! Przetarł szlak przez gęstą dżunglę kłamstwa i manipulacji. Inni pójdą jego śladem; zawsze to jakaś pociecha. Spojrzał raz jeszcze na butelkę, na biały płyn, który pozwoliłby mu od tego uciec. Machinalnie potrząsnął głową. Mahdi powiedział, że jego gesty są równie żałosne jak słowa. W samolocie lecącym nad wodami przybrzeżnymi Kataru ani jedno ani drugie żałosne bynajmniej nie będzie. Każdy żołnierz z Brygady Mosadu rozumiał od samego początku w czym rzecz i każdy sprawdził plastikową taśmę wokół lewego nadgarstka, chcąc się upewnić, że w maleńkiej wypukłej banieczce znajduje się kapsułka z cyjankiem. Żaden nie miał przy sobie dokumentów ani jakichkolwiek śladów umożliwiających rozpoznanie; ich "robocze" ubrania, włącznie z butami, jakie mieli na nogach i tanimi guzikami u spodni, zakupione zostały przez agentów Mosadu w Bengazi, w Libii miejscu

stanowiącym samo centrum terrorystycznego werbunku. W obecnych czasach wstrzykiwanych środków chemicznych, amfetaminy i skopolaminy, żaden członek jednostki Mosadu nie mógł dopuścić do tego, by złapano go żywcem w sytuacji, gdy jego działania dało się w jakikolwiek sposób powiązać ze zdarzeniami w Omanie. Izrael nie mógł sobie pozwolić na to, by obarczono go odpowiedzialnością za zamordowanie dwustu trzydziestu sześciu amerykańskich zakładników, a zatem przypuszczenia o izraelskiej ingerencji należało uniknąć nawet za cenę grzesznego samobójstwa osób, które wysyłano do Południowozachodniej Azji. Każdy z komandosów rozumiał w czym rzecz; każdy wyciągał przed siebie nadgarstek na lotnisku w Hebronie, tak by lekarz umocował karbowaną plastikową taśmę. Każdy przyglądał się, jak lekarz zwinnym ruchem podnosi lewą rękę do ust, gdzie spotykały się twarde zęby i miękka banieczka. Szybkie przekłucie przynosiło śmierć. Tujjar świeciła pustkami, ulicę i latarnie zasnuwały kłęby mgły, napływającej z Zatoki Perskiej. W budynku o nazwie Sahalhuddin panowały ciemności. Wyjątek stanowiło kilka oświetlonych pomieszczeń biurowych na samej górze oraz pięć pięter niżej, wątle światło neonów we foyer, tłące się za szklanymi drzwiami wejściowymi, gdzie przy biurku siedział znudzony mężczyzna i czytał gazetę. Dwa samochody: mały, niebieski i duży, czarny zaparkowano przy chodniku. Przed drzwiami stali niedbale dwaj strażnicy z prywatnej ochrony, co oznaczało, że tyły budynku prawdopodobnie także są zabezpieczone. Byli: pilnował ich jeden człowiek. Szary, Czarny i Czerwony wrócili do rozsypującej się taksówki zaparkowanej dwieście metrów na zachód na rogu ulicy AlMotanna. Wewnątrz, na tylnym siedzeniu, znajdował się ranny Yaakov; z przodu siedzieli BenAmi i Emmanuel Weingrass, ten ostatni nadal pogrążony w planach konstrukcyjnych budynku, oświetlanych światłem tablicy rozdzielczej. Szary przekazywał informacje przez otwarte okno; Yaakov wydawał instrukcje.

–Wy, Czarny i Czerwony, bierzecie na siebie strażę i wchodzicie do środka. Szary, ty pójdziesz za nimi razem z BenAmim i obaj przetniecie instalację...

–Chwila, moment, harcerzyku! – zaoponował Weingrass, obracając się do tyłu. – Ten relikwiarz Mosadu, który siedzi koło mnie, nie ma zielonego pojęcia o systemach alarmowych, wie prawdopodobnie tylko jak je włączyć.

–Trochę się mylisz, Manny – zaprotestował BenAmi.

–Będziecie szukać przepisowych przewodów tam, gdzie zostały one celowo zmienione i prowadzą do sztucznego gniazda, wprowadzając w błąd takich właśnie frajerów jak wy? Urządźcie tu włoski karnawał! Idę z nimi.

–Panie Weingrass – upierał się Błękitny z tylnego siedzenia. – A co będzie, jak pan zacznie kaszleć – dostanie pan takiego ataku, jakich niestety byliśmy już świadkami?

–Nie dostanę – odparł prosto architekt. – Mówiłem już, tam jest mój syn.

–Ja mu wierzę – powiedział Szary. – I to ja poniosę konsekwencje, jeśli się mylę.

–Przejaśnia ci się pod sufitem, Złota Rączko.

–Bardzo pana proszę...

–Och, bądźże już cicho. Chodźmy. Gdyby na Tujjar znalazł się o tej porze jakiś postronny obserwator, kolejne minuty objawiłyby mu się jako zawiła praca wielkiego

zegara, gdzie każde koło zębate obraca następne, które z kolei odsyła ruch z powrotem w obłąkańczo rozpędzone tryby mechanizmu, pracujące bezbłędnie bez chwili wytchnienia. Czerwony i Czarny unieszkodliwili dwóch stojących od frontu strażników z prywatnej ochrony, zanim ci zdążyli się zorientować, że w zasięgu stu metrów znajduje się ktokolwiek, mający wrogie zamiary. Czerwony zdjął kurtkę, wcisnął się w tunikę jednego ze strażników, zapiął ją, włożył na głowę czapkę z daszkiem, naciągnął ją na oczy i szybko podbiegł do szklanych drzwi, w które lekko zastukał, trzymając się lewą ręką za siedzenie i pozostając w cieniu; błagał zabawnymi gestami, by go wpuszczono do środka i pozwolono skorzystać z toalety. Rozstrój żołądka to udręka znana każdemu; mężczyzna zaśmiał się, odłożył gazetę i nacisnął guzik na biurku. Odezwał się brzęczyk; Czerwony i Czarny wpadli do środka i zanim nocny recepcjonista zrozumiał, że popełnił błąd, leżał już nieprzytomny na marmurowej posadzce. Szary wbiegł za nimi, wlokąc za sobą wiotkie ciało strażnika przez drzwi, które przytrzymał, zanim zdążyły się zatrzasnąć; w ślad za nim podążał Emmanuel Weingrass z porzuconą kurtką Czerwonego w rękę. Na znak, Czarny wybiegł na zewnątrz po drugiego strażnika, podczas gdy Weingrass przytrzymał mu drzwi. Kiedy już wszyscy znaleźli się w środku, Czerwony i Szary zwiążali i zakneblowali trzech pilnujących budynku mężczyzn za szerokim kontuarem w recepcji, a Czarny wyjął z kieszeni długą strzykawkę z nasadką; zdjął plastikową osłonkę, sprawdził poziom zawartości i zrobił każdemu z Arabów zastrzyk w kark. Trzech komandosów powlokło trzech bezwładnych pracowników Sahalhuddinu w najdalsze zakamarki ogromnego foyer.

–Proszę zejść ze światła! szepnął Czerwony, kierując swe polecenie do Weingrassa. – Niech pan idzie do holu koło wind! – Co...?

–Słyszę coś na zewnątrz!

–Naprawdę?

–Dwie albo może trzy osoby. Prędko! Cisza. Wtem za grubymi szklanymi drzwiami przetoczyli się po chodniku dwaj wyraźnie podpici Amerykanie i dały się słyszeć słowa znanej piosenki recytowane raczej z cicha niż nucone. "Przy stoliku u Mory'ego czeka na nas uciech moc..."

–Niech cię diabli, tyś ich słyszał? – spytał Weingrass z podziwem. – Idź na tyły – polecił Szary Czarnemu. – Znasz drogę?

–Jasne, przecież potrafię się połapać w planach. Poczekam na twój sygnał i załatwię ostatniego. Została mi jeszcze połowa mojego magicznego eliksiru. – Czarny zniknął w południowym korytarzu, Szary natomiast pobiegł na drugi koniec recepcji Sahalhuddinu; Weingrass był teraz przed nim i zmierzał w stronę stalowych drzwi, prowadzących do piwnic budynku.

–Cholera! – zdenerwował się Manny. – Zamknięte.

–Można się było tego spodziewać – stwierdził Szary, wyciągając z kieszeni małe, czarne pudełko i otwierając je. To żaden problem. – Komandos wyjął z pudełka żel podobny do kitu, obcisnął nim zamek u drzwi i doczepił doń jednocalowy lont. – Proszę się odsunąć. To nie wybuchnie, ale temperatura jest wysoka. Weingrass przyglądał się zdumiony, jak żel po zapaleniu lontu zmienił barwę na

jaskrawoczerwoną, potem zaś na najbardziej niebieski błękit, jaki kiedykolwiek widział. Stał stopiła się na jego oczach, a cały mechanizm zamka wypadł na zewnątrz.

–Niezły jesteś, Złota...

–Niechże pan przestanie!

–Chodźmy – zgodził się Manny. Znaleźli system alarmowy; znajdował się za wielką, stalową płytą u północnego końca podziemi Sahalhuddinu. – To ulepszona wersja guardianiana – stwierdził architekt, wyjmując z lewej kieszeni nożyce do cięcia drutu. – Na każde sześć przewodów przypadają dwa fałszywe gniazda – a dla każdego przewodu istnieje możliwość wlotu na powierzchni piętnastu, dwu: dziesięciu stóp kwadratowych – co przy konstrukcji tych rozmiarów oznacza prawdopodobnie nie więcej niż osiemnaście kabli.

–Osiemnaście kabli – powtórzył z namysłem Szary. – To daje sześć fałszywych gniazd...

–Zgadza się, Złota – nieważne.

–Dzięki.

–Przetniemy któryś z tych kabli i orkiestrę rockową ze wstawkami muchacha mamy na ulicy jak w banku.

–Jak je rozróżnić? Powiedział pan, że przepisowe przewody zostały zmienione – dla takich amatorów jak BenAmi. Jak je wobec tego rozróżnić?

–Dzięki uprzejmości "mechaników", przyjacielu. Partacze, którzy je instalują dostają wysypki, kiedy mają przeczytać jakiś schemat, ułatwiają więc pracę zarówno sobie jak i tym, którzy dokonują później wszelkich napraw systemów. Na każdym fałszywym kablu robią znaczek, zazwyczaj za pomocą obciążków, na samejgórze, przy głównym zacisku. A potem, po założeniu systemu przychodzą do ciebie i mówią, że całą godzinę siedzieli nad tym draństwem, próbując znaleźć fałszywe przewody, bo schematy były niejasne – zawsze tak jest.

–A co, jeśli pan się myli, panie Weingrass? Co, jeśli ten "mechanik" był uczciwy?

–Niemożliwe. Nie ma ich tu znowu tak wielu – odparł Manny, wyjmując z prawej kieszeni małą latarkę i dłuto. – Chodź, trzeba oderwać tę płytę; mamy mniej więcej osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt sekund, żeby odciąć dwanaście stalowych przewodów. Wyobrażasz to sobie? To skąpiradło, Hassan, powiedział, że baterie są słabe. No, zaczynaj!

–Mogę przecież posłużyć się plastikiem.

–I od tej temperatury uruchomić wszelkie możliwe alarmy, włącznie z przeciwpożarową instalacją zraszającą? Meszuga! Odsyłam cię z powrotem do szkoły.

–Strasznie mi pan działa na nerwy, panie...

–Cicho bądź. Rób co każą, to dostaniesz odznakę. – Architekt wręczył Szaremu dłuto, które zabrał od Hassana, wiedząc dzięki planom systemu alarmowego Sahalhuddinu, że się przyda. Musisz się pospieszyć; te systemy są czułe. Komandos wepchnął dłuto pod zamek blokujący płytę i nacisnął nań z siłą trzech normalnych mężczyzn, wyłamując go.

–Proszę mi dać latarkę! – powiedział Izraelczyk. – Pan niech szuka przewodów!

Emmanuel Weingrass przenosił strumień latarki od prawej do lewej, oświetlając w napięciu kolorowe kable, jeden po drugim. Osiem, dziewięć, dziesięć... jedenaście. – Gdzie jest dwunasty? – wrzasnął Manny. – Wyłapałem wszystkie fałszywe przewody! Musi być jeszcze jeden! Bez niego wszystkie pozostałe się włączą! – Tutaj! Tu jest znak! – zakrzyknął Szary, dotykając siódmego przewodu. – Obok trzeciego fałszywego kabla. Nie zauważył go pan! – Mam go! – Gwałtowny atak kaszlu powalił Weingrassa na ziemię; zwinął się na posadzce wpool, próbując nieludzkim wysiłkiem zahamować napad.

–Niech się pan nie krępuje, panie Weingrass powiedział łagodnie Szary, dotykając chudego barku starca. – Proszę się wykaszleć. Nikt tu pana nie usłyszy.

–Obiecałem, że nie będę...

–Są obietnice, których nie jesteśmy w stanie dotrzymać, proszę pana.

–Skończ z tą swoją zasraną uprzejmością! – Manny wykaszlał ostatni spazm i nieporadnie, z bólem podniósł się z posadzki. Komandos celowo nie zaoferował się z pomocą. – Dobra, żołnierzyku powiedział Weingrass, oddychając głęboko. Budynek jest bezpieczny – z naszego punktu widzenia. Znajdźmy teraz mojego chłopaka. Szary nie ruszył się z miejsca. – Pomimo pańskiej niezbyt wielkodusznej osobowości, panie Weingrass, szanuję pana – powiedział Izraelczyk. – I dla naszego wspólnego dobra nie mogę pozwolić na to, by nam pan towarzyszył.

–Co takiego?

–Nie wiemy co jest na wyższych kondygnacjach...

–Za to ja wiem, ty skończony sukinsynu! Tam jest mój chłopak!... Dawaj pistolet, Złota Rączko, bo jak nie to wyślę telegram do ministra obrony narodowej Izraela i napiszę mu, że masz farmę świń! – Nagle Weingrass kopnął komandosa w goleń.

–Niepoprawny! – mruknął Szary nie ruszając nogi z miejsca. Niemożliwy!

–No już, bubbelah. Dawaj pistolecik. Wiem, że go masz.

–Proszę, niech pan go nie używa bez mojego rozkazu – powiedział komandos, podnosząc lewą nogawkę spodni i sięgając w dół po nieduży rewolwer, przymocowany do łydki.

–Czy aby nie mówiłem ci, że kiedyś należałem do Haganah? – Do Haganah?

–Tak. Razem z Menachemem brałszy udział w niejednej bijatyce...

–Menachem nigdy nie należał do Haganah...

–To pewnie pomyliłem go z jakimś innym łysym facetem. Dobra już, chodźmy! BenAmi stał w ciemnościach u wejścia do Sahalhuddinu, trzymając oburącz Uzi i rozmawiając przez radio.

–Ale czemu go pan z sobą zabrał? – spytał agent Mosadu.

–Bo jest niemożliwy! – odparł poirytowanym głosem Szary. – To nie żadna odpowiedź! nalegał BenAmi.

–Jedyna, jakiej panu mogę udzielić. Bez odbioru. Dotarliśmy na szóste piętro. Skontaktuję się z panem, jak tylko będzie tomożliwe. – Zrozumiałem. Dwóch komandosów ustawiło się po obu stronach szerokich podwójnych drzwi po prawej stronie korytarza; trzeci stał u przeciwległego końca holu, przed drugimi drzwiami, spod których szczeliną sączyło się światło. Emmanuel Weingrass ociągając się

pozostał na marmurowych schodach; niepokój wywołał rżenie w jego piersi, które stłumił wysiłkiem woli.

–Teraz! – szepnął Szary i obaj mężczyźni wyłamali drzwi ramionami, padając natychmiast na ziemię, podczas gdy dwóch Arabów w obojach obróciło się, stojąc w dwóch końcach pokoju i wystrzeliło do nich z automatów. Nie mogły się one równać z Uzi; dwie serie z izraelskich pistoletów maszynowych zwały obu z nóg. Trzeci i czwarty mężczyźni rzucili się w kierunku komandosów: jeden, ubrany w białe szaty wyskoczył zza mahoniowego biurka ogromnych rozmiarów, drugi biegł z lewej strony.

–Stać! – krzyknął przeraźliwie Szary. Albo obaj zginiecie! Ciemnoskóry mężczyźni w obszernych fałdach abai stanął bez ruchu, wpatrując się złowrogo w Izraelczyka.

–Czy zdajecie sobie sprawę z tego, coście zrobili? – spytał niskim głosem, w którym dźwięczała pogroźka. – Ten budynek ma najlepszy system alarmowy w całym Bahrajnie. Władze będą tu za parę minut. Złóżcie broń albo zginiecie.

–Jak się masz, parszywcu! – krzyknął Emmanuel Weingrass, wchodząc z wysiłkiem do pokoju, tak jak robią to starzy ludzie, kiedy nogi odmawiają im posłuszeństwa, zwłaszcza po sporej dawce napięcia. – System wcale nie jest taki znów rewelacyjny, w końcu uszczknąłeś dla siebie z kontraktu z pięćset, sześćset dolarów. – Ty tutaj?

–We własnej osobie. Powinienem być cię rozwalić przed laty w Basrze. Ale wiedziałem, że mój chłopak wróci, żeby cię znaleźć, gnojku. To była tylko kwestia czasu. Gdzie on jest?

–Moje życie za jego.

–Nie masz podstaw, żeby się targować...

–Chyba jednak mam – przerwał Mahdi. – Jest właśnie w drodze na nie oznaczone lotnisko, skąd zabierze go samolot i wywiezie nad morze. Cel – wody przybrzeżne Kataru.

–Rekiny – powiedział cicho Weingrass z pasją.

–Zgadza się. Jedno z udogodnień natury. Czy teraz będziemy się targować? Tylko ja mogę ich zatrzymać. Stary architekt trząsał się na całym ciele, oddychając zarazem głęboko. Spojrzał na wysokiego Murzyna w abai i przemówił z wysiłkiem.

–Targujmy się – rzekł. – Ale na miłość boską, spróbuj mi go tylko nie oddać, a dopadnę cię razem z całą armią najemną.

–Zawsze miałeś skłonności do dramatyzowania, Żydzie. Mahdi spojrzał na zegarek. – Mamy czas. Jak zwykle w wypadku podobnych lotów, nie ma mowy o żadnym kontakcie radiowym z ziemią, żadnej późniejszej inspekcji samolotu. Mają wystartować o świcie. Zadzwońię do nich, jak tylko znajdę się na zewnątrz; samolot zostanie tam, gdzie stoi, a ty razem z tą swoją małą armią niewiadomego pochodzenia zabierzecie się stąd.

–Niech ci nawet do głowy nie przyjdą jakieś sztuczki, gnojku... Zawieramy układ.

–Nie! – Szary wyciągnął nóż i rzucił się na Mahdiego, chwytając w garść jego abaję i powalając go na biurko. – Żadnych targów, żadnych układów, żadnych negocjacji. W tej chwili w grę wchodzi jedynie twoje życie! – Szary wbił człowiekowi z

Chicago czubek ostrza poniżej lewego oka. Mahdi wrzasnął, a strużka krwi pociekła mu po policzku prosto w otwarte usta. – Dzwon teraz, bo jak nie, to najpierw stracisz to oko, a potem to drugie! Później będzie ci wszystko jedno gdzie wbiję nóż; i tak już tego nie zobaczysz. – Komandos sięgnął po słuchawkę i położył ją z impetem koło zakrwawionej głowy Mahdiego. – Masz teraz swoje targi, gnojku! Dawaj numer. Sam go wybiorę – żeby sprawdzić, że to lotnisko, a nie jakieś prywatne koszary. No, dawaj go!

–Nie – nie, nie mogę!

–Ostrze wchodzi coraz głębiej!

–Nie, przestań! Nie ma żadnego lotniska, żadnego samolotu! – Kłamca!

–Jeszcze nie teraz! Później!

–Tracisz pierwsze oko, kłamco!

–On jest tutaj! Boże, przestań! Jest tutaj!

–Gdzie? – ryknął wielkim głosem Manny, podbiegając do biurka. – W zachodnim skrzydle... w holu po prawej są schody, tam, w małymmagazynku pod dachem... Emmanuel Weingrass nie usłyszał niczego więcej. Wybiegł z pokoju, wołając na całe gardło: – Evan! Evan...!Kendrick pomyślał, że ma halucynacje; droga osoba z przeszłości wołała coś do niego, dodając mu odwagi. Cóż, jedyna pociecha skazanego na śmierć. Podniósł wzrok z pryczy pod oknem; księżyc przesunął się coraz dalej, jego blask stawał się coraz słabszy. Nie zobaczy już więcej księżyca. Wkrótce otoczy go ciemność.

–Evan! Evan! Zupełnie jak Manny. Zawsze pojawiał się w chwilach, kiedy młody przyjaciel go potrzebował. I nawet teraz u kresu, też był przy nim, dodając mu otuchy. O Boże, Manny, mam nadzieję, że dowiedziałeś się jakimś cudem o moim powrocie! O tym, że w końcu cię usłuchałem. Odnalazłem go, Manny! Inni też go odnajdą, jestem tego pewien! Proszę cię, bądź ze mnie choć odrobinę dumny... – Jasna cholera, Kendrick! Gdzieś się podział, do diabła! Ten głos nie był złudzeniem! Ani on ani głośny stukot kroków na wąskich schodach! Ani kolejne kroki! Jezu Chryste, czyżby już nie żył? – Manny...? Manny? zawołał.

–To tutaj! To te drzwi! Wyłam je, patałachu! Drzwi niedużego pokoju ustąpiły z ogłuszającym hukiem podobnym do grzmotu. – A niech to, chłopcze! – krzyknął Emmanuel Weingrass, widząc jak Kendrick chwiejnie podnosi się z więziennej pryczy. – Czy tak się powinien zachowywać szacowny kongresman? Widzę, że moja nauka poszła w las! Ojciec i syn ze łzami w oczach padli sobie w objęcia.

Znajdowali się w urządzonym na modłę zachodnią salonie Hassana w domu na przedmieściach. BenAmi okupował telefon, odkąd zwolnił go Weingrass po długotrwałym połączeniu z Maskatem i ożywionej rozmowie z młodym sułtanem, Ahmatem. W odległości piętnastu stóp, wokół dużego stołu w jadalni siedziało siedmiu urzędników państwowych, reprezentujących rządu Bahrajnu, Omanu, Francji, Zjednoczonego Królestwa, Niemiec Zachodnich, Izraela i Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Zgodnie z umową nie było wśród nich reprezentanta Waszyngtonu, jednak tam, gdzie w grę wchodził pewien kongresman, nie należało się obawiać o tajne interesy Ameryki. Emmanuel Weingrass usiadł przy stole pomiędzy

przedstawicielem Izraela a człowiekiem z OWP. Evan znalazł się obok rannego Yaakova; obaj spoczywali koło siebie w fotelach, była to uprzejmość okazana dwóm najbardziej poszkodowanym mężczyznom. Błękitny odezwał się pierwszy:

–Wysłuchałem tego, co powiedziałaś w Aradus – odezwał się cicho. – Dużo o tym myślałem.

–Nie proszę o nic więcej.

–To nie takie proste, Kendrick. Przeszliśmy wszyscy tak wiele, to znaczy nie ja osobiście, ale nasi ojcowie i matki, dziadowie i babki... – I całe pokolenia przed nimi – dodał Evan. – Nikt, kto posiada choć odrobinę rozumu i wrażliwości, nie może temu zaprzeczyć. Ale w pewnym sensie, oni także przeszli wiele. Palestyńczycy nie byli odpowiedzialni za pogromy czy holokaust, ale ponieważ wolny świat przepelniało poczucie winy – i całe szczęście, że choć tyle – oni właśnie stali się nowymi ofiarami, nie wiedząc nawet dlaczego. – Za to ja wiem. – Yaakov pokiwał z wolną głową. – Słyszałem fanatyków na Zachodnim Brzegu i w strefie Gazy. Słuchałem bojówkarzy Meira Kahane i byłem przerażony...

–Przerażony?

–Oczywiście. Używają tych samych słów, jakich używano przeciwko nam, jak mówisz, od wielu pokoleń... To jednak nie wszystko! Oni zabijają! Zabili moich dwóch braci i niezliczone ilości innych ludzi!

–Kiedyś się to musi skończyć. To wszystko pociąga za sobą niepowetowane straty.

–Muszę pomyśleć.

–Od czegoś trzeba zacząć. Mężczyźni wokół stołu w jadalni nagle powstali ze swoich miejsc. Skinęli sobie nawzajem głowami i jeden za drugim, przeszli gęsiego przez salon do drzwi wejściowych, udając się następnie do swych służbowych samochodów, nie zauważywszy nawet obecności w domu kogokolwiek innego. Gospodarz, Hassan, minął łukowato sklepione przejście i zwrócił się do swych ostatnich gości. Początkowo trudno było usłyszeć jego słowa, gdyż Emmanuel Weingrass zwiął się w ataku kaszlu w jadalni. Evan zaczął podnosić się z fotela, lecz Yaakov, kręcąc głową, chwycił go za ramię. Kendrick zrozumiał; skinął głową i usiadł głębiej w fotelu.

–Ambasada Amerykańska w Maskacie zostanie uwolniona za trzy godziny, terrorystom zagwarantowano bezpieczne przedostanie się pod eskortą na statek przycumowany na nabrzeżu, który dostarczy Sahib alFarrahkalif.

–A co z nim? – spytał gniewnie Kendrick.

–Odpowiedź, którą usłyszycie nie może przekroczyć progów tego pokoju. Otrzymałem instrukcje z pałacu, aby was poinformować, że nie wolno rozpowszechniać tej wiadomości. Czy rozumielście i zaakceptowaliście, co mówię? Wszyscy skinęli głowami.

–Sahib alFarrahkalif, znany wam jako Mahdi, zginie bez sądu i wyroku, bowiem jego zbrodnie przeciwko ludzkości są tak haniebne, że nie zasługują na zaszczyt, jakim jest sprawiedliwość sądowa. Jak mawiają Amerykanie załatwimy to "po swojemu".

–Czy mogę coś powiedzieć? – odezwał się BenAmi.

–Oczywiście – odparł Hassan.

–Zostały poczynione pewne starania, abym ja i moi koledzy odlecieli z powrotem do Izraela. Ponieważ żaden z nas nie ma paszportu ani jakichkolwiek dokumentów, emir dostarczył specjalny samolot oraz ustanowił pewną procedurę. Musimy stawić się na podjeździe przed lotniskiem w ciągu godziny. Wybaczcie nam nagły wyjazd. Chodźmy, panowie.

–To wy nam wybaczcie – powiedział Hassan, kiwając głową – że nie mamy nic, czym moglibyśmy wyrazić nasze podziękowanie. – Ma pan whisky? – spytał Czerwony.

–Służę wszystkim, na co tylko ma pan ochotę.

–Piszę się na wszystko, z czym tylko jest pan gotów się rozstać. To długa, okropna podróż, a ja wprost nie znoszę latania samolotem. Przeraża mnie. Evan Kendrick i Emmanuel Weingrass siedzieli koło siebie w fotelach w salonie Hassana. Czekali na instrukcje od udręczonego, zdezorientowanego ambasadora Stanów Zjednoczonych, któremu pozwolono kontaktować się z nimi jedynie drogą telefoniczną. Dwaj starzy przyjaciele sprawiali wrażenie, jakby nigdy się nie rozstawali – częstokroć zakłopotany uczeń i surowy nauczyciel. A jednak ów uczeń był teraz przywódcą, tym, kto pociąga za sznurki, nauczyciel zaś potrafił to zrozumieć.

–Ahmatowi spadł pewnie kamień z serca – stwierdził Evan, popijając brandy.

–Zostały mu jeszcze dwa inne.

–Tak?

–Zdaje się, że jest pewna grupa ludzi, którzy chcą się go pozbyć, wysłać z powrotem do Stanów. Ich zdaniem jest zbyt młody i niedoświadczony, żeby sobie ze wszystkim radzić. Nazwał ich swoimi aroganckimi magnatami handlowymi. Ściąga ich do pałacu, żeby zrobić z nimi porządek.

–To jeden problem. Co jeszcze?

–Są też inni, którzy chcieli wziąć wszystko w swoje ręce, wysadzić ambasadę, jeśli zaszłaby konieczność, i zrobić, co tylko się da, żeby odzyskać swój kraj. Mają fiola na punkcie karabinów maszynowych; to ci sami, których wynajęły Operacje Konsularne, żeby cię zabrali z lotniska.

–Co ma z nimi zamiar zrobić?

–Pole działania nie jest zbyt szerokie, jeśli nie chcesz, żeby wykrzykiwano twoje nazwisko z minaretów. Jeżeli ich wezwie, zaczną krzyczeć o swoich powiązaniach z Departamentem Stanu i wszystkie szajbusy na Bliskim Wschodzie będą miały kolejny powód do waśni.

–Ahmat wie lepiej. Zostawmy ich w spokoju.

–Jest jeszcze ostatni problem i Ahmat musi to zrobić dla własnego dobra. Musi wysadzić w powietrze statek, jak już będzie na otwartym morzu i wybić tych parszywych drani do nogi.

–Nie, Manny, tak nie można. Zabijanie będzie się ciągnęło w nieskończoność...

–Bzdura! – wykrzyknął Weingrass. – Nie masz racji! Trzeba to robić dla przykładu

dopóty, dopóki nie poznają ceny, jaką im przyjdzie zapłacić! – Nagle stary architekt rozkaszał się na dobre dudniącym, rzęzącym kaszlem, który dobywał się z najgłębszych, najbo leśniejszych czeluści klatki piersiowej. Twarz mu poczerwieniała, a żyły na szyi i czole zrobiły się niebieskie i nabrzmiałe. Evan chwycił przyjaciela za ramię, chcąc go uspokoić.

–Porozmawiamy o tym później – powiedział, kiedy kaszel ustąpił. – Chcę, żebyś ze mną wrócił, Manny.

–Przez to? – Weingrass potrząsnął głową, przyjmując postawę obronną. – To tylko nieżyty oskrzeli. Paskudna francuska pogoda, ot co.

–Nie to miałem na myśli – skłamał Kendrick z nadzieją, że robi to przekonywająco. Jesteś mi potrzebny.

–Do czego?

–Możliwe, że wejdę w kilka projektów i chciałbym zasięgnąć twojej rady. – Było to kolejne, gorsze jeszcze kłamstwo, dodał więc prędko: – Chciałbym także kompletnie przebudować dom.

–Zdawało mi się, że dopiero co go wybudowałeś.

–Byłem zajęty czym innym i nie dopilnowałem wszystkiego, jak należy. Jest okropny: nie widać zeń połowy tego, co miało być widać, czyli gór i jezior.

–Zawsze byłeś kiepsciutki, kiedy w grę wchodziło odczytywanie planów zewnętrznych.

–Jesteś mi potrzebny. Proszę cię.

–Mam coś do załatwienia w Paryżu. Muszę wysłać komuś pieniądze. Dałem słowo.

–Wyślij moje.

–Nawet milion?

–Wyślij dziesięć, jeśli chcesz. Jestem tutaj, a nie w brzuchu jakiegoś rekina... Nie będę cię błagał, Manny, ale naprawdę mi jesteś potrzebny.

–Cóż, może na jakiś tydzień czy dwa – zgodził się wybuchowy starzec. – Zdajesz sobie chyba sprawę, że w Paryżu także mnie potrzebują.

–Owszem, zdaję sobie sprawę, że zyski brutto zmaleją w całym mieście – odparł cicho Evan z ulgą.

–Co? Na szczęście zadzwonił telefon, wybawiając Evana od konieczności powtórzenia tego, co powiedział. Przyszły instrukcje. – Jestem człowiekiem, którego nigdy pan nie spotkał, z którym nigdy pan nie rozmawiał – powiedział Evan do słuchawki telefonu na monety znajdującego się w Bazie Lotniczej Andrews w Virginii. – Jadę w stronę gór i wodospadów, gdzie spędziłem pięć ostatnich dni. Czy wyraziłem się jasno?

–Tak jest – odparł Frank Swann, zastępca dyrektora Operacji Konsularnych Departamentu Stanu. – Nawet nie będę próbował panu dziękować.

–Proszę tego nie robić.

–Nie mogę. Nie znam nawet pańskiego nazwiska.

DOKUMENT MAKSYMALNIE ZABEZPIECZONY PODŁĄCZEŃ ZEWNĘTRZNYCH
BRAK MOŻNA PISAĆ Zgarbiona postać siedziała nad klawiaturą z ożywionym wzrokiem i umysłem postawionym w stan pełnej gotowości, mimo że ciało okazywało

oznaki wyczerpania. Mężczyzna oddychał głęboko, jak gdyby każdy oddech napędzał mu umysł. Nie spał już prawie od czterdziestu ośmiu godzin w oczekiwaniu na rozwój wypadków w Bahrajnie. Nastąpiła przerwa, zawieszenie wszelkiej komunikacji... cisza. Przeszło mu przez myśl, że niewielki krąg zaangażowanych w działania pracowników Departamentu Stanu i Centralnej Agencji Wywiadowczej może teraz odetchnąć głęboko, ale dopiero teraz, nie wcześniej. Dotąd wszyscy wspólnie wstrzymywali oddech. Bahrajn stanowił nieodwracalny, ostateczny skraj toku wypadków, których zakończenie było niepewne. Ten stan już minął. Wszystko dobiegło końca, podmiot odleciał. Wygrał. Postać zaczęła pisać. Nasz człowiek osiągnął sukces. Moje przyrzędy nie posiadają się ze szczęścia, bo choć nie wydały ostatecznej opinii, to jednak wykazały, że możliwość powodzenia istnieje. Na swój nieożywiony sposób ujrzały moją wizję. Podróżnik przybył tu dziś rano w głębokiej konspiracji, sądząc, że wszystko zostało zakończone i że jego życie powróci do swej anormalnej normalności, jest jednak w błędzie. Wszystko jest na właściwym miejscu, zapis istnieje. Trzeba będzie znaleźć środki i zostaną one znalezione. Nastąpi błyskawica, on zaś będzie gromem, który zmieni losy narodu. Dla niego to dopiero początek.

* * *

KSIĘGA II

**DOKUMENT MAKSYMALNIE ZABEZPIECZONY PODŁĄCZEŃ ZEWNĘTRZNYCH
BRAK MOŻNA PISAĆ Środki zostały znalezione!** Tak jak w staroindyjskich świętych księgach Wedy, zjawił się bóg ognia jako posłaniec do ludzi. Dał mi się poznać, a je jemu. Archiwum w sprawie Omanu zostało skompletowane. Całkowicie! Zdobyłem wszystko poprzez uzyskanie dostępu i penetrację, i wszystko to przekazałem jemu. To człowiek wyjątkowy – a patrząc realnie ufam, że powyższe mogą odnieść również do siebie – i wykazuje poświęcenie równe mojemu. Archiwum zostało skompletowane, ten dziennik zatem jest już zakończony. Wkrótce rozpocznie się następny.

* * *

Rozdział 16

W rok później. Niedziela, 22 sierpnia, godz. 8:30 Cztery

limuzyny, jedna po drugiej, niczym ciche, wytworne rydwany, zajęchały wraz ze swymi właścicielami przed marmurowe schody prowadzące do wspartego na kolumnach wejścia do posiadłości nad brzegami Chesapeake Bay. Pojawiły się w nieregularnych odstępach czasu tak, by przypadkowi widzowie śledzący przejazd po autostradzie lub na ulicach zamożnego miasteczka we Wschodnim Wybrzeżu Marylandu nie odnieśli wrażenia pośpiechu. Wyglądało to na nic więcej, jak na jeszcze jedno spokojne spotkanie towarzyskie w gronie bajecznie bogatych obywateli: typowy obrazek w tej enklawie tuzów wielkiej finansjery. Miejscowy zamożny bankier wyglądając przez okno i widząc przemykające obok lśniące samochody mógłby pomarzyć o przywileju podsłuchania rozmów ich pasażerów, gdy popijają brandy czy grają w bilard, ale na tym kończyły się jego rozważania. Bajecznie bogaci obywatele nie skąpili pieniędzy na potrzeby swych podmiejskich okolic, a ich mieszkańcy stawali się dzięki nim coraz bogatsi. Okruchy z pańskich stołów często wpadały do ich kieszeni: korzystały z nich całe zastępy pomocy domowych i ogrodników, których krewniacy wydłużali listy płac bez słowa sprzeciwu ze strony właścicieli, o ile ci ostatni po powrocie do domu z Londynu, Paryża czy Gstaad zastawali swe posiadłości w idealnym porządku. Natomiast przedstawiciele świata finansów mogli od czasu do czasu liczyć na zdobycie poufnej informacji giełdowej w trakcie przyjacielskiego spotkania przy drinku w osobliwej pod względem handlowym tawernie w centrum miasta. Bankierzy, kupcy i inni mieszkańcy szczerze kochali swych "panów" i spokojnie, lecz stanowczo strzegli intymności życia owych znamienitych obywateli obu płci. Jeżeli zaś stanie na straży owej intymności wymagało czasami nagięcia paru przepisów prawa, to nie uważano tego za cenę zbyt wygórowaną. Krok taki był w pewnym sensie moralnie usprawiedliwiony, wzięwszy pod uwagę, że plotkarze i skandalizujące brukowce gotowe są zawsze wyrzucić wszystko do góry nogami, byle tylko sprzedać nakład swych gazet i magazynów. Każdy zwykły śmiertelnik mógłby spać się jak świnia, wszczać krwawą burdę z żoną czy sąsiadem, a nawet uczestniczyć w wypadku samochodowym i nikomu nie przyszłoby do głowy uwiecznić go na groteskowych zdjęciach i zarzucać nimi wszystkie strony pism. Dlaczego zatem wyróżnia się ludzi bogatych czyniąc ich

bohaterami sensacyjnych lektur,, stających się pokarmem dla czytelników, którzy sami pozbawieni są jakichkolwiek talentów? Ludzie bogaci to co innego: to oni przecież dają pracę i łożą hojnie na cele dobroczynne, to za ich przyczyną życie tych, którzy się o nich otarli, staje się często choćby odrobinę łatwiejsze. Czemu więc mieliby być obiektem prześladowań? Tak właśnie rozumowali okoliczni mieszkańcy. Miejscowa policja nie musiała się zbytnio natrudzić, by rejestr policyjny był czystszy niż mógłby wyglądać w rzeczywistości. Sytuacja taka sprzyjała rozwojowi harmonijnego współżycia. Sprzyjała również zachowaniu paru pilnie strzeżonych tajemnic związanych z ową uprzywilejowaną enklawą, na terenie której leżała posiadłość rozciągająca się nad Chesapeake Bay. Ale tajemnica to rzecz względna: to, co dla jednego jest sekretem, dla drugiego może być obiektem pośmiewiska. Akta rządowe opatrzone klauzulą "tajne" nadspodziewanie często ukazują się publicznie w druku, a seksualne apetyty wybitnego przedstawiciela rządu stanowią tajemnicę głównie dla jego żony, i vice versa. "Niech skonam, jeśli kłamię" – lubią zaklinać się dzieci, które nie potrafią dotrzymać słowa; tam jednak, gdzie w grę wchodzi śmierć niezwykła, krąg tajemnicy musi stanowić pancierz nie do przebicia. Tak jak to miało miejsce owej nocy, gdy cztery okazałe samochody przejechały ulicami miasteczka Cynwid Hollow kierując się w stronę Chesapeake Bay. Okazała bibliotekę, mieszczącą się w położonym najbliższej zatoki skrzydle ogromnego budynku, cechował bogaty, męski wystrój. Dominowała w niej skóra i drewno, a wysokie okna wychodziły na okalającą budynek, ozdobioną rzeźbami przestrzeń skąpaną w świetle reflektorów. Wysokie na ponad dwa metry półki z książkami wznosiły się wszędzie tam, gdzie tylko pozwalało na to miejsce, tworząc imponującą ścianę wiedzy. Po obu stronach okien stały fotele z miękkiej, brązowej skóry, z lampami po bokach, a w odległym prawym rogu pokoju znajdowało się szerokie biurko z drzewa wiśniowego, za którym ustawiono wyściełane czarną skórą obrotowe krzesło z wysokim oparciem. Charakterystycznym uzupełnieniem tego rodzaju pokoju był stojący pośrodku duży, okrągły stół, główny rekwizyt konferencji, dla których najlepszym miejscem jest bezpieczne zacisze wiejskiej okolicy. Jednak na wystroju pokoju i towarzyszącej mu atmosferze kończyły się zwykle podobieństwa i stawało się jasne, że jest w nim coś nietypowego, żeby nie powiedzieć dziwnego. Na stole, przed każdym z miejsc stała mosiężna lampka, której światło skierowane było prosto w dół na żółty blok notatnika. Wyglądało to tak, jakby małe, ostre kręgi światła miały ułatwiać zgromadzonym wokół stołu skupienie całej uwagi na sporządzanych notatkach; uwagi ich nie rozpraszał widok jasno oświetlonych twarzy – i oczu – sąsiadów siedzących obok i naprzeciw z tej prostej przyczyny, że w pokoju nie paliło się żadne inne światło. Twarze wylaniały się i chowały w cieniu, ukazując jedynie przez moment malujące się na nich emocje. W zachodniej części biblioteki, przymocowana do gzymsu nad półkami z książkami, znajdowała się długa, czarna rurka; wysuwał się z niej srebrzysty ekran, który, tak jak to miało miejsce w tej chwili, opuszczał się do parkietu. Służył on innej niezwykłej części wyposażenia pokoju – niezwykłej z uwagi na jej trwałe charakter. Wbudowana we wschodnią ścianę pokoju ponad poziomem stołu, wysuwana do przodu, tak jak teraz, pod

wpływem impulsu elektrycznego, mieściła się konsola ze sprzętem audiowizualnym. W jej skład wchodziły aparaty projekcyjne do przekazywania obrazu telewizyjnego i obrazu z taśmy, projektor filmowy, rzutnik slajdów i aparatura do odtwarzania nagrań dźwiękowych. Dzięki ulokowanej na dachu i sterowanej zdalnie antenie parabolicznej, ten wymyślny zestaw był w stanie wyłowić przekazy satelitarne i krótkofalowe z całego świata. W chwili obecnej małe czerwone światełko żarzyło się na czwartej ścianie konsoli: karuzelowy pojemnik ze slajdami został już umocowany i czekał gotowy do pracy. Wszystkie te urządzenia były niewątpliwie zjawiskiem nietypowym dla wnętrza biblioteki nawet w tak bogatym domu; ich obecność przywołała raczej na myśl atmosferę sali operacji strategicznych, położonej z dala od Białego Domu, Pentagonu lub sterylnych pomieszczeń Krajowej Agencji Bezpieczeństwa. Za jednym naciśnięciem guzika cały miniony i współczesny świat poddawany tu zostawał dokładnemu badaniu, a jego wyniki przybierały postać wyizolowanej gry światła i cieni. Jednak w przeciwnym, prawym rogu tego niezwykłego pokoju krył się pewien ciekawy anachronizm: w odległości około metra od zastawionej książkami ściany stał samotnie stary, żeliwny piec, wznosząc ku sufitowi swój przewód kominowy. Obok niego znajdowało się metalowe wiadro wypełnione węglem. Ale szczególnie dziwne mogło się wydawać to, że w piecu palił się ogień, mimo akcentowanej cichym furkotem pracy urządzeń klimatyzacyjnych, niezbędnych w tę ciepłą, wilgotną noc nad zatoką Chesapeake. Piec ów jednakże odgrywał istotną rolę w konferencji, która miała rozpocząć się za chwilę w nadbrzeżnej okolicy Cynwid Hollow. Każde zapisane słowo będzie spalone, tak jak i bloki notatników, nic bowiem z tego, co zostanie tu powiedziane, nie może przedostać się na zewnątrz. Tradycja ta wyrosła z konieczności: od słów obecnych tu osób zależy mógł upadek rządów, rozkwit lub załamanie się systemów gospodarczych; ich decyzje mogły wzniecić wojny lub wpłynąć na utrzymanie pokoju. Byli spadkobiercami najpotężniejszej, tajnej organizacji wolnego świata. Było ich pięćoro.

–Za dwa lata, licząc od listopada bieżącego roku, prezydent zostanie ponownie wybrany na ten urząd przeważającą większością głosów – odezwał się siwowłosy mężczyzna o orlich, arystokratycznych rysach, zajmujący naczelne miejsce przy stole konferencyjnym. – Żeby dojść do takiego wniosku, nie musieliśmy nawet korzystać z opracowanych przez nas prognoz. Ten człowiek ma w ręku cały kraj, i jeśli tylko nie popełni jakichś katastrofalnych błędów – do których jego bardziej rozsądni doradcy z pewnością nie dopuszczą – to nikt, włącznie z nami, nie będzie w stanie nic na to poradzić. Dlatego też trzeba przygotować się na to, co nieuniknione, i wprowadzić naszego człowieka.

–Dziwne określenie: "nasz człowiek" – skomentował potrząsając głową szczupły, łysiejący mężczyzna około siedemdziesiątki, z twarzą o zapadłych policzkach i dużych, łagodnych oczach. – Będziemy musieli działać szybko. Wszystko jednak może się jeszcze zmienić. Prezydent jest postacią tak czarującą i sympatyczną, tak bardzo pragnie być lubiany, a nawet kochany, jest taki...

–Taki płytki – wszedł mu w słowo czarnoskóry, barczysty mężczyzna w średnim

wieku. Mówił cicho, bez śladu wrogości w głosie. Jego skrojone bez zarzutu ubranie świadczyło o dobrym smaku i zamożności. Nie żywię do niego osobiście żadnych nieprzyjaznych uczuć, kierują nim bowiem dobre chęci; to zupełnie przyzwoity, a może i dobry człowiek. Tak w każdym razie myślą ludzie, i pewnie mają rację. Nie, nie chodzi o niego. Chodzi o te kundle, które się za nim tłoczą, pozostając tak daleko w tyle, że on sam prawdopodobnie nawet nie wie o ich istnieniu, a jeśli już, to uważa ich za osoby wspierające kampanię wyborczą.

–Nie wie – potwierdził czwarty z siedzących przy stole, pulchny mężczyzna w średnim wieku o twarzy cherubinka i niecierpliwych oczach naukowca pod zmierzwioną czupryną rudych włosów. Opatrzona łatami na łokciach tweedowa marynarka wskazywała na kogoś z grona ludzi zajmujących się nauką. – Stawiam dziesięć moich patentów, że dojdzie do jakiegoś poważnego błędu jeszcze przed upływem jego pierwszej kadencji.

–Przegrałbyś – zawyrokowała piąta z zasiadających przy stole osób, starsza kobieta o srebrzystych włosach, ubrana elegancko w czarną jedwabną suknię z minimalnym dodatkiem biżuterii. W jej starannie wykształconym głosie pobrzmiwały echa modulacji i intonacji, określanych często jako charakterystyczne dla dialektu środkowoatlantyckiego. – I to wcale nie dlatego, że go za nisko oceniasz, co zresztą czynisz, ale dlatego, iż on sam i ci, którzy stoją za jego plecami dążyć będą do wzmocnienia rosnącej jedynomyślności we własnych szeregach, aż stanie się on postacią politycznie nie do pokonania. Nie będą podejmować żadnych poważnych decyzji dopóki nie upewnią się, że jego przeciwnicy nie mają już praktycznie głosu. Innymi słowy, postarają się zachować swe armaty na drugą kadencję.

–Zgadzasz się zatem z Jacobem, że musimy działać szybko – dopowiedział siwowłosy Samuel Winters kierując głowę w stronę wymizerowanego oblicza Jacoba Mandeli siedzącego po jego prawej stronie.

–Oczywiście, że się z tym zgadzam, Sam – odparła Margaret Lowell poprawiając machinalnie fryzurę. Nagle pochyliła się do przodu, opierając się mocno łokciami o stół i zacisnęła złożone dłonie; tennieoczekiwanie męski odruch u tak bardzo kobiecej przedstawicielki płci pięknej przeszedł jednak wśród zgromadzonych zupełnie niezauważony. Uwaga wszystkich skupiała się na tym, co miała do powiedzenia. – Patrząc na wszystko realnie, nie jestem wcale pewna, czy będziemy w stanie działać wystarczająco szybko – dodała nagle cichym głosem. – Prawdopodobnie trzeba będzie rozważyć podjęcie ostrzejszych działań.

–Nie, Peg – włączył się Eric Sundstrom, rudowłosy uczoney siedzący po prawej stronie pani Lowell. – Wszystko powinno wyglądać najzupełniej normalnie, zgodnie z obrazem optymistycznej administracji, która straty zamienia na zyski. Właśnie takie stanowisko musimy zająć. Jakiegokolwiek odejście od zasady naturalnej ewolucji – czy nieprzewidywalności samej natury – wywołałoby nieznośne sygnały ostrzegawcze. Wspomniane przez ciebie, słabe jeszcze dziś porozumienie, zacieśniłoby się wokół tej sprawy, umiejętnie podsycanej przez tych kundli, jak ich określił Gid. Mielibyśmy tu państwo policyjne. Gideon Logan skinął swą dużą, czarną głową na znak

potwierdzenia tych słów, marszcząc w uśmiechu usta.

–O, tak, skakaliby jak dzicy wokół rozpalonych ognisk, przywołując do siebie wszystkich prawomyślnych obywateli, i puściliby z dymem państwo. – Przerwał, spoglądając na kobietę siedzącą po drugiej stronie stołu. – W tej sprawie nie ma żadnej drogi na skróty, Margaret. Eric ma rację.

–Nie chciałam wcale dramatyzować – nie ustępowała Margaret. – Nie myślałam o żadnych strzałach w Dallas. Brałam jedynie pod uwagę kwestię czasu. Czy go nam wystarczy?

–Tak, jeżeli go właściwie wykorzystamy – odparł Jacob Mandela. – sprawą kluczową jest dobór kandydata.

–Przejdźmy zatem do niego – przerwał mu siwowłosy Samuel Winters. Jak wszyscy wiecie, nasz kolega, pan Varak zakończył już swoje poszukiwania i jest przekonany, że znalazł właściwego człowieka. Nie będę zanudzał was opisem licznych eliminacji, jakich po drodze dokonywał, ograniczę się tylko do stwierdzenia, że jeśli nie osiągniemy w tej sprawie pełnej jedności, przystąpimy do analizowania ich punkt po punkcie. Varak zapoznał się dokładnie z naszymi dyrektywami: wiedział, jakich zalet oczekujemy od kandydata i jakich wad pragniemy uniknąć, czyli, krótko mówiąc, jakie talenty naszym zdaniem człowiek ów powinien posiadać. I w moim przekonaniu Varak odkrył wspaniałego, choć całkiem niespodziewanego kandydata. Nie będę mówił za naszego przyjaciela – wszak sam potrafi to bardzo dobrze robić; nie byłbym jednak w porządku, gdybym nie wspomniał, że uczestnicząc w naszych licznych konferencjach okazywał nam oddanie równe temu, jakie piętnaście lat temu przejawiał jego wuj Anton Varak wobec naszych poprzedników. Winters przerwał na chwilę, kierując swe przenikliwe szare oczy kolejno na każdego z obecnych przy stole.

–Być może dopiero pozbawiony swych swobód Europejczyk jest w stanie zrozumieć w pełni przyczynę naszego istnienia. Jesteśmy spadkobiercami Inver Brass wskrzeszonej do życia przez tych, którzy byli przed nami. My sami mieliśmy zostać przez nich wybrani, jeśli ich pełnomocnicy orzekliby, że nasze życie rozwija się zgodnie z ich oczekiwaniami. I kiedy każde z nas otrzymało zalakowaną kopertę, wszystko zrozumieliśmy. Nie szukaliśmy odtąd żadnych korzyści z miejsca zajmowanego w społeczeństwie, nie pożąдалиśmy zysków lub stanowisk poza tymi, które stały się już naszym udziałem. Dzięki posiadanym zdolnościom, za pomocą szczęścia i odziedziczonej spuścizny, a także w wyniku niepowodzeń innych ludzi, osiągnęliśmy stan wolności, jaki dany jest tylko nielicznym w naszym tak strasznie niespokojnym świecie. Ale wraz z wolnością przychodzi odpowiedzialność; akceptujemy ten stan rzeczy, jak czynili to przed laty nasi poprzednicy. Naszym zadaniem jest wykorzystanie posiadanych środków dla uczynienia tego kraju lepszym; a w efekcie tego procesu, mamy nadzieję, że cały świat stanie się lepszy. – Winters rozparł się wygodnie w fotelu i rozłożywszy ręce zaczął kręcić głową i ciągnął dalej głosem, w którym wyczuwało się wahanie, a nawet znaki zapytania. – Bóg nam świadkiem, że nikt nas nie wybierał, nikt nie namaszczał w imię Boże, a bogowie z Olimpu nie zsyłali na ziemię piorunów, by obwieścić nam swą wolę; to,

czym się zajmujemy, robimy dlatego, że to potrafimy. I dlatego, że wierzymy w nasz zbiorowy, trzeźwy osąd.

–Po co ta skromność, Sam – przerwała mu łagodnie Margaret Lowell. – Możemy się uważać za ludzi uprzywilejowanych, chociaż różnimy się też między sobą. Nie reprezentujemy jednego zakresu spektrum.

–Nie bardzo wiem, Margaret, jak mam to przyjąć – odezwał się Gideon Logan unosząc brwi w geście udawanego zdziwienia; członkowie Inver Brass wybuchnęli śmiechem.

–Drogi Gideonie – odparła pani Lowell. – Nawet nie zauważyłam. Czyżbyś bawił o tej porze roku w Palm Beach? Widać, że się opalałeś.

–Ktoś przecież musiał doglądać pani ogrodów, proszę pani. – Jeżeli to byłeś ty, to mogę mieć pewność, że nie posiadam już domu.

–Całkiem możliwe. Pani posiadłość dzierżawi teraz konsorcjum złożone z rodzin portorykańskich. Chociaż tak właściwie to komuna. – Przez stół przetoczyła się cicha fala śmiechu. – Przepraszam, Samuelu, nie przystoją nam takie żarty.

–Wprost przeciwnie – włączył się Jacob Mandel. – To oznaka zdrowia i wyważonego spojrzenia. Jeżeli przestaniemy się kiedyś śmiać, szczególnie z naszych słabostek, to nic tu po nas... Pozwolę sobie zauważyć, że starsze pokolenia wyniosły tę naukę z pogromów europejskich. Określali to mianem jednej z podstawowych zasad przetrwania.

–I trudno nie przyznać im racji – zgodził się Sundstrom wciąż chichocząc. – Dzięki temu ludzie mogą spojrzeć na swe problemy z pewnego, choćby niewielkiego dystansu. Ale czy moglibyśmy przejść do naszego kandydata? Muszę przyznać, że jestem absolutnie zafascynowany. Jak twierdzi Sam, dokonano wspaniałego, choć zupełnie nieoczekiwanego wyboru. Patrząc na to przez pryzmat czasu – o czym mówiła Peg – skłonny byłbym pomyśleć, że jest inaczej. Sądziłem, że ten ktoś przyleci do nas na skrzydłach – na politycznych skrzydłach Pegaza, jeśli wolicie.

–Powinienem kiedyś naprawdę przeczytać którąś z jego książek – trącił znowu Mandel tym samym spokojnym głosem. – Mówi jak rabbi, ale nic z tego nie rozumiem.

–Nawet nie próbuj – doradził mu Winters posyłając przyjazny uśmiech w stronę Sundstroma.

–Wróćmy jednak do kandydata – powtórzył Sundstrom. – Czy mam rozumieć, że Varak przygotował jego prezentację?

–Zwracając, jak to ma w zwyczaju, uwagę na szczegóły – odparł Winters i skierował głowę w lewą stronę wskazując czerwone światelko żarzące się na stojącej za nim, wbudowanej w ścianę konsoli. – Przy okazji wydobył na światło dzienne kilka dość niezwykłych informacji dotyczących wydarzeń, które miały miejsce niemal dokładnie rok temu.

–Chodzi o Oman? – spytał Sundstrom mrużąc oczy ponad światłem swej mosiężnej lampy. W ubiegłym tygodniu w kilkunastu miastach odprawiono nabożeństwa żałobne.

–Pozwólmy, by wyjaśnił to nam pan Varak – odpowiedział siwowłosy historyk i

nacisnął guzik umieszczony w blacie stołu. W pokoju rozległ się cichy odgłos brzęczyka; w kilka sekund później drzwi biblioteki otworzyły się i w jej przyćmionym oświetleniu pojawił się, zatrzymując się w progu, postawny blondyn po trzydziestce. Ubrany był w letni jasnobrązowy garnitur i ciemnoczerwony krawat. Jego szerokie bary zdawały się rozpychać materiał marynarki. Jesteśmy gotowi, panie Varak. Proszę wejść.

–Dziękuję panu. – Miloś Varak zamknął drzwi, odcinając nagle światło płynące z korytarza, i przeszedł do najdalej położonego krańca pokoju. Stanąwszy przed opuszczonym, srebrzystym ekranem, skinął uprzejmie głową pozdrawiając członków Inver Brass. Światło mosiężnych lamp odbijające się od połyskliwej powierzchni stołu omiało twarz przybysza uwydatniając wystające kości policzkowe i szerokie czoło pod bujną czupryną starannie uczesanych, prostych blond włosów. Lekko skośne oczy wskazywały na słowiańskie pochodzenie z domieszką krwi plemion zamieszkujących niegdyś tereny Europy Wschodniej. Oczy te były spokojne, bystre, i w jakiś sposób zimne. – Pozwolę sobie stwierdzić, że miło mi znowu spotkać wszystkich państwa – odezwał się w bezbłędnej angielszczyźnie, w której wyczuwało się jednak praski akcent.

–To nam jest miło, Miloś – zareplikował Jacob Mandel wymawiając to imię w jego poprawnym czeskim brzmieniu. Inni poszli w jego ślady wygłaszając kilka słów na powitanie.

–Witaj, Varak. – Sundstrom rozparł się wygodnie w swym fotelu. – Świetnie wyglądasz, Milos – zauważył Gideon Logan i skinął głową.

–Wygląda jak piłkarz – oceniła z uśmiechem Margaret Lowell. – Uważaj, żebyś nie wpadł w oko "Czerwonoskórym", bo właśnie poszukują obrońców liniowych.

–Ta gra jest dla mnie stanowczo zbyt zagmatwana, proszę pani. – Dla nich też.

–Powiedziałem wszystkim o osiągniętym przez ciebie postępie – poinformował Winters i dodał cicho: – W każdym razie o postępie z twojego punktu widzenia. Zanim jednak wyjawisz nam tożsamość człowieka, którego kandydaturę chcesz nam przedłożyć, czy nie zechciałbyś najpierw przypomnieć dyrektywy, którymi się kierowałeś?

–Bardzo proszę. – Varak powędrował oczami wokół stołu zbierając myśli. – Przede wszystkim, wasz człowiek powinien być atrakcyjny z wyglądu, ale nie może być "pięknisiem" ani typem zniewieściałego mężczyzny. Musi w maksymalnym stopniu odpowiadać wymogom stawianym przez waszych fachowców od kształtowania wizerunku; odstępstwo od tej zasady przysporzyłoby nam zbyt wiele kłopotów ze względu na czas, jakim dysponujemy. Powinien to zatem być mężczyzna, który dla innych mężczyzn stanowiłby utożsamienie męskich przymiotów tego społeczeństwa, a dla kobiet przedmiot westchnień. Nie może to być też ideolog nie do przyjęcia dla głośno wyrażających swe zdanie kręgów elektoratu. Ponadto człowiek ten musi sprawiać wrażenie, że jest, jak wy to nazywacie, panem samego siebie, którego nie da się niczym kupić i którego życiorys by to potwierdzał. No i, oczywiście, nie wolno mu mieć nic do ukrycia. Wreszcie najistotniejszy aspekt prowadzonych poszukiwań: sprawa powierzchowności. Nasz kandydat musi łączyć

w sobie wszystkie te zalety osobiste, które w wyniku przyspieszonej prezentacji na forum publicznym pomogą wypchnąć go na sam środek sceny politycznej.

Serdeczny, o spokojnym usposobieniu prawdziwym czy tylko manifestowanym – z przeszłości udokumentowaną zapisanymi aktami bohaterstwa, nie zawierającą jednak niczego, co mógłby wykorzystać do usunięcia w cień prezydenta.

–Ludzie prezydenta nie pozwoliliby na to – stwierdził Eric Sundstrom.

–Tak czy inaczej, nie będą mieli wyboru – odparł Varak z cichą nutą pewności w głosie. – Cała manipulacja będzie przebiegać w czterech etapach. W ciągu pierwszych trzech miesięcy nasz w gruncie rzeczy anonimowy człowiek stanie się postacią widoczną, po upływie sześciu będzie już względnie dobrze znany, a pod koniec roku zdobędzie uznanie równe temu, jakie otacza przywódców Senatu i Izby Reprezentantów, przy założeniu takich samych celów demograficznych. Etap czwarty, który rozpocznie się na kilka miesięcy przed zwołaniem konwencji wyborczych, zostanie ukoronowany ukazaniem się jego podobizn na okładkach "Time" i "Newsweeka", oraz opublikowaniem pochwalnych artykułów redakcyjnych we wszystkich liczących się gazetach i w telewizji. Przy użyciu odpowiednich środków finansowych możemy być pewni osiągnięcia tych zamierzeń. – Przerwał na chwilę, po czym dodał: – Oczywiście, pewność ta jest uzależniona od wyboru właściwego kandydata. A moim zdaniem właśnie takiego znaleźliśmy. Członkowie Inver Brass spojrzeli z lekkim niedowierzaniem na swego czeskiego koordynatora, po czym popatrzyli się po sobie uważnym wzrokiem.

–Jeżeli rzeczywiście tak jest – odezwała się Margaret Lowell – kiedy tylko zstąpi na ziemię, z miejsca go poślubię.

–Ja też – dodał Gideon Logan. – Do diabła z mieszanymi małżeństwami!

–Proszę wybaczyć – wtrącił Varak. – Nie miałem zamiaru gloryfikować naszego kandydata. To najzwyczajniejszy człowiek, a cechy, które mu przypisuję, wypływają głównie z jego wiary we własne siły, którą dało mu bogactwo osiągnięte ogromnym nakładem pracy i umiejętnie podejmowane ryzyko w odpowiednim czasie i miejscu. Jest zadowolony z siebie i innych: niczego bowiem od innych nie potrzebuje i wie, na co go samego stać.

–Kto to jest? – spytał Mandel.

–Pozwolą państwo, że go im pokażę? – zaproponował Varak tonem pełnym szacunku, nie odpowiadając na postawione pytanie. Wyjął z kieszeni pilota i odsunął się od ekranu. Możliwe, że niektórzy z państwa go rozpoznają i będę musiał cofnąć swą uwagę o jego anonimowości. Z konsoli wystrzelił snop światła i ekran wypełniła twarz Evana Kendricka. Kolorowa fotografia podkreślała mocną opaleniznę; widać było wyraźnie szczecinę nie golonej brody i kosmyki jasnobrązowych włosów opadające na uszy i kark. Mrużąc oczy w słońcu, spoglądał na wodę z poważnym, a zarazem niepewnym wyrazem twarzy.

–Wygląda jak hippis – orzekła Margaret Lowell.

–W zaistniałych okolicznościach pani uwaga wydaje się usprawiedliwiona – odparł Varak. – To zdjęcie zostało wykonane w ubiegłym tygodniu, który był czwartym tygodniem wyprawy, jaką corocznie odbywa po spienionych wodach rzek w Górach

Skalistych. Podróżuje samotnie, bez towarzystwa i przewodnika. – Czech zaczął przesuwac slajdy w odstepach kilku sekund. Zdjecia ukazywaly Kendricka w roznych sytuacjach gorskiego splywu: na kilku widać bylo, jak walczy zaciekle o utrzymanie w rownowadze swej lodzi wykonanej z polichlorku winylu, jak przechyla ja na boki lawirujac pomiedzy zdradliwie wciskajacymi sie poszarpanymi skalami, otoczony fontanna spienionej wody i piany. Wyrastajace w tle gorskie lasy podkreślaly kruchość czlowieka i jego lodzi w obliczu nieprzewidywalnej potegi natury.

–Chwileczkę! – krzyknal Samuel Winters, spoglądajac badawczo przez okulary w rogowej oprawie. – Zatrzymaj to zdjecie – poprosil wpatrujac sie w ekran. – Nie wspominales mi o tym ani slowem. Na tej fotografii widać, jak oplywa zakret kierujac sie w strone obozowiska polozonego ponizej wodospadu Lava.

–Ma pan racje.

–To znaczy, ze wczesniej musial pokonac katarakty zaliczane do jednych z najbardziej niebezpiecznych.

–Zgadza sie.

–Bez przewodnika?

–Tak.

–Chyba jest szalony! Kilka dziesiatkow lat wstecz sam plynalem po tych wodach az z dwoma przewodnikami, i bylem smiertelnie przerazony. Czemu on to robi?

–Czyni tak od lat – po kazdym powrocie do Stanow.

–Po powrocie? Jacob Mandel przechylinil sie do przodu.

–Jeszcze jakies sześć lat temu pracowal jako inzynier budowlany i konstruktor.

Obszar jego zawodowej dzialalnosci skupial sie we wschodnich rejonach Morza Srodziemnego i nad Zatoką Perską. Jak latwo sobie wyobrazic, w tej czesci swiata próżno by szukać gór i rzek. Mysle wiec, ze w zmianie otoczenia znajdowal prawdziwe wytchnienie. Mniej wiecej w ciagu tygodnia zalatwial swoje interesy, a potem wypuszczal sie na polnocny zachod.

–Samotnie, jak mowisz? – uzupełnil Eric Sundstrom.

–W tamtym okresie czesto zabieral ze soba damskie towarzystwo. – No to wiemy, ze nie jest homoseksualista – zauwazyła jedyna kobieta w gronie Inver Brass.

–Nigdy czegoś takiego nie sugerowalem.

–Nie wspominales tez nic o zonie i rodzinie, a moim zdaniem, tego typu informacje maja istotne znaczenie. Powiedziales jedynie, ze odbywa samotne wyprawy w czasie, jak rozumiem, wakacji. – Jest kawalerem, prosze pani.

–To moze stanowic pewien problem – dorzucil Sundstrom.

–Niekoniecznie. Zostaly nam dwa lata, zeby zajac sie ta sprawa. A jezeli wszystko bedzie wygladac wystarczajaco prawdopodobnie, to mozna sie spodziewac, ze zawarcie malzenstwa w roku wyborow wywrze spore wrazenie.

–Bez watpienia, zwaywszy, ze obecny prezydent cieszy sie niespotykaną dotad popularnoscia – zachichotal Gideon Logan. – To nie jest takie niemozliwe.

–Na Boga, Milos, masz sie teraz zajmowac kwestiami podstawowymi.

–Chwileczkę. – Mandel poprawil swoje okulary w rogowej oprawie. – Mowiles, ze sześć lat temu przebywal w rejonie Morza Srodziemnego.

–Pracował wtedy w przemyśle budowlanym. Sprzedał przedsiębiorstwo i opuścił Bliski Wschód.

–Dlaczego to zrobił?

–Wydarzył się tragiczny wypadek, w wyniku którego śmierć ponieśli niemal wszyscy jego pracownicy wraz z rodzinami. To nieszczęście głęboko nim wstrząsnęło.

–Czy był za to odpowiedzialny? – dopytywał się dalej makler giełdowy.

–W najmniejszym stopniu. Oskarżenie objęło inną firmę, za to, że zastosowała materiał gorszej jakości.

–Czy wyniósł jakkolwiek korzyść z tej tragedii? – spytał Mandel; jego łagodne spojrzenie stwardniało.

–Wprost przeciwnie. Sprawdziłem to dokładnie: sprzedał swoje przedsiębiorstwo za mniej niż połowę jego wartości rynkowej. Nawet pełnomocnicy konsorcjum, które je od niego kupiło, byli zdziwieni. Dysponowali upoważnieniem do zapłacenia ceny trzykrotnie wyższej. Oczy członków Inver Brass przeniosły się z powrotem w stronę dużego ekranu, na którym widniała podobizna mężczyzny w łodzi kładącej się na ostrym zakręcie rwącej rzeki.

–Kto robił te zdjęcia? – spytał Logan.

–Ja – odparł Varak. – Śledziłem go. Ani razu mnie nie zobaczył. Przesuwały się kolejne slajdy, i nagle nastąpiła raptowna zmiana. "Kandydat" nie ukazywał się już w poszarpanym płaszczu z piany rzecznej ani też w polowym mundurze i podkoszulce, kiedy to pod koniec dnia krzątał się przy ognisku gotując sobie samotny posiłek. Teraz był starannie ogolony, miał przystrzyżone", uczesane włosy i nosił ciemny reprezentacyjny garnitur. Kroczył znajomo wyglądającą ulicą z aktówką w ręku.

–To Waszyngton – orzekł Eric Sundstrom.

–A tu widzimy schody prowadzące do Rotundy – dodał Logan przy następnym slajdzie.

–Wchodzi na Kapitol – wtrącił Mandel.

–Znam go! – krzyknął Sundstrom ściskając skronie palcami prawej ręki. – Znam tę twarz. I wiem, że wiąże się z nią jakaś historia, tylko nie pamiętam jaka.

–Z pewnością jednak nie ta, o której chcę teraz opowiedzieć. – No dobrze, Miloś – odezwała się Margaret Lowell twardym głosem. – Wystarczy już tego. Kto to jest, u diabła?

–Nazywa się Kendrick, Evan Kendrick. I jest posłem z dziewiątego okręgu wyborczego w Kolorado.

–Kongresman?wykrzyknął Jacob Mandel; na ekranie widniała wciąż fotografia Kendricka na stopniach Kapitolu. – Nigdy o nim nie słyszałem, a wydawało mi się, że znam tam wszystkich. Nie osobiście, rzecz jasna, ale z nazwiska.

–Jest postacią stosunkowo nową, a jego kampania wyborcza nie była zbyt szeroko relacjonowana. Ubiegał się o urząd z ramienia partii prezydenckiej, w tym okręgu bowiem opozycja praktycznie nie istnieje – wygrana w prawyborach jest równoznaczna ze zwycięstwem wyborczym. Mówię o tym dlatego, że nasz kongresman zdaje się nie podzielać filozofii wielu posunięć politycznych Białego

Domu. W czasie prawyborów unikał omawiania spraw krajowych. – Czy sugerujesz przez to – dopytywał się Gideon Logan – że jest naprawdę niezależny i uczciwy?

–Tak, ale w sposób nie wzbudzający rozgłosu.

–Jest nowy, nie wzbudza rozgłosu i wywodzi się z niezbyt okazałego okręgu wyborczego – podsumował Sundstrom. – Z tego punktu widzenia podkreślana przez ciebie anonimowość jest zapewniona. Może aż nazbyt. Nic tak bowiem nie umyka uwadze w okresie kluczowych wydarzeń politycznych, jak nowo wybrany kongresman pochodzący z nieznanego okręgu, o którym nikt nic nie słyszał. Zaraz: Denver jest w pierwszym okręgu, Boulder w drugim, a Springs w piątym; gdzie znajduje się dziewiąty okręg?

–Na południowy zachód od Telluride, przy granicy z Utah – wyjaśnił Jacob Mandel wzruszając ramionami jakby chciał przeprosić za to, że wie. – Kilka lat temu zajmowaliśmy się badaniem tamtejszych akcji kopalnianych, o wysokim stopniu ryzyka. Ale człowiek widoczny na tych zdjęciach nie jest tym kongresmanem, z którym spotkaliśmy się wtedy i który rozpaczliwie próbował namówić nas do udzielenia gwarancji rozprawienia tych akcji.

–Zgodziliście się? – spytał Varak.

–Nie – odrzekł Mandel. – Szczerze mówiąc, w tym przypadku spekulacja przekraczała stopień wkalkulowanego ryzyka wobec kapitału udziałowego.

–Zachodziła więc ewentualność, że w grę wchodzi – jak to określacie w Ameryce – szachrajstwo?

–Nie mieliśmy żadnych dowodów, Miloś. Po prostu się wycofaliśmy.

–Ale ów kongresman reprezentujący tamten okręg wyborczy starał się najmocniej jak mógł zyskać sobie waszą przychylność? – W istocie.

–Oto właśnie dlatego obecnie kongresmanem jest Evan Kendrick.

–Hm?

–Posłuchaj, Eric – przerwał Gideon Logan, przesuając swą potężną głowę, by spojrzeć na adresata tych słów, akademickiego wynalazcę w dziedzinie kosmonautyki. – Powiedziałeś przed chwilą, że go znasz, w każdym razie jego twarz nie jest ci obca...

–Tak, jestem tego pewny. Teraz, kiedy Varak wyjawiał nam, kim on jest, odnoszę wrażenie, że spotkałem go na którymś z owych nie kończących się koktajli w Waszyngtonie czy Georgetown. I wyraźnie pamiętam, że ktoś wspominał o jakiejś związanej z nim historii... To wszystko. Nigdy nie dowiedziałem się, o co chodziło, po prostu padło takie stwierdzenie.

–Miloś stwierdził jednak, że jakąkolwiek historię miałbyś na myśli, to i tak nie będzie to ta, o której zamierza nam opowiedzieć – odezwała się Margaret Lowell. – Zgadza się? – dodała spoglądając na Varaka.

–Nie myli się pani. Uwaga poczyniona wobec profesora Sundstroma dotyczyła niewątpliwie charakteru kampanii wyborczej" Kendricka. Wygrał ją dosłownie w gniewie, pogrzebał swojego przeciwnika zasypując go lawiną lokalnych ogłoszeń i organizując serie kosztownych spotkań wyborczych, które bardziej przypominały widowiska cyrkowe niż zgromadzenia polityczne. Mówi się, że kiedy kandydujący

ponownie ówczesny kongresman zaczął wnosić skargi twierdząc, iż łamane są prawa wyborcze, Kendrick stawiał się u niego wraz ze swoimi adwokatami. Nie po to jednak, by dyskutować o kampanii wyborczej, ale żeby porozmawiać ze swym przeciwnikiem o sposobie sprawowania przez niego urzędu. Skargi momentalnie ustały i Kendrick gładko wygrał.

–Można by rzec, że pcha swe pieniądze tam, gdzie kieruje nim święte oburzenie – zauważył cicho Winters. Jednakże, panie Varak, trzyma pan dla nas znacznie bardziej fascynującą informację. Ponieważ wiem już, o co chodzi, powtórzę tylko, co powiedziałem wcześniej: to nadzwyczajna wiadomość. Proszę kontynuować. – Tak jest. – Czech nacisnął guzik pilota i na ekranie pojawiła się z przytłumionym trzaskiem kolejna fotografia. Zniknął Kendrick na schodach Rotundy, a na jego miejscu ukazało się ogólne ujęcie przedstawiające rozhisteryzowany tłum zbiegający wąską uliczką zabudowaną z obu stron domami o wyraźnie orientalnym charakterze, obok sklepów z górującymi nad nimi napisami w języku arabskim.

–To Oman! – stwierdził Eric Sundstrom zerkając na Wintersa. – Rok temu. – Historyk i rzecznik potwierdził skinieniem głowy. Slajdy zmieniały się teraz szybko jeden po drugim, przedstawiając sceny chaosu i rzezi. Widać było zryte kulami ciała i ściany poszatkowane pociskami, zavalone wejście do budynku ambasady i rzędy przerażonych zakładników klęczących na dachu za kratownicą. Zbliżenia pokazywały wrzeszczących młodych ludzi wymachujących bronią, o płonących dzikich oczach i z ustami rozdziawionymi w okrzyku tryumfu. Nagle wartki potok slajdów zatrzymał się i uwagę członków Inver Brass przykuło zdjęcie, które zdawało się nie mieć ścisłego związku z pozostałymi. Widniał na nim wysoki, śniadoskóry mężczyzna w długich, białych szatach, z głową okrytą ghotrą, ukazany z profilu w chwili, gdy wychodzi z hotelu. Zaraz potem obok pierwszej ukazała się druga fotografia, a na niej ten sam mężczyzna, pędzący teraz przez arabski bazar na tle fontanny. Obie fotografie pozostały na ekranie. Pełną dezorientacji ciszę przerwał Miloś Varak.

–Ten człowiek to Evan Kendrick – oznajmił krótko. Dezorientacja ustąpiła miejsca zadziwieniu. Wszyscy, z wyjątkiem Samuela Wintersa, wychylili się do przodu, poza blask mosiężnych lamp, by przyjrzeć się powiększonej postaci na ekranie. Varak ciągnął dalej:

–Te zdjęcia zostały wykonane przez oficera operacyjnego CIA ze stopniem dostępu do tajności CzteryZero; jej zadaniem była możliwie stała inwigilacja Kendricka. Wykonała wspaniałą robotę. – Kobieta? Margaret Lowell podniosła brwi w geście aprobaty. – Specjalistka od Bliskiego Wschodu. Ojciec jest Egipcjaninem, a matka Amerykanką z Kalifornii. Mówi biegle po arabsku i często jest wykorzystywana przez CIA, kiedy dochodzi na tamtym obszarze do sytuacji kryzysowych.

–Na Bliskim Wschodzie? wyszeptał Mandel oszołomiony. A co on tam robił?

–Chwileczkę – wtrącił się Logan, przeszywając Varaka swymi ciemnymi oczami. – Proszę mi przerwać, młody człowieku, gdybym się mylił, ale jeśli dobrze pamiętam, to w ubiegłym roku ukazał się w "Washington Post" artykuł sugerujący, iż jakiś nieznany Amerykanin prowadził w owym czasie mediacje w Maskacie. Sporo osób uważało, że może chodzić o Tekszańczyka Rossa Perota, ale nic więcej już nie

opublikowano. I wszystko ucichło.

–Ma pan rację. Owym Amerykaninem był Evan Kendrick, a pod naciskiem Białego Domu całej sprawie ukręcono łeb.

–Dlaczego? Mógłby przecież zbić na tym ogromny polityczny kapitał – jeżeli rzeczywiście jego udział przyczynił się wówczas do osiągnięcia porozumienia.

–To porozumienie to wyłącznie jego zasługa.

–No to ja już nic nie rozumiem – powiedział cicho Logan spoglądając na Samuela Wintersa.

–Nikt tego nie rozumie – stwierdził historyk – ponieważ nie ma żadnego wyjaśnienia. Istnieje jedynie ukryty głęboko w archiwach zapis, do którego Miloś zdołał jednak dotrzeć. Poza tym dokumentem nie ma nic, co by wskazywało na jakikolwiek związek między Kendrickiem a wydarzeniami w Maskacie.

–Wysłano nawet notatkę służbową do sekretarza stanu dezawuuującą tego rodzaju związki – wtrącił Varak. – Nie ukazuje ona naszego kongresmana w zbyt dobrym świetle. Krótko mówiąc, sugeruje się w niej, iż jest dbającym tylko o swój interes oportunistą, politykiem, który pragnąłby wywindować się w górę wykorzystując kryzys z zakładnikami; korzystając z tego, że pracował kiedyś w Emiratach Arabskich, głównie w Omanie, chciałby się wcisnąć dla zdobycia rozgłosu. Notatka kończy się zaleceniem, żeby go nie brać z uwagi na dobro zakładników.

–Ale jest oczywiste, że go wzięli! – wykrzyknął Sundstrom. Wzięli i użyli w akcji. Przecież bez nich by się tam nie dostał wszystkie loty pasażerskie były zawieszane. Wielki Boże, musieli go tam pewnie przewieźć po kryjomu.

–Tak samo oczywiste jest, że nie można go nazwać dbającym tylko o swój interes oportunistą – dodała Margaret Lowell. – Widzimy go tu na własne oczy, a jak twierdzi Miloś, odegrał on kluczową rolę w zakończeniu kryzysu; i mimo to nigdy ani słowem nie wspomniał o swoim udziale. Wiedzielibyśmy o tym, gdyby tak było. – I naprawdę nie ma żadnego wytłumaczenia? – spytał Gideon Logan zwracając się do Varaka.

–Nic, co byłoby do przyjęcia. A chcę panu powiedzieć, że dotarłem do samego źródła.

–Do Białego Domu? – zainteresował się Mandel.

–Nie, do kogoś, kto musiał wiedzieć o jego rekrutacji – mam na myśli człowieka, który kierował centrum dowodzeniowym tu, w Waszyngtonie. Nazywa się Frank Swann.

–Jak na niego trafiłeś?

–To nie ja go znalazłem, ale Kendrick.

–W takim razie jak wpadłeś na ślad Kendricka?

–Podobnie jak pan Logan, ja również pamiętałem tę historię o Amerykaninie w Maskacie, którą media tak raptownie zarzuciły. Z przyczyn, których nie potrafię wyjaśnić, postanowiłem pójść tym tropem; myślałem sobie pewnie, że może chodzić o kogoś wysoko postawionego, kogo kandydaturę będziemy musieli rozważyć, jeśli historia ta okaże się prawdziwa. – Przerwał na chwilę, a na jego ustach zagościł lekki, rzadko u niego spotykany uśmiech. – Zdarza się często, że najbardziej rzucające się w oczy środki bezpieczeństwa stają się pułapką właśnie dla tych,

którzy zabiegają o swe bezpieczeństwo. W tym przypadku rzecz dotyczyła list wejścia w Departamencie Stanu. Od czasu masakry sprzed kilku lat wszyscy bez wyjątku odwiedzający to miejsce muszą wpisać się i wypisać przy wejściu i wyjściu, i przechodzą też przez detektor do wykrywania metalu. Wśród tysięcy osób, które się tamtędy przewinęły w czasie kryzysu z zakładnikami, znalazło się również – z początku mało dla mnie obiecujące – nazwisko pewnego świeżo wybranego kongresmana z Kolorado, który przybył tam na spotkanie z niejakim panem Swannem. Oba nazwiska nic mi oczywiście nie mówiły, ale nasze komputery były lepiej poinformowane. Pan Swann okazał się głównym ekspertem do spraw Azji Południowowschodniej w Departamencie Stanu, a kongresman człowiekiem, który zrobił majątek w Emiratach, Bahrajnie i Arabii Saudyjskiej. W panice wywołanej kryzysem ktoś zwyczajnie zapomniał usunąć z list nazwisko Kendricka.

–Poszedłeś więc zobaczyć się z owym Swannem – stwierdził Mandel, zdejmując okulary w rogowej oprawie.

–Nie myli się pan.

–I co ci powiedział?

–Że jestem w zupełnym błędzie; że odrzucili propozycję Kendricka, ponieważ nie miał im nic do zaoferowania. Dodał jeszcze, że Kendrick był tylko jedną z dziesiątków osób, które pracowały kiedyś w Emiratach Arabskich i złożyły podobne oferty.

–Ale nie uwierzyłeś mu – wtrąciła Margaret Lowell.

–Miałem ku temu wystarczające powody. Otóż kongresman Kendrick nigdy nie podpisał listy wyjścia po złożeniu wizyty w Departamencie Stanu owego popołudnia. Wizyta miała miejsce jedenastego sierpnia w środę, a jego nazwisko nie figuruje nigdzie na liście wychodzących. Było więc jasne, że zastosowano specjalne rozwiązanie, a to normalnie oznacza początek przykrywki, najczęściej bardzo szczelnej przykrywki.

–Operacje Konsularne" – skomentował Sundstrom. – Ukryte powiązanie Departamentu Stanu i CIA.

–Zawarty bez entuzjazmu, aczkolwiek niezbędny kompromis dorzucił Winters. – Żeby nie deptać sobie w ciemności po palcach. Nie trzeba dodawać, że pan Varak przeprowadził dochodzenie zarówno w Departamencie Stanu, jak i w Langley.

–Bohater z Omanu ujawniony – powiedział cicho Gideon Logan, wpatrując się w postać na ekranie. – Mój Boże, ale haczyki – Nieskazitelny kongresmankrzyżowiec – dodał Mandel. Sprawdzony wróg korupcji.

–Człowiek wielkiej odwagi – dopowiedziała pani Lowell. – Ryzykujący własnym życiem dla uratowania dwustu Amerykanów, których nawet nie znał, i nie szukający dla siebie nic w zamian... – Chociaż mógłby mieć wszystko, czego by tylko zażądał – dopełnił Sundstrom. – A już na pewno wszystko w sferze polityki. – Proszę nam, z łaski swojej, przedstawić wszystkie informacje, jakie zdobył pan o Ewanie Kendricku, panie Varak – poprosił Winters i sięgnął podobnie jak reszta zebranych po żółty poliniowany notatnik.

–Zanim do tego przejdę – odparł Czech z lekkim wahaniem w głosie – muszę najpierw państwu wspomnieć, że w ubiegłym tygodniu poleciałem do Kolorado i

zetknąłem się tam z sytuacją, której nie potrafię wyjaśnić. Lepiej powiem od razu o co chodzi. W domu Kendricka na krańcach Mesa Verde mieszka jakiś starszy człowiek. Dowiedziałem się, że nazywa się Emmanuel Weingrass i jest architektem posiadającym podwójne obywatelstwo – izraelskie i amerykańskie – który przed kilkoma miesiącami przeszedł poważną operację, i od tego czasu powraca do zdrowia korzystając z gościnności kongresmana.

–Jakie to ma znaczenie? – zapytał Eric Sundstrom.

–Nie jestem wcale pewny, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie; niemniej warto zwrócić uwagę na trzy fakty: po pierwsze, na ile to zdołałem ustalić, ów Weingrass zjawiał się zupełnie nie wiadomo skąd wkrótce po powrocie Kendricka z Omanu. Po drugie, łączy ich najwyraźniej bliski związek, i po trzecie wreszcie – co może wzbudzać pewien niepokój – zarówno tożsamość staruszka, jak i sam fakt jego pobytu w Mesa Verde są pilnie strzeżonym sekretem – choć z nie najlepszym skutkiem. Winę za to ostatnie ponosi sam Weingrass, który – czy to z przyczyny wieku, czy charakteru – lubi przebywać w towarzystwie robotników, zwłaszcza hiszpańskojęzycznych. – To jeszcze niekoniecznie świadczy przeciwko niemu zauważył Logan uśmiechając się.

–Możliwe, że brał udział w operacji omańskiej – podsunęła Margaret Lowell. A to także trudno zaliczyć do minusów.

–Jak najbardziej przytaknął Jacob Mandel. Sundstrom ponownie zabrał głos:

–Musi mieć chyba duży wpływ na Kendricka – odezwał się pisząc w swoim notatniku. – Co o tym sądzisz, Miloś?

–Tak przypuszczam. A mówię o tym wszystkim tylko dlatego, ponieważ chcę, aby było dla państwa jasne, kiedy czegoś nie wiem. – Moim zdaniem ten człowiek to prawdziwy skarb – oświadczył Samuel Winters. – Pod każdym względem. Proszę kontynuować, panie Varak.

–Tak jest. Wiedząc, że nic nie może wyjść poza ściany tego pokoju, przygotowałem dossier kongresmana na slajdach. – Czech nacisnął przycisk pilota i podwójna fotografia ukazująca przebranego Kendricka na ogarniętych przemocą ulicach Maskatu została zastąpiona kartką maszynopisu z potrójnym odstępem i dużymi literami. – Każdy slajd – ciągnął dalej Varak – odpowiada mniej więcej jednej czwartej normalnej strony; wszystkie negatywy oczywiście zniszczono w laboratorium na dole. Dołożyłem wszelkich starań, żeby możliwie jak najdokładniej zbadać kandydata, pomiąłem jednak pewne szczegóły, które być może niektórych z państwa mogłyby zainteresować. Proszę więc śmiało zadawać mi pytania. Będę państwa obserwować, i kiedy już każde z was po zapoznaniu się z tekstem i sporządzeniu notatek skinie głową, będzie to dla mnie znak do wyświetlenia kolejnego slajdu... Przez mniej więcej godzinę przed państwa oczami przewijać się będzie historia życia kongresmana Evana Kendricka – od dnia narodzin aż po ubiegły tydzień. Przy każdym slajdzie tym, który jako pierwszy kiwał głową był Eric Sundstrom. Margaret Lowell i Jacob Mandel rywalizowali o zaszczyt zajęcia ostatniego miejsca, jednak liczbą sporządzanych notatek dorównywali niemal Gideonowi Loganowi. Rzecznik Samuel Winters prawie nie notował – najwyraźniej był

już przekonany. Upłynęły trzy godziny i cztery minuty, kiedy Miloś Varak nacisnął wyłącznik projektora. Przez następne dwie godziny i siedem minut odpowiadała pytania, a kiedy się skończyły, Miloś Varak wyszedł z pokoju.

–Parafrazując słowa naszego przyjaciela wyrwane z kontekstu – przemówił Winters – niech skinięcie głowy oznacza zgodę. Kto zaś będzie odmiennego zdania, niech pokręci głową. Zaczynamy od Jacoba. Powoli, z namysłem członkowie Inver Brass jedno po drugim kiwali głową na znak zgody.

–A zatem wszystko jest już ustalone – mówił dalej Winters. Kongresman Evan Kendrick będzie następnym wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. W jedenaście miesięcy po ponownym wyborze obecnej głowy państwa, zostanie prezydentem. Operacja nosi kryptonim Ikar, co należy odczytać jako przestrożę, ale zarazem jako gorącą nadzieję, że nie będzie on próbował – jak czyniło to wielu jego poprzedników – wznieść się zbyt blisko słońca i nie rozbije się o morskie fale. I niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Rozdział 17

Kongresman Kendrick reprezentujący dziewiąty okręg wyborczy w stanie Kolorado siedział przy urzędowym biurku spoglądając na swą sekretarkę, która z surowym wyrazem twarzy trajkotała o pierwszoplanowej korespondencji do załatwienia, o porządku dziennym prac Izby Reprezentantów i wstępnych stanowiskach przed posiedzeniem Izby oraz o imprezach społecznych, w których musi koniecznie uczestniczyć bez względu na to, co sądzi jego główny asystent. Usta sekretarki otwierały się i zamykały z szybkością ognia karabinu maszynowego, a wypływające z nich nosowe dźwięki wypełniały pokój niemal taką samą ilością decybeli.

–Proszę, panie kongresmanie, oto plan na bieżący tydzień. – Nie ma co, Annie, trochę tego jest. A nie mogłabyś po prostu wysłać każdemu standardowy list z wyjaśnieniem, że podłapałem chorobę weneryczną i nie chciałbym nikogo zarazić?

–Niech pan przestanie, Evan! – krzyknęła Ann Mulcahy O'Reilly, niezmiernie stanowcza dama w średnim wieku, weteranka Waszyngtonu. Wszędzie się tylko pana pozbywają, i nie zamierzam się temu spokojnie przyglądać! Wie pan, co mówią o panu w Kapitolu? Że gwizdże pan na wszystko, że wydał pan kupę forsy tylko po to, żeby móc się teraz spotykać z dziewczynami równie bogatymi jak pan. – Wierzysz w to, Annie?

–Jak, u diabła, miałabym w to uwierzyć? Przecież nigdzie pan nawet nie wychodzi i niczym się nie zajmuje. Bogu bym dziękowała, gdyby przyłapano pana na golasa w Basenie Lustrzanym z największą latawicą w całym Waszyngtonie. Przynajmniej wtedy bym wiedziała, że jednak coś pan robi.

–A może ja nie chcę nic robić?

–A powinien pan, do licha! Przepisywałam na maszynie pana uwagi na tuzin różnych kwestii i wie pan, co panu powiem? Wyprzedza pan w nich o tysiące lat świetlnych wszystko to, co głosi osiemdziesiąt procent tutejszych klaunów, ale nikt nie zwraca na to uwagi. – Są skazane na zapomnienie, bo nie są popularne, Annie. Ja też nie jestem popularny. Nie chcą mnie ani w jednym, ani w drugim obozie. Ci nieliczni po obu stronach, którzy mnie dostrzegają, przyklepili mi tyle etykietek, że same się one wzajemnie wykluczają. Nie mogą mnie nigdzie zaklasyfikować, a więc skazują mnie na zapomnienie. Nie jest to zresztą wcale takie trudne, ponieważ się nie uskarżam.

–Bóg jeden wie, że często się z panem nie zgadzam, potrafię jednak dostrzec, kiedy ktoś ma olej w głowie. Ale zapomnijmy o tym... Co z odpowiedziami?

–Później. Manny dzwonił?

–Dwa razy, ale nie łączyłam, bo chciałam zdążyć jeszcze przedyskutować z panem kilka spraw. Kendrick pochylił się do przodu; jego jasnoniebieskie oczy złodowaciały, i odezwał się ledwie panując nad sobą:

–Nigdy więcej tego nie rób, Annie. Nic dla mnie nie jest tak ważne, jak ten człowiek w Kolorado.

–Rozumiem, proszę pana. – Pani O'Reilly spuściła oczy.

–Przepraszam – dorzucił pospiesznie Evan. – Nie zasłużyłaś sobie na to. Próbujesz robić, co do ciebie należy, a ja niewiele ci w tym pomagam. Jeszcze raz przepraszam.

–Nie musi pan przepraszać. Wiem, ile pan przeszedł w związku z panem Weingrassem – ileż to razy zdarzało mi się przynosić panu pracę do szpitala... Nie miałam prawa ingerować. Z drugiej jednak strony, rzeczywiście próbuję robić, co do mnie należy, a pan nie zalicza się do najchętniej współpracujących szefów na Wzgórzu Kapitolu.

–Wolałbym znaleźć się na zupełnie innych wzgórzach...

–Wiem o tym; wykreślmy zatem z kalendarza imprezy społeczne. I tak pewnie bardziej by pan sobie zaszkodził niż pomógł. – Ann O'Reilly podniosła się z fotela i położyła na biurku Kendricka teczkę biurową. – Myślę jednak, że powinien pan rzucić okiem na propozycję pańskiego kolegisena z Kolorado. Wygląda na to, że chce on ściąć wierzchołek góry i zainstalować tam rezerwuar, co w tym mieście oznacza zwykle jezioro, wokół którego jak grzyby po deszczu wyrośnie las wielopiętrowych domów.

–A to kawał sukinsyna! – zaklął Evan otwierając z impetem teczkę. – Połączę też pana z panem Weingrassem.

–Wciąż zwracasz się do niego per "pan"? – spytał Evan wertując kartki. – Nie zamierzasz zmięknąć? Dziesiątki razy słyszałem, jak prosił cię, żebyś nazywała go Manny.

–O, czasem to robię, choć nie jest to wcale takie proste. – Dlaczego? Bo lubi się wydzierać?

–Matko Boska, ależ nie. Trudno się obrażać o coś takiego, kiedy ma się za męża wychodkowego irlandzkiego policjanta.

–Wychodkowego? Kendrick podniósł pytająco wzrok.

–To takie stare bostońskie wyrażenie. Ale nie, nie chodzi o to, że wrzeszczy.

–No więc o co?

–O te jego nieustanne wyglupy. Bez przerwy mi mówi zwłaszcza kiedy nieopatrznie zwrócę się do niego po imieniu – "Hej, dziecino, widzę, że zanosi się na niezły numerek wodewilowy, co? Może nazwiemy go: "Manny i jego irlandzka Annie". Co ty na to?" "Nic" – odpowiadam, a on znowu swoje: "Rzuć mojego przyjaciela, to zwierzę, i odfruń ze mną. On zrozumie moją nieśmiertelną namiętność". A ja mu wtedy, że taki wychodkowy policjant nie jest w stanie zrozumieć nawet własnej.

–Nie mów o tym mężowi – poradził Kendrick chichocząc.

–Już to zrobiłam. Ograniczył się jedynie do stwierdzenia, że osobiście kupi bilety na samolot. Oczywiście, on i Weingrass zdrowo sobie popili kilka razy...

–Popili sobie? Nie wiedziałem nawet, że się znają.

–To moja wina – i nie przestanę tego żałować do końca życia. To było jakieś osiem miesięcy temu, kiedy poleciał pan do Denver. – Tak, pamiętam, na konferencję stanową. Manny leżał jeszcze wtedy w szpitalu i poprosiłem cię, żebyś poszła go odwiedzić i zniosła mu paryską "Herald Tribune".

–Wybrałam się na wieczorne odwiedziny zabierając ze sobą Paddy'ego. Nie

wyglądam jak kociak z "Playboya", ale nawet ja nie wychodzę tu sama w nocy na ulicę; a taki wychodkowy policjant w końcu może się do czegoś przydać.

–I co się stało?

–Od razu przypadli sobie do gustu, niczym wódka do kieliszka. Któregoś wieczoru owego tygodnia musiałam zostać dłużej w pracy i Paddy uparł się, że odwiedzi go w szpitalu sam. Evan pokręcił powoli głową.

–Przykro mi, Annie, nie miałem pojęcia. Nie chciałem wciągać ciebie ani twojego męża w moje prywatne życie. Manny nigdy mi nic nie mówił.

–Pewnie w butelkach po Listerinie.

–Słucham?

–To lekarstwo kolorem dokładnie przypomina szkocką. Pójdę do niego zadzwonić. Emmanuel Weingrass oparł się o skały na szczycie wzgórza znajdującego się w obrębie 30akrowej posiadłości Kendricka, która rozciągała się u podnóża gór. Koszulę w kratkę z krótkimi rękawami miał rozpiętą po pas. Wygrzewał się na słońcu wdychając czyste powietrze południowych Gór Skalistych. Spojrzał na klatkę piersiową, na blizny pooperacyjne, i przez krótką chwilę zadawał sobie pytanie, czy powinien wierzyć w Boga, czy w Evana Kendricka. Lekarze orzekli w kilka miesięcy po operacji i policznych badaniach kontrolnych – że wycięli te małe, parszywe komórki, które zżerały go kawałek po kawałku. Jest czysty – oświadczyli. Powiedzieli to człowiekowi, który stojąc teraz na skale wystawiał na słońce swe osiemdziesięcioletnie słabowite ciało. Chociaż może nie tak bardzo słabowite; lepiej już bowiem chodził, lepiej mówił – i praktycznie wcale nie kasłał. Brakowało mu jednak Gauloise'ów i cygar Monte Cristo, za którymi tak przepadał. No bo co właściwie mogły mu one zrobić – przerwać życie parę tygodni czy miesięcy przed jego logicznym zakończeniem? Popatrzył na pielęgniarkę, która skryła się w cieniu pobliskiego drzewa, obok zawsze obecnego wózka golfowego. Była jedną z całodobowych opiekunek towarzyszących mu na każdym kroku; ciekawe, co by zrobiła, gdyby tak teraz opierając się niedbale o głaz złożył jej niedwuznaczną propozycję. Zawsze intrygowała go potencjalna odpowiedź, pomimo że rzeczywistość w takich chwilach okazywała się zwykle jedynie zabawna.

–Piękny dzień, nieprawdaż? krzyknął.

–Wprost cudowny – padło potwierdzenie.

–A co by pani powiedziała na to, żebyśmy zrzucili z siebie całe ubranie i uczynili go jeszcze cudowniejszym? Wyraz twarzy pielęgniarki nie zmienił się nawet przez moment. Jej odpowiedź była spokojna, przemyślana, a nawet delikatna. – Panie Weingrass, jestem tu po to, żeby się panem opiekować a nie przyprawiać pana o atak serca.

–No, nieźle, całkiem nieźle. Zabrzęczał radiotelefon na wózku golfowym. Kobieta podeszła do aparatu i zdjęła go z podpórki. Po krótkiej rozmowie zwięźzionej wybuchem cichego śmiechu zwróciła się do Manny'ego:

–Pan kongresman do pana.

–Z kongresmanem byś tak nie chichotała – zauważył Manny odrywając się od skały. – Stawiam cztery do jednego, że to Annie Glocamorra opowiadała ci jakieś

kłamstwa o mnie.

–Pytała mnie, czy już pana udusiłam. – Pielęgniarka podała telefon Weingrassowi.

–Słuchaj, Annie, ta kobieta to prawdziwa rozpustnica!

–Staramy się jak możemy – odezwał się Evan Kendrick.

–O rany, ta twoja dziewczyna odskakuje od słuchawki jakby ją kto gonił.

–Strzeżonego pan Bóg strzeże. Dzwoniłeś do mnie, Manny; coś się stało?

–A czy wolno mi dzwonić tylko w sytuacjach kryzysowych?

–Po prostu bardzo rzadko to robisz, to wszystko. Ten przywilej jest niemal wyłącznie zarezerwowany dla mnie. O co chodzi? – Zostały ci jeszcze jakieś pieniądze?

–Nie nadążam z wydawaniem procentów. Jasne. A dlaczego?

–Pamiętasz tę przybudówkę, którą postawiliśmy na zachodniej werandzie, żebyś miał lepszy widok?

–Oczywiście.

–Porobiłem trochę szkiców. Pomyślałem sobie, że na górze powinieneś zbudować taras. Cały ciężar opierałby się na dwóch stalowych dźwigarach. Można by dodać jeszcze jeden, gdybyś zdecydował się postawić przy ścianie oszkloną łaźnię parową.

–Oszkloną...? No, no, to brzmi wspaniale. Zatem do dzieła. – Dobra. Od rana hydraulicy wezmą się do roboty. Ale kiedy już skończą, wracam do Paryża.

–Jak sobie tylko życzysz, Manny. Wcześniej wspominałeś jednak, że chcesz pomyśleć nad jakimś domkiem letniskowym w dole strumieni, w miejscu, gdzie się ze sobą łączą.

–Na co ty zareagowałeś wtedy, że nie będziesz łąził taki kawał drogi.

–Zmieniłem zdanie. Cudownie byłoby się tam wyrwać i spokojnie pomyśleć.

–To wyklucza właściciela tej firmy.

–Miły jesteś. W przyszłym tygodniu przyjadę na parę dni. – Nie mogę się już doczekać – odparł Weingrass i kierując wzrok na pielęgniarkę dodał głośno: – A kiedy tu przyjedziesz, może uwolnisz mnie wreszcie od tych ciężko dyszących maniaczek seksualnych!

Tuż po dwudziestej drugiej Miloś Varak przemierzał opustoszały korytarz biurowca Izby Reprezentantów. Był umówiony – przychodził jako późny gość do niejakiego kongresmana Arvina Partridge'a ze stanu Alabama. Doszedł do ciężkich drewnianych drzwi z mosiężną tabliczką pośrodku rzeźbionego filunku i zapukał. Po kilku sekundach otworzył mu szczupły młody mężczyzna i spojrzał na niego niespokojnie spoza dużych okularów w rogowej oprawie. Kimkolwiek był, z pewnością nie pasował do osoby gburowatego łebskiego przewodniczącego "Drużyny" Partridge'a, czyli komisji dochodzeniowej zdecydowanej znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego wojsko wydaje tak dużo pieniędzy. Nie chodziło przy tym o muszle klozetowe po 1200 dolarów za sztukę ani o klucze do rur po 700 dolarów – to były przykłady zbyt jaskrawe, żeby się nimi poważnie zajmować, i mogły się nawet okazać dającymi się skorygować przesunięciami funduszy. To, czym "Ptaszki" Partridge'a jeszcze jeden przydomeknaprawdę się interesowały, to pięćsetprocentowe przekraczanie kosztów oraz nader ograniczony stopień

konkurencyjności w przetargach na umowy na dostawy wojskowe. Już ze wstępnych odkryć wyłaniał się obraz rzeki korupcji o tak licznych dopływach, że nie wystarczyłoby skautów i kajaków, żeby je wszystkie opłynąć. – Jestem umówiony z kongresmanem Partridge'em – zakomunikował przybyły blondyn. Jego czeski akcent nie uszedł uwadze stojącego w drzwiach szczupłego mężczyzny i został przez niego, jak się wydaje, niewłaściwie zinterpretowany.

–Czy był pan...? – zaczął niezdarnie mężczyzna, pełniący najwyraźniej funkcję asystenta kongresmana. To znaczy, chciałem zapytać, czy tam na dole strażnicy pana...

–Jeżeli chodzi panu o to, czy sprawdzili mnie pod kątem posiadania broni, to oczywiście, że tak. Zresztą powinien pan o tym dobrze wiedzieć, dzwonili przecież do pana z biura ochrony. Proszę zaprowadzić mnie do pana kongresmana. Oczekuje mojej wizyty. – Oczywiście, proszę pana. Jest w swoim biurze. Tędy proszę. – Nerwowy asystent poprowadził Milośa ku kolejnym dużym ciemnym drzwiom i zapukał. – Panie kongresmanie... – zaczął. – Każ mu wejść! – dobiegł zza drzwi głośny rozkazujący głos z południowym akcentem. – A ty masz zostać tam i odbierać telefony. Nie ma mnie dla nikogo – obojętne; czy będzie dzwonił przewodniczący Kongresu czy sam prezydent.

–Proszę do środka – powiedział asystent otwierając drzwi. Varaka korciło przez chwilę, by oznajmić roztrzęsionemu młodzieńcowi, że oto widzi przed sobą zaprzyjaźnionego łącznika z KGB, zrezygnował jednak z tego pomysłu. Obecność asystenta musiała mieć swoją przyczynę; wszak niewiele osób telefonowało do biura Izby Reprezentantów o tak późnej porze. Miloś przekroczył próg dużego, bogato zdobionego pokoju, z masą fotografii wypełniających biurko, ściany i stoły, których treść w taki czy inny sposób świadczyła o wpływach Partridge'a, o jego patriotyzmie i sile. On sam stał przy zasłoniętym oknie i nie prezentował się tak imponująco jak na zdjęciach. Był niski, z nadwagą, miał opuchłą, gniewną twarz osadzoną w dużej głowie pokrytej rzadkimi, farbowanymi włosami.

–Nie wiem, co zamierzasz mi sprzedać, blondasie zaczął, ruszając naprzód niczym rozsierzony gołąb – ale jeśli to jest to, czego się spodziewam, to wylecisz stąd tak szybko, że przyjdzie ci żałować, iż nie zabrałeś ze sobą spadochronu.

–Nie przychodzę, żeby coś sprzedać, ale dać. I to coś o dużej wartości.

–Pieprzenie! Chcesz pewnie, żebym cię w czymś krył, ale lepiej od razu wybij to sobie z głowy.

–Moi klienci nie mają nic do ukrycia, tak jak i ja. Ale poddam się, ma pan rację: tylko że to chodzi właśnie o pana.

–Gówna prawda! Wysłuchałem tego, co mówiłeś mi przez telefon: że coś ci wpadło w uszy, że ktoś wspominał coś o narkotykach, i żebym lepiej słuchał... No więc zbadalem wszystko od A do Z i potwierdziło się to, czego się spodziewałem, a co wiedziałem od samego początku! Jesteśmy tu czyści jak źródlane strumienie Alabamy! A teraz chcę się dowiedzieć, jakiemu to złodziejaskowi i z jakiej złodziejskiej szajki przyszło do głowy, że może mnie nastraszyć za pomocą takiego gówna?

–Nie sądzę, aby życzył pan sobie ogłoszenia owego "gówna" całemu światu. Ta informacja może zniszczyć.

–Informacja? Słowa! Insynuacje! Pogłoski i plotki! Podobnie jak wtedy, kiedy ten czarny szczeniak próbował oskarżyć cały nasz Kongres plotąc swoje kłamstwa!

–To nie pogłoski i nie plotki – zaprzeczył Miloś Varak sięgając do górnej wewnętrznej kieszeni marynarki. – Tylko fotografie. – Z tymi słowami Czech reprezentujący Inver Brass rzucił białą kopertę na biurko.

–Co!? – Partridge natychmiast znalazł się przy kopercie. Usiadł i rozerwał ją, po czym zaczął wyciągać zdjęcia jedno po drugim i przytrzymywał je pod światłem biurkowej lampy z zielonym abażurem. Oczy rozszerzyły mu się w pobladłej nagle twarzy, która po chwili poczerwieniała z wściekłości. To, co zobaczył, przekraczało całkowicie jego wyobrażenia. Półnaczy lub zupełnie naczy młodzi ludzie, podzieleni w pary, trójki i czwórki, wdychali przez słomki biały proszek rozsypyany po stołach. Z pospiesznie robionych, zamazanych zdjęć wyłaniały się strzykawki oraz butelki z piwem i whisky. Na koniec ukazały się wyraźne ujęcia kilku kochających się par. – Aparaty fotograficzne są dziś tak różnej wielkości – skomentował Varak. – Mikrotechnologia umożliwia miniaturyzowanie ich do wielkości guzika przy marynarce czy koszuli.

–Wielki Boże! – wykrzyknął Partridge w udręce. – To w moim domu w Arlington! A to...

–Dom kongresmana Bookbindera w Silver Springs, jak również posiadłości trzech innych członków pańskiej komisji. W związku z pana zajęciami bardzo często wyjeżdża pan z Waszyngtonu. – Kto je robił? – spytał Partridge ledwie słyszalnym szeptem. – Nie odpowiem na to pytanie. Mogę tylko zaręczyć panu własnym słowem, że osoba ta przebywa obecnie tysiące mil stąd bez negatywów i szansy powrotu do Stanów. Można by ją określić jako studenta nauk politycznych uczestniczącego w wymianie uniwersyteckiej.

–Zdołaliśmy osiągnąć tak wiele, a teraz wszystko diabli wzięli... Mój Boże!

–A niby dlaczego? – zapytał szczerze Varak. – Ci młodzi ludzie nie wchodzi w skład pańskiej komisji. Nie są to pana prawnicy czy księgowi, ani nawet wyżsi rangą asystenci. To po prostu dzieciaki, które dopuściły się strasznych błędów w nieprzejeźdzanym środowisku najpotężniejszej stolicy na świecie. Proszę się ich pozbyć. Niech im pan powie, że ich życie i kariery są skończone, chyba że ktoś im pomoże doprowadzić się do porządku, tylko proszę nie rozwiązywać komisji.

–Nikt już nam nie będzie wierzył – poskarżył się Partridge patrząc prosto przed siebie, jakby mówił do ściany. – Cuchniemy teraz tak samo jak ci, których mamy tropić. Jesteśmy hipokrytami. – Nikt nie musi wiedzieć...

–Niech to cholera! – wybuchnął kongresman z Alabamy i doskoczył do telefonu; wcisnął przycisk i nie przestawał go wciskać nawet wtedy, kiedy po drugiej stronie podniesiono słuchawkę. – Do mnie! – ryknął. W drzwiach pojawił się młody asystent, a Partridge wstając zza biurka powitał go słowami:

–Pięknie się uczysz, sukinsynu! Prosiłem, żebyś powiedział mi prawdę, a ty mnie okłamałeś!

–Nieprawda! – odkrzyknął młodzieniec, a oczy za okularami w rogowej oprawie zaczęły mu się szklić. – Spytałeś mnie, co jest grane, co się naprawdę wydarzyło, a ja odparłem, że nic – że nic się nie stało! Jakies trzy, cztery tygodnie temu paru z nas zwinęła policja i napędziło to nam wszystkim porządnego stracha! Przyznaję, byliśmy głupi, zachowaliśmy się jak durnie, ale nikomu nie wyrządziliśmy krzywdy! Odchodzimy stąd jeden po drugim zostawiając część siebie, ale ty i twoje pyszałki jakby niczego nie widzieli. Te twoje zarozumiałe typy każą nam pracować osiemdziesiąt godzin w tygodniu, a potem wyzywają nas od durnych szczeniaków, a sami paradują przed kamerami wykorzystując efekty naszej pracy. Nawet nie zauważyłeś, że masz tu samych nowych przedszkolaków. Wszyscy pozostali odeszli, a ty nawet niczego nie zauważyłeś! Zostałem tylko ja, bo ja nie mogłem odejść.

–Właśnie zostałeś zwolniony.

–Święta racja, cesarzu Jones!

–Kto?

–Ta aluzja z pewnością by cię zachwyciła – odparł młody człowiek i wypadł z pokoju zatraskując za sobą drzwi.

–Kto to był? – spytał Varak.

–Arvin Partridge junior – odpowiedział cicho kongresman i usiadł ze wzrokiem wbitym w podłogę. Jest studentem trzeciego roku prawa na uniwersytecie w Wirginii. Pozostali też byli studentami prawa. Kazaliśmy im zasuwać przez okrągłą dobę praktycznie za Bóg zapłać, ale przecież też im coś w zamian dawaliśmy. Oni tymczasem zdradzili zaufanie, jakim ich obdarzyliśmy powierzając im to.

–To znaczy co?

–Doświadczenie, którego nie zdobyliby gdzie indziej: ani w sądzie, ani w swoich książkach prawniczych – tylko tutaj. Mój syn dobrze o tym wie, bo sam bawił się w prawnicze i gramatyczne dzielenie włosów na czworo. Okłamał mnie w związku ze sprawą, która może zniszczyć nas wszystkich. Już nigdy nie będę w stanie mu wierzyć.

–Przykro mi.

–Nie twoje zmartwienie – odparł Partridge, porzucając nagle refleksyjny ton. – No dobrze, chłoptasiu – ciągnął dalej ostrym głosem – czego ode mnie oczekujesz w zamian za to, by komisja mogła działać dalej? Zaznaczyłeś, że nie chodzi o żadne krycie, ale istnieją chyba dziesiątki sposobów na powiedzenie tego samego bez potrzeby nazywania rzeczy po imieniu. Będę musiał rozważyć wszystkie plusy i minusy, czyż nie tak?

–Nie ma żadnych minusów – zapewnił Varak wyjmując kilka złożonych kartek papieru, które następnie rozwinął i położył na biurku przed kongresmanem. Zawierały one krótkie omówienie tematu oraz małą fotografię identyfikacyjną umieszczoną w prawym górnym rogu pierwszej strony. – Moi klienci chcą, żeby ten człowiek znalazł się w pana komisji...

–Czyli macie coś na niego! – przerwał mu Partridge.

–Absolutnie nic kompromitującego; jeżeli chodzi o tego rodzaju sprawy, jest bez zarzutu. Powtarzam, moi klienci nie oczekują żadnego krycia, żadnego wymuszania,

żadnego odsyłania projektów ustaw komisji ani blokowania ich przyjęcia. Ten człowiek nie zna moich klientów, a oni osobiście nie znają jego; nie ma też najmniejszego pojęcia o naszym dzisiejszym spotkaniu.

–Dlaczego więc tak ci zależy, żeby ze mną pracował?

–Ponieważ moi klienci są zdania, że będzie on wspinałym nabytkiem dla pańskiej komisji.

–Jeden człowiek może zrobić tyle, co nic, chyba się ze mną zgadzasz, co?

–Oczywiście.

–Jeżeli planujecie go tu wsadzić, żeby zbierał informacje, to powinniście wiedzieć, że jesteśmy zabezpieczeni przed przeciekami. – Partridge rzucił okiem na fotografie leżące pod lampą z zielonym abażurem; odwrócił je i cisnął na biurko. – W każdym razie byliśmy. Varak nachylił się i zebrał zdjęcia.

–Proszę to zrobić, panie kongresmanie. Proszę włączyć go do komisji. Albo, jak sam pan to określił, wszystko diabli wezmą. Kiedy znajdzie się już na swoim miejscu, zdjęcia wrócą do pana wraz z negatywami. Niech pan to robi. Partridge nie spuszczał wzroku z fotografii spoczywających w dłoni blondyna.

–Tak się akurat składa, że zwolniło się jedno miejsce, Bookbinder złożył wczoraj rezygnację – kłopoty osobiste.

–Wiem – stwierdził Miloś Varak. Kongresman spojrzał swemu gościowi prosto w oczy.

–Kim ty, u diabła, jesteś?

–Kimś szczerze oddanym przybranej ojczyźnie. Ale ja się nie liczę. Ważny jest on. Partridge rzucił okiem na leżące przed nimi resume i przeczytał: – "Evan Kendrick, dziewiąty okręg wyborczy w Kolorado". Prawie o nim nie słyszałem; a to, co do mnie dotarło, nie wywołuje wypieków na twarzy. To nikt, bogaty nikt.

–Zaręczam pana, że to się zmieni – zapewnił Czech odwracając się i kierując w stronę drzwi.

–Panie kongresmanie, panie kongresmanie! – krzyczał główny asystent Evana Kendricka wybiegając z biura w budynku Izby Reprezentantów i puszczając się korytarzem, żeby złapać swego pracodawcę.

–O co chodzi? – spytał Evan odrywając rękę od przycisku windy i patrząc z zaskoczeniem na hamującego przed nim z poślizgiem zziąjanego, młodego mężczyznę. – To do ciebie niepodobne, Phil, żebyś podnosił głos ponad bardzo poufny szept. Czy może dziewiąty okręg w Kolorado zniknął pod zwałami błota?

–Całkiem możliwe, że uda się go wydobyć spod błota zasypującego go od dawna. To znaczy z pańskiego punktu widzenia.

–A zatem?

–Dzwonił kongresman Partridge. Ten z Alabamy!

–To kawał gbura, ale porządny człowiek. Nie boi się ryzykować. Podoba mi się to, co robi.

–A teraz chce, żeby pan robił to razem z nim.

–Co robił?

–Pracował w jego komisji.

-Co!?

-To ogromny krok do przodu!

-Raczej fatalny krok do tyłu – nie zgodził się Kendrick. – Członkowie jego komisji muszą pojawiać się co dwa tygodnie w wieczornych wiadomościach, a do tego wypełniać niedzielne poranki, jeżeli nasze najnowsze komety na niebie Kongresu nie są akurat osiągalne. To ostatnia rzecz, której bym sobie życzył.

-Proszę mi wybaczyć, panie kongresmanie, ale to pierwsza rzecz, którą powinien pan zrobić – stwierdził asystent, nieco już uspokojony, patrząc mu prosto w oczy.

-Niby dlaczego? Młody człowiek o imieniu Phil trącił go w ramię, odciągając od tłumu zbierającego się przy windzie.

-Powiedział mi pan, że po wyborach planuje zrezygnować, i przyjąłem to do wiadomości. Ale powiedział pan również, że pragnie mieć głos przy mianowaniu swojego następcy.

-Mam taki zamiar. – Evan skinął potakująco głową. – Walczyłem z tą piekielną machiną i nie chcę, żeby ich noga tam kiedykolwiek stała. Chryste, sprzedaliby ostatnią górę w południowych Górach Skalistych na kopalnię uranu, gdyby tylko udało im się zdobyć choć jedno pozwolenie rządowe na badania poszukiwawcze oczywiście, nie bez przecieku.

-Nie zostanie panu prawo głosu, jeżeli pan teraz odrzuci ofertę Partii dge'a.

-Dlaczego?

-Ponieważ rzeczywiście mu na panu zależy.

-A to z jakiego powodu?

-Tego nie jestem pewny, ale wiem jedno: on niczego nie robi bez powodu. Może chce rozszerzyć swoją strefę wpływów na Zachodzie zbudować bazę dla własnego rozwoju – kto to wie? Równocześnie jednak kontroluje całą masę delegacji stanowych, i jeśli obrazi go pan mówiąc: "Nie, dzięki, stary", to uzna to za arogancję i może doprowadzić do pana izolacji zarówno tutaj, jak i na pana własnym terenie. Proszę mi wierzyć, na Kapitolu zyskał sobie opinię prawdziwego mucho. Kendrick westchnął, marszcząc brwi.

-Cóż, w każdym razie mogę przynajmniej jak najmniej się odzywać. Mijał właśnie trzeci tydzień od czasu nominacji kongresmana Evana Kendricka do komisji Partridge'a; to zupełnie nieoczekiwane mianowanie nie wstrząsnęło w Waszyngtonie nikim z wyjątkiem Anny Mulcahy O'Reilly i, siłą rozpędu, jej męża Patricka Xaviera, przeniesionego z Bostonu porucznika policji, którego umiejętności były towarem poszukiwanym i odpowiednio opłacanym przez władze niepokojonej przestępczością stolicy. Uważano powszechnie, że podejmując taką decyzję stary wyga pragnął zapewnić sobie, by światła reflektorów były skierowane na niego, a nie na innych członków komisji. Jeżeli owo przekonanie odpowiadało prawdzie, to Partridge nie mógł być dokonać lepszego wyboru. Kongresman z dziewiątego okręgu wyborczego w Kolorado w czasie transmitowanych przez telewizję przesłuchań, gdy przychodziła jego pora przepytывania świadków rzadko kiedy odzywał się, by powiedzieć coś więcej poza: "Nie mam pytań, panie przewodniczący". Najdłuższym oświadczeniem, jakie wygłosił w czasie swej krótkiej kadencji u "Ptaszków" Partridge'a była

dwudziestotrzysekundowa odpowiedź na powitalne przemówienie przewodniczącego. W spokojnych słowach wyraził w niej zdziwienie z powodu uhonorowania go wyborem oraz nadzieję, iż zasłuży sobie na zaufanie pokładane w nim przez przewodniczącego. W połowie wystąpienia – dokładnie po dwunastu sekundach – kamery telewizyjne zjechały z jego twarzy, by ukazać pojawienie się umundurowanego woźnego, który przemierzał salę opróżniając popielniczki.

–Jak państwo widzą” – popłynął ściszony głos komentatora "nawet w czasie takich przesłuchań jak obecne rząd nie zaniedbuje podstawowych środków bezpieczeństwa... Słucham? A, tak, kongresman Owen Canbrick zakończył swoje wystąpienie". Jednak we wtorek czwartego tygodnia wydarzyło się coś zupełnie niezwykłego. Rankiem owego dnia miało rozpocząć się pierwsze w tym tygodniu przesłuchanie transmitowane przez telewizję, któremu towarzyszyło nieco większe niż zazwyczaj zainteresowanie, jako że w roli głównego świadka miał wystąpić przedstawiciel Biura Zaopatrzenia w Pentagonie. Był to dość młody, łysiejący mężczyzna w stopniu pułkownika, który idąc przebojem zdobył sobie sławę na polu logistyki – w pełni oddany żołnierz o niezachwianych przekonaniach. Błyskotliwy, bystry i obdarzony zjadliwym dowcipem, był armatą Arlingtonu wytaczaną wszędzie tam, gdzie w grę wchodziłi pochlipujący, nieskorzy do wydawania grosza cywile. Wiele osób z niecierpliwością oczekiwało starcia między pułkownikiem Robertem Barrishem a równie błyskotliwym, równie byстрыm i z pewnością obdarzonym równą zjadliwością przewodniczącym komisji Partridge'a. Jednak rzeczą niezwykłą owego poranka była nieobecność kongresmana Arvina Partridge'a z Alabamy. Przewodniczący nie zjawił się, i ani prowadzone na szeroką skalę poszukiwania telefoniczne, ani pluton asystentów rozesłany po całym mieście nie doprowadziły do jego odnalezienia. Najzwyczajniej w świecie zniknął. Niemniej komisje Kongresu nie obracają się wyłącznie wokół swych przewodniczących, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi przekaz telewizyjny. Posiedzenie więc rozpoczęło się pod nieobecność kierującego, prowadzone przez kongresmana z Północnej Dakoty, który leczył właśnie najgorszego w życiu kaca – przypadłość o tyle dziwna, iż człowiek ów uchodził za niepijącego. Miał opinię łagodnego, wiodącego wstrzemięźliwe życie głosiciela ewangelii, który wziął sobie do serca biblijne napomnienie o przekuwaniu mieczy na lemiesze. Był również surowym mięsem rzuconym na pożarcie lwu, czyli pułkownikowi Robertowi Barrishowi.

–...i kończąc me wystąpienie przed tym cywilnym ciałem śledczym pragnę stanowczo oświadczyć, iż występuję na rzecz silnego, wolnego społeczeństwa, w śmiertelnej walce toczonej z siłami zła gotowymi rozszarpać nas na strzępy przy pierwszej oznace słabości z naszej strony. Czy nasze ręce mają być skrępowane mało istotnymi akademickimi procedurami powierniczymi, które w niewielkim tylko stopniu odnoszą się do status quo ante naszych przeciwników? – Jeżeli pana dobrze rozumiem – zaczął tymczasowy przewodniczący, patrząc swymi zamglonymi oczami – to pozwolę sobie pana zapewnić, że nikt z tu obecnych nie poddaje w wątpliwość pańskiego oddania sprawie obronności naszej ojczyzny.

–Żywię taką nadzieję.

–Nie sądzę, by...

–Chwileczkę, żołnierzu – odezwał się Evan Kendrick z dalekiego krańca sali.

–Przepraszam pana?

–Powiedziałem: "chwileczkę", dobrze?

–Jestem pułkownikiem w armii Stanów Zjednoczonych i oczekuję, by zwracano się do mnie w takiej formie – uniósł się gniewem oficer. Evan przeszył świadka ostrym wzrokiem zapominając na chwilę o mikrofonie.

–Będę zwracać się do ciebie, jak mi się żywnie podoba, ty arogancki skurwielu. – Kamery skoczyły, z fonii popłynęły odgłosy brzęczyków, za późno jednak, by zagłuszyć. – ...chyba że osobiście wprowadziłeś poprawkę do Konstytucji, którą zresztą wątpię, czy w ogóle kiedykolwiek czytałeś – ciągnął dalej Kendrick zaglądając w leżące przed nim papiery i chichocząc pod nosem na wspomnienie swego spotkania z Frankiem Swannem w Departamencie Stanu przed wyjazdem do Maskatu. – To jest śledztwo, ośle.

–Pan mnie obraża...

–A ty obrażasz swoich podatników – przerwał mu Evan zerkając w opis służby Barrisha i przypominając sobie dokładnie słowa Franka Swanna sprzed ponad roku. – Pozwólcie, że spytam pułkownika: czy kiedykolwiek strzelaliście?

–Przecież jestem żołnierzem!

–To już chyba ustaliliśmy, prawda? Wiem, że jesteście żołnierzem. A my, inkwizytorscy cywile płacimy wam pensję – chyba że ten mundur sobie pożyczycie. – Przez salę Kongresu przetoczyła się cicha fala śmiechu. Ale zadałem pytanie, czy kiedykolwiek strzelaliście.

–Niezliczoną ilość razy. A pan?

–Nie aż tyle, zaledwie kilka razy. I nigdy w mundurze.

–A zatem uważam temat za zamknięty.

–Niezupełnie. Czy użyliście kiedyś broni w celu zabicia drugiego człowieka, który zamierzał was zabić? Cisza, która teraz zaległa, nie uszła niczyjej uwadze. Ledwie słyszalna odpowiedź dotarła do wszystkich.

–Nigdy nie brałem udziału w walkach, jeśli o to panu chodzi. – Jak to, przecież mówiliście, że toczycie śmiertelną walkę i tak dalej, i tak dalej, co każe myśleć wszystkim tu obecnym oraz oglądającym nas telewizjom, że mają przed sobą jakiegoś współczesnego Davy'ego Crocketta broniącego fortu Alamo, albo sierżanta Yorka, czy też Indian" Jonesa plującego z luf do niegrzecznych facetów. Ale to wszystko nieprawda, co, pułkowniku? Jesteście po prostu księgowym, który próbuje usprawiedliwić kradzież milionów – a może miliardów – z pieniędzy podatników, występując pod czerwonobiałoniebieską flagą najwyższego patriotyzmu.

–Ty sukin...! Jak śmiesz... Skoki kamer i brzęczyki były znów spóźnione, kiedy pułkownik Barrish wstał z miejsca i walnął pięścią w stół.

–Posiedzenie skończone! krzyknął wyczerpany przewodniczący. – Kończmy, do cholery! W rogu przyciemnionego studia kontrolnego jednej z waszyngtońskich sieci telewizyjnych stał siwowłosy prezenter wiadomości wpatrując się w monitor przekazujący obraz z Kongresu. Ściągnął usta w zamyśleniu, tak jak to miała już

okazję oglądać niezliczoną ilość razy większość Ameryki, po czym odwrócił się do stojącego za nim asystenta.

–Chcę mieć tego kongresmana – kto by to u diabła nie był – w moim programie w przyszłą niedzielę. W domu na Chevy Chase zdenerwowana kobieta krzyczała przez telefon:

–Słuchaj, mamó, nigdy przedtem go takim nie widziałam! Mówię poważnie, był na pewno pijany. Bogu dzięki, że ten uprzejmy cudzoziemiec przyprowadził go do domu. Powiedział, że znalazł go przed restauracją w Waszyngtonie ledwie trzymającego się na nogach. Możesz sobie wyobrazić? Ledwie trzymał się na nogach. Poznał go, i jako dobry chrześcijanin uznał, że nie wolno mu pozostawić go na ulicy. Ale wiesz, co w tym wszystkim jest najbardziej szalone, mamó? To, iż byłam najświęciej przekonana, że on nigdy nie wziął kropli alkoholu do ust. Cóż, najwyraźniej się myliłam. Ciekawe, ile jeszcze innych sekretów chowa przede mną mój zagorzały kaznodzieja! Dziś rano utrzymywał, że nie może sobie niczego przypomnieć – że w ogóle nic nie pamięta... O, mój słodki Boże! Właśnie wszedł do domu... Mamciu, on wymiotuje mi na dywan!

–Gdzie ja, u licha, jestem – wyszeptał Arvin Partridge senior potrząsając głową i usiłując skupić wzrok na oknach motelowego pokoju zasuniętych podniszczonymi zasłonami. – Co to za szcurza nora?

–To określenie niezbyt dalekie od prawdy – odezwał się mężczyzna o blond włosach, zbliżając się do łóżka. – Tyle że gryzonie, które odwiedzają to miejsce, zostają tu zwykle na godzinę lub dwie. – To ty! wrzasnął kongresman z Alabamy wbijając wzrok w Czecha. – Co mi zrobiłeś?

–Nie – co panu zrobiłem, ale co dla pana uczyniłem – poprawił Varak. – Na szczęście udało mi się wyrwać pana z potencjalnie kłopotliwej sytuacji.

–Co? Partridge usiadł i rzucił nogi z łóżka. Chociaż był jeszcze zupełnie zdezorientowany, zdał sobie sprawę, że jest w pełni ubrany. – Gdzie? Co się stało?

–Jeden z moich klientów jadł kolację w Carriage House w Georgetown, gdzie spotkał się pan z kongresmanem z Północnej Dakoty. Jak tylko zaczęły się te nieprzyjemności, zadzwonił do mnie, a ponieważ tak się szczęśliwie składa, że mieszkam w pobliżu, mogłem w porę przybyć. A tak przy okazji, wygląda na to, że jest pan tu nie zameldowany.

–Chwileczkę! – ryknął Partridge. – Cholera! Więc to całe spotkanie między mną a tym stukniętym świętoszkiem było zaaranżowane! Jego biuro dostaje telefon, że niby ja chcę się z nim spotkać w nie cierpiącej zwłoki sprawie dotyczącej komisji, i jednocześnie moje biuro otrzymuje taki sam telefon. Obaj wiemy, że rano zjawić się ma ten kutas z Pentagonu. Barrish, dochodzimy więc do wniosku, że lepiej będzie, jak się spotkamy. A kiedy idę na spotkanie i pytam go, o co chodzi, on zadaje mi to samo pytanie!

–Nic mi na ten temat nie wiadomo.

–Gówno prawda!... Co za nieprzyjemności?

–Za dużo pan wypił.

–Pieprzenie! Zamówiłem sobie jedno martini, a ten niebiański ojczulek pił

lemoniadę!

–Jeżeli tak było, to znaczy, że u was obu występuje obniżony próg tolerancji. Bo pan zwał się na stół, a kaznodzieja usiłował napić się soli. Przewodniczący komisji Partridge'a przeszył Czecha pełnym wściekłości spojrzeniem.

–Odurzyłeś nas czymś! – jęknął cicho. – Podsypałeś nam obu jakiegoś świństwa!

–Aż do wczoraj nie postawiłem nogi w tej restauracji.

–I do tego jeszcze łez jak z nut, masz w tym widać spore doświadczenie...

Wielki Boże, która godzina? – Partridge obrócił gwałtownym ruchem nadgarstek, żeby spojrzeć na zegarek. Varak wtrącił się:

–Już po przesłuchaniu.

–A niech to!

–Kaznodzieja nie zaprezentował się zbyt efektownie, za to pański nowo mianowany wywarł niezatarte wrażenie. Jestem pewny, że w wieczornych wiadomościach będzie pan mógł zobaczyć fragmenty jego występu, oczywiście już po wycięciu niektórych słów. – O, mój Boże! – wyszeptał do siebie kongresman. Podniósł wzrok i spojrzał na Czecha z Inver Brass. – Co o mnie mówili? Odnośnie mojej nieobecności?

–Pańskie biuro wydało oświadczenie jak najbardziej możliwe do przyjęcia. Stwierdza się w nim, iż płynął pan na jachcie połowowym przy Wschodnim Wybrzeżu Marylandu, kiedy zepsuł się silnik i musiał pan rzucić kotwicę milę od przystani. Wszystko zostało poparte dowodami, nie ma żadnych problemów.

–Moje biuro wydało takie oświadczenie? Z czyjego upoważnienia?

–Pańskiego syna. To niebywale wyrozumiały młody człowiek. Czeka przed motelem w pańskim samochodzie.

Twarz rudowłosego sprzedawcy w salonie Saaba płonęła autentycznym zdziwieniem, kiedy podpisywał dokumenty i przeliczał dziesięć studolarowych banknotów.

–Samochód będzie do odebrania dziś o piętnastej.

–Bardzo dobrze – odparł kupujący, który na umowie o zaciągnięciu pożyczki w rubryce zawód wpisał: barman, zatrudniony obecnie w Carriage House w Georgetown.

* * *

Rozdział 18

–Godzina Zero, panie Kendrick – powiedział pułkownik Robert Barrish uśmiechając się przyjemnie do kamery, a jego głos w pełni oddawał powagę chwili. – Musimy być na nią przygotowani, a prowadząc eskalację wyprzedzającą, odsuwamy jej groźbę coraz dalej od siebie.

–Albo na odwrót: przeładujemy arsenały do tego punktu, kiedy wystarczy jeden błąd w kalkulacji, aby wysadzić w powietrze całą naszą planetę.

–Ależ drogi panie – upomniał go pułkownik z wyższością w głosie. – Ta linia argumentacji została już dawno uznana za modus non operandi. Jesteśmy profesjonalistami.

–Ma pan na myśli naszą stronę?

–Oczywiście, że mam na myśli naszą stronę.

–A co z przeciwnikiem? Czyż oni są również profesjonalistami? – Jeżeli próbuje pan stawiać osiągnięcia techniczne naszych nieprzyjaciół na równi z naszymi, to sądzę, że pana informacje w tym względzie są tak samo mylne, jak w przypadku pańskiej oceny efektywności kontroli kosztów w naszym systemie.

–Rozumiem z tego, iż pana zdaniem nie są oni tak dobrzy jak my. – Przenikliwa ocena, panie kongresmanie. Poza wyższością naszego moralnego oddania – oddania się Bogu – wyszkolenie naszych sił zbrojnych w warunkach zaawansowanej technologii nie ma sobie równych w świecie. I jeśli pan pozwoli, chciałbym w tym miejscu, jako częśćka tego ogromnego zespołu podkreślić, że jestem niezmiernie dumny z naszych wspaniałych chłopców i dziewcząt. – O rany, to całkiem jak ja – zapewnił Evan z lekkim uśmiechem. Ale teraz z kolei ja chciałbym w tym miejscu powiedzieć, że zgubiłem tok pańskiego rozumowania. Chyba wspominał pan coś o eskalacji wyprzedzającej, tak? Zdaje mi się też, że pański komentarz o profesjonalizmie stanowił odpowiedź na moją uwagę o możliwości błędnej kalkulacji w sytuacji, gdy arsenały są pełne broni. – Istotnie. Widzi pan, panie Kendrick, cały czas staram się panu cierpliwie wytłumaczyć, że działania naszego personelu do obsługi arsenału są obwarowane instrukcjami postępowania, które eliminują ryzyko błędnej kalkulacji. Jesteśmy całkowicie zabezpieczeni. – My może tak – zgodził się Evan. Ale ten drugi gość? Stwierdził pan, o ile się nie mylę, że nie jest on tak bystry i że nie można go stawiać obok nas, cokolwiek to znaczy. Załóżmy więc, że to on popełni błąd. Co wtedy?

–Nie będzie już miał okazji go powtórzyć. Przy minimum strat z naszej strony oddalibyśmy...

–Stójcie, żołnierzu! – przerwał mu Kendrick nieoczekiwanie ostrym tonem, który zabrzmiał jak rozkaz. – Wróć: "Przy minimum strat z naszej strony..." Co to znaczy?

–Nie wiem, czy jest pan świadomy tego, że nie wolno mi rozmawiać na te tematy.

–Lepiej jednak będzie, jak to zrobicie. Czy "minimum strat" oznacza po prostu Los Angeles czy Nowy Jork? A może Albuquerque albo St.Louis? Jako że wszyscy leżymy na ten parasol, czy nie powinniśmy dowiedzieć się, jaka będzie pogoda?

–Jeżeli panu się zdaje, że będę narażał na szwank bezpieczeństwo narodowe występując w telewizji... Cóż, panie kongresmanie, mówię to z prawdziwą przykrością, ale nie uważam, by miał pan jakiegokolwiek prawo do reprezentowania narodu amerykańskiego. – Całego? Nigdy mi to nawet nie przyszło do głowy. Poinformowano mnie, że ma to być program między panem a mną – że obraziłem pana w telewizji i że ma pan prawo do wystąpienia z repliką na tej samej arenie. Oto dlaczego tu jestem. Replikujcie zatem, pułkowniku. Nie zasypujcie mnie sloganami przeniesionymi żywcem z Pentagonu; żywię zbyt wielki szacunek do naszych sił zbrojnych, bym pozwolił się teraz panu tym wykić.

–Jeżeli mówiąc o "sloganach" poddaje pan krytyce bezinteresownych liderów naszego establishmentu obronnego – ludzi pełnych lojalności i honoru, którzy nade wszystko pragną zachować ten kraj silnym – to szczerze mi pana żal.

–E, darujcie sobie. Nie siedzę w tym jeszcze dostatecznie długo, ale wśród paru

moich przyjaciół znajdzie się też kilka wysokich rangą szcych z Arlingtonu, którzy pewnie krzywią się teraz słysząc, jak głądzi pan o tych swoich modus non operandi. Ja z kolei, pułkowniku, usiłuję panu cierpliwie wytłumaczyć, że nie dysponuje pan czekiem in blanco w większym stopniu niż ja czy mój sąsiad z ulicy. Żyjemy w realiach...

–No to niech mi pan da wyjaśnić te realia! – przerwał mu Barrish.

–Najpierw proszę pozwolić mi skończyć – zastopował go Evan, tym razem z uśmiechem.

–Panowie, panowie – odezwał się mitygująco znajomy prezenter telewizyjny.

–Nie poddaję w wątpliwość pańskiego oddania, pułkowniku wtrącił Kendrick. – Robi pan to, co do pana należy, i stara się ochronić swoje gniazdo. Rozumiem to. Kiedy jednak mówił pan na przesłuchaniu – zanotowałem to sobie – o "mało istotnych, akademickich procedurach powierniczych", to co wtedy miał pan na myśli? Czy pan jest poza wszelką odpowiedzialnością? Jeżeli tak pan uważa, to proszę to powiedzieć pierwszemu z ulicy Joe'emu Smithowi, który dokłada wszelkich sił, żeby nie zawałił mu się jego budżet rodzinny. – Tenże sam Joe Smith padnie przed nami na kolana, kiedy dotrze do niego, że jesteśmy gwarantem jego przeżycia!

–Zdaje mi się, pułkowniku, że właśnie usłyszałem dochodzące z Arlingtonu głośnie pomruki niezadowolenia. Joe Smith nie musi przed nikim padać na kolana. Nie tutaj.

–Wyłapuje pan moje uwagi wyjęte z kontekstu! Doskonale pan wie, co miałem na myśli, kongresmanie Partridge!

–Nie, pułkowniku, Partridge to ten drugi. Ja jestem rezerwowym, którego wystawili do gry na lewej stronie boiska.

–"Lewa strona" to rzeczywiście trafne określenie!

–To ciekawe stwierdzenie. Czy będzie wolno mi pana zacytować? – Znam cię dobrze – odezwał się Barrish złowieszczco z groźbą w głosie. – Nie opowiadaj mi o zwykłym facecie z ulicy i nie udawaj, że niczym się od niego nie różnisz. – Urwał, po czym, jakby nie mogąc już dłużej nad sobą zapanować, krzyknął: – Nawet nie jesteś żonaty! – To najtrafniejsze spostrzeżenie, jakie udało się panu wygłosić. Nie, nie jestem żonaty, ale jeśli chce się pan ze mną umówić na randkę, to muszę najpierw zapytać moją dziewczynę. Wygrana do zera. Wielka armata Pentagonu nawaliła, osmalając sobie twarz prochem na oczach widzów telewizji krajowej.

–Kim, u licha, jest ten gość? – spytał pan Joseph Smith spod numeru 70 na ulicy Cedar Street w Clinton, w stanie New Jersey. – Nie mam pojęcia – odparła pani Smith siedząca przed telewizorem obok swego męża. – W każdym razie kawał z niego przystojniaka. – Nie wiem, czy z niego przystojniak, ale przed chwilą nieźle ukręcił nosa jednemu z tych zasmarkanych oficerków, co to lubili nurzać mnie w gównie w Wietnamie. To swój chłop.

–Jest dobryrzekł Eric Sundstrom z Inver Brass, podnosząc się i wyłączając telewizor w swoim nowojorskim mieszkaniu wychodzącym na park Gramercy. Dopił kieliszek Montracheta i spojrział na Margaret Lowell i Gideona Logana usadowionych w fotelach. Szybko myśli i umie zachować zimną krew. Znam dobrze tę kobrę Barrisha – nic nie sprawia mu większej przyjemności jak wysysanie z kogoś krwi na

oczach wszystkich. Kendrick pokonał go jego własną bronią.

–No i trzeba przyznać, że jest niczego sobie – dodała pani Lowell.

–Słucham?

–Ma prezencję, Ericu. To chyba żaden minus.

–Do tego jest dowcipny – dorzucił Logan. – A to niewątpliwa zaleta. Potrafi w jednej chwili przeskoczyć z tematów poważnych na śmieszne, a to wymaga niemałego talentu. Nie była to sprawa przypadku, ponieważ tę samą umiejętność wykazał w czasie niedawnego przesłuchania. Kennedy posiadał ten sam dar – we wszystkim umiał dostrzec humorystyczne akcenty. Ludzie to lubią... Upatruję jednak ciemną chmurę na horyzoncie.

–O co chodzi? – spytał Sundstrom.

–Człowiekiem o tak bystrym umyśle nie będzie łatwo kierować. – Jeżeli to właściwy kandydat – zauważyła Margaret Lowell – a nie mamy dotąd powodów, żeby w to wątpić nie będzie to odgrywało, Gideonie, żadnej roli.

–A jeśli nie? Przypuśćmy, że jest coś, o czym nie wiemy? To my przecież, a nie żaden proces polityczny, jesteśmy siłą, która go uruchomi. W wytwornej dzielnicy Manhattanu, w usytuowanej między Piątą Avenue a Madison Avenue sześciopiętrowej, miejskiej rezydencji z ciemnego piaskowca, siwowłosa Samuel Winters siedział naprzeciw swego przyjaciela Jacoba Mandela. Znajdowali się w obszernym gabinecie Wintersa na ostatnim piętrze budynku. Ściany między półkami na książki wypełniało kilka wspaniałych gobelinów, a całe umeblowanie pokoju było równie wytworne. Cechowała go jednak przy tym wygoda. Był miejscem używanym i czuło się wypełniające go ciepło: arcydzieła przeszłości zgromadzono tu, by służyły, a nie stanowiły jedynie obiektów do podziwiania. Korzystając z pilota, arystokratyczny historyk zgasił telewizor.

–I jak? – spytał Winters.

–Muszę się chwilę zastanowić, Samuelu. – Oczy Mandela zaczęły krążyć po pokoju. To wszystko należy do ciebie od dnia, w którym się urodziłeś – stwierdził makler giełdowy. – A mimo to przez całe życie tak ciężko pracowałeś.

–Wybrałem dziedzinę, w której posiadanie pieniędzy jest dużym ułatwieniem – odparł Winters. – Czasami czułem się z tego powodu trochę winny. Zawsze mogłem jeździć, dokąd tylko zapragnąłem, korzystać z archiwów, które dla innych pozostawały zamknięte, i studiować, jak długo sobie życzyłem. Jakikolwiek by nie były moje zasługi, to i tak są one drugorzędne w porównaniu z zabawą, jaką przy tym miałem. Żona zawsze mi to powtarzała. – Historyk spojrział na portret pięknej, ciemnowłosej kobiety ubranej w stylu lat czterdziestych; obraz wisiał za biurkiem pomiędzy dwoma olbrzymimi oknami wychodzącymi na Siedemdziesiątą Trzecią Ulicę tak, że człowiek pracujący przy biurku mógł bez większego trudu odwrócić się i zatopić w nim wzrok.

–Brakuje ci jej, prawda?

–Bardzo. Często tu przychodzę, żeby z nią porozmawiać.

–Myślę, że ja nie umiałbym dalej żyć bez Hannah, ale – choć to może wydać się dziwne – biorąc pod uwagę, co przeszła w Niemczech, modłę się do Boga, by zabrał

ją pierwszą. Jestem pewny, że śmierć ukochanej osoby byłaby dla niej ciosem nie do zniesienia. Czy to nie wystawia mi okropnego świadectwa?

–Raczej świadczy o nadzwyczajnej szlachetności – tak jak wszystko, co mówisz i robisz, stary przyjacielu. Poza tym wiem doskonale, ile sam musiałbyś wtedy wycierpieć. Dałbyś sobie z tym radę lepiej niż ja, Jacobie.

–Nonsens.

–To pewnie dzięki twojej świątyni...

–A ty kiedy ostatni raz byłeś w kościele, Samuelu?

–Niech pomyślę. Kiedy mój syn żenił się w Paryżu, złamałem akurat nogę i nie mogłem pojechać na ślub; a córka uciekła z tym czarującym typem o głowie lżejszej od powietrza, który robi o wiele więcej pieniędzy, niż na to zasługuje, pisując scenariusze do tych zupełnie dla mnie niezrozumiałych filmów – a więc to musiało być w czterdziestym piątym, gdy wróciłem z wojny. Oczywiście, u Świętego Jana. I to właśnie ona mnie namówiła, podczas gdy ja myślałem tylko, żeby ją rozebrać.

–Ale z ciebie niegodziwiec! Nie wierzę ci ani przez chwilę. – No to się mylisz.

–Może okazać się niebezpieczny – powiedział Mandel zmieniając nagle temat i powracając do Evana Kendricka; Winters zrozumiał. Jego stary przyjaciel rozmawiał, ale też nie przestawał myśleć. – W jaki sposób? Wszystko, co o nim wiemy – a wątpię, żeby jeszcze coś było – wydaje się wykluczać jakąkolwiek obsesję władzy. W takim razie, w czym upatrujesz niebezpieczeństwo?

–Jest bardzo niezależny.

–Tym lepiej. Może być nawet świetnym prezydentem; wolnym od tych wszystkich krzykaczy, potakiwaczy i pochlebców. Wiedzieliśmy już, jak utracą głowy tym pierwszym – z pozostałymi kategoriami powinno mu pójść łatwiej.

–To znaczy, że nie wyrażam się dosyć jasno – orzekł Mandel. – Bo dla mnie nie jest to wcale takie oczywiste.

–Albo to ja jestem zbyt głupi. Co zatem próbujesz takiego powiedzieć?

–Przypuśćmy, że dowie się o nas. Załóżmy, iż dowie się, że jest kryptonimem Ikar, wytworem Inver Brass?

–Niemożliwe.

–Nie o to chodzi. Pomińmy kwestię, czy jest to możliwe, czy niemożliwe. Od strony rozumu – a ten młody człowiek posiada go pod dostatkiem – jaka będzie jego reakcja? Nie zapominaj, że jest bardzo niezależny. Samuel Winters dotknął ręką podbródka i pobiegł wzrokiem za okno wychodzące na ulicę. A stamtąd przeniósł spojrzenie na portret żony.

–Rozumiem – odezwał się; zaczęły napływać nieokreślone obrazy z jego własnej przeszłości, przybierając ostrą postać. – Wpadnie we wściekłość. Będzie się uważał za element korupcji na jeszcze większą skalę, związany z nią nieodwołalnie, ponieważ został w nią wmanipulowany. Dostanie szału.

–A kiedy już dostanie szału – naciskał Mandel – co wtedy mógłby według ciebie zrobić? Nawiasem mówiąc, demaskowanie nas byłoby na dłuższą metę niestosowne. Skończyłoby się podobnie jak z owymi pogłoskami, iż Komisja Trójstronna poparła Jimmy'ego Cartera, ponieważ Henry Luce zamieścił na okładce "Time'a" mało komu

znanego gubernatora z Georgii. W samych pogłoskach mieściło się więcej prawdy, niż można by było przypuszczać, ale nikogo to w gruncie rzeczy nie obeszło... Jak Kendrick mógłby się zachować? Winters spojrzał na swego starego przyjaciela szeroko otwartymi oczami.

–Mój Boże – szepnął cicho. – Uciekłyby z odrazą.

–Czy to ci czegoś nie przypomina, Samuelu?

–To było tak wiele lat temu... Czasy wtedy były inne...

–Nie sądzę, by się znowu aż tak bardzo zmieniły. Dawniej było dużo lepiej, ale nie inaczej.

–Nie piastowałem urzędu.

–Wystarczyło ci po niego tylko sięgnąć ręką. Błyskotliwy, szalenie bogaty dziekan z Uniwersytetu Columbia, o którego rady zabiegali kolejni prezydenci, i którego wystąpienia przed komisjami Izby Reprezentantów i Senatu zmieniały kierunki polityki państwowej... Dałeś się namówić na kandydowanie do urzędu gubernatora Nowego Jorku; gładko dostałeś się do Albany i dopiero wtedy, na kilka miesięcy przed zjazdem partii odkryłeś, że to jakaś nieznana ci organizacja polityczna wyreżyserowała twoją nominację i zapewniła nieuniknione zwycięstwo wyborcze.

–To był dla mnie zupełny szok. Nigdy przedtem o nich nie słyszałem.

–Mimo to doszedłeś do wniosku – słusznego czy niesłusznego – że ta cicha machina zechce uczynić z ciebie swój bezwolny trybik, i uciekłeś demaskując całą szaradę.

–Z prawdziwą odrazą. To było sprzeczne ze wszystkimi nakazami głoszonej przeze mnie otwartości procesu politycznego.

–Bardzo niezależny – dorzucił makler giełdowy. – A potem nastąpiła próżnia władzy. Rozpoczął się chaos polityczny, w partii zapanował nieład. Wreszcie do akcji wkroczyli oportuniści i przejęli sprawy w swoje ręce. I tak nastąpiło sześć lat drakońskich praw i skorumpowanej administracji, od dolnego aż po górny bieg Hudsonu. – Czy za to wszystko mnie obarczysz winą, Jacobie?

–Nie pozostawało to bez związku, Samuelu. Cezar trzykrotnie odrzucał koronę, i rozpętało się istne piekło.

–Chcesz powiedzieć, że Kendrick mógłby odmówić przyjęcia ofiarowanego mu urzędu?

–Ty tak zrobiłeś. Odszedłeś, kipiąc z oburzenia.

–Ponieważ ludzie, których nawet nie znałem, przeznaczali ogromne sumy pieniędzy, żeby wepchnąć mnie na urząd. W jakim celu? Jeżeli naprawdę kierowała nimi troska o lepsze sprawowanie władzy a nie o prywatny interes, to dlaczego z tym nie wystąpili wprost?

–A dlaczego my tego nie czynimy, Samuelu? Winters popatrzył twardo na Mandela smutnymi oczami.

–Ponieważ bawimy się w Boga, Jacobie. A musimy, bo wiemy to, czego inni nie wiedzą. Wiemy, co się stanie, jeżeli nie postąpimy w ten właśnie sposób. Nagle okaże się, że mieszkańcy wielkiej republiki nie mają prezydenta ale króla, cesarza sprawującego władzę nad wszystkimi stanami związku. A tym, czego nie rozumieją,

jest to, co stoi za królem. Tych szakali pozostających w cieniu można się pozbyć tylko poprzez zastąpienie go. Nie ma innej drogi.

–Rozumiem. Jestem przezorny, ponieważ się boję.

–Powinniśmy zatem zachować nadzwyczajną ostrożność i upewnić się, że Evan Kendrick nigdy się o nas nie dowie. To proste. – Nic nie jest proste – sprzeciwił się Mandel. – On nie należy do głupich. Zacznie się zastanawiać, dlaczego uwaga wszystkich skupia się na jego osobie. Varak będzie musiał opracować mistrzowski scenariusz, w którym każda sekwencja w sposób logiczny i niezmienny prowadzi do następnej.

–Ja też się nieraz zastanawiałem – przyznał Winters cicho, spoglądając ponownie na portret swej zmarłej żony. – Jennie często mi powtarzała: "Wszystko idzie ci zbyt gładko, Sam. Inni muszą się zdrowo napocić, żeby gazety raczyły zamieścić o nich choćby kilka linijek, a o tobie wypisują całe artykuły odredakcyjne wychwalając cię za rzeczy, co do których nie mamy nawet pewności, czyje zrobiłeś". To sprawiło, że zacząłem zadawać pytania, i w taki oto sposób odkryłem, co za tym wszystkim stało; nie "kto", ale "co". – I wtedy odszedłem.

–Oczywiście.

–Dlaczego? Ale tak naprawdę?

–Przed chwilą sam sobie odpowiedziałeś na to pytanie, Jacobie. Kipiałem z oburzenia.

–Pomimo że tyle mogłeś od siebie dać?

–To oczywiste.

–Czy słusznym byłoby stwierdzenie, że nie opanowała cię gorączka zdobycia tego urzędu?

–Najzupełniej. Czy to się komu podoba czy nie, nigdy o nic nie musiałem zabiegać. Tak jak powiedział kiedyś Averell: „Na szczęście czy na nieszczęście to, czy miałem co zjeść, nigdy nie zależało od mojej aktualnej pracy”. To chyba wszystko podsumowuje. – Wracam do tej gorączki, Samuelu. Ta gorączka, której ty nigdy nie czułeś, głód, którego nigdy nie znałeś, muszą w jakiś sposób zawładnąć Kendrickiem. Na koniec musi poczuć chęć zwycięstwa, desperackie pragnienie wygranej.

–Płomień rozpalający wnętrzości – dorzucił historyk. – Powinniśmy byli wszyscy wcześniej o tym pomyśleć. Ale wszyscy pozostali po prostu założyli, że Kendrick skorzysta skwapliwie z nadarzającej się okazji. Boże, ale byliśmy głupi!

–Nie "wszyscy pozostali" – zaprotestował makler giełdowy. – Nie przyszło mi to do głowy, dopóki godzinę temu nie przekroczyłem progu tego pokoju. Nagle powróciły do mnie wspomnienia; wspomnienia o tobie i twojej... niezależności. Ze świetlanej nadziei, skarbu o niezwykłej wartości stałeś się kulą u nogi, człowiekiem, który pałając świętym oburzeniem odchodzi, zostawiając miejsce dla wszystkich miejscowych i przyjezdnych miernot

–Masz rację, Jacobie... Powinienem być zostać, od dawna zdaję sobie z tego sprawę. Żona w przypiływie gniewu nazwała mnie kiedyś "zepsutym świętoszkiem". Twierdziła, podobnie chyba jak ty, że gdybym nawet niczego więcej nie osiągnął, to

przynajmniej mógłbym wielu rzeczom zapobiec.

–Tak, Samuelu, z pewnością byś zapobiegł. Harry Truman nie mylił się mówiąc, że to przywódcy kształtują historię. Bez Thomasa Jeffersona nie byłoby Stanów Zjednoczonych, podobnie jak Trzeciej Rzeszy bez Hitlera. Ale żaden mężczyzna, żadna kobieta nie zostaje przywódcą, dopóki sami tego nie chcą. Muszą odczuwać palące pragnienie zdobycia władzy.

–I myślisz, że Kendrickowi tego brakuje?

–Obawiam się, że tak. To, co ujrzałem dziś w telewizji, i to, co zobaczyłem pięć dni temu w czasie przesłuchań komisji, to portret człowieka, który wpada w święte oburzenie i jest mu wtedy najzupełniej obojętne, komu gruchocze kości. Rozum – tak", odwaga – niewątpliwie, nawet dowcip i wdzięk, wszystko to, co jak ustaliliśmy ma stanowić część idealnej składanki, której poszukujemy... Ale dostrzegłem w nim także domieszkę cech mego przyjaciela Samuela Wintersa, człowieka, który potrafił odejść z gry, ponieważ nie czuł w sobie gorączki, która by go pchała po zwycięstwo.

–Czy to aż takie naganne, Jacobie? Nie chodzi mi o siebie, nigdy nie byłem na tyle ważny – ale czy to naprawdę takie zdrowe, by każdy pretendent do urzędu płonął pragnieniem władzy?

–Nie powierzasz przecież sklepu kierownictwu pracującemu na pół etatu, jeżeli to twoja najważniejsza inwestycja. Ludzie słusznie spodziewają się pełnoetatowego gospodarza i od razu rozpoznają, kiedy ich oczekiwanie nie spotyka się z zasadniczym, aktywnym odzewem. Chcą mieć to, za co zapłacili.

–Cóż – zaczął Winters, przyjmując z lekka obronny ton. – Wierzę, że moja osoba nie przechodziła wśród ludzi tak zupełnie bez echa, a przecież nie rozpałała mnie owa wewnętrzna gorączka. Z drugiej strony, nie popełniałem zbyt wielu gaf.

–Wielki Boże, nawet nie miałeś ku temu okazji. Twoja kampania przebiegała niczym telewizyjny Blitzkrieg, opatrzony najlepszymi zdjęciami, jakie kiedykolwiek widziałem; oczywiście, twoja przystojna fizjonomia stanowiła w tym wszystkim zdecydowany plus. – Odbyłem jednak przecież trzy albo cztery debaty... Właściwie trzy...

–Mając przeciwko sobie facetów o gębach niczym guźce afrykańskie, Samuelu. Przegrali z kretesem, pogrzebani przez kogoś wzbudzającego szczerą sympatię – ludzie to lubią. Nigdy nie przestają wpatrywać się w niebo – a obecnie w ekran telewizyjny – wyczekując przyjscia króla czy księcia, który przemówiłby do nich kojącymi słowami i wskazał im drogę.

–To prawdziwy skandal. Abraham Lincoln w takim układzie byłby okrzyknięty nieporadnym wieśniakiem i musiałby pozostać w Illinois.

–Albo jeszcze gorzej – dorzucił z chichotem Jacob Mandel. – Na przykład: Żyd Abraham w przymierzu z antychrystami, składający ofiary z chrześcijańskich dzieci. " – A kiedy zapuścił sobie brodę, odczytać by to można jako całkowite potwierdzenie tych słów – przytaknął Winters, uśmiechając się i wstając z fotela. – Napijesz się? – spytał, i z góry znając odpowiedź przyjaciela skierował się w stronę barku pod francuskim gobelinem wiszącym na prawej ścianie.

–Tak, dziękuję. To, co zwykle.

–Oczywiście. – Historyk nalał w milczeniu dwa drinki jednego bourbona i jedną kanadyjską whisky – dodając do obu jedynie lód. Powrócił do foteli i podał bourbona Mandelowi. – No dobrze, Jacobie. Chyba poskładałem sobie to wszystko w jedną całość.

–Wiedziałem, że potrafisz nalewać i jednocześnie myśleć – zauważył Mandel z uśmiechem i podniósł "kieliszek. – Twoje zdrowie. – Uchaim – odparł historyk.

–A zatem?

–Owa gorączka, o której mówisz, owo pragnienie zwycięstwa muszą być w jakiś sposób zaszczepione Evanowi Kendrickowi. Bez tego nie jest wiarygodny, a bez Kendricka kundle, o których wspominał Gideon – oportuniści i fanatycy – wejdą na scenę.

–Tak właśnie uważam. Winters pociągnął z kieliszka, biegnąc wzrokiem w stronę gobelinu.

–W bitwie pod Grecy, Filip ze swymi rycerzami zostali pokonani nie tylko przez angielskich łuczniczków i walijskie długie noże; musieli toczyć walkę z tym, co SaintSimon określił w trzysta lat później mianem dworu wysysanego przez "nikczemną skorumpowaną burżuazję".

–Twoja erudycja przekracza moje możliwości, Samuelu.

–Jak możemy "zaszczepić" tę gorączkę w Evanie Kendricku? Jest rzeczą niezmiernie ważną, żeby się nam udało. Teraz doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

–Myślę, że zaczniemy od Miloša Varaka.

Annie Mulcahy O'Reilly wychodziła z siebie. Cztery standardowe linie telefoniczne w biurze Kongresu używano głównie do rozmów na zewnątrz, jako że zajmujący je kongresman nie otrzymywał zwykle zbyt wielu telefonów; tym razem jednak było nie tylko inaczej, ale wyglądało na to, że świat zwariował. W ciągu dwudziestu czterech godzin najmniej liczny i najmniej zapracowany personel na Kapitolu stał się najbardziej oszalałym zespołem ludzkim. Annie zmuszona była zadzwonić do swoich dwóch archiwistek, które nie przychodziły do pracy w poniedziałki ("Och, daj spokój, Annie, to mi psuje porządny weekend") i ściągnąć do pracy ich utapirowane głowy. Następnie skontaktowała się z Phillipem Tobiasem, bystrym choć sfrustrowanym głównym asystentem, każąc mu wybić sobie z głowy jego grę w tenisa i przywlec zaraz swój promocyjny tyłek do biura, albo czeka go śmierć z jej rąk. ("Co się stało, do diabła?" "Nie widziałeś wczorajszego programu Foxleya?" "Nie. pływałem na żaglówce. A co, powinienem?" "On w nim wystąpił!" "Co? Bez mojej zgody to nie ma prawa się zdarzyć!" "Zadzwonili pewnie do niego do domu". "Ten sukinsyn nic mi nie powiedział!" "Mnie też nie, ale zobaczyłam jego nazwisko w ostatnim "Washington Post". "Jezu! Zdobądź mi taśmę, Annie! Proszę!" "Tylko pod warunkiem, że przyjedziesz tu i pomożesz nam zająć się telefonami, kochasiu" "Niech to cholera!" "Mówisz do damy, kutasie. Nie odzywaj się do mnie w ten sposób". "Przepraszam, przepraszam cię, Annie! Taśma, proszę!" W końcu – i to tylko dlatego, że była w desperacji, oraz tylko dlatego, iż jej mąż Patrick Xavier O'Reilly miał wolne poniedziałki w zamian za pracowite sobotnie dyżury – zadzwoniła do swojego wychodkowego irlandzkiego policjanta i oznajmiła mu, że jeśli nie przyjdzie jej

pomóc, to wniesie przeciwko niemu oskarżenie o gwałt; oczywiście, dodała, to tylko pobożne życzenie. Jediną osobą, do której nie mogła dotrzeć, był kongresman z dziewiątego okręgu wyborczego w Kolorado.

–Bardzo mi przykro, pani O'Reilly zapewnił ją Arab, który wraz z żoną zajmował się domem Kendricka; Annie podejrzewała, że jest on pewnie bezrobotnym chirurgiem albo byłym rektorem uniwersytetu. – Pan kongresman powiedział, że wyjeżdża na kilka dni. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie teraz przebywa.

–Wciska mi pan sam kit, panie Sahara...

–Pochlebia mi pani takim wielkim porównaniem.

–Ten też! Odszukaj tego bazyliuszka, sługę interesu publicznego i powiedz mu, że mamy tu cholerny pasztet! A wszystko przez ten jego występ w programie Foxleya!

–Był w nim niezwykle skuteczny, prawda?

–A pan skąd o tym wie?

–Widziałem jego nazwisko w ostatnim "Washington Post", szanowna pani. Jak i w nowojorskim "Timesie", w "Timesie" z Los Angeles i w "Chicago Tribune".

–On prenumeruje te wszystkie gazety?

–Nie, proszę pani, ja. Ale z powodzeniem może z nich korzystać. – Bogu niech będą dzięki! Piekło za drzwiami stało się nie do zniesienia. Annie trzasnęła słuchawką i dobiegła do drzwi. Otworzyła je i ku swemu zdziwieniu ujrzała Evana Kendricka, który wraz z jej mężem torował sobie drogę przez tłum reporterów, asystentów kongresmanów i całą gromadę innych ludzi, których nawet nie знаła.

–chodźcie tutaj! – krzyknęła. Kiedy znaleźli się w sekretariacie za zamkniętymi drzwiami, pan O'Reilly przemówił:

–Ja jestem tym jej Paddy – przedstawił się, z trudem łapiąc oddech. – Miło mi pana poznać, panie kongresmanie.

–Dla mnie jest pan świetnie blokującym obrońcą, przyjacielu – odparł Kendrick podając mu rękę. Ogarnął szybkim spojrzeniem postawnego, barczystego rudzielca z brzuchem o dziesięć centymetrów większym, niż pozwalałby na to słuszny skądinąd wzrost, i o lekko rumianej twarzy z parą bystrych, inteligentnych zielonych oczu. – Cieszę się, że znaleźliśmy się tutaj w tym samym czasie. – Jeżeli mam być szczery, to niezupełnie tak było. Moja szalona pani zadzwoniła do mnie ponad godzinę temu i udało mi się dotrzeć tu w ciągu dwudziestu, dwudziestu pięciu minut. Zobaczyłem całe to zamieszanie na korytarzu i pomyślałem sobie, że może pan się zjawi. No i postanowiłem zaczekać na pana.

–Mogłeś dać mi znać, ty parszywy Masie! My tu o mało ze skóry nie wyłazimy!

–Żeby zostać poczęstowanym oskarżeniem o zbrodnię pierwszego stopnia, kochanie?

–Sam pan widzi, kongresmanie, to prawdziwy wychodkowy Irlandczyk...

–Przestańcie – poleciał Evan zerkając w stronę drzwi. – Co, u licha, mamy z tym zrobić? Co się właściwie stało?

–To pan wystąpił w programie Foxleya – odparła O'Reilly. – Nie my.

–Staram się nigdy nie oglądać takich programów – wymamrotał Kendrick. – W przeciwnym razie oczekiwano by po mnie, że będę coś niecoś wiedział.

–W każdym razie wiele osób wie teraz o panu.

–Cholernie dobrze się pan spisał – dorzucił policjant ze stołecznego komisariatu Waszyngtonu. – Paru chłopaków z wydziału dzwoniło do mnie prosząc, by Annie przekazała od nich pozdrowienia. Mówiłem ci o tym, Annie.

–Po pierwsze, nie było nawet okazji, a po drugie, przy całym tym zamieszaniu i tak pewnie zapomnielibyśmy. W każdym razie myślę, Evan, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest wyjść tam do nich i złożyć jakieś oświadczenie.

–Chwileczkę – przerwał Kendrick, spoglądając na Patricka O'Reilly. – Za co niby ktoś w wydziale policji miałby mi dziękować? – Za sposób, w jaki stawiał pan czoła Barrishowi i złożył mu skórę. – Tyle to wiem, ale kim jest dla nich Barrish?

–Dziwką z Pentagonu, mającą przyjaciół na wysokich stanowiskach. I niezłym mścicielem; to za jego sprawą facetów, którzy nie spali przez kilka nocy organizując obławę, opieprza się, zamiast im podziękować.

–Jaką obławę? Co się wydarzyło?

–Panie Kendrick! – wtrąciła się Annie. – Tam za drzwiami kłębi się istne zoo! Musi się pan pokazać, powiedzieć coś!

–Nie, najpierw chcę tego posłuchać. Proszę dalej, panie... Czy wolno mi nazywać pana Patrick albo Pat?

–"Paddy" pasuje do mnie lepiej. – Policjant poklepał się po brzuchu. – Tak się do mnie zwracają.

–A ja jestemEvan. Darujmy sobie "pana kongresmana" – zresztą zamierzam pożegnać się z tym tytułem na zawsze. Bardzo proszę, mów dalej. W jaki sposób Barrish wplątał się w sprawę z policją? – Tego nie powiedziałem; jeśli chodzi o niego samego, jest czystszy niż irlandzka kobza – chociaż ta akurat w środku nie wygląda zbyt pięknie. W każdym razie facet jest bielszy niż bielone prześcieradło w południowych promieniach słońca.

–W twojej profesji nie dziękuje się ludziom za trzepanie czystej bielizny...

–Cóż, nie była to jakaś rewelacyjna sprawa; prawdę mówiąc, sama w sobie sprawiała wrażenie mało znaczącej, ale kto wie, na co moglibyśmy trafić, gdyby udało się ją dalej pociągnąć... Chłopcy pilnowali pewnego makaroniarza, o którym wiadomo było, że pierze brudną forszę w Miami i paru miejscach na południowy wschód od Florydy, w tym na Kajmanach. W czwartym dniu obławy zorganizowanej w hotelu Mayflower myśleli już, że go mają. No bo o pierwszej w nocy wchodzi do jego pokoju z dużą teczką jeden z tych elegancików, co nie żałują forsy na ubrania. O pierwszej w nocy – a nie jest to chyba ani początek, ani schyłek dnia biznesmena, prawda? – Raczej nie.

–Ale cóż, okazało się, że pan elegancik prowadził legalne interesy z naszym makaroniarzem; a w wykazach Pentagonu stało czarno na białym, że facet prawie do dwudziestej trzeciej trzydziści brał udział w konferencji na temat zaopatrzenia, a co więcej, o ósmej rano musiał złapać samolot do Los Angeles – tak więc wizyta o pierwszej w nocy znalazła swoje uzasadnienie.

–A co z teczką?

–Nawet nie mogliśmy jej dotknąć. W jednej chwili rozległy się wściekłe krzyki

urazonej ambicji, wokół całej sprawy wytoczono armaty w obronie bezpieczeństwa narodowego. Rozumiesz, ktoś wykonał jeden telefon.

–I to nie do adwokata – domyślił się Evan. – Ale do niejakiego pułkownika Roberta Barrisha z Pentagonu.

–Trafiony. Przytarto nam wtedy nosy za to, że ośmieliliśmy się poddać w wątpliwość intencje wspaniałego, lojalnego Amerykanina, który troszczy się o potęgę Stanów Zjednoczonych Ameryki. Chłopcy dostali porządnie po głowach.

–Ale ty myślisz inaczej. Twoim zdaniem w tamtym hotelowym pokoju mówiono nie tylko o legalnych inwestycjach.

–Jeżeli coś chodzi jak kaczka, kwacze jak kaczka i wygląda jak kaczka, to jest to najpewniej kaczka. Ale nie nasz pan elegancik; ten okazał się nie kaczką, ale łasicą o mocno bijącym ogonie, której imię zostało błyskawicznie wymazane z naszego rejestru kaczek. – Dzięki, Paddy... No dobrze, pani O'Reilly, co ja im tam mam powiedzieć?

–Cokolwiek bym zaproponowała, nasz drogi Phil Tobias z pewnością się temu sprzeciwi, powinien pan to wiedzieć. Już tu jedzie. – Odwołałaś jego poniedziałkowy poranny mecz w tenisa? Ta odwaga przekracza ramy twoich obowiązków.

–Phil jest młody i bystry, aleniesądzę, bywtej sytuacji jego rady mogły się panu na coś przydać. Teraz musi pan liczyć na siebie. I proszę pamiętać, iż te wszystkie sępy za drzwiami są przekonane, że przez cały ostatni tydzień starał się pan zdobyć sobie poklask, zbić procenty na swych wystąpieniach poczynawszy od przesłuchań komisji aż po program Foxleya. Gdyby się pan wyłożył, nikt by się tym nawet nie przejął, ale pan nie przegrał. Starł się pan z zawodnikiem wagi ciężkiej i zrobił z niego na oczach wszystkich kłamliwego rzezimieszka, a to czyni z pana bohatera dnia. Oni wszyscy chcą się dowiedzieć, dokąd pan zmierza.

–Zatem co proponujesz, Annie? Ty przecież wiesz, dokąd zmierzam. Co mam im powiedzieć? Ann Mulcahy O'Reilly spojrzała mu prosto w oczy.

–Co tylko pan chce, panie kongresmanie. Byle szczerze.

–Ma to być łabędzi lament? Mój łabędzi śpiew, Annie?

–Przekona się pan sam, kiedy do nich wyjdzie. Niezdyscyplinowaną wrzawę w biurze na zewnątrz powiększyły nagle wybuchy fleszy i przemieszczające się, oślepiające światła reflektorów ekip telewizyjnych, których członkowie wymachiwali w tłumie swymi śmiercionośnymi minikamerami. Wykrzykiwano pytania i odkrzykiwano odpowiedzi. Kilku bardziej znaczących dziennikarzy domagało się arogancko respektowania swych praw do zajęcia jak najbliższych, najbardziej eksponowanych miejsc. W związku z tym kongresman z dziewiątego okręgu wyborczego w Kolorado po prostu podszedł do biurka swej recepcjonistki, odsunął na bok księgę bieżącą i konsolę telefoniczną, po czym usiadł na blacie biurka. Uśmiechnął się śmiało, podniósł kilkakrotnie obie dłonie i odmówił zabrania głosu. Stopniowo kakofonia dźwięków zaczęła opadać, przerywana jeszcze od czasu do czasu jakimś ostrym głosem, któremu odpowiadało nieme spojrzenie z wyrazem udawanego zdziwienia ze strony zgorzzonego przedstawiciela Izby Reprezentantów. Wreszcie dla wszystkich stało się jasne: kongresman Evan Kendrick nie otworzy ust,

dopóki jego słowa nie będą mogły być słyszane przez wszystkich. Nastąpi cisza.

–Bardzo dziękuję – zaczął Evan. – Potrzebuję każdej możliwej pomocy, żeby się zastanowić, co chcę powiedzieć – zanim państwo powiecie to, co sami macie do powiedzenia. Różnica polega na tym, że państwo zdążyliście już wszystko sobie obmyśleć.

–Kongresmanie Kendrick – wykrzyknął atakującym tonem dziennikarz telewizyjny, najwyraźniej zdenerwowany tym, że zajmuje miejsce w drugim rządzie. – Czy to prawda...

–No nie, zaraz, zaraz – przerwał mu zdecydowanie Evan. – Daj mi chwilę oddechu, przyjacielu. Pan już do tego przywykł, ja jeszcze nie.

–W telewizji zachowywał się pan inaczej! – zripostował niedawny redaktor prowadzący.

–Tylko że o ile pamiętam, wtedy było jeden na jednego. A teraz przeciwko jednemu występuje cała widownia Koloseum żadna jego krwi. Proszę mi najpierw pozwolić coś powiedzieć, dobrze? – Ależ oczywiście.

–Cieszę się, że to nie pana miałem przeciwko sobie w ubiegłym tygodniu, Stan – bo tak chyba ma pan na imię, prawda?

–Zgadza się, panie kongresmanie.

–Połknąłby mnie pan razem ze swoją brandy.

–Bardzo pan uprzejmy.

–Poważnie? Powiedział mi pan komplement, czy tak?

–Tak, panie kongresmanie. To nasza praca.

–Doceniam to. I cholernie pragnąłbym, żeby robił to pan częściej.

–Co?

–Jeden z najbardziej szanowanych członków mego zespołu wyjaśnił mi – ciągnął Kendrick szybko – że powinienem złożyć oświadczenie. To nieco przerażająca perspektywa dla kogoś, kto nigdy przedtem tego nie robił.

–Ale przecież ubiegał się pan o urząd – wtrąciła się dziennikarka telewizyjna, wciskając wyraźnie swoją blond główkę w obiektyw kamery. – Oświadczenia były przy takiej okazji niewątpliwie wymagane.

–Nie w przypadku, jeśli ówczesny kongresman z naszego okręgu reprezentował lokalną odmianę "Planety małp", proszę to sobie sprawdzić, ja pozostaję przy swoim. No więc jak, mogę teraz mówić dalej, czy mam zwyczajnie wyjść? Chcę być z państwem szczerzy, mnie naprawdę na niczym nie zależy.

–Prosimy, niech pan mówi dalej – odezwał się dżentelmen określany często mianem Stantheman, z szerokim uśmiechem na swej telegenicznej twarzy.

–Dobrze... Otóż ów nieoceniony pracownik mego zespołu wspomniał również, iż niektórzy z państwa – jeśli nie wszyscy – odnoszą być może wrażenie, że to, co robiłem w ubiegłym tygodniu, czyniłem dla zdobycia poklasku. "Dla poklasku"... Tak jak ja rozumiem, wyrażenie to oznacza zwracanie na siebie uwagi poprzez wykonywanie teatralnych gestów – wypełnionych treścią czy też jej pozbawionych które mają skupić uwagę publiczności na autorze owego przedstawienia. Jeżeli ta definicja jest trafna, to muszę odmówić przyjęcia tytułu "gracza dla poklasku" – jeśli

takowy istnieje – ponieważ nie szukam u nikogo żadnych pochwał. Powtarzam jeszcze raz: naprawdę mi na niczym nie zależy. Chwilowy szok ustąpił pod wpływem uspokajających ruchów dłoni kongresmana.

–Proszę państwa, mówię to najzupełniej szczerze. Nie spodziewam się, bym długo tu jeszcze pobyl...

–A co, ma pan kłopoty ze zdrowiem? – zawołał młodzieniec z końca sali.

–Chce się pan spróbować na rękę?... Nie, nie mam żadnych zdrowotnych problemów, o których wiedziałbym...

–Byłem uczelnianym mistrzem boksterskim – dorzucił młody dziennikarz z końca sali, daremnie starając się opanować wśród rozbawionych krzyków zgromadzonych. – Przepraszam pana – powiedział zakłopotany.

–Nie musisz, młodzieńcze. Gdybym objawiał pański talent, to pewnie rzuciłbym wyzwanie szefowi zaopatrzenia w Pentagonie oraz jego odpowiednikowi z Kremla, i rozwiązalibyśmy wszystko tak, jak to się zwykło robić dawniej – po jednym zawodniku z każdej strony i można by uratować całe armie. Ale niestety, nie mam pańskiego talentu, podobnie jak nie mam kłopotów ze zdrowiem. – Zatem co chciał pan przedtem powiedzieć? – spytał szanowany kolumnista "New York Timesa".

–Pochlebia mi pańska obecność tutaj – rozpoznał go Evan. – Nigdy bym nie przypuszczał, że moja osoba warta jest angażowania pańskiego czasu.

–Myślę, że jest warta; co zaś się tyczy mojego czasu, to nie jest on aż tak cenny. Skąd pan się wziął, kongresmanie?

–Nie jestem pewny, ale odpowiadając na pańskie pierwsze pytanie, mam spore wątpliwości, czy pasuję do tego miejsca. A co do drugiego pytania, to skoro nie mam pewności, czy powinienem się tutaj znaleźć, to występuję z pozazdroszczenia godnej pozycji, mogę bowiem mówić to, co chcę bez oglądania się na konsekwencje konsekwencje natury politycznej.

–To już coś – skomentował ze zwykłą sobie zgryźliwością Stantheman zapisując w swoim notesie. – A teraz pańskie oświadczenie.

–Dziękuję. Chciałbym to chyba mieć już za sobą. Tak jak wielu ludziom, nie podoba mi się to, co widzę. Przez wiele lat nie mieszkałem w tym kraju; może trzeba stąd wyjechać, żeby zrozumieć, co posiadamy, choćby tylko po to, by móc to porównać z tym, czego inni nie mają. Trudno przypuszczać, by rządem naszym kierowała oligarchia, a jednak zdaje mi się, że doszła ona do głosu. Nie potrafię wskazać ich palcem, ale wiem, że tam są. I wy też wiecie. Ciągłe mówią o potrzebie eskalacji, bezustannej eskalacji, pokazując zawsze na przeciwnika, który sam osiągnął swój najwyższy szczebel eskalacji ekonomicznej i technologicznej. Kiedy wreszcie powiemy sobie "stop"? W którym miejscu tamci się opamiętają? Kiedy przestaniemy wpędzać w koszmary nasze dzieci, które bez przerwy słyszą, tylko te cholerne zapowiedzi zagłady? Kiedy ich dzieci przestaną o tym słyszeć?... A może mamy dalej pędzić w górę tą windą rodem z piekła, aż w końcu nie będziemy już w stanie zjechać na dół... Zresztą, i tak będzie to dla nas bez znaczenia, ponieważ na zewnątrz wszystkie ulice stać będą w płomieniach... Proszę mi wybaczyć, wiem, że to nie w porządku, ale nagle odeszła mi ochota na inne pytania. Wracam w góry.

Evan Kendrick wstał z biurka i przeszedł szybko przez oszołomiony tłum do drzwi swego biura. Otworzył je i przyspieszając kroku zniknął w korytarzu.

–Na pewno nie pojedzie w góry – wyszeptał Patrick Xavier O'Reilly zwracając się do żony. – Ten chłopak zostanie tu, w tym mieście. – Och, cicho bądź! krzyknęła Annie ze łzami w oczach. Właśnie przed chwilą odciął się od całego Kapitolu!

–Może od Kapitolu tak, ale nie od nas. Wytknął wszystko swoim niezbyt delikatnym palcem. Oni mają forszę, a my trzęsiemy się ze strachu. Mówię ci, uważaj na niego, Annie, opiekuj się nim. To ktoś, kogo chcemy słuchać.

*** * ***

Rozdział 19

Kendrick przemierzał pogrążone w upale i letargu ulice Waszyngtonu, w rozpiętej koszuli, z marynarką przewieszoną przez ramię, nie mając pojęcia dokąd idzie; kiedy tak stawał nogę za nogą w bezcelowym porządku pragnął jedynie, by rozjaśniło mu się w głowie. O wiele częściej, niż chciałoby mu się zliczyć, zaczepiali go nieznajomi przechodnie. Ich opinie były dość równo podzielone, choć z lekką przewagą na jego korzyść; sam nie wiedział jednak, czy powinien się z tego faktu cieszyć, czy też nie.

–Pięknie pan załatwił tego obłudnego kutasa, senatorze!

–Nie jestem senatorem, tylko kongresmanem. W każdym razie dziękuję.

–Za kogo ty się uważasz, kongresmanie JakCiTam? próbujesz złapać na wędkę wspaniałego, lojalnego Amerykanina, jakim jest pułkownik Barrish. Pieprzony lewicowy pedzio!

–Może kupi pan ode mnie trochę perfum? Pułkownik także je kupił.

–Obrzydliwość!

–Hej, stary, klawy był ten twój klip! Nieźle się poruszasz i bierzesz wysokie tony. A tamta ciota posłałaby najchętniej wszystkich chłopaków z powrotem do Wietnamu jako armatnie mięso!

–Nie wydaje mi się, żołnierzu; on nie dyskryminuje ludzi – dla niego wszyscy jesteśmy mięsem armatnim.

–To, że jest pan sprytny, nie znaczy wcale, że ma pan rację! A to, że tamten dał się zrobić – w gruncie rzeczy przez własne słowa – nie musi o nim źle świadczyć. To człowiek oddany sprawie budowania siły naszego państwa, czego jak widać nie da się powiedzieć o panu! – A ja, szanowny panie, jestem oddany sprawie rozsądnego myślenia. A to wcale nie wyklucza siły naszego kraju, w każdym razie mam taką nadzieję.

–Nie widziałem na to żadnego dowodu!

–Przykro mi. Łatwo go znaleźć.

–Dziękuję, panie kongresmanie; wyraził pan to, co wielu z nas myśli.

–A dlaczego sam pan tego nie mówi?

–Nie wiem. Gdzie by się człowiek ruszył, to wszędzie na niego krzyczą, że należy być twardzielem. W Bostonie, w bitwie o Bulge byłem jeszcze dzieciakiem, ale nikt nie musiał mi powtarzać, że mam być twardy. Byłem twardy – i cholernie wystraszony. To przychodziło samo z siebie – po prostu chciałem żyć. Ale teraz wszystko wygląda inaczej. To już nie jest walka człowieka z człowiekiem, ani nawet

działa przeciw samolotom. Teraz mamy maszyny śmigające w powietrzu i wybijające wielkie dziury w ziemi. Nie można wziąć ich na cel, i nie można ich zatrzymać. Pozostaje jedynie czekać. – Szkoda, że nie brał pan udziału w tamtym przesłuchaniu. Ujął pan to znacznie lepiej, niż ja kiedykolwiek mógłbym to zrobić mając większe uprawnienia. Nie chciał już z nikim więcej rozmawiać. Powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, a otaczający go obcy tłum na ulicy nie pomagał mu w znalezieniu tak bardzo potrzebnej samotności. Pragnął się zastanowić, poukładać sobie wszystko w głowie, podjąć decyzję, i to szybko, choćby tylko dlatego, żeby mieć to już za sobą. Nominację do Komisji Partridge'a przyjął kierując się konkretnym powodem: chciał mieć głos w decyzji o wyborze swego następcy w okręgu, a zgodnie z przekonaniem jego asystenta Phila Tobiasa, odpowiadając na wezwanie Partridge'a zapewniał sobie tę możliwość. Tylko że teraz zadawał sobie pytanie, czy mu tak naprawdę na tym zależy. Musiał w końcu przyznać, że do pewnego stopnia tak, choć nie z uwagi na jakiegokolwiek roszczenia terytorialne. Wkroczył na drugoplanową arenę polityczną jako gniewny człowiek z szeroko otwartymi oczami. Czy mógł tak po prostu zwinąć cały stragan tylko dlatego, że zirytowało go chwilowe zamieszanie wywołane wystawieniem się na widok publiczny? Nie miał przyklepionego do czoła świadectwa moralności, czuł jednak pewną wrodzoną niechęć wobec ludzi, którzy przyjmowali na siebie zobowiązania, a później w trosce o własną wygodę rejterowali. Z drugiej zaś strony, mówiąc słowami z innej epoki, oczyścił dziewiąty okręg wyborczy w Kolorado z wszystkich szubrawców, którzy usiłowali ograbić tę ziemię do cna. Dokonał tego, co zaplanował; czegoż więcej mogą wymagać od niego wyborcy z jego okręgu? Sprawił, że się przebudzili, a przynajmniej tak mu się zdawało – i w tym celu nie żałował gardła ani pieniędzy. Musiał się naprawdę dobrze zastanowić. Chyba zatrzyma sobie Jeszcze na jakiś czas posiadłość w Kolorado. Ma czterdzieści jeden lat, za dziewiętnaście stuknie mu sześćdziesiątka. Ale czy to, do cholery, takie ważne?... Ważne. Chciał teraz wrócić do PołudniowoZachodniej Azji, do zajęć i ludzi, z którymi mu się najlepiej pracowało, ale podobnie jak Manny nie zamierzał doczekać tam swych ostatnich dni – lub, jeśli szczęście dopisze, przeżyć dziesięć, dwadzieścia lat. Manny... Emmanuel Weingrass, uosobienie geniuszu i błyskotliwości, autokrata i renegat, człowiek absolutnie nie do zniesienia; ale jedyny ojciec, jakiego kiedykolwiek znał. Nigdy nie widział swego rodzzonego ojca; owego dalekiego człowieka, który zmarł w czasie budowy mostu w Nepalu pozostawiając żonę rozpowiadającą z cynicznym humorem, że po wyjściu za mąż za niebywale młodego kapitana korpusu wojsk inżynieryjnych w czasie II wojny światowej, zaznała mniej rozkoszy małżeńskich niż Katarzyna Aragońska.

–Hej! – wrzasnął mężczyzna o pulchnych kształtach, który właśnie wyłonił się z małych zadaszonych drzwi baru na Szesnastej Ulicy. – Przed chwilą cię widziałem! Byłeś w telewizji i siedziałeś na biurku! W tym programie, gdzie cały dzień lecą wiadomości. Jedna nuda! Nie wiem, co za głupoty wygadywałeś, ale część łazęgów klaskała, a inni wieszali na tobie psy. To byłeś ty!

–Musiał mnie pan pomylić – zaprzeczył Kendrick i ruszył szybciej chodnikiem. Wielki Boże, pomyślał, ludzie z Cable News nie tracili czasu, błyskawicznie

wyemitowali jego naprędce przygotowaną konferencję prasową. Wyszedł z biura zaledwie półtorej godziny temu; komuś bardzo się spieszyło. Orientował się, że w Cable News potrzebują stale nowego materiału, ale przy takim zalewie wiadomości krążących po Waszyngtonie, dlaczego wybrali akurat jego? Jednak tym, co go naprawdę niepokoiło, była uwaga wygłoszona przez młodego Tobiasa w czasie pierwszych dni Evana na Kapitolu. – Cable News dopiero raczkuje i my możemy na tym skorzystać. Sieci telewizyjne mogą nie uznać pana za wystarczająco ważnego, by dawać o panu relacje, ale przez cały czas przeglądają fragmenty z Cable News w poszukiwaniu czegoś nietypowego, nadającego się do wypełnienia programu. Postaramy się stworzyć taką sytuację, w której chłopcy z Cable połkną przynętę, a moim zdaniem pańska powierzchowność i pańskie dość okrężne uwagi...

–Zatem, panie Tobias, nie popełniamy nigdy błędu wzywania chłopców z Cable News, dobrze? W tym momencie asystentowi opadły skrzydła; odzyskał nieco spokój dopiero po zapewnieniach Evana, że następny lokator tego biura będzie o wiele bardziej skłonny do współpracy. Kendrick nie żartował mówiąc mu o swej chęci odejścia, tak jak nie żartował i teraz. Obawiał się tylko, czy nie jest już za późno. Skierował się z powrotem w stronę oddalonego o mniej więcej jedną przecznicę hotelu Madison, gdzie spędził niedzielą noc. A spędził ją tam dlatego, iż był na tyle przytomny, by zadzwonić do domu w Wirginii z pytaniem, czyjego występ w programie Foxleya nie zakłócił w jakiś sposób porządku domowego.

–leż skąd, Evan, chyba że ktoś z domowników miałby akurat ochotę skorzystać z telefonu. – Dr Sabri Hassan odpowiedział w języku arabskim, którego obaj używali dla wygody, jak również z innych przyczyn. – Dzwonią do nas bez przerwy.

–Zostanę więc w mieście. Jeszcze nie wiem gdzie, ale dam ci znać.

–Po co masz sobie głowę zawracać? I tak pewnie nie uda ci się dodzwonić. Dziwię się, że teraz ci się udało.

–W każdym razie, gdyby dzwonił Manny...

–Dlaczego sam do niego nie zadzwonisz i nie powiesz gdzie jesteś; wtedy ja nie musiałbym kłamać. Dziennikarze w tym mieście tylko czekają na to, żeby Arab skłamał; od razu rzucają się na nas jak sępy. Izraelczycy mogą twierdzić, że białe jest czarne, a cukier ma kwaśny smak, a ich lobby z miejsca przekona Kongres, że to wszystko dla twojego własnego dobra. Z nami jest inaczej.

–Daj spokój, Sabri...

–Musimy od ciebie odejść, Evan. Nasza obecność to dla ciebie nic dobrego, i nic nie zmieni się na lepsze.

–O czym ty, do diabła, gadasz?

–Razem z Kashi oglądaliśmy dzisiejszy poranny program. Byłeś niesłychanie skuteczny, przyjacielu.

–Porozmawiamy o tym później. Całe popołudnie spędził przed telewizorem oglądając baseball i popijając whisky. O wpół do siódmej włączył wiadomości i zaczął przeskakiwać ze stacji na stację jedynie po to, by wszędzie ujrzyć siebie w krótkich migawkach z programu Foxleya. Z obrzydzeniem przerzucił się na kanał o sztuce, na którym leciał film ukazujący obyczaje godowe wielorybów u wybrzeża Ziemi Ognistej.

Patrzył w zdumieniu; zasnął. Dziś instynkt podpowiedział mu, by zatrzymał klucz do pokoju; przeszedł więc teraz pospiesznie przez hol hotelowy zmierzając ku windom. Kiedy znalazł się w pokoju, zdjął z siebie ubranie z wyjątkiem spodenek i położył się na łóżku. I czy to kierował nim symptom uciskanego ego, czy też zwykła ciekawość, dość że wcisnął pilota i wybrał kanał Cable News. W siedem sekund później zobaczył siebie samego, jak opuszcza biuro.

–Przed chwilą byliście państwo świadkami jednej z najbardziej niezwykłych konferencji prasowych, w jakich wasz reporter kiedykolwiek uczestniczył. Była nie tylko niezwykła, ale i niezwykle jednostronna. Pełniący po raz pierwszy ten urząd kongresman z Kolorado podniósł kwestie o oczywistym narodowym znaczeniu, odmówił jednak udzielenia odpowiedzi na pytania dotyczące przedstawionych przez siebie wniosków. Po prostu wyszedł. W jego imieniu należałoby powiedzieć, że odrzuca on zarzut "gry na poklask", ponieważ najwyraźniej nie jest pewny, czy chce pozostać w Waszyngtonie – czyli, jak się wydaje, nie interesuje go udział w rządzie. Niemniej, wygłoszone przez niego twierdzenia były, najdelikatniej mówiąc, prowokacyjne. Obraz z taśmy został nagle przerwany, a na jego miejsce pojawiła się w przekazie na żywo twarz redaktorki programu.

–Łączymy się teraz z Departamentem Obrony skąd, jak rozumiemy, podsekretarz odpowiedzialny za realizację programu strategicznego odstraszenia wygłosi przygotowane oświadczenie. Steve, oddaję ci głos. Na ekranie ukazała się kolejna twarz: ciemnowłosy reporter o grubo ciosanej twarzy i zbyt wielu zębach wpatrywał się w kamerę i mówił szeptem:

–Podsekretarz Jasper Hefflefinger, którego zawsze udaje się ściągnąć ilekroć ktoś przypuszcza atak na Pentagon, nie zwlekając postanowił zabrać głos w dyskusji rozpoczętej przez kongresmana... Jak mu tam? A, kongresman Henryk ze stanu Wyoming... Co? Aha, Kolorado! A oto podsekretarz Hefflefinger. Kolejna twarz. O obwisłych policzkach, a mimo to przystojna, mocna twarz, okolona gęstą czupryną zwracających na siebie uwagę siwych włosów. Mężczyzna obdarzony był głosem, którego mogliby mu pozazdrościć najznakomitsi spikerzy radiowi lat trzydziestych i czterdziestych.

–tóż chcę powiedzieć panu kongresmanowi, iż chętnie witamy jego uwagi. My pragniemy dokładnie tego samego, panie kongresmanie! Uniknięcia katastrofy, dążenia do wolności i swobód... Ciągnął tak dalej, mówiąc o wszystkim a jednocześnie o niczym, ani razu nie dotykając kwestii eskalacji i powstrzymywania. Dlaczego ja? krzyknął Kendrick do siebie. Dlaczego? Do diabła z tym! Niech diabli to wszystko wezmą! Wyłączył telewizor, sięgnął po telefon i zadzwonił do Kolorado.

–Cześć, Manny – powitał Weingrassa usłyszawszy jego krótkie "hallo".

–Chłopcze, to jest coś! – wrzasnął staruszek do słuchawki. Jednak dobrze cię wychowałem!

–Daruj sobie, Manny. Chcę się wyplątać z tego gówna.

–Czego chcesz? Widziałeś siebie w telewizji?

–Właśnie dlatego chcę z tym skończyć. Zapomnij na razie o oszklonej łaźni parowej i letnim domku nad strumieniem – zajmiemy się tym później. Wróćmy razem

do Emiratów – oczywiście, zahaczając po drodze o Paryż; jeśli zechcesz, możemy tam spędzić kilka miesięcy. Zgoda?

–Tyś chyba na głowę upadł, pajacu! Skoro masz coś do powiedzenia, to nie oglądaj się na nic, tylko mów! Zawsze cię uczyłem, żebyś – nie kierując się tym, że możemy przez to stracić kontrakt – mówił to, co sam uważasz za słuszne... W porządku, wiem, może czasem kręciliśmy z terminem, ale przecież w końcu dotrzyśmy umowy! I nigdy nie żądaliśmy dopłaty, nawet jeśli sami musieliśmy płacić! – Manny, to nie ma nic wspólnego z tym, co się tutaj dzieje... – Wprost przeciwnie! Właśnie zacząłeś coś budować... A skoro mowa o budowaniu: wiesz, co ci powiem, goju?

–Co?

–Wziąłem się za tę łaźnię parową na tarasie. Przekazałem już też plany letniego domku nad strumieniem. Nikt nie przeszkodzi Emmanuelowi Weingrassowi w zrealizowaniu do końca tego, co sobie zamierzył!

–Manny, jesteś niemożliwy!

–Już to chyba gdzieś słyszałem.

Miloś Varak kroczył żwirowaną ścieżką w parku Rock Greek w stronę ławki ustawionej nad parowem, którym toczyły swój bystry nurt wody odnogi Potomaku. Było to odległe, zaciszne miejsce, z dala od rozciągających się wyżej betonowych chodników – ulubiony zakątek letnich turystów, pragnących uciec od upału i ulicznego rwetesu. Tak jak tego Czech oczekiwał, przewodniczący Izby Reprezentantów już czekał. Siedział na ławce, skrywszy siwą czuprynę pod irlandzką letnią czapką z daszkiem osłaniającym połowę twarzy. Długą, chorobliwie chudą postać okrywał płaszcz przeciwdeszczowy – zupełnie niepotrzebnie, zważywszy na wilgotny skwar panujący w Waszyngtonie w to sierpniowe popołudnie. Przewodniczący Izby Reprezentantów nie chciał, by ktoś go zauważył; choć zwykle powodowały nim zgoła odmienne inklinacje. Varak podszedł i odezwał się:

–To dla mnie zaszczyt, panie przewodniczący, że mogę pana poznać.

–Ty sukinsynu, a więc jesteś cudzoziemcem! – Jego wychudła twarz o ciemnych oczach i łukowatych, siwych brwiach, kipiała gniewem, ale zdradzała również oznakę słabości, której świadomość napępiała go najwyraźniej wstrętem. Jeżeli jesteś jakimś pieprzonym posłańcem komunistów, to zbieraj się stąd od razu, Iwanie! Nie ubiegam się o następną kadencję. W styczniu już mnie nie będzie, rozumiesz? Finito, kaput, a to, co miało miejsce trzydzieści czy czterdzieści lat temu obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Czy to dla ciebie jasne, Borysie?

–Ma pan na swoim koncie wspaniałą karierę i stanowi pan konstruktywną siłę w życiu tego kraju, który teraz stał się również moim krajem. A co do pańskich podejrzeń jakobym był Rosjaninem albo agentem z bloku wschodniego, to powiem panu, że przez ostatnie dziesięć lat walczyłem zarówno z jednymi, jak i z drugimi – o czym niektórzy przedstawiciele obecnego rządu dobrze wiedzą. Polityk zmierzył Varaka swymi stalowymi oczami.

–Nie byłbyś na tyle bezczelny ani głupi, żeby mi to mówić bez możliwości poparcia tego dowodami – zaintonował z ostrym akcentem mieszkańca północnej

Nowej Anglii. A jednak groziłeś mi! – Tylko po to, żeby zwrócić pana uwagę i przekonać do spotkania ze mną. Czy mogę usiąść?

–Siadaj! – udzielił przyzwolenia przewodniczący tonem, jakby zwracał się do psa, który powinien mu być posłuszny. Varak przysiadł się na ławce, zachowując między nimi odpowiednią odległość. – Co ci wiadomo o wydarzeniach, które miały, a może nie miały miejsca, gdzieś w latach pięćdziesiątych?

–Dokładnie było to siedemnastego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku – zaczął Czech. – Tego dnia w belfaskim szpitalu Matki Bożej Łaskawej przyszło na świat dziecko płci męskiej. Jego matką była młoda kobieta, która kilka lat wcześniej wyemigrowała do Ameryki. Wróciła do Irlandii wiedziona smutną przyczyną: otóż zmarł jej mąż, i w żalu po jego stracie postanowiła zamieszkać z dzieckiem w swym rodzinnym domu, wśród bliskich. – I co z tego wynika? – spytał przewodniczący patrząc zimnym, nieporuszonym wzrokiem.

–Myślę, że sam pan dobrze wie. Nie było żadnego męża, był natomiast mężczyzna, który musiał ją bardzo kochać. Młody, wschodzący polityk, usidlony przez nieszczęśliwe małżeństwo, z którego nie mógł się wyzwolić z powodu praw Kościoła i ślepego ich przestrzegania przez swoich wyborców. Człowiek ten z zawodu adwokat, przez całe lata posyłał pieniądze owej kobiecie, a także odwiedzał ją i dziecko w Irlandii tak często, jak tylko to było możliwe... Oczywiście, jako wujek z Ameryki.

–Potrafisz udowodnić, kim byli ci ludzie? – szorstko przerwał mu starzejący się przewodniczący. – Nie pytam o pogłoski ani o plotki, czy wątpliwą identyfikację ze strony świadków, ale o pisemny dowód.

–Potrafię.

–Jak?

–Prowadzili wymianę listów.

–Łzesz! – warknął siedemdziesięcioletni starzec. – Przed śmiercią spaliła wszystkie co do jednego!

–Obawiam się, że z jednym wyjątkiem – odparł spokojnie Varak. – Wierzę, że nosiła się ze szczerym zamiarem, by ten również zniszczyć, ale śmierć przyszła wcześniej, niż się spodziewała. Odnalazł go jej mąż: leżał zagrzebany pod innymi rzeczami w jej stoliku przy łóżku. Naturalnie, mąż niema pojęcia, kim jest ów "E", ani też nie chce się tego dowiedzieć. Odczuwa jedynie wdzięczność, że żona odrzuciła pańską propozycję i przeżyła z nim ostatnie dwadzieścia lat. Starzec odwrócił się; oczy zaszyły mu łzami. Otrząsnął się, pociągając energicznie nosem.

–Żona mnie wtedy opuściła – odezwał się ledwo słyszalnym głosem. – Nasza córka i syn byli już w college'u i nie widziałem powodu, by dalej bawić się w to cholerne udawanie. Świat się zmienił, zmieniły się poglądy – czułem się bezpieczny niczym Kennedy w Bostonie. Nawet te wyniosłe pajace z archidiecezji nie otworzyły gęby. Oczywiście, paru tym świętoszkowatym draniom dałem do zrozumienia, że jeśli Kościół będzie się w jakikolwiek sposób wtrącał do wyborów, to za moją zachętą czarni radykałowie i Żydzi podniosą w Izbie istne piekło wokół ich świątobliwego statusu zwolnionych od podatku. Biskup o mało nie z wymiotował w apopleksji,

miotając pod moim adresem najprzeróżniejsze słowa potępienia za to, że dałem publiczny przykład zasługujący na ogień piekielny. Ale uciszyłem go sugerując, że odchodząca ode mnie żona też pewnie z nim spała. – Siwowłosy polityk z twarzą głęboko pooraną zmarszczkami zamilkł na chwilę. – Matko Boska! – krzyknął do siebie ze łzami w oczach. – Jakże ja pragnąłem ją odzyskać!

–Jestem pewny, że nie odnosi się to do pańskiej żony.

–Doskonale wiesz, o kim mówię, panie BezNazwiska! Ale ona nie mogła tego zrobić. Dzięki porządному człowiekowi, od blisko piętnastu lat miała dom, a nasz syn nazwisko. Nie mogła go opuścić – nawet dla mnie. Powiem ci prawdę: ja też zatrzymałem jej ostatni list. Oba listy były ostatnimi, jakie do siebie wysłaliśmy. "Połączymy się w niebie" – napisała mi – "ale na tej ziemi już nigdy, kochany". Co za cholerna bzdura? Mogliśmy jeszcze skosztować życia, przeżyć wspaniały okres!

–Jeżeli pan pozwoli, myślę, że był to wyraz miłości ze strony kobiety, która miała tyleż szacunku dla pana, co dla siebie samej i swego syna. Miał pan własne dzieci, a rozplątywanie przeszłości może zniszczyć przyszłość. A przed panem rysowała się przyszłość, panie przewodniczący.

–Rzuciłbym to wszystko bez namysłu...

–I ona nie chciała na to pozwolić. Podobnie jak nie mogła zniszczyć człowieka, który dał jej i dziecku dom oraz nazwisko. Stary człowiek wyjął chusteczkę i przetarł oczy; nagle jego głos ponownie przybrał ostry ton.

–A jak się, do diabła, dowiedziałeś o tym wszystkim?

–To nie było trudne. Jest pan Przewodniczącym Izby Reprezentantów, drugim człowiekiem w kolejności po prezydencie, i starałem się zdobyć o panu nieco więcej informacji. Proszę wybaczyć, ale ludzie starsi rozmawiają swobodniej niż młodzi – w dużej mierze wynika to z braku rozeznania poczucia ważności w odniesieniu do tak zwanych tajemnic. No i, oczywiście, wiedziałem, że pan i żona – oboje katolicy – jesteście rozwiedzeni. Biorąc pod uwagę pana ówczesną rangę polityczną i siłę pańskiego Kościoła, musiała to być doniosła decyzja.

–Do diabła, trudno nie przyznać ci w tym racji. No więc zacząłeś szukać starszych osób, które w owym czasie kręciły się w pobliżu. – I je znalazłem. Doszło do mnie, że pańska żona – córka bogatego przedsiębiorcy w handlu nieruchomościami, który pragnął zdobyć polityczne wpływy i, mówiąc dosłownie, sfinansował pańskie wczesne kampanie – ma niezbyt pochlebny reputację.

–Tak było przed ślubem i po ślubie, panie BezNazwiska. Tyle że ja dowiedziałem się o tym ostatni.

–Ale się pan dowiedział – podkreślił Varak stanowczo. – I powodowany gniewem i zażenowaniem, postanowił pan poszukać sobie innego towarzystwa. Przeświadczony w owym czasie, że z pana małżeństwa nic się już nie da zrobić, rozglądał się pan za namiastką osłody życiowej.

–Tak się to nazywa? Szukałem kogoś, kto mógłby należeć do mnie.

–I znalazł ją pan w szpitalu, dokąd udał się pan w trakcie kampanii wyborczej, aby oddać krew. Dziewczyna pochodziła z Irlandii i była dyplomowaną pielęgniarką, która uczyła się w celu zdobycia uprawnień do wykonywania zawodu w Stanach.

–Skąd do licha...

–Starzy ludzie lubią opowiadać.

–Ten konus Mangecavallo wyszeptał przewodniczący z nagłym błyskiem w oczach, jakby wydobywał z pamięci chwilę szczęścia. – Prowadził mały włoski lokalik, taki bar serwujący smaczną, sycylijską kuchnię, jakieś cztery przecznice od szpitala. Nikt mi tam nigdy nie przeszkadzał – chyba nawet nie wiedzieli, kim jestem. A to makaroniarz, jednak pamięta!

–Pan Mangecayallo ma przeszło dziewięćdziesiąt lat, ale rzeczywiście wszystko pamięta. Przyjeżdżał pan do niego ze swoją śliczną pielęgniarką, a on o pierwszej w nocy zamykał bar i, zostawiając was w środku, prosił tylko, żebyście nie puszczali zbyt głośno tarantelli z szafy grającej.

–Wspaniała postać.

–I obdarzona nadzwyczajną pamięcią jak na ten wiek. Obawiam się tylko, że nie potrafi się już tak kontrolować jak wtedy, kiedy był młodszy. Sypie szczegółami, przeskakuje z tematu na temat; przy kieliszku Chianti plecie takie rzeczy, których by pewnie nie zdradził jeszcze kilka lat temu.

–W tym wieku ma już prawo...

–A pan zwierzał mu się w zaufaniu – przerwał mu Varak.

–Niezupełnie – zaoponował sędziwy polityk. – Konus po prostu umiał wszystko ze sobą powiązać; co nie było zresztą wcale trudne. Po jej wyjeździe do Irlandii zachodziłem do jego baru, i to przez kilka lat nawet dosyć często. Piłem więcej niż zwykle, ponieważ – jak już wspomniałem – nikt mnie tam nie znał i nie zwracał na mnie uwagi, Konus zaś zawsze zapewniał mi powrót do domu bez przygód, jak to się zwykło mówić. Chyba za dużo wtedy paplałem.

–Zjawił się pan też w lokalu pana Mangecavallo po jej zamążpójściu...

–A tak, istotnie! Pamiętam, jakby to było wczoraj – doskonale pamiętam, jak tam wchodziłem, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć momentu wyjścia.

–Ale panu Mangecavallo ten dzień mocno utkwiał w pamięci. Zapamiętał nazwiska, kraj, miasto... nawet datę – datę rozłączenia, jak to pan nazywał. Udałem się zatem do Irlandii. Przewodniczący odwrócił gwałtownie głowę w stronę Varaka i spojrzał na niego gniewnym, pytającym wzrokiem.

–Czego chcesz ode mnie? To już skończone, należy do przeszłości – niczym nie możesz mi zaszkodzić. Czego więc chcesz?

–Nic takiego, czego by pan musiał kiedykolwiek żałować albo się wstydzić. Można by przeprowadzić najskrupulatniejsze badanie życiorysu, a i tak nie znalazłby pan powodu, żeby nie przyklasnąć rekomendacji wysuniętej przez moich klientów.

–Twoich... klientów? Rekomendacja...? Chodzi o jakąś nominację w Izbie Reprezentantów?

–Zgadł pan.

–Pomijając te wszystkie bzdury, dlaczego niby miałbym się zgodzić na te jakieś tam wasze pomysły?

–Z uwagi na pewien szczegół w Irlandii, o którym pan nie wie. – A mianowicie?

–Słyszał pan o zabójcy, który sam siebie nazywa Tammym O'Sheary? Ten

przywódca Skrzydła Tymczasowych Irlandzkiej Armii Republikańskiej...

–Ta świnia! To plama na honorze każdej irlandzkiej rodziny! – To pański syn.

Minął tydzień; dla Kendricka przyniósł on kolejny dowód na to, jak szybko rozchodzi się fama po Waszyngtonie. Transmisje telewizyjne z przesłuchań w Komisji Partridge'a zostały zawieszono na prośbę Pentagonu, który wydał też podwójne oświadczenie. Po pierwsze stwierdzono, iż obecnie poddawane są rewizji pewne "szczegółowe" dokumenty finansowe, po drugie zaś oznajmiono o awansie pułkownika Roberta Barrisha na generała brygady i o jego przeniesieniu na wyspę Guam w celu nadzorowania tego bardzo ważnego przyczółka wolności. Niejaki Joseph Smith spod numeru 70 na Cedar Street w Clinton, w stanie New Jersey, którego ojciec służył niegdyś w 27 Armii na wyspie Guam, ryknął śmiechem trącając w lewy bok żonę, zasiadającą razem z nim przed ekranem telewizora.

–Wycykali go, dziecińco! I to zasługa tego przystojniaczka! To swój chłop! Ale tak, jak wszystkie krótkie chwile euforii mają swój nagły koniec, tak też przyszedł kres chwilowej ulgi, jaką cieszył się kongresman z dziewiątego okręgu wyborczego w stanie Kolorado. – Jezu Chryste! wrzasnął Phil Tobias, główny asystent kongresmana, zakrywając dłoń słuchawką. – Dzwoni sam przewodniczący Izby Reprezentantów! Nie asystent, nie sekretarz, ale on sam! – To może raczysz powiadomić tego, który "sam" powinien się o tym dowiedzieć – odezwała się Annie O'Reilly. – Dzwoni na twojej linii, nie na mojej. Nie gadaj więc tyle, kochaniutki, tylko wciśnij guzik i zapowiedz. To dla ciebie za wysoka liga.

–Jednak to nie jest w porządku! Jego ludzie powinni byli zadzwonić do mnie...

–Rób, co do ciebie należy! Tobias posłuchał.

–Kendrick?

–Słucham, panie przewodniczący?

–Masz parę minut? – spytał polityk rodem z Nowej Anglii, a w jego ustach słowo "minut" zabrzmiało jak "mynut".

–Oczywiście, panie przewodniczący, jeśli według pana to takie ważne.

–Nie zadawałbym sobie fadygi, żeby osobiście dzwonić do jakiegoś zasranego żółtodzioba, gdybym nie uważał tego za ważne. – Pozostaje mi zatem żywić jedynie nadzieję, że zasrany przewodniczący ma do omówienia jakąś niezmiernie istotną sprawę – odparował Kendrick. – Bo jeżeli nie, to będę zmuszony obciążyć jego stan rachunkiem w wysokości godzinnej stawki konsultacyjnej. – Podoba mi się twój styl, chłopcze. Jesteśmy po przeciwnych stronach, ale podoba mi się twój styl.

–Być może zmieni pan zdanie, kiedy znajdę się u pana w biurze. – Coraz bardziej mi się podobasz. Kendrick stał zdziwiony przed biurkiem wpatrując się w milczeniu w oczy uciekającego przed jego spojrzeniem siwowłosego, pochudłego na twarzy przewodniczącego Izby Reprezentantów. Z ust sędziwego Irlandczyka padło przed chwilą niezwykle stwierdzenie, które trzeba by było uznać co najmniej za propozycję, gdyby nie była to bomba podłożona nieoczekiwanie na drodze odwrotu Evana z Waszyngtonu.

–Podkomisja do Spraw Nadzoru i Ocen? – powtórzył Kendrick w cichym gniewie?

– Przy Wywiadzie?

–Zgadza się – odrzekł przewodniczący spoglądając w swoje papiery.

–Jak pan śmie? Nie może pan tego zrobić!

–To już postanowione. Ogłoszono już pana nominację.

–Bez mojej zgody?

–Jest mi niepotrzebna. Wcale nie twierdzę, że z przywódcami twojej partii poszło całkiem gładko – nie zaliczasz się do najbardziej popularnych facetów na swoim podwórku – ale w końcu przy odrobinie perswazji zgodzili się. Uchodzisz za coś w rodzaju symbolu niezależnej dwupartyjności.

–Symbol? Jaki znowu symbol? Nie jestem żadnym symbolem!

–Masz taśmę z programem Foxleya?

–To historia. Było, minęło!

–A ta mała burza, którą nazajutrz rano rozpętałeś w swoim biurze? Ten gość z "New York Timesa" wysmarował na twój temat niezłą kolumnę. Ukazał cię jako – zaraz, jak to było? Wczoraj czytałem to jeszcze raz... Aha: "Głos rozsądku pośród jazgotu oszalałych kruków".

–Od tamtego dnia upłynęły tygodnie i nikt nie nawiązywał do tego w żaden istotny sposób. Odszedłem w cień.

–Właśnie na nowo rozjaśniało pełnym blaskiem.

–Odmawiam przyjęcia tej nominacji! Nie interesuje mnie zwalanie sobie na głowę tajemnic dotyczących bezpieczeństwa narodowego. Nie pozostaję w rządzie i uważam to stanowisko za nie do utrzymania – mówiąc prosto z mostu, to niebezpieczna sytuacja. – Spróbuj odrzucić publicznie tę nominację, a twoja partia pozbędzie się ciebie, jak pies pchły z ogona – i to publicznie. Przyczepią ci parę epitetów, coś w rodzaju: bogata pomyłka, człowiek nieodpowiedzialny, i odgrzebią tego osła, którego przywaliłeś gradem swoich pieniędzy. Wciąż się tu za nim tęskni. – Przewodniczący urwał i zachichotał. – Widzisz, oni tu ciężko pracują dla dobra wszystkich, korzystając przy tym z miłych, drobnych przywilejów, jak prywatne odrzutowce czy luksusowe apartamenty od Hawajów aż po południe Francji, stanowiące własność chłopców od kopalnictwa. I nie ma dla nich znaczenia, do której partii należysz. W istocie chodzi jedynie o wprowadzenie paru nowych ustaw, a w jaki sposób do tego dojdzie – to już jest im naprawdę obojętne. Do diabła, szanowny panie kongresmanie, nie przyjmując nominacji możesz nam wszystkim oddać prawdziwą przysługę.

–Ma pan rzeczywiście nasrane w głowie, panie przewodniczący. – Jestem pragmatyczny, synu.

–Jednak zrobił pan tyle porządných rzeczy...

–To właśnie dzięki praktycznemu podejściu – przerwał mu stary wyga. – Interesów nie załatwia się przy stołach zastawionych octem; znacznie łatwiej jest, jeśli poda się dzbany pełne ciepłego syropu – jak na przykład słodki syrop z Vermontu. Rozumiesz, co mam na myśli? Czy zdaje pan sobie sprawę, że tym jednym zdaniem rozgrzeszył pan właśnie istnienie korupcji politycznej?

–A jakże, do diabła! Rozgrzeszyłem fakt akceptacji niewielkiej żądzy stanowiącej część ludzkiej kondycji, w zamian za silne prawodawstwo, które pomaga ludziom

naprawdę potrzebującym! Przepychałem ważne sprawy, ty tępą głową, dzięki temu, iż przymykałem oczy na niektóre drobne ludzkie słabości – przy czym sami zainteresowani dobrze wiedzieli, że nie zamykam ich do końca. Ale ty, bogaty sukinsyn, tego nie zrozumiesz. Owszem, mamy u siebie paru milionerów, ale większość musi wyżyć z rocznej pensji, którą ty przepuściłbyś w ciągu miesiąca. I rezygnują z urzędu, bo z tego, co zarabiają, nie dadzą rady zapewnić dwójce czy trójce swoich dzieciaków wykształcenia w college'u, nie wspominając już o wakacjach. Masz więc cholerną rację: rzeczywiście przymykałem oczy.

–W porządku! – krzyknął Kendrick. – Mogę to zrozumieć, ale nie jestem w stanie pojąć, dlaczego przydzielił mi pan akurat do Podkomisji Nadzoru! Nie ma nic w moim życiorysie, co kwalifikowałoby mnie do takiego zadania. Potrafiłbym wymienić z trzydziestu, czterdziestu innych, którzy wiedzą o wiele więcej niż ja – co nie byłoby wcale takie trudne, zważywszy, że ja wiem tyle, co nic. Oni śledzą te sprawy, uwielbiają znajdować się w centrum tego pomyłonego interesu – powtarzam, dla mnie to zwariowany interes! Niech pan wezwie kogoś z nich. Im aż ślinka cieknie na myśl o takiej okazji.

–Nie interesuje nas ten rodzaj apetytu, synu – odparł przewodniczący głosem, w którym słyhać było teraz wyraźnie akcent rodzinnego wschodniego stanu, zdający się stać w sprzeczności z dziesięcioleciami wyrafinowanych politycznych negocjacji w stolicy kraju. – Chodzi o zdrowe, sceptyczne podejście, takie jak to, które zademonstrowałeś w programie Foxleya wobec tego krętacza pułkownika. Możesz się naprawdę przydać.

–Myli się pan, panie przewodniczący. Moja osoba w niczym się nie przyda i w ogóle mnie to nie interesuje. Barrish używał i nadużywał ogólników, arogancko odmawiał uczciwego dialogu i tylko się wymądrzał. To była zupełnie inna historia. Kolejny raz mówię panu, że Podkomisja Nadzoru zupełnie mnie nie interesuje.

–Cóż, młody przyjacielu, zainteresowanie zmienia się w zależności od warunków, podobnie jak oprocentowanie w banku. Coś się wydarzy i stopa idzie odpowiednio w górę lub się obniża. Niektórzy z nas wiedzą więcej niż inni na temat pewnych gorących rejonów świata – ty z pewnością zaliczasz się do tej kategorii. Jak to opisuje owa piękna księga, talenty ukryte w ziemi przynoszą tyle zysku, co krowie gówno; ale jeśli wyciągnąć je na światło dzienne, mogą się rozmnożyć. Tak jak ostatnio stało się z tobą.

–Jeżeli nawiązuje pan do czasu spędzonego przeze mnie w Emiratach Arabskich, to proszę pamiętać, że byłem inżynierem budowlanym, którego interesowały jedynie praca i zyski.

–Czyżby?

–Przeciętny turysta orientował się o wiele lepiej ode mnie w polityce i kulturze tych krajów. Wszyscy w naszej branży budowlanej trzymaliśmy się razem – żyliśmy we własnym kręgu i rzadko go przekraczaliśmy.

–Trudno mi w to uwierzyć – a nawet uważam to za prawie niemożliwe. Dostałem raport na temat twojej przeszłości sporządzony w Kongresie i mówię ci, chłopie, o mało nie wyskoczyłem z moich porządných, nowoangielskich portek. Siedzisz tu

sobie teraz w Waszyngtonie, a budowałeś Arabom lotniska i budynki rządowe, co niewątpliwie oznacza, że musiałeś przeprowadzić całą masę rozmów z tamtejszymi grubymi rybami. Chodzi mi o lotniska; przecież to wywiad wojskowy, synu! A do tego dowiaduję się, że opanowałeś. kilka arabskich języków – nie jeden, ale kilka!

–Język jest jeden, reszta to po prostu dialekty...

–Mówię ci, jesteś nieoceniony. To co najmniej twój patriotyczny obowiązek służyć temu krajowi przez dzielenie się swoją wiedzą z innymi ekspertami.

–Nie jestem ekspertem!

–Poza tym – przerwał mu przewodniczący opierając się wygodnie w fotelu i ciągnąc dalej z zamyślonym wyrazem twarzy – w zaistniałych okolicznościach, biorąc pod uwagę twoją przeszłość, odrzucenie przez ciebie tej nominacji kazałoby przypuszczać, że masz coś do ukrycia, co być może powinniśmy zbadać. Jest zatem coś, co chciałby pan ukryć, kongresmanie. – Nagle wzrok przewodniczącego spoczął na Evanie. Czy miał coś do ukrycia? Wszystko! Dlaczego przewodniczący spoglądał na niego w taki sposób? Nikt nic nie wiedział o Omanie, o Maskacie i Bahrajnie. I nikt się nigdy niczego nie dowie! Taka była umowa.

–Nie mam nic do ukrycia, a wszystko do pokazania – podkreślił Kendrick stanowczo. – Wyświadczy pan podkomisji niedźwiedzią przysługę wynikającą z niewłaściwej oceny moich uprawnień. Niech mnie pan posłucha i dla własnego dobra powoła kogoś innego. – Owa piękna księga, ta najświętsza ze wszystkich ksiąg zawiera tak wiele odpowiedzi, prawda? – spytał bez celu przewodniczący, znów błędząc oczami po pokoju. – Wielu może być powołanych, ale tylko nieliczni są wybrani, zgadza się?

–Och, na rany Chrystusa...

–Tak właśnie może się stać w tym przypadku, młody człowieku – wtrącił się stary Irlandczyk kiwając głową. – Tylko czas może to pokazać, nieprawdaż? Tymczasem przywódcy twojej partii zasiadający w Kongresie zdecydowali, że zostałeś wybrany. Jesteś więc wybrany – chyba, że masz coś do ukrycia, coś, co powinniśmy zbadać... A teraz spadaj. Mam jeszcze trochę pracy.

* * *

Rozdział 20

W skład dwóch ciał Kongresu – Senatu i Izby Reprezentantów – wchodzi kilka komisji o podobnym do siebie charakterze, noszących zbliżone nazwy. I tak istnieje Senacka Komisja Budżetowa oraz Komisja Budżetowa Izby Reprezentantów, Senacka Komisja Stosunków Zagranicznych oraz Komisja Spraw Zagranicznych przy Izbie Reprezentantów, czy wreszcie Senacka Komisja Specjalna ds. Wywiadu i działająca przy Izbie Stała Komisja Specjalna ds. Wywiadu; w ramach tej ostatniej działa silna Podkomisja Nadzoru i Ocen. Istnienie owych odpowiedników jest kolejnym przykładem efektywnego systemu kontroli i równowagi w ramach republiki. Gałąź ustawodawcza rządu, aktywnie odzwierciedlająca aktualne poglądy znacznie szerszego spektrum niż to ma miejsce w przypadku silnie osadzonej władzy wykonawczej czy dożywotniej władzy sądowniczej, musi prowadzić negocjacje we własnym gronie i osiągać consensus w każdej z setek spraw prezentowanych na forum swych dwóch obradujących ciał. Proces ten jest, oczywiście, frustrujący, denerwujący, i ogólnie biorąc, uczciwy. Jeżeli kompromis uważa się za sztukę rządzenia w pluralistycznym społeczeństwie, to nikt nie robi tego lepiej i w bardziej irytujący sposób niż ciało ustawodawcze rządu Stanów Zjednoczonych ze swymi niezliczonymi, często nieznośnymi i nierzadko śmiechu wartymi komisjami. Ocena ta jest najzupełniej trafna: społeczeństwo pluralistyczne jest bowiem istotnie różnorodne, zwykle nieznośne dla potencjalnych tyranów i niemal zawsze śmieszne w oczach tych, którzy chcieliby narzucić mu swą wolę. System wartości moralnych wyznawany przez jednych nie może nigdy na drodze ideologii stać się normą prawną dla innych, do czego wielu przedstawicieli władzy wykonawczej i sądowniczej chciałoby doprowadzić. Jakże często zdarza się, iż ci pseudogorliwcy wycofują się niechętnie w obliczu wrzawy dochodzącej z owych kłopotliwych, reprezentujących niższą klasę komisji na Kapitolu. Pomijając rzadkie, aczkolwiek niewybaczalne przypadki naruszeń, vox populi zostaje jednak zwykle wysłuchiwane, co wychodzi temu krajowi na dobre. Ale działają na Kapitolu również komisje, których głos nie roznosi się donośnym echem, bo tak nakazuje logika i konieczność. Są to niewielkie, zamknięte ciała, które koncentrują się na strategiach formowanych przez różnorakie agencje informacyjne w łonie rządu. Możliwe, iż z uwagi na to, że echa ich pracy zasadniczo są bezgłośnie, a ich członków poddaje się szczegółowym badaniom przy zastosowaniu surowych procedur bezpieczeństwa, ludzi wybranych do owych komisji specjalnych otacza pewna aura. Wiedzą oni o rzeczach, o których inni nie mają przywileju wiedzieć; stanowią odmienny, niewykluczone, iż lepszy gatunek człowieka. Istnieje także ciche porozumienie między Kongresem a środkami przekazu, w myśl którego te ostatnie ograniczają swe działania w zakresie spraw dotyczących wymienionych komisji: tak więc nominacja senatora czy kongresmana nie staje się cause celebrę, ale nie pozostaje też żadnym sekretem. Obwieszcza się fakt nominacji oraz jej zasadnicze przesłanki, przy czym zarówno sam fakt wyboru jak i towarzyszące mu przyczyny podawane są w prostych, pozbawionych jakichkolwiek upiększeń słowach. W przypadku zasiadającego w Izbie przedstawiciela dziewiątego okręgu wyborczego w Kolorado, niejakiego

kongresmana Evana Kendricka ogłoszono, iż jest on inżynierem budowlanym z szerokim doświadczeniem zdobytym na Bliskim Wschodzie, w tym zwłaszcza w Zatoce Perskiej. Ponieważ rzeczą wiadomą było, iż niewiele osób posiada choćby niewielką wiedzę o tym regionie, a w myśl danych przyjętych do wiadomości kongresman pracował przed laty na kierowniczym stanowisku gdzieś w rejonie Morza Śródziemnego, nominacja ta została uznana za rozsądną i nie czyniono z niej żadnych sensacji. Jednakże redaktorzy, komentatorzy oraz politycy zdają sobie świetnie sprawę z niuansów towarzyszących rosnącemu uznaniu, jako że w Dystrykcie Kolumbii uznanie idzie w parze z siłą. Są bowiem komisje i "komisje"... Osoba nominowana do Komisji ds. Indian nie gra w tej samej lidze, co osoba desygnowana do Komisji Budżetowej: ta pierwsza wykonuje minimum pracy w ramach opieki nad zapomnianym, pozbawionym w zasadzie praw obywatelskich ludem, druga natomiast poszukuje metod i sposobów na zapewnienie zapłaty całemu rządowi, tym samym gwarantując jego pracę. Podobnie też trudno byłoby przyrównać komisję ds. Ochrony Środowiska z Komisją Sił Zbrojnych; budżet tej pierwszej jest stale i bezczelnie obniżany, podczas gdy wydatki zbrojeniowe przekraczają wszelkie horyzonty. Rozdział pieniędzy jest pochodną posiadanych wpływów. Jednak, krótko mówiąc, niewiele komisji na Kapitolu dorównuje aureoli cichej tajemniczości, jaka krąży nad postaciami związanymi ze skrytym światem wywiadu. Nagłym nominacjom do tych specjalnych ciał asystują bystre oczy obserwatorów i szepty kolegów po toaletach, a dziennikarze zamierają w gotowości przed komputerami, mikrofonami i kamerami. Zwykle przygotowania te spelzają na niczym, a bohaterowie wydarzeń pogrążają się w mroku wygodnego czy niewygodnego zapomnienia. Nie zawsze jednak tak się dzieje i gdyby Evan Kendrick zdawał sobie wcześniej sprawę z owych subtelności, to całkiem możliwe, że podjąłby ryzyko doradzania przebiegłemu przewodniczącemu, aby ten poszedł do diabła. Jednakże był ich zupełnie nieświadomy. A gdyby nawet rzecz miała się inaczej, to i tak niczego by to nie zmieniło: maszyny wprawionej w ruch przez Inver Brass nie można było już zatrzymać. Była szósta trzydziści w poniedziałkowy poranek. Wczesne słońce miało właśnie wzejść nad górami Wirginii, kiedy Kendrick, rozebrany do naga, dał nura do swego basenu, w nadziei, że przepłynięcie dziesięciu, dwudziestu odcinków w zimnej, październikowej wodzie usunie pajęczyny zasnuwające mu oczy i promieniujące boleśnie do skroni. Dziesięć godzin temu w Kolorado wypił wraz z Emmanuelem Weingrassem o wiele za dużo kieliszków brandy, siedząc wraz z nim wewnątrz bogatego letniskowego domku i zaśmiewając się na widok strumieni toczących się wartkim nurtem pod szklaną podłogą.

–Zaraz zobaczysz wieloryby! – wykrzyknął Manny.

–To samo obiecywałeś wtedy dzieciakom nad tą na wpół wyschlą rzeką już nie pamiętam, gdzie to było.

–Mieliśmy parszywą przynętę. Powinienem być raczej użyć którejś z mamuś. Na przykład tamtą Murzynkę – dziewczyna że palce lizać!

–Jej mąż był majorem wojsk inżynieryjnych – kawał chłopca. Mógłby się nie zgodzić.

–Mieli śliczną córeczkę... Zginęła razem z innymi.

–O Boże, Manny! Dlaczego?

–Chyba pora na ciebie.

–Nie chce mi się jechać.

–Musisz! Rano masz posiedzenie, zostały już tylko dwie godziny. – Mogę nie pójść. Opuściłem już sobie jedno czy dwa.

–Jedno, i sporo na tym ucierpiało moje dobre samopoczucie. Twój odrzutowiec czeka na lotnisku w Mesa Verde. Za cztery godziny będziesz w Waszyngtonie. Płynąc w wodzie basenu, za każdym nawrotem zwiększając tempo, myślał o porannej konferencji Podkomisji Nadzoru; musiał przyznać się przed samym sobą, iż był zadowolony, że Manny nalegał na jego powrót do stolicy. Posiedzenia podkomisji fascynowały go – fascynowały, rozdrażniały, wprawiały w zdziwienie i przerażenie, ale nade wszystko go fascynowały. Na świecie działo się tyle rzeczy, o których nie miał zielonego pojęcia – tak w interesie Stanów Zjednoczonych, jak i wbrew niemu. Ale dopiero na trzecim posiedzeniu zrozumiał, na czym polega powtarzający się błąd w podejściu jego kolegów do świadków reprezentujących różne gałęzie służb wywiadowczych. Błąd zasadzał się w tym, że członkowie podkomisji z uporem doszukiwali się słabych punktów w przedstawianej przez świadków argumentacji za potrzebą przeprowadzenia takich czy innych operacji, podczas gdy tak naprawdę należało skupić się na badaniu samych operacji. Było to poniekąd zrozumiałe, jako że świadkowie paradujący przed obliczem podkomisji dla poparcia swojej sprawy – wyłącznie mężczyźni, co powinno było stanowić pewną wskazówkę – byli spokojnie mówiącymi profesjonalistami z targanego przemocą tajnego świata, którzy odtwarzali melodramat z owym światem związany. Z ich ust cicho płynął ezoteryczny żargon, od którego słuchaczom kręciło się w głowach. O zawrót głowy przyprawić bowiem mogła świadomość, że jest się oto częścią tego globalnego podziemnego świata, choćby nawet tylko z racji funkcji doradczej; w pełni dojrzały dorośli znajdowali tu pokarm dla swych młodzieńczych fantazji. Wśród świadków nie było typów pokroju pułkownika Barrisha; przewijał się natomiast strumień przystojnych, dobrze ubranych, niezmiennie skromnych i rozsądnych ludzi, którzy stawali przed podkomisją, aby w chłodny, profesjonalny sposób wyjaśnić, czego mogliby dokonać, gdyby zapewniono im środki finansowe, oraz dlaczego realizacja tych propozycji jest nieodzowna z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego. Reakcja podkomisji sprowadzała się zwykle do pytania: czy potrafi pan to zrobić? Nie pytano, czy to właściwe posunięcie, ani nawet czy ma jakiś sens. Tego rodzaju uchybienia w osądzie zdarzały się na tyle często, by zaniepokoić kongresmana z Kolorado, który niegdyś, przez krótki czas, sam stanowił element tego dzikiego, pełnego przemocy świata, w którym obracali się wspomniani świadkowie. Nie romantyzował go; świat ten był mu nienawistny. Okropny, zapierający dech strach, stanowiący część tej przerażającej, kryjącej się w cieniu zabawy w odbieranie i gaśnięcie ludzkiego życia, należał do jakichś ciemnych wieków, kiedy to miarą życia było wyłącznie przetrwanie. W świecie tym człowiek nie żyje; stara się go jedynie przetrwać, okupując to kroplami potui skurczami żołądka, czego doświadczył Evan podczas swego

krótkiego z nim zetknięcia. Wiedział jednak, że świat taki trwa nadal; jego mieszkańcy uratowali go przed rekinami z wód Kataru. Niemniej w czasie kolejnych posiedzeń wciąż sondował, zadając coraz ostrzejsze pytania. Wkrótce zrozumiał, że jego nazwisko krąży po cichu, wypowiedane z napięciem i emfazą, po korytarzach Kongresu, Centralnej Agencji Wywiadowczej, a nawet po Białym Domu. "Kim jest ten agitator, ten intrygant?" Nie przejmował się tym ani trochę: jego pytania są prawnie uzasadnione i będzie je zadawał. Czy mamy, do cholery, tolerować święte krowy? Czy wolno niektórym stać ponad prawem? Nagle wyczuł nad sobą jakieś zamieszanie; poprzez zalewającą mu twarz, umykającą wodę, dotarły do niego dzikie wymachiwania i krzyki. Zatrzymał się w połowie długości basenu i potrząsając głową dreptał nogami w wodzie. Intruzem okazał się Sabri, ale był to Sabri Hassan, jakiego nieczęsto zdarzało mu się widzieć. Zawsze spokojny doktor filozofii z Dubaju, w średnim wieku, nie panował teraz nad sobą, próbując gwałtownie kontrolować swoje czyny i słowa – z niewielkim jednak skutkiem.

–Musisz natychmiast wyjechać! – krzyknął, kiedy Evan wytrząsnął wodę z uszu. Co...Co?!

–Oman! Maskat! Trąbią o tym na wszystkich kanałach, na każdej stacji! Pokazują nawet twoje zdjęcia, na których jesteś przebrany za jednego z nas – wtedy, w Maskacie! Radio i telewizja co chwila przerywają swój program, żeby podać najnowsze doniesienia! Cała sprawa wyszła w ciągu ostatnich paru minut: gazety wstrzymują swoje przedpołudniowe wydania w oczekiwaniu na dalsze szczegóły... – Jezu Chryste! – ryknął Kendrick wyskakując z basenu; Sabri zarzucił na niego ręcznik.

–Dziennikarze i cała reszta będą tu z pewnością za kilka minut – zauważył Arab. – Zdjąłem słuchawkę z widełek, a Kashi pakuje rzeczy na nasz samochód... wybaczone – samochód, w który tak wspaniałomyślnie nas zaopatrzyłeś...

–Daruj sobie! – ryknął Evan, ruszając w stronę domu. – Co twoja żona robi przy samochodzie?

–Pakuje twoje ubrania; tyle, żeby starczyło ci na kilka dni, gdyby zaszła taka konieczność. Twój własny samochód mógłby zostać rozpoznany, a nasz stoi zawsze w garażu. Pomyślałem, że będziesz potrzebował trochę czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanowić. – Chyba raczej, żeby przygotować plany paru morderstw! – wykrzyknął Evan wpadając przez drzwi patio i wbiegając po tylnych schodach, z podążającym tuż za nim doktorem Hassanem.

–Jak to się, do diabła, stało? Niech to cholera!

–Obawiam się, mój przyjacielu, że to dopiero początek.

–Co?! – zdziwił się Evan dostając się do wielkiej sypialni z widokiem na basen, i przechodząc do swojego gabinetu, gdzie zaczął pospiesznie otwierać szuflady i wyciągać z nich skarpety, bieliznę oraz koszulę.

–Stacje wydzwaniają do najprzeróżniejszych osób z prośbą o komentarz. Nie muszę dodawać, że wszyscy prześcigają się w pochwałach. – A co niby innego mieliby powiedzieć? – spytał retorycznie Evan wciągając skarpetki i spodenki; Sabri rozłożył świeżo wypraną koszulę, którą następnie mu podał. – Że wszyscy jak jeden

mąż kibicowali swoim kumplomterrorystom z Palestyny? Kendrick założył koszulę i podbiegł do szafy, skąd wyciągnął spodnie. W drzwiach ukazała się Kashi, żona Sabriego.

–Anahasfa! – wykrzyknęła prosząc o wybaczenie, jednocześnie się wycofując.

–Nie czas teraz na eltakaed, Kashi – zawołał kongresman mówiąc, by zapomniała w tym momencie o obowiązującej ją tradycji. – Jak ci idzie z ubraniami?

–Możliwe, że sam wybrałbyś inne, drogi Evanie, ale te przynajmniej cię zamaskują – odparła pani Hassan z wyrazem zaniepokojenia na miłej twarzy. – Przyszło mi także do głowy, że gdybyś zadzwonił do nas z miejsca, w którym się zatrzymasz, to mogłabym ci dowieźć parę rzeczy. Mojego męża zna wiele osób ze świata prasy, ale mnie nikt. Nigdy się nie pokazuję.

–Z własnego wyboru, nie mojego – zaznaczył Kendrick zakładając marynarkę i wracając do gabinetu po portfel i zapalniczkę. Prawdopodobnie będziemy musieli zamknąć ten dom na cztery spusty i wyjechać do Kolorado, Kashi. Możesz tam pełnić rolę mojej oficjalnej hostessy.

–Och, niemądrze mówisz, drogi Evanie – zachichotała pani Hassan. – To nie wypada.

–Jesteś profesorem, Sabri – dorzucił Kendrick, przeciągając szybko grzebieniem po włosach. – Kiedy ją wreszcie nauczysz? – A czy ona mnie kiedykolwiek słucha? Nasze kobiety posiadają najwidoczniej zalety, o których my, mężczyźni, nie mamy najmniejszego pojęcia.

–No to w drogę!

–Kluczyki są w samochodzie, drogi Evanie...

–Dzięki, Kashi – podziękował Kendrick opuszczając pokój i schodząc po schodach w towarzystwie Sabriego. – Powiedz mi ciągnął dalej, kiedy przeszli przez portyk i znaleźli się wewnątrz dużego garażu, w którym stał jego Mercedes kabriolet oraz Cimarron Cadillac Hassana – ile wiedzą o tej historii?

–Mogę tylko porównać to, co usłyszałem z tym, czego dowiedziałem się od Emmanuela. Bo ty nie pisnąłeś mi ani słowa.

–Ale nie dlatego, bym chciał coś przed tobą ukryć...

–Och, proszę cię, Evan – przerwał mu profesor. Zbyt długo cię znam. Zawsze czujesz się nieswojo, kiedy – choćby w pośredni sposób – masz się czymś pochwalić.

–Pochwalić, a to dobre! – wybuchnął Kendrick otwierając drzwi garażowe. – Przecież ja to spieprzyłem! Byłem już prawie trupem – przywiązali mi do pleców krwawiącą świnie i właśnie mieli mnie wrzucić na mielizny wód Kataru! Pochwały należą się innym – nie mnie. Dzięki nim uratowałem swój wysoko mierzący tyłek.

–Bez ciebie niczego by nie zdziałali...

–Zostawmy to – przerwał mu Evan, stając przy drzwiach Cadillaca. Jak dużo wiedzą?

–Moim zdaniem, niewiele. Ani krzty z tego, o czym opowiedział mi Emmanuel pomijając nawet jego wrodzoną skłonność do przesady. Dziennikarze zabijają się w poszukiwaniu szczegółów, a te najwyraźniej nie nadchodzą.

–To niewiele mi mówi. Kiedy wracaliśmy znad basenu, co miałeś na myśli wspominając, że to "dopiero początek"?

–To z uwagi na człowieka, z którym akurat przeprowadzano wywiad wyrwano go prosto z domu i, jak dało się zauważyć, wcale nie wbrew jego woli; to jeden z twoich kolegów z Podkomisji ds. Wywiadu, kongresman o nazwisku Mason.

–Mason...? – skrzywił się Kendrick. – W Tulsa czy w Phoenix – już zapomniałem gdzie – wychwalają go pod niebiosa, ale to zupełne zero. Kilka tygodni temu pojawiły się nawet ciche próby usunięcia go z komisji.

–Przedstawiono go w całkowicie innym świetle.

–Wcale mnie to nie dziwi. Co powiedział?

–Że jesteś najbardziej wnikliwym członkiem komisji. Znakomitością słuchaną i szanowaną przez wszystkich.

–Pieprzenie! Trochę się odzywałem i zadałem parę pytań, ale nic więcej. A poza tym, nie przypominam sobie, żebyśmy zamienili z Masonem choćby jedno zdanie poza "dzień dobry"! to zwykle pieprzenie!

–Ale rozeszło się już na cały kraj... Odgłos jednego, a po chwili dwóch samochodów zatrzymujących się z piskiem opon przed domem, przerwał ciszę ogrodzonego garażu. – Dobry Boże! – wyszeptał Evan. – Jestem osaczony!

–Na razie jeszcze nie – uspokoił go doktor Hassan. – Kashi wie, co ma robić: przyjmie pierwszych gości – tak na marginesie, mówiąc po hebrajsku – i wprowadzi ich do solarium. Będzie udawać, że nic nie rozumie i w ten sposób ich zatrzyma – oczywiście, tylko na kilka minut. Ruszaj. Jedź na południe drogą przez pastwisko, aż dotrzesz do autostrady. Za godzinę odwieszę telefon; zadzwoń do nas. Kashi zawiezie ci, czego będziesz potrzebował. Kendrick wykręcał wciąż na nowo numer, uderzając widełki telefonu przy każdym kolejnym sygnale "zajęte", aż w końcu ku swej uldze, usłyszał dźwięk brzęczyka.

–Rezydencja kongresmana Kendricka...

–Sabri, to ja.

–Muszę przyznać, że jestem szczerze zdziwiony, iż udało ci się dodzwonić. Ale też cieszę się, że będę mógł znowu odłożyć słuchawkę. – Jak wyglądają sprawy?

–Fatalnie, mój przyjacielu. Podobnie jest w twoim biurze i w domu w Kolorado. Wszędzie panuje stan oblężenia.

–Skąd to wiesz?

–Stąd nikt się nie może ruszyć, ale Emmanuel, podobnie jak ty, zdołał się do nas wreszcie dodzwonić – klął przy tym na czym świat stoi. Twierdził, że próbował prawie pół godziny...

–Jestem lepszy od niego o dziesięć minut. Co powiedział? – Cały dom jest otoczony, wszędzie tłumy. Najwidoczniej wszyscy dziennikarze prasowi i telewizyjni polecili do Mesa Verde i tam większość utknęła, bo trudno, żeby trzy taksówki dały radę przewieźć taką masę ludzi.

–anny musi się porządnie wściekać.

–To, co go naprawdę wścieka, jak to ująłeś, to brak sanitariatów. – Co?

–Nie chciał wpuścić ich do środka, a potem zauważył, że załatwiają swoje

potrzeby dookoła domu. Tak go to ruszyło, że pobiegł do twojego stojaka ze strzelbami.

–mój Boże, obszczają mu cały trawnik – jego ukochany park krajobrazowy!

–Słyszałem już nieraz tyrady Emmanuela, ale dzisiaj przeszedł samego siebie. W swym gniewie zdołał jednak przekazać mi, żebym zadzwonił do twojego biura do pani O'Reilly, która za nic nie może tu się dodzwonić.

–Co Annie powiedziała?

–Żebyś zniknął na razie z pola widzenia, ale – powtarzam jej słowa – "na miłość boską, niech do mnie zadzwoni".

–Nie sądzę – odezwał się Evan z namysłem. – Im mniej wie, tym lepiej w tym momencie.

–Gdzie teraz jesteś? – spytał profesor.

–W motelu przy Woodbridge, obok drogi 95. Nosi nazwę "Pod Trzema Niedźwiedziami", ja zajmuję "domek numer dwadzieścia trzy. Ostatni po lewej stronie, najbliższej lasu.

–Z twojego opisu wnoszę, że potrzebujesz paru rzeczy. Na pewno jedzenia; nie możesz przecież paradować na zewnątrz, żeby cię wszyscy widzieli, a w motelu z domkami nie ma obsługi pokojowej. – Jedzenie mi niepotrzebne; jadąc tu zatrzymałem się w przydrożnej restauracyjce.

–Nikt cię nie rozpoznał?

–W telewizji leciały kreskówki.

–To czego ci trzeba?

–Poczekaj, aż ukażą się ostatnie wydania porannych gazet; pošlij Jima, ogrodnika, do Waszyngtonu, niech pozbiera tyle różnych tytułów, ile tylko zdoła. Szczególnie zależy mi na tych najważniejszych. Do tej historii przydzielią swoich najlepszych ludzi i będą się starać dotrzeć do innych.

–Przygotuję mu listę. Kashi przywiezie ci je później. Minęło już wpół do drugiej po południu, kiedy żona Sabriego zjawiała się przed motelem w Woodbridge w stanie Wirginia. Evan otworzył drzwi domku numer dwadzieścia trzy i z zadowoleniem stwierdził, że Kashi przyjechała pickupem ogrodnika. Nie pomyślał o tym wcześniej, ale dwójka jego przyjaciół z Dubaju znała się na tyle na rzeczy, by nie obwozić się jego Mercedesem obok tłumów zgromadzonych wokół domu. Podczas gdy Kendrick przytrzymał drzwi, Kashi obracała szybko trzykrotnie do samochodu, jako że poza stosem gazet z całego kraju dostarczyła również żywność. Przywiozła mu kanapki owinięte w plastikową folię, dwie kwarty mleka w pojemniku na lód, cztery naczynia do podgrzewania – dwa z potrawami arabskimi i dwa z europejskimi – oraz butelkę kanadyjskiej whisky.

–Kashi, nie zamierzam siedzieć tu przez tydzień – zdziwił się. – To tylko na dziś, drogi Evanie, przeżywasz teraz silny stres i musisz dużo jeść. W tym pudełku na stole znajdziesz srebra stołowe i metalowe stojaki: podstawiasz palnik i możesz podgrzewać. Masz tu również serwetki i obrus; ale jeśli wolno cię prosić, to zadzwoń do mnie w razie nagłego wyjazdu, żebym mogła odebrać srebra i obrus. – Bo co? Kwatermistrz wsadzi nas do ciupy?

–To ja jestem kwatermistrzem, drogi Evanie.

–Dzięki za wszystko, Kashi.

–Wyglądasz na zmęczonego, ja sahbee. Nie odpoczywałeś?

–Nie, gapilem się w tę cholerną telewizję. I im dłużej patrzę, tym bardziej się wściekam. A trudno wypoczywać, kiedy jest się wściekłym.

–Mój mąż twierdzi, a ja się z nim zgadzam, że wypadasz w telewizji bardzo efektownie. Mówi też, że musimy cię opuścić.

–Dlaczego? Oznajmił mi to kilka tygodni temu, ale wciąż nie rozumiem dlaczego?

–Oczywiście, że rozumiesz. Jesteśmy Arabami, a ty przebywasz w mieście, które nam nie ufa. Wkroczyłeś teraz na arenę polityczną, gdzie się nas nie toleruje. A my nie chcemy ci zaszkodzić. – Kashi, to nie jest moja arena. Schodzę z niej, już mi to obrzydło! Mówisz, że to miasto wam nie ufa? A dlaczego mielibyście stanowić wyjątek? Ono nikomu nie ufa! To miasto kłamców, podstępnych intrygantów i oszustów – kobiet i mężczyzn – którzy gotowi wdrapać się każdemu na grzbiet w butach z kolcami, byle tylko dopchać się trochę bliżej do żłobu. Marnotrawią ten naprawdę dobry system, wysysając krew z każdej żyły, w którą uda im się wgryźć. Krzyczą przy tym, że kieruje nimi święty patriotyzm, podczas gdy cały kraj stoi z boku i oklaskuje ich, nie zdając sobie sprawy, za co przychodzi mu płacić! To nie dla mnie, Kashi. Odchodzę!

–Jesteś zdenerwowany...

–Co ty powiesz! – Kendrick pospieszył do łóżka, na którym piętrzył się stos gazet.

–Drogi Evanie przerwała mu Arabka głosem, w którym brzmiała jej zwykła stanowczość; odwrócił się, trzymając w ręku kilka gazet. – Te artykuły cię urażą – ciągnęła, wpatrując się w niego swymi ciemnymi oczami. – Jeśli mam być szczerą, niektóre fragmenty dotknęły także Sabriego i mnie.

–Rozumiem – odezwał się cicho Kendrick przyglądając się jej uważnie. – "Wszyscy Arabowie to terroryści" – o to chodzi, prawda? Głowę daję, że wydrukowali to bardzo tłustą czcionką.

–I pozwolili sobie na dużo złośliwości.

–Ale to ciebie nie dotyczy.

–Nie. Powiedziałam, że poczujesz się urażony, ale to zbyt słabe określenie. Będiesz wściekły. Jednak zanim uczynisz coś, czego mógłbyś potem żałować, proszę, żebyś mnie wysłuchał.

–Na miłość boską, o co ci chodzi, Kashi?

–Dzięki tobie, mogłam razem z mężem przypatrywać się wielu posiedzeniom waszego Senatu i Izby Reprezentantów. Dzięki tobie również dostąpiliśmy przywileju przysłuchiwania się wywodom prawnym przed sędziami waszego Sądu Najwyższego.

–Przecież ani Senat, ani Izba, ani sąd nie należą wyłącznie do mnie. Zatem?

–To, co dane nam było zobaczyć i usłyszeć zasługiwało na najwyższą uwagę. Sprawy państwowe, włącznie nawet z ustawami, omawiano publicznie, i to nie przez zwykłych wnioskodawców, ale przez ludzi o głębokiej wiedzy... Ty dostrzegasz negatywne strony, samo zło, i bez wątpienia w tym co mówisz jest trochę prawdy, ale czy to cała prawda? Widzieliśmy wielu mężczyzn i wiele kobiet gorąco

orędujących za tym, w co wierzą, bez obawy, że zostaną odsunięci lub uciszeni...

–Odsunięcie może im grozić, ale nie uciszenie. Nigdy.

–Podejmują jednak pewne ryzyko w obronie swych poglądów, często poważne ryzyko?

–A jakże, do diabła. Stają się postaciami publicznymi.

–Dla obrony swoich przekonań?

–Tak... – Pozwolił, by odpowiedź uleciała w powietrze. Sposób rozumowania Kashi Hassan był jasny; stanowił też dla niego ostrzeżenie w chwili kiedy ogarniała go furia.

–Są więc i porządni ludzie w tym, jak go nazwałeś, "naprawdę dobrym systemie". Proszę, pamiętaj o tym, Evan. Nie pomniejszaj ich, proszę.

–Czego mam nie robić?

–Słabo się wyrażam, wybacz mi. Powinam już iść. – Podeszła raptownie ku drzwiom, po czym odwróciła się. – Błagam cię, ja sahbee, jeżeli poczujesz w gniewie, że musisz zrobić coś drastycznego, to w imię Allacha, zadzwoń najpierw do mojego męża albo, jeśli wolisz, do Emmanuela... Chociaż – a mówiąc to nie kieruję się żadnym uprzedzeniem, kocham bowiem naszego żydowskiego brata tak samo jak ciebie – uważam, że mój mąż może być bardziej opanowany.

–Możesz na to liczyć. Kiedy Kashi zniknęła za drzwiami, Kendrick dosłownie rzucił się na gazety. Rozłożył je na łóżku układając po kolei pierwszymi stronami, odsłaniając tytuły. Gdyby krzyk pierwotnych instynktów był w stanie zmniejszyć ból, jego głos rozbiłby szyby duszących go okien. "New York Times" Nowy Jork, wtorek, 12 października KONGRESMAN EVAN KENDRICK Z KOLORADO ODEGRAŁ GŁÓWNA ROLĘ W KRYZYSIE OMAŃSKIM Przechytrzył terrorystów arabskich – jak wskazuje tajna notatka służbowa "Washington Post" Waszyngton, D.C., wtorek, 12 października KENDRICK Z KOLORADO UJAWNIONY JAKO TAJNA BROŃ AMERYKI W OMANIE Wyśledził dolarowe połączenie arabskich terrorystów "Los Angeles Times" Los Angeles, wtorek, 12 października W MYŚL UJAWNIONYCH DOKUMENTÓW KENDRICK, KONGRESMAN Z KOLORADO, OKAZUJE SIĘ KLUCZOWĄ POSTACIĄ W ROZWIĄZANIU KRYZYSU W OMANIE Terrorysty palestyńscy działali z arabskim poparciem. Nadal tajne. "Chicago Tribune" Chicago, wtorek, 12 października KAPITALISTA KENDRICK ZRZUCIŁ KAJDANY Z RĄK ZAKŁADNIKÓW UWIEŻIONYCH PRZEZ KOMUNISTYCZNYCH TERRORYSTÓW Doniesienia wywołują zamęt wśród arabskich morderców. "New York Post" Nowy Jork, wtorek, 12 października EVAN, CZŁOWIEK Z OMANU, POKAZAŁ ARABOM GDZIE RAKI ZIMUJĄ Wniosek władz Izraela o przyznanie mu honorowego obywatelstwa! Nowy Jork domaga się parady! "USA Today" Wtorek, 12 października "KOMANDOS" KENDRICK WYKONAŁ ZADANIE! Terrorysty arabscy żądają jego głowy! My domagamy się pomnika! Kendrick stał nad łóżkiem, przeskakując szybko wzrokiem z czarnych liter jednego nagłówka na drugi; był zupełnie oszołomiony, w głowie huczało mu tylko jedno pytanie: dlaczego? A ponieważ odpowiedź nie przychodziła, jego miejsce zajęło następne: kto?

* * *

Rozdział 21

Jeżeli na któreś z tych pytań istniała odpowiedź, to na pewno nie można jej było znaleźć w gazetach. Wszystkie wypełnione były informacjami pochodzącymi z "autorytatywnych", "wysoko postawionych", a nawet "zaufanych" źródeł, które z kolei kontrowane były w większości stwierdzeniami typu: "bez komentarza", "w chwili obecnej nie mamy nic do powiedzenia", lub "wydarzenia, o których mowa, są obecnie analizowane" – które to wypowiedzi stanowiły ni mniej ni więcej tylko wymijające potwierdzenia. Początek całemu zamieszaniu dała wewnętrznydziałowa notatka służbowa opatrzona maksymalnym stopniem utajnienia, sporządzona na papierze firmowym Departamentu Stanu. Pozbawiona podpisu, ujrzała światło dzienne wygrzebaną z głęboko ukrytych archiwów, przypuszczalnie w wyniku przecieku ze strony pracownika lub grupy pracowników uznających, że wyrządza się komuś wielką niesprawiedliwość pod przykrywką niedorzecznych rygorów bezpieczeństwa narodowego, których główną przesłanką był paranoiczny strach przed akcjami odwetowymi terrorystów. Kopie dokumentu rozesłano zgodnie do redakcji gazet, do stacji radiowych i sieci telewizyjnych, gdzie dotarły między godziną piątą a szóstą rano czasu wschodniego. Każdej przesyłce towarzyszył zestaw trzech różnych fotografii przedstawiających kongresmana w Maskacie. Ich wiarygodność nie podlegała wątpliwości. Wszystko zostało zaplanowane, pomyślał Evan. Starannie wybrano poranną porę, aby wstrząsnąć narodem budzącym się ze snu jak kraj długi, i wypełnić cały dzień wiadomościami. Dlaczego? To, co zasługiwało na uwagę, to ujawnione fakty – interesujące zarówno ze względu na to, co pomijały, jak i na to, co eksponowały. Były zadziwiająco dokładne, aż do prezentacji takich szczegółów jak jego głęboko zakonspirowany przelot do Omanu i przemycenie z lotniska w Maskacie przez agentów wywiadu, którzy zaopatrzyli go w strój arabski a nawet w przyciemniający skórę żel dla upodobnienia jego rysów do "obszaru działań". Chryste! Obszar działań! Gazety podawały fragmentaryczne, często hipotetyczne szczegóły jego spotkań z ludźmi, których znał w przeszłości; nazwiska wycięto, a w dokumencie w ich miejscu z oczywistych względów widniały czarne luki. Występował również ustęp opisujący jego dobrowolne internowanie w twierdzy terrorystów, w której omal nie stracił życia, ale zdołał ustalić nazwiska, które musiał poznać, by odkryć ludzi stojących za palestyńskimi fanatykami w ambasadzie; zwłaszcza jednego – nazwisko wycięte, czarna luka w kopii dokumentu. Wpadł na trop tego człowieka – wycięte, czarna luka – i zmusił go do rozwiązania kadry terrorystycznej okupującej ambasadę w Maskacie. Owa kluczowa postać została zastrzelona – szczegóły wycięte, ustęp tekstu zamalowany na czarno – a Evana Kendricka, kongresmana z dziewiątego okręgu wyborczego w Kolorado, odesłano z powrotem pod tajną osłoną do Stanów. Powołano też ekspertów w celu zbadania zdjęć. Każda odbitka została poddana analizie spektrograficznej pod kątem autentyczności z uwzględnieniem czasu powstania negatywu i możliwości zmian laboratoryjnych. Wszystko znalazło swe potwierdzenie, włącznie z dniem i datą zaczerpniętą z dwudziestokrotnego powiększenia gazety niesionej przez przechodnia na ulicy w Maskacie. Co bardziej odpowiedzialne gazety zwracały uwagę na brak

alternatywnych źródeł, które przydać by mogły – czy też wprost przeciwnie – wiarygodności tak fragmentarycznie przedstawianym faktom, żadna jednak nie była w stanie zakwestionować zdjęć ani tożsamości widniejącej na nich postaci. Samego bohatera zaś, kongresmana Evana Kendricka nie można było nigdzie odnaleźć, aby uzyskać od niego potwierdzenie lub zaprzeczenie tej nieprawdopodobnej historii. "New York Times" i "Washington Post" dotarły do tych paru znajomych i sąsiadów, których zdołały odszukać w stolicy, w Wirginii i Kolorado. Nikt z nich nie przypominał sobie, żeby w omawianym czasie przed czternastu miesiącami widział kongresmana albo miał od niego jakąś wiadomość – nie, żeby się tego koniecznie spodziewali, co samo w sobie mogło oznaczać, że zapamiętaliby zetknięcie z Kendrickiem, gdyby do niego doszło. "Los Angeles Times" posunął się jeszcze dalej: nie ujawniając źródeł swych informacji zaprezentował wykaz rozmów telefonicznych pana Kendricka. Poza telefonami do różnych miejscowych sklepów, oraz do niejakiego Jamesa Olsena, ogrodnika, z rozmów przeprowadzonych w okresie czterech tygodni z rezydencji kongresmana w Wirginii tylko pięć zdawało się mieć związek z omawianą sprawą. Trzy dotyczyły wydziałów studiów arabistycznych na uniwersytetach w Georgetown i Princeton, jedna adresowana była do dyplomaty z Arabskiego Emiratu Dubaju, który kilka miesięcy temu powrócił do kraju, piątym zaś rozmówcą był prawnik z Waszyngtonu, który odmówił rozmowy z prasą. Rzeczywiście, ładny związek ze sprawą: psy wystawiają zwierzynę, która już dawno zniknęła. Gazety mniej odpowiedzialne – pod czym należy rozumieć większość tytułów nie posiadających środków na sfinansowanie badań w szerokim zakresie, oraz wszystkie skrótkowce – które nie przywiązywały najmniejszej wagi do weryfikacji, o ile tylko nie popełniały błędu w pisowni, miały swój wielki pseudodziennikarski dzień. Ujawniony dokument opatrzony klauzulą maksymalnej tajności posłużył dziennikarzom tych gazet za trampolinę, z której skoczyli we wzburzone wody heroicznego spekulacji zdając sobie doskonale sprawę, że ich mało sceptyczni czytelnicy ochoczo je podchwycą. Słowo drukowane staje się bowiem często dla ludzi nie doinformowanych znamieniem prawdy – osąd to może protekcyjny, ale najzupełniej prawdziwy. W każdej z tych opowieści próżno by jednak szukać prawd, głębokich prawd, które wykraczałyby poza zdumiewająco trafne doniesienia. Nie było najmniejszej wzmianki o dzielnym młodym sułtanie Omanu, który wystawił na ryzyko swe życie i swój rodowód, żeby przyjść mu z pomocą. Ani o Omańczykach chroniących go tak na lotnisku, jak i na bocznych uliczkach Maskatu. Czy o dziwnej, wykazującej niebywałe zawodowstwo kobiecie, która ocaliła go na zatłoczonej hali lotniskowej w Bahrajnie, gdzie omal nie został zabity, i która potem znalazła mu bezpieczne schronienie oraz lekarza do opatrzenia ran. Co najważniejsze, nie znalazło się w nich nawet słowo o oddziale izraelskim dowodzonym przez oficera Mosadu, który uratował go od śmierci, na wspomnienie czego wciąż jeszcze trząsał się ze strachu. Czy chociażby o Amerykaninie, starszym wiekiem architekcie z Bronxu, bez którego byłby już martwy od roku, a jego szczątki zniknęłyby na zawsze w paszczach rekinów Kataru. W każdym z tych artykułów przewijał się natomiast jeden wspólny motyw: wszystko, co arabskie, skażone jest dotknięciem zwierzęcej brutalności i terroryzmu; samo zaś

słowo "Arab" ukazano jako synonim bezwzględności i barbarzyństwa, nie uznając za stosowne odnotować w całym narodzie choćby odrobiny przyzwoitości. Im dłużej Evan zagłębiał się w lekturę gazet, tym większy wzbierał w nim gniew. Nagle, w przyływie furii zrzucił je wszystkie z łóżka. Dlaczego? Kto? Wtem poczuł tępy, okropny ból w piersiach. Ahmat! O, mój Boże, co on zrobił? Czy młody sułtan zrozumie, czy będzie w stanie pojąć? Przez przeoczenie – przez przemilczenie – amerykańskie media potępiły cały Oman, dając pole do podstępnej spekulacji o jego arabskiej nieudolności w obliczu terrorystów, albo, co gorsza, o jego arabskim współdziałaniu w niczym nie usprawiedliwionym, bestialskim mordowaniu obywateli amerykańskich. Musi zadzwonić do swego młodego przyjaciela, dotrzeć do niego i wyjaśnić, że nie miał żadnej kontroli nad tym, co się stało. Usiadł na brzegu łóżka i chwycił za telefon, sięgając jednocześnie po portfel schowany w kieszeni spodni; przytrzymując słuchawkę brodą, wyciągnął kartę kredytową. Nie pamiętał numerów dających połączenie z Maskatem, wykręcił więc zero na centralę. Niespodziewanie sygnał wykręcania umilkł, a Kendrick zdjęty nagłym strachem rzucił nerwowe spojrzenie w kierunku okien.

–Słucham, dwadzieścia trzy? – rozległ się na linii szorstki, męski głos.

–Usiłuję połączyć się z centralą.

–Możesz wybrać nawet numer strefowy, a i tak połączysz się z naszą łącznicą.

–Mu... muszę zadzwonić za granicę – wyjąkał Evan zdezorientowany.

–Z tego telefonu to wykluczone.

–Na kartę kredytową. Jak mogę uzyskać połączenie z centralą? Proszę to zapisać na numer mojej karty kredytowej.

–Będę czekał ze słuchawką przy uchu, aż usłyszę, jak podajesz numer i tam go przyjmą. Jasne? Wcale niejasne! Czy to pułapka? Czy odkryli, że znajduje się w zapuszczonym motelu w Woodbridge w Wirginii?

–Nie bardzo mogę się na to zgodzić – zaczął z wahaniem. – To prywatna rozmowa.

–Patrzcie go! – doszedł do niego ironiczny głos. To idź poszukaj sobie automatu wrzutowego. Jest taki w barze, jakieś pięć mil w dół drogi. No to pa, baranie, i tak mam dosyć...

–Poczekaj chwilę! No dobra, zostań na linii; ale kiedy centrala przyjmie zgłoszenie, chcę usłyszeć, jak odkładasz słuchawkę, zgoda? – Prawdę mówiąc, zamierzałem właśnie zadzwonić do Louelli Parsons.

–Do kogo?

–Już dobra, baranie. Wykręcam. Faceci, którzy nie wychodzą przez cały dzień to albo zboczeńcy, albo ćpuny. Gdzieś na dalekich obszarach Zatoki Perskiej głos mówiący po angielsku z arabskim akcentem pospieszył go zapewnić, że w Maskacie w Omanie nie ma centrali zaczynającej się od numeru 555. – Proszę wykręcić! – nalegał Evan, dodając bardziej płaczliwie "proszę". Po ośmiu sygnałach usłyszał w końcu znękaną głos Ahmata:

–Ivah?

–To ja, Evan – odparł Kendrick po angielsku. – Muszę z tobą porozmawiać...

–Ty chcesz ze mną rozmawiać? – wybuchnął młody sułtan. – Masz jeszcze czelność dzwonić do mnie, lajdaku?

–A więc już wiesz? Wiesz, co o mnie mówią?

–Czy wiem? Jedną z przyjemnych stron bycia bogatym dzieckiem jest to, że mam na dachu talerze, które wychwytyją wszystko, co tylko zechcę i skąd tylko mi się zażyczy! Nawet nad tobą mam przewagę, ja szajch. Czy widziałeś doniesienia stąd i z Bliskiego Wschodu? z Bahrajnu, z Rijadu, z Jerozolimy i Tel Awiwu?

–Oczywiście, że nie. Widziałem tylko te...

–Wszystko to jedne śmiecie, w sam raz, żebyś je sobie podłożył i usiadł! Baw się dobrze w Waszyngtonie, ale tu więcej nie wracaj. – Ale ja chcę wrócić. Właśnie planuję swój powrót!

–O, nie. Lepiej zapomnij o tej części świata. Potrafimy czytać i słuchać, i oglądamy telewizję. To wszystko twoja sprawka! "Pokazałeś Arabom, gdzie raki zimują!" Wyrzucam cię raz na zawsze z pamięci, ty sukinsynu!

–Ahmat!

–Koniec, Evan! Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał. Czy nazywając nas zwierzętami i terrorystami umacniasz swoją pozycję w Waszyngtonie? Czy to jedyny sposób?

–Nigdy nic takiego nie mówiłem!

–Ale zrobił to twój świat! Ciągłe powtarzacie to w kółko, aż w końcu staje się jasne jak słońce, że najchętniej zakulibyście nas wszystkich w łańcuchy! A ten ostatni diabelski scenariusz to twoja sprawka!

–Nie! – zaprotestował Kendrick. – Nie moja!

–Poczytaj, co pisze wasza prasa. Pooglądaj telewizję!

–To dziennikarze, nie ja i nie ty!

–Ale ty to ty jeszcze jeden arogancki skurwiel zaślepiony żydowskochrześcijańskimi hipokryzjami świętszymi od was samych! A ja to ja – Arab i muzułmanin. I nie pozwolę ci dłużej na siebie pluć!

–Ależ ja nigdy...

–Ani na moich braci, których ziemie według waszych dekretów powinny być im zabrane, zmuszając całe wioski do porzucenia swych domostw i pracy, i ich mało znaczących, drobnych przedsiębiorstw drobnych i mało znaczących, ale należących do nich z dziada pradziada!

–Na rany Chrystusa, Ahmat, mówisz jak jeden z nich!

–Poważnie? – spytał młody sułtan tonem, w którym wyczuwało się jednocześnie gniew i zarazem sarkazm. – Przypuszczam, że używając określenia "jeden z nich" masz na myśli dziecko urodzone w jednej z tych wielu rodzin zapędzonych pod lufami karabinów do obozów dobrych dla świń. Dla świń, ale nie dla ludzi! Nie dla matek, ojców i dzieci!... Wielki Boże! Mój ty panie Wszystkowiedzący, cudownie prawy Amerykaninie. Jeżeli wyrażam się jak jeden z nich, to, na Boga, bardzo mi przykro! I wiesz, z jakiego powodu jest mi jeszcze przykro? Że pojąłem to dopiero teraz. Dzisiaj rozumiem o wiele więcej niż kiedykolwiek w przeszłości.

–Co to ma, do diabła, znaczyć?

–Powtarzam: czytaj swoje gazety, oglądaj swoją telewizję i słuchaj swojego radia. Czy wy, wyższa rasa ludzi, szykujecie się do zrzucenia atomu na wszystkich brudnych Arabów, żeby nie musieć już więcej z nami walczyć? Czy też może zostawicie to swoim zimnym kumplom z Izraela, którzy zresztą i tak dyktują wam, co macie robić? Po prostu podarujcie im te bomby.

–Zaraz, wolnego! krzyknął Kendrick. – Ci Izraelczycy ocalili mi życie!

–Święta prawda! Tyle, że zawdzięczasz to przypadkowi! Byłeś dla nich jedynie pomostem, po którym chcieli dotrzeć do punktu stanowiącego prawdziwy cel ich przylotu tutaj.

–O czym ty mówisz?

–Powiem ci, bo nikt inny ci tego nie powie; i nikt nie będzie tego drukował. Obchodziłeś ich tyle, co zeszłoroczny śnieg, panie Bohater. Ich oddział przybył tutaj, żeby odbić z ambasady pewnego człowieka; był nim agent Mosadu, strateg wysokiego szczebla, udający naturalizowanego Amerykanina, związany kontraktem z Departamentem Stanu.

–O Boże – wyszeptał Evan. – czy Weingrass wiedział o tym? – Jeśli nawet, to trzymał język za zębami. Zmusił ich, żeby pojechali za tobą do Bahrajnu. Oto w jaki sposób uratowali ci życie. To nie była zaplanowana akcja. Ich nie obchodzi nikt i nic poza nimi samymi. Żydzi! I ty jesteś taki sam, panie Bohater.

–Do diabła, posłuchaj mnie Ahmat! Nie jestem odpowiedzialny za to, co się tu stało, ani za to, co wydrukowano w gazetach i co pokazuje telewizja. To ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył... – Gadanie! – przerwał mu młody alumn Harvardu, sułtan Omanu. – Bez twojego udziału nie ukazałaby się najmniejsza wzmianka. Dowiedziałem się o rzeczach, o których nie miałem pojęcia. Kim są ci agenci waszych służb wywiadowczych kręcący się po moim kraju? Kim są ludzie, z którymi nawiązywałeś kontakty?

–Na przykład Mustafa!

–Zabity. Kto cię tu przywiózł samolotem w tajemnicy bez mojej wiedzy? Kto miał takie prawo? Przecież ja tu rządzę. Czy może jestem tylko jakąś pieprzoną kulką do rzucania w grze?

–Ahmat, nie miałem o tych sprawach najmniejszego pojęcia. Wiedziałem jedynie, że muszę się tam dostać.

–A ja pozostaję postacią uboczną? Mnie nie można było zaufać"? Oczywiście, że nie, przecież jestem Arabem!

–Teraz to już chrzanisz. Chcieli cię uchronić.

–Przed czym? Przed amerykańskoizraelsko tajną akcją?

–Och, na miłość boską, przestań! Nic nie wiedziałem o agencji Mosadu w ambasadzie, dopóki przed chwilą sam mi o tym nie powiedziałeś. Gdyby było inaczej, nie ukrywałbym tego przed tobą! A skoro już o tym mowa, to pozwól sobie wyjaśnić, mój młody, tak nagle objawiony fanatyku, że nie miałem nic wspólnego z obozami dla uchodźców ani z zapędzaniem do nich rodzin pod lufami karabinów...

–Wy wszyscy jesteście za to odpowiedzialni! wykrzyknął sułtan Omanu. – Odpowiadamy ludobójstwem na ludobójstwo, ale nie my to zaczęliśmy! Koniec! W

słuchawce zapadła martwa cisza. Dobry człowiek i dobry przyjaciel, który odegrał kluczową rolę w jego ocaleniu, zniknął na zawsze z jego życia. Podobnie jak przepadły jego plany powrotu do części świata, którą tak bardzo ukochał. Zanim ukaże się publicznie, musi najpierw ustalić, co się naprawdę wydarzyło, za czyją przyczyną i dlaczego! Trzeba więc było od czegoś zacząć, a tym czymś jawił mu się Departament Stanu i człowiek nazywający się Frank Swann. Przypuszczenie frontalnego ataku na Departament oczywiście nie wchodziło w rachubę: w chwili, kiedy zostanie rozpoznany, rozdźwięczą się wszystkie dzwonki alarmowe. Biorąc pod uwagę, że jego twarz pokazano wielokrotnie w telewizji, i że szukała go połowa Waszyngtonu, każdy jego krok musi być odtąd starannie przemyślany. Obecnie najważniejsza sprawa to: w jaki sposób dotrzeć do Swanna, aby ani on, ani jego biuro nie zorientowało się, o co chodzi. A właśnie, jego biuro... Evan próbował sobie przypomnieć: kiedy rok temu zjawił się w biurze Swanna, w rozmowie z sekretarką wtrącił kilka słów po arabsku dla zasygnalizowania wagi swej wizyty. Zniknęła na moment w innym pokoju i już w dziesięć minut później prowadził rozmowę ze Swannem w podziemnym kompleksie komputerowym. Owa sekretarka wykazywała się nie tylko skutecznością, ale też niezwykłą troskliwością w stosunku do swego szefa, co stanowi najwyraźniej cechę większości sekretarek pracujących w kłębówisku żmij, jakim jest Waszyngton. Ponieważ zaś owa troskliwa pracownica doskonale pamiętała kongresmana nazwiskiem Kendrick, z którym rozmawiała rok temu, być może okaże się teraz podatna na inny głos, również kierujący się troską o jej szefa. Warto było spróbować; zresztą, nic innego nie przychodziło mu do głowy. Podniósł słuchawkę, wykręcił 202 – numer strefowy Waszyngtonu – i czekał, aż opryskliwy kierownik motelu "Pod Trzema Niedźwiedziami" wejdzie na linię.

–Operacje Konsularne, biuro dyrektora Swanna – usłyszał głos sekretarki.

–Cześć, mówi Ralph z Sekcji Informacji – zaczął Kendrick. Mam wiadomość dla Franka.

–Ale kto mówi?

–Wszystko w porządku, jestem znajomym Franka. Chcę mu po prostu przekazać, że późnym popołudniem mogą zwołać zebranie międzywydziałowe...

–Jeszcze jedno? Tego mu jeszcze brakowało.

–Jak wygląda jego kalendarz?

–Przeładowany. Ma konferencję do czwartej.

–No, jeśli nie chce, żeby go znowu przypiekali, to może lepiej niech wskakuje w samochód i jedzie wcześniej do domu.

–W samochód? On? Prędzej dałby się zrzucić ze spadochronem w dżungle Nikaragui, niż ryzykować jazdę po Waszyngtonie. – Rozumiesz, co mam na myśli. Robi się tu trochę nerwowo, mógłby się zdrowo napocić.

–Nic innego nie robi od szóstej rano.

–Staram się tylko przyjść kumplowi z pomocą.

–Właściwie to on ma dzisiaj wizytę u lekarza – stwierdziła nagle sekretarka.

–Tak?

–Właśnie sobie przypomniałam. Dzięki, Ralph.

–W ogóle nie dzwoniłem.

–Oczywiście, że nie, kochanieńki. Po prostu ktoś z Sekcji Informacji sprawdzał rozkład dnia. Evan stał w tłumie oczekujących na autobus na rogu Dwudziestej Pierwszej; ze swego miejsca miał niczym nie zakłócony widok na wejście do budynku Departamentu Stanu. Po rozmowie z sekretarką Swanna opuścił motel i udał się pospiesznie do Waszyngtonu; po drodze zatrzymał się w centrum handlowym w Alexandrii, gdzie kupił ciemne okulary, płócienny kapelusz o szerokim rondzie i marynarkę z miękkiego materiału. Dochodziła teraz piętnasta czterdzieści osiem; jeżeli sekretarka uległa swym opiekuńczym inklinacjom, to w ciągu następnych piętnastu, dwudziestu minut Frank Swann, wicedyrektor w Operacjach Konsularnych, pojawi się w dużych oszklonych drzwiach ministerstwa. Tak też się stało. Wyszedł w pośpiechu o szesnastej trzy, skręcił w lewo oddalając się chodnikiem od przystanku autobusowego. Kendrick wypadł z tłumy i ruszył za nim, utrzymując odległość dziesięciu metrów. Zastanawiał się, jaki środek transportu wybierze nie lubiący prowadzić dyrektor Swann. Jeżeli postanowi przebyć drogę pieszo, spróbuje go zatrzymać w miejscu, gdzie można będzie spokojnie porozmawiać. Swann nie planował jednak pieszej wędrówki. Miał zamiar wsiąść w autobus kursujący na trasie Virginia Avenue w kierunku wschodnim. Dołączył do kilku osób oczekujących na ten sam autobus, który właśnie zbliżał się z turkotem do przystanku. Evan dobiegł do rogu – nie mógł pozwolić, by dyrektor Operacji Konsularnych wsiadł w ten autobus. Podszedł do Swanna i dotknął jego pleców.

–Witaj, Frank – odezwał się pogodnie, zdejmując ciemne okulary.

–To ty?! – wrzasnął zaskoczony Swann, wywołując popłoch u pozostałych pasażerów, gdy tymczasem drzwi autobusu otworzyły się z trzaskiem.

–Ja – odparł Evan cicho. – Powinniśmy chyba porozmawiać. – Jezu! Ty chyba zwariowałaś.

–Jeśli nawet, to ty mnie do tego doprowadziłaś; chociaż podobno nie lubisz prowadzić... W tym miejscu nastąpił kres ich krótkiej rozmowy, nagle bowiem ulicę wypełnił dziwny głos, odbijający się echem od boku autobusu. – To on! – ryknął dziwnie wyglądający obszarpaniec z długimi, rozczochranymi włosami, które luźno opadały mu na uszy i czoło; patrzył wytrzeszczonym wzrokiem i krzyczał: Ludzie! Patrzcie! To on! Komandos Kendrick! Przez cały dzień oglądałem go w telewizji. Mam w mieszkaniu siedem telewizorów! Nic nie ujdzie mojej uwadze! To on! I zanim Evan zdążył zareagować, mężczyzna zerwał mu z głowy kapelusz.

–Hej! – zawołał Kendrick.

–Widzicie! To on!

–Zmywamy się stąd! – zdecydował Swann. Puścili się biegiem w górę ulicy, zostawiając za sobą goniącego ich cudaka; pędził wymachując rękami, trzymając kapelusz Evana, a jego workowate spodnie trzepotały na wietrze powodowanym przez bieg.

–Goni nas! – krzyknął dyrektor Operacji Konsularnych, rzucając okiem za siebie.

–Zabrał mój kapelusz! – pożalił się Kendrick. Dwie przecznice dalej, jakaś kobieta o popielatych włosach gramoliła się z taksówki na trzęsących się nogach podpierając

się laską. – Tam! – ryknął Swann. – Do taksówki! – Wymijając samochody, przebiegli przez szeroką ulicę. Evan wszedł od najbliższej strony, podczas gdy pracownik Departamentu Stanu obiegł samochód od tyłu, by dostać się z drugiej strony. Najpierw pomógł leciwej pasażerce wysiąść z pojazdu, przy czym niechcący trącił laskę stopą; laska upadła na chodnik, a w ślad za nią popielatowłosa kobieta. – Pani wybaczy – przeprosił Swann wskazując na tylne siedzenie. – Jedziemy! poleciał Kendrick. Z życiem! Ruszajmy stąd!

–Co wy, pajace, bank obrobiliście czy co? – odezwał się kierowca wrzucając bieg.

–Lepiej na tym wyjdiesz, jak się pospieszysz – dorzucił Evan. – Spieszę się, spieszę... Ale nie mam licencji pilota muszę trzymać się ziemi, nie? Kendrick i Swann obrócili się naraz jak jeden mąż, by wyrzeć przez tylną szybę. Za nimi, na rogu ulicy, cudacznie wyglądający mężczyzna o zmierzwionych włosach i workowatych spodniach zapisywał coś na gazecie. Na głowie miał teraz kapelusz Evana. Spisał nazwę przedsiębiorstwa i numer taksówki – zauważył cicho dyrektor Operacji Konsularnych. – Dokąd byśmy nie jechali, musimy opuścić tę taksówkę i wsiąść do innej, i to po przejściu co najmniej jednej przecznicy.

–Dlaczego? Nie pytam o przesiadkę, ale dlaczego o przecznicę dalej?

–Żeby obecny nasz kierowca nie widział taksówki, w którą wsiądziemy.

–Mówisz tak, jakbyś nawet wiedział, co robić.

–Mam nadzieję, że ty wiesz – wysapał Swann, wyciągając chusteczkę i ocierając mokrą od potu twarz. Po dwudziestu ośmiu minutach i po wyjściu z drugiej taksówki kongresman i przedstawiciel Departamentu Stanu kroczyli energicznie ulicą w zapuszczonej części Waszyngtonu. Nad nimi zamajaczył czerwony neon z trzema brakującymi literami; stali przed obskurnym barem, doskonale pasującym do tej części miasta. Spojrzeli po sobie i skinęli głowami. Weszli do środka, poniekąd zaskoczeni panującym tam głębokim mrokiem, zwłaszcza jeśli porównać go z jasnym, październikowym dniem na ulicy. Jedyne źródło światła stanowił ryczący i rzucający oślepiający blask ekran telewizora przymocowanego do ściany nad obskurnym, zniszczonym barem. Kilku zgarbionych, obszarpanych, patrzących mętными oczami stałych bywalców lokalu najlepiej potwierdzało status owego przybytku. Mrużąc oczy w znikającej, bladej poświacie, Kendrick i Swann przeszli do ciemniejszych zaułków sali po prawej stronie baru. Znaleźli wytarte siedzenia i wśliznęli się na nie zajmując miejsca naprzeciwko siebie.

–Naprawdę nalegasz na tę rozmowę? – spytał siwowłosey Swann biorąc głęboki oddech; jego zaczerwieniona twarz wciąż była pokryta potem.

–Chyba, że wolisz zostać najświeższym klientem grabarza. – Uważaj, mam czarny pas.

–W czym? Swann skrzywił się.

–Nigdy nie miałem pewności, ale to zawsze odnosi skutek w filmach, w których pokazują nas przy robocie. Napiłbym się.

–Zawołaj kelnera, ja wolę zostać w cieniu.

–W cieniu? – zdziwił się Swann, podnosząc ostrożnie rękę, by przywołać grubą, czarną kelnerkę o płomiennie rudych włosach. – A gdzie ty tu widzisz jakieś światło?

–Kiedy po raz ostatni udało ci się wykonać trzy pompki raz za razem, panie Karate Kid?

–Gdzieś w latach sześćdziesiątych. Chyba na samym początku. – To właśnie wtedy wkręcili tu nowe żarówki. A teraz przejdźmy do mnie: jak mogłeś mi to zrobić, ty wredny kłamco?

–A skąd, do diabła, przyszło ci do głowy, że mógłbym coś takiego zrobić? – wrzasnął pracownik Departamentu Stanu i ucichł nagle na widok groteskowo wyglądającej kelnerki, która stanęła przy stoliku podparwszy się pod boki. – Czego się napijesz? – spytał Evana. – Niczego.

–To nie należy tu do dobrego tonu. I podejrzewam, że może nie wyjść na zdrowie. Poproszę dwie żytniówki, podwójne. Najchętniej kanadyjską, jeśli macie.

–Wybij sobie z głowy – skwitowała kelnerka.

–Już sobie wybiłem – przystał Swann, kiedy kelnerka odeszła. Jego oczy znów spoczęły na Kendricku.

–Jest pan śmieszny, panie kongresman, prawdziwy z pana wesołek. W Operacjach Konsularnych żądają mojej głowy! Sekretarz Stanu wydał dyrektywę, w której jest jasno powiedziane, że nie wie, kim jestem! Widzicie go, niezdecydowane zero z dyplomem! Izraelczycy z kolei podnoszą wrzask, bo obawiają się, że ich drogocenny Mosad może zostać skompromitowany, jeśli ktoś zacznie w tej sprawie grzebać. A Arabowie pozostający na naszym garnuszku wściekają się, bo nikt ani słowem nie wspomina o ich zasługach. Do tego jeszcze o piętnastej trzydziści prezydent – nasz pieprzony prezydent dzwoni, by ochrzanić mnie za "zaniedbanie obowiązków". Słuchaj, on to powiedział takim tonem, jakby wiedział, o czym mówi, co mogło oznaczać, że na linii były jeszcze ze dwie inne osoby... Mówisz, że ty uciekasz? A co ja mam powiedzieć? Po prawie trzydziestu latach w tym zwariowanym interesie...

–Użyłem dokładnie tego samego określenia – wtrącił pośpiesznie Evan cichym głosem. – Przykro mi.

–Powinno ci być przykro – podchwycił Swann nie omieszkając wbić szpilki – bo kto będzie grzebał się w tym gównie, jeśli nie my, bękarty głupsze niż ten system? Potrzebujesz nas, nie zapominaj o tym. Chodzi o to, że my sami nie bardzo mamy się czym pochwalić. Chcę powiedzieć, że taki jak ja nie musi gnać do domu, żeby upewnić się, czy woda w basenie została zabezpieczona przed glonami z uwagi na upał... A to głównie dlatego, że nie posiadam basenu, a dom przyznano mojej żonie na mocy umowy rozwodowej: miała już dosyć życia ze mną, kiedy to wychodzę zapracować na kawałek chleba, a wracam po trzech miesiącach mając jeszcze w uszach brud z Afganistanu! Otóż nie, panie Tajniaku Kongresmanie, nie puściłem na twój temat pary z ust. Więcej, zrobiłem, co tylko było w mojej mocy, żeby temu zapobiec. Niewiele mi zostało, ale chcę przynajmniej pozostać czysty, uratować na koniec, co się da. – Twierdzisz, że próbowałeś temu zapobiec?

–W subtelny, bardzo poufny i bardzo profesjonalny sposób. Pokazałem mu nawet kopię notatki służbowej, którą posłałem na górę z odrzuceniem twojej kandydatury.

–Co to za "on"? Swann odpowiedział Kendrickowi żalonym spojrzeniem, gdy

tymczasem zjawiała się kelnerka przynosząc drinki. Stała i czekała, bębniąc palcami po stole; pracownik Departamentu Stanu sięgnął do kieszeni, rzucił okiem na rachunek i zapłacił. Kobieta wzruszyła ramionami na widok podanego napiwku i odeszła.

–Co za "on"? – zapytał ponownie Evan.

–Śmiało, nie krępuj się – odezwał się Swann matowym głosem i upił potężną porcję whisky. – Wbij jeszcze jednego gwoźdź, w końcu co za różnica? I tak pozostało już niewiele krwi. – Z tego wnoszę, że nie wiesz, kim jest ów "on".

–O, znam jego nazwisko, stanowisko i otrzymałem pierwszorzędne rekomendacje.

–Zatem?

–On nie istnieje.

–Co?!

–Słyszalesz.

–Nie istnieje? – powtórzył Kendrick zirytowanym głosem.

–No, z pewnością jest ktoś taki, ale nie był to ten, który się u mnie zjawiał. – Swann dokończył pierwszego drinka.

–Nie wierzę w cały ten...

–Ivy też nie mogła uwierzyć. To moja sekretarka – Ivy Budząca Postrach.

–O czym ty mówisz? – W głosie Kendricka słychać było żalną nutę.

–Ivy otrzymała telefon z biura senatora Allisona. Dzwonił facet, z którym się kilka lat temu spotykała, a który obecnie jest jednym z najbliższych doradców senatora. Poprosił ją o wyznaczenie spotkania dla jednego z pracowników, który jakoby wykonywał jakąś poufną robotę dla Allisona. No więc umówiła go. Facet okazał się nader tajemniczym sfinkssem o blond włosach i akcencie wskazującym na środkową Europę. Był jednak najzupełniej prawdziwy, a do tego znał cię jak własną kieszeń. Gdybyś miał bliźnę, o której wiedziałyby jedynie twoja matka, to, uwierz mi, ten gość na pewno dysponowałby jej powiększeniem.

–To istne szaleństwo – wyszeptał Evan. – Zastanawiam się, po co to wszystko.

–Ja też nad tym myślałem. Chodzi o to, że w pytaniach, które mi zadawał, aż roilo się od WD...

–Słucham?

–Wcześniejszych danych na twój temat. Wiedział niemal tyle samo, ile mógłby dowiedzieć się ode mnie. Wykazywał się przy tym takim profesjonalizmem, że gotów byłem zaoferować mu z miejsca stanowisko w dziale europejskim.

–Ale co to miało wspólnego ze mną?

–Jak już wspomniałem, też się nad tym głowiłem. Poprosiłem więc Ivy, żeby sprawdziła w biurze Allisona. Przede wszystkim interesowało mnie, po co takiemu niewymagającemu senatorowi jak Allison ktoś taki jak ten SS...

–Co?

–To nie to, co myślisz. "Super sfinks". Chociaż jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to zaczynam dostrzegać tu pewien związek. – Trzymaj się lepiej tematu!

–Jasne – odparł Swann zabierając się za drugi kieliszek. – Ivy telefonuje do swojego byłego chłopaka, a ten nie ma o niczym zielonego pojęcia. Nigdy do niej nie

dzwonił i w życiu nie słyszał o pracowniku nazwiskiem – no, jak on tam się nazywał.

–Ale, na Boga, musiała wiedzieć, z kim rozmawia! Przecież poznałaby go po głosie.

–Jej dawny wielbiciel miał silny południowy akcent, a kiedy do niej zadzwonił, cierpiał na zapalenie krtani – tak przynajmniej utrzymywała Ivy. Tyle że ten gość z chrypką jej rzeczywisty rozmówca – znał miejsca, w których razem bywali; i to do tego stopnia, że przypomniał jej o paru motelach w Marylandzie, które Ivy wołałaby" utrzymać w tajemnicy przed mężem.

–Chryste Panie, to zorganizowana operacja! – Kendrick wyciągnął rękę po kieliszek Swanna. – Ale dlaczego?

–Dlaczego zabrałeś moją whisky? Nie mam basenu, ani nawet domu – już zapomniałeś? Nagle rzucający oślepiający blask ekran telewizora umieszczonego nad barem wybuchnął ostro akcentowanym imieniem: "Kendrick!" Obaj mężczyźni skierowali raptownie głowy w stronę źródła hałasu, wybałuszając szeroko oczy ze zdumienia.

–Wiadomość z ostatniej chwili! Wydarzenie dnia, a może i dziesięciolecia! wydierał się dziennikarz telewizyjny w otoczeniu tłumu krzywo uśmiechających się gęb wciskających się do kamery. – Od dwunastu godzin cały Waszyngton starał się odnaleźć kongresmana Evana Kendricka z Kolorado, bohatera wydarzeń w Omanie, ale jak dotąd bezskutecznie. Najgorsze obawy koncentrują się, oczywiście, wokół możliwości odwetu ze strony Arabów. Jak się dowiadujemy, rząd postawił policję, szpitale i kostnice w stan pogotowia. Jednak zaledwie przed kilkoma minutami widziano go właśnie tu, na tym rogu ulicy. Rozpoznał go niejaki Kasimir Bola... Bola...slawski. Skąd pan pochodzi?

–Z Jersey City – odrzekł mężczyzna o dzikich oczach, z kapeluszem Kendricka na głowie. Ale moje korzenie wywodzą się z Warszawy! Ach, święta Warszawa!

–A więc urodził się pan w Polsce.

–Niezupełnie. W Newark.

–Ale widział pan kongresmana Kendricka?

–Najzupełniej. Stał jakieś dwie przecznice stąd koło autobusu i rozmawiał z siwowłosym mężczyzną. Kiedy zawołałem: "To on, komandos Kendrick!" – zaczęli biec. Ja wszystko wiem! Mam telewizor w każdym pokoju, nawet w toalecie. Nigdy niczego nie przegapię! – Kiedy mówi pan: "jakieś dwie przecznice stąd", ma pan ma myśli róg oddalony o dwie ulice od Departamentu Stanu, zgadza się? – Mowa!

–Uzyskaliśmy pewność – dodał dziennikarz w pełni konfidencjonalnym tonem spoglądając do kamery – że władze sprawdzają teraz w Departamencie Stanu, czy osoba opisana przez naszego świadka mogła być uczestnikiem tego niezwykłego rendezvous.

–Ścigałem ich! – ryknął mężczyzna w workowatych portkach i ściągnął z głowy kapelusz Evana. – Mam jego kapelusz! Spójrzcie, to kapelusz naszego komandosa!

–Ale co pan słyszał, panie Bolaslawski? Tam, przy autobusie? – Mówię wam, nie wszystko jest tym, na co wygląda! Nigdy za wiele ostrożności. Zanim uciekli, ten człowiek z siwymi włosami wydał komandosowi Kendrickowi jakiś rozkaz. Mówił

chyba z rosyjskim akcentem, a może żydowskim! Komuchom i Żydom nie należy wierzyć, rozumiecie, co mam na myśli? Nigdy nie widzieli kościoła od środka! Nie wiedzą, co to msza... Kanał telewizyjny przeskoczył raptownie na reklamę wychwalającą zalety dezodorantu.

–Poddaję sięjęknął Swann odbierając,siłą swój kieliszek z rąk Evana i połykając całą jego zawartość. – Wyszło na to, że jestem zakonspirowanym agentem, rosyjskim Żydem z KGB, który nie wie, co to msza. Czy jeszcze coś chciałbyś dla mnie zrobić?

–Nie, bo ci wierzę. Ale ty możesz zrobić coś dla mnie i to w naszym wspólnym interesie. Muszę się dowiedzieć, kto mi to robi, kto przyrzędziłpasztet, o który obwinia się ciebie, i dlaczego. – Załóżmy, że uda ci się dowiedzieć – wszedł mu w słowo Swann i nachylił się w jego stronę. – Powiesz mi? Bo to właśnie jak najbardziej leży w moim interesie – to jedyna rzecz, która mnie teraz interesuje. Musisz mnie zdjąć z tego haka i wsadzić na to miejsce kogoś innego.

–Będziesz pierwszym, który się dowie.

–Czego chcesz?

–Listy wszystkich osób, które wiedziały o mojej podróży do Maskatu.

–Nie ma takiej listy. Wiedziało o tym ściśle grono paru osób. – Swann pokręcił głową – nie tyle w geście przeczenia, co wyjaśnienia. – Nie zostaliby wtajemniczeni, gdybyś sam nie sugerował, że możesz nas potrzebować, jeśli dojdzie do czegoś, z czym sam sobie nie będziesz mógł poradzić. Postawiłem sprawę jasno: z uwagi na zakładników nie wolno nam pozwolić sobie na oficjalne uznanie ciebie.

–Jak ściśle to grono?

–Wszystko było na zasadzie ustnej, rozumiesz.

–Rozumiem. Jak ściśle?

–Strona nieoperacyjna ograniczała się do tego skończonego kutasa Herberta Dennisona, szefa sztabu Białego Domu; dalej byli: sekretarz stanu i sekretarz obrony oraz przewodniczący połączonych sztabów. Ja występowałem jako łącznik między nimi czterema. Ale ich możesz wyłączyć: wszyscy mieliby zbyt wiele do stracenia, a nic do zyskania na twojej dekonspiracji. – Swann oparł się wygodnie na siedzeniu i dodał krzywiąc się: – Sekcja operacyjna działała na zasadzie: "wiedzieć jak najmniej". W Langley mieliśmy Lestera Crawforda; Les jest analitykiem CIA do spraw tajnej działalności w terenie. Z drugiej strony "był szef placówki w Bahrajnie, Grayson... Grayson... A, James Grayson, no właśnie. Ten robił wiele szumu wokół ciebie i Weingrassa, krzyczał o konieczności usunięcia was z jego obszaru; uważał, że w firmie poupadali na głowy i pakują się prosto w jedną z klasycznych sytuacji "chwycony i aresztowany na gorącym uczynku"; Chwycony! Aresztowany: CIA, chwytasz? – Wolałbym nie.

–Dalej byli jeszcze miejscowi – czterech, pięciu Arabów, najlepsi, jakimi dysponowaliśmy i firma. Każdy z nich zapoznał się dokładnie z twoją fotografią, ale nie znał twojej tożsamości. Nie mogli zatem powiedzieć czegoś, czego nie wiedzieli. Za to byłeś znany dwóm ostatnim osobom: jedna pracowała na miejscu, a druga w OHIO CzteryZero obsługiwała komputery.

–Komputery? – podchwycił Kendrick. – Robiono wydruki?

–Miał cię tylko w swoim komputerze – zostałeś odcięty od centralnego systemu.

Facet nazywa się Gerald Bryce, i jeśli to on puścił parę z ust, to ja gotów jestem oddać się w ręce FBI jako żydowski agent pracujący na rzecz Sowietów, o którym mówił pan Bolaslawski. Bryce jest inteligentny, bystry i prawdziwy z niego magik, jeżeli chodzi o sprzęt; nie ma sobie równego. Któregoś dnia stanie na czele Operacji Konsularnych – pod warunkiem, że dziewczyny zostawią go w spokoju przynajmniej na tyle, żeby zdążył odbić kartę zegarową.

–To jakiś playboy?

–Rany Julek, a wielebny ojciec wysłał nas na nieszpory? Chłopak ma dwadzieścia sześć lat i wygląda znacznie przystojniej, niż powinien. Do tego jest nieżonaty i niezły z niego kogut – ale o tym usłyszałem od innych, bo on sam nigdy się nie chwali. I chyba dlatego właśnie go lubię; nie pozostało dziś na świecie zbyt wielu dżentelmenów.

–Już go polubiłem. Kim jest ta ostatnia osoba, która mnie znała i była na miejscu? Frank Swann nachylił się nad stolikiem, obejmując palcami swój pusty kieliszek. Wpatrywał się weń przez chwilę, po czym podniósł wzrok na Kendricka.

–Myślałem, że sam na to wpadniesz.

–Co? Jak to?

–To Adrienne Rashad.

–Nic mi to nie mówi.

–Posługiwała się pseudonimem...

–Adrienne...? To kobieta? – Swann skinął głową. Evan zamyślił się marszcząc czoło, i nagle otworzył szeroko oczy unosząc brwi. – Khalehla? – wyszeptał. Przedstawiciel Departamentu Stanu ponownie skinął głową. – Była jednym z twoich ludzi?

–Nie tyle moich, co jednym z nas.

–Jezu, ta dziewczyna pomogła mi się wyrwać z lotniska w Bahrajnie! Ten opasły sukinsyn MacDonald wepchnął mnie prosto pod samochód na hali lotniska – o mało nie zginąłem; w ogóle nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. A ona mnie stamtąd wyciągnęła jak tego dokonała, do dziś nie wiem!

–Za to ja wiem – wtrącił Swann. – Grożąc, że rozwaliłby paru bahrajńskim policjantom, podała swój kryptonim i kazała przekazać go dalej z żądaniem wolnej drogi dla wyprowadzenia ciebie. Uzyskała nie tylko zgodę, ale i samochód z królewskiego garażu. – Powiedziałeś, że była jednym z nas, ale nie należała do twoich ludzi. Co to znaczy?

–Jest w Agencji, ale jest również kimś specjalnym – prawdziwie nietykalna. Ma kontakty w całej Zatoce Perskiej i rejonie Morza Śródziemnego. CIA nie pozwala nikomu się do niej wtrącać. – Gdyby nie ona, mógłbym zostać zdekonspirowany na lotnisku. – Gdyby nie ona, stałbyś się celem dla każdego z terrorystów chodzących po Bahrajnie, włącznie z żołnierzami Mahdiego. Kendrick umilkł na chwilę; rozchylił usta i błędząc niewidzącymi oczami, oddał się na krótko wspomnieniom.

–Czy wyjawiała ci, gdzie mnie ukryła?

–Nie chciała.

–Wolno jej?

–Mówiłem ci, że jest kimś specjalnym.

–Rozumiem – stwierdził cicho Evan.

–Ja chyba też rozumiem – dorzucił Swann.

–Co masz na myśli?

–Nic. Po wydostaniu cię z lotniska, nawiązała kontakt po jakichś sześciu godzinach.

–To takie dziwne?

–Można by rzec, iż w zaistniałych okolicznościach było to niezwykle."Otrzymała bowiem zadanie, aby sprawować nad tobą nadzór i z miejsca informować o jakichkolwiek drastycznych ruchach z twojej strony bezpośrednio do Crawforda w Langley, który z kolei miał kontaktować się ze mną po instrukcje. Nie uczyniła tego, a w swoim oficjalnym raporcie nie nawiązała ani słowem do owych sześciu godzin.

–Musiała ochraniać miejsce, gdzie się ukryliśmy.

–Oczywiście. Należało z pewnością do królewskiego rodu, a nie sądzisz chyba, że ktoś próbowałby robić jakieś numery emirowi czy jego rodzinie.

–o tak. – Kendrick znów umilkł i powędrował wzrokiem w ciemne zaułki zapuszczonego baru. – Była taka miła – dodał powoli w zamyśleniu. – Rozmawialiśmy ze sobą; rozumiała tyle rzeczy. Szczerze ją podziwiałem.

–Hej, kongresmanie, co pan! – Swann nachylił się nad pustym kieliszkiem. – Myślisz, że tobie pierwszemu to się zdarzyło? – Co?

–Dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna, znajduje się w niepewnej sytuacji; żadne z nich nie wie, czy dożyje jutra lub następnego tygodnia. Zbliżają się więc do siebie, to całkiem naturalne. No i co wielkiego?

–Bardzo niemile to zabrzmiało, Frank. Ona coś dla mnie znaczyła.

–W porządku, powiem bez owijania w bawełnę: nie sądzę, abyś ty znaczył coś dla niej. To profesjonalistka, która ma za sobą kilka ponurych wojen na swych TOPach.

–Co proszę? Bądź uprzejmy wyrażać się po angielsku, albo, jeśli wolisz, po arabsku, tylko żeby to miało jakiś sens.

–Mówię o Terenach Operacji.

–Tego samego zwrotu użyli w gazetach.

–Nie moja wina. Gdyby to ode mnie zależało, wyeliminowałbym wszystkich skurczybyków, którzy pisali te artykuły.

–Nawet mi nie mów, co znaczy słowo "wyeliminować".

–Nie będę. Powiem ci jedynie, że na polu bitwy każdemu z nas zdarzają się potknięcia, zwłaszcza kiedy jesteśmy wyczerpani albo zwyczajnie przestraszeni. Bierzymy wtedy kilka godzin bezpiecznej przyjemności i odpisujemy je sobie jako od dawna zaległą premię. Czy uwierzysz, że są nawet prowadzone wykłady na ten temat dla osób, które wysyłamy?

–Teraz w to wierzę. Jeśli mam być szczery, to okoliczności tamtej sprawy zwróciły wtedy moją uwagę. Dobrze. Ale ją możesz skreślić. Operuje wyłącznie w rejonie Morza Śródziemnego i nie ma nic wspólnego z miejscową sceną. Na

początek, żeby ją odszukać, musiałbyś chyba polecieć do Afryki Północnej.

–A więc zostaje mi tylko człowiek z Langley nazwiskiem Crawford i szef placówki w Bahrajnie.

–Nie. Zostaje ci blondyn o środkowoeuropejskim akcencie, który działa tu, w Waszyngtonie. I to działa w wielu miejscach. Zdołał skądś informacje, ale nie ode mnie i nie z OHIO CzteryZero. Musisz go odnaleźć. Swann zostawił Evanowi swój zastrzeżony numer telefonu do biura i do domu, po czym pospiesznie opuścił ciemny, zapuszczony lokal, jakby potrzebował powietrza. Kendrick zamówił żytniówkę u ociężałej, czarnej kelnerki o płomiennie rudych włosach, i poprosił ją o wskazanie automatu wrzutowego, jeśli takowy w ogóle istnieje. Kobieta udzieliła mu informacji.

–Jak rąbniesz go dwa razy w lewy dolny róg, to zwróci ci twoją ćwierćdolarówkę – odpowiedziała.

–Jeśli tak zrobię, to ci ją oddam, dobrze?

–Podaruj ją swojemu przyjacielowi – poradziła. – Palanty w garniturkach nie zostawiają żadnych napiwków, bez różnicy, czy biali, czy czarni. Kendrick podniósł się i przeszedł ostrożnie do pogrążonej w ciemności ściany z telefonem. Pora była zadzwonić do biura; nie mógł dłużej trzymać w niepewności pani Ann Mulcahy O'Reilly. Mrużąc oczy, wrzucił monetę i wybrał numer.

–Biuro kongresmana Ken...

–To ja, Annie – przerwał jej Evan.

–Na Boga, gdzie się pan podziewa? Już po piątej, a my tu mamy wciąż istny dom wariatów!

–I dlatego właśnie mnie tam nie ma.

–Zanim zapomnę! – krzyknęła pani Mulcahy łapiąc oddech. Przed chwilą telefonował Manny; mówił bardzo dobitnym głosem, chociaż niezbyt głośno, co, jak mi się wydaje oznacza, że był tak poważny, jak tylko to możliwe.

–Co powiedział?

–Że nie złapiesz go pan pod numerem w Kolorado.

–Co to znaczy?

–Kazał panu powtórzyć: allcott massghoul, chociaż diabli wiedzą, o co tu chodzi.

–To bardzo proste, Annie. – Weingrass użył słów alkhatt mashghool, co po arabsku znaczy: linia jest zajęta – prosty eufemizm na określenie "naruszona", czyli "na podsłuchu". Jeżeli Manny nie mylił się, to wystarczyłaby zaledwie chwila, żeby za pomocą techniki laserowej zlokalizować miejsce przychodzącej rozmowy. – Nie będę dzwonił do Kolorado, Annie – dodał.

–Poleciał jeszcze panu przekazać, że kiedy już to się uspokoi, pojedzie do Mesa Verde, skąd zadzwoni do mnie i poda numer, pod którym będzie pan mógł się z nim skontaktować.

–Dowiem się od ciebie.

–A teraz, panie Supermen, czy to prawda, co o panu mówią? Czy rzeczywiście dokonał pan tych wszystkich wyczynów w Omanie, czy gdzie tam to było?

–Tylko częściowo, Annie. Pominięto wiele osób, które powinny zostać

wymienione. Ktoś próbuje zrobić ze mnie kogoś, kim nie jestem. Jak sobie radzisz w biurze?

–Używam standardowych stwierdzeń typu: "bez komentarza" i "szefa nie ma w mieście".

–Dobrze. Miło mi to słyszeć.

–Nie, panie kongresmanie, wcale niedobrze, bo nie z każdą sprawą można sobie poradzić w sposób standardowy. Jesteśmy w stanie dać sobie radę z wariatami i prasą, a nawet z pańskimi kolegami, ale nie z lożą tysiąca sześciuset.

–Biały d...

–Dom?

–Wstrętny szef personelu Białego Domu we własnej osobie. Nie możemy przecież uraczyć wyraziciela woli prezydenta stwierdzeniem typu: "bez komentarza".

–Co powiedział?

–Dał mi numer telefonu, pod który ma pan przedzwonić. To jego prywatna linia; dobrze się upewnił, czy zrozumiałam, że chodzi o numer znany mniej niż dziesięciu osobom w Waszyngtonie... – Ciekawe, czy prezydent też do nich należy – wtrącił Kendrick, tylko na poły żartobliwie.

–Twierdził, że tak. A ściśle mówiąc, nie omieszkał zaznaczyć, że prośba o natychmiastowy telefon do szefa personelu Białego Domu stanowi bezpośrednio polecenie prezydenta.

–Bezpośrednio co?

–Rozkaz prezydenta.

–Dobrze by było, żeby ktoś przeczytał tym pajacom Konstytucję. Władze ustawodawcze w tym państwie nie przyjmują bezpośrednich rozkazów od przedstawicieli władzy wykonawczej, czy to będzie prezydent, czy ktokolwiek inny.

–Cóż, zgadzam się, że dobór słów nie był fortunny – ciągnęła szybko Ann O'Reilly. – Jeśli jednak pozwoli mi pan dokończyć tego, co powiedział, to może okaże się pan bardziej uległy.

–Słucham.

–Stwierdził, iż rozumieją, dlaczego nie chce się pan teraz pokazywać, i że zaaranżują dyskretne spotkanie we wskazanym przez pana miejscu... Czy wolno mi, jako osobie lepiej znającej to Miasto Wariatów, coś doradzić?

–Proszę.

–Nie może pan ciągle uciekać, Evan. Prędzej czy później będzie pan musiał wyjść z ukrycia, a zanim do tego dojdzie dobrze byłoby wiedzieć, co oni o tym wszystkim myślą. Czy to się panu podoba czy nie, ma ich pan na głowie. Dlaczego by nie przekonać się, jaki jest ich stosunek? Mogłoby to nam zaoszczędzić niejednego kłopotu. – Jaki jest ten numer?

* * *

Rozdział 22

Herbert Dennison, szef personelu Białego Domu, zamknął za sobą drzwi prywatnej łazienki i sięgnął po butelkę Maaloxu, którą trzymał w prawym rogu marmurowego blatu. Bardzo sumiennie przełknął cztery hausty kredowego płynu,

wiedząc z doświadczenia, że zaraz ustąpią fale gorąca odczuwane w piersiach."Przed wielu laty w Nowym Jorku, kiedy się te ataki zaczęły, przestał niemal jeść i spać, bo tak się bał, że chociaż dane mu było przeżyć piekło w Korei, teraz umrze na ulicy na zawał serca. Jego ówczesna żona – pierwsza z trzech – również straciła głowę, nie mogąc się zdecydować, czy najpierw wieźć go do szpitala, czy też do agenta ubezpieczeniowego, żeby rozszerzył im polisę. W końcu bez wiedzy męża wybrała to drugie, Herbert zaś tydzień później podjął męską decyzję i zgłosił się do Kliniki Akademii Medycznej Uniwersytetu Cornell na szczegółowe badania. Ulga nadeszła, kiedy lekarze orzekli, że serce ma jak dzwon, a przy okazji wyjaśnili, iż owe sporadyczne bóle są spowodowane okresowymi atakami nadkwasoty, niewątpliwie wskutek stresów i napięć. Od tamtej pory zawsze miał na podorędziu – w sypialniach, gabinetach, samochodach i walizczkach – butelkę białego kojącego płynu. Albowiem napięcie stanowiło nieodłączną część jego życia. Diagnoza lekarzy okazała się tak trafna, że już od wielu lat potrafił przewidzieć, z dokładnością do dwóch godzin, kiedy dopadnie go taki atak. Gdy pracował na Wall Street, ataki zdarzały się regularnie przy każdej gwałtownej huśtawce na giełdzie papierów wartościowych oraz przy każdej batalii z konkurentami, którzy wiecznie usiłowali hamować jego pęd do majątku i pozycji. Wszystko to obrzydliwi gówniarze – myślał Dennison. Picusie z picerskich sfer należących do picerskich klubów, którzy ani by na niego nie splunęli, a co dopiero zgodzili się przyjąć go na członka. A pies im mordę lizał! Ostatnimi czasy te same kluby wpuszczały już żydłaków, czarnuchów, a nawet tych parszywych latynosów! Wystarczyło, że jeden z drugim gadał jak jakiś pieprzony aktor i ubierał się u Paula Stuarta czy u innego francuskiego pedała. No więc on splunął na nich! Puścił ich z torbami! Na giełdzie przejawiał żyłkę ulicznego zabijaki, tyle się więc nachapał, dorobił się takiej fortuny, że ta pieprzona firma musiała go mianować prezesem, bo w przeciwnym razie odszedłby od nich zabierając ze sobą miliony. Przecież to on wyprowadził korporację na spokojne wody, aż stała się najbardziej agresywną firmą na całej Wall Street. Dokonał tego zrzucając idiotyczny garb firmy, wywalając całe zastępy obiboków, czyli tak zwanych stażystów, którzy pochłaniali tylko pieniądze i marnowali czas pozostałych pracowników. Miał dwie maksymy, które stały się świętymi przykazaniami korporacji. Pierwsza brzmiała: Poprawiaj zeszłoroczne wyniki albo stąd splywaj. Druga była również związana: Nie licz tu na naukę, tylko sam się ucz. Herb Dennison nigdy nie dbał o to, czy jest lubiany, czy też nie; co tam, do cholery, obiema rękami podpisywał się pod teorią, że cel uświęca środki. Już w Korei nauczył się, że pobłażliwi oficerowie dostają urny z prochami żołnierzy w zamian za brak surowej dyscypliny i jeszcze surowszych rozkazów na polu walki. Miał pełną świadomość, że podkomendni nienawidzą jego osławionej odwagi, do tego stopnia, że zachował zimną krew, kiedy o mały włos nie rozerwał go amerykański granat. Niezależnie jednak od strat żywił przekonanie, że byłyby one znacznie większe, gdyby te mięczaki dorwały się do władzy. Tak, jak te jęczydusze z Wall Street: "Chcemy zbudować zaufanie, Herb, trwałość..." Albo: "Dzisiejszy młokos to jutrzejszy zwierzchnik korporacji – lojalny wobec firmy."Brednie! Do zysków nie dochodzi się poprzez zaufanie, trwałość ani

lojalność. Do zysków dochodzi się obracając pieniędzmi innych ludzi, furda tam zaufanie, trwałość i wierność! I dowiódł swego, a lista jego klientów tak się rozrosła, że o mało nie rozsadziła komputerów; podkupywał utalentowanych ludzi z innych firm, a zawsze musiał przy tym wiedzieć, za co płaci, bo jak nie, to wyrzucał nowo zatrudnionych na zbity pysk. Owszem, był surowy, może nawet bezwzględny, jak często mówiono mu w twarz albo pisano o nim w gazetach, stracił też przez to po drodze kilku dobrych ludzi, ale zasadniczo rzecz biorąc, miał rację. Dowiódł tego zarówno podczas kariery wojskowej, jak i cywilnej... a mimo to w końcu ci szmaciarze załatwili go na obu frontach. W Korei dowódca pułku niemal mu, cholera, obiecywał rangę pełnego pułkownika przy odejściu do rezerwy; i nic z tego. W Nowym Jorku – Chryste, tam poszło jeszcze gorzej, jeśli to w ogóle możliwe – mówiono o jego kandydaturze do zarządu WellingtonMidlantic Industries, najbardziej prestiżowego zarządu w świecie międzynarodowej finansjery. I znowu nic z tego. W obu przypadkach przydupili go ci lalusie z koterii, akurat kiedy piął się w górę. Zabrał więc swoje miliony i powiedział: "A niech was wszystkich szlag trafi!" I znów okazało się, że miał rację, bo znalazł człowieka, któremu przydały się zarówno jego pieniądze, jak i niemałe zdolności. Był to senator z Idaho, którego zadziwiająco dźwięczny, płomienny głos zaczynał brzmieć coraz donośniej, przy tym mówił rzeczy, w które Herb Dennison żarliwie wierzył, a mimo to był politykiem umiejącym się śmiać i zabawiać coraz większą publiczność, zarazem ją ucząc. Ów człowiek z Idaho był wysoki i przystojny, miał uśmiech, jakiego nie widziano od czasów Eiserihowera i Shirley Tempie, sypał żartami i prawił kazania w obronie dawnych wartości siły, odwagi, polegania na samym sobie, a nade wszystko – w ocenie Dennisona – swobody wyboru. Herb zjechał do Waszyngtonu i zawarł z owym senatorem pakt. Przez trzy lata włożył całą swą energię i ładnych kilka milionów – nie mówiąc już o dodatkowych milionach od licznych anonimowych ludzi, którym sam przysporzył fortun – aż zgromadził taki kapitał, że można by zań nabyć godność papieską, gdyby ta stanowiła w bardziej oczywisty sposób przedmiot handlu. Herb Dennison beknął; kredowy płyn działał wprawdzie kojąco, ale nie dość szybko; finansista musiał zaraz być gotów na przyjęcie człowieka, który miał za kilka minut wkroczyć do jego biura. Pociągnął jeszcze dwa łyki, przejrzał się w lustrze, przypatrując się markotnie swoim coraz rzadszym siwym włosom, które szcesywał z obu stron na tył głowy, z wyraźnym przedziałkiem po lewej, żeby ta licowała z jego poważnym wyglądem. Wpatrując się w tafłę szkła żałował, że jego szarozielone oczy nie są większe; otwierał je jak najszerzej mógł, ale i tak wydawały mu się za wąskie. Nieznaczna fałdka pod brodą zarysowywała z lekka drugi podbródek, przypominając mu, że musi albo zacząć się gimnastykować, albo mniej jeść. Żadna z tych dwóch perspektyw zbyt mu się nie uśmiechała. No i dlaczego wyrzucając tyle pieniędzy na garnitury nie wyglądał w nich, do cholery, tak, jak owi mężczyźni w folderach przysyłanych mu przez brytyjskich krawców? A mimo wszystko biła od niego imponująca siła podkreślona przez jego wyprostowaną sylwetkę i wysuniętą do przodu szczękę, które przez tyle lat starań doprowadził do perfekcji. Beknął jeszcze raz i pociągnął kolejny haust swojego prywatnego eliksiru. Niech krew zaleje tego Kendricka, co za

skurczybyk! – zaklął w duchu. Ten nikt, kto nagle stał się kimś, budził w nim złość i niepokój... Gdyby Dennison miał być szczery, a zawsze starał się być szczery przynajmniej wobec siebie, jeśli już nie wobec innych, wkurzał go nie tyle ten niktktoś, ile wpływ tego drania na Langforda Jenningsa, prezydenta Stanów Zjednoczonych. A niech go piorun trzaśnie! Co też ten Langford knuje? Herb w myślach spoufalał się z tym człowiekiem, nazywając go "Langfordem", a nie "prezydentem", co go jeszcze bardziej rozzłościło; stąd się częściowo brało jego napięcie, z tego dystansu wymaganego przez władze Białego Domu, co napawało Dennisona taką nienawiścią... Po inauguracji i trzech latach mówienia sobie po imieniu, Jennings zwrócił się na jednym z balów inauguracyjnych do szefa personelu tym swoim spokojnym, żartobliwym tonem, który ociekał wprost skromnością i dobrym humorem. – Wiesz, Herb, mnie jest naprawdę, cholera, wszystko jedno, ale zdaje się, że mój urząd... nie ja, tylko mój urząd... jakby wymaga, żebyś zwracał się do mnie "panie prezydencie". Nie sądzisz, że tak będzie lepiej? – Psiakrew! To już przepełniło miarę! Co ten Jennings knuje? Prezydent zgadzał się od niechcienia na wszystkie propozycje Herba dotyczące tego wariata Kendricka, tyle że reagował jakby za bardzo od niechcienia, na granicy obojętności, co niepokoiło szefa personelu. Miodopłynny głos Jenningsa nie wyrażał absolutnie troski, chociaż w jego oczach czaiło się pewne zatroskanie. Co jakiś czas Langford Jennings zaskakiwał całą tę ich bandę zatrudnioną w Białym Domu. Herb Dennison miał nadzieję, że nie zanosi się na jedną z tych, jakże często nieprzyjemnych sytuacji. Nagle zadzwonił telefon łazienkowy, a stał tak blisko, że szef personelu aż rozlał sobie Maalox na marynarkę z Sayile Rów. Chwycił niezdarnie prawą ręką słuchawkę ściennego telefonu, a lewą odkręcił kran z ciepłą wodą i zmoczył ściereczkę. Odbierając, wycierał gorączkowo wilgotną ściereczką białe plamy, wdzięczny losowi, że znikają w ciemnej tkaninie.

–Słucham?

–Kongresman Kendrick przybył do wschodniego wejścia. Właśnie odbywa się rewizja osobista.

–Co takiego?

–Sprawdzają, czy nie ma broni i materiałów wybuchowych... – Chryste, przecież wam nie mówiłem, że jest terrorystą! Przyjechał rządowym samochodem z dwoma przedstawicielami tajnego wywiadu!

–Ale wyrażał pan tyle obaw i niezadowolonia...

–Natychmiast go tu przysłać!

–Będzie się pewnie musiał ubrać.

–Psiakrew! Po sześciu minutach wystraszona sekretarka wprowadziła przez drzwi wściekłego, aczkolwiek trzymającego nerwy na wodzy Evana Kendricka. Na jego twarzy nie malowała się zwyczajowa wdzięczność wobec tej kobiety, lecz coś wręcz przeciwnego, raczej: "Zejdź mi z drogi, paniusiu, chcę mieć tego faceta tylko dla siebie." Sekretarka uciekła, gdy tylko szef personelu zbliżył się z wyciągniętą ręką. Kendrick ją zignorował.

–Słyszałem co nieco o pańskich wybrykach w tym gmachu, panie Dennison –

rzekł Evan niskim, lodowatym głosem – ale kiedy ośmiela się pan obszukiwać członka Kongresu, który przybywa tu na pańskie zaproszenie... a nie wyobrażam sobie inaczej, bo nie ważyłby się pan, do jasnej cholery, wydawać mi rozkazów... za daleko się pan posuwa.

–Absolutnie błędnie zrozumiano moje instrukcje, panie kongresmanie! Mój Boże, jak pan mógł co innego sobie pomyśleć? – W pańskim wypadku bardzo łatwo. Zbyt wielu moich kolegów miało z panem zbyt wiele scysji. Krąży mnóstwo horrendalnych pogłosek, łącznie z tą, jak to wymierzył pan cios posłowi z Kansas, który, o ile mi wiadomo, rozłożył pana na cztery łopatki. – To kłamstwo! Ten człowiek zlekceważył procedurę Białego Domu, za którą jestem odpowiedzialny. Może go i tknąłem, żeby przywołać go do porządku, ale nic ponadto. I wtedy zaatakował mnie znienacka.

–Nie sądzę. Słyszałem, że nazwał pana "majorem za dychę", na co pan się zerwał do bicia.

–Przekłamanie. Szkoda słów! – Dennison się skrzywił; poziom kwasu znów się podnosił. Przepraszam za rewizję osobistą... – Nie ma powodu. Wcale do niej nie doszło. Zgodziłem się zdjąć marynarkę, uznając to za rutynowe postępowanie, ale kiedy strażnik wspomniał też o koszuli i spodniach, wkroczyli już znacznie inteligentniejsi ludzie z mojej obstawy.

–To na co, do licha, tak się pan piekli?

–Że pan w ogóle coś takiego rozważał, a jeśli nie, że stworzył pan tu atmosferę, która coś takiego dopuszcza.

–Mógłbym odeprzeć ten zarzut, ale nie widzę sensu. Idziemy teraz do Owального Gabinetu, tylko, na miłość boską, niech pan nie mąci szefowi w głowie tymi swoimi proarabskimi bredniami. Proszę pamiętać, że on nie wie, co zaszło, więc nie ma co się wdawać w wyjaśnienia. Później sam mu wszystko wytłumaczę.

–Skąd mam wiedzieć, że pan jest do tego zdolny?

–Co proszę?

–Dobrze pan słyszał. Skąd mam wiedzieć, że jest pan do czegoś zdolny albo, że jest pan odpowiedzialny?

–Co też pan wygaduje?

–Podejrzewam, że wyjaśni pan to, co pan sam będzie chciał wyjaśnić, mówiąc mu to, co pan będzie chciał, żeby dotarło do jego uszu.

–Kim pan, do cholery, jest, żeby tak do mnie mówić?

–Kimś zapewne równie bogatym jak pan. A także kimś, kto wyjeżdża z Waszyngtonu, o czym z pewnością Swann już pana powiadomił, toteż pańskie błogosławieństwo polityczne nic dla mnie nie znaczy. Zresztą i tak bym go nie przyjął. Wie pan co, panie Dennison? Mam pana za prawdziwego szczura. Nie za takie milusie wcielenie Myszki Miki, lecz za ordynarne szczurzysko. Za ohydneho, żerującego na śmieciach gryzonia z długim ogonem, który roznosi obrzydliwą chorobę. Jej nazwa brzmi "nieodpowiedzialność".

–Nie szczędzi pan słów, co, panie kongresmanie?

–Nie muszę, bo wyjeżdżam.

–Ale on nie wyjeżdża! Chcę, żeby był silny, przekonywający. Prowadzi nas w

nową epokę. Znów kroczymy z podniesionym czołem, zresztą najwyższy czas. Mówimy maluczkiem tego świata, żeby albo srali, albo złazili z nocnika!

–Pańskie wyrażenia są równie banalne, jak pan sam.

–A kim pan jest? Pieprzonym absolwentem prestiżowej uczelni z dyplomem anglisty? Niech pan to wreszcie pojmie, panie kongresmanie. Tu się toczy męska gra! Ludzie w tej administracji srają równo albo wylatują. Rozumie pan?

–Postaram się zapamiętać.

–Skoro już jesteśmy przy tym, proszę też zapamiętać, że szef nie lubi różnicy zdań. Wszystko na spokojnie, rozumie pan? Żadnych wstrząsów, wszystko cacy, cacy, rozumie pan?

–Chyba się pan powtarza.

–Działam skutecznie, panie Kendrick. Na tym polega ta gra. – Jest pan ni mniej, ni więcej, tylko marną, bezduszną maszyną. – Czyli nie przypadliśmy sobie do gustu. No i co z tego? Nic wielkiego...

–To jedno zrozumiałem – potwierdził Evan.

–No to chodźmy.

–Nie tak prędko – powiedział Kendrick stanowczym tonem, odwrócił się od Dennisona i podszedł do okna, jak gdyby gabinet należał do niego, a nie do tego człowieka prezydenta. – Jak wygląda scenariusz? Tak się to chyba określa?

–Nie wiem, o co pan pyta.

–Czego pan ode mnie chce? – spytał Kendrick wyglądając na trawnik przed Białym Domem. – Skoro pan już wszystko obmyślił, co ja tu w ogóle robię?

–Bo pominięcie pana byłoby bezproduktywne.

–Coś takiego! – Kendrick znów się odwrócił i spojrzał wprost na szefa personelu Białego Domu. – Bezproduktywne?

–Trzeba wyrazić panu uznanie, czy to jasne? Szef nie może siedzieć spokojnie na tyłku i udawać, że pan nie istnieje, prawda? – Ach, rozumiem. Powiedzmy, że na jednej z jego zajmujących, aczkolwiek niezbyt rzeczowych konferencji prasowych ktoś wymienia moje nazwisko, które teraz jest jakby na tapecie. Szef nie może ot tak po prostu odpowiedzieć, że nie wie, w jakiej gram drużynie. O to chodzi?

–Zrozumiał pan. A teraz chodźmy. Ja poprowadzę rozmowę.

–To znaczy; że ją pan zdominuje?

–Jak pan to woli nazwać, panie kongresmanie. Proszę nie zapominać, że szef jest najwybitniejszym prezydentem dwudziestego wieku. A do mnie należy utrzymanie status quo.

–Ale nie do mnie. – Też odpowiedź! To należy do nas wszystkich. Walczyłem za ojczyznę, młody człowieku, jak żołnierze ginęli w obronie naszych swobód, naszego modelu życia. Mówię panu, to był, do jasnej cholery, niezapomniany widok! I ten człowiek, ten prezydent, przywrócił wszystkie nasze świętości, nasze ofiary, które tak wysoko cenimy. Skierował kraj na właściwe tory, i to tylko siłą własnej woli, czy też osobowości, wedle uznania. Jest niezrównanym przywódcą!

–Ale niekoniecznie najinteligentniejszym wtrącił Kendrick. – To się gównem liczy. Galileusz byłby marnym papieżem i jeszcze gorszym cesarzem.

–Ma pan poniekąd rację.

–Nie poniekąd, lecz na pewno. A teraz co do scenariusza, czyli wyjaśnień. Sprawa jest cholernie prosta i jakby skądś znana. Jakiś skurwysyn puścił parę na temat sprawy Omanu, a pan chciałby, żeby o niej jak najszybciej zapomniano.

–Doprawdy? Dennison urwał wpatrując się w twarz Evana, jak gdyby była zdecydowanie odpychająca.. – Wynika to bezpośrednio z tego, co ten łajdak Swann powiedział Przewodniczącemu Kolegium Szefów Sztabów...

–Czemu nazywa pan Swanna łajdakiem? To nie on rozpuścił tę historię. Usiłował wyrzucić faceta, który chciał to z nim omawiać. – Ale do tego dopuścił. Przewodził tej operacji, dopuścił do przecieku, dopilnuję więc, żeby go byli powiesili.

–Niewłaściwe użycie czasu przeszłego.

–Co proszę?

–Nic takiego? Pragnę się tylko upewnić, czy obaj korzystamy z tego samego scenariusza. Dlaczego chciałbym, żeby o wszystkim jak najszybciej zapomniano?

–Bo mogą być akcje odwetowe na pańskich parszywych przyjaciołach Arabach. Tak pan powiedział Swannowi, a on powtórzył swoim zwierzchnikom. Chciałby pan to cofnąć?

–Bynajmniej – odparł cicho Kendrick. – Czyli scenariusz mamy taki sam.

–To świetnie, Zaaranżujemy króciutką uroczystość, podczas której szef podziękuje panu w imieniu całego tego cholernego kraju. – Żadnych pytań, ograniczymy się do sesji zdjęciowej i pan znika. Dennison wskazał na drzwi, obaj ruszyli w tamtą stronę. Wie pan co, panie kongresmanie? – dorzucił szef personelu z ręką na gałce. – Pańskie pojawienie się przekreśliło jedną z najlepszych szeptanych kampanii, o jakiej może marzyć każdy rząd, to znaczy pod względem reklamy.

–Szeptaną kampanię?

–Tak. Im dłużej siedzieliśmy cicho, pomijając milczeniem pytania pod płaszczykiem bezpieczeństwa kraju, tym bardziej ludzie myśleli, że to sam prezydent wymusił układ w Omanie.

–Z pewnością go ogłosił – przyznał Evan z życzliwym uśmiechem, jak gdyby podziwiał talent, który niekoniecznie aprobejuje. – Powiedziałem panu, że może nie jest Einsteinem, ale i tak jest, psiakrew, geniuszem. Dennison otworzył drzwi. Evan się nie ruszył.

–Pozwoli pan sobie przypomnieć, że w Maskacie zamordowano jedenaście osób? Że pozostałych dwiesięć będzie do końca życia miało koszmary nocne.

–Zgadza się! – odparł Dennison. I szef oznajmił to, psiakrew, ze łzami w oczach! Nazwał ich prawdziwymi amerykańskimi bohaterami, równie odważnymi jak ci, co walczyli pod Verdun, w bitwie o Normandię, w Phanmundżonie i w Da Nang! Sam to powiedział, panie kongresmanie, i to z pełnym przekonaniem, wyszliśmy więc z tego z podniesionym czołem!

–Powiedział to zawężając możliwości. Przesłanie było jasne przyznał Kendrick. Jeżeli przypisać ocalenie tych dwustu trzydziestu sześciu jeńców jednemu człowiekowi, to właśnie jemu.

–No więc?

–Mniejsza o to. Zróbmy, co mamy zrobić

–Mięczak z pana, panie kongresmanie. I ma pan rację, pan nie pasuje do tego miasta. Evan Kendrick spotkał wcześniej prezydenta Stanów Zjednoczonych tylko raz. Spotkanie trwało mniej więcej pięć, może sześć sekund, podczas przyjęcia w Białym Domu na cześć świeżo upieczonych kongresmanów z partii rządzącej. Evan musiał się tam koniecznie pokazać, zdaniem Ann Mulcahy O'Reilly, która dosłownie groziła, że wysadzi jego gabinet w powietrze, jeżeli Evan odmówi pójścia. Kendrick nie tyle nie lubił Langforda Jenningsa, jak powtarzał Annie, ile po prostu nie zgadzał się z wieloma wyrażanymi przez tego człowieka przekonaniem – może nawet więcej niż z wieloma albo wręcz z większością. W odpowiedzi zaś na pytanie pani O'Reilly, dlaczego zatem ubiegał się o mandat, potrafił tylko powiedzieć, że przeciwna partia nie miała w tych wyborach szans. Główne wrażenie, jakie Evan odniósł, ściskając przelotnie dłoń Langfordowi Jenningsowi w długim szeregu zaproszonych gości, było bardziej abstrakcyjne niż bezpośrednie, choć może niezupełnie. Sam urząd zarówno onieśmiał, jak obezwładniał. Wyobraźnię każdego myślącego człowieka przekraczał pomysł, by komukolwiek można było powierzyć tak ogromną władzę nad światem. Jeden potworny błąd w obliczeniach mógł spowodować wysadzenie całej kuli ziemskiej w powietrze. A jednak... jednak... niezależnie od osobistej oceny tego człowieka w oczach Kendricka, który dostrzegł w nim niezbyt błyskotliwy intelekt i skłonność do nadmiernego upraszczania oraz wyrozumiałość dla takich gorliwych błaznów jak Herbert Dennison, Langford Jennings tworzył zaskakujący obraz człowieka wykraczający poza rzeczywistość, obraz prezydentury, o jakiej usilnie marzył każdy szary obywatel republiki. Niegdyś Evan próbował zrozumieć pajęczą zasłonę spowijającą tego człowieka, uniemożliwiająca bliższy ogląd, aż doszedł do wniosku, że ogląd jest nieistotny w porównaniu z oddziaływaniem tegoż człowieka. To samo można by powiedzieć o Neronie, Kaliguli oraz wszystkich szalonych, autorytarnych papieżach i władcach, a także o skończonych łotrach dwudziestego wieku, Mussolinim, Stalinie i Hitlerze. Tyle że ten człowiek nie przejawiał zła właściwego tamtym; wyzwał natomiast silne, przekonujące zaufanie, które emanowało niejako z głębi jego duszy. Jennings był również obdarzony atrakcyjną powierzchownością i wiarą, a czystość tej wiary znaczyła dla niego wszystko. Należał ponadto do najbardziej uroczych, najbardziej ujmujących ludzi, jakich Kendrickowi zdarzyło się kiedykolwiek widzieć. – Niech mnie licho, jak to miło pana poznać, panie Evanie! Mogę tak do pana mówić, panie kongresmanie?

–Oczywiście, panie prezydencie. Jennings wyszedł zza biurka w Owalnym Gabinetcie, żeby podać mu rękę, i kiedy ściskali sobie dłonie, złapał Kendricka za lewe ramię.

–Właśnie skończyłem czytać tajne materiały na temat pańskich dokonań, i powiadam panu, jestem z pana naprawdę dumny... – Pomagało mi mnóstwo innych osób. Bez nich dawno bym zginął. – Rozumiem. Niechże pan siada, Evan, bardzo proszę! – Prezydent wrócił na swoje krzesło; Herbert Dennison nadal stał. – To, czego pan dokonał w pojedynkę przejdzie do historii dla wielu pokoleń młodych ludzi w Ameryce. Wziął pan bat w swoje ręce i, niech mnie licho, potrafił pan z niego

trzasnąć.

–Naprawdę nie działałem sam, panie prezydencie. Można by ułożyć długą listę osób, które pomagały mi z narażaniem życia, w tym wielu położyło głowy. Jak już mówiłem, gdyby nie oni, dawno bym nie żył. Było wśród nich przynajmniej kilkunastu Omańczyków, począwszy od młodego sułtana, a także izraelski oddział komandosów, który mnie odnalazł, kiedy dosłownie miałem przed sobą kilka godzin życia. Egzekucja była już wyznaczona...

–Wszystko to wiem, panie Evanie – wtrącił Langford Jennings, kiwając głową i marszcząc brwi ze współczuciem. Wiem też, że nasi przyjaciele w Izraelu nalegają, aby nie padła najmniejsza wzmianka o ich zaangażowaniu, a nasi pracownicy wywiadu nie chcą ryzykować ujawnienia nazwisk amerykańskiego personelu w Zatoce Perskiej.

–W Zatoce Omańskiej, panie prezydencie.

–Rozumie się – odparł Jennings, przywołując na twarz swój osławiony skromny uśmiech, który podbił serce całego narodu. – Nie mam pewności, czy je rozróżniam, ale dziś wieczór się nauczę. Jak by to ujął w dymku mój zjadliwy karykaturzysta, żona nie da mi jutro ciasteczek z mlekiem, dopóki się w tym nie połapię.

–To by było niesprawiedliwe. Jest to skomplikowany geograficznie rejon świata, dla kogoś kto nie jest z nim obeznany.

–Ale może nawet mnie się jakoś uda w nim zorientować za pomocą kilku map ze szkoły podstawowej.

–Wcale nie chciałem sugerować...

–W porządku, Evan, to moja wina. Czasem zdarzy mi się omylić. Najważniejsze teraz, co zrobimy z tobą. Co zrobimy, mając oczywiście na względzie ograniczenia spowodowane koniecznością ochrony życia agentów i subagentów, którzy pracują dla nas w tej wybuchowej części kuli ziemskiej?

–Moim zdaniem właśnie te niezbędne ograniczenia wymagają, żeby wszystko pozostało wyciszone, ściśle tajne...

–Na to już za późno, Evan – wtrącił Jennings. – Alibi jakim jest bezpieczeństwo kraju ma swoje granice. A dalej wkracza ludzka ciekawość. Wtedy właśnie grunt staje się śliski i niebezpieczny. – Poza tym – dodał Herbert Dennison, przerywając burkliwie swoje milczenie jak już panu wspomniałem, panie kongresmanie, prezydent nie może pana po prostu zignorować. Byłby to dowód braku wdzięczności i patriotyzmu. Widzę to tak, a prezydent się ze mną zgadza, że zaaranżujemy krótką sesję fotograficzną tu, w Owalnym Gabinetcie, gdzie przyjmie pan gratulacje od prezydenta, a także wykona się serię zdjęć, na których obaj będziecie pochłonięci niby to poufną rozmową. Wszystko pozostanie w zgodzie z wymogami tajnego wywiadu, stawianymi przez nasze służby antyterrorystyczne. Naród to zrozumie. Nie wolno odsłaniać taktyki przed tymi arabskimi szumowinami.

–Bez wielu Arabów daleko bym nie zaszedł i dobrze pan, do cholery, o tym wie powiedział Kendrickprzeszywając szefa personelu gniewnym spojrzeniem.

–Och, wiemy o tym, Evan – wtrącił Jennings, najwyraźniej rozbawiony tym, co zaszło między dwoma panami. – Przynajmniej ja wiem. A tak przy okazji, Herb,

dzwonił dziś po południu Sam Winters. Ma chyba piekielnie dobry pomysł, który nie naruszy żadnych względów bezpieczeństwa, a może je nawet wyjaśni.

–Samuel Winters niezupełnie jest moim przyjacielem – zaoponował Dennison. – Odmówił poparcia ładnych kilku pociągnięć politycznych, które przydałoby się nam w Kongresie.

–To znaczy, że się z wami nie zgadzał. Ale czy dlatego musi być od razu wrogiem? Cholera, gdyby tak było, trzeba by wysłać połowę strażników z piechoty morskiej do naszych kwater rodzinnych. Dajże spokój, Herb, odkąd pamiętam Sam Winters jest doradcą prezydentów z obu partii. Tylko dureń nie odbierałby od niego telefonów. – Powinien był najpierw zameldować się u mnie.

–Widzisz, Evan? – skomentował prezydent przekrzywiający głowę, z figlarnym uśmiechem. – Mogę się bawić w piaskownicy, ale nie mogę sobie dobierać kolegów.

–Zupełnie nie to miałem...

–Dokładnie to miałeś na myśli, Herb, ale wcale mi to nie przeszkadza. Działasz skutecznie, o czym bez przerwy mi przypominasz, i też mi to nie przeszkadza.

–I co takiego pan Winters... profesor Winters... zaproponował? – spytał Dennison, wymawiając sarkastycznie tytuł naukowy. – Żebyś wiedział, Herb, jest profesorem, ale nie takim sobie zwykłym wykładowcą. Gdyby tylko zechciał, mógłby, jak sądzę, kupić kilka niezłych uniwersytetów. Z pewnością ten, z którego sam wyszedłem, i to za sumę, której nawet by nie zauważył.

–I co takiego podsunął? – nalegał szef personelu.

–Żebym przyznał swojemu przyjacielowi, Evanowi, Medal Wolności. Prezydent zwrócił się do Kendricka. – To cywilny odpowiednik Medalu Honoru, Evan.

–Wiem, panie prezydencie. Ani na niego nie zasłużyłem, ani go nie potrzebuję.

–Widzi pan, Sam uzmysłowił mi kilka rzeczy i chyba ma rację. Przede wszystkim, zasłużył pan, i czy panu się podoba, czy nie, wyszedłbym na skąpego, pospolitego drania, gdybym go panu nie przyznał. A na to, moi drodzy, sobie nie pozwolę. Zrozumiano, Herb? – Tak jest, panie prezydencie – odparł Dennison ze ściśniętym gardłem. – Powinien pan jednak wiedzieć, że chociaż kongresman Kendrick nie ma konkurentów przy wyborach na następną kadencję, co gwarantuje pańskiej partii miejsce w Kongresie, zamierza wszakże w najbliższej przyszłości zrezygnować z tego stanowiska. Po co więc, przy jego własnych obiekcjach, skupiać na nim większą uwagę?

–Po to, Herb, że nie mam zamiaru wyjść na pospolitego drania. Tak czy owak, wygląda, jakby był moim młodszym bratem... moglibyśmy zrobić z tego użytek. Uprzytomnił mi to właśnie Sam Winters. Powstanie obraz rzutki amerykańskiej rodziny, jak to określił. Chyba nam to wyjdzie na korzyść, jak sądzisz?

–Nie widzę takiej potrzeby, panie prezydencie – włączył się Dennison, całkiem już sfrustrowany, a jego chrapliwy głos wskazywał, że zdaje sobie sprawę z faktu, że prezydent podjął już decyzję. – Liczą się też obawy kongresmana. Uważa, że może to pociągnąć za sobą akcje odwetowe wobec jego przyjaciół w arabskim świecie. Prezydent odchylił się w krzesło, wbijając wzrok w szefa personelu.

–To mnie nie przekonuje. Żyjemy w świecie najerzonym niebezpieczeństwami, ale

uczynimy go jeszcze bardziej niebezpiecznym, jeżeli będziemy się poddawać takim idiotycznym domysłom. Właśnie w tym duchu wyjaśnię całemu narodowi, i to z pozycji siły, a nie strachu, że nie dopuszczę do całkowitego ujawnienia szczegółów operacji w Omanie ze względu na strategię antyterrorystyczną. Co do tego, Herb, miałeś rację. W istocie Sam Winters pierwszy mi to uzmysłowił. Ale naprawdę nie mam zamiaru wyjść na pospolitego drania. To się po mnie nie pokaże. Zrozumiano, Herb?

–Tak jest.

–Panie Evan – zwrócił się do kongresmana Jennings z tym swoim zaraźliwym uśmiechem na twarzy. – Jest pan człowiekiem mojego pokroju. Z tego, co czytam, dokonał pan wspaniałego czynu, i jako prezydent nie okażę się niewdzięczny! A tak nawiasem mówiąc, Sam Winters napomknął też, że warto by wspomnieć, iż działaliśmy razem. Co, do cholery, w końcu pracowali z panem moi ludzie, a to święta prawda.

–Panie prezydencie...

–Zorganizuj to, Herb. Zerknąłem właśnie do swojego kalendarza, jeśli się nie obrazisz. W najbliższy wtorek, o dziesiątej rano. W ten sposób dotrzemy do wieczornych wiadomości wszystkich stacji telewizyjnych, a wtorek to dobry wieczór.

–Ale, panie prezydencie... – znów zaczął wzbudzony Dennison. – I jeszcze jedno, Herb, chcę, żeby się stawiła orkiestra wojskowa. W Błękitnej Sali. Niech mnie licho, jeśli wyjdę na pospolitego drania. To się po mnie nie pokaże! – Wściekły Herbert Dennison wrócił z Kendrickiem do swojego gabinetu, żeby spełnić polecenie prezydenta – omówić szczegóły ceremonii wręczenia medalu w Błękitnej Sali w najbliższy wtorek. Z orkiestrą wojskową. Złość szefa personelu była tak niepomiarowa, że zaciskał tylko w milczeniu swoją wydatną, żelazną szczękę. – Naprawdę załazłem panu za skórę, co, Herbie? zagadnął Evan dostrzegłszy zamaszysty krok Dennisona.

–Załazł mi pan za skórę, a na imię wcale nie mam Herbie. – Bo ja wiem. Tam u szefa zachowywał się pan jak Herbie. Usadził pana,co?

–Zdarzają się takie chwile, kiedy prezydent słucha niewłaściwych osób. Kendrick spojrzął przez ramię na szefa personelu, kiedy tak kroczyli przestronnym korytarzem. Dennison zignorował nieśmiało pozdrowienia licznych pracowników Białego Domu, którzy zmiierzali w przeciwnym kierunku; wielu z nich patrzyło ze zdumieniem na Evana, najwyraźniej go rozpoznając.,

–Jednego nie rozumiem – odezwał się Kendrick. – Pominąwszy naszą wzajemną niechęć do siebie, co pana tak gryzie? Przecież to ja wpakowałem się w coś, co mi nie odpowiada, a nie pan. Dlaczego się pan tak wścieka?

–Bo za dużo pan, do cholery, gada. Przyglądałem się panu w programie Foxleya i nazajutrz rano podczas tego małego popisu w pańskim gabinecie. Jest pan bezproduktywny.

–Widać, że lubi pan to słowo.

–Jest ich znacznie więcej w moim słowniku.

–O, na pewno. W takim razie może czymś pana zaskoczę.

–Znowu? Co to, cholera, tym razem będzie?

–Proszę poczekać, aż znajdziemy się w pańskim gabinecie. Dennison polecił sekretarce, żeby nie łączyła go z nikim, chyba że odezwie się gorąca linia. Skinęła skwapliwie głową, przyjmując posłusznie polecenie, ale wystraszonym głosem dodała:

–Odebrałam już kilkanaście telefonów do pana. Prawie wszystkie wymagają pilnie oddzwonienia.

–Czy to gorąca linia? – Kobieta potrząsnęła głową. – No to co pani przed chwilą powiedziałam? – Z tymi uprzejmymi słowy szef personelu popchnął kongresmana do gabinetu i zatrzasnął drzwi. – No więc czym mnie pan zaskoczy?

–Wie pan, Herbie, muszę udzielić panu pewnej rady – odparł Evan podchodząc swobodnie do okna, przy którym stał przedtem. Odwrócił się i spojrzał na Dennisona. – Może się pan odnosić grubiańsko do personelu administracyjnego, jak długo pan zechce lub jak długo ci ludzie wytrzymają, ale niech się pan więcej nie waży dotykać członka Izby Reprezentantów i wpychać go do swojego gabinetu, jak gdyby miał mu pan zaraz spuścić tęgie lanie.

–Wcale pana nie wepchnąłem!

–Tak to odebrałem i tylko to się liczy. Ma pan ciężką rękę, panie Herbie. Jestem pewien, że mój szacowny kolega z Kansas czuł to samo, kiedy powalił pana na cztery łopatki. Nieoczekiwanie Herbert Dennison wstrzymał oddech, po czym roześmiał się cicho. Jego przedłużający się głęboki chichot był refleksyjny, nie wyrażał złości ani sprzeciwu, raczej ulgę niż cokolwiek innego. Dyrektor rozluźnił krawat i usiadł swobodnie w skórzanym fotelu przed swoim biurkiem.

–Boże, chciałbym być dziesięć albo dwanaście lat młodszy, Kendrick, to bym panu przetrzepał skórę. Nawet w tym wieku byłoby mnie jeszcze stać. Jak się ma jednak sześćdziesiąt trzy lata, człowiek się uczy, że rozważa to lwią część męstwa czy jak by to określić. Nie chcę znów leżeć na cztery łopatki, w moim wieku trochę się trudniej pozbierać.

–To niech się pan o to nie doprasza, niech pan nie kusi losu. Bardzo wyzywający z pana człowiek.

–Proszę siadać, panie kongresmanie... na moim krześle, za moim biurkiem. No, proszę, proszę bardzo. – Evan usiadł. – I co pan czuje? Mrowie przechodzi panu po krzyżu, krew uderza do głowy?

–Ani jedno, ani drugie. To miejsce pracy.

–No tak, chyba jesteśmy ulepieni z innej gliny. Bo widzi pan, kilka pokoi dalej zasiada najpotężniejszy człowiek na kuli ziemskiej i zdaje się na mnie. A, prawdę powiedziawszy, wcale nie jestem geniuszem. Pilnuję tylko, żeby ten dom wariatów funkcjonował. Oliwię maszynierę, żeby tryby się kręciły, chociaż mój olej ma w sobie dużo kwasu, tak jak i ja. Ale to jedyny dostępny mi smar, a poza tym się sprawdza.

–Pewno coś w tym jest – skomentował Kendrick.

–Pewno jest, i pan się chyba nie obrazi. Odkąd tu jestem... odkąd tu jesteśmy... wszyscy mi się kłaniają w pas i prawią z uśmiechem najróżniejsze komplementy, a tylko ich oczy mówią, że chętnie wpakowaliby mi kulę w łeb. Już to przerabiałem, wcale mnie to nie bierze. Aż tu naraz pan się zjawia i mówi mi pan, żebym się

odpieprzył. Jest w tym naprawdę coś odświeżającego. Coś mi tu nawet odpowiada. To znaczy podoba mi się, że pan mnie nie lubi, a ja pana. Da się to zrozumieć?

–W przewrotny sposób pewno tak. Ale pan w ogóle ma przewrotną naturę.

–Dlaczego? Bo wolę walić prosto z mostu, niż owijać w bawełnę? Piękne słowa bez pokrycia i lizydupstwo to tylko strata czasu. Gdybym potrafił wyeliminować jedno i drugie, osiągnęlibyśmy dziesięć razy więcej niż teraz.

–Mówił już pan to komuś?

–Próbowałem, panie kongresmanie, Bóg mi świadkiem. I wie pan co? Nikt mi nie wierzy.

–A pan by wierzył na ich miejscu?

–Pewno nie. Może zresztą gdyby uwierzyli, ten dom wariatów zamieniłby się w prawdziwy zakład zamknięty. Proszę się nad tym zastanowić, panie Kendrick. Moja przewrotność ma więcej niż jedno oblicze.

–Nie czuję się powołany do tego, żeby komentować pańskie słowa, ale nasza rozmowa ułatwia mi pewne sprawy.

–Ułatwia? A, właśnie, miał mnie pan zaskoczyć.

–Otóż to – podchwycił Evan. – Widzi pan, do pewnych granic zrobię wszystko, czego pan zechce, tyle że za określoną cenę. Tak wygląda mój pakt z diabłem.

–Pan mi pochlebia.

–Wcale nie miałem zamiaru. Ja też nie lubię lizydupstwa, bo dla mnie też się wiąże ze stratą czasu. Jeśli dobrze pana rozszyfrowałem, jestem "bezproduktywny", bo zrobiłem trochę szumu wokół pewnych spraw, które naprawdę leżą mi na sercu, a to, co pan usłyszał, kłóci się z pana interesami. Jak dotąd się zgadza?

–Zgadza się co do joty, szczawiku. Może pan sprawiać inne wrażenie, ale moim zdaniem jest w panu mnóstwo gówniarskiego sprzeciwu tych długowłosych chudzielców.

–A pan sądzi, że jeżeli da mi się pole do popisu, wówczas posunę się jeszcze dalej. Już na samą taką myśl włos się panu jeży na głowie. I co, też się zgadza?

–Zgadza jak? Nie dopuszczę, żeby ktokolwiek czy cokolwiek zakłóciło głos prezydenta. On nas wyciągnął z gówna ślamazarności. Pędzimy teraz z silnym wiatrem, aż serce rośnie.

–Nie mam zamiaru iść tą drogą.

–Pewno by pan nawet nie potrafił...

–Ale zasadniczo zależy panu na dwóch sprawach nie dawał się zbić z tropu Evan.

– Po pierwsze, żebym jak najmniej mówił, najlepiej nic, co podważa mądrości płynące z tego pańskiego domu wariatów. Jestem blisko?

–Nie mógłby pan być bliżej, nie narażając się na aresztowanie. – A po drugie, jak już powiedział pan wcześniej, chciałby pan, żebym zniknął, i to szybko. Jak moje domysły?

–Trafił pan w samo sedno.,

–No, dobrze. Zastosuję się do obu tych życzeń w pewnych granicach. Po tej małej uroczystości w najbliższy wtorek, na której nie zależy żadnemu z nas, ale zadośćuczynimy woli szefa, w moim biurze zarozi się od dziennikarzy. Radio, prasa,

telewizja... cała ta zgraja. Stanę się łakomym kąskiem, bo im wszystkim zależy na sprzedawaniu sensacji...

–Nie mówi mi pan nic, czego bym nie wiedział albo nie apróbował – wtrącił Dennison.

–Odrzucę wszystkie propozycje – ciągnął spokojnie Kendrick. – Nie udzielię żadnego wywiadu. Nie wypowiem się publicznie w żadnej kwestii i zniknę jak najszybciej będę mógł.

–Ucałowałbym pana w tej sekundzie, ale użył pan jednego bezproduktywnego sformułowania: "w pewnych granicach". Co by to miało, do cholery, znaczyć?

–To znaczy, że w Kongresie będę głosował zgodnie z własnym sumieniem, a jeśli ktoś mnie sprowokuje, kiedy będę przy głosie, wyłożę swoje racje tak beznamiętnie, jak tylko będzie mnie na to stać. Ale wyłącznie w Kongresie; poza Kapitołem nie padnie z moich ust żaden komentarz.

–Większość propagandowych bredni pochodzi spoza Kapitolu, a nie z niego – rzekł szef personelu Białego Domu z zadumą. – Protokoły z posiedzeń Kongresu i kamery telewizji kablowej rejestrujące obrady nie robią wyłomu w "Daily News", ani w "Dallas". W tych okolicznościach, dzięki temu ulizanemu skurwysynowi, Samowi Wintersowi, pańska oferta jest tak kusząca, że ciekaw byłbym ceny. Bo zakładam, że ma pan swoją cenę.

–Chciałbym się dowiedzieć, kto mnie wsypał. Kto w tak dalece profesjonalny sposób dokonał przecieku z Omanu.

–A pan sądzi, że ja bym nie chciał? – wybuchnął Dennison, aż podskakując na krześle. Już ja bym tych łajdaków pogrzebał żywcem w torpedowcach pięćdziesiąt kilometrów od brzegu Newport News!

–To niech mi pan pomoże wykryć przeciek. Tak wygląda moja cena. Może pan ją przyjąć albo nie, a wtedy zobaczy mnie pan w programie Foxleya na cały kraj, jak mówię o panu i o całej pana bandzie, co o was myślę. Mam was za zgraję nadętych neandertalczyków poruszających się w niezrozumiałym dla was skomplikowanym świecie...

–A pan jest, do ciężkiej cholery, ekspertem?

–Nie. Wiem tylko, że pan nim nie jest. Przypatruję się przysłuchuję i widzę, jak pan utracą tyłu ludzi, którzy mogliby panu pomóc, bo mają jeden czy drugi zygzak, a pan sobie obmyślił inny deseń. Poza tym dzisiaj nauczyłem się czegoś jeszcze. Zobaczyłem to, usłyszałem. Prezydent Stanów Zjednoczonych rozmawiał z Samuelem Wintersem, człowiekiem, którym pan pomiata. Ale kiedy wyjaśnił pan, że go pan nie lubi, ponieważ odmówił wam poparcia w Kongresie, Langford Jennings powiedział coś, co mi piekielnie zaimponowało. Powiedział, że nawet jeśli ten Sam Winters ma inne zdanie w tej czy innej sprawie, to jeszcze nie czyni z niego wroga. – Prezydent często nie rozumie, kto jest jego wrogiem. Bez pudła rozpoznaje swoich ideologicznych sprzymierzeńców i trzyma z nimi sztamę... czasem, prawdę powiedziawszy, za długo... ale często zbyt wielkoduszność nie pozwala mu dostrzec, kto może zburzyć wartości, które sam wyznaje.

–To najślabszy i najbardziej arogancki argument, jaki w życiu słyszałem, panie

Herbie. Przed czym chce pan tego człowieka ustrzec? Przed odmiennymi opiniami?

–Wróćmy do pana wielkiej niespodzianki, panie kongresmanie. Ten temat bardziej mi odpowiada.

–Nie mam co do tego wątpliwości.

–Co pan wie, czego my nie wiemy, a co mogłoby nam pomóc w wykryciu przecieku z Omanu?

–Z grubsza biorąc to, czego się dowiedziałem od Franka Swanna. Jako szef jednostki operacyjnej OHIOCzteryZero miał łączność z Sekretariatem Obrony i Stanu, a także z Przewodniczącym Kolegium Szefów Sztabów, którzy świetnie o mnie wiedzieli. Powiedział mi jednak, żeby wykreślić ich z listy ewentualnych podejrzanych..., – Co racja, to racja – przerwał mu Dennison. – Owszem, na pierwszy rzut oka to ciepłe kluski. Nie potrafią odpowiedzieć na najprostsze pytanie, przez co sprawiają wrażenie urodzonych kretynów. Ale, między nami mówiąc, wcale nie są tacy głupi. Już za długo żyją na tym świecie, żeby nie wiedzieć, co znaczy sprawa ściśle tajna i dlaczego ma taką pozostać. Co jeszcze?

–No więc pominąwszy pana, a prawdę powiedziawszy, wykluczam pana jedynie dlatego, że moje rozumowanie jest mniej więcej tak "bezproduktywne", jak tylko pańskie uszkodzone szare komórki mogłyby to samo wyobrazić, pozostaje troje ludzi.

–Kto taki?

–Pierwszy to Lester Crawford z Centralnej Agencji Wywiadowczej. Drugi to szef bazy w Bahrajnie, James Grayson. Trzecia osoba to kobieta, Adriannę Rashad, która jest agentką specjalną i działa z Kairu.

–I co pan powie na ich temat?

–Wedle słów Swanna, są to jedyne osoby, które o mnie wiedziały, kiedy powierzono mi misję w Maskacie.

–To nasz personel – powiedział Dennison znacząco. – A pańscy ludzie tam na miejscu?

–Nie twierdzę, że to niemożliwe, ale sądzę, że mało prawdopodobne. Tych kilku, z którymi miałem do czynienia, z wyjątkiem młodego sułtana, ma tak znikome możliwości kontaktu z Waszyngtonem, że rozważałbym ich na ostatnim miejscu, a może nawet wcale. Ahmat, którego znam od lat, z pewnością by się czegoś takiego nie dopuścił, i to z wielu powodów, poczynając od jego tronu, a co niemniej istotne, swoich powiązań z naszym rządem. Spośród czterech ludzi, z którymi rozmawiałem przez telefon, tylko jeden odpowiedział i przyplacił to życiem, niewątpliwie za zgodą innych. Tamci śmiertelnie się wystraszyli. Nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego, nie chcieli wiedzieć o mojej obecności w Omanie, nie chcieli mieć do czynienia z nikim, o kim wiedzieli, że się ze mną kontaktował, a mógłby rzucić na nich bodaj cień podejrzenia. Musiałby pan być na miejscu, żeby to zrozumieć. Wszyscy tam żyją w strachu przed terroryzmem, czują sztylet przyłożony do gardła, a także do gardeł wszystkich członków swoich rodzin. Zdarzały się już takie akcje odwetowe, zabity syn, zgwałcona i okaleczona córka, bo kuzyni lub wujowie wezwali do zemsty na Palestyńczykach. Nie wierzę, że którykolwiek z nich szepnąłby moje nazwisko

choćby głuchemu psu. – Boże, w jakim świecie żyją ci cholerni Arabowie?

–W takim, w którym olbrzymia większość usiłuje przetrwać, a także zapewnić jakie takie życie sobie i swoim dzieciom. A my. My nie przyszliśmy im z pomocą, ty obłudny łajdaku. Dennison przekrzywił głowę i zmarszczył brwi.

–Może i zasłużyłem na to wyzwisko, panie kongresmanie, będę to musiał przemyśleć. Nie tak dawno temu w modzie było nie lubić Żydów, nie ufać im, a teraz sytuacja się zmieniła, i ich miejsce w naszej hierarchii niechęci zajęli Arabowie. Może to wszystko blaga, kto wie?.. Ale teraz muszę wiedzieć jedno: kto pana zakablował wsypując ściśle tajną koronkową robotę. Pan sądzi, że to ktoś z naszych szeregów.

–Nie ma innej możliwości. Do Swanna dotarł, i to, jak się okazuje, dotarł podstępnie, pewien blondyn z europejskim akcentem, który miał na mój temat wyczerpujące dane. Te informacje mogły pochodzić jedynie z akt rządowych, przypuszczalnie z mojejteczki personalnej kongresmana. Usiłował mnie powiązać ze sprawą Omanu, Swann jednak stanowczo wszystkiemu zaprzeczył, mówiąc, że odrzucił moją kandydaturę. Ale odniósł wrażenie, że wcale tamtego nie przekonał.

–Wiemy o tym blondasowatym duchu – wtrącił Dennison. – Nie możemy go znaleźć.

–On natomiast pogrzebał i znalazł kogoś innego, kogoś, kto potwierdził, celowo albo bezwiednie, to, czego Frank usiłował dojść. Jeżeli wykluczemy pana, a także Sekretarzy Stanu, Obrony i Kolegium Szefów Sztabów, pozostają nam jedynie Crawford, Grayson bądź ta Rashad.

–Pierwszych dwóch też pan może wykreślić – powiedział szef personelu Białego Domu. – Dziś z samego rana przypiekałem na rożnie Crawforda tu, w tym gabinecie, i był gotów wyzwać mnie na rosyjską ruletkę za samo napomknięcie o takiej ewentualności. Co do Graysona, rozmawiałem z nim pięć godzin temu przez telefon w Bahrajnie, i omal go nie trafiła apopleksja na samą myśl, że możemy go w ogóle podejrzewać o przeciek. Zacytował mi regulamin tajnych operacji, jak gdybym był najdurniejszym smarkaczem w całej dzielnicy, którego należałoby wtrącić do izolatki za wydzwanianie do niego przez nie zabezpieczoną linię na obcym terytorium. Grayson, podobnie jak Crawford, jest zawodowcem starej daty. Żaden z nich nie narażałby dla pana swojej życiowej kariery i żaden nie dałby się w coś takiego wmanewrować. Kendrick podsunął się do przodu na krześle Dennisona, oparł łokcie na biurku. Wbił wzrok w przeciwną ścianę gabinetu, przez głowę przeleciał mu tłum sprzecznych myśli. Khalehla, a właściwie Adrienne Rashad, uratowała mu życie, ale czyżby tylko po to, żeby go później wydać? Przyjaźniła się również z Ahmatem, którego powiązania z nią mogłyby go zniszczyć, a Evan już i tak dostatecznie skrzywdził młodego sultana, żeby teraz jeszcze dodawać rozszyfrowaną agentkę wywiadu do listy swoich grzechów. Jednakże Khalehla rozumiała go, kiedy potrzebował zrozumienia, ofiarowała życzliwość, kiedy mu jej najbardziej brakowało, bo tak się bał – zarówno o własne życie, jak i o własne niedociągnięcia. Jeżeli nawet skłoniono ją podstępem do tego, żeby go wydała, a on zdemaskuje jej uchybienie, będzie skończona w pracy, w którą tak święcie wierzy... Jeżeli jednak nikt jej nie skłonił, lecz wydała go z własnych powodów, w takim razie zdemaskuje tylko jej

zdradę. Gdzie leży prawda? Dała się nabrać czy kłamała? Tak czy owak, musi sam to zbadać bez oficjalnego dochodzenia. Przede wszystkim, czy dała się nabrać, czy kłamała, Evan musi się dowiedzieć, z kim się kontaktowała czy też kto się z nią kontaktował. Bo tylko ten "ktoś" może znać odpowiedź na pytanie "dlaczego" ujawniono go jako Evana z Omanu. I on musi się tego dowiedzieć!

–Zatem z całej waszej siódemki pozostaje tylko jedna osoba, o której nic nie wiemy.

–Ta kobieta – podchwycił Dennison kiwając głową. – Będę ją, cholera, przypiekał na rożnie, aż pójdą iskry.

–Nie robi pan tego – zaoponował Kendrick. – Pan i pańscy ludzie nie zbliżycie się do niej, dopóki wam nie dam znać, jeżeli w ogóle do tego dojdzie. I jeszcze jedno. Nikt nie ma wiedzieć, że przerzuca ją pan tu z powrotem, pod parasolem, tak się to bodajże nazywa. Absolutnie nikt. Zrozumiano?

–Kim pan, do diabła, jest...

–Już to przerabialiśmy, panie Herbie. Pamięta pan, we wtorek, w Błękitnej Sali? Z orkiestrą wojskową, z całym sztabem reporterów i kamer telewizyjnych? Będę miał przed sobą olbrzymie forum, jeśli tylko zechcę z niego skorzystać, żeby wygłosić kilka uwag. Proszę mi wierzyć, na pewno znajdzie się pan jako jeden z pierwszych na mojej muszce, łącznie z rozłożeniem na cztery łopatki i tak dalej. – Psiakrew! Czy ofiara szantażu może ośmielić się zapytać, dlaczego ta widmowa dama cieszy się pana specjalnymi względami? – Naturalnie – odrzekł Evan wpatrując się usilnie w szefa personelu. – Ta kobieta uratowała mi życie, nie będzie więc pan niszczył jej życia, dając do zrozumienia jej ludziom, że ma pan ją na tym swoim słynnym celowniku Białego Domu. Zbyt dużo zła już pan tu wyrządził.

–No, dobrze, już dobrze! Ale ustalmy jedno. Jeżeli to ona okaże się wtyczką, odda ją pan w moje ręce.

–To zależy – powiedział Kendrick, odchylając się znów na krześle.

–Na miłość boską, od czego?

–Od tego, co i jak.

–Kolejne zagadki, panie kongresmanie?

–Nie dla mnie – odparł Evan powstając raptownie z krzesła. – Proszę mnie stąd wyprowadzić, panie Dennison. A ponieważ nie mogę jechać do swojego domu, ani w Wirginii, ani nawet w Kolorado, żeby nie urządzono zaraz na mnie nagonki, czy ktoś z tego domu wariatów mógłby mi wynająć domek na wsi pod innym nazwiskiem? Zapłacę za miesiąc czy za ile będzie trzeba. Muszę mieć kilka dni dla siebie, żeby sobie to i owo przemyśleć, zanim wrócę do biura. – Już się tym zajęto – odparł skwapliwie szef personelu. – Właściwie to był pomysł Jenningsa, żeby przechować pana przez weekend w jednym z tych czyściców w stanie Maryland.

–Co to, u diabła, jest czyściec? Niechże pan mówi zrozumiale. – Ujmijmy to w ten sposób. Jest pan gościem prezydenta Stanów Zjednoczonych w miejscu niemożliwym do znalezienia, zarezerwowanym dla osób, którym zależy na dyskrecji. Ja też uważam, że Langford Jennings powinien pierwszy wygłosić oświadczenie publiczne na pański temat. Widziano tu pana, więc rozejdzie się plotka. – Pan jest

autorem scenariusza. Co zatem powiemy... a raczej co pan powie, skoro ja będę w odosobnieniu?

–Nic prostszego. Chodzi o pańskie bezpieczeństwo. Po naradzie z naszymi specjalistami od terroryzmu prezydent przede wszystkim troszczy się o pana. Spokojna głowa, już nasi mistrzowie pióra wymyślą coś, od czego kobiety będą pochlipywały, a mężczyźni zechcą wyjść na defiladę. A ponieważ ostatnie słowo w tych sprawach należy do Jenningsa, pewnie nakreśli on wzruszający obraz potężnego rycerza Okrągłego Stołu sprawującego pieczę nad odważnym młodszym bratem, który spełnił wspólną, ryzykowną misję. Psiakrew! – I jeśli w teorii akcji odwetowych kryje się choć ziarno prawdy – dorzucił Kendrick – wezmą mnie na cel.

–Nie miałbym nic przeciwko temu – stwierdził Dennison kiwając znów głową.

–Proszę się ze mną porozumieć, kiedy pan już poczyni kroki w sprawie tej Rashad. Evan siedział w wygodnym skórzanym fotelu w gabinecie imponującego czyścica w miejscowości Cynwid Hollow na Wschodnim Wybrzeżu stanu Maryland. Na zewnątrz, w obrębie murów rześcicie oświetlonej posiadłości, przechadzali się tam i z powrotem strażnicy, patrolując każdy skrawek terenu – broń w pogotowiu, czujny wzrok. Kendrick wyłączył oglądaną po raz trzeci transmisję telewizyjną ze zwołanej nagle przez prezydenta Langforda Jenningsa konferencji prasowej w sprawie pewnego kongresmana, niejakiego Evana Kendricka z Kolorado. Była znacznie bardziej oburzająca, niż to przepowiadał Dennison, pełna obrzydliwych pauz, aż się bebechy wywracały, okraszonych serją dobrze przećwiczonych uśmiechów, które jakże wyraźnie wyrażały dumę i ból, kryjące się za wyszczerzonymi zębami. Prezydent po raz kolejny powtórzył same ogólniki, nie mówiąc nic konkretnego, wyjąwszy jedno stwierdzenie: "Dopóki nie zastosuje się odpowiednich środków bezpieczeństwa, poprosiłem kongresmana Kendricka, człowieka, z którego wszyscy jesteśmy tak dumni, żeby pozostał w bezpiecznym odosobnieniu. Do tej prośby dołączam niniejszym surowe ostrzeżenie. Gdyby tchórzliwi terroryści poważyli się targnąć na życie mojego przyjaciela, bliskiego współpracownika, którego traktuję, nie przymierzając, jak młodszego brata, użyjemy całej potęgi Stanów Zjednoczonych na lądzie, morzu i w powietrzu przeciwko odpowiedzialnym za takie próby osobom". Boże Świąty! Zadzwoił telefon. Evan rozejrzał się za aparatem. Stał na biurku po drugiej stronie pokoju; kongresman wstał z fotela i podszedł do natarczywego aparatu.

–Tak?

–Ta kobieta leci samolotem wojskowym ze starszym attache ambasady w Kairze. Figuruje jako jego sekretarka, nazwisko nieważne. Przyłot przewiduje się na siódmą rano naszego czasu. Najpóźniej o dziesiątej będzie w Maryland.

–Co ona wie?

–Nic.

–Musiał pan coś powiedzieć – nalegał Kendrick.

–Powiedziano jej, że ma otrzymać nowe, pilne instrukcje od rządu, które mogą być przekazane wyłącznie osobiście tu, na miejscu.

–I kupiła tę bajeczkę?

–Nie miała wyboru. Zabrano ją z jej mieszkania w Kairze i od tamtej pory przebywa w bezpiecznym odosobnieniu. Życzę koszarnej nocy, ty łajdaku.

–Dzięki, Herbie. Evan odłożył słuchawkę z poczuciem ulgi, a zarazem lęku przed jutrzejszą poranną konfrontacją z kobietą, którą znał jako Khalehlę, z kobietą, z którą niegdyś kochał się w obłądnym strachu i wyczerpaniu. Musi zapomnieć o impulsie i desperacji, które go do tego popchnęły. Musi sam przed sobą określić, czy spotyka się ponownie z wrogiem czy z przyjacielem. Ale przynajmniej miał teraz jakiś plan na najbliższe dwanaście albo piętnaście godzin. Czas zadzwonić do Ann O'Reilly, a za jej pośrednictwem skontaktować się z Mannym. Nieważne, kto się dowie o jego miejscu pobytu; jest przecież oficjalnym gościem prezydenta Stanów Zjednoczonych.

* * *

Koniec tomu pierwszego.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-06

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/